





022AT-1



T. TASSO



T. TASSO

G O F F R E D

A L B O

J E R U Z A L E M

W Y Z W O L O N A

T O R Q U A T A T A S S A.

Przekładania

P I O T R A K O C H A N O W S K I E G O

S e k r e t a r z á I e ° K. M.

Z P R Z Y Ł Á C Z E N I E M

Rozprawy obejmujące uwagi nad poezją polską, życiopismo Torquata Tassa, rozbiór i przekład Jerozolimy wyzwolonej Pawła Czaykowskiego.

W W R O C Ł Á W I U,

U W I L H E L M A B O G U M I Ł A K O R N A

1820.

Mary Stettin

117395



McC K 117395 86 SL

Wielmożnemu á mnie wielce
Miłościwemu Pánu,

J E ° M ċ i P . J A N O W I

G R A B I N A T Ę C Z Y N I E ,

Podczászemu Jey Krol: M ċ i.
etc. etc.

Komuż słuszniej oddáne moje nowe Rymy
O wyzwoleniu máią byđż Jerozolimy:
Ieno tobie Toporow stárożytny synie,
Moiá czći y ozdobo, Grábio ná Tęczynie.

Tyś ták o nich rozumiał, tákeś ie považał,
Żeś mi się z niemi świata ukázáć roskazał:
Jednak ony nie miály przedsię zto śmiáłości,
Świádomie dobrze swoich niedoskonáłości.

Ale skoro od ciebie popráwy dostały,
Y iuż się w kosztownieyszy stroy poubierały:
Nie mogąc zemną wytrfáć, gwałtem się wydárły,
Jam ich też niechćiał trzymáć, kiedy się napárły.

Czás odkryie, ieśli ich nie włożą do bráku,
Ale zdárzyli się iem że będą do smaku:
Y że iákiey pochwały u ludzi dostaną,
Tobie zá to cny Grábio powinny zostaną.

D o C z y t e l n i k á.

*M*asz Czytelniku łaskawy, partum ocii non omnino ociosi, Poëma przednieyszego Włoskiego Poëty TORQUATA TASSA przeplátanem ósmiorakiem rymem, iakiem ie on sam pisał, y iakiem Włoszy, Hiszpani, y insze narody pole-rowánsze swoje Heroiká piszą, po polsku przełożoną. Wiersz w naszym ięzyku przytrudnieyszy, y podomno uszom polskiem, iako nieprzywykłem, zwłaszcza poki się wen kto nie zaczyta, nie smaczny; iednak aby się pokazało, że ięzyk nasz nie iest nád insze uboższy, y aby się szczęśliwsiem dowcipom do ubogácenia go dalsza podátá drogá, átoć go posyłam, ábyś osądził ieśli uydzie. Zdrow bądź, á naydzieszli co do smáku, z łaską przymi.

R O Z P R A W A

OBEYMUIĄCA UWAGI NAD POEZYJĄ POLSKĄ,

ŻYCIOPISMO TORQUATA TASSA,

ROZBIOR I PRZEKŁAD

JEROZOLIMY WYZWOLONEY,

N A P I S A N A

PRZEZ

PAWŁA CZAYKOWSKIEGO

Professora Literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim,
Członka Towarzystwa królewskiego Warszawskiego
Przyjaciół nauk, i Naukowego Towarzystwa
Krakowskiego.

Lubo nauki wyzwolone przy ich zjawieniu wcześną doskonałość zaleca, gdy wśród niewinności i saméj prostoty miłym światłem błysnąwszy, nieskażoną poią uciechą; iednakże utaja coś omdlałego piękność im właściwą, dopoki iéy wdzięków doyrzalsza nie rozwinię siła. Ten zawiązek i nagły postęp sztuk nadobnych nastrocza domysł o równém ich stopniowaniu, iakiém nas zadziwia przeobrażenie człowieka od dzieciństwa do samego grobu. Zmysły, imaginacyia i pamięć stanowią przyrodzone dary rozumney istoty, która folgę w cierpieniach znalazłszy, zaraz ie odziewa uśmiechem, wszędzie śledzi i wszędzie znajduie spokojną dla siebie zabawę, ale zawadziwszy o wiek namiętności, tęschni nawet w błogim stanie, roznieca swoje żądze, w nich widzi otchłań nowych potrzeb, a tak zagnalona ścigać przedmioty ciekawość i uczucia drażniące, wyrabia czyli ukształca wszystkie władze daléy sięgający duszy. Taką to niemal koleją i plemie ludzkie i poezyia doyrzewa. Nie iest moją

rzeczą tonąć w przeszłości zatartéy czasów potęgą, lubo zaufawszy świadectwu Nestora nadającego Słowianom skłonność do śpiewów, mogłbym wywieść starożytność poezyi naszéy, z samych cieni wiążących się około prawdy; alboli wierząc podaniom na głębokiéy Czackiego nauce wspartym, snadniebym w uniesieniu Nazona mającém, uyrzał Lechickiego Orfeusza postać, która buiając nad klassyczną ziemią ieszcze za czasów Rastycza lub słynnego Kraka nuciła pieśni przy podnóżku i na grzbiecie niebotycznych Tatrow. Nierownie chętniéy pomnę baieczne marzenia wielu Dębołęskich i poważnego Szlecera, dowodzących śmiało, iż mowa nasza musi bydź odwieczną; gdy w gwarze siedmudziesięciu ięzyków wieży Babyłońskiéy powstała. Ale trzymając natomiast z Hom'ere'm, że samo przyrodzenie wlało poezią w serce człowieka, niewaham się przyznać iéy starszego u nas obywatelstwa, nad opisy Ptolomeuszów i wszystkie mniemania latopisarzy, tém bardziéy; że geniusz potrzebny do nauk pięknych, gorejący zawsze płomieniem swéy niesmiertelności, naytrudniejszy pomysł cudownie wykona, w każdym zawodzie zwycięską zdobywa chwałę i nigdy się niepnie ani czołga po ustępnych szczeblach leniwego doświadczenia, w którym innych nauk miłośnicy ile pomocy, tyle i hańby dla swéy słabości znajduią.

Gdyby poetyczne Galla i Bogufała powieści nader często obok pasma dzieiów mieszczono, wypływaiąc z kościelnych roczników, które za nayszybsze pospolicie, bo przed życiem tych obu pisarzy wyschłe źródło uchodzą; dały się teraz daleko wyżej odnieść co do swoiéy dawności, nad pieśń S. Woyciecha, naprzód postrzeżeniem Xiążęcia Warmii i poetów za mieszaninę czeskiéy i pol-

skiey mowy poczytaną; gdyby uroczyste powitanie Kazimierza wierszem iakto w Bielskim czytamy, istotnie staroswieckiego zwyczaju było odgłosem; gdyby nareście i wzmianka Długosza o poezyi gminney w czasie topienia snopków słomy wystawiających bałwany ręką pobożnego Chrześcianaństwa ieszcze pod Mieczysławem I. zniszczone, żadnéy niepodlegały wątpliwości, a owe zabytki uratowane z tyłu nawałności kraiu i najmniejszego nieponiosłszy szwanku, stanowiły dzisiaj oyczystéy nauki puściznę; wtedy mielibyśmy dokładną miarę owczesnego oświecenia i budowy ięzyka, nie mogąc nigdy znaleźć w tych pierwiastkach nieokrzesanéy natury i dzikiéy namiętności, ani owocu dzwigaiącego się smaku, który jest wieńcem rozumu i wzorem sztuki, ani wzniosłości uczucia kierowanego tém natchnieniem boskiém, które uchroniwszy się błahych myśli lub zwiedłych obrazów, a samym słowom, postać, zapał, życie i wdzięki nadając, na imie poezyi zasługuie.

Lecz iesli początek rodu naszego iest zamglony zbiiających się inniemań obłokiem, a uwielbiani powszechną czcią i wdzięcznością mężowie, Potocki, Ossoliński, Linde, Bandtkie, postępu mowy polskiey z kilku szczątków pieczołowicie pozbieranych wyiasnić ieszcze nie zdołali, i zapędzeni między różne starożytności ułamki, zdaią się tułać po niedościgłych stepach albo spuszczać w przepaściste wąwozy, skąd gór szczyty widząc dopoty lęklwym bładzą krokiem, dopoki nie uchwycą na prostszéy równinie szlaku pewnieyszych docieczeń; i iesli zorza tudzież zachód poezyi rożnią się od saméy pory iéy zakwitnienia środkowego, i podobne są do wspaniałości oceanu często w drzymiających brzegach ukrytéy, a w dalszéy dopiero wysokości skupioną falą rozdętéy;

przeto pomińmy te oba płytkie skraie, zwłaszcza że miłość własna niepozwała nam się przyznać do upadku i iawnego zaniedbania poezyi, i że ię początek żadnym przywileiem od znikomości rzeczy ludzkich niewyięty, stał się teraz zagadnieniem do rozwiązania niepodobném. Same tylko dzieła znakomite czas oszczędza i do potomności przesyła, ieśli iaśniejąc pewnym blaskiem powszechną rozbiły ciemność. Jak zaś wszystkie narody tak i polski iedną tylko w dziejach swoich wykazuje epokę dla nauk przyiazną. Rzućmyż się więc w ten szczęśliwy okres, w którym wyobrazenie zaludnia pomysłami puszcze, stroi rzeczywistość, unosi własność i barwę iedney rzeczy na drugą, a łudząc pasmem przeistoczeń wprowadza nas w królestwo uroków i w ten świat zmyślony; gdzie poeci zapomniawszy o ziemi, o sobie samych, zdają się należeć do rzędu wolnych duchów, buizią na skrzydłach śmiałych przenośni, i pyszni z własnego szalu, na pozor tylko zdrowy żegnaią rozsądek, a istotnie za iego pomocą lutnią Apolina posiadłszy, wiążą przeszłość z obecnością, weselą obliczem wskrzeszonéj nadziei, dziwią wyrokami przenikliwéj wieszczby i rozlewiają potok wyświecaiącéj wszystkie tajemnice i wyższyć nad samo szczęście mądrości.

I któżby tu niepoznał z radością złotego dla nauk wieku Zygmunów? Wtedy to, iak się wyraża ieden z naszych pisarzów, geniusz Polaków do wszelkich towarzystwo zdobiących przymiotów z natury pochopny, niby śpiący rycerz szczękiem oręża obudzony porwał się i w obliczu wszystkich narodów świętnością swoją zabłysnął. Stąd też powstało, iż zwięzłość Gornickich, przenikliwa moc Skargi, strumienistość Orzechowskiego, zachwycające wdzięki Rejów i wszystkie talenta swobodnéj myśli, ledwie w dziesiątęj części od Starowolskiego i

iego skrzętnych następców lub obojętnych poprzedników wspomniane, tém dalsze od przesad wylęglých na warsztacie scholastycznėj sztuki, tyle słynęły z uprawy ięzyka polskiego, ile głębokość Tacyta Sulikowskiemu przyznana, płynność Cicerona Tomickim, dowcip Tybula Janickiemu i bystrość Goslickiego w ujęciu powinności obywatelskich dokazując cudów rzymską mową, dziwiły związaną z niemi chwałą, najsławiejszych za granicą Muretów, Erazmów i innych którzy pochodnią nauk wyświecili godność człowieka i sami byli zaszczytną rodu ludzkiego ozdobą.

Dosyć było przodkom naszym oswoić się z dziełmi pamiętnych czasów Peryklesa i Augusta, iżby prześcignęli sąsiadów z skrzętnością mrówek iedynie na mierność pracujących. A gdy cnota i wyższe przymioty zaczęły uścieślać drogę do pożądaných godności, natychmiast umysły miłością sławy uniesione, co tylko korzyścią i przykładem dla oyczyzny istniało, z samych pól Elizeyskich wycofawszy, wszędzie nakształt powietrza rozpościerając, za iedyny żywioł pułnocnym wskazały mieszkańcom. Jeszcze inne Europy narody w równej niewiadomości i przesadach zakute iedną i właśnie warsztatowemu barbarzyństwu właściwą postacią razily, gdy w Polsce orzeźwionej wzorem Auzonii téj pieczołowitej odrodzonych nauk matki, wyroili się uczniowie zapału Pindara; słodczy Anakreona, wzniosłości Horacego, harmonii Wirgiliusza, śmiałych obrazów Aryosta i czułości Tassa. Mowa dotąd uboga rozgałęziła się nagle pod niepojętym działaniem rozumu, a wycwiczona uwaga wynajdując w rzeczach pokrewieństwo, tworzyła dla nich stósowne i pobratymcze z pierwszego pnia słów początkowych nazwiska. Nie długo rozmaite uczucia,

każdy przedmiot i każdy pomysł dały się wycienio-
wać w iasnych kolorach, a ięzyk wykrzesany co raz
więcący ostrzem rozumu i zaprawiony czystym sma-
kiem, zaczął wybijać się z wszelkiego zamroczenia,
uiął dojrzałość z łaciny, w opowieściach był płyn-
nym i zwięzłym, w dowodach mocnym i uderzają-
cym, w zwrotach żywym i gwałtownym, w kreśleniu
malowideł bogatym i zamożnym, bez wiotkich błę-
skotek, bez dziecinnéy igraszki, bez wystawy dowci-
pu, bez wybujałéy nadętości, która nigdy nieuchodzi
za godło wewnętrzny siły, zgola wystarczającym do
wszystkich umiejętności, powabnym w sztukach, mę-
skim w wymowie, i tém doskonalszym, że wynikłszy
z ślachtetnego umysłów zaburzenia, nie tułał się
między samym ludem wiejskim, ale doznając oby-
czaynego przyęcia tak na świętnym dworze potę-
żnych krolów, iak w radzie pod chlubném wolności
hasłem seymuiących stanów, i w zamkach od Bałtyku
do czarnego morza rozsianych, zakwitł wszędzie ie-
dnostayną narodowością, prześcignął udoskonaleniem
w większém połowie świata rozlegającą się słowiań-
szczyznę, a w miarę wziętego wzrostu pod opieką
roзумu, w powszechné wpływał oświecenie.

Epoka ta, czyli panowanie Jagiełłów, i prze-
wagę oyczyzny i wolnością myślenia i hartem cnót
obywatelskich i wygórowaniem w wszystkich naukach
słynąca, nie doczekała się ieszcze Arystarcha któ-
ryby zebrawszy kłoski z tak obfitego żniwa, umieścił
ie w iednym składzie chluby i pożytków naszych
z dokładném wytknięciem okoliczności wystawuiących
Polskę chwałą okrytą i podobną do młodzieńca czer-
stwego, co dufając przymiotom swoim na wszystko
się waży i dopoty trudności zwalcza, poki czoła swe-
go pięknym nieustroi wawrzynem. Alboż to nie
jest zadziwiające, iż ieden właśnie dom Kochano-

wskich bez oglądania się na hojność za żywioł talentów uznana, owszem zamykając skromne progi przed, wiele potrzebującym zaszczytem dumnego kasztellana, dla siebie tylko śpiewa, do cichego Czarnolesia zwołuje Muzy tłumnym igrzyskom sprzyjać lubiące, zrządza odmianę w poezyi, stwarza ją poniekąd i dowcipem, ledwie nie powiem, wszechmocnym do takięj wznosi wysokości na iakięj podziś dzień stoi? Bujne wyobrażenie, połyskujące wdziękiem myśli, trafny rozsądek, świeże pióro, głęboka rzeczy znaomość, czułe serce, szlachetna dusza i staropolskie uczucia, oto są dary, które J a n a ogłosiły słusznie wzorowym mistrzem trudnćj rymotworstwa sztuki. Dzięki geniuszowi uczonego, J. U. Niemcewicza iż w godny swoięj sławy sposób, uczcił zasługi tego pisarza i przechodząc w pięknćj rozprawie wszystkie szczegóły życia iego, uczynił razem gruntowny wywód, iako on pierwszy na gęśli oyczystćj zabrzmiawszy i wdzięki z prawdą łącząc, odiał naukom suchość a w czytelnikach swoich iedynie przyziaciół lub wielbicieli znayduie, gdy ich razem bawi i naucza. Lecz nieocenioną ieszcze iest praca Jędrzeia który lody w ięzyku naszym łamiąc, sposobił go do przelania *Eneidy* naysztucznieyszćj w wysłowieniu, doskonałćj w toku wiersza i pełnćj uroczystości zdobiącćj poema bohaterskie. Podobnież i przekład *Wyzwolonćj Jerozolimy* z całą okrasą stylu nayszczęśliwićj dokonany, szczególnieyszćj i wprawnieyszego piora nad moie, godzien iest uwagi. Chcąc poznać bliżćj poezyją *Piotra*, wspomniemyż choć w krotkości życie *Tassa* i rozbierzmy sam układ tćj *Jerozolimy Wyzwolonćj*, która po raz piąty na widok publiczny wychodząc pierwszy raz z tćj strony dotkniętą będzie. **Niemasz tu potrzeby występować z własnćm zdaniem,**

zwłaszcza że biegli znawcy więcéy zostawili gotowych w téy mierze zapasow niż ich szczupłość tego pisma obiać może. Zastrzegając sobie wyluszczenie zalet tłumaczenia polskiego, użyję cudzych postrzeżeń nad oryginałem; lepsze myśli z wiernością echa powtorzę, a mniéy trafne słuszniejszém mniemaniem z innych zrodeł uczerpnioném, wyręczę i zastąpię.

Czytać dzieie literatury uczonego Tiraboschi, zbiór wiadomości Nicerona, uwagi Laharpa i wysłęczoną rozprawę niezmordowanego Schlegla o Torkwacie z iednéy, a z drngiéy strony uważać nastroione żądło zawistnego de Rossi, przesąd całej Akademii de la Crusca, wyraźne wahanie się Metastasego i ziątrzoną mrucliwość Boileau, iest to widzieć całe dziwactwo w niczém niezgodnéy i namiętnościami miotanéy natury ludzkiéy.

Gdy zaś niepodobną byłoby rzeczą do iednego dążyć kresu i gonić tylu rozbiegłych w przeciwné ubocza przewodników; przeto rozsądek każe opuścić cały las ich uroień i trzymać się raczéy filozofa z Ferney, który za wyrocznią Parnassu w ósmnastym wieku uchodząc, naylepiéy nam w tym względzie usłuży.

„Tasso urodził się w Surrento 1544 roku w domu którego znakomita świetność już była na schyłku. Jego oyciec Bernardo ucierpiał nie mało biedy, należąc do dworu Xięcia Salerny iako poeta zwłaszcza gdy Karol V. wyzuł iego pana z wszystkich własności. Pierwsze wychowanie wziął Torkwato w Neapolu. Wena poetyczna stanowiła cały spadek, który po oycu swoim odziedziczył. W rychléy młodości, bo w siódmym roku, szczęśliwie zaczął pisać wiersze. Bernardo wygnany z Neapolu z stronnikami Xięcia Salerno i poznawszy z własnego doświadczenia tak niebezpieczeństwo poety

jak śliskość dworskich względów; umyślił zwrócić syna swojego od téj podwoynéj zatoki i wysłał go do Padwy na naukę prawa. Obdarzony Tasso zdolnościami pojął nagle tę umiejętność i otrzymał stopnie z filozofii i Teologii. Zaszczyt ten wiele wtedy popłacał, gdyż każdy co klepał Logikę Aristotelesa z pamięci, miał usta pochopne do kłótni zaczepnéj i odpornéj, używając słów zamatanych w osnowie niedościgléj, uchodził za mędrca. Nie długo jednak Tasso niby opętany geniuszem swoim, zajęty przeciwnými swéj skłonności zatrudnieniami, pisze poema o Renaldzie które zapowiedziało światu Jerozolimy wyjście. Żniwo chwały z pierwszego dzieła odniesionéj, zaięło na zawsze iego duszę poezją. — Wkrótce wchodzi do Akademii Padewskiéj (*aetherei*) pod imieniem pokutującego (*pentito*) aby okazać ile ubolewa nad stratą czasu który zmierzył przy nauce prawa i innych wielu iego powołaniu przeciwnych.“

Któż w téj wiosnie życia Tassa, niepostrzeże i młodości Nazona lubo usilnie lecz daremnie zwalczającego naturę w następującym wystawioną obrazie:

Perzuc płonną naukę! często oyciec wołał:
Wszakże *Homer* z niéy sławny biedy uysć niezdolał.
Zaięty taką radą lutnię pożegnałem:
Pracuję nad wymową, kształcę ją z zapalem,
Lecz piórem moiém wena poetyczna włada:
Co tylko pisać zacznę wierszami się składa. a)

„Jakoż w roku 22 życia swego wziął się Tasso do układu Jerozolimy. Wkrótce postępując wbrew

a) *Saepe pater dixit: Studium quid inutile tentas?*
Moeonides nullas ipse reliquit opes.
Motus eram dictis: totoque Helicone relicto,
Scribere conabar verba soluta modis.
Sponte sua carmen, numeros, veniebat ad aptos;
Et, quod tentabam dicere, versus erat.

woli oycy osiada w Ferrarze przy Alfonsie II. i mniema iż szczyć się opieką Xiążęcia swoim kadmiedem uwielbionego, iest to mieć zabezpieczone powodzenie. W 25 roku iedzie do Francyi z dworem kardynała Este. Wielu historyków świadczy, że Karol IX. uczeił należycie talent poety, który wrócił do Ferrary obsypany honorem i dobrodzieystwy. Lecz ten honor i dobrodzieystwa tak otrąbione kończyły się na znikłym chwały dymie, iako zwyczajnem bogactwie poetów. Mamy podania, które Nicéron wywodem okoliczności sprawdza, iż miłość powzięta ku Eleonorze siostrze Xiążęcia Ferrary a więcéy może obeyscia się złego przykrości, wtrąciły Tassa w tę ciężką melancholią, która wycieńczając w nim siły przez lat dwadzieścia, ziednała mu nazwisko głupiego lubo tyle światła rozlał w dziełach swoich.“

„Kilka pieśni z iego poematu wyszły zrazu pod imieniem Goffreda. W 30 zaś roku wydał całe dzieło z stósowniejszym tytułem Jerozolimy Wyzwolonéy. Wtedy to mógł on powtórzyć te pamiętne starożytnego męża słowa:“ Dosyć żyłem dla szczęścia i chwały.“ Dalszy ciąg dni iego snuł się z pasma nędzy i obelgi. Poszedłszy w osmym roku na wygnanie z oycem swoim, wyzuty z majątku, rozłączony z miłym rodzeństwem, ścigany od tłumy Zoilów obrażonych iego sławą, doznając liłości bez skutecznego wsparcia z strony mniemanych przyjaciół, wędował w poniewierce i niedostatku przechodząc z więzienia na włóczęgę, będąc wszędzie celem téy potwarzy, któręy smutną został ofiarą. Nie długo postradawszy wolność, ratował się ucieczką z Ferrary, i poszedł pieszo w lichę odzież odwieźć siostrę swoję w Surrento zamieszkałą z nadzieją osiągnięcia ięy wsparcia. Ostygła dla niego

podobno i miłość wrodzona; gdy wkrótce sam powrócił do Ferary aby znowu dźwigał gotowe nań więzy. Rozpacz osłabiła jego mocne siły nabawiając go ciężkiéy i gwałtownéy choroby, a co gorsza, pomieszania umysłu. Wiadomo jest, iż utrzymywał iakoby odzyskał zdrowie za sprawą Najswiętszéy Panny i świętéy Scholastyki, które mu się pokazały w jego wielkiéy gorączce. Margrabią *Manso di Villa* zaświadcza to zdarzenie. Lecz większa połowa czytelników nie będą w téy mierze nic więcéy wierzyć, chyba to jedno, iż Tasso miał malignę.“ —

„I chwała jego poetyczna, ta pociecha uroiona w nieszczęściach istotnych, zewsząd doznała napaści. Mnóstwo nieprzyjaciół zaćmiło na czas nieiaki więtość jego. Co więcéy, popadł osławieniu lichego wierszokleta. Wreście po dwudziestu leciech zmęczyła się zawiść prześladowaniem, a zasługa wzięła górę. Cześć i majątek cisnęły się do niego razem, gdy umysł zwątlony brzemieniem niedoli stał się już obojętnym na złudzenia pochlebnych wrażeń. Papież Klemens VII. chcąc go ozdobić wieńcem na zgromadzeniu kardynałów, czyli pragnąc mu przyznać publiczny tryumf, zwłaszcza iż ten obrządek ile dzisiay śmieszności, tyle wtedy miał powabów, wezwał Tassa do Rzymu. Dwóch kardynałów, ciżba prałatów i ludu wszelkiego stanu, wyiechali powitać poetę o milę drogi. Staął wreście w obliczu Papieża który mu rzekł: „Postanowiłem sobie, iżbyś zaszczycił ten wieniec laurowy, co zaszczycał tych wszystkich, na których mieścił się skroniach.“ Dway kardynałowie Aldobrandini, siostrzeńcy Papieża i przyjaciele Tassa, zaięli się przygotowaniem téy uroczystości. Osobliwszą to jest rzeczą, iż w témże Kapitoliu odprawiało się wieńczenie ludzi oświecających pismami swémi spo-

łeczność w którym pogromcy świata zbroczeni krwią niewinną odbywali swoje tryumfalne wiaźdy. Tasso zapadł na zdrowiu w samą chwilę przedsięwziętych urzędzeń, i umarł dniem wprzody niż obrządek nastąpił. Tak więc przeznaczenie wywierało na nim zawziętość do samego zgonu i wystawiło iawnie że człowiek jest igrzyskiem losów.“

„Czas, co podkopuje wziętość miernych talentów, ustalił sławę Tassa. Pieśni Jerozolimy Wyzwolonéy tak rozlegaia się dzisia y po Włoszech, iak niegdy pieśni Homera po Grecyi. I owszem rozsądna krytyka pomiiając iego drobne błędy, przyznaie mu miejsce obok Wirgiliusza, wzoru wszystkich poetów.“

„Jerozolima podobna iest z wielu względów do Illiady. Ale iесли wątek dzieiów zgadzaiący się z wypadkiem wojny Trojańskiej, iесли Renald iest obrazem Achilla, a Goffred Agamemnona, iесли to wszystko ma uchodzić za naśladowanie, i w takim razie Tasso prześcignął samego Homera. Tyle on bowiem okazał zapалу w bitwach co i ten oyciec poetów, ale więcéy ma rozmaitości od niego. Obu bohaterowie iasnieia piękna postać i utrzymuia właściwe sobie skłonności. Przecieź Tasso dzielnieyszą mocą obdarzył swoich, i pewnieysz ym w malowaniu kierował pędzlem: gdyż iak w Greczy nie nieznaydziesz nikogo, coby się niekrzyżował sam z sobą, tak dowcip Włocha wydał wszystkich bez nadwereżenia w czemkolwiek panuiących przymiotów. Co Homer zaczął, to Tasso ukończył i udoskonalil sztukę cieniuiącą. cnoty, występki, namiętności, które pod wielu piórem z iednostayną okazuią się twarzają. I tak Goffred iest rostropny i umiarkowany; burzliwy Aladin tchnie srogą polityką, szlachetna dzielność Tankreda stawa w sporności

z szaleństwem Arganta, w miłości Armidy przebiła taśma zalot i uniesienia, a miłość Herminy jest czułością łagodną i zachwycającą. Niemasz tam nikogo aż do Piotra pustelnika, któryby nie był godną częścią całości, łamiąc swemi promieniami czarno-księżnika Izmena. Te dwie osoby więcéy zaiste warte niż Taltyb i Kalchas. Renald puszcza się wprawdzie śladem Achilla, lecz błędy tamtego, nie tyle są naganne, ile drugiego. Pierwszy ma duszę łagodniejszą i samego nawet wywczasu daleko lepiej używa: słowem Achilles razi, a Renald podoba się i zaymuie.

Trudno rostrzygnąć tę wątpliwość, dobrzeli czy źle postąpił Homer, wzbudzając tyle czułości losem Pryama nieprzyjaciela Greków: lecz największy cud sztuki zależy na tém zaiste, iż Aladyń jest obmierzłym. “ *Voltaire* czyniąc dalsze w téy mierze uwagi, zapomniał podobno iż był autorem Henryady, Zairy, i nie mało rozstrzychnął się z słuszością mówiąc: „iż bez tego podeyscia, więcéyby sprzyiał każdy czytelnik muzułmanom niż chrześcijaństwu, widząc w niem gromadę łotrów śpieszących z głębi Europy na zgnębienie udzielnego kraiu, mordujących sędziwego Monarchę i lud tém niewinniejszy że w żadne z nikim niewchodził zatargnienia.“ Ostrzeyszą nierównie spostrzegam uszczypliwość w następujących słowach tegoż filozofa, który gdyby był współczesnym *Oelsnera*, inaczyby sądził o duchu machometanizmu.“ Wyprawa do ziemi świętęy, mówi on, największém była głupstwem. Mnichy zachęcali do tych pobożnych rabunków częścią przez zagorzałość, częściéy dla własnéy korzyści. Dwór rzymski siał poduszczenia, łowiąc pożytki z słabości drugich. Książęta opuszczali swe państwa wycieńczając ie z ludzi i pieniędzy, a poszedłszy toczyć

boie do Syryi, wystawiali swoje granice na łup pierwszego napastnika. Wszystka szlachta trwonila majątki, i zabrawszy z sobą kochanki biegła w tę daleką drogę. Chęć włóczęgi i zabobon rozpościerały wszędzie swoją zarazę tak szkodliwą. Ci pielgrzymi łączyli zawsze z gorszącą rozpustą i dzikością zwierzęcą najsilniejsze uczucia pobożności. Oni to skalali się rzezią w Jerozolimie bez względu ani na płeć ani wiek żaden, a gdy iako potwory zbroczone we krwi niewiast przez siebie zgwałconych, stanęli z białym krzyżem na grobie Zbawiciela, wtedy zalawszy się rzewnych łez potokiem, całowali ziemię i bili się w piersi. Tak to w przyrodzeniu ludzkim znajduia się wszelkie ostateczności!“

Historia lubo się zowie świadkiem czasu, pochodnią prawdy i zwierciadłem wypadków, jednakże można ją nazwać i wojną mniemań, wiodących nieomylnie skutki z wątpliwych przyczyn. Nie mało jest dowodów, iż Robert stojący na czele orszaków francuzkich w Jerozolimie Wyzwolonéy, poddmuchnął iskrę nienawiści ku Saracenom. Ale któż zaprzeczy, iż obok innych powodów wpłynęła i cnota chrześcijańska w te wielkie przedsięwzięcia? Wtedy bowiem sama Religia stanowiła zasadę rządów, a rząd pragnął upoważnić moralność Ewangelii, która przesiąkłszy w serca, otacza trony niezłomnym szansem miłości, utwierdza je czystością sumnienia, a niszcząc lubo właściwe człowiekowi lecz najszkodliwsze społeczności samolubstwo, porywa go do nadzwyczajnych czynów. Wyprawa do ziemi świętęy ieśli stanie przed sądem na wszystko oglądającego się rozumu, obiawi nam epokę prawdziwéy wielkości i heroicznych w Europie czasów. Wszakże wszystkie państwa zabrnęły już w taką nieprawość, iż potrzebne im było gwałtowne wstrząśnienie, które otarłszy rdzę

barbarzyństwa mogłoby ie usposobić do wskrzeszenia cnót i przymiotów stanowiących istotną godność człowieka. Lecz niechcąc powtarzać wstępu umieszczonego przy dziejach Karola V., w którym cel, pobudki i pożyteczność wojny świętęy tak dobrze wystawione, iż ciekawości każdego naylepięy dogodzić mogą, wróćmy się znowu do przerwanęy osnowy.

„W podobnēy właśnie postaci, czyli iak przystało, wystawił tę wojnę Tasso. Tam widzimy rycerstwo, które pod wodzą cnotliwego naczelnika, zamysła oswobodzić z iarzma niewiernych ziemię, kołębą i grobem Boga uświęconą. Przedmiot Jeruzolimy z téy strony uważanēy, iest nayszlachetniejszym rzeczy wyborem. Tasso wykonał godnie swoje dzieło. Wielkość odpowiada miarze zaięcia. Cała istota płynie szczęśliwie przy pomocy sztuki, wszystkie przygody z nią się wiążą, a światło przedzielaia cienie. On wodzi czytelnika z huku bitew do słodczy miłości, a od złudzeń rokoszy między łoskot broni. On stopniami tklivóść wznieca i koleia, bo w każdēy księdze przewyższa siebie samego. Jego pióro iest wszędzie iasne choć wytworne: a iесли zaydzie potrzeba wzniosłości, poiać właśnie niemożna, iak miękkość ięzyka włoskiego przeradza się w iego rękę na ięzyk poważny, mocny i przenikliwy. Jest iednak w Jeruzolimie około dwóch set wierszy, gdzie autor wdaie się w słów igraszkę albo w zdania dziecinne; ale te usterki należy uważać za pewny haracz, który geniusz Tassa musiał złożyć wiekowi złęgo smaku. Smieszności takie popłacały i późniēy, lecz naród włoski wkrótce się z nich otrząsnął.“

„Jесли poema to pełne iest piękności godnych oklasku, niezbywa mu znowu na miejscach, które iedynie w oczach włoskich mają cenę, nie mogąc się

gdzie indziéy podobać. Zaczęcie samo usprawiedliwić się nieda, będąc złożone z ustępu nienależącego w niczém do ciągu rzeczy. Któż pochwali gusła i czarodzieystwa *J z m e n a* z obrazem Maryi, albo wypadki *Olinda* i *Zoffronii*? Gdyby przynajmniej wizerunek matki Boskiéy służył do iakiéy wieszczby, gdyby *Olind* i *Zoffronia* mając zostać ofiarami swoiéy wiary i osiągnąwszy światło nieba, namienili cokolwiek o przyszłych wypadkach, ale ich działania nie stoią w związku z dalszą osnową. Opis szumny i kwieciste wyłuszczenie ich przygód, każą mniemać, iż będą należeć do rzędu pierwszych osób, gdy tym czasem nie masz o nich żadnéy wzmianki, i równie *Zoffronia* i *Olind* nie wpływają wcale w sprawy Chrześcian, iak wizerunek *Najświętszéy Panny* w sprawy *Muzułmanów*.

Ustęp o *Armidzie* acz iest czołem tego poematu; iskrzy się taką wybujałością imaginacyi, któraby w żadnym narodzie prócz włoskiego nagany nie uszła. Dziesięciu książąt chrześciańskich przeistoczonych w ryby, i sroka co śpiewa pieśni własnego układu, są to bayki, które zrażają czytelnika nawykłego okiem rozumu szukać natury. Czarodzieystwo nieudałoby się dzisiay nigdzie, lecz za czasów *Tassa* nie tylko wśród przesądnych *Włochów* ale i w całej słynęło *Europie*. Zimny stronnik *Lokka* nie miałoby się oburzył, znalazłszy w *Jerozolimie* chrześciańskiego czarownika, który wybawia *Renalda* z rąk czarowników muzulmańskich. Jakież to uroienie, wysłać *Ubalda* z towarzyszem do świętego czarnoksiężnika, który ich obu w środku ziemi stawia, gdzie ci dwaj rycerze chodzą nad brzegiem ponika pełnego kosztownych kamieni? Stamtąd iadą do widmy *Askalońskiéy*, która ich przewozi w małej łodzi na wyspy *Kanaryjskie*. Tu stanęli pod opieką *Boga*,

trzymając w dłoniach roszczki czarnoksiężkie; a dopełniwszy poselstwa swojego, wiodą walecznego Renalda ku obozom chrześcijańskim w ostatniéy będącym potrzebie. Te marzenia, chociaż godne Tyśiąca nocy i iednéy, nie są ieszcze utworem Tassa, gdyż ie wyiął z *Aryosta* tak dalece; że iego *Armida* iest właśnie bliźnięciem *Alcyny*. Dla téy właśnie okoliczności wielu iest Włochów co *Aryosta* przenoszą nad *Tassa*. Jakież to dzieło rycerskie czekało na *Renalda*? Opatrzność każe mu wyciąć kilka starych drzew w pewnym lesie, i sprowadza go w niepoięty sposób z naywyższyć *Teneryffy* aż do *Jerozolimy*. Ten las iest wielką cudotwornością (machiną) poematu. W pierwszych pieśniach *Michał* archanioł strąca do piekła z rozkazu Boskiego wiiących się w powietrzu diabłów, którzy wzniecali burze miecąc pioruny na chrześcian z oszczędzeniem muzułmanów. *Michał* zabrania im wręcz mieszać się w sprawę prawowiernych. Ci posłuszni lecą do otchłań. Wkrótce wywołuje ich ztamtąd *Jzmeno*. Wtedy zayduia sposobność podeyscia rozkazów Boga, i osłoniwszy się pozorem kilku sofistycznych wykrętów, zalegaia las w którym chrześcianie chcieli ciąć drzewo do wystawienia wieży potrzebne. Diabli przybieraią tysiąc odmiennych postaci i trwożą krzataiących się w porębiu cieśłów; *Tankred* spotyka zarosłą w sośnie *Kloryndę*, którą skaliczył wymierzonym w odziemek drzewa razem. *Armida* wygląda z myrtu przez korę, chociaż przy woysku w Egipcie bawi. Wreście modlitwy pustelnika *Piotra*, tudzież zasługa i nadprzyrodzona skrucha *Renalda*, odnoszą zupełne nad czarodziejstwem zwycięstwo.“

„Podobno *Tasso* pierwszy poznał błędy swoje, i niemógł przed sobą ukryć tego, iż takie baśnie i

śmieszności, acz Włochom i Europie przyjemne, niezgadzały sięcale z powagą bohaterskiego wiersza. Dla usprawiedliwienia siebie obwieszcza przedmową, iżiego poemata jest allegoryą. I tak woysko chrześcian ma wystawiać duszę i ciało. Jeruzalem składa wyobrażenie szczęścia okupionego pracą i zabiegiem. Goffred jest duszą. W Tankredzie Renaldzie i innych, znaydują się zdolności. W szeregach woyska, są członki ciała, a w diabłach mamy postaci i przeistoczenia. Armida i Jzmen malują pokusy ludzi trapiące, a wdzięki i złudzenia czarodziejskiego lasu, owe wykręty i mylne rozumowanie które namiętności nasze stręczyć zwykły.

Takito klucz Tasso do swojego zostawił pisma: uczyniwszy względem siebie to samo, co inni uczynili względem Homera i Wirgiliusza. Przypuszcza bowiem widoki i zamiary o iakich zaiste przy układzie rzeczy niewiedział, a gdyby ie miał na nieszczęście swoje, niepodobno jest pojąć iak zdołał z pomysłów równie dziwacznych, wykonać powszechnie szanowane dzieło.“

„Jeśli diabeł gra w poemacie iego, rolę nędznego kuglarza, to z drugiey strony wszystko co należy do religii połyskuje pompą i tchnie świętością czystey wiary. Processye, Litanie i inne szczegółowe obrzędy, zaleca w Jerozolimie wyzwolonéy pewna okazałość cześć budząca. Taka to potęga poezyi, iż ona wszystko uślachtetnić i podnieść jest w stanie.

Wiele nieostrożności okazał Tasso, zowiąc złego ducha raz Plutonem, iuż znowu dając drugiemu imię Alektona, gdyż pomieszał wyobrażenia pogańskie z chrześcijańskimi. Lecz w tęż pomyłkę wpadło niemało nowoczesnych pisarzy. Piekło bowiem chrześcijańskie niema tyle ozdób, ile ich widzimy w starożytnym Tartarze. Nazwiska nawet Plu-

tona, Prozerpiny, Radamanta, z większą brzmia przyjemnością, niż Belzebuta i Astarota; wspomniany nawet Szatan nie tyle uderza, co iędza. Stąd widzimy iż nauka starożytności niepospolitę jest ceny, gdy nawet piekła pewnych wdzięków dodać może.“

Lubo ten rozbiór Jerozolimy Wyzwolonéy wyjaśnił choć w części układ całego dzieła; przecięż zbywa mu ieszcze na uwagach potrzebnych do poznania smaku i ogółu literatury włoskiéy. Zastąpmyż tę małą szczerbę innych pisarzów zdaniem, abyśmy tém lepiéy oswoić się mogli z całą trudnością iakiéy doznał Piotr Kochanowski w przekładzie tak wielkiego poematu.

Od czasu Kozmów i Lorenców pod imieniem Medyceuszów znanych, chlubiła się Toskania słuszenie chwałą Aten. Jeszcze w XIV wieku pióro de Bocace wygładziło ięzyk tokański, który późniéy zasłynął nieśmiertelnym geniuszem Danta, Petrarcha, Aryosta i Tassa. Akademia de la Crusca była naypierwszym trybunałem sztuk wyzwolonych, lecz gdy naród włoski straciwszy wszystkie dawnych Rzymian przymioty więcéy ma dowcipu i czułości niż wytrwania w przedsięwzięciu, a żądze iego sławy ostudza każda mozolna praca; stąd podobno nienależy mu się iak drugie mieysce po wzorowéy w każdym względzie Francyi: zwłaszcza iż on sądzi o tworach poezyi i prozy, nie tém światłem, co zważa myśli, przenika ich znaczenie i związek; ale raczéy krytykę swoię trybem dawnego Plotiusza: opiera na delikatności ucha: które wśród wszystkich narodów żyjących naylepiéy zna dźwięk muzyczny i naywięcéy go wszędzie szuka. Dla tegoć zaiste łączniéy u nich znajdujemy w pismach nawet złotego dla nauk wieku, poetyczne malowidła

niż śmiałe i uderzające obrazy. Uczucie, zawsze gotowe wydziwiać w harmonii, czyli narzędzie słuchu jest tak łechciwe, tak pyszne, tak w głaszczących pieśnizotach trafne; iż uchodzi za oddzielną własność, za tajemnicę wyłącznie do ich plemienia należącą. Łagodne brzmienie i łańcuch samogłosek więcéy u nich popłaca, niż nieoceniony rozum. Każde więc dzieło, ieśli ma byđź wziętém, potrzebuie tła muzycznego, musi wabić złudzeniem w królestwie uroienia czyli nadobnych fikcyy zdobytém, i powinno oddychać zachwycającą melodyą, którą ledwie czasem iakaś iędrność myśli przerwie, zawiesi i nawzajem ustroi.

Piękność stylu albowi pewna moc magiczna, co się podoba i czaruié właśnie, jest oprawą słów i okresów mowy włoskiéy: a imaginacyia strzelająca błyskawicą, im więcéy ma podobieństwa do ognistych słupów Etny, im więcéy iskrzy się i razi, tém lepiéy zastępuje u Włochów wszelki niedostatek obrazów i samych myśli; gdy znowu ięzyk z swéy strony bawiac płynnością, igraszką i dzwoniącą słodyczą, umie ich oszukiwać i więzić, że tak powiem, iak anielski uśmiech lub cudowne oblicze urodnéy kobiety.

Poezyia starożytna wtedy naylepiéy wzrastała, gdy szła w iednéy parze z muzyką i tańcem. Poezyia włoska nie tylko jest siostrą Euterpy i Terpsikory, ale raczéy samą muzyką, albo też ciągłym rozrzewniającym i pełnym echa śpiewem. Ona zdumiewa okazałością powierzchowną, która ubostwo myśli i niedostatek wewnętrzny harmonii pokrywa. Jednakże obok tylu zalet ma ięzyk włoski wady: niedopiął swéy doskonałości, bo niemał dostateczny liczby pisarzów, ktorzyby umysł i serce ludzkie z całą potęgą namiętności w różném położeniu uważanych

należycie zgłębiwszy, w dosadnym wydali kolorze. Owszem ięzyk ten zdaie się bydz błakaiącym, niema głównego ogniska, gdy dotąd tyle iest sporów gdzie nim naylepiéy piszą i mówią.

Opuszczaiąc wiek XVII pamiętny z skażonego smaku, począwszy od Adonisów Mariniego, który równie miał fałszywe wyobrażenie o poezyi i prozie i równie był wyrocznią dla swoich rodaków iak niegdyś Seneka dla Rzymian; który każdy pomysł nadymał przenośniami, wszędzie raził iaskrawością kruszcu na listek zbitego, co wedle wyrażenia Buffona, niema ani tęgości ani żadnéy treści; który tak zapychał swoje pisma tłumem porównań, ucinkami, gradem strzał dowcipnych i skacząc nieustannie, sam ieden miał styl przynajmniéy sześciu set osób: ani tykaiąc talentu Hrabi Alfieriego, co w trajedyiach swoich zaszczeplił moc i więzłość Sofoklesa, a ięzyk włoski z czasów Leona X na ięzyk potoczny daremnie zmienić kusił się, z pewnością niemal twierdzić można, iż lubo Włochy szczycą się ięzykiem Aryosta, Machiawela i Tassa, ale im dotąd brakuie ięzyka uwieńczonego iednostayną narodowością.

Z pomiędzy tych stwórców literatury włoskiéy polubił sobie wiekopomny Kochanowski dwóch razem, Aryosta i Tassa. Przekład Orlanda szalonego czekał długo w rękopismie, mniéy iednak wygładzoném, na uczonego Jacka Przybylskiego; który pracą wyrównywa swoim talentom i przez wydanie tego dzieła niemałą uczynił przysługę światłu i sławie narodowéy. Tłumaczenie zaś Jerolimy Wyzwolonéy wyszło zaraz 1618 roku, i było naymilszą księgą ludzi tkliwych na piękność, na sztukę, na zajmujący układ, na bogactwa szczegółów, na rozmaitość charakterów, i na szlachetność

uczuć, albowi raczćy stało się powszednią księgą wszystkich Polaków tém bardzićy, iż iest poematem rycerskićm, pełnćm wzorów waleczności prowadząćy do chwały, i zdaie się bydź kreślone na tarczy wśród łoskotu oręża. Wszakże wtedy właśnić dumny Osman zamysłał kray swobodny shańbić haraczem i ugiąć pod władzę swoich księżyców, a Polacy nawykli do zwycięstw, wychowani w obozach Batorego, chcieli się przeistoczyć w Bouillonów i Renaldów, do których naywięćy mieli podobieństwa przez odwagę, obyczaje i samę bogoboyność.

Nieśmiertelność Chodkiewicza ustalona w ten czas obroną oycyzny, i zapal szlachetny iaki uwieńczył laurami pod iego buławą walczące rycerstwo, rozlegaia się dotąd w Woynie Chocimskićy Krasickiego. Naród polski zawsze dzielny, znayduiać w własnćm sercu podostatek żywiołu do czynów znakomitych, kołysał iednak z radością swojego ducha w potoku przykładów po całćy Jerozolimie Wyzwolonćy rozsianych.

To poema piękne gdy z dawnych zdarzeń złożyło nieiakie zwierciadło toczących się pod panowaniem Zygmunta III z Turcyią wojen, zaostrzało wszystkich ciekawość szczęśliwćm przelaniem włoskićy słodyczy w męską polsczyznę. Niedościgniony w geniuszu pisarz Myszeidy, który naywiękšie miał prawo sądzić o poezyi, wspominaiąc o życiu i urzędach Piotra Kochanowskiego iakto widzimy w III Tomie dzieł iego, przeznaczył mu mieysce w liczbie naycelnieyszych rymotworców polskich. J. Józef Załuski Biskup kijowski krótkie lecz pamiętne o nim wyrzekł zdanie, niewahaiąc się nazwać go krolem wszystkich poetów. *Omnium Polonorum poetarum Rex jure merito vocatur.* W Niesieckim, Starowolskim, Jeniszu i w sa-

méy historyi literatury Polskiey, widzę iawną uymę należnego Kochanowskiemu szacunku; ieśli głuchego ich milczenia lub przelotnéy wzmianki o iego talencie nie poczytam za oziębłość dla poezyi. Pierwszym podobno iest Jan Sniadecki, ten orzeł w umiejętności Euklidesa, co iak drugi d'Alembert, gdy iaki przedmiot z sztuk nadobnych wyrobi, tedy pożyteczną i rokoszną sprawia ucztę dla smaku rozumu i serca: który w Tomie III pism rozmaitych zasłużoną w tych słowach tłumaczowi Tassa oddał pochwałę. "Jerozolima Wyzwolona Piotra Kochanowskiego iestto taki w literaturze polskiey *fenomen*, z iakim się żaden naród Europeyski pochwalić nie może. Kto czyta to poema, rozumie że iest oryginalne polskie: tak ięzyk czysty i dzielny utrzymany w całym swoim toku i charakterze: a przecież iest to ten sam rodzaj, ta sama miara i liczba wierszy, co w Tassie; a w wielu mieyscach przekładanie nawet słowo w słowo. Język włoski ani w charakterze ani w toku i ozdobach całę do naszego niepodobny: a iednak geniusz Kochanowskiego potrafił piękności tamtego odlać rymem, z prawdziwym tokiem i kroiem polskim, nie naruszywszy nawet miary i liczby. Jakto powinno zawstydzić i poprawić tych, którzy utyskuiąc na iakąś ułomność mowy naszéy, ośmielają się przerabiać ten ięzyk, z którego Kochanowski ieszcze przed dwoma wiekami tyle bogactw i piękności wydobył, bez naruszenia iego wyrazów. Jerozolima Wyzwolona iest prawdziwie dziwném w ięzyku naszym stworzeniem: które całę niezależy na dziwaczném lepieniu liter i syllab. Kto tym ostatnim sposobem chce z bogaczą ięzyk, iest podobny do Alchimika trwóniącego rzetelny majątek, na szukanie uroionego bogactwa. Wytlumaczenie Xiegi IV Jerozo-

limy przez Alberta Mira, jest poezją piękną i okazałą: ale znać, że to przekładanie; w którym rytm, słodycz i łatwość Tassa zginęły.“

Ten sąd Sniadeckiego nie tylko jest piękną pochwałą ale raczém wyrokiem sprawiedliwości, tém więcéy nas pocieszającém, iż się tycze pisarza z XVI wieku. Francuzi i Niemcy niedawno się zdobyli na kilka dobrych przekładów Tassa: ale półtorasta lat minęło, a uczeni tych obu narodów tłumaczyli ciągle Jerozolimę Wyzwoloną prozą, czyli iak mówi Cerwantes o robotach tego rodzaju, przewracali aksamit na nice. A ieśli starożytność nie upoważnia żadnym przykładem do pisania poezyi niewiązaną mową; to i dowodzić tego nietrzeba: iż Polacy uprzedzili celujących dziś Francuzów i z wszystkiego chępiących się teraz Germanów, udoskonaleniem rymotworstwa swojego. Więcéy powiem: ieden Kochanowski spodobawszy się od razu całemu narodowi, nie tak tłumaczył iako raczém przeniósł w ięzyk polski, żywe wyobrażenia, miękką słodycz, łatwe zwroty, i gwałtowne namiętności, z których Torkwato powszechnie słynie. Na próżno zaiste okazuje Monteskiusz w swoim duchu prawa ile wpływa powietrze na władze człowieka: zadaleko on sięga, gdy chce oznaczać ciepłomierzem zdolności umysłowe narodów: i mimo całej głębokości swojego rozumowania niemało się obłąkał, wkładając skrzepie słowa w usta mieszkańców pułnocnych. Człowiek nie jest rośliną przywiązaną do iednego pasa ziemi; a ieśli wziął w podziałe geniusz, tedy pod każdém zarówno myśli niebem i wszędzie piękności wzory naśladować umie.

Dla przekonania się o téy prawdzie, nie trzeba wspominać lutni Odynów wątpliwych; ale dosyć jest wziąć kilka ustępów z oryginału Wyzwolonéy Je-

rozolimy i zastanowić się nad ich polskim prze-
kładem. Użyjmyż do tego celu trzeciéy strofy pier-
wszéy księgi, w którój iest piękne porównanie wdzię-
ków poezyi tchnącyéy zbawienną nauką, z gorzkim
lékarstwem podaném dziecięciu w kubku napuszczo-
nym miodem po brzegach:

Wiesz, że za światem wszyscy tam bieżemy
Gdzie więcéy Parnas leie swéy słodkości:
I prawdę pręcéy w ludzie więc wmowiemy
Kiedy rym miękki doda iey wdzięczności.
Tak zchorzałemu dziecięciu kładziemy,
Na brzegu kubka różne łagodności:
To gorzki napóy piie oszukane
Żywot i zdrowie biorąc pożądane. b)

Tu widzimy, iż Kochanowski znał sztukę,
która iest najmnieyszą zaletą prawdziwego talentu,
gdy męskość polskiéy mowy zastosował do leiącéy
się płynności wiersza włoskiego. Nie masz tu wyrazu
coby nienęcił lipkością lub delikatném brzmieniem,
i nie masz iednak zbytanych łakoci, które ile w ory-
ginale pieścżą sybaryckie Włochow uszy, tyle nad
Wisłą mogłyby trącić obcą dla Polaka zniewieścia-
łością. — Tak więc uścił Kochanowski życzenie
Horacyusza.

*Nec verbum verbo curabis reddere, fidus
Interpres.*

De arte poetica.

b) *Sai, che là corre il mondo, ove più versi
Di sue dolcezze il lusinghier Parnaso,
E che'l vero condito in molli versi,
J più schivi alle tando ha persuaso.
Così al' egro fanciul' porgiamo aspersi
Di soave licor gli orli del vaso,
Succhi amari ingannato in tanto ei beve,
E dal' inganno suo vita riceve.*

Pamiętną jest rzeczą, iako Boileau upatrywał w dziele Tassa zbytek upstrzenia, czyli za wiele mamiącego szychu. Voltaire w filozoficznym dykcyonarze rozbierając to podeyrzenie z właściwą sobie uszczypliwością niewaha się twierdzić, iż ono się ściąga do III strofy xięgi IV, która w oryginale jest iedna z najpiękniejszych. Obaczmyż iak ią przełożył nasz poeta narodowy.

Ogromną trąbą Lucyper zuchwały
Kupi do siebie mieszkańce podziemne:
Którę się straszne dźwięki rozlegały,
Przechodząc piekła i przepaści ciemne.
Nigdy tak nieba ogromnie niegrzmiały,
Gdy miecą gromy na doliny ziemne.
Nie tak ziemia drży, i trzęsie się na dnie,
Gdy wiatr chce wypaść, co się w nią zakradnie. c)

Kto do téy okrasy i wytworności włoskiéy zbliżył ięzyk polski, zaraz w epoce iego kształcenia się; ten zaiste miał wzniosłe czucie, dobrze myślał, dobrze rozumował i dobrze pisał. Lecz nie dla samego ucha pracował Kochanowski gdy tyle i umysł zaymuie. Zewnętrzna budowa wiersza iego może się zdawać oku baczneho na mechanizm rzemieślnika, który niewart imienia poety; iż nie zawsze wyrownywa wzorowi: ale natomiast prawdziwy znawca pominąwszy barwę pędzla; nigdy tego niepoymie:

c) *Chiama gli abitator del' ombre eterne
Il rauco suon de la Tartarea tromba.
Tremar le spaziose atro caverne,
E l'aer cieco a quel rumor rimbomba:
Nè si stridendo mai, dalle superne
Regioni del cielo il folgor piomba;
Nè si scossa giammai trema la terra
Quando i vapori in sen gravida serra.*

skąd wyczerpnął dowcip, tak obfity w żywioły, idealné i rzeczywistéy piękności, gdy żył na pograniczu właśnie złotego wieku i każącego się smaku? iakim sposobem ustrzegł się zarazy w Dworzaniu Gornickiego za powszechną wtedy uznanéy? ile miał geniuszu, gdy sam zapal żywego Tassa potrafił zmienić w swój nałóg, a wyiarzmiwszy przezroczytą iasność polskiéy mowy z wszelkich makarozmów, do takiéy pracę swoię posunął doskonałości; że iéy miłe wrażenia i na daleką potomność naszą działać będą.

I teraz znowu czytaliśmy świeżo dwa wyimki z Jerozolimy Wyzwolonéy umieszczone w pamiętniku Warszawskim na miesiąc Luty 1819 roku, przekładu Jozefa Lipińskiego. Chwała iaką sobie ten mąż znamienity w uczonym zawodzie ziednał, pochlebia literaturze naszéy obfitém nowych piękności żniwem. Jednakże wyznać trzeba, iż zasługa Kochanowskiego i w tym składzie rzeczy nigdy się niezmniejszy: bo on tylko iako pierwiastkowy tłumacz (cieśli mi wolno użyć Fryderyka W. zdania) zrobił tłumaczenie prawdziwie oryginalne.

Dopóki Piotr Kochanowski nieozdobił się kwitnącym wawrzynem na Parnasie naszym, dopóty nieczytano w Polsce epopei w oyczystéy wystawionéy mowie. On pierwszy puścił się śmiałym wielkich mistrzów lotem, i całą niemal Jerozolimę Wyzwoloną z takim geniuszem przełożył; iż iéy wdzięki poetyczne mają zawsze świeżość która się nigdy zestarzeć nie może. Do tego rodzaju należy opis pięknéy Armidy, strofa 29 z Xięgi IV, w następującéy osnowie:

29.

„Bogini z morskich zrodzona powodzi,
Nie jest tak strojna, nie tak urodziwa:
Warkocz ma złoty, co czasem przechodzi
Blaskiem przez rąbek, czasem się odkrywa:
Tak więc kiedy się niebo wypogodzi,
To się z obłoku po trosze dobywa.
To z niego wszystko wyszedzsy możniejszy
Słońce ma promień, i dzień śle iaśniejszy.

30.

Włos z przyrodzenia ukędzierzawiony,
Puszczony na wiatr, w pierścienie się wiie,
Wzrok sam w swe oczy wszystek zgromadzony,
I skarb miłości i swój własny kryie.
Twarz miała iako kiedy kto gładzony
Rumianą rożą słoniowy ząb zmyie,
Ust iako godne, nigdy nie pochwałem,
Przechodzą piękne rubiny z korałem.

31.

Śnieg biały z pierśi i z szyje wynika,
Gdzie ma swe gniazdo miłość przerażliwa:
Mniejsza część piersi na wierzch się wymyka,
Większą część kryie szata zazdrościwa.
Ale chociaż ie przed okiem zamyka
Przechodzi rąbek i szatę, myśl chciwa.
Ta niema dosyć na zwierzchnéj piękności
Wdziera się gwałtem w tajemne skrytości.

29.

Argo non mai, non vide Cipro, o Delo,
D'abito, o di beltà, forme sì care.
D'auro ha la chioma; ed or dal bianco velo
Traluce involta, or discoperta appare.
Così, qualor si rasserena il Cielo,
Or da candida nube il Sol traspare,
Or dala nube uscendo i raggi intorno
Più chiari spiega, e ne raddoppia il giorno.

30.

Fa nove cresse l'aura al crin disciolto,
Che natura per se rincrespa in onde;
Stassi l'avarò sguardo in se raccolto,
E i tesori d'Amore, e i suoi nasconde.
Dolce color di rose in quel bel volto
Fra l'avorio si sparge, e si confonde:
Ma nella bocca, ond' esce aura amorosa,
Sola rosseggia, e semplice la rosa.

31.

Mostra il bel petto le sue nevi ignude,
Onde il foco d'amor si nutre, e desta:
Parte appar de le mamme acerbe, e crude,
Parte altrui ne ricopre invida vesta:
Invida, ma s' agli occhi il varco chiude,
L'amoroso pensier già non arresta;
Che non ben pago di bellezza esterna,
Ne gli occulti secreti anco s'interna.

Z tych to śmiałych przenośni unoszących duszę, z tych częstych porównań trafnie użytych, z téj sferności tak dziwnie pieśczącéy ucho, poznaemy samego Tassa i równego mu Kochanowskiego.

Jeśli zaś i surowy Dmochowski mówi w sztuce rymotwórczéy że:

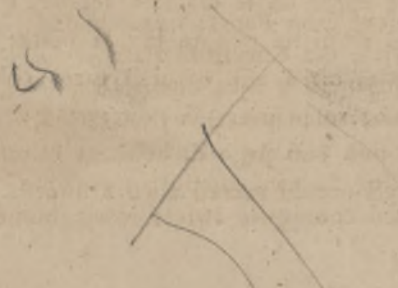
„Tass tak wybornie w polskie przestroiony rymy;“
przeto dzieło Piotra Kochanowskiego, mimo wad i usterków, które więcéy do wieku niż pisarza należą, szczególniéy nam posłużyć może do uprawy ięzyka; czyli do zdobycia dawnéy przodków naszych chwały, obiętey smutną do Rzymu zastósowaną, i w nieszczęściach oyczyzny naszéy niedawno ziszczo-
ną ale boday nigdy więcéy nie cofniętą wieszczbą Jana Kochanowskiego:

Fortunniejszy był ięzyk bo ten i dziś miły:

Tak zawzdy trwalszy owoc dowcipu niż siły.

Pisano w Krakowie

dnia 15. Kwietnia 1819 roku.





G O F F R E D A

A L B O

IEROZOLIMY WYZWOLONEY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

ARGUMENT.

Do Tortozy się Anyoł wyprawnie,
Goffred w tem zbiera Chrześciańskie Pány:
Ich iednostayna zgodá to sprawnie,
Ze iest naywyszszem Hetmánem obrány.
Woysko się w polu pierwey popisuie,
Potem pod Syon idzie zawołány
Jerozolimski Krol się bárzo trwoży,
Słyszác że bliskie nádchodzą obozy.

Woynę pobożną śpiewam, y Hetmáná
Ktory święty grob Páński wyswobodził:
O iako wiele dla Chrystusá Pána
Rozumem czynił y ręką dowodził.
Dármo miał sobie przeciwnym szátáná,
Co nań Libią y Azyą zwodził:
Dał mu Bog że swe ludźie rozsproszone
Zwiodł pod chorągwie święte rościagnione.

PANNO, nie ty co Laury nietrwalemi
 Zdobisz w zmyślonem czoło Helikonie:
 Lecz mieszkasz między chory niebieskimi
 Z gwiazd nieśmiertelnych w uwitey koronie,
 Ty sama władni pierśiami moimi,
 Ty day głos pieśni; a jeśli przy stronie
 Prawdzie gdzie iakiey ozdoby przydawam,
 Niech twej niełaski za to nie uznawam.

* * *

Wiesz, że za światem wszyscy tam bieżemy
 Gdzie więcej Párnás leie swej słodkości:
 Y prawdę pręcey w ludzie więc wmowiemy,
 Kiedy rym miękki doda iey wdzięczności.
 Tak zchorzółemu dziecięciu kładziemy
 Na brzeg u kubka rozne łagodności,
 To gorzki napoy piie oszukane,
 Zywort y zdrowie biorąc požądane.

* * *

Ty cny Alfonsie coś do bezpiecznego
 Portu w złą chwilę łódź mą nąkierował:
 Y tylko co już niepograżonego
 Sameś wydźwignął, y sameś ratował:
 Nie broń tem kartom czoła wesołego,
 Ktorem ci iako ślub iaki zgotował.
 Z czasem cię głosić będzie ponno jeszcze,
 Co cię ledwie tknie teraz pioro wieszczce.

* * *

Słuszna jeśli się kiedy Chrześcijaństwo
 Uspokoiwszy wewnętrzne nienawiści,
 Wodą y lądem ruszy na pogaństwo
 Niesprawiedliwe odiać mu korzyści;
 Aby cię sobie wzięło na Hetmaństwo,
 Ziemią, lub morzem, czegoć życzem wszyscy.
 Tym czasem słuchay o naśladowniku
 Goffreda, a wczás gotuy się do szyku.

Szosty rok miał iako ku wschodowi
 Chrześcianańskie się woysko wyprawiło,
 Nicea zdzierżyć nie mogła szturmowi,
 Antyochiiey fortelem dobyło:
 Ktorą przeciwko możnemu Persowi
 Wygraną w polu bitwą obroniło.
 Potem Tortozę wzięwszy miejsce dało
 Zimie, y roku nowego czekało.

* * *

Iuż też y zimą, w którą odpoczywa
 Miecz woyny chciwy, prędko schodzić miała,
 Kiedy Bog wieczny z niebá gdzie przebywa
 Co iśnieyszego (co od gwiazd bez mała
 Jest tak wysokie y podobno zbywa
 Iako się nisko ziemiá na doł dała)
 Spuścił wzrok z gory, y we mgnieniu oká,
 Wszystko co świat ma, obeyźrzał z wysoka.

* * *

Obeyźrzał wszystko, y w Syryey święte
 Ná Chrześcianańskie oko skłonił Pány,
 Y wzrokiem ktorem myśli niepoięte
 Báda, y umysł ludzki niezmacany:
 Widzi Goffreda, zeby rad przekłete
 Z miastá świętego wyrzucił pogány,
 To iego wszystká myśl, y to stáranie,
 Nad świecką sławę, y nad Pánowanie.

* * *

Zásię w Bálwinie widzi umysł chciwy
 Szerokiey władzey, y ziemskiey wielkości;
 Widzi Tánkredá że żywot troskliwy
 Wzgárdził, dla prozney y márney miłości.
 A zaś Boemund zwłoki niecierpliwy
 W Antyochiiey zakłada w radości
 Nowe krolestwo, práwá ustáwuie,
 Wierze prawdziwey kościoły buduie.

1 *

Y tak wszystkę myśl w tem utopił swoją,
 Ze inszem sprawom trudno już ma sprostać:
 Widzi w Rynaldzie chęć wielką do zbroie,
 Ze złotem gárdzi, krolem nie chce zostać.
 Woyny mu się chce, krwawe lubi boie,
 Sławy chce szukać, sławy pragnie dostać:
 A Gwelf mu dzieła dawne wielkich ludzi
 Czyta, y chęć w nim ieszcze większą budzi.

* * *

A skoro wieczny Stworzyciel do końca
 Do sercá skryte ich wnętrzości zbadał:
 Wnet Gábryelá iásnieyszego słońcá
 (Co nád inszemi Anyołami władał,
 Tego zá posłá, tego miał zá gońcá,
 Przezeń z duszami pobożnemi gadał.
 On ich modlitwy do niebá odnosił,
 Y wolą Boską ludziom ná świat nośił).

* * *

Przyzwał; y rzekł mu: Powiedz Goffredowi,
 Czemu proznuie? czemu tak leniwy?
 Niech Jeruzálem nieprzyiaćielowi
 Wydrze, a to ia chcę mu byđż życzliwy.
 Niech rády zwoła, niech rząd postanowi,
 Niech będzie wodzem, to moy niewątpliwy
 Wyrok, na ziemi będzie także drugi,
 Bo z towarzyszwow już będzie miał sługi.

* * *

To rzekł: á nic się Gábryel nie bawił,
 Ale posłuszny był Stworzycielowi:
 Swą niewidomą postawę zostawił,
 A podłożył iá ludzkiemu zmysłowi.
 Członki człowiecze y twarz sobie sprawił,
 A wziął wiek ná się rowny młodzieńcowi;
 Który się z láty ztyka dziećinnemi,
 A włosy okrył promieniami iásnemi.

Skrzydła wziął białe, malowane złotem,
 Niespracowane y niepoścignione:
 Temi nad ziemią bieży rączem lotem
 Obłok y wiatry rwie nieokroczone.
 Gdy tak był w drogę gotow: zaraz potem
 Na doł obrocił piora rościagnione
 Kęs nad Libańską górą wytchnął sobie,
 Y w iedney mierze trzymał skrzydła obie.

* * *

Potym się spuścił na doł ku Tortożie,
 Prosto iak strzala puszczone z cięciwy:
 Już też y Phebus na złoconym wozie
 Z morza wydawał swoy promień życziwy:
 A Goffred, iako zwykł był, w swem obozie
 Odprawował swe modlitwy troskliwy.
 Gdy rowno z słońcem iśnieyszego słońca,
 Uyrzał na wschodzie niebieskiego gońca.

* * *

Ktory mu tak rzekł: Czem się więcej bawisz?
 Zimá precz poszła, pogoda nastáie,
 Czemu świętego miastá nie wybawisz
 Z ciężkiey niewoley, czegoć niedostáie?
 Czemu na leże zaraz nie wypráwisz,
 Y woysk nie zwiedziesz w kupę? Bog wydaie
 Wyrok, że masz byđ wozdem, y Hetmánem,
 A wszyscy rádźi przyznáią cię Pánem.

* * *

Bog ci swą przez mię wolą opowiada,
 O iakoś pilne winien mieć stáránie,
 Abyś urząd ten, ktory na cię wkłada
 Dobrze sprawował, á miał w niem ufánie.
 To rzekszy Anyoł, dálej nie odkłada
 Swey drogi náзад w niebo: á w Hetmanie
 Zniknąwszy w sercu wielki zostáwuie
 Strách, zmartwiał wszytek, y ledwie się czuie.

Lecz skoro k sobie przyszedł, á rozbierać
 Począł poselstwo, y kto ie sprawował:
 Zaráz iść w pole, y lud myśli zbierać,
 Aby do końca pogaństwo zwoiował
 Nie żeby prze to, że go Bog obierać
 Chce przed inszemi, tem się popisował:
 Lecz że wie wolą Bożą wyrażoną,
 Wszystkę swoją myśl ma w niey utopioną.

* * *

Zacne paniętá swoje towarzysze
 Zwoływa, ktorzy po leżách mieszkáli:
 Gęste śle posły, listy częste pisze,
 Prosi y rádźi, áby się zieżdźáli;
 Szlachetne serca znienaglá kołysze,
 Wszytko przekláda, czymby się wzbudzáli,
 A takie słowá wynáyduie ná nie,
 Ze ich przymusza chętnych ná swe zdánie.

* * *

Co przednieyszy się wodzowie ziecháli,
 Lecz Boemundá sáмого nie było:
 Jedni w namiéćiech y w polu zostáli
 Wiele ich w mieście Tortozie stánęło.
 Potem w dzień święty w rádę się zwołáli,
 (A czoło to táń pierwszych Pánów było)
 Táń Goffred y w twarz powážny y w mowę,
 Tákową do nich uczynił przemowę.

* * *

Zacni Rycerze od Bogá obráni,
 Abyście wiarę świętą rozmnożyli;
 Ktorzyście łaską iego wárowáni,
 Táń wiele ziemie y morzá przebyli.
 Nieprzyiaćiele mieczem zwoiowani
 Zá czas táń krotki kárki náń skłonili.
 Iuż skroconemi miedzy narodámi
 G amy bezpiecznie swemi chorągwiámi.

Nie dla tegosmy miley odbieżeli
 Oyczyzny, y swe domy opuszczáli,
 Morzuśmy zdrowia swego wierzyć śmieli,
 Ná tak daleką woynęsmy iecháli:¹
 Abysmy ten głos tylko lichy mieli,
 Zesmy pogańską ziemię zwoiowali.
 Bobysmy słábey dostáli nagrody
 Zá krew przelaną, zá tak wielkie szkody.

* * *

To nasz cel pierwszy, to było stáranie,
 Abysmy murow Syońskich dobyli:
 Ciężką niewolą którą Chrześciance
 Cierpią, precz znieśli, potem założyli
 Tu w Pálestynie nowe pánowanie,
 Y w niey prawdziwą wiarę rozmnożyli.
 Tak żeby pielgrzym już bezpiecznie Bogu
 Slub swoy mógł oddać u świętego progu.

* * *

Do tąd się wiele trudow ucierpiało,
 Ale ná sławie małośmy wskuráli;
 Y przedsięwzięciu nie dośćby się sstało,
 Gdziebysmy indziej siły obracáli;
 Ná co się woysko tak wielkie zebrało?
 Ná cosmy mieczem Azyą zmięszáli?
 Jesli krolestwá tylko będziem psować,
 A ná to mieysce inszych nie budować.

* * *

Ná słábem gruncie pewnie ten buduie
 Wielkie krolestwá, y godzien przygány:
 Co iedney wiary węzłem nie zwięzuie
 Nieżyczliwemi swych między pogany
 Dármo pośilków Greckich upatruie,
 Dármo się spuszcza ná zachodnie Pány.
 Prawdá że páństvá y krolestwá wáli,
 Ale się y sam nákoniec obáli.

Antyochia, kráie zwoiowane
 Tureckie, Perskie, wątpić nie potrzebá:
 Wielkie są rzeczy, ále niedostáne
 Przez nasze siły: Bo ie mamy z niebá,
 A teraz iesli będą obracáne
 Indziey, niż Bog chce, obawiać się trzebá,
 Ze náostátek poydą w pośmiewisko
 Wszystkim narodom, czego bárzo blisko.

* * *

Dla Bogá lepiej ważmy iego dary,
 A iákosmy tę pracę roszczać śmieli:
 Ták o to niechay nie mamy przywáry,
 Zebysmy iey zaś dorobić niechćieli.
 Czasy pogodne, rok ustąpił stary,
 Gościniec wolny wszędzie bedziem mieli,
 Niech Jeruzálem zaráz dobywamy,
 To cel nasz w ktory wszyscy mierzyć mamy,

* * *

Ja się oświadczam, á będzie to wiedzieć
 Wiek terázniejszy, y ten co nástanie;
 Y będą o tem umieli powiedzieć
 Po wszystkim prawie świecie Chrześcíanie:
 Ze wczás przestrzegam, że nie trzebá siedzieć
 Dłużej ná mieyscu, że prętko pogánie
 Dádzą z Aegiptu pomoc Pálestynie,
 Jesli nam pierwsza pogoda upłynie.

* * *

Skoro ták skończył, szemranie powstało:
 Wtym Piotr Pustelnik co tę wojnę rádził,
 A w ten czás w radzie prywatny był: máło
 Co pomysliwszy, taką rzecz prowadził:
 To wszystko co się Goffredowi zdáło,
 To co wywodził y ná czem się sádził,
 Y ia pochwalam: ná przestrogę tylko
 Tego dołożę, y słow rzekę kilka.

Kiedy sam w sobie myślę y rachuję,
 Zkąd spolne waśni rosta między wami,
 Y kiedy pilnem okiem upatruję,
 Skąd to, że zsobą rozniście się sami:
 Przyczynę własną tego bydz náyduję,
 Ze wszyscy chcecie bydz rowiennikami.
 Y wszyscy rządzić iednákowo chcecie,
 A wzajem sobie nie ustępuiecie.

* * *

Gdzie wszyscy władną, gdzie ieden nie rządzi,
 Ktory ma w mocy kaźni y nagrody:
 Tām rządu nie masz, tām każdy poblądzi,
 Tām rozerwanie y nastąpią szkody.
 Niech ieden władnie, niech was ieden sądzi,
 Ták staną waśni, y spolne niezgody.
 A wy mu złote sceptrum w rękę daycie,
 Y za páná go y wodzá przyznáycie.

* * *

Tu przestał stárzec, á wnet nieużyte
 Sercá Duch S. rozgrzał swym płomieniem:
 Iuż pustelnicze słowá w sercu wryte
 Niosą przednieyszy za iego natchnieniem
 Myśli, czci, y mieysc wysokich nie syte
 Ustępuią w nich, z wielkiem podziwieniem.
 Ták że Gwelf, Gwilelm pierwszymi się sstáli
 Co Gotyfredá za Páná witáli.

* * *

A wszyscy inszy zaś poszli za temi,
 Dáli mu władzą, aby rosказował:
 Aby narody miásty dobytemi,
 Woyną, pokojem, iako chce száfował,
 A co dopiero rowno chodził z niemi,
 Posłuszeństwo mu każdy obiecował.
 O czem zarázem prętkie wieści poszły,
 Y między ludzic ná świat głosy niosły.

On się żołnierzom swoim ukazuje,
 Ktorzy go sądzą mieyscá tego godnem
 Ktore mu dáli, y od nich przyimuie
 Zyczliwe krzyki, weyźrzeniem łagodnem.
 Wszystkich przyjemną mową odprawuie,
 Co mu winszuia szczęścia głosem zgodnem.
 Ná dzień iutrzeyszy potem wszytkiem kazał,
 Aby się żołnierz pisał, y ukazał.

* * *

Jásnieysze w on czas nád zwyczaj rumiańy
 Słońce dzień miało, kiedy z promieniami
 Nowego światła, rowno lud wybrány
 Pod rozwitemi wyszedł chorągwiámi.
 Káždy iáko mógł nastroyniey ubrány
 Ukázował się tám gdzie nád łákami
 Stał w mieyscu Hetman; przed ktorem ochotne
 Miiály rot y piechotne.

* * *

Myśli łakomych lat nieprzyaciółki,
 Wierne wszytkich spraw stroże y száfarki,
 Zdarzcie, ábych mógł rotmistrze y polki
 Wszystkie przypomnieć, od was te podárki:
 Niech z nieśmiertelną sławą máia spólki,
 Niech im nie szkodzą zazdrościwe Párki.
 Ozdobcie ięzyk moy z skárbu wászego
 Tem, coby trwáło do wieku poznego.

* * *

Fráncuzowie się wprzód okázowali,
 Ugon krolewski brát był wodz nád niemi:
 Ktorych ná wyspie rotmistrze zbieráli,
 Miedzy czteremá rzekámi możnemi.
 Skoro szczedł Ugon, stárszego obráli
 Klatáreusá, głosámi zgodnemi,
 Ktoremu tylko ná tem sámem schodzi,
 Krolestwá nie ma, choć się ná nie godzi,

Tysiąc ich było, wszyscy kiryśnicy.
Zá niemi hufce prowadzili swoje
W takieyże liczbie mężni Normándczycy
Ktorzy iednákíe z Fráncuzámi zbroie,
Jednákíe (iák to bywa przy gránicy)
Mieli ćwiczenie, y iednákíe stroie.
Robert ie ich Pán przyrodzony wiedzie,
Zá niemi Gwilelm y Ademár iedzie.

* * *

Do Duchowieństwá mieli się zarázem
Ci z młodu, potem Biskupy zostáli:
A teraz twárdem okryci żelázem
Ná świętą wojnę miecze przypasáli
Gwilelm z Uránges wywiódł pięć set rázem,
Ow także pięć set z Podzdziu, á tak trwáli
Y tak ćwiczeni byli Gwilelmowi
Ná woynách, iáko y Ademárowi.

* * *

Báldwin zátém wielką część zástąpił
Polá z swoiemi Bonończyki po niem,
Brátni to był pułk, co mu go ustąpił
Bywszy Hetmánem; zá niem dzielnem koniem
Obracáiąc Grof z Kárnuttu nástąpił,
Chłop to był czysty, tak trzymano o niem,
Cztery stá ieznych ten pod swoją sprawą,
Dwanaście set miał Báldwin pod buławą.

* * *

Zá niemi iedzie w zupełney zbroicy
Gwelf od fortuny bogáćie nádány:
Ten po Látynie oycu sobie liczy
Krewne Esteńskie stárożytne pány.
German brát iego co z nim społdziejczy
W dom Gwelfonow wstąpił záwołány,
Trzyma Horwáty, y to co Retowie
Y dawni mieli przy Rhenie Szwabowie.

Ten do dziedzictwa swojego z macierze
 Názdobywał Państw y miast możnych wiele,
 Z których wiodł lud co ku swem pánom w wierze
 Nieporównány, ná śmierć idzie śmieie.
 Jeden drugiego ná ucztę rad bierze,
 A zimie łożá w ciepłych izbách ścieie.
 Pięć ich tysięcy spełná z domu wyszło,
 A z Perskiej woyny ledwie tyśiąc przyszło.

* * *

Zá temi szedł lud biały y żółtawy,
 Co z Fráncuzámi y Niemcy grániczy;
 Nád morzem mieszka tám gdzie gęste stáwy,
 Y Rhen, y Mozá, czynią w okoliczy.
 A ná Ocean groblę y zastáwy
 Sypie, ktoremi trzyma go w gránicy,
 Ktory się gwałtem y przez támy wdźiera,
 A wśi, y miástá, y páństwá pożera.

* * *

Tyśiąc był spełná tych Niderlánczyków,
 Rupertá mieli nád sobą stárszego;
 Ale záś więcej iuż było Anglikow,
 Guilmá, młodszeo syná krolewskiego.
 Ktory wiodł przytem śilá Irlándczykow,
 Y lud co bliższy Tryoná zimnego,
 Narod kosmáty, wychowány w leśie,
 A káždy sáydak y łuk ciągly nieśie.

* * *

Zá temi idzie Tánkred, co dzielnością
 Oprocz Rynáldá sámeo, przodkuie:
 Sercem, urodą, dworstwem, y ludzkością,
 We wszytkiem woysku nikt go nie celuie.
 Ale ták wielkiem przymiotom miłością
 Siłą ozdoby, y chwały uymuie.
 Miłością w boiu nagle urodzoną,
 Troskliwą, śilną, y niewymowioną.

Tak słychać: W ten czas kiedy bitwę nasz
 Z Persem wygrali; który porażony
 Rozsypką w gory uchodził y w lasy.
 Poszedł wciąż za niem Tánkred zágoniony.
 A iż gorące zbytnie były czasy,
 Po pracy oney srodze uprągniony
 W polu przy piękney łące dla ochłody
 Z siadł z konia, kędy był zdroy zimney wody.

* * *

Tám niespodzianie mu się ukazała,
 Dziewicá wszytká zbroyna okrom głowy,
 Pogánká była, y wody szukała,
 Także z prągnienia, w on znoy południowy.
 Twarz gładką, oczy dziwnie piękne miała,
 Zaráz Tankredá uiał ogień nowy.
 Iaki cud? Miłość co się ledwie zrodzi,
 Już w lykách wielkie bohátryy wodzi.

* * *

Widząc go, szyszak ná głowę włożyła,
 Y koniecznie się z niem kosztować chciała:
 Lecz że za sobą drugich obaczyła,
 Nic się nie bawiąc tył náзад podała.
 Ale twarz, ktorey z hełmu uchyliła,
 Tak w Tánkredowem sercu wykowała:
 Ze nic nie myśli, nigdy tylko o niey,
 Tak schnie nieborak, y tak teskni po niey.

* * *

Iego żołnierze tak się domyślali,
 Widząc iego żał, y srogie tesknice:
 Y między sobą wgłos o tem gadali,
 Ze to dla iakiey cierpiał miłośnice.
 Ośm set miał konnych, ktorzy go słuchali,
 Wszystkich od piękney Kámpáńskiej granice.
 Z kráiu ná świećcie co naobfitszego,
 Tuż nie daleko morza Tyrreńskiego.

Po Tánkredowych ludziách się piśało
 Przed Gotyfredem dwieście mężnych Grekow:
 Ci zbroie żadney nie kładą ná ciało,
 Luk przez się, szable wieszają u lękow,
 Ich pracowite konie iedzą mało,
 A rohátyny z twárdych noszą sękow.
 Zá przednieysze ich naiezniki mają,
 Naywięcey bią, kiedy uciekaia.

* * *

Látyná stárszem tá ich rotá miała,
 Co z Greckich kráíow sam był ná tey woynie:
 Azás tey woyny tak blisko nie miała,
 O ziemi Grecka? á przedsię spokojnie
 Siedząc (o hánbo) tylkoś wygladała
 Końcá wielkich dzieł, źle y nieprzystoynie.
 Przeto nie skarż się y niech cię nie boli,
 Dobrze tak ná cię, żeś teraz w niewoli.

* * *

Ostátni po tey rocie się pisali
 Lecz w urodzeniu pierwszy, y w zacności:
 Co ná swą szkodę y szczęście iecháli
 Pierwszy y w męstwie, pierwszy y w dzielności.
 O Argonautách błędnych nábáiáli
 Siła Grekowie, lecz bez wątpliwości
 Nigdy nie mogą iść zároveň z temi,
 Zgadniciesz ktory stárszem iest nád niemi?

* * *

Cny Dudon z Konse, ten ich hufiec wodził,
 A iż rozsądek trudny w tem baczyli;
 Który zacnością, y męstwem wprzod chodził,
 Zgodnie mu władzą nád sobą zlečili,
 Zwłaszcza że inszych, y láty przechodził,
 Y więcey czynił niż inszy czynili.
 Ná rozných woynách, ná ktorych się schował,
 Y ran uczciwych blizny ukázował.

Miedzy pierwszemi położyć też przydzie
 Eustacyusá Hetmańskiego bratá,
 Po nim Gernándá, ktorego rod idzie
 Z Norweyskich Krolow od dawnego látá.
 Rugierá mi też pewnie się nie zeydzie
 Kłásć ná ostatku, także Engerlátá:
 Gentoni Rámbáld niechay idá zá tem,
 A po Rámbaldzie Gierard z swoim brátem.

* * *

Wielką ma sławę Ubáld ná wsze strony,
 Y Rosmund ktory w Linkástrze dziedziczy:
 Pálámed, Sforcá, y trzeci rodzony
 Achilles także, wszyscy Lombárdczycy.
 Obidzy po tych w boiu doświadczony,
 Więc mężny Otton zarázem się liczy,
 Który ma zá herb węzá, á on w gębie
 Ma dziecię nágie, y trzyma ie w zębie.

* * *

Gwászek y Rydolf są też pewnie wzięci,
 Y z Gernierem obá Gwidonowie:
 Y Eberárdá będą mieć w pamięci
 Potomne wieki, y pozni wnukowie.
 Piękna Gildyppo z Odoárdem spięci
 Nierozerwánem związkiem małżonkowie,
 Y wy ná wieki pewnie się wstawicie,
 Bo y po śmierci się nie rozdzielicie.

* * *

Pátrzcie co umie miłość przerażliwa,
 Oná iey włádác bronią ukazała:
 W nasrozzey bitwie ząwsze niełękliwa
 Mężá miłego nie odstępowała.
 A iesli kiedy (iáko to więc bywa)
 Ráná lub iego, lub onę potkała:
 Oboie ćierpią, y oboie mdleie,
 Jesli iedno z nich ránne, y krew leie.

Ale nie tylko te com ich miánował,
 Lecz y tych wszystkich ktorzy się pisáli:
 Młodzieńczyk Rynáld urodą celował,
 Ták mu to wszyscy zgodnie przyznawali.
 Y pierwey owoc, niż kwiát ukázował,
 A wszyscy mu się bárzo dziwowali,
 Mars własny z niego, kiedy zbroyny biie,
 Kupido, kiedy piękną twarz odkryie.

* * *

Piękna Zophia z Bertoldem go miała,
 A pierwey ieszcze niżli go odieto
 Mámce od pierśi, co go piástowała,
 Do Mátyldy go ná chowanie wzięto:
 Tá mu Krolewskie wychowanie dáła,
 Y mieszkał przy niey do tąd, aż poczęto
 W ogromny bęben bić ná wschodzie słońcá,
 Ten w niem chętną myśl przeraził do końcá.

* * *

Jeszcze w piętnastem spelná nie był lećie,
 Gdy uciekł z domu, y szedł do przewozu
 Morz' Egeyskiego: y błędził po świećie,
 Aż náostátek trafił do obozu.
 Czemu go zacni nie nászláduiecie
 Wnukowie? niechciał długo w miękkim łóžu
 Gnuśnić, y nie miał nic ná gębie práwie,
 A iuż trzeci rok ná rycerskiej sprawie.

* * *

A kiedy się iuż iezdá popisála,
 Ráymund z Tolozy następował, ktorzy
 Tám gdzie Garoná w Oceán wpadała,
 Zbierał piechotę z Pireneyskiey gory.
 Cztery tyśiące było ich bez máła,
 Ná niepogody twarde noszą skory.
 Náczwał są duży y zbyt pracowici,
 Wszyscy świetnemi zbroiámi okryci,

Pięć zaś tysięcy było Stephánowych
 Ktorzy się w Blessie y w Turzie zbierali:
 A chociaż wszyscy w zbrojach beli nowych,
 Na niewczas nie są, y na pracę trwali
 Doświadczona to, że w rokosznych owych
 Kraiach, ludzie też rokoszni bywali,
 Jużci się oni naprzód potkać śmieją,
 Ale coż potem? prętko osłabieją.

* * *

Alkástus zátém w ogromney postáwie
 Znienaglá sobie z swemi Szwaycárámi,
 Ktorych miał pod sześć tysięcy, szedł w sprawie,
 Co siedząc między krzywemi Alpámi.
 Skuli ku lepszey y godnieyszey sprawie
 Na ostre miecze pługi z lemieżami.
 Tak że co przedtem Pastuchowie beli
 Już się z wielkimi Krolmi ścierać ieli.

* * *

Pod siedm tysięcy wyborney piechoty
 Za Szwaycárámi poszło prawą stroną:
 Proporzec miała wszystek szczerozłoty,
 W niem złote klucze z Papieską koroną.
 Kamillus ich wodz wielki z swoiey cnoty,
 Y z dawnych dziádów: dzielność zapomnioną
 Myśli odnowić we Włoskiem narodzie,
 A chciwość sławy niezmierna go bodzie.

* * *

A skoro beło po okazowaniu,
 Y wszyscy się już byli odprawili:
 Hetman o dalszem woyny dokonaniu
 Z stárszemi rádźi, ktorzy przy niem byli.
 Y roskázuie, áby na świtaníu
 W drogę się zaráz z obozu ruszyli,
 A pod Syońskie miásto w ten czas przyszli,
 Gdy nieprzyjaciel namniey o nich myśli.

Więc żeby byli do bitwy gotowi,
 Zeby zwycięstwa pewnego czekali,
 Y polkownicy, y starszy woyskowi
 Za temi iego słowy serce brali.
 Y niecierpliwi, nierychłemu dniowi
 Lając, rąnego świtu wyglądali:
 Lecz opatrzneho Hetmána troskliwa
 Myśl trapi, choć to ná twarzy pokrywa.

* * *

Bowiem szpiegowie ktorych wszędzie chował,
 Z roznych mieysc wszyscy iednoż mu pisali:
 Ze Krol Egipski woyská wyprawował,
 Y iż się ludzie ku Gázie ruszali.
 Tak sobie myślił, tak sobie ráchował,
 Ze mąż woienny (iáko powiádali)
 W te czasy pewnie nie miał darmo leżeć,
 Wtym zaráz kazał po Henryká bieżeć.

* * *

Temu roskazał, aby się nie báwił,
 Wsiadł w lekki okręt y nieobciążony:
 A co napręcey áby się przeprawił
 Przez morze, y szedł zaráz w Greckie strony,
 Jużem się (práwi) o tem dobrze sprawił,
 Ze towarzyszem chce nam bydz liczony
 Krolewic Szwedzki, iż do nas iedzie,
 Y wielki orszak ludzi z sobą wiedzie.

* * *

A iż mię nie raz Grecki Cesarz zdrądził,
 Y teraz mi się obawiać przychodzi:
 Aby mu drogi do nas nie rozrádził,
 (Iáko on ząwsze ná złe nászē godzi)
 Przeto ćię tám ślę, ábyś mu się rádził
 Spieszyć co pręcey, widzi że čás schodzi,
 Bo gdzieby z pierwszey spuścił co ochoty,
 Pewnieby wielkiey nie uszedł sromoty.

Nie wróćay się z niem, ale zaś pojedziesz
 Wciąż do Cesarzá zarázem Greckiego:
 Aza go iáko do tego przywiedziesz,
 Aby pośiłku nam obiecánego
 Nie zwłoczył dálej: á niżli wyiedziesz,
 Nie zapomínay listu wierzącego.
 Wtým Henryk żegnał, á Goffred kłopoty
 Złożył ná chwilę, y spał pod namioty.

* * *

Názáitruż kiédy pochodnie zázegał,
 Y światło Phebus miotał z swego wozu:
 Dźwięk trąb krzykliwych ktory się rozlegał,
 Y głośnych bębnow, poszedł do obozu.
 Nie tak rad grzmieniu, skąd nadzieię sięgał
 Dżdża nędzny oracz zgorzálemu zbożu:
 Iáko ci byli rádci, y weseli,
 Kiedy wojenne muzyki słyszeli.

* * *

Wszyscy tem więtszą chęcią pobudzeni
 Iáko naprędzey się po ubieráli:
 Y do rotmistrzow swoich zgromádzeni,
 Zbroyno przed niem się ukázowali,
 Potym w piękny szyk od wodzow sprawieni,
 Proporce piękne ná wiátr rozwiiáli,
 Wielką Hetmańską chorągiew wnet potem
 Rozwito, krzyżem przetykáną złotem.

* * *

Wtem słońce wyzszej co raz postępując
 Promienie ná świat rościagało swoje:
 Y oczy blaskiem urázliwym psując,
 Płomień od świetney wyciągało zbroie,
 A ogniem iásnym powietrze farbując
 Świetnieysze się być zdáło tyle troie.
 Chrząst łśniących się zbroj, krzyk wesółych koni
 Ogłusza polá, y wiátr lekki goni.

2 *

Ostrożny Hetman nigdy nie proznował
 Chcąc znieść zasadki, y rozne zawady:
 Co lżeysze ludzie iezne wyprawował
 Przed woyskiem, w polá przestroné ná wzwiady.
 Już téż lud pieszy był po naprawował
 Drogi, co woyská zwykły trudnić rády,
 Y gdzie ku miástu wiodł gościniec prosty,
 Doły porównał, y porobił mosty.

* * *

Nie hámuia ich wkoło opasane
 Miásta, mocnemí ze wszystkich stron mury:
 Rzeki y woyská Pogańskie zebrane,
 Y iesli się lás gęsty trafi ktory,
 Rownie tak Wislá, gdy niehánowáne
 Wody rospuści od gory do gory,
 Wszystko to co iey kolwiek zastępuje
 Rwie wielkiem gwałtem, y wáli, y psuie.

* * *

Sam Krol Trypolski ktory lud zebrány,
 Y skárby w mieściech obronnych zawierał;
 Moglby był ponno wstrząć Chrześciani,
 Ale ich drażnić zgoła nie nácierał.
 Y owszem dáry pierwsze uiał Pány,
 A dobrowolnie miásta swe otwierał.
 Y przyiał pokoy, y spiski podáne,
 Iákie mu były od naszych posłáne.

* * *

Ci Chrześciani, co w gorách mieszkáli,
 Blisko od miásta zaráz ná doł zeszli:
 Swoie dostátki hoynie rozdawali,
 Y rozna żywność do obozu nieśli.
 Niewidánem się stroiom dziwowali
 Dzieci, niewiásty, młodź, y ludzie zeszli,
 Od ktorych Hetman wiazał wodze świadome,
 Y drog, y kráíow támtecznych wiadome.

To bowiem zawsze Goffret upatrował,
 Y tá w niem wola nieodmienna trwałá;
 Aby przy morzu zawsze postępował,
 Ná ktozem można Armata pływala.
 Tak swych żywnością snadnie opatrował,
 Ktorey mu ona hoynie dodawala.
 Owsy, ięzmiony, y chleby z Grecyey,
 A winá z Chio wiozla y z Cándyey.

* *

Pod okrętami wielkimi stękaia
 Wody, á morze nád zwyczaj się pieni:
 Ná miedzyziemnem morzu iuż nie maia
 Bspiecznych pławow więcey Sáraceni.
 Bo okrom tych co Ligurowie daia,
 Y Wenetowie w tem dziele ćwiczeni:
 Insze Sycylczyk, insze Fráncuzowie,
 Insze śle Anglik, insze Olándrowie.

* *

Ci wszyscy spięci sercami zgodnemi,
 Jednostayną się wolą powiazali:
 Żywnością dla woysk, ktore szły po ziemi,
 Y rynsztunkami nawy ładowali.
 A wiedząc że iuż tam ci beli w ziemi,
 Ydo Soliny iuż się przyblizali:
 Niechcąc omieszkać, y oni też nagle
 Do Pálestyny obroćili żagle.

* *

Ale tá ktora płonne y prawdziwe
 Wieści roznośi, wszytkich uprzedzala:
 Tá że iuż idą woyská ukwapiwe,
 Y że iuż blisko beły powiadala.
 Polki, Rotmistrze, wodze nielekliwe,
 Y co mężnieysze wszystkie mianowala
 Ich dzielność, y ich zwycięstwá sławila,
 A swoią twarzą straszliwą grozila.

A choćia ieszcze nie tak blisko maia
 Nieprzyaciela, samo rozbieranie
 Przyszłych plag, ktore z woyną przychadzaią,
 Strach, y niezmierne czyni w nich lekianie.
 Mysli, y uszy wszyscy nadstawiaia:
 Na ladą wieści, y ciche szemranie
 Wszędzie powstaie, sam Krol potrwożony,
 Bledną obraca myśl na rozne strony.

* * *

Aládyn się zwał co wten czas panował,
 Tyran okrutny, y wielkiey srogości:
 Ale wiek zeszyły troche go hamował,
 Ze z pierwszey nieco spuścił okrutności.
 Ten wiedząc że iuz Goffred następował,
 Iże pod miasto szedł bez wątpliwości,
 Dawny strach z nowem podeyżrzeniem dwoi,
 Y nieprzyacioł y swoich się boi.

* * *

Rozną miał wiare w mieście: Bo obrzędy
 Mnieysza y słabsza miała Chrystusowe:
 Ale więtsza część zachowała błędy,
 Y Bogu zmierzłe sny Máchometowe.
 Zostawszy krolew po wszem państwie wszędy
 Dań, y pobory ustawował nowe:
 Ale z nich swoje wyzwolił pogány,
 A na biednie ie włożył Chrześciani.

* * *

Tá myśl okrutność iego przyrodzoną,
 Ktora iuz była oziębłą za láty,
 Teraz ożywia: y nienasyconą
 Krwie chćiwosć wznawia: tak waz kiedy száty
 Pierwsze, y skore złoży pochodzoną,
 Srozeie bárzief, tak y lew kudłaty
 Chowány w domu, kiedy go uderzy,
 Do przyrodzoney swey srogości mierzy.

Widzę (pry) w tem złem niewiernem narodzie
 Niezwykłą radość, y takich iest wiele,
 Co w spólnym płaczu, y w spólney przygodzie
 Śmiech sobie czynią, y nowe wesële.
 A ku naszemu zginieniu y szkodzie
 Wszyscy podobno sprzyśięgli się śmieie,
 Myśląc aby mię żywotą zbawili,
 A Chrześcianom bramy otworzyli.

* * *

Ale ia fortel ná nieprzyjacioly,
 Y ná zamysły naydę niecnotliwe,
 Wszystkich co ich iest puszczyć ná miecz goły
 Pospolu z dziećmi, bo y te są krzywe:
 Spalę ich domy, spalę y kościoły,
 Do szczętu plemię wytracę złośliwe.
 U ich sławnego grobu, pełne mąry
 Pobitey Księżey, dam miasto ofiary.

* * *

Ná to się iuż był srogi Tyran puścić,
 Ale nie przywiódł do skutku swey złości:
 A że niewinnem okrutnik przepuścić,
 Szło to z boiaźni, nie z iakiey litości.
 Bo się bał, aby sobie nie upuścić
 Drogi do zgody, dla tey okrutności.
 A iako pokoy miał zawrzeć z naszymi
 Uczyniwszy mord ten nád niewinnemi?

* * *

Przeto z tey miary w sobie uhámował
 Tyráński zamysł: ale z drugiey strony
 Jeszcze okrutniey sobie postępował,
 Niemiłościernem gniewem zaiuszony.
 Wsi wkoło palił, żywność wszelką psował,
 Pyszne pałace nie miały ochrony,
 W studnie y w źródła y w rzeki przeżyźrzyste
 Mieszał truizny y iady nieczyste.

KONIEC PIĘŚNI PIERWSZEY.

PIESN WTORA.

ARGUMENT.

Izmen czárnie, ále nádáremnie,
Krol chce wytrácić wszystkie Chrześciány,
Tám Zoffronia y Olind wzáiemnie
Chcą umrzeć, áby Krol był ubłagány:
Kloryndá szczęściem przybywszy foremnie,
Wolne ie czyni: Argánt zágniwany
Iż Goffred ná to co Alet powiáda
Niedba, woyną mu srogą odpowiadá.

Gdy się tákiemi Krol mocnił sposoby,
Izmen do niego przyszedł dnia iednego:
Izmen co zimne trwoży często groby
Y kiedy zechce wzbudza umárłego.
Izmen, ktorego rymow y osoby
Boią się Páństwá Plutá podziemnego.
On czárty wiąże, on ie rozwiązuie,
On iem iáko Pan sługom roskázuie.

* * *

Beł przedtem zrázu Chrystusowey wiáry,
Ale zász potem został poturczony:
Y do swey sprosney y brzydkiey ofiáry,
Mięsza pospołu obádwa zakony.
A teraz z iáskiń, w ktorych zdraycá stáry
Odpráwował swe zwykłe zabobony,
Szedł w spolney trwodze do Pána swojego,
Y niośł złą rádę do Tyránná zlego.

Iuż (prawi) Krolu nieomylnie wiemy,
 Ze ná nas woyská moźne następuią:
 Ale my czynmy co czynić moźemy,
 Mężnem fortunę niebá obiecuią.
 W tobie ostrożność y czułość widziemy,
 Iákiey woienne czasy potrzebuią,
 Stánieli tak w swey każdy powinności,
 Grob sobie sprawi u nas ten lud gości.

* * *

Cokolwiek rády ma w sobie wiek stary,
 Co iedno umiem, y co iedno mogę:
 Co czárnoksięstwo, co umieią czary,
 Temci rad wszystkim, o Krolu, pomogę.
 Moią náuką piekielne mászkarý
 Wdam w tę robotę, wyprawię w tę drogę:
 Ale skądby fię to rozpocząć miało,
 Powiem ci krotko, á ty słuchay mało.

* * *

Jest w Chrześciańskim kościele zákryty
 Ołtarz pod ziemią, gdzie ksiądz ustáwiony,
 Mátki ich Bogá obraz chowa ryty,
 W iedwabny cienki rábek uwiniony:
 Przed niem kágániec wiśi złotem lity,
 Ktory ná wszystkie światło miece strony;
 Wokoło rzędem ślubow náwieszali,
 Ktore naboźni Pielgrzymowie dáli.

* * *

Ten obraz ktory chowaią tak skrycie
 Z niepoboźnego gwałtem weś kościoła:
 Y własną ręką postaw w twej Meszkićie,
 A ia tak sprawię czárnoksięskie koła,
 Ze poki u nas będzie to zawićie,
 Nie pożyie cię nieprzyiaciel zgoła.
 Y owszem wiecznie przez tę táiemnicę
 Utwierdzisz swoię Krolewską stolicę.

Posłuchał Tyran niepobożney rady,
 Y do kościoła pobiegł ukwáplivy:
 Záráz uczynek wykonał szkarády,
 Wydarł káplanom obraz świętobliwy.
 Y wniosł go do swey bożnice z porády
 Izmená, który zwłoki niecierpliwy
 Támże zarázem nád niem z czárnoksięstwá
 Niezrozumiane zaczął bluźnierstwá.

* * *

Ale kiedy świt rány następował
 Niewiedzieć iáko zginął obraz święty:
 O czem ten co go zá swem kluczem chował,
 Królowi dał znáć, który gniewem zięty
 Pomstę y męki okrutne gotował.
 Ták tuszác, że był od Chrześcian wzięty,
 Iże go oni z Meszkity wykrádlí,
 Zá co pod ogień y pod miecz podpádlí.

* * *

Albo to ręká ludzka wykonała,
 Albo to Bozka wszechmocność sprawiła:
 Ze świętey Pánný obrázu niechciała
 Mieć na tem mieyscu którym się brzydziła,
 Bo y teraz w tém wátpliwość została,
 Boskali sprawá, ludzkali to beła.
 Lecz dobrze iż w tem pewności nie máią,
 Ze to nabożnie ná Bogá składáią.

* * *

Z wielką pilnością żátem Król roskazał,
 Aby co ich iest kościoły trzęsiono:
 Ktoby złodzieiá, lub obraz ukazał,
 Káźni, y wielkie nagrody kładziono.
 Sam Czárnoksiężnik ná swe wrożki kazał,
 Ale nic zgoła náleść niemożono.
 Niechciał koniecznie Bog tego obiáwić,
 Y iego czáry nie mogły nic sprawić.

A kiedy już tak między Chrześciani
 Nie należono choć szukano wszędy:
 Dobrze się nie wściekł Tyran rozgniewany,
 Chce się mścić srodze, zrzuca wszystkie względy.
 Niech będzie co chce, zaraz lud wybrany
 Roskazał trącić przez swoje urzędy.
 Kiedy miecz (prawi) żadnego nie minie,
 Y niewiadomy złodziey pewnie zginie.

* * *

By tylko winny wziął swoje karanie
 Niechay się żaden niewinny nie żywi:
 Ale co mówię? wszyscy Chrześciani
 Winni, y wszyscy iednakowo krzywi.
 A choć tę kradzież źle wkładają ná nie,
 Za to niech giną że nam nieżyczliwi,
 Przeto y ogniem y ostrem żelazem
 Do szczętu wszystkich niech wyglądzą razem.

* * *

Te iadowite Tyráńskie powieści
 Rozniosły się wnet między lud ubogi:
 Wszędzie płacz męski, wszędzie krzyk niewieści,
 Wszystkich przeiał strach, bliskiey śmierci srogi.
 Zapomnieli się prawie ná te wieści,
 Uciekać nie masz nigdziey żadney drogi.
 Ale skąd się mniey nędzni spodziewali
 Ztąd utraceni ratunku dostali.

* * *

Pánną się iedną u nich wychowała,
 Ktora już belá lat słusznych dorosła:
 Dziwney gładkości, o którą niedbała,
 Lub tyle dbała ile cnotá niosła.
 W ciasnem się bárzo mieyscu uchowála,
 Tak wielka piękność, y nigdy nie poszła
 Z domu, krádnąc się zániedbánia chciwem
 Wzrokom młodzieńcow, y chwałom życzliwem.

Ale żadna straż zakryć tey gładkości
 Nie mogła, choć iey bårzo pilnowała:
 Y tyś tego znieść niechciała miłości,
 Boś ią młodemu chłopcu ukazała,
 Miłości ślepa, teraześ ciemności
 Zbyła: á wzrokuś bystrego dostała,
 Tyś przez sto strązy czystey dziewczki doszła,
 Y wzrokeś chciwy cudzy do niey niosła.

* * *

Imię mu Olind, Zoffronia oney:
 Iako tá gładka, tak on urodziwy,
 Skromny, wstydlivy, miłości szaloney
 Nie śmie, nie umie odkryć, nieszczęśliwy:
 A tá im gárdzi, albo zápaloney
 Ządze nie widzi, tak Olind troskliwy,
 Do tąd iey służył, albo pogárdzony,
 Albo nieznány, y nie upátrzony.

* * *

Wtem usłyszawszy że iuż lud wybrány
 Po wszytkiem mieście kazano mordować:
 Poczęła myślić, aby Chrześciani
 Mogła od śmierci gotowey zachować:
 Męstwo ią y wstyd ruszał ná przemiány,
 To podbudzało, ten ią chciał hámować.
 Wygrało męstwo, owszem szło zgodliwe,
 Bo wstyd był mężny, á męstwo wstydlive,

* * *

Sámá pobiegła, a swey nie zakryła
 Gładkości, ani iey też wystawiała,
 Płaszczem się wszystką do ziemię okryła,
 Oczy wstydlive sámá w się zebrała.
 Niewiedzieć jeśli chcąc się ustroiła,
 Jeśli umyślnie stroiow zániedbała.
 Lecz zániedbaną gładkość y postawę
 Stroiła miłość, y niebo łaskawe.

Wszyscy w nią patrzą, wszyscy utopieni
 W iey twarzy, a ta ani ruszy okiem,
 Przed Krolem stanie, y twarzy nie zmieni,
 Choć ją trwoży zagniewaniem wzrokiem.
 Nie sroż się (prawi) prosiem utrapieni,
 A z twem się zadrž, o Krolu, wyrokiem:
 A ia winnego oddamci do ręki,
 Ktorego wyday na iakie chcesz męki.

* * *

Ná męstwo śmiałe, ná niespodziewany
 Piorun, cudowney y świętey gładkości;
 Zmiękczył się zaraz Tyran rozgniewany,
 Wziął wzrok łaskawszy, złożył z okrutności.
 Wpadłby był w miłość, by był nie trzymany
 Od swey srogości, y od iey twardości:
 Lecz płocha gładkość y nieokrocone
 Serce, ponęty miia podrzycone.

* * *

Jesli Tyranná miłość nie ruszyła,
 Poruszyło go pewnie spodobanie:
 Chcę (prawi) abyś winnego odkryła,
 Niech będą wolni twoi Chrześciance,
 Ona tym śmieley przedem wystąpiła,
 Nic nie zataię na twe roskazanie.
 Iam winná Krolu, iam obraz ukradła,
 Karz mię iako chcesz, bom śmierci podpadła.

* * *

Tak pospolitey śmierci swą osobą
 Zabiegła, y każn sama wzięła na się.
 O piekne kłamstwo, ktora prawda z tobą
 Może porównać? Niewie w onym czasie
 Co czynić Tyran; sam się biedzi z sobą,
 Łagodniey nad swoy zwyczaj pyta zaśię,
 Aby mu prawdę własną powiedziała,
 Kto z nią był, y skąd radę na to miała.

A oná ná to: Nikogom niechciała
 Wziąć w towarzystwo do tak piękney chwały:
 Nikt inszy, samám tylko to wiedziała,
 Rękem y umysł niosła ná to stały.
 Więc sama będziesz (Krol rzecze) cierpiała,
 Według wyroku y moiey uchwały.
 Słuszna (odpowie) y rzecz sprawiedliwa,
 Niech sama cierpię kiedym sama krzywá.

* * *

Począł się srożyć Tyran urażony,
 Dowiaduię się gdzie obraz podziął:
 Ze obraz w ogień zaraz był wrzucony,
 Y że go spalić niżli skryć woláła.
 Aby już więcej nie mógł bydz zgwałcony
 Niewierną ręką tę sprawę dawała.
 Złodziey przed tobą á ty czyn co raczysz,
 Obrazu pewnie wiecznie nie obaczysz.

* * *

Ale złodzieyką niech mię nikt nie zowie,
 Wzięłam to, co nam odieto gwałtownie:
 Słyszác to Tyran srogo iej odpowie,
 Wściekłem zázarty gniewem niewymownie:
 Dasz gárło wnetże, wnet położysz zdrowie,
 Zwiążcie ią zaraz, y wiedźcie wárownie,
 Prozno ią tarcza zaslánia gładkości
 Miłość, od złego krola okrutności.

* * *

Wzięto ią zaraz, ręce iej związane,
 A prętko potem miała być spalona:
 Płaszcz z niey, y z głowy podwikę zerwano,
 Y tak została nędzna obnażona.
 Nie wylęklá się, tylko że ná ono
 Szarpánie, nieco była poruszona.
 Wprawdzie swą własną bárwę odmieniła,
 Y to nie bładá, ále białą belá.

Zbiegał się tam lud, acz niewiedział o tem,
Co się za panną na to ośmielił:
Troskliwy Olind biegł tam także potem,
Domyślając się że to ona była.
Zięty okrutnem żalem, y kłopotem,
Wiedząc już że to ona uczyniła.
I że ją na śmierć srogą osądzono
Trącał lud bieżąc, gdzie ją prowadzono.

* * *

Zawoła głosem, co iedno miał mocy,
Nie wierz iey Krolu, plotkić powiedział:
Panną, y samą, y okrom pomocy,
Nigdyby tego uczynić nie śmiała.
Jeśli z Meszkity obraz wzięła w nocy,
Niech powie, iako stroże oszukala.
Jam winien, ja sam będę pokutował,
Tak twardą dziewczkę nieborak miłował.

* * *

Y daley mówił: Dałem sobie długi
Powroz urobić, z wysoką drabiną:
Poteiem wnocy przez krzywe frąmbugi,
Oknem wlaźł w kościół, y związawszy liną
Obrazem spuścił: Niechayże mi drugi
Sławy nie bierze, niech inszy nie giną
Niewinnie dla mnie: Mnie pal postawiono,
Y mnie samemu ogień napalono.

* * *

To Zoffronia skoro usłyszała,
Użali się go, y wzrok kniemu skłoni:
Co cię za radą do tego przygnala,
Ze chceż być w tak złey dobrowolnie toni,
Y taklim się to boiaźliwą zdała?
Ze mi ktoś śmierci požądanej broni,
Mam ja też serce, ognia się nie boię,
O towarzysza do śmierci nie stoię.

Tákiemi mu śmierć mowami rozwodzi,
 Lecz on zostawa z pierwszą stątecnością:
 Jest ná co pátrzyć, gdy zápasy chodzi,
 Czci chciwe męstwo z gorącą miłością.
 Támtá chce umrzeć, y śmierć sobie słodzi,
 Ten że żyć będzie zostawa z żalostíą.
 Krol pátrząc ná to srozszy tyle troie,
 Ze się bydz winnem powiáda oboie.

* * *

Mowi, że lekce od nich poważony,
 Y że się ná złość śmierci nápieraią:
 Wierzyć im trzeba, máią swe obrony,
 Niechże oboie śmierć iáko chcą máią.
 Skoro to wyrzekł, gniewem zápalony,
 Záraz Olindá kátom w ręce dáią,
 Y ták do palá nędznych przywiazano,
 A do siebie ich tyłem zobracáno.

* * *

Iuż kát, iuż ogień wielki beł gotowy,
 Iuż go dwuiętné miechy rozdymaiły:
 Kiedy ią Olind żalosnemi słowy
 Nárzekać, ktore kámienie ruszáły.
 Tenli to łańcuch, teli to okowy?
 Ktore mię z tobą wiecznie zwiázac miáły.
 Tenli to ogień? ktory nas płomieniem
 Równem miał palić, y ziąc ożenieniem.

* * *

Nie ten nam węzeł miłość ślubowála,
 Nie te płomienie ktore będziem mieli:
 A to bezecna słowá nie strzymála,
 Lecz to nic, kiedy śmiercią nas nie dzieli.
 A iż nam łóżá spólnego nie dáła,
 A tobie tę śmierć bogowie, przeyźrzeli,
 Ciebie żaluję nie sáмого siebie,
 Dosyc mam kiedy umrę podle ciebie.

O iáko tę śmierć będę znał szczęśliwą,
 Iesli uproszę że ty umierając
 We mnie wyleiesz duszę świętobliwą,
 Pospołu zemną z światem się rozstając.
 Y z chęcią moje ostatnie życzliwą,
 Thnienie w się weźmiesz: Chciał tak nárzekając
 Jeszcze coś mówić: ále mu przerwała,
 Y łagodnie mu tak odpowiedziała.

* * *

Inszych już myśli przyiacielu trzebá,
 Inszych lámentow czas ten potrzebuie,
 Pływałeś do tąd, czas się mieć do brzegá,
 Szczęśliwy który zá grzech pokutuie.
 Cierp w imię Boże, zaplátá cię z niebá
 Potka, którą on swem wiernem gotuie.
 Sámo nas niebo nád zwyczaj pogodne
 Cieszy, y siebie rozumie byđz godne.

* * *

Ná te iey słowá Pogánie plákáli,
 Plákał też ále skrycie lud wybrány:
 Sam się Krol zmiękczył iáko powiádáli,
 Lecz niechciał dáć znáć, że beł ublagány.
 Y żeby tego z twarzy nie poználi,
 Oczy umyślnie obrocił do ściány.
 Ty Zoffronia sámá łez nie leiesz,
 Y w pláczu wszystkich ledwie się nie śmieiesz.

* * *

Iuż ich tylko co w ogień nie włożyli,
 Wtem iákiś rycerz iedźie niepoznány:
 (Bo go zá tego wszyscy osądźili,
 Y zá męczyznę od wszystkich beł miány,
 Tygrys ná hełmie ná doł mu się chyli,
 A z cudzoziemská wszystek był ubrány,
 Ze to Kloryndá tak się domyśláli,
 Bo u niey ten znák ná woynie widáli.

Tá z młodu swej płci dziełom odwykała,
 Nád ktore wiétszey mieć nie mogła męki:
 A iefli kiedy háftować musiała,
 Szło iey to z musu, y prawie przezdźwięki.
 Do igły y do wrzećioná niechćiała
 Nigdy obroćić swoiey pyszney ręki:
 Miękką twarz y stroy pieszczony złożyła,
 A męską ná się postawę włożyła.

* * *

Jeszcze z dziewczyny była nie wyrosła,
 A iuż szalone konie obiezdżała:
 Kopią w rękę, miecz u boku niosła,
 Luk tęgi dziewczą ręką wyciągała.
 A iefli w lásy na łow kiedy poszła,
 Nie raz się ze lwy mężnie uganiała.
 Y kiedy w leśiach głuchych mieszkowała,
 Mężem się zwierzom, ludziom zwierzem zdala.

* * *

Teraz z Persyey gdzie była ná wojnie,
 Do Pálestyny szła ná Chrześćiańy:
 Ktorych krew nie raz wylewała hoynie,
 Nie raz im srogie zádawała rány.
 Wiechawszy w miásto (iáko zwykła) zbroynie,
 Uyżrzała wielki ogień zgotowany,
 Zdziwi się bárzo, y nátrze tám koniem,
 Pyta ná kogo, y co beło po niem.

* * *

Ustępuią się wszyscy, y popycha
 Jeden drugiego, áby mieysce miała:
 Obaczy więźnie, ieden wszystko wzdycha,
 Druga wzrok w niebo wlepiwszy milczała.
 Ow od litości nie od bólu zdycha,
 Wiétsze mdła serce płeć pokázowała,
 Oczy nabożnie w niebo obroćiła,
 Y przed śmiercią się z światem iuż dzieliła.

Zdięta Kloryndá żalem ząpląkała,
 Ná tak żalosne y smutne weyżrzenie:
 Nie tak się płaczem owego ruszała,
 Iako ią owtey ruszało milczenie.
 Zátym iednego stárcá ząwołała,
 Który się iey zdał mieć dobre baczenie,
 Powiedz mi (práwi) z iákiedy ci przyczyny,
 Iść máią ná śmierć, y dla iákiedy wyny?

* * *

Krotkiemi stárzec dawał sprawę słowy
 Ná wszystko, o co Kloryndá pytała:
 Domyślała się zaráz z iego mowy,
 Ze on, y ona winy w tem nie miała.
 Gdzieby Krolewski on wyrok surowy
 Nie był znieśiony, o co prosić chciała.
 Tak tuszy że ich odbić gwałtem zdoła,
 Przymknie się bliżey, y ná káty woła.

* * *

To wam powiadam, ábyście z więźniámi
 Temi poczynąć nic dálej nie śmieli:
 Aż Krolá uyżrzę; á-uznaćie sámí,
 Ze ztąd kłopotu nie będziecie mieli.
 Ostremi słowy zięci y groźbámi,
 Tak iako chciała, uczynić musieli.
 To opátrzywszy dálej poiechała,
 Y Krolá w drodze do siebie potkała.

* * *

Jam (pry) Kloryndá, iesli kiedy moie
 Imię, o Krolu, słyszałeś miánować:
 Przyiechałam tu áby państwo twoie,
 Y spolna wiará mogła się ratować.
 Miła mi woyná, y surowe boie,
 Chceszli mię w mieście, y w murzech sprobować:
 Chceszli y w polu, ná wszystkim gotowá.
 A Krol iey ná te odpowiedział słowá:

Mężna dziewico, y niezwyciężona,
 Zaden kray od nas nie iest tak daleki:
 Gdzieby twa dzielność nie była sławiona,
 O czem y pozne wiedzieć będą wieki.
 Będzieli z moią szablą twa złączona,
 Y twey to miasto dostanie opieki.
 W naywiększem woysku nie mam tey dufności,
 Ktorą mam w męstwie, y w twoiey dzielności.

* * *

Już niechay Goffred swoje woyská wiedzie,
 Niechay nie mieszka: á ia mu ślubuję,
 Ze pole stawię iefli bitwę zwiedzie,
 Iże mu strzymam, co mu obiecuję.
 Zołnierz co w mieście, y co ieszcze iedzie,
 Niech pod twą sprawą będzie, roskazuie.
 Ty nád wszytkimi będziesz hetmáníł,
 Zá co Kloryndá dzięki mu czyniłá.

* * *

Mowiąc tak daley: usłyszysz rzecz nową,
 Ze niesłużywszy o nagrodę proszę:
 Lecz iż ci służyć mam wolą gotową,
 Bspiecznie prośbę swą do ciebie niosę.
 Niech owych ná śmierć skazanych ogniówą,
 Zá upominek od ciebie odniosę.
 Zamilczę tego, że mam swe przyczyny,
 Dla których żadney w nich nie widzę winy.

* * *

To tylko powiem. Wszyscy rozumiecie,
 Ze Chrześcíanie obraz ten ukradli:
 Ale ia trzymam swoje przedsięwzięcie,
 Ze niewiecie kto, y żeście nie zgádli.
 Iá niewiem iáko zakon gwałcić śmiecie,
 Y po cóście go do Meszkity kładli,
 Nie godzi się nam mieć swoich bałwánów,
 Tem więcey tych co są u Chrześcíanów.

Niechay to każdy zá cud pewny liczy,
Ktory Máchomet bez wątpienia sprawił:
Niechcąc aby kto nowemi w świątnicy
Ołtarzow iego obrzędy plugawił.
Niechay swe czary máią czarownicy,
Niechby się Izmen iemi także bawił,
W te bałamuctwá my się nie wdawaymy,
Szablá rzecz naszá, y tey się trzymaymy.

* * *

Krol ná to lubo nie rad, y z trudnością,
Miał do litości myśl gniewliwą skłonić:
Lecz trudno było nie ludzkie się z gością
Obyść, y onych dwoygá ludzi bronić.
Dáruję ich (pry) zdrowiem y wolnością,
Y chcę ich ná twą przyczynę ochronić,
Lubo to dekret, lubo łáská, krzywi
Albo nie krzywi, niech zostáną żywi.

* * *

Rozwiązano ich: Wprawdzie Olindowy
Los był szczęśliwy, y máło słychány:
Bo miłość w sercu twardey białegłowy,
Miłością wzbudził, y z nagley odmiány.
Od ognia ná ślub oblubieniec nowy
Idzie, od swoiey miłey miłowány:
Ktora pozwala, aby z nią żył wiecznie,
Kiedy y umrzeć chciał z nią tak státeczenie.

* * *

Ale dzielności takiey Krol ostrożny
Nie dufał, y miał tego swą przyczynę:
Zá czem iáko chciał Tyran niepobożny,
Opuścili swą miłą Pálestynę.
Jednych precz z państwá wygániał niezbożny,
Drugich odsyłał, aż ná ukraine.
O iáko ciężko było máłe syny
Porzucác oycóm, y miłe rodziny.

A czyniąc dosyć przedsięwziętey radzie,
 Dorosłe tylko, y młódz urodziwą
 Wygnał: á dzieci iakoby w zakładzie,
 Y pleć niewieścią zostawiał lękliwą.
 Siłą ich myśląc o nowey osadzie,
 Błądzili roźnie, siłą pomsty chciwą
 Myśl w sobie máiąc do naszych iecháli,
 Y z Goffredem się w Emaus potkali.

* * *

Emáus miásto tak dáleko kładą
 Od Jeruzálem: kiedy wyjeżdżają
 Ze wschodem słońcá, choć nie spieśnie iádą,
 Gdy biie dziewięć właśnie przyjeżdżają.
 Nászy się cieszą że swych nie odiádą,
 Wszyscy się kwápią, wszyscy pospieszają:
 Ale południe iż iuż było blisko,
 Kazał tám Goffred obróc stánowisko.

* * *

Záczem namioty świetne rozbiáli,
 A wieczor też iuż prawie następował:
 Kiedy dwáy iácys w oboz przyiechali,
 Ze cudzoziemcy, stroy sam pokázował:
 Ze przyiaźń niosą tak się domysłáli,
 Ták sobie o nich każdy obiecował.
 Krolá z Egiptu beli to posłowie,
 Wprzod szły osoby, á pozad giermkowie.

* * *

Ten co wprzod idzie Aletem go zową,
 Z bárzo podłego oycá urodzony:
 Ale dowcipem, y słódką wymową
 Urosł u dworu, y był podwyższony.
 Co chciał to wszystko przewiódł swoią głową,
 Chytry, obrotny, fortelny, ćwiczony,
 A tak potwarzy swoje udác umiał,
 Ze drugi skargę zuchwále rozumiał.

Drugi był Argánt, Argánt urodziwy,
 Który w dalekich Cyrkásiech się rodził:
 Ten z cudzoziemcá (pátrzące iákíe dziwy)
 W Egypcie, równo z Sátrápami chodził.
 Wściekły, okrutny, hárdy, niecierpliwy,
 Uporny, y co z nikim się nie zgodził.
 Bogu sámemu ledwieby co złożył,
 A wszystkę słusność w szabli swej położył.

* * *

A skoro przystęp uprosili sobie,
 Posłano po nich przednieysze dworzány:
 Goffred w ubierze prostem w oney dobie,
 Ná niskiem stołku siedział między Pány.
 Lecz wielką dzielność znać było w osobie,
 Choć nisko siedział, choć nie był ubrany.
 Argánt się hárdy wszedwszy nie uklonił,
 Tylko co trochę ná doł głowy skłonił.

* * *

Ale wzrok Alet ná doł obrociwszy,
 Do samey prawie ziemi schylił głowę:
 Y rękę prawą ná pierśi włożywszy,
 Nisko bił czołem, niżli począł mowę.
 Potem łagodne usta otworzywszy,
 Wypuścił słodszą niżli miod wymowę,
 A niemal wszystko nászy rozumieli,
 Bo po Syriysku iuż nie źle umieli.

* * *

O ieden tylko godny náleżiony
 Bohátyrami władać tak mężnemi:
 Twoje są dzieła, dostane Korony,
 Y możne páństwo z tryumphy wielkiemi.
 Dźwięk twoiey sławy niezastánowiony,
 Miedzy słupami Herkulesowemi
 Nie został: ále y my o niey wiemy,
 Y o twem męstwie w Egypcie słyszemy.

Miedzy tak wielą nie naydzie żadnego,
 Coby się twoiem dziełom nie dziwował:
 Te w podziwieniu u Pána moiego
 Nie tylko były, lecz się z nich radował.
 Twych spraw słucha rad, á co u drugiego
 Jest w nienawiści, to on umiłował.
 A iż nie może wiara, więc przymierzem,
 Chce z tobą z wiąsku, y z twoiem żołnierzem.

* * *

Y z tem posłani do ciebie iedziemy,
 (Toż mu rádziła iego mądra ráda)
 Státiecznąć przyiaźń od niego nieśiemy,
 Milszy mu z tobą pokoy niżli zwádá.
 A iż usłyszał iáko to widziemy,
 Ze wygnąć z páństvá chcesz iego sąsiádá:
 Chciał, ábyć się to od niego odniosło
 Pierwey, niżby co złego ztąd urosło.

* * *

Jesli chcesz ná tem coś dotąd wziął woyną
 Przestáć, y rzeczy mieć uspokojone:
 A Pálestynę zachować spokojną,
 Y kráie ktore wziął pod swą obronę.
 Chce ubespieczyć swoją ręką zbroyną
 Páństwo, do końca niepostánowione.
 A kiedy się dwáy tak wielcy Pánowie
 Złączyćie, siedli Turcy y Persowie.

* * *

Wieleś uczynił zá tak mále czásy,
 Czego nie zniosą nigdy látá biegle:
 Swiádczą przebyte złe drogi, y lásy,
 Dobyte miásta, y woyská poległe.
 Ná co nie tylko zdumieli się nászy,
 Ale y kráie dáleko odległe.
 Páństwąć przyczynić ponno łatwie sprostáć,
 Ale nie możesz wiétszey słáwy dostáć.

Przyszła twa sława do kresu słusznego,
 Przeto wątpliwej wojny strzeż się wszędzie:
 Bo jeśli wygrasz, granic państwa twego
 Pomkniesz, lecz sławy nicci nie przybędzie.
 A jeśli zaś co przyjdzie przeciwnego,
 Hańbą, y strata pewna z tego będzie.
 Kłaść na niepewne pewne, rzekę śmieie
 Głupstwo iest wielkie, y na trochę wiele.

* * *

Ale podobno fortuna życzliwa,
 Ktorą się do tąd łaskawie stawiła:
 Więc y ta która w wielkich sercach bywa,
 Y z przyrodzenia w nie się wkorzeniła.
 Myśl władze wielkiej, y szerokiej chciwa
 Tak cię do wojny chętnem uczyniła,
 Ze bądziesz pragniesz wątpliwego boju,
 A niżli drugi pewnego pokoju.

* * *

Będąc powiadać abyś się gotował,
 Iść za pogodą którą sam Bog daie:
 A żebyś szable swej nie odpasował,
 Ktorą się do tąd szczęśliwie nadaie.
 Ażbyś Azyą do końca zwoiował,
 Y ażbyś wiarę y dawne zwyczaje
 Z niey wykorzenił: Piękne to są mowy,
 Skąd potem roście upadek gotowy.

* * *

Ale jeśli się rozumu poradzisz,
 A zbytnia dufność wzrokuć nie odbierze:
 Y ze wszystkimi zaraz się powadzisz,
 Wierząc mi, żeć się na wielkie złe bierze.
 Więc y na szczęściu niesłusznie się sądzisz,
 Bo to nie stoi nigdy w iedney mierze,
 Y ci co nązbyt w górę wylatają,
 Szwankują rądzi y na dół spadają.

Powiedz mi iesli będzie przeciw tobie
 Egypt, y w złoto możny, y w lud mężny:
 A Turczyn y Pers w teyże własnie dobie,
 Y Syn Kássanow ruszy się potężny.
 Sam przeciw wielom, iáko poczniesz sobie?
 Słáby, y że tak rzekę niedołężny.
 Czy ná posiłki Cesárzá Greckiego
 Spuścić się, z tobą chcesz zprzymierzonego?

* * *

Coż? áżás Greckiey wiáry nie świádomy,
 Z postępku tylko miárkuy iá jednego:
 O iáko często ten naród łakomy,
 Zły, chytry, prágnał zginienia wászego.
 Pomnisz to dobrze y dobrześ wiádomy,
 Iákoć niechciał dáć przeszcia bezpiecznego,
 Broniłci drogi y chciał cię hámować,
 A teraz ci ma krew swoię dárować?

* * *

Lecz ufasz ponno żołmerzowi twemu,
 Y masz nádzieię w Rotmistrzách ćwiczonych:
 A żeś to kilku skukłał po iednemu,
 Masz zwalczyć wespoł wszystkich ziednoczonych.
 Choć siła woysku ubyło twoiemu,
 Choć masz rot wiele niewczásem zmnieyszonych,
 Y długą woyną: choć rázem Turkowie,
 Uderzą ná cię Egypt y Persowie.

* * *

Ale niech będzie iákoś uprzádl w głowie,
 Zeć żaden w polu rowny być nie może:
 Niech táki wyrok uczynią Bogowie
 Iáki chcesz: przedię máłoć to pomoże.
 Bo (jedno mieysce day prawdziwey mowie)
 Głód cię zwoiuie, głód cię pewnie zmoże.
 Ten kiedy przypnie, wiesz dobrze co broi,
 Zádnych się kopiy y mieczow nie boi.

Przedtem niżliście z woyskiem następili,
Zboża społ do miast obronnych zwieżiono:
Miastá żywnością tylko opátrzyli,
Wśi w okolicy wszystkie popalono.
Iákoż się pytam będziecie żywili?
Kiedy wszystek kray wkoło ogłodzono,
Ale swey morskiej ufaćie Armaćie,
Tákli to z lekkich żywot wiatrow maćie?

* * *

Podobno ony ná twe roskazanie
Poydą gdzie każesz, y morze gniewliwe:
Głuche ná próśby, y ná narzekánie
Będzieć posłuszne, y będzieć życziwe.
Coż? áza Turczyn, Pers, Egipt, Hetmánie,
Złączywszy ná cię siły przyiázliwe,
Nie mogą wysłać na morzę okrętow?
Przećiwko tobie, dla potężnych wstrętow.

* * *

Dwarázyćby nas potrzebá porázić,
Y tu ná ziemi, y owdzie ná wodzie:
Iesli raz przegrasz, pierwszą sławę skázić,
Y háńbę przydać musiałbyś ku szkodzie.
Gdzieby zaś przyszło twych ná morzu zrázić,
Lud twoy ná ziemi zginąłby o głódzie,
A ieslibyście polem zaś przegráli,
Tám ci ná morzu mało by wskuráli.

* * *

Przeto iesli w twych rzeczách tak wátpliwych,
Gárdzisz przyiáznią Krolá tak wielkiego:
O twych przymiotách wszyscy osobliwych,
Mniey trzymać będą z postępku takiego.
Uymi, rádżimy, myśli woyny chćiwych,
A do pokoiu náklóń się świętego:
Niech wždy co wytchnie Azya po woynie,
A ty coś dostał, miey sobie spokojnie.

Y ciebie mądra rado, dzielna młodzi,
 Ktoraś się na tę wojnę z niem udała:
 Niech tak omylne szczęście nie uwodzi,
 Abyś chcąc nowych wojen szukać miała;
 Lecz iako żeglarz czyni swoiey łodzi,
 Co bezpiecznego portu doiechała.
 Jużbyście słusznie mieli żagle zbierać,
 A więcej na złe morze nie nacierać.

* * *

Tu przestał Alet, a mężni żołnierze
 Cicho się sami z sobą zszeptywali:
 A że się pokoy y ono przymierze
 Wszystkim niezdąło, twarzą znać dawali.
 Goffred poyżrzawszy na swoje rycerze
 Co wkoło stali, y tego czekali,
 Iaką odprawę mieli mieć posłowie,
 Tak Aletowey odpowiedział mowie.

* * *

Raz dosyć gładko, drugi raz z groźbami
 Poselstwo swego Pána sprawuiećie:
 Jeśli nas chwali, y w przyiaźni z nami
 Chce mieszkać; za to mu podziękuiećie.
 A że grozićie iakiemiś spiskami,
 W ktore y inszych do siebie wziąć chcećie,
 Abyście wszyscy przeciwko nam beli,
 Y wszyscy razem na nas uderzyli.

* * *

Tak macie wiedzieć: Cokolwiek na ziemi
 Y na morzuszmy do tąd ućierpieli:
 Wszystko dla tego, abyśmy z pańskimi
 Mury, grob iego święty wolny mieli.
 Więc y lud wierny szablami naszymi,
 Z ciężkiej niewoley wyiaćbychmy chćieli,
 Nátosmy miłe domy opuścili,
 Nátosmy żywot, y wszystko ważyli.

To przedsięwzięcie, y ten umysł stały
 Nie żadna chciwość świecka w nas sprawiła:
 Ty sam tę iędzę Panie wieczney chwały
 Wykorzeń z serca, ieśliby w kim była,
 Boday w nas takie myśli nie powstały,
 Sámá to ręká Boska uczyniła:
 Tá kiedy zechce twarde serce ruszy,
 Tá zkámieniáte pierśi łatwie kruszy.

* * *

Tá nas od przygod rozných záchowuie,
 Tá z niebespieczeństw wszelákich wywodzi:
 Znoy látu, zimie mrozy odeymuie,
 Błaga y wiátry, y morskie powodzi.
 Gory nam rowna, drogi nápráwuie,
 Zadna moc ludzka przez nię nam nie szkodzi.
 Táśmy mocnych miast y zamkow dobyli,
 Táśmy potężne woyská porázili.

* * *

Tá nam nádzieie, tá nam y śmiałości
 Dodáie, á nie żadne nasze siły:
 W Armaćie żadney nie mamy dufności,
 Greckie posiłki máłoby sprawiły.
 Bylesmy beli w iego opátrności,
 By się naywiętsze woyská zgromádziły:
 Ná naszą zgubę namniey się nie boiem,
 Kiedy pod iego mocną ręką stoiem.

* * *

Lecz ieśliby nas chciał zá nasze złości
 Skarác, y z swoiey wypuścić obrony:
 Ktożby z nas nie rad tám położył kości,
 Gdzie Bog y Pan nasz leży pogrzebiony?
 Pomrzemy rádźi w takiey státeczności,
 Szczęśliwszy niżli żywi z káżdey strony.
 Ale śmierć naszą będzie sławna wszędzie,
 Azya się z niey pewnie śmiać nie będzie.

Prawda że sobie pokoju życzymy
 Z Krolem Egypskiem, y przyjmiem go rądzi:
 Y z niem się pewnie rądzi ziednoczymy,
 Iesli się z nami umyślnie nie zwądzi,
 Ale iesli nic nie ma iako wiemy
 Do Palestyny; á coż mu to wądzi?
 Ze przeciw inszem wojnę podnośiemy,
 Kiedy z niem samem przyiaźń chować chcemy.

* * *

Bárzo był oną mową Goffredową,
 Iako pies wściekły Argánt urążony:
 Y nie krył się z tem, ále trzęsąc głową,
 Pomknął się daley ná plác zapędzony.
 Nie będziem się (pry) więcej ścierać mową,
 Krotko ia powiem iako niećwiczony:
 Kto niechce zgody, kto niechce pokoju,
 Niechay ma wojnę, niech się ma do boiu.

* * *

Potem u száty którą miał ná sobie,
 U obu przodków wziął obiedwie stronie:
 Y podniowszy ie wzgorę w oney dobie,
 (A twarz mu gniewem y pały skronie)
 Te upominki (prawi) niosę tobie,
 W lewem masz pokoy, wojnę w prawym łonie.
 Obierzże sobie ná ktore pozwolisz,
 A zaraz powiedz co chcesz, y co wolisz.

* * *

Ná postepek tak hárdy Argántowy,
 Y tak zuchwały wszyscy się gniewáli:
 Y nie czekając Goffredowey mowy,
 Wszyscy ná wojnę głosem zawołáli.
 On szatę wytrząsł, y rzekł temi słowy:
 Czegóście chcieli toście otrzymáli.
 Zdało się ná te słowa wymowione,
 Ze Jánus wrota otworzył zamknięte,

Y że z onego rzuconego łoná,
 Wypadł gniew wściekły, y zwádá krwie chćiwa:
 W oczy mu płomień kładłá Tyzyphoná,
 Y swą pochodnią Megerá złośliwa.
 Táki beł Nemrot kiedy wieżá oná
 Szłá przezeń wzgorę, y ták popędliwa
 Twarz iego bełá kiedy iá budował,
 Y z niey swą pychę niebu pokázował.

* * *

Potem rzekł Goffred; Powiedzćie Krolowi,
 Kiedy niechćiał żyć w swem państwie spokojnie:
 Niech się nam stáwi álbo ku Nyłowi
 Mypoydziem, tám się skosztuiem ná-woynie.
 Przedsię się zdáło cnemu Goffredowi,
 Uczęstowáć ich y dárowáć hoynie.
 Helm Aletowi dziwnie piękny dano,
 Ktorego wzięwszy Niceą dostano.

* * *

Argántowi zaś száblá się dostálá,
 Wszystkie perlámi y złotem sádzona:
 Robotá się w niey drożey szácowálá,
 Bo bárzo stucznie byłá urobioná,
 Z żelázá mu się bárziesy podobálá,
 Y stąd że byłá dobrze wyostrzona.
 Rzekł do Goffredá: Nie długo pokážę,
 Iáko sobie twoy upominek wáżę.

* * *

Zátém uderzył czołem Aletowi,
 Ieszcze dziś nocą wyiechác (pry) mogę
 Ku Jeruzálem, ty ku Egyptowi
 Iutro skoro dzień wypráwisz się w drogę.
 Wszak tám ná ten czas nic po mnie Krolowi,
 Ty odnieś wszystko, ia tám nie pomogę.
 Potrzebnieyszym tu gdzie słyszę o boiu,
 A ty się přęcey zeydżiesz do pokoju.

Nieprzyjaćiel się zaráz z Posłá sstaie,
 Lub źle, lub dobrze, nie słucha wywodów:
 Nie myśli, niedba iesli tem zwyczajie,
 Y prawo wszystkich uważy narodów.
 Spiesznie poiezdża, ciemney nocy łáie,
 Jerozolimskich kwápiąc się do grodów.
 Srodze mu przykre namnieysze mieszkánie,
 Ale y Alet iuż się skárzy ná nie.

* * *

Noc była ćicha, wiátry ubłágáne
 Nie ruszáły się, y odpoczywały:
 Zwierzętá wszytkie zá dnia sprácowáne,
 W iámách, y w leśiech sen odpráwowały.
 Ptástwá złotemi piory málowáne,
 Po swoich gniazdách sobie wytycháły.
 Y pod ćichego milczenia zasłóną,
 Trzymały pámięć we snie utopioną.

* * *

Ale y Goffred y mnieyszy wodzowie,
 A zgoła wszyscy prawie nic nie spáli:
 A Jeruzálem tylko máiąc w głowie,
 Ránego świtu z ochotą czekáli.
 A kto wymowi, á kto to wypowie,
 Jákobý rádzi miástá doiecháli?
 Co raz iutrzenki złotey wygládáią,
 A leniwemu dniowi wszyscy łaią.

KONIEC PIESNI WTOREY.

PIESN TRZECIA.

ARGUMENT.

Pod Syon woysko przyszło, które srodze
Kloryndá z ludzmi swoiemi witała:
W Erminiey się płomienie niebodze
Záymuią, skoro Tánkredá uyżrzála.
Lecz y on niemniey zágrzał się gdy w drodze
Kloryndá mu twarz gładką ukazała,
Dudon zábity, swoi go chowáią,
Cieśle dla drzewá w lásy wysyłaia.

Już wiatrek cichy wieiać ná świt rány
Znać dawał, że się iutrzenká ruszáła:
Ktora tem czásem w rożą przeplátány
Wieniec, swą złotą głowę ubierała.
Káždy ochotnie we zbroię ubrány
Ruszał się, kiedy ogromna zábrzmiála
Trąbá; y w głośnie bębny uderzono,
Záczem się woysku ruszyć roskazano.

* * *

Rostropny Hetman umie ich sprawowác,
Słodkie wędzidło ochoćie obiera:
Látwiey szaloną Wisłę nákierowác,
Kiedy swe wszystkie wody w kupę zbiera.
Látwiey wiatr wstrącić, łatwiey go hámowác,
Gdy Krepak z lasow wysokich odziera.
Kto zá kiem iść ma w drodze ukázuie,
Sam wszystkich w hufce dzieli y szykuie.

Ták spiesznie iada, że się im tak zdało,
 Jákoby sobie skrzydła przyprawili:
 Już się też słońce do południa miało;
 W ktorej więc bywa naygorętszey chwili.
 Kiedy się święte miasto pokazało,
 Mało co daley niżli w rowney mili:
 Wszyscy wesołe krzyki wypuszczają,
 A Jeruzálem pożądne witają.

* * *

Ták pospolicie żeglarze bywali,
 Ktorzy czas długi przez morskie bałwany:
 Pod cudzem niebem tam y sám pływali,
 Przez różne wiatrow szalonych odmiány.
 Kiedy nákoniec nędzni oglądali
 Miłą oyczyznę, y dom pożądany,
 Wzáiem go sobie pálcem ukazują,
 Y przeszłych więcej niewczasow nie czują.

* * *

Kiedy się tak w nich serdeczna krzewiła
 Rádość, y szczęścia dalszego otuchá:
 Po niey w nabożne myśli nastąpiła
 Pełna pokory Bogu miley skruczá.
 A bez wątpienia sámá to sprawiła
 Łáská Świętego w twárdych sercách Duchá.
 Nie śmie wzrok śmieie pátrzyć upłákány,
 Tam kędy odniósł Bog śmiertelne rány.

* * *

Ciche wzdychánie, słowá przerywane,
 Lzy á łykánie, tylko słyszeć było:
 Jákó więc czynią ktorzy zfrásowane
 Sercá swe máją, y zaráz iem miło.
 Táki dźwięk czynią lásy rozdymáne
 Od wolnych wiatrow, y kiedy ruszyło
 Znienagła morze ciche wałow słonych,
 O skále albo o brzeg odtrąconych.

Pierwszy wodzowie idą nogą bosą,
 Co widząc drudzy, także też czynili:
 Y kit, y pierza, u czapek nie noszą,
 Jedwab, y świetne stroie porzucili.
 O odpuszczenie grzechow Bogá proszą,
 Sercá y myśli gurne poniżyli.
 A ieśli z płáczu ktore słowo gwałtem
 Mogą przemówić, mówią takiem kształtem:

* * *

Tuś ná tem mieyscu raczył wieczny Pánie
 Krew swą przelewać, tuś raczył omdlewać:
 A ia, o grzeszny, teraz pátrząc ná nie
 Niegodnem okiem, nie mam łez wylewać?
 O wielka złości, o zápamiętanie,
 Czegoż się więcey po tobie spodziewać?
 Kámiennie serce, ieśli się nie ruszysz,
 Jeśli się teraz od żalu nie kruszysz.

* * *

Ná ten czas w mieście z conawyzszey wieże,
 Co wszystkie strony z gury odkrywála:
 Jeden kurzawy z daleką postrzeże,
 Ktora się iáko chmurá iáka zdála.
 Właśnie tak gdy się ná deszcz wielki bierze,
 Błyskawica się po niey przebiegála.
 Lecz blásk ktory z zbroy świetnych wyskákował,
 Konie y ludzie potem ukázował.

* * *

Ten pocznie wołać: O iáki z kurzawy,
 O iáki z prochu obłok widzę z gury,
 Jáko naypręcey mieycie się do sprawy,
 Straży zówódcie, opátruycie mury.
 Już teraz inszey nie trzebá zabawy,
 Podnoście wálow, záprawuycie dziury.
 Pátrcie iáki tám proch idzie do niebá,
 Nieprzyaciél to, do zbroy się mieć trzebá.

Niespodziewaną wszyscy zięci trwoga:
 Lękliwa biała pleć, y ludzie zeszli:
 Bogom oddając oyczyznę ubogą,
 Do swoich Meszkit małe dzieci nieśli.
 A ci co duży, y co się bić mogą,
 Pod chorągiew się y do bębnow zeszli.
 Co żywo do bram bieży, mosty wzvodzi,
 A Krol sam wszystkich z pilnością obchodzi.

* * *

To sporządziwszy nic się tam nie bawił,
 Ale na wieżę szedł, którą uczony
 Tak budowniczy przy bramie postawił,
 Ze z niej na wszystkie widać było strony.
 Po Erminią skąd záras wyprawił,
 Którą był przyjął litością ruszony
 Do siebie na dwor, kiedy iej dobyto
 Antyochiey, y oycą zabito.

* * *

Wtem już Kloryndá beła wyiechála,
 A za nią hufiec iezdy szedł niemący:
 Ażeby náзад łączny odwrot miała,
 Argánt iej czekał w bramie między wały.
 Wszystkiem ochoty swoim dodawała,
 Ukázuiąc twarz y swoy wzrok zuchwały:
 Dziś się nam (práwi) trzebá dobrze stawić,
 Y na początku coś dobrego sprawić.

* * *

Ledwie te słowa do nich wymowila,
 Kiedy się stroną rotą ukazała:
 Co stádo owiec y bydlá pędziła,
 Y do obozu náзад się wracała.
 Ná rączem koniu záras poskoczyła,
 Y z Rotmistrzem się co wprzód szedł potkała.
 Gard był Rotmistrzem człowiek wielkiej siły,
 Lecz iego siły małe ku iej były.

Zbiła go z koniá ná pierwszym potkaniu,
 Co y poganie y naszy widzieli:
 Ze się iem w onem pierwszym hárcowaniu
 Zdárzyło dobrze, zá szczęście to mieli.
 Ták meźnie nászych w onym uganiániu
 Gromiła, że się oprzec áni śmieli:
 Co ras to barżiey z swemi nácierála,
 Y móże ták rzec, że ná nich iechála.

* * *

Tak nászy korzyść zdobytą strócili,
 Co iem sromoty więcey przyczyniło:
 Toli ná wzgórek spráwą ustąpili,
 Gdzie iákokolwiek mieysce ich broniło.
 Goffred wtym kinie: Niechay ich pośili
 Tánkred, co iemu słyszeć było miło.
 Jáko więc piorun wypada z obłoku,
 Tak ná nich nátarł, y przyskoczył z boku.

* * *

Drzewo ták złożył, y ták potem toczył
 Swem dzielnem koniem Tánkred pomieniony:
 Ze Krol rozumiał gdy go z wieże zoczył,
 Ze to był rycerz iakiś doświadczony,
 Y Erminiey pytał kiedy skoczył,
 Co z niem pátrzáła ná utárczki ony.
 Tyś Chrześciány często widywála,
 Y podobnobyś y tego poznála.

* * *

Nic Erminia nie odpowiedziála
 Ná to, o co iey ná ten czas pytano:
 Ale westchnęła y tylko plákála,
 Miásto słów ktorych od niey wygládano.
 Wprawdzie plácz w sobie przez dzięki trzymála,
 Lecz nie ták przed się aby nie doyżrzano:
 Kiedy nie pełne westchnienie puściła,
 Y bawelnicę łzami omoczyła.

Potem tak rzeczę skrytą pokrywając
 Miłość, zmyślonej płaszczem nienawiści:
 Miałabym go znać, kiedy podiezdżając
 Pod mury, choć nań nacierali wszyscy,
 Mordował moich, w przykop naganiając,
 Więźnie y wielkie często brał korzyści.
 Ach iako biie, iego rany zgoła
 Nie zlecza czary, ani żadne zioła.

* * *

Tánkred mu dzieią: Gdzieżbem to tak była
 Szczęśliwa kiedy, żebym go dostała:
 Ale żebym się nad niem napaściła,
 Zywegobym go rączy rąda miała.
 Taką iey mowę obracało siła
 Jnaczy, niżli ona rozumiała.
 Z płaczem z mięszala te ostatnie słowa,
 Srogiem zágrzana ogniem białagłowá.

* * *

A wtem Klorynda widząc przeciw sobie,
 We wszystkim biegu rzeźwiego ionaká:
 Skoczyła także z drzewem w oney dobie,
 Chcąc go ugodzić w gębę nieboraka.
 Trafili się w łeb, y skruszyli obie
 Drzewá, iey się sznur zerwał u szyszaká:
 Y spadł iey z głowy ná ziemię, ze potem
 Błysnęła twarzą, y warkoczem złotem.

* * *

Oczy się iako słońce rozświeciły
 Wdzięczne, chocia się była rozgniewała:
 Coż? kiedyby się do śmiechu skłoniły,
 Coż? kiedyby w nich łaskę ukazała.
 Nie stoy Tánkredzie: On ci to wzrok miły,
 Oná twarz piękna cóć się podobała,
 Kiedyś iá znałás z tráfunku u zdroiu,
 Po zbyt gorącym uprągniony znoiu.

Táńkred co przedtem nie był ná to dbáły,
 Jáką tarcz miałá, w iakiey byłá zbroi:
 Pożnawszy iá w twarz teraz, zkámieniáły,
 Y iáko martwy w ziemię wryty stoi.
 Oná náciera, on na inszych śmiáły,
 Jey się obrázić, iey się ránić boi.
 Ná inszych śiecie, ná nią żadnem kształtem
 Niechce, chocia go oná goni gwałtem.

* * *

Nie biie wzáiem rycerz uderzony,
 Y nie ták się iey ostrey száble chroni:
 Jáko śmiertelnem grotem przerażony,
 Jey piękney twarzy pilnuie w pogoni.
 Mowi sam z sobą: otom nie rániony,
 Chocia mam ciężkie razy od iey broni.
 Ale te cięcia ktore wypadają
 Z iey piękney twarzy, w serce ugadzają.

* * *

Nákoniec ná to skłonił myśl wátpliwą,
 Aby nie umarł miłośnik nieznány:
 Chce prosić aby nie byłá tak mściwa
 Nad tem, co iey iest wiezień y poddány.
 Ty (práwi) koraś ták nielitościwa,
 Ze mnie sámemu tylko dáiesz rány:
 Wyiedz kęs od swych tám się skosztuiemy,
 Tám się ktory z nas mężnieyszy, dowiemy.

* * *

Skoro Kloryndá tych słów wysłuchála,
 Ná to podanie iego pozwoliła:
 A że bez hełmu byłá, nic niedbála,
 Y ták go z głową odkrytą goniła.
 Uciekał Táńkred, ále go dognála,
 Y doganiáiąc trochę go rániła.
 Stoy (rzecze do niej) pierwey zázwrzeć mamy
 Pewne umowy, niżli się potkámy.

Stąnęła zaráz ná tę iego mowę,
 Jemu też miłość dodała śmiałości:
 Tę (práwi) zemną zachoway umowę,
 Nim dobrowolnie umrę od żałości.
 Wydrzy mi serce, álbo utni głowę,
 Kiedy mieć nie chcesz nádemną litości.
 Twoje to serce, á iefli go żywo
 Nie chcesz mieć, niechay umrze kiedy krzywo.

* * *

To serce winno, y te pierśi krzywy,
 Przebiy ie mieczem, átoć ich nie bronię:
 Chceszli też z prętkiey strzelić w nie cięciwy,
 Y zbroię zdyimę, y páisz odsłonię.
 Chciał ieszcze dáley Tánkred nieszczęśliwy
 Skárżyć fię, od swych dáleko ná stronie.
 Lecz onę skargę, ono nárzekanie,
 Przerwali ludzie co przypádlí ná nie.

* * *

Bo nieprzyiaćiel od nászych pędzony,
 Lub chytrze, lubo od prawdy uchodził:
 Nász ieden widząc włos iey rozpleciony,
 Ktory po wietrze y tám y sám chodził.
 Skradł fię y przypadł w tył niepostrzeżony,
 Aby ią w głowę odkrytą ugodził.
 Krzyknie nań Tánkred srodze wylękniony,
 Kiedy ná nię miecz wyrzał wynieśiony.

* * *

Przedsię iey trochę drasnął w koniec głowy,
 Bo raz był słaby iako to kwąpiony:
 Jey wárkocz złoty táki miał blásk nowy,
 Kilką kropli krwi rumiáney zmoczony,
 Jáki więc miewa kámién rubinowy,
 Misterną ręką w złoto oprawiony.
 Roziadł się Tánkred y z dobytą bronią,
 Zá tem ktory ią ranił, szedł w pogonią.

Támten uciekał ledwie więc z ciężkiw
 Puszczona strzalał tak prętko biegał:
 Tá się zdumiała widząc one dziwy,
 Lecz daley biegać za niemi niechciał.
 Ale skoczywszy swoy lud boiażliwy,
 Y uchodzących ná zad nawracał.
 Czasem naciera, tył podaje czasem,
 Y tem fortelem bárziefy szkodzi naszym.

* * *

Rownie tak szczwany ná puszczy zubr srogí,
 Kiedy ucieka, wszyscy go psi gonia:
 A iesli stanie, y obroci rogi,
 Nie nacieraia y daleko stronia.
 Dzielna Klorynda broni strzałom drogi,
 Tarczą za soba trzymiając w pogonia.
 Od wyćisnionych tak się zasłaniaia
 Trzcín Murzynowie kiedy uciekaią.

* * *

Kiedy tak długo oni uciekaiąc,
 A nasz goniać pod mur podieżdżali:
 Nieprzyiaciele swe fortele maiać,
 Ná zad się zaśię z prętką obracali.
 Y iako znowu śmieie nacieraiać
 Ná naszych z tyłu y z boku strzelali.
 A wtem też Argánt ná co dawno godził,
 Naszem ná czoło z swoiemi zachodził.

* * *

Daleko od swych Argánt się wysadził,
 Chcąc się sam potkać naprzod przed wszystkimi:
 Pierwszy w ktorego kopia zawaodził,
 Został y z koniem obalon na ziemi.
 Nikt mu niezdolał, żaden mu nie rádził,
 Nikt nieporownał z niem miedzy naszymi.
 A gdzie się z mieczem ogromnym zawiął,
 Kilka ich razem, rzadko ieden, zginał.

Kloryndá także mężnie się stawiła,
 Ardeliona Rotmistrza stárego
 Ná obie stronie sztychem przepędziłá:
 Dwu tusz przy sobie synow máiącego,
 Bárzo szkodliwie przez pierśi rániła
 Alkáliándrá, syná co stárszego.
 Polfernus młodszy ledwie uszedł zdrowy,
 Od ostrey szable mężney biáteygłowy.

* * *

A kiedy nie mógł Tánkred zápędzony
 Dognąć owego, bó miał koń leniwszy:
 Ze się dáleko uniosł zágoniony
 Lud iego, uyrzał, wzad się obrociwszy.
 A widząc że był zewsząd okráżony,
 Biegł mu na pomoc koniá rospuściwszy.
 Zá niem poskoczył pułk niezwyćiężony,
 W naygorszych ráżiach záwsze doświadczony.

* * *

O pułku mowię sławnem Dudonowem,
 (Będzie go Muzá często wspominała)
 Przed niem wprzód Rynáld szedł w kiryśie nowem,
 A uroda go sámá wydawała.
 Po białem Orle w polu lázurowem,
 Erminia go zarázem poznála.
 Rzecz Krolowi co nań pátrzył pilnie,
 O tem ci co wiem, powiem nieomylnie.

* * *

Z tem żaden w dziełach niezrowna Marsowych,
 Choć mu szesnaście dopiero lat liczą:
 Kiedyby sześci Goffred miał takowych,
 Jużby Syrya beła niewolniczą.
 Látwieby przez miecz państw dostał wschodowych,
 Y Krolestw ktore z południem grániczą.
 Sam Nyl choć głowę tak dáleko kryie,
 Pewnieby musiał mieć łańcuch u szyie.

Rynáld mu dzieią: Jego rozgniewáney
 Ręki się srodze nieprzyaciół boi:
 Ten zaśię drugi w zbroi smálcowáney,
 Co się po prostu y státeczenie stroi,
 Dudo iest z Konse, ktory tey wybráney
 Roty iest wodzem, co to z nim stoi,
 Rycerz to wielki choć ma zeszłe láta,
 Siła ten widział, siła zwiedził świata.

* * *

To zaśię drugi w czarnem złotogłowie
 Gernánd, rodzony Krolá Norweyskiego:
 Ten taką pychę uprzął sobie w głowie,
 Ze w świecie niemasz nádeń zacnieyszego.
 Z tych dwu zaś támten Odoárd się zowie,
 Tá Gildylippá z dzieła rycerskiego
 Sławni, lecz ieszcze sławnieyszy z miłości,
 Y z zobopolney ku sobie szczerości.

* * *

Słucháiąc Krol tey Erminiey mowy,
 Widział że iego ludzie iuż przegráli:
 Bo mężny Rynáld, y Tánkred surowy,
 Już ich z obu stron beli rozerwali.
 Gdy zaś potem polk nátął Dudonowy,
 Nikt się nie opął, wszyscy uciekali.
 Sam od Rynáldá koniem potracony,
 Ledwie wstał z ziemié Argánt obálony.

* * *

Y niewstałby był po tem uderzeniu,
 By Rynáldowi koń był nie szwánkował:
 Zą ozem mu nogá uwięzła w strzemieniu,
 Y zmieszkał trochę niżli iey ratował.
 Nieprzyaciół też po tem pogromieniu,
 Do miastá pod mur rączo ustępował.
 Samá Kloryndá tylko w oney dobie
 Z Argántem, wszystkich trzymála ná sobie.

Y on y oná mężnie y státecznie,
 Postawiając wraz, tak naszych wspierali:
 Ze iako tako mogli uść bezpiecznie,
 Ci co do miastá naprzód uciekali.
 Dupon zaś chćiwy chce szczęścia koniecznie
 Pierwszego záżyć: śieczy, biie, wáli,
 Raz tylko w łeb ciał mężnego Tygráná,
 A zdechł zarázem, taka była ráná.

* * *

Nic nie pomogła zbroiá Korbánowi,
 Ani Hálemu szyszak známienity:
 Obu od szyie tak ciał ku brzuchowi,
 Ze duszá zaráz wypadła z ielity.
 Z zawoim łeb zdiał Alimánsorowi,
 Máchomet poległ ná wylot przebity:
 Nákoniec y sam Cyrkászczyk się boi,
 Gdzie poyrzy, widzi, iako Dudon broi.

* * *

Zgrzyta zębami Argánt rozgniewány,
 Zastánawiał się, lecz czasem uchodził:
 Wtym iakoś przypadł mało spodziewány,
 Y pod zbroię go koncerzem ugodził:
 Utopił go w niem, á od oney rány,
 Dudon iuż więcej po świecie nie chodził.
 Ległś (niestetysz) Rycerzu wybrány,
 Y uiał cię sen twardy nieprzespány.

* * *

Trzykroć się wspierał y podnosił oczy,
 Chcąc co słonecznych záchwyć promieni:
 Trzykroć upadał, pierwszey zbywa mocy,
 Polega, blednie, y wszystek się mieni.
 Nákoniec oczy ciężkiey pełne nocy
 Zawarł, y poszedł do podziemnych cieni.
 A Argánt skoro tę robotę sprawił,
 Biegł wciąż, y nic się nád trupem nie bawił.

A choćia zlekká do swych ustępował,
Czássem się wracał, y naszych wyzywał:
On to miecz co mi Hetman wász darował,
Dayćiesz mu sprawę iakom go używał:
Y odnieście mu że go będę chował,
Y ládá iáko nie będę go zbywał.
Mniemam że mu to slyszeć będzie miło,
Ze mi się iem tak szczęśliwie zdárzyło.

* * *

A powiedźcie mu, że y sam skosztuie,
Jáko iest dobry, iáko doświadczony:
Y że go prętko sam w boku poczuie,
Kiedy w niem także będzie utopiony.
Slysząc to naszy iáko ich szkáluie,
Skoczyli zá niem śmieie przez zagony:
Ale on iuż był ustąpił pod mury,
Pod pewną básztę, z ktorey bito zgury.

* * *

Tem ktorzy murow wysokich bronili,
Drudzy kámienie gęste z dołu nieśli:
Y naszych z łukow wiele poszkodźili,
Co byli blisko pod mury podeśli.
Ták nie bez szkody náзад się wroćili,
A Sárrácceni do swych w miásto weszli.
Już też y Rynáld prozen oney trwogi,
Wstawszy z podkonia dobył sobie nogi.

* * *

Biegł wielkiem pędem chcąc ná Cyrkászczyku
Zemścić się srogiey śmierći Dudonowey:
Krzyknie ná swoich, co po pólkowniku
W oney przygodzie smętnie stali nowey.
Takli stać tylko dármo maćie w szyku?
A nic nie czynić w żáłości takowey:
Czemu się wodzá nášzego nie mściemy?
Czemu do murow zaráz nie bieżemy?

Niechay z żelázá, niechay będą z stali,
 Z básztámi iáko nawárownieyszemi:
 By wszyscy co ich ná nich tákże stali,
 Nie będzie Argánt bezpieczy zá niemi.
 Będą się y tám Sárraceni bali,
 Ja wprzod do szturmu poydę przed wszystkiemi.
 To rzekszy skoczy ku wysokiey ścienie,
 Niedba ná strzáły, ognie, y kámienie.

* * *

Ogromną głowę y oczy gniewliwe,
 Y strászliwą twarz tám y sám obraca:
 W nieprzyiaćciólách trwożą się lęklive
 Sercá, mniemáią że iuż mur wywraca.
 Kiedy ták Rynáld swołie szturmu chćiwe
 Prowadził pod mur, Sygier ie závraca:
 Przez ktorego więc zázwsze odpráwował,
 Gdy co wázneho Goffred roskázował.

* * *

Ten pocznie wołác: bárzośćcie to śmieli,
 Wroćić się ná zad Goffred roskázuię:
 Będziecie inszy czas do szturmu mieli,
 Ktorego teraz Hetman nie ná yduię.
 Skoro te iego słowá usłyszeli,
 Stánęli wszyscy, Rynáld się hámuie:
 Lecz gniewu twarzą nie bárzo pokrywa,
 Hetmáná ná zhyt ostrożnem názywa.

* * *

Ták nášzy ná zad ustąpili cáło,
 Bo Sárraceni ná nich nie wypádlę:
 Potem umarłe Dudonowe ćiałó,
 Cni towárzysze ná rámioná kładli.
 Y do obozu (ták się wszystkiem zdáło)
 Prowadzili ie smętni y pobládlę.
 Tem czasem Goffred oględowál z gury
 Mieyskie przykopy, y wysokie mury.

Jerozolimá ná dwu gurách leży,
 Ktore uśiadły własnie przeciw sobie:
 Jedná z nich wyższa, śródkiem wielka bieży
 Doliną, która dzieli gory obie.
 Ze trzech stron (ná czem niemáło zależy
 Ták ku obronie, iáko ku ozdobie)
 Zbyt przykry przystęp, ále bok pułnocny,
 Kędy rowniná ma mur bárzo mocny.

* * *

W Mieście, y kryníc, y studzien iest wiele,
 Y lochow ziemnych ná deszczowe wody:
 W polu wod niemász, trawá áni ziele
 Nie roście, rzadko gdzie widáć ogrody.
 Wszystko wygore, ták iáko w popiele,
 Drzew niemász w polu, ktore czynią chłody:
 Lás tylko ieden widáć ná pułtory
 Mile od miastá, y gęsty y spory.

* * *

Ná wschod skąd ránne wychadzą zorce,
 Ma Jordanowe wody przeźrzoczyste:
 Ná zachod słońcá międzyziemne morze
 Z dáleká widáć, y brzegi piaszczyste.
 Przeciw pułnocy Samárya orze,
 Y płodna Bethel polá rozłożyste.
 Ku południowi Betleem záległá,
 W ktorey dziewica niezmázána zległá.

* * *

Kiedy ták Hetman mury oględował,
 Y Syońskiego miastá położenie:
 A z ćwiczonemi ludźmi upátrował,
 Zkądby łatwieysze było obleżenie.
 Krolowi ktory ná wieży pilnował,
 Erminia go ná pierwsze weyźrzenie
 Poznawszy, pálcem ukazała potem,
 Onoż się Goffred świeci w płaszczu złotem.

Ten do Krolestwá właśnie się urodził,
 Y rosłázować, y być umie Pánem:
 A iest (w co rzadko kto kiedy ugodził)
 Dobrem żołnierzem, y dobrem Hetmanem.
 Niewiem ktoby go w tey kupie przechodził,
 Y któryby z niem miał bydz porównánem.
 Tánkred z Rynáldem równo się z niem kładzie
 W dzielności, ále Ráymund tylko w radzie.

* * *

W tem Krol ná piękną weyźrzał Erminią,
 Y rzekł: Pomnię go ná Fráncuskim dworze:
 Kiedy w Páryżu goniwał z kopią,
 A nie był ieszcze w słuszney swoiey porze.
 Jam wten czas posłem náwiedził Fráncyą,
 Gdy Krol Egipski słał mię tám przez morze:
 Młodzienczykiem był, a iuż głos był taki,
 Ze z niego miał być wielki człowiek iáki.

* * *

Prawdęć mówili: To kto? co ozdobny
 Płaszcz ma ná sobie, złotem przetykány:
 Twarzą y wzrostem bárzo mu podobny,
 Pewnie ktoś zaczął miedzy Chrześciany.
 Tá mu odpowie: y to rycerz godny,
 Bálldowin własnem imieniem názwany,
 Brát iego własny, co y twarz wydaie,
 Lecz bárżiey sprawy, y cne obyczaie.

* * *

Ten zaśię stárzec co to z siwą głową,
 A zda się że coś na pálcách ráchuie:
 Mądry, ostrożny, Ráymundem go zową,
 W sztukach woiennych nikt go nie celuie.
 Równego rádą, y słódką wymową
 W woysku mu wszystkiem Hetman nie náyduie.
 To zaś iest z kitą u hełmu złotego
 Gwilelm, syn młódszy Krolá Angielskiego.

Gwelf podle niego stoi urodzony
 Z stárożytney krwi Włoskiego narodu:
 Z męstwá, z zacności dáleko wślawiony,
 Znam go z postawy, y z sáмого chodu.
 Ale ná wszystkie pilnie patrząc strony,
 Nie mogę naleść skażce mego rodu.
 O Boemundzie mowię okrutniku,
 Moiey krolewskiej krwi prześládowniku.

* * *

Ták Erminia z Krolem rozmawiała,
 Ktory się bárzo iej powieścią trwożył:
 A widząc Goffred, że gdzie przykra skála
 Trudnoby szturmem Jeruzalem pożył.
 W rowninie ktora północney sięgála
 Bramy, namioty, y oboz położył.
 Y aż do wieże narożney záymował,
 Y kto gdzie miał mieć stanie, ukázował.

* * *

Trzecią część miastá ledwie obegnáło,
 Y to nie spełná woysko Goffredowe:
 Bo niepodobna, áby było miáło
 Wszystko okráżyć koło obozowe.
 Ale ná drogi ktoremi czekało
 Pośilkow iakich, słał ludzie gotowe:
 Ktoremi wszystkie goścince osadził,
 Gdzieby kto żywność, álbo lud prowadził.

* * *

Wtem kazał áby oboz umocnili
 Wielkiem przykopem, áby ták był cáło:
 Jeśliby z miastá wyćieczkę czynili,
 Albo też z polá chciał kto nátrzeć śmiało.
 A skoro przykop przy niem wymierzili,
 Jechał oglądać Dudonowe ciało:
 Gdzie zastał pierwszych towarzyszow czoło,
 Ktorzy plákali, stojąc nád niem wkoło.

Ci go ná máry wysokie włożyli,
 Goffred widząc go, żałość swą pokrywał:
 Twarz niewesołą tem co nań pátrzyli,
 Y nie bárzo teź smętną ukazywał.
 Ták powiádali co tám w ten czas byli,
 Ze się nań pátrząc długo zámýśliwał:
 Myśliwszy długo, potem podniósł głowę,
 Y taką nád niem uczynił przemowę.

* * *

Coć po lzách naszych? Rycerzu wybrány,
 Ten jest nas wszystkich koniec ostateczny:
 Tuś umárł, tám wiek żyiesz nieprzetrwany,
 Z chytrego morzá wszedszy w port bezpieczny:
 Jákoś żył, tákeś umárł bez przygány,
 Ty teraz w niebie odpoczynek wieczny:
 Y zá pobożność, y zá twoie cnoty,
 Zá śmierć o wiarę, wieniec bierzesz złoty.

* * *

Tam żywiesz wiecznie, á my tu płáczemy
 Nie twego, ále nieszczęścia naszego:
 Y sámych siebie lepszą część nieśiemy
 Zá tobą, z zeszćia żałosni twoiego.
 Ale iefli nas tą którą zowiemy
 Smiercią, pozbáwi ráttunku ziemskiego:
 Ná to mieysce, nam ná płácz y frásunek
 Uprośisz w niebie niebieski ráttunek.

* * *

A jákoś będąc w tem śmiertelnem čiele,
 Śmiertelney broni nam gwołi dobywał:
 Ták teraz bęđziesz ná nieprzeiáćiele,
 Nie ziemskiej, ále niebieskiej używał:
 Y iuż čię od tąd twoy będzie w kościele.
 Lud, o ráttunek w złych przygodách wzywał:
 Y ślubyć odda pełen nabożeństwą,
 Zá zdárzone z twej przyczyny zwycięstwą.

Tak mowił: zatem noc następowała,
 Y iuż wszystek świat pod swe skrzydła kryła:
 A nárzekanie y lzy hámowała,
 Y w niepamięci słodki żal topiła.
 Ale Hetmána troská nie puszczała,
 Y snu mu máło, ábo nic życzyła:
 Myśli skąd tramow ná tárány zdobyć,
 Ktoremiby mógł Jeruzálem dobyć.

* * *

Wstał równo ze dniem, chciał sam iść za ciałem,
 Ktore przedniejszy wszyscy prowadzili:
 Gdzie mu z Cyprysow przy págorku málem
 Grob towarzysze iego postawili
 Tuż przy obozie: nád niem z okazałem
 Liściem, gąłęzie wielka pálmá chyli:
 Tám go włożyli, tem czasem śpiewáli
 Kápłani zóltarz, y Bogá błágáli.

* * *

Świetne chorągwie między gąłęziami
 Porozwiali, dostáne w Syryey:
 Z roznem rynsztunkiem, z rozniemi łupami,
 Których szczęśliwie zdobywał w Persyey.
 We śrzodku zbroiá y z nakolánkami,
 Y z hełmem złotem tkwiála ná kopiey:
 A napis táki ná wierzch był włożony,
 Tu wielki Dudon leży położony.

* * *

A skoro Goffred pogrzeb ten odprawił,
 Rádził iakie miał porobić Tárany:
 Cieśle wojskowe do lasá wyprawił,
 Przydawszy iem lud lekki y przebrány:
 Który w dolinach skryty był, obiáwił
 Nászym Syryczyk ieden poimány:
 A ói iecháli drzewo wyprawować,
 Z ktorego mieli Tarány budować.

Jeden drugiego wzajem nąpomina,
Aby robotę wskok odprawowali:
Záraz się walić głuchy las poczyna,
Cedry, Cyprysy, Topole rąbali.
Ten buki twarde, y iešiony ścina,
Ten wielkie sośnie, y iedliny wali:
Drudzy wysokie ćiosali modrzewie,
Drudzy gąłęzie ścináli ná drzewie.

* * *

Swierki y dęby ogromne spadały,
Pod same prawie niebo wyniešione:
Co się piorunom nie raz opierały,
Y nic niedbały ná wiatry szalone.
Leśne dryády w pole ućiekały,
Gwałtem z oyczyzny miłey wypędzone.
Ptastwa powietrzne, y zwierzęta samy
Poopuszczały, y gniazdá, y iámy.

KONIEC PIESNI TRZĘCIEY.

PIESN CZWARTA.

ARGUMENT.

Wszystkiew piekielney zwoływa czeladzi
Do iedney kupy, Pluton zagniewany:
Ktorą naywięcey dla tego gromadzi,
Aby szkodzili zewsząd Chrześciani.
Zá ich powodem Hidrát się rádźi,
Z swoją Armidą, y chce aby Pány
Co naprzednieysze swą gładkością bodła,
Y uwikłane miłością uwiodła,

Kiedy tak pilnie, y tak ukwápliwie
Robili cieśle do lásá posłáni:
Ná Chrześciani poyrzał nieżyczliwie
Strászliwy tyran piekielney odchláni.
A widząc ze się iem wiodło szczęśliwie,
Y że od Bogá beli miłowáni.
Z iádu się kasał, y iáko byk ryknął,
Tak mu ból serce przeiał y przeniknął.

* * *

Chce wszystką mocą trapić Chrześciani,
Według swojego dawnego nálogu:
Ná to duchow złych zbor sobie poddány
Zbiera, do swego Krolewskiego progu.
Mniema tak sprosny głupiec opętány,
Ze to rzecz łatwia, przeciwić się Bogu.
Y niechce pomnieć szaleniec przeddzieki,
Jáki z gniewliwey piorun iego ręki.

Ogromną trąbą Lucyfer zuchwały
 Kupi do siebie mieszkańce podziemne:
 Ktorey się straszne dźwięki rozlegały,
 Przechodząc pieklá, y przepáści ciemne.
 Nigdy tak nieba ogromnie nie grzmiáły,
 Gdy miecą gromy ná doliny ziemne.
 Nie tak ziemiá drży, y trzęsie się ná dnie,
 Gdy wiátr chce wypáść, co się w nią ząkrádnie.

* * *

Zbiegli się zaráz piekielni duchowie
 Ná páłac, w którym mieszka Pluton srogí:
 W rożnych postaciách, á kto ie wypowie?
 Strach y wspomináć: iedni kurze nogi,
 Drudzy wielbłądzie, trzeci máią krowie,
 Są y ci ktorzy ná łbie niosą rogi:
 Jasz y ząś wárkocz z wężow upleciony,
 Y smocze noszą zą sobą ogony.

* * *

Widziałbyś tám beł Arpiie nieczyste
 Centaury, Sphingi, wybladłe Gorgony,
 Y szczekájące Scylle zawiesiste,
 Gwizdzące Hidry, świszczące Pitony,
 Chimery sadze pluiące ogniste,
 Straszne Cyklopy, srogie Geryony.
 Y wiele dziwow nigdy niewidanych,
 Z rożnych postaci w iedne pomieszanych.

* * *

Stársze po prawey posádzono stronie,
 Po lewey młodsze, y nie tak wspániáte:
 We śródku Pluton strąszliwy ná łonie
 Trzymá żelázne sceptrum zárdzewiáte,
 Ták beł sam w sobie ták wielki w ogonie,
 Ze się y Alpy przy niem zdáły máłe:
 Y Atlás choćia sięga pod obłoki,
 Nie iest ták wielki, ani ták wysoki.

Oczy miał wściekle, wzrok by u Komety,
 Powagę mu twarz surową czyniłá:
 Wszystek był czarny od głowy do pięty,
 Kosmate pierśi, gęsta broda kryłá.
 Mięszszy u gęby wąs wiśiał pomięty,
 W czele miał ieden, we łbie rogów śilá:
 A ukrwáwiona gębá bełá táka,
 Jáko głęboka straszna przepáść iáka.

* * *

Jáko Mongibel zaráźliwe páry,
 Y smrod wypuszcza, ták y iemu z gęby
 Smierdziáło właśnie, á z nosá bez miáry
 Puszczáł (áż brzydko) plugáwe otręby.
 Gdy poczáł mowić, umilkł Cerber stáry,
 Hidrá ścisnęłá wylęknioná zęby.
 Cofnął się Kocyt, Abissy zadrząły,
 Kiedy iego słów strászliwych słucháły.

* * *

Zacne Książętá, godnieyszy ná niebie,
 Mieszkáć nád słońcem, skąd rod prowadzićie:
 Których niesłusznie Bog wypchnął od siebie
 Z Państw, do których z niem równo należyćie:
 Báł się nas pewnie, widział nas w potrzebie,
 Y miał nas z kászel, co dobrze pomnićie.
 Teraz on nieby y gwiazdami rzádzi,
 A nas zá swoje przeciwniki sádzi.

* * *

Y miásto światłá y dnia pogodnego,
 Zámknął nas w kluźie, y w wieczney ciemności:
 Záyrząc nam niebá, y słońcá iásnego,
 Y oney pierwszey nászey szczęśliwości.
 A (co mię gryzie) co mi do dawnego
 Bolu przydaie męki, y żáłości:
 Wołá do niebá człowieká lichego,
 Z błotá, y z podłey gliny zlepiónego.

Máło miał ná tem, syná ná śmierć srogá,
 Nam ná złe skazał, y ná świat wyprawił:
 Który pomnié z iáką naszą trwogą
 Piekielne bramy wypárł y wystawił.
 Wydárł nam gwałtem korzyść naszą drogá,
 Dusze zdobyte z więzienia wybáwił.
 Ná žal nasz wytknął chorągwie rozwite,
 Y tryumfuie; że piekło dobyte.

* * *

Ale puśćmy precz krzywdy stárodawne,
 Y szkody ktore nam wyrządzał z wieku:
 Te były záwsze, y teraz sá sławne,
 Jáko przeciw nam pomagał człowieku.
 Lecz tylko świeże, y weźmy niedawne,
 (Ják nas chce wniwecz obroćć od wieku)
 Coż? nie widzié ná co teraz godzi,
 'Wszystkie nam ludzic do siebie odwodzi.

* * *

A my co ná to? czy tylko przez spáry
 Poglądać mamy, á on ták náciéra?
 Widzié iáko ten lud iego wiáry,
 Ták fię w Azyey bárzo rospościera.
 Nam weźmie wszystkę chwałę y ofiáry,
 Już w Pálestynie kościoły otwiera.
 W ięzykach iego uyżrzyć wnet nowych,
 W miedzi, y w słupach imię mármorowych.

* * *

A násze będą bożnice proznować,
 Násze báłwany pewney doyda zguby:
 Jemu sámemu będą ofiárować
 Złoto, y mirrę: iemu wieszać śluby.
 Do swych nam nie da kościołow wstępować,
 A z czegosmy swe do tąd mieli chluby.
 Już z dusz nie będą poddánych grzechowi,
 Trybutu więcey płáćć Plutonowi.

Oy nie będziec to: Będziem o się dbali,
 Jeszcze w nas dawne niewygásło męstwo:
 Kiedysmy ognie ná niebo ćiskali,
 Y mieczem śiekli na niebieskie Księstwo:
 Mysmy tam przedsię sławę otrzymáli,
 Z śmiálego sercá, á oni zwycięstwo.
 Trudno tego przec że oni wygráli,
 Ale nam przedsię dzielność przyznawali.

* * *

Jdźciesz, á wzaiem śily swoje znoście
 Ná ich zginienie, o rycerze mężni:
 Dokąd w Azyey nieznáiomí goście
 Nie będą mocni, y bárziefy potężni.
 Gdzie ieden słaby, drudzy mu pomoźcie,
 Ná prowadźcie mi co naywięcey więźni,
 Lub mocą, lubo dowćipem y rádą,
 Szkodźcie iem wszędzie, y bądźcie zawadą.

* * *

Ten niech po świećcie błądzi obłąkány,
 Ci niech w roskoszách iáko wieprze tyią:
 Ten zaś w miłości sprosney upętány
 Niechay gnuśnieie, tego niech zabiją.
 Niech się buntuią ná swoje Hetmány
 Niechay się sami miedzy sobą bią.
 Niech woysko zginie, niech mu się to stánie,
 Ze go pámiątká żadna nie zostánie.

* * *

Dáley Krolowi dáć mowić niechćieli,
 (Ták się gniewály piekielne pokusy)
 Ale ná ten świat zaráz polecieli
 Nieprzyiáciele wieczni ludzkiefy duszy.
 A z takim szumem szli ciemni Anyeli,
 Jáko gdy wicher zawieruchy ruszy.
 Swiátá niewidáć, chmury czarne wstáią,
 Ktore y ziemię, y morze mieszáią.

Wnet się po wszystkim świecie rosproszyli
 Na różne strony, pokusy przekłęte:
 Siłła na ludźie skryte poczynili,
 Y rady chytne, nowe, niepojęte.
 Ale iako ich naprzód poszkodźili,
 Y z ktorey strony, wy o Panny święte
 Powiedźcie: wy to wiecie, a człowieka,
 Ledwie głos tych spraw dochodzi z daleką.

* * *

W Dámászku w ten czas bogátem pánował,
 Hidraot sławny, czárnoksiężnik stary:
 Który się w czárach z młodych lat uchował,
 Y Dyabłom zawždy oddawał ofiary:
 Ale daremnie. Nie wypraktykował,
 Nie zgadły końca oney wojny czary:
 Omylili go, y dyabli ząklęci,
 Y w cháraktery poryte pieczęci.

* * *

Ten tak rozumiał (ale ludzkie zdanie
 (Nie raz błądziło, y nie raz chybiało)
 Ze mieli bitwę przegrać Chrześćianie,
 Jáko mu niebo przyobiecowało.
 Y że Egypskie możne woysko na nie
 Przyść, y na głowę porazić ich miało.
 Radby z obietnic swego czárnoksięstwa
 Był uczesnikiem onego zwycięstwa.

* * *

Lecz iż o męstwie naszych trzymał siłá,
 Bał się w swych ludziách iákiey wielkiey szkody:
 Chćiałby żeby się ich potężna siłá
 Przez wnętrzne pierwey zmnieyszyła niezgody:
 Tákby się potem snádniey obáliła
 Przez iego, y przez Egypskie narody.
 Tey myśli szatan postrzegł nieżyczliwy,
 Y bárżiey umysł podżegał złośliwy.

Y ukazał mu iednę tájemnicę,
Co nienagorzy do tego służyła:
Miał z rodzonego bratá synowicę,
Ktora zbyt chytra y dowcipna była:
Wielką y bárzo sławną czarownicę,
A tak się gładka była urodziła:
Ze w kráiách wschodnich gładzey nie wiedziano,
Y udatnieyszey: tak to powiádano.

* * *

Do tey tak mówił: O kora w postáwie
Mdley bialeygłowskiey, z męskiem sercem chodzisz:
Y iuż mię w trudnem czárnoksięskim práwie,
Y w czarowniczey náuce przechodzisz.
Chciałbym cię użyć w iedney pilney sprawie,
A ty iedno chćiey, we wszystko ugodzisz.
Przywiedź do skutku stárcá ostrożnego,
Tę rádę podług dowcipu zwykłego.

* * *

Jdź do obozu, á swoią gładkością
Serc nieużytych y twardych dobyway:
Gdzie czas ukaże nie droż się z miłością,
Wzdychánia y słow łagodnych uzyway,
Płacz kiedy trzebá, nérabiay śmiałością:
A śmiałość wstydem pánińskim pokryway.
Wzáiem ich łzami, y śmiechem zágrzeway,
A kłamstwo płaszczem prawdy przyodźieway.

* * *

Jeśli być może Hetmána sáмого,
Laskáwem wzrokiem wpraw w napięte wniki:
Niech sobie wzmierzi Marsá surowego,
Niechay się imie bieśiad y podwiki.
Niemożeli być, więc kogo inszego,
Co naprzednieysze zwłaszcza pólkownicy.
Dla wiáry wszystko uczynić się godzi,
Y dla oyczyzny, bo to spółem chodzi.

Piękna Armidá zaráz się gotuie,
 Pobrawszy z sobą zwykłe swoje stroie:
 Wieczor się w drogę ócho wypráwuie,
 Y zostáwuie oyczyste podwoie.
 Tuszy, że piękną twarzą powoiuie,
 Wielkie rycerze, bez mieczá, bez zbroie.
 Roznie náurząd potem udawano
 Ludziom iey odiazd, gdy o nią pytano.

* * *

Máły czas wyszedł kiedy przyiecháá,
 Gdzie Chrześcíanie rozbili namioty:
 A skoro swoy wzrok y twarz ukazaá,
 Y chod, y swoje cudowne przymioty.
 Jako gdy iáka Kometá nástála,
 Y ná niebieskie weszła kołowroty:
 Bieży co żywo, drudzy posyłaia,
 Skąd cudzoziemká tak piękna, pytaia.

* * *

Bogini z morskich zrodzona powodzi,
 Nie iest tak stroyna, nie tak urodziwa:
 Wárkocz ma złoty, co czásem przechodzi
 Bláskiem przez rábek, czásem się odkrywa:
 Tak więc kiedy się niebo wypogodzi,
 To się z obloku po trosze dobywa.
 To z niego wszystko wyszedszy możniejszy
 Słońce ma promień, y dzień śle iásniejszy.

* * *

Włos z przyrodzenia ukędzierzáwiony,
 Puszczone ná wiátr, w pierścienie się wiie:
 Wzrok sam swe oczy wszystek zgromadzony,
 Y skarb miłości, y swoy własny kryie.
 Twarz miała iáko kiedy kto gładzony
 Rumianą rożą słoniowy ząb zmyie,
 Ust iáko godne, nigdy nie pochwałem,
 Przechodzą piękne rubiny z korałem.

Snieg biały z pierśi, y z szyje wynika,
 Gdzie ma swe gniazdo miłość przeraźliwa:
 Mnieysza część pierśi ná wierzch się wymyka,
 Wietszą część kryje szatá zazdrościwa.
 Ale choćia ie przed okiem zámyka,
 Przechodzi rábek y szatę, myśl chćiwa.
 Tá niema dosyć ná zwierzchney piękności,
 Wdźiera się gwałtem w táiemne skrytości.

* * *

Jáko przez wody, y iásne kryształy,
 Bez szkody promień słoneczny przechodzi:
 Ták y myśl kiedy co widzi do chwały,
 Przeydzie na wylot, á szácie nie szkodzi:
 Y swey roskoszy owoc niedostały,
 Powoley sobie dopiero rozwodzi.
 Potem z nią żądzey, y chciwego sięga
 Sercá, w ktorem swe płomienie zázega.

* * *

Wszyscy cudowną gładkość wychwalaia,
 A ona tego wrzekomo nie widzi:
 Baczy że śmieie ná sieć nácieraiá,
 Śmieie się w sercu, y ćicho z nich szydzi.
 Chce do Goffredá, tych co zábiegaia,
 Prościć o wodzá: lecz się wrzkomo wstydzi.
 A wtem Eustácy przybiegł zápędzony,
 Záyzrzawszy iey kęs, Goffredow rodzony.

* * *

Gdy ták Armidá o wodzu się pyta,
 Jdąc przez oboz w gładkość uzbroiona:
 Przystąpiwszy się Eustácy iá wita,
 Ukłoni mu się, wrzkomo zázstydzona.
 Záchwycił zaráz ognia iáko chwyta
 Płomienia słomá, blisko położona.
 Y rzecze do niey (śmiałem go czynilá,
 Młodość y miłość ktora go palilá).

Panno, ieślić to należy nazwisko,
 Boginią ráczey zwáćbysmy cię mieli:
 Nie pochlebuię, y prawdy to blisko,
 Zesmy tak gładkiey nigdy nie widzieli.
 Co cię zágnało w nasze stánowisko,
 Rádżibysmy fię tego dowiedzieli:
 Ktoś iest, y skądęś, niechay cię poznamy,
 Ze będziem wiedzieć, iako cię czcić mamy.

* * *

Armida ná to: Bárzo mię chwálićie,
 Czegom wam nigdy nie záslugowála:
 A nie tylko mię śmiertelną widzićie,
 Ale umárłą, a tylkom zostála
 Zywą ná żáłość iako usłyszycie.
 W nieszczęściu, w krzywdzie, która mię potkáła,
 Do wászego fię Hetmána ućiekam,
 Od niego rády y ráunku czekam.

* * *

Przeto ieśli masz w sobie co litości,
 Ziednay mi przystęp co přcey u niego:
 Słuszna, o panno, że w twej doległości,
 Jego (przy) brátá używasz do tego.
 Nie záwiedzisz fię ná iego ludźkości,
 Y ia pomogę, że buława iego
 Będziec pomocna: y tá száblá moia,
 Czego urodá, y twarz godná twoia.

* * *

Támże od niego przezeń wprowadzona,
 Do sámej ziemié nisko fię skłoniła:
 Potem ná piękney twarzy záwszyczona,
 Stoiąc ná mieyscu słowá nie mowiła:
 Ale cieszona y ubespieczona
 Od Ewástcego, z boiáźni spuściła:
 Co iey dodawał sercá y śmiałości,
 Zaczem tak swoje roszczęłá chytrości.

Wielki Hetmánie, y niezwyćiężony,
 O twej dzielności świadectwo dawiają
 Dobyte miastá, dostáne Korony,
 A żeś ie pośiadł, chluby z tąd szukáią:
 Y tákeś twoią dobrocią wślawióny,
 Y męstwem ktore wszyscy wychwalaiają:
 Ze o rátunek w swych potrzebách śmieie
 Jdą do ciebie, y nieprzyiaciele.

* * *

Pewnam, chociań się w pogaństwie rodziła,
 Ktore ty mieczem swoim chcesz okrocić:
 Ze mię twa dobroć y twa można siła
 Może do miłej oyczyzny przywrocić.
 A coby drugi co ma krewnych siła,
 Miał się o pomoc do swoich obrocić:
 Ja przeciwko krwi mey pomocy muszę
 U obcych szukać, ieśli kogo ruszę.

* * *

Ty mię sam tylko możesz porátować,
 Y posadzić mię w państwach utráconych:
 A iákoś hárdych zwykł mieczem woiować,
 Ták masz bydz łaskaw ná upokorzonych.
 Y ták ztąd sobie możesz obiecować
 Tryumph, iáko z woysk wielkich porážonych.
 Wielką masz sławę wiele państw zdobywszy,
 Rowną będziesz miał, moię mi wrociwszy.

* * *

Dla różney wiary ták się domysławam,
 Nie będziesz ponno w moię krzywdę wglądał:
 Ale ná dufność z ktoráć się odkrywam,
 Słuszna żebyś się cokolwiek oglądał.
 Spólnego Bogá ná świadectwo wzywam,
 Ze nikt od ciebie słusznieyszey nie żadał.
 Lecz żebyś wiedział, co mi się dostało
 Od moich krewnych, słuchay, proszę máło.

Jam oycá Krolá Arbilaná miała,
 Który był w równem szczęściu urodzony:
 Ale mu mátká Káryklié dáła
 Dámászek murem mocnem otoczony.
 Tá niemal pierwey z światem się rozstała,
 Niżlim ia z káżdey nieszczęśliwa strony
 Wyszła nań, iedney iam się urodziła
 Godziny, oná zywot położyła.

* * *

Ale podobno nikt tego nie rzecze,
 Y nikt tak łatwo temu nie uwierzy:
 Jáko są rzeczy odmienne człowiecze,
 Umarł mi ociec w pięć lat po mácierzy:
 Zostawiwszy mię Stryiowi w opiece,
 Patrz gdy się komu kto czego powierzy:
 Rzadko mu się to od niego oddaie,
 Zginęły z cnotą dobre obyczáie.

* * *

Ten mię w mem stanie zrazu pięknie chował,
 Moie krolestwo dosyć dobrze rządził:
 Y oycowską mi miłość pokázował,
 Káždy go dobrem opiekunem sądził.
 Lecz kto się dobrze rzeczom przypátrował,
 Nie tak iáko gmin pospolity błądził:
 Łatwie mógł widzieć chciwość iego onę,
 Kiedy mię chciał dáć synowi zá żonę.

* * *

Oboieswá iuż belá w słusznem lećie,
 On był nikczemny, sprosny, y plugawy:
 Nigdziey iáko żyw nie powstał ná świecie,
 Domá się schował, rycerskiey zabawy
 Zadney nie umiał: czásem prości kmiećie
 Do káżdey będą sposobniejszy sprawy.
 Co ieszcze wiétsza, przy tey nikczemności,
 Był y łakomy, y pełen hárdości.

Zá takiego mię chciał wydać szpetniká
 Dobry opiekun, chcąc żebym go byłá
 Wzięła zá łożá mego uczesniká,
 Y do krolestwá mego przypuściła.
 Ruszał rozumu, używał ięzyká,
 Abym mu beła ná to pozwoliła:
 Alem mu nigdy nie obiecowála,
 Albom milczála, álbo odmawiała,

* * *

Odszedł nákoniec z twarzy rozgniewaná
 O to, żem mu tak odmawiała śmieie:
 Zem Historyą mogła nápisána
 Mego nieszczęścia czytać mu ná czele.
 Od tądem była ząwždy zfrásowaná,
 Snym miała dziwne, nie sypiała wiele:
 A strách ustáwny ktory mię przeymował,
 Zle mi coś tuszył, zle mi obiecował.

* * *

Jednego mi się czasu ukazała
 Postać nieboszki mátki mey kocháney:
 Smętna, wybládlá, y bárzo się zdála
 Dáleko rozną od wymálowáney.
 Jam się wylęklá, á oná wołała,
 Strzeż się, o corko, śmierci zgotowáney,
 Ućiekay rychło, ućiekay z oyczyzny,
 Gotuią ná cię miecze, y trućizny.

* * *

Coż to pomogło? choć mi przyszło twogi,
 Przyszło nieszczęście serce przekładało:
 Bo przez wiek młody w on frásunek srogi
 Porádzić sobie ieszcze nieumiáło:
 Wszystkiego odbiec, y oyczyste progi
 Zostawić wiecznie, ciężko się widziało.
 Zem ráczey umrzeć niebogá wołała,
 A niżbym tego kiedy doczekała.

Smierćim się bała, prawdą: ale zaśię
 Przed nią uciekać strapiona nie śmiała:
 Trudno powiedzieć swoy strach było na się,
 Z tem żem się bała, kryćiem się musiała:
 Tak w ustawicznych mękach w onym czasie
 Zywozem przykrszy a niżli śmierć miała.
 Jako złoczyńca na plac wywiedziony,
 Kiedy miecz na się widzi wyniesiony.

* * *

Wtem lub to był los iaki przyiązliwy,
 Lub coś gorszego ma mię potkac ieszcze:
 Dawny oycowski sługa mnie życzliwy,
 Upątrzywszy czas pogodny, y mieysce:
 Powiedział mi to, że tyran złośliwy
 Zywić mię dłużej żadną miarą nie chce:
 Y że mu przysiąc musiał na to wczorą,
 Ze mię onegoż miał otruć wieczorą.

* * *

Dołożył tego: Poniewasz nie była
 Podobna, zdrowie inaczey zachować:
 Abym uciekła, y dom opuściła,
 W czem mię obiecał z swey strony ratować.
 To słysząc, iam się prętko namyśliła,
 W drogę się zaraz poczęła gotować:
 Chcąc z niem pospołu z złego stryia mocy
 Uciec, zakryta płaszczem ciemney nocy.

* * *

Już noc swoiemi czarnemi skrzydłami,
 Wszystek świat y mnie razem nakrywała:
 Gdym sama tylko ze dwiema pannami,
 Tajemnie z mego zamku wychadzała:
 A corazem się zalewając łzami,
 Na moy Damaszek nazad ogladała:
 Y żalność serce zbolele krąciła,
 Kiedym się z miłą oycyzną żegnała.

Przeddzięki prawnie kray swoy ukochány,
 Zostawowały, y oczy, y nogi:
 Ták zostawuie brzeg umiłowány
 Lodź, gdy ma wynieść ná iáki szturm srogi.
 Cała noc y dzień niosąc skryte rány
 W żałosnem sercu, mielismy tey drogi.
 Przyszlismy potem do zamku iednego,
 Tuż przy granicy królestwá moiego.

* * *

A ten zamek był własny Arontowy,
 Co mię z okrutney ręki wyswobodził:
 A skoro Tyran obaczył surowy,
 Ze mię y przestrzegł, y że mię uwodził.
 Potwarz y fałsz kładł ná oboie nowy,
 Y ná to chytrze niecnotliwy godził:
 Aby to co sam chciał zemną uczynić,
 Mogł ná nas złożyć, y w tem nas obwinić.

* * *

Ták to udawał, żem iá przenaiełá
 Tego Arontá ná taką robotę:
 Ze go miał otruć, żebym ná kiel wzięłá,
 Y udála się zátém ná niecnotę:
 A sprosnego się wszeteczeństwa ięłá,
 Nie máiąc względu ná żadną sromotę.
 Jeśli to prawda, bodaybym umarłá,
 Y ziemiá żywo niechby mię pożarłá.

* * *

Znośna to była, y nie wielkie dziwy.
 Ze krwie, y moiey pragnął ináiętności:
 Ale że szczypał żywot moy uczciwy,
 To była ciężka, to były żáłości.
 Potem się boiác, áby moy życzliwy
 Lud się nie uiął, o me doległóści:
 Zá nierządnicę mię do nich udawał,
 Y co mogł ná nie zmyślał y dostawał.

Mało miał ná tem że ná wierzch swey głowy,
 Włożył koronę co mi należała:
 Mało że takie mówił o mnie mowy,
 Ná iakiem nigdy iá nie zarábiała.
 Teraz chce spalić zamek Arontowy,
 Gdziebym mu się z niem zaraz nie poddała.
 Nie tylko woyną, ále y mękami,
 Ale srogiemi grożąc nam śmierciami.

* * *

Y tę udawa, y tę ukázuie
 Przyczynę tego postępku swojego:
 Ze dobrej sławy wesprze y rátuie,
 Zelżoney przez mię stanu Krolewskiego.
 Ale to plotki, strách to w niem sprawuie,
 Zeby nie pozbył państwá, do ktorego
 On przyść nie może, tylko przez zgładzenie,
 Własney dziedziczki y moje zginienie.

* * *

Niewątpliwa to, że ten swoy ząwzięty
 Zły zamysł łatwie nádemną wykona:
 Bo co ma ná płácz tyran dbać przeklęty?
 Tem go nie zwalczę nędzna utrapiona,
 Jeśli ty ku mnie litością nie zdięty:
 Nie rátuiesz mię, proszę uciśniona
 Nędzna sierotá, niech dármo nie leie
 Lez, bo pewnie krew' nie długo wyleie.

* * *

Przez tę twą rękę, przez bulawę złotą,
 Ktorąś zwoiował swe nieprzyjaćioły:
 Przez one ktore z taką chcesz ochotą,
 Wyrwać z niewoley Syońskie kościoły.
 Miey miłosierdzie nád lichą sierotą,
 Zkrzywdzoną, nędzną, umárłą nápoły.
 A ieśli niechcesz pomoc mi z litości,
 Więc y z słuszności, y z sprawiedliwości.

O ktorego Bóg obrał ná Hetmáństwo,
 Mężnego woyská y dzielnych rycerzow:
 Ja żywot, á ty możesz mieć me państwo,
 Twoie iuż będzie sprawą twych żołnierzow.
 Rátuy niewinney, wykorzeń tyráństwo,
 Day mi dzieśiąci z przedniejszych Hárceřzow:
 Tuszę, że dzieśięć temu wydoláią,
 Siłá mam tákich, co zemną trzymáią.

* * *

Owszem z nich ieden co ma w swoiey mocy
 Zamkową bramę, y klucz od niey nośi:
 Otworzyć mi iá obiecuię wnocy,
 Sam upomina, sam mię o to prośi:
 Każe mi szukać u ciebie pomocy,
 Y ták dáie znać skoro się ogłósi:
 Ze mi co ludźi Chrześcíanie dádzą,
 Bramy otworzą, Tyránná wygládzą.

* * *

To rzekszy zmiłká, á swoy wzrok wstydlivy,
 Ná doł ku ziemi smętná obraćalá:
 W Goffredzie umyśl zostawa wátpliwy,
 Boi się, by go w czem nie oszukałá.
 Wiádom co umie Poganin zdrádlivy,
 Z drugiey go strony że krzywdę ćierpiálá:
 Y dobroć iego rusza przyrodzona,
 W szláchetnych sercách záwsze wkorzeniona.

* * *

Widzi że słuszná rátowác nieboge,
 Lecz y to myślił swoią mądrą głową:
 Zeby w te państwa wstáwił dobrze nogę,
 Kiedyby przezeń zostálá Krolową.
 Y otworzyłby sobie łatwie drogę
 Do rzeczy dálszych, y ná Egiptową
 Siłę z Dámászku rynsztunki y złoto,
 Y ludźie mogli mieć, bo tám łatwie o to.

Gdy się tak Goffred długo namyślał,
 Pilnie na niego Armidą patrzała:
 Lubo się ruszył, lubo co postawał,
 Twarzy y wzroku jego pilnowała.
 A że iej długo odprawy nie dawał,
 Frásowała się, y często wzdychała:
 Niechciał nákoniec przypaść na tę sprawę,
 Lecz iej dał przedsię łaskawą odprawę.

* * *

Bysmy się byli nie ieli státecnie
 O Bożą krzywdę, y nie obroćili
 Sił naszych indziej, moglábyś bezpiecznie
 Mieć z nich ratunek w teráznieyszey chwili:
 Ale iżesmy lud Pański koniecznie
 Z ciężkiej niewoley wyrwać umyślili,
 Nie godzi się nam teraz sił rozrywać,
 Y rozposzczętych rzeczy omieszkywać.

* * *

Lecz, zdążyli Bog, że wyswobodziemy
 Lud nasz z niewoley, y tych murów świętych:
 Za łaska jego wrychle dostániemy,
 Y dokończemy rzeczy już roszczętych.
 Przrzekamyć to, y obiecuiemy,
 Ze cię przywróciem do twych państw odiętych.
 Y twoię krzywdę mieć będziem na pieczy,
 Teraz mi woysko rozrywać nie krzeczy.

* * *

Ná tę odpowiedź krotką Goffredowę,
 Armidą oczy ku ziemi trzymała:
 Potem podniosła ociążałą głowę,
 Y twarz gęstemi łzami polewała.
 A zdobywszy się záledwie na mowę,
 Tákiemi słowy smętna nárzekała:
 Nikomu, ách, zle, nigdy nieżyczliwsze
 Nie były niebá, y nieprzyiąźliwsze.

Prozno sobie mam co dobrego tuszyć,
 Wszystkie ná moy płacz serca zkámieniály:
 A iáko złego Tyránná mam ruszyć?
 Kiedyś ty sam nań został zátwardziály.
 Tyś nic nie winien, że cię moiá wzruszyć
 Krzywdá nie może, żeś ná nie niedbály.
 Niebá mi winny, niebá to sprawiły,
 Nieba cię twárdem ku mnie uczyniły.

* * *

Czemuż mię ráczey źle nie zabiicie
 Wieczne wyroki? ná co mię chowacie?
 (Ná cię nie skárżę: Wiádoma ná świećcie
 Jest twoia dobroć) Máło ná tem macie:
 Ze mię w dziećinnem pozbáwiwszy lećie
 Miłych rodziców, wytchnąc mi nie dacie.
 Chcećcie mię ieszcze z krolestwá wyzwutá,
 Abo zabitá, abo mieć otrutá.

* * *

A iż pánieńskiey práwo ućciwości,
 Dłużej mi fię tu nie dopuści bawić:
 Gdziesz fię mam podzieć? ktosz mię z okrutności
 Srogiego Stryiá będzie śmiał wybawić?
 Zaden nádemną niechce mieć liłości,
 Nikt fię o krzywdy me nie chce zástawić.
 Widzę przed sobą śmierć, y srogie męki,
 Niechayże umrę ráczey od swey ręki.

* * *

To powiedziawszy, więcey nie mowiła,
 Wspániátem gniewem ná twarzy zágrzana:
 Y dawała znáć, że iuż odchodziła
 Smętna, żáłosna, y ukłopotána.
 A ustáwicznem płaczem twarz kropiła,
 Jáki ma żáłość z gniewem pomieszána.
 A łzy iey beły kiedy ku słońcowi,
 Podobné perlóm, álbo kryształowi.

Jągody piękne łzami pokropione,
 Ktore od twarzy ná łono spadały:
 Zdąły się kwiecie białe, y czerwone,
 Ktore się z sobą wespół pomieszały:
 Kiedy swe głowy ná doł pochylone,
 Niebieską rosą wdzięczną opłokały.
 A iutrzenká z nich wydając świt rany,
 Ná głowę kłaść ma wieniec przeplątany.

* * *

A mokre perły ktore ná jągody,
 Jedną po drugiej kroplami spadaia:
 Tyśiąc serc twárdych, nie bez wielkiej szkody,
 Nieugászonem ogniem zapalaia.
 O iákie cudá: ogień idzie z wody,
 Ogniste z mokrych łez skry wylataia:
 Niech to nie będzie u was z podziwieniem,
 Ma miłość záwsze moc nád przyrodzeniem.

* * *

Ten płacz zmyślony prawdziwe wywodził
 Łzy, y kámiennie serca się zmiękczały:
 Y o Goffredzie co iej nie dogodził
 Szły mowy rózne ktore go szczypały.
 Alboć się (práwi) z Tygryśá urodził,
 Albo ze lwice, álbo z twárdey skály:
 Ze się takowey gładkości da psować,
 Y nie chce nędzney sieroty ratować.

* * *

Tákci szeptáli, lecz Eustácy młody,
 Pełen ognistey płomienia miłości
 Nie szeptał: ále niż drudzy swobody
 Zážywał wiétszey, y wiétszey śmiałości.
 Wždy się do spolney przychyl (práwi) zgody,
 A spuść co Pánie z tey twej snrowości:
 Day też co woyská wszystkiego przyczynie,
 Day spolney prośbie, á pomoż chudzinie.

Nie mówię aby polkownicy, ani
 Jść z nią Rotmistrzę co przednieyszy mieli:
 Nie iestesmy tak w baczenie obrani,
 Abysmyć kiedy ná to rádzić śmieli.
 Ale z tych co są mniey obowiązani,
 Y ná swą szkodę ná wojnę iść chcieli.
 Dzieśiąci obrąć ábo y mniey możesz,
 Tak sił nie zmnieyszysz, y oney pomożesz.

* * *

Ten co rátuie ukrzywdzoney pánny,
 Niewinney pánny, Bogu fię nie bierze:
 Milsza iest Bogu ofiará, Tyránny
 Niezbożne niszczyć, niż długie paćierze.
 Jam tą iey krzywdą do żywego ránny,
 Y swą powinność zachowam w tey mierze:
 Ktora należy cnemn Rycerzowi,
 Pomagać tey plci, y temu stanowi.

* * *

Przebog, niechay tey niesławy nie mamy,
 Y tak zelżywey, y tak sromotliwey:
 Ze niebiespieczeństw, y pracy znikamy,
 Dla rzeczy słuszney, y tak sprawiedliwey.
 Ach niegodniśmy, że ná koń wsiadamy,
 Ze broń nośiemy: ia iuż szable krzywey
 Nościć, y zwać fię nie będę Rycerzem,
 Składam ten szyszak, y zbroię z páncierzem.

* * *

Tak tám Eustacy mówił zápálony,
 A wszyscy inszy ná toż przypadáli:
 Ze prośbą wszystkich Hetman przyciśniony,
 Pozwolić musiał, tak go nálegáli.
 Niech (pry) tak bądźcie, átom zwyciężony,
 Lecz chcę ábyście nie zapominali:
 Ze ná to nigdy wola ma nie była,
 Wászá to prośbá uporna sprawiła.

Jednak wam daię radę złą przestrogą,
 Abyście żądze wasze hámowali:
 Dáley nie mówił, y puścił swą drogą
 Upor, więcey też nie potrzebowáli.
 Párzayćiesz, co łzy białogłowskie mogą,
 Miękczeią ná nie Rycerze zuchwáli:
 A złoty łańcuch z pięknych ust wychodzi,
 To twarde serca kędy zechce wodzi,

* * *

Zátem Eustácy pobiegł ku Armidzie,
 Ktora ná stronie nárzekáiąc stała:
 Nie trwoż się páнно, nasz lud z tobą idzie:
 Słuszna, ábyś się już więcey nie bała.
 Jako gdy słońce z obłoku wynidzie,
 Ták się ná ten czas Armidá rośsmiała:
 Ze niebá do swey miłości wzbudzała,
 A záplákáne oczy ućierała.

* * *

Zá tę ich łaskę, y zá one chęci,
 Wszystkiem przez krotkie dziękowała słowá:
 Y obiecała chować ie w pámieci,
 Y wdzięcznością ie plácić bydz gotowá.
 Ták wszyscy od niey zostáli uięci,
 A czego nie mógł ięzyk, to wymowá
 Niema, milczeniem lepiej wyrażała,
 Y nikt nie postrzegł, że wszystko zmyślała,

* * *

A widząc że iej one chytne sztuki,
 Ná początku się ták dobrze zdárzyły:
 Okiem y twarzą proste zwieść nieuki,
 Y czynić więcey chce niżli czynili:
 Cyrce z Medeą mocą swey náuki,
 Co ludzie w różne postaci mieniły.
 Y ná kształt Syren chce słodkimi słowy,
 Włożyć ná zmysły człowiecze okowy.

A żeby ich w sieć naywięcey wprawiła,
 Rożnych sposobow z niemi używała:
 Nie iedną wszystkiem postawę czyniła,
 Ale ią według czasu odmieniała.
 Czasem wstydliwie w ziemię oczy kryła,
 Czasem ie chćiwie ná nich obracała:
 Jáko kto rączy, álbo był leniwy,
 Wzrok iey niechętny, ábo był życzliwy.

* * *

Bo ieśli widzi że kto boiázliwy,
 Nie dufa w sobie, ábo osłábieie:
 Ukázuie mu swoy wzrok przyiázliwy,
 Álbo z niem mowi, álbo się nań śmieie.
 Ták przychęcóny, y nie ták wątpliwy,
 Sam w sobie zimne ożywia nádzieie:
 Y przyszedszy iuz zátém do śmiałości,
 Otuchę sobie czyni w iey miłości.

* * *

Gdzie też postrzeże, że kto zápalony,
 Názbýt bezpiecznie chwyta się miłości:
 Y wzrok y ięzyk trzyma odwrocony,
 Y ták zostáie w swoiey powážności,
 Lecz nie ták przedsię, áby z iákiey strony
 Nie dawała znáć po sobie litości:
 Ze choćia wątpią, nie trącą nádzieie,
 Y im iest twársza, tym ich więcey grzeie.

* * *

Czasem się sámá ná stronie uczyła,
 Y w rożną postać swą twarz ubierała:
 Płacz sobie kiedy chćiała uczyniła,
 Y kiedy chćiała, wzad go hánowała.
 Ták nieostrożnych y prostych serc siła,
 Do prawdziwego płáczu przymuszała:
 Ogniem litości hártuiąc swe strzáły,
 Z ktorych śmiertelne szły w serca postrzáły.

Czego niewieścia chytróść nie wymyśli?
 Nagle w wesele smutek odmieniała:
 Smiała się z niemi kiedy do niey przyszli,
 Y swe w pogodę czoło ubierała.
 A wzrokiem iąsnem z nagłej dobrej myśli,
 Ná smutnych sercäch chmury rozbiiała:
 Ták że co się wprzod żalem záchmurzyły,
 Ná niebieski się śmiech wypogodziły.

* * *

Śmiechem y mową wdzięczną smák dawała,
 Zmysłom dwoiaką roskoszą opitem:
 Ze iakby sercá z pierśi wydźierała,
 Wprzod nieprzywykłe wdziękom ták obfitem.
 A miłość iako zwykłą zabiiała,
 Ták miodem iako piołunem zákrytem:
 W ktorej śmiertelne rowno każdy doby,
 Ták są lekarstwá, iako y choroby.

* * *

Śmiechy wesołe ze łzami smętnemi,
 Boiaźń nádzieie, lod z ogniem złożyła:
 Rzeczy przeciwné, y ták sobie z niemi
 Jgrzysko własne nędznemi czyniła.
 A jeśli iey kto słowy przerwánemi,
 Śmie miłość odkryć, która go paliła:
 Ták iakoby w tem nigdy nie bywała,
 Ze nie widziiała, złośnicá zmyślała.

* * *

Albo się nagle wrzkomo zástydziła,
 Y urąziła ná bespieczne słowá:
 Ze świeże śrzony różami nakryła,
 Ná piéney twarzy gładka białagłowá.
 Táká więc kiedy twarz urumieniła,
 Ná świat wychodzi żoná Tytonowá:
 A tá rumiáność którą w niey gniew rodzi,
 Z ową którą wstyd, mięsza się y zchodzi.

Lecz ieśli iey kto swoje zápalony
Ządze chce odkryć, w rzecz fię z niem nie wdawa:
A czasem sámá nagle należiony
Sposob mu do mow umyślnie podawa:
Y zaś go bierze także z káżdey strony,
Prozny nádzienie ná koniec zostawa.
Jáko myśliwiec co cały iezdżęcy
Dzień, sámem zmierskiem tráci ślad zwierzęcy.

* * *

Teć były sztuki, te były chytróści,
Ktoremi oná tyśiác serc pożylá;
Y owszem miecze budowney gładkości,
Ktoremi mężne Rycerze gromiłá.
Coz tedy zá dziw, że uwiązł w miłości
Herkules Tezeus inszych także siłá.
Jeśli fię y ci, iey nie wybiegáli,
Co dla Chrystusá miecze przypasali.

KONIEC PIEŚNI CZWARTEY.

P I E S N P I Ą T A.

A R G U M E N T.

Gniewa się Gernánd, że się zawołany
Jednegoż mieyscá Rynáld z niem nápieka:
Czyni z niem zwádę, y od srogiey rány,
Ktorą mu zádał, w obozie umiera.
Rynáld uiezdża z woyská wywołány,
Armidá chytra w drogę się wybiera.
Spráwiwszy wszystko: Oneyże godziny,
Geffred od morzá gorskie ma nowiny.

Gdy ták Rycerzow wiele przychęconych,
Swoią gládkością Armidá ludziłá:
Y nie tylko tych dzieśięć pozwolonych,
Lecz inszych sílu mieć sobie tuszyłá.
Ktoby był wodzem tych z nią wyprawionych,
W Goffredzie tá rzecz wąpliwość czyniłá:
Tych co z niem ná swą szkodę szli, stáráníe
Wielkie, wielkie w niem czyni rozerwáníe.

* *

Tey ostrożności użył w onym czásie,
Ze kazał aby iednego obráli:
Coby ná mieysce Dudonowe zásię
Wstąpił, ktorego wszyscyby słucháli.
A ten ono wziął obieráníe ná się,
Bo tákby mu to wszyscy iuż przyználi:
Ze ich poważał, y gdzieby się chcieli
Skarżyć nań, iużby przyczyny nie mieli.

Przeto ich zwołał do siebie, y mowy
 Tey do nich użył: Jużeście slyszeli
 Żem ia rátować chciał tey białeygłowy,
 Kiedybyśmy wprzod miasto w ręku mieli.
 Tożem y teraz uczynić gotowy.
 Gdziebyście y wy przypaść ná to chcieli:
 Ten iest ná mylnem świecie bez wątpienia
 Státeczny, co myśl częstokroć odmienia.

* * *

Lecz mniemaćieli, że fię wam nie godzi
 Znikać tey pracy, y nie iść w tę drogę:
 Y wielka chćiwość sławy was uwodzi,
 Ze porzucacie ostrożną przestrogę.
 Com ráz dał mieycie: ná mnie nic nie schodzi,
 Nádwolę waszę wściągac was nie mogę:
 Wiem ia (co ponno przyznacie mi sami)
 Jáko mam władzey używac nad wami.

* * *

Wolno iść, wolno niechodzić káżdemu,
 Już to ná waszey woley niechay będzie:
 Ale wprzod macie Dudonowi cnemu
 Dac námiestniká, ktory po niem siędzie,
 Ten niech dzieściaci z was, iacy fię iemu
 Podobac będą, wybierze w tem rzędzie.
 Bo fię wam z tem wczás opowiedziec wolę,
 Ze mu dzieściaci więcej nie pozwolę.

* * *

Ták mowił Goffred: ktoremu dziekowac
 Wszyscy kázali Eustácjusowi:
 Jáko z dáleká rzeczy upátrowac,
 Y bydz ostrożnem trzebá Hetmánowi.
 Ták zaś należy ręką dokázowac,
 Y niestwożonem sercem żołnierzowi.
 Jnsza iest twoia, insza nászá cnotá,
 Tobie ostrożność, nam służy ochotá.

A iż ná wagę pożytek włożony,
 Niebieszczęstwo y szkodę przechodzi:
 Ták iáko ty chcesz, dzieśięć dla obrony
 Sieroty poydźie, dzieśięć iey dogodzi.
 Ták Gotyfredow ná ten czas rodzony,
 Miłość táiemną chytrze pokryć godzi,
 Ale y drudzy tákże powiádaią,
 Ze fię dla sławy iść z nią nápieraią.

* * *

A iż Eustácy nierad widział syná
 Bertoldowego, dla iego dzielności:
 Y dla urody, tá byłą przyczyná,
 Ze przeciw niemu zówždy był w zazdrości:
 Y że go niechciał (iák to nie nowiná)
 Mieć w towarzystwie oney swey miłości:
 Prżeto ná stronie kiedy wszyscy wyszli,
 Mowi z niem, y ták oszukać go myśli.

* * *

Z rodziców zacnych synu zawałány,
 Ale zacniejszy wielkimi dziełami:
 Co ty rozumiesz? kto będzie obrány,
 Po cnem Dudonie pólkownik nád námi.
 Ja którym tylko dla wieku poddány,
 Był Dudonowi, iáko wiećie sami:
 Nie mam iuż teraz komubym w tey dobie,
 Tego ustąpił, ták wiedz, tylko tobie.

* * *

Ciebie, co z káżdym zrownasz urodzeniem,
 A mnie przechodzisz sławą y dzielnością:
 A (co niech będzie z iego odpuszczeniem)
 Y przed Hetmánem masz umiejętnością.
 Chciałbym mieć stárszem, z twoiem pozwoleniem,
 Jeslibyś niechciał w drogę iść z tą gością:
 Bo to wiem, że ty ukradkiem nábytey
 Y nocą sławy, nie prágniejsz nákrzytey.

Będziesz tu miał czas, y lepszą pogodę,
 Ukazać swoje serce nielekliwe:
 A ia wtem inszych do tego przywiode,
 Ze ná cię dadzą swe głosy życzliwe.
 Y upewniam cię, że tego dowiódę,
 A iż ia do tąd myśli mam wątpliwe:
 Niechay mi będzie gdzie do tego przydzie,
 Wolno tu zostać, abo przy Armidzie.

* * *

Ostátnich tych słów swoich domawiając,
 Tak się zapłonał bárzo w oney chwili:
 Ze sobie inszy z niego przeszydzając,
 Łatwie się, o co mu szło, domyslili.
 Lecz iż Rynaldá skorę tylko króiąc,
 Miłość raniła, y nie tak się śili
 W niem, iáko w inszych ta żądza ognista,
 W drodze z Armidą mało co korzysta.

* * *

Dudonowey mu żal niewymowiony
 Śmierci, ustawnie pamięć w sercu ryje,
 Y że do tego czasu niezemszczony,
 Ma zá sromotę, y że Argánt żyje
 Lecz Eustácego przedsię mowy ony
 Przyjmuje, y swej radości nie kryje:
 Ktora ma z chwały prawdziwey u ludzi,
 Y chęć do sławy większą w sobie budzi.

* * *

Y rzekł: Zem godzien tego mieyscá, ná tem
 Mam dosyć, ále sam ná nie nie godzę:
 Y kiedym w sławę, y cnotę bogátem,
 Niedbam nic, chocia w Koronie nie chodzę.
 Jednak się z niego nie wymawiam, zá tem
 Stáraniem twoiem, gdzie się ná nie zgodzę.
 Y tem mię sámem do tego wzbudzaćie,
 Ze wszyscy o mnie tak dobrze trzymaćie.

Miedzy dzieśiącią ty będziesz obrány,
 Jeśli się zdarzy że starszem zostanę:
 Zatem Eustacy obszedł pierwsze Pány,
 Y sposabiał ie ná przyszlą odmiánę.
 Lecz ná toż godził Gernánd zwołány,
 Y choć Armidá zádala mu ránę:
 Więcey w niem chćiwość wysokiego mieyscá,
 Niż ostre mogą miłości żeleścá.

* * *

Z Krolow Norweyskich Gernánd był zrodzony,
 Szerokiey władzey, y wielkiey możności
 Oycá y dziádow, sceptra, y korony,
 Do niezmierney go przywodzą hárdości.
 Ten zaś z swey własney dzielności wsławiony
 Swey, nie swych przodkow, trzyma się zacności.
 Acz y przodkowie słynęli tak w boiu
 Od pięci set lat, iáko y w pokoju.

* * *

Ale Norweyczek, co tylko wielkiemi
 Tytuły zacność y państwy miárkuje:
 Y wszystkich kładzie przy sobie podłemi,
 W których Krolewskich ozdob nie náyduje.
 Nie może zćierpieć że się z nierownemi
 Sciera, y że mu Rynáld zastępuje.
 Y tak się iął tey swey nádęty dumy,
 Ze wszystkie z głowy wypędził rozumy.

* * *

Postrzegł z Auernu ieden duch przekłęty,
 Co Krolewicá hárdego dołega:
 Wlázł mu w zanádrze, y ogień zaięty,
 Jeszcze tem bárziej wzdyma y zážega
 Nienawiść, y gniew szerzy w niem záwzięty,
 Y sercá prawie sáмого dośięga:
 Y taki mu głos posyła do słuchu,
 Który mu dzwoni ustáwicznie w uchu.

Sćiera się z tobą Rynáld, y ták śmiele
 Sławi swe iákies przodki známienite:
 Chcećli bydź rowien, nie trzebá tu wiele,
 Niechći ukaże narody podbite.
 Niech okrocone da nieprzyiáciele,
 Sceptrá, Korony, Krolestwá obfite.
 Pátrż tego Włochá, rádby rowno chodźił
 Z Krolmi, á on się w niewoley urodźił.

* *

Wygra lub przegra, ácz iuż do tey doby
 Wygrał, kiedy się ztobą śmiał póćierać:
 Co rzeką wszyscy ludzie? Ten to, coby
 Chćiał się z Gernándem o to mieysce spierać.
 Mogłci ten stopień przydác co ozdoby,
 Nie mnief iá też mógł od ćiebie odbierác.
 Ale tem spodłał, y tem się znieważył,
 Ze się ten o nie stárác ná się ważył.

* *

Y ieśli prawdá, że máią ná pieczy
 Umárli żywych, y cokolwiek czuią:
 Co mniemasz? iáko ná niebie te rzeczy,
 Dobrego stárcá Dudoná frásuią.
 Jeśli to słuszna, y ieśli to grzeczy,
 Ze się tákowi bez wstydu náyduią:
 Y że ten młódzik niedorosły ieszcze,
 Smie po niem próćić o ták zacne mieysce.

* *

A nie tylko śmie, y nie tylko próśi,
 Y towárystwo ná się praktykuie:
 A pochwałę od ludzi odnośi,
 Y tem się chlubi, tem się popisuie.
 Lecz ieśli Goffred to zuchwálistwo znośi,
 Abo go y sam ná to foretuie:
 Obaczyszli to, y z niego zrozumiesz,
 Pokaź mu ktoś iest, co możesz, co umiesz.

Jáko pochodnie ná wiátr wyniešione,
 Gniew fię w Gernándzie żarzy zápálczywy:
 Znieść go nie może serce záiatrzone,
 Sle go przez oczy, y ięzyk dotkliwy,
 Potwarzy szczere rozšiewa zmyšlone,
 Pyszmem go czyni człowiek zazdrościwy:
 Męstwá nie zowie śmiałością y męstwem,
 Desperacyą ráczey, y szaleństwem.

* * *

Rycerską iego dzielność, obyczáie,
 Umysł wspániáły, y iusze przymioty
 Gáni, y opák do ludzi udaie:
 Y krzći nie swemi nazwiskámi cnoty.
 Y choć to iuż wie Rynáld, nie przestáie
 Tych mow, wszystkie iuż pełne ich namioty:
 Y wszystko wojsko áni fię hámuie,
 Lży go gdzie może, y nań nástępuie.

* * *

Bo chytry Sátan co mu ná ięzyku
 Ušiadł, y wszystkie tworzył iego mowy:
 Co raz w gniewliwym sposob Norweyczyku
 Słow uszczypliwych wynáydował nowy.
 Co wiedzieć czego o swem przeciwniku,
 Uráźliwemi nie powiádał słowy.
 Był plác niemáły gdzie fię więc zieżdżało,
 Y do pierścienia Rycerstwo ganiało.

* * *

Tám w towarzystwá niemáley gromádzie,
 Zle go wspominał Gernánd popędliwy:
 Y nań w piekielnem omoczony iádzie,
 Wszystek obracał ięzyk uszczypliwy.
 Usłszy Rynáld, że nań potwarz kładzie,
 Nie może wytrwác, ále niecierpliwy:
 Dobywszy broni, głosem mu to zada,
 Ze lże iáko pies, y że fałsz powiáda.

Ták mieczem błysnął, iáko więc błyskáia;
 Pełne swych gromow y piorunow niebá:
 Złękł się Norweyczyk, bo go doiezdżaia,
 Widzi, że doydzie koniecznie potrzebá.
 Jednak iż wszyscy ná to pátrzyć máia,
 Stáwił się przedsię mężnie iáko trzebá:
 Dobywszy broni, którą miał u boku,
 Nieprzyiaćiela czekał stojąc w kroku.

* * *

Przez pięć tysięcy (podobnom rzekł máło)
 Dobytych szábel w ten czas widáć było:
 Bo co raz ludzi więcej przybiegåło,
 Y na támten plác gwałtem się kupiło.
 Powietrze z głosow pomieszáných drzáło,
 Krzyk się y wielkie wołanie szerzyło.
 Jáko nád morzem kiedy w niepogody
 Szum się społ mięsza, y z wiátru y z wody.

* * *

Ale nic niedba ná strászliwe ony
 Okrzyki Rynáld, áni się hámuie:
 Pnie się do niego gniewem zápalony,
 Ogień mu szczery z oczu wyskakuie:
 Ná obie stronie kręci miecz stalony,
 Y coraz to się bliżey przystępuie:
 Ták że nákoniec przebił się do niego,
 Pośiekszy sługi, y żołnierze iego,

* * *

Y ręką dobrze choć w gniewie ćwiczoną,
 Podáie rázy cięte, y sztychowe:
 Raz nań tnie lewą, drugi prawą stroną,
 Raz w pierśi mierzy, á drugi raz w głowę.
 Y ostrą bronią okiem nie ścignioną.
 Ná rány drogi wynáyduie nowe.
 Y niespodziáną szablą rázy miecze,
 Y kędy się mniey strzegą, kole, śiecie.

Ták długo nań śiekl mieczem w obie strony,
 Ze go przez pierśi dwakroć przebił srodze:
 Upadł ná ziemię Gernánd obálony,
 Y duszę ze krwią wylał przez dwie drodze.
 On też miecz w pochwy włożył ukrwáwiony,
 A niehcąc więcej ludzi trzymać w trwodze.
 Złożył gniew, skóro zuchwalcá okrocił,
 Y do swego się namiotu obrocił.

* * *

Wtem Goffred słysząc ono zámieszanie,
 Y zgiełk ták wielki w ludźie pospolitem:
 Przypadł ná on plác y niespodziewanie
 Uyżrzał Gernándá przez pierśi przebitem.
 A przyaciále plącz y nárzekanie,
 Y słudzy smętni czynią nád zábitem.
 Zdziwi się, pyta, kto się tego ważył,
 Kto srogi zázakz woyskowy znieważył.

* * *

Arnáld zmárlego Książęćciá kochány,
 Przydawał wági złemu uczynkowi:
 Y ze go z lekkich przyczyn rozgniewány,
 Niewinnie zabił, skárżył Goffredowi.
 Y dla Chrystusá, tylko przypasány
 Miecz, przeciw iego podniósł Rycerzowi:
 Przeciwnko władzey y Hetmańskiey groźie,
 W głos obwołaney po wszyskiem obozie.

* * *

Y że trąbiono, że ktoby się zwádził
 W woysku, śmierć srogą przez to zázługował:
 A on nie tylko niewinnego zgładził,
 Lecz y to mieysce ták nieuszánował.
 Bo ieśliby kto kiedy ná to rádził,
 Aby nikt zá swoy grzech nie pokutował:
 Wszyscyby ludzie krzywd się swoich mścili,
 Niehcąc áby ich sędziowie sądzili.

Y żeby zwady dla tego samego
 Urosły, między różnemi stronami:
 Przypomniął potem służby umarłego,
 Y budził w niem gniew płaczem y prośbami,
 Nie zniósł Arnáldá Tánkred skárżącego,
 Y przed Hetmánem, y przed Rotmistrzami
 Bronił Rynáldá: lecz gdy dawał sprawę
 Surową Goffred, czynił mu postawę.

* * *

Dołożył Tánkred: O mądry Hetmánie,
 Wspomni ná zacne iego urodzenie:
 Ná rodowitość, y ná zwołanie,
 Ná przednich domow spowinowácenie,
 Ná stryia Gwelfa: Nie iedno karanie
 Wszystkiem należy: miey ná to baczenie.
 Ze iedenże grzech, różny w różnych bywa,
 W iednem iest większy, w drugim go ubywa.

* * *

A Goffred ná to: y wielcy y máli,
 Wszyscy iednáko niech práwá słucháią:
 Coż będzie zá rząd? ieśli zli zuchwáli,
 Grzeszyć bezpiecznie bez karania máią.
 Nie nátoście mi tę buławę dáli,
 Niechay iey równo wszyscy podlegáią.
 Bo ieśli tylko máłych kárać chcecie,
 Wolę dáleko, że mi ią weźmiecie.

* * *

Ták wiedz Tánkredzie, nie trzebać w tem błędzić,
 Málowánem byđz niechę ná urzędzić:
 Jam tu Hetmánem, ia tu sam chcę rządzić,
 Rad uyżrzę kto mi tu w niem gmerać będzie.
 Umiem ia, iako kiedy kogo sądzić,
 Możnem y chudszem iednoż práwo wszędzie.
 Nie odpowiedział Tánkred nic ná ony
 Słowá, powagą iego zwyciężony.

Ráymund pochwalał te Hetmańskie mowy,
 Przy stárożytney stojąc surowości:
 Dobrze tak (prawi) ná te hárde głowy,
 Nie może bydź rząd bez sprawiedliwości.
 Już tám upadek prętki y gotowy,
 Gdzie grzeszyć wolno, gdzie nie karzą złości:
 Y namożnieysze Páństwa upadaia,
 Tem, że występki winnem odpuszczaią.

* * *

Ták on tam mówił, á Tánkred to sobie
 Brał w rozum, áni więcey się tám bawił:
 Kóniowi włożył w bok ostrogi obie,
 Y do obozu ztamtąd się wyprawił.
 Rynáld w namieście siedział w oney dobie,
 Skoro Gernándá żywotá pozbawił:
 Tamże mu Tánkred wszystko wypowiedział,
 Co mówił Hetman, co Ráymund powiedział.

* * *

Dołożył tego: Acz to moje zdanie,
 Ze twarz nie ząwždy umysłu odkrywa:
 Y częstokroć to bywa nád mniemanie,
 Ze zwierchnia postać ludzi oszukiwa.
 Jednak ile ia widzę po Hetmánie,
 Y z tych słów ktorych w tey sprawie używa:
 Mniemam ieśli się nie myślę w mem zdaniu,
 Zeby cię ponno chciał mieć w zątrzymaniu.

* * *

Rynáld się rozśmiał ná te iego mowy,
 Lecz z onem śmiechem gniew był pomieszány:
 Ná niewolniká niech kładą okowy,
 Już też to siłą Tánkredzie ná Pány:
 Wolnym był ząwsze, umrzećiem gotowy
 Pierwey, niżlibych miał bydź poimány:
 Jeszcze te ręce mogą władać bronią,
 Pętą się pewnie y powrozow chronią.

Ale ieśli mam w nagrodzie otrzymać
 Zá me zasługi takie obelżenie,
 Y chce mię ponno w łańcuchu dotrzymać:
 Jáko ultáią, y dáć ná więzienie.
 Niechże mię przydźie ábo pośle imać,
 Jeszcze fię Rynáld tą szablą ożenie:
 Y doczeka go, iedno niech fię śpieszy.
 Wszak dobrze uyźrzy iáko fię ućieszy.

* * *

To rzekszy: Zbroię ná fię kładł zarazem,
 A gniew mu pałał z twarzy, y ze wzroku:
 Páisz ná ramię przywiązał, y rázem
 Szablę śmiertelną przypasał do boku.
 Ták wszystek iásnem okryty żelázem,
 Stał bárzo strászny, y ogromny w kroku:
 Marsowi rowien, gdy ná srogie rány
 Jdźie, żelázem y stráchem odźiany.

* * *

Ale rostopny Tánkred w oney dobie,
 Błagał, y miękcył serce zágniwane:
 Wszyscy to (prawi) trzymáią o tobie,
 Ze twoie męstwo iest nieporównáne.
 Y takąś sławę wszędzie ziednał sòbie,
 Ze twoie siły niewypowiedziáne.
 Lecz nie day Boże, ábyś fię miał z niemi
 Tu popisować, nád swemi własnemi.

* * *

Pytam cię, ieśli męstwá dokázować
 Masz nád swoią krwią, y nád Chrześciány?
 Y Zbáwicielá znowu chcesz krzyżować?
 Do dawnych nowe przydáiac mu rány.
 A swiecką chwátę bárzieszy chcesz miłować,
 Doczesną, krotką, y godną przygány:
 Niżli nagrody ktore nas czekaia
 W niebie, á wiecznie nieodmienne trwáia.

Boże cię takich myśli rącz uchować,
 Zwycięż sam siebie, skroć wodze gniewowi:
 Nie boiaźni to będą przypisować,
 Lecz pobożnemu twemu postępkowi.
 A ieślim godzien że mię naśladować,
 Y mieysce memu chcesz dać przykładowi:
 Y iam miał krzywdę, álem sobie rádzić
 Umiał, y z swemi niechóiałem fię wádzić.

* * *

Gdym z Cylicyey pogaństwo wyrzucił,
 Y rozwinąłem w niey chorągwie swoje:
 Nádszedł Báldowin, y ná nie fię rzucił,
 Y wziął niesłusznie to co było moje:
 Ták dla łakomstwa przyiaźń zemną zrzucił,
 Niech zá to cierpi, Boże, sądy twoie.
 Niechóiałem ia z niem obyść fię tem kształtem,
 Choćiam mu to zaś mógł odebrać gwałtem.

* * *

Ale ieśli fię swem uczciwem bronzisz,
 Y koniecznie być nie chcesz zátrzymanem:
 Y iáko ten co ná háńbę nie gonisz,
 Niechcesz bydz więźniem, áni poimánem.
 U Boemundá lepiej że fię schronisz
 W Antyochiey, ná czas przed Hetmánem:
 Bo ták bezpiecznie być możesz na stronie,
 Aż w niem gorącość po woley opłonie.

* * *

Bo ieśli prawdá iáko powiádaią,
 Ze Egypt ná nas woyská zbiera wszędzie:
 W ten czas dopiero męstwo tve poznaią,
 Y twoię dzielność kiedy cię nie będzie:
 Y że bez ciebie woysko ktore máiá,
 Jest iáko ciało co ręki pozbędzie.
 Wtem Gwelf przyszedzsy co Tánkred powiádał
 Chwalił, y rádził, áby zaráz wsiádał.

Ná te wywody ktore mu czynili,
 Ná tak gorące y długie namowy:
 Przypadł nákoniec, iáko mu rádzili,
 Ustąpić ná czás, młodzieniec surowy,
 Wtem się do niego domowi kupili,
 Káždy z niem w drogę iachác był gotowy.
 Nikogo nie chce, á wszystkim dziękiie,
 Y z parą się sług tylko wyprawuie.

* * *

Jedzie, á iádąc wielką niešie w sobie
 Do sławy chćiwóść, ktora się w niem nieći:
 Chce co wielkiego spráwić w oney dobie,
 Do tego wszystkie swe obraca chćci.
 O nowem iákiem zámyśla sposobie,
 Dostánia sławy, y wieczney pamięći.
 Chce y w zdłusz y w szerz Egipt wielki zwiedzić,
 Y skryte źródła Nyłowe náwiedzić.

* * *

A Gwelf skoro go z Tánkredem wypráwił,
 Y widział, że iuż w swoię drogę iedzie:
 Ná onem mieyscu więcey się nie báwił,
 Ale się iachał pytać o Goffredzie.
 Aby się zaráz obmowił y spráwił,
 Goffred widząc go w stronę go odwiedzie:
 Y poważnemi y mądremi słowy,
 Cicho do niego użył tákiey mowy.

* * *

Nieblizu Aráld po obozie chodzi,
 Już dawno po cię ode mnie posłány:
 Záprawdę Gwelfie chwalić się nie godzi,
 Co twoy synowiec zbroił wyuzdány.
 Niechay iáko chce z tego się wywodzi,
 Winien, y godzien, áby był karány.
 Rad będę widział iáko mi się spráwi,
 Bo wszystkim Goffred iednáko się stáwi.

Y pokaże to każda iego sprawą,
Ze stoi ząwsze przy sprawiedliwosci:
Y nie odstąpi słuszności y prawą,
Dla żadnych względow, y rodowitości,
Ale ieśli zaś woyskowa ustawa,
Z przyczyny cudzey, nie z iego winności
Zgwałcona przezeń, iako powiadaćie,
Do sądu mego stawić mi go macie.

* * *

Niech będzie wolnem ślubem ząwiązany,
Tę łaskę niech ma y to pozwolenie:
Ale, ieśli się nie stawi pozwany,
Y wszystko w lekkie puści poważenie.
Przydźie mi widzę do takiej odmiány,
Ze com miał miękkie ząwždy przyrodzenie:
Muszę rad nie rad przy sprawiedliwosci,
Nad niem podług praw użyć surowości.

* * *

Gwelf odpowiedział ná to Hetmánowi,
Człowiek w uczciwe swoje urążony:
Nie mógł wycierpieć złemu ięzykowi,
Co nań szczery fałsz rozśiewał zmyślony.
Jeśli go zabił, iakoż kres gniewowi
Sprawiedliwemu ma bydź zámierzony?
Ktoż w gniewie liczy, ábo w zwądźie rázy?
Kto w ten czas mierzy krzywdy, y urązy?

* * *

A iż mi każesz przed sobą go stawić,
Zál mi że tego uczynić nie mogę:
Możesz się o tem y od inszych sprąwić,
Ze zaráz iechał niewiem dokąd w drogę:
Gotowem tego y ręką poprawić,
Jeśli się ozwie, każdemu pomogę.
Y ieśli go kto udawa że winien,
Wszędzie swoiey czci bronić był powinien.

Słusznie hárdego zuchwálcá okrocił,
 Norweyczycowi słusznie utarł rogi:
 Tego nie chwale że prawo wywrocił
 Woyskowe, że twoy zázakaz wzgárdził srogi.
 A Hetman ná to: Boday się nie wrocił
 Więcey do woyská ztámtey swoiey drogi:
 Niechay gdzie indżiey zwády takie sieie,
 Lepiey że indżiey, nie tu wyszáleie.

* *

Tem czássem chytra pilnie popierála,
 Przyobiecáney Armidá pomocy:
 Około tego cały dzień biegála,
 Co dowcip, y co gładkość miała mocy.
 A kiedy zorzá w morze západála,
 Y mrok z czarnáwey występował nocy:
 W namiot odległy z dwiemá ochmistrzámi
 Wchodźła, z dwiemá stáremi pániámi.

* *

Ale choć się tak dobrze wyćwiczyła,
 Choć tak umiała użyć swey chytróści:
 Choć żadna takiey ná świecie nie była,
 Y potem ponno nie będzie gładkości.
 Y chocia wielkiem Rycerzom włożyła
 Powroz ná szyie, mocą swey miłości:
 Nie może słodkich roskoszy ponieć,
 Przywieść Goffredá pod swą sieć nápiętą.

* *

Dármo mu swoje chęci pokázuie,
 Dármo go piękną twarzą swą uwodzi:
 Jáko ptak gdy się nákarmionem czuie,
 Ná wyrzuconą pszenicę nie godzi.
 Tak on syt światá, świecką zostáwuie
 Roskosz, á niebo tylko sobie słodzi.
 Wszystkie postrzały ktore nań wychodzą
 Z oczu y z twarzy, namniey mu nie szkodzą.

Y choć fortelow wszystkich używała,
 Nie mogła nigdy miłości weń włudzić:
 Coraz się iako Proteus odmieniała,
 Chcąc iakokolwiek do niej go pobudzić.
 Wszystkie swe sztuki ná to obracała,
 Ze naospalszą mogłaby obudzić
 Y nażimnieyszą miłość swą gładkością,
 Lecz został cały Boską opatrnością.

* * *

Udatna dziewczka co sobie tuszyła,
 Dobyc najczystszych serc samem weyźrzeniem:
 Siłą z powagi, y z pychy spuściła,
 Widząc że Goffred stawił się kámieniem.
 Nákoniec słabszych w on czas umyśliła
 Y powolnieyszych sięgąc swym płomieniem,
 Ták niedobYTE miásto zostáwuie
 Hetman, á indziej z woyskiem się gotuie.

* * *

Lecz nie mniej mężne ná one ieY zdrády,
 Pokazało się serce Tánkredowe:
 Bo dla dawnieyszey miłości zawády
 Nie miały mieyscá w niem płomienie nowe.
 Jáko ieden iad drugie psuie iady,
 Ták iedná miłość kiedy wlezie w głowę:
 Nie puści drugiey, tych dwu nie pożyła,
 Lecz wszystkich inszych Armidá paliła.

* * *

Bárzo iá boli że nic nie sprawiła
 Swoią gładkością w Goffredzie, w Tánkredzie
 Po wielkieY części, iedná się cieszyła,
 Ze co przednieyszych z woyská z sobą wiedzie.
 Pierwey niżby się zdrádá ieY odkryła
 Myśli, iako ich w bezpiecZne uwiedzie
 Mieysce, gdzie insze y róZne powrozy
 Od teráznieyszych, w rychle ná nich włoży.

A kiedy już czas przyszedł zamierzony,
 Ktorego iey dać pomoc obiecano:
 Szła do Hetmána: Dzień (pry) náznáczony
 Minał, ktorego odprawić mię miano,
 A ieśli Tyran będzie przesurzeżony,
 Ze mi część woyská ná pomoc posłano:
 Będzie gotowszy, y o to mi idzie,
 Ze nie tak łatwożyć go zaś przydzie.

* * *

Przeto, nim mu to doniosą szpiegowie,
 Co ná to wszędzie po stronách pilnuią:
 Niech obiecáni od ciebie wodzowie
 Teraz się zemną zaraz wyprawuiał.
 Bo ieśli krzywdy nie lubią Bogowie,
 Jeśli niewinność y prawdę miłuią:
 Pewną, że wrychle w oycyznie usiędę,
 Z ktorey ci Trybut zówždy płacić będę.

* * *

Musiał to Hetman pozwolić stroskány,
 Coby bez niego była otrzymála:
 Widział to wprawdzie że on miał te Pány
 Obierać, gdzieby prętko wyiechála.
 Ale co? każdy pragnął bydz obrány,
 Y bydz w dzieśiątku który poiać miał.
 Wszyscy go wielkiem gwałtem nálegáli,
 Prosząc go o to, aby z nią iácháli.

* * *

Oná widząc to, że się w nich odkrywa
 Serce tak łatwo, nowe sieci miecze:
 Bicza z zawisney boiaźni używa,
 Tem ich po bokách pogánia y siecze.
 Wie, że bez tego miłość słabsza bywa,
 Wie, że bez tego leniwo się wlecze.
 Tak zawodniká widziem leniwszego,
 Gdy wprzód jednego, wzd nie ma drugiego.

Y tak swojego weyźrzenia każdemu,
 Y łagodnego śmiechu udzielała:
 Ze ieden záyźrzał iey łaski drugiemu,
 Nádzieia fię w nich z boiaźnią mieszała.
 Tak nędzni w on czas wzrokowi zdrádnemu,
 Ktorem do siebie chytrze przywabiála:
 Dawszy fię uwieść biegli wyuzdáni,
 Dármo ich Hetman strofuie, y gáni.

* * *

Choćby był rowno wszystkim rad dogodził,
 Bo iednakowo wszystkim był przychylny:
 (Acz go nie ieden do gniewu przywodził,
 Pokázuiąc mu on upor tak śilny)
 Lecz widząc że iem dármo to rozwodził,
 Wolał to ná los puścić nieomylny:
 Spiszcie (pry) wásze imioná, y na dno
 Włóćcie w co, á los rozsądzi was snádno.

* * *

Zátem przezwiská wszystkich popisano,
 Y popisawszy miészác ie poczęto
 W pewnem naczyniu: y po iednem brano,
 Grabię z Pembrozy napierwszego wzięto
 Artemidora: Po Grabi czytano
 Gerhárdá, po niem Wacławá wyięto.
 Ten iuż miał lata, y słynął z mądrości,
 A teraz fię iął na stárość miłości.

* * *

Jáko fię ci trzey z tego rádowali,
 Y iáko byli ná on czas weseli:
 Trudno powiedzieć, bo tego dostáli
 Wprzod przed inszemi, czego wszyscy chcieli.
 A ci co ieszcze ná spodku zostáli,
 Niewymowioną boiaźń w sercu mieli:
 Káždy z niezmierną chciwością pilnuie
 Tego, co kártki z naczynia wyimuie.

Gwászek był czwarty: Rydolf po Gwászkonie,
 Po Rydolfie zaś Henryk z Olderykiem:
 Więc Guilelm Książę na Roncylionie,
 Szedł z Eberárdem z rodu Bawarczykiem.
 Rámbáld wychodził na ostatniem zgonie,
 Co potem Bożem został przeciwnikiem
 Poturczywszy się, (o sromoto wieczna)
 A czego miłość nie czyni bezecna?

* * *

Jnszy ktorych los minął w obieraniu,
 Złą nieżyczliwą fortunę winili:
 Łaiąc miłości, że w swem panowaniu
 Dopuszczála iey sądzić w oney chwili.
 Ale iż ludzka żądza w zakazaniu
 Zawszdy przeciwna, y na to się śili:
 Czego iey bronia, y każą zaniechać,
 Siła ich szczęściu na złość z nią chce iechać.

* * *

Chcą z nią bydź zawsze y we dnie y w nocy,
 Y żywot za nią położyć gotowi:
 Ona wesołe miecząc na nich oczy,
 Mową y słodkiem westchnieniem ich łowi.
 Jeśli gdzie kupę zących paniać zoczy,
 Zegna ich życząc, aby byli zdrowi.
 Wtem się też ona dzieśięć wybierała,
 Y Gotyfreda w namięcie żegnała.

* * *

On iem przestrogi, y dawał nauki,
 Aby Pogąnskiey nie dufali wierze:
 Zeby fortelne znać umieli sztuki,
 Zeby ostrożni w pewney stali mierze.
 Lecz miłość niedba na prośby, na fuki,
 Wiatr one iego słowa z sobą bierze.
 Wtem ich odprawił: Ona też iechała
 W nocy z obozu, ani dnia czekała.

Jadąc onych swych dziesięć holdowników,
 By ná tryumfie więźnie prowadziłá:
 Co gorsza, drugich wiele miłośników
 Ná wielką szkodę w woysku zostawiłá:
 Ze rzadko ktory uchybił iey wników,
 A skoro ziemię ciemna noc okryłá:
 Potáiemnie się z woyská wykradáli,
 Y zá nią ćicho w też tropy iacháli.

* * *

Wprzód szedł Eustácy zá nią zápędzony,
 Y ledwie mroku doczekał ciemnego:
 Bieży co koń ma mocy, prowadzony
 Przez ślepe cienie od Bogá ślepego.
 Całą noc prawie onę oblądzony
 Tám y sám iezdził do świtu sáмого:
 Skoro odniáło tám gdzie nocowałá,
 Przypadł, gdy się już z noclegu ruszałá.

* * *

Po zwykłym zaráz poznawszy go znáku,
 Pocznie nań wołáć Rambáld iádowity:
 (Bo iego przyjazd nie był mu do smáku)
 A ty tu po co? masz tu rok zawity?
 Eustácy ná to: Wiem że nie ma bráku
 Armidá, chcę iey służyć iáko y ty.
 Kto cię (pry) oddał? nie służá tu tácy.
 Miłość uprzeyma, odpowie Eustácy.

* * *

Jam od miłości, tyś szczęściem obrány,
 Ktoż się iey sługą słuszniey ma nazywáć?
 Odpowie Rambáld srodze rozgniewany,
 Nie możesz tego tytułu używáć:
 Y niegodzienes być miedzy dworzány,
 Y z iey własnemi sługámi przebywáć.
 A co gorszego chcesz ukradkiem ieszcze
 Dostáć tey służby, y mieć tákie mieysce.

Nie mógł mu wytrwać Eustacy tey mowy,
 Ale do niego wielkiem pędem skoczy:
 Nie złożył mu nic, y gorszemi słowy
 Łaiąc, śmieie mu Rambáld poszedł w oczy.
 Wyciągnie rękę Krolewná, gotowy
 Chcąc pojedynek rozwieść, (patrzcie mocy
 Głádkości) Ze mnie przybywa czeládzi,
 A towarzystwá tobie: Coć (pry) wádzi?

* * *

Y ieśliś łáskaw co ná moje zdrowie,
 Przecz mię rátunku zbawiasz potrzebnego?
 Wczesnieś mi przybeł (drugiemu zaś powie)
 Obrońco sławy y zdrowia moiego.
 Nie da Bog ábym zostać miała w słowie,
 Y nie być wdzięczna sługi tak zacnego.
 Tak iem mówiła, á co raz niemáło
 W drodze iey inszych z woyská przybywáło.

* * *

Tego zdáléká, tego zbliská miała,
 A nic o sobie wszyscy niewiedzieli:
 Oná káżdego wdzięcznie przyjmowála,
 Y wzrok łáskawy miedzy wszystkie dzieli.
 A skoro teź noc dniowi mieysce dáła,
 Goffred, y inszy ich odiazd uyźrzeni:
 Ktoremu serce iuź prorokowáło,
 Ze ich co złego wrychle potkáć miáło.

* * *

Kiedy to sobie Hetman utrapiony
 Rozbierał, smętek máiąc niepoięty:
 Uyźrzy, á ono ieden ukurzony
 Bieży do niego, żalem wielkiem zdięty.
 Krol (pry) z Egiptu iuź ná wszystkie strony
 Z możnemi pływa po morzu okręty,
 Gwilelm Admirál Genueńskich łódzi,
 Do wiadomości wczás ci to przywodzi.

Do tego kiedy ięczmiony y żyto
 Od morzá woysku lądem prowadzono:
 Wszystkie wielbłądy, y konie rozbito,
 Ktore żywnością beło náiucono.
 Y ná głowę ich wszystkich prawie zbito,
 Część ich w niewolą daleką wiedziono.
 Zásádzili się beli po krzewinie
 Zboyce Arábscy ná nie przy dolinie.

* * *

Ktorzy do takiej śmiałości już przysli,
 Y takie czynią w támtym kráiu trwogi:
 Ze náostatek to łotrostwo myśli
 Wszystkie zástąpić gościńce y drogi.
 Przeto potrzeba aby ludzie wysli
 Zwoyská, ten rozboy pohámować srogi:
 Y ubespieczyć drogi z tey przyczyny,
 Co tu od morzá idą Pálestyny.

* * *

Pelen beł oboz, y wszystkie námioty
 Nowin, y wieści niepoćieszných onych:
 Zołnierz dla głodu rozczętey roboty
 Odbiec y murow myśli obleżonych.
 Hetman w nich zwykley nieznáiąc ochoty,
 Y wszystkich bárzo widząc potrwożonych:
 Twarzą wesołą, y pięknemi słowy,
 Ciesząc ich, takiej użył do nich mowy.

* * *

Wy cóście zemną przez rózne przygody,
 Ták wiele światá bezpiecznie przebyli:
 Wy cóście mieczem potężne narody,
 Pod Chrystusowe chorągwie podbili.
 Wy cóście wiátry, morzá, niepogody,
 Głody, prágnienie, zimną zwyciężyli:
 Czego się teraz ták bárzo boicie?
 Coż? opátrności Boskiej nie wierzycie?

Bog, który w gorszem razie was ratował,
Y do tąd ieszcze cało was prowadzi:
Jako was zawsze w swej opiece chował,
Tak w tych trudnościach teraz o was radzi.
Każdy z was wrychle będzie mu dziękował.
Za łaski, które czyni swej czeladzi.
Przeto cierpliwie znoście te niewczasy,
A na szczęśliwsze chowaycie się czasy.

* * *

Wiele inszych słów takowych używał,
Ciesząc żołnierze swoje skłopotane:
A wielkie twarzą wesołą pokrywał
Troski, y serce swoje zfrásowane.
Myślił sam w sobie, y rady zdobywał,
Jako miał woysko pożywić zebrane.
Jako Egypską Armatę odwrócić,
Y iako zboyce Araby okrocić.

KONIEC PIEŚNI PIĄTEJ.

P I E S N S Z O S T A.

A R G U M E N T.

Argánt Chrześcian ná rękę wyzywa,
Otton się porwie, choć nie nāznāczony:
Ale wypadszy zsiodłā, koniā zbywa,
Y do miāstā beł zā więźniā wiedziony,
Tānkred się biie, lecz go noc pokrywa,
Y poiedynek tem beł rozwiedziony.
Erminia chce zleczyć swego Pānā,
Y idzie z miāstā nocą przyodziānā.

Lecz z drugiey strony w mieście obleżoych
Dāleko lepsza nādzieiā cieszyłā:
Bo krom dostātkow dawno nāwiezionych,
Nocą żywności wprowadzili siłā.
Koło murow teź słābych y zwałonych,
Wielka moc ludzi ustawnie robiłā.
Zbyt miāzsze bārzo y wysokie stoią,
Y naytęższych się Tārānow nie boiā,

* * *

Krol sam skończywszy mury od pułnocy,
Potem zās bāshty narożne wārował
Dla bespieczeństwā, y dla więtszey mocy,
Ziemiā ie z gnoiem nāpoły fasował.
Plātnerzom zbroie y we dnie, y w nocy
Z wielką pilnością robić roskāzował.
Kiedy się tem Krol utroskāny bawił,
Argánt się przedēn w oney dobie stawił.

Długoż (pry) nas chcesz trzymać w tem więzieniu?
 Y miedy temi zawierać murami:
 Widzęc ia pilność w rynsztunkow robieniu,
 Słyszę że młoty brzmia z nakowálniami.
 Ná coż to? kiedy nam ku obelżeniu
 Nieprzyiaćiel się wrywa przedmieściami:
 Nikt się iem oprzeć nie śmie z naszych ludzi,
 Y naszą trąbą ze snu ich nie budzi.

* * *

Tak swe obiady, y sny nieprzerwane
 Własnie iako w swych domach odprawuia:
 Wieczery u nich rzadko nie piáne,
 Wysypiaia się, wyćieczek nie czuia.
 Y tak nas wrychle tu pozamykane,
 Głodem y sámem niewczásem zwoiuią:
 Y umrzeć musiem nikczemnie po chwili,
 Jeśli nas pomoc z Egiptu omyli.

* * *

Ja się z mey strony, Krolu, opowiadam,
 Ze końca niechcę tak obelżywego,
 Y tak sromotney śmierci: Zaráz wsiadam,
 Ani tu dnia chcę czekać iutrzeyszego.
 Wyrokowci ia niebieskich nie badam,
 Niech będzie co chce z przezyrzenia wiecznego.
 To wiem że umrę szablę w ręku máiac,
 Sławy, y śmierci pocziwey szukaiąc.

* * *

Ale jeśli co w sercach waszych zywie
 Chęci, do sławy nieoszacowaney:
 Nie tylko umrzeć mężnie y uczciwie,
 Alebym się tez spodziewał wygráney.
 Wsiadaymy ná koń, iedźmy nie leniwie,
 Sprobuemy szablę dawno zapomnianey.
 W naygorszych ráżiach tak to powiadaią,
 Nayśmielsze rády, naylepsze bywaią.

A ieśliście też nie tak bárzo śmieli,
 Y nie tak wiele siłom swem ufaćie:
 Abyście z woyskiem wszyskiem wyniść mieli.
 Ná dwu rycerzow lepiej że to daćie.
 Niech Chrześciance ieśli będą chćieli,
 (Bo tego słusznie pozwolić iem maćie)
 Broń obierają, niech mieysce wydádzą,
 Y te sposoby ktore fię im zdádzą.

* * *

Bo nieprzyaciel ieśli iednę duszę,
 Y dwie ma tylko ręce iako drugi:
 Ja nieomylnie swey wygraney tuszę,
 Jeśli mię do tey użyiesz posługi.
 Przeto cię proszę, niech kopią kruszę,
 Ták fię ten zaciąg skończy pręcey długi.
 Nie zawiódę cię, dáięć rękę ná to,
 Y przyrzekam ci, y ślubuięć zá to.

* * *

Krol mu krotkiemi odpowiedział słowy,
 Choć mię ták widzisz stárem, y sędziwem:
 Nie tákem słaby, nie ták niegotowy,
 Nie tákem iako mniemasz boiázliwem.
 Abych ták bárzo miał chronić tey głowy,
 Y chćiał sposobem umrzeć obelżywem:
 Kiedybym fię bał, iákiey znaczney szkody,
 Albo przyść na mię miáły iákie głody.

* * *

Lecz żebyś wiedział dlá ktorey przyczyny
 Myślę fię z woyskiem do czasu zawierać:
 Soliman, o czem pewne mam nowiny,
 Z Niceey do mnie poczał fię wybierać:
 Y kazał aż od Libiyskiej kráiny,
 Hufce Arábow rozsproszone zbierać.
 Ná Chrześciance chcąc uderzyć w nocy,
 Wprowadzić żywność, y dáć nam pomocy.

Ze nieprzyjaciół trzyma zamki małe,
 Y drobne miastá w okolicy szkodzi:
 By tylko było Jeruzáleń całe,
 Y tá stolicá niech cię nie obchodzi.
 Przeto skroć ná czas zamysły wspániáłe,
 Nie ták głęboko w rzeczy patrzą młodzi:
 Schoway swe ná czas pogodniejszy męstwo,
 Sobie ná sławę, á mnie ná zwycięstwo.

* * *

Gniewał się ponno Argánt w oney dobie,
 Nie bárzo tám rad był Solimánowi:
 Nieprzyjaciółmi ząwždy beli sobie;
 Záperzywszy się odpowie Krolowi:
 Mnie milczeć o tem należy, á tobie
 Uczynić co chcesz: Lecz to rozumowi
 Przeciwna, áby ten co państwą swego
 Nie mógł obronić, obronił cudzego.

* * *

Niech przydźie iáko wypráwiony z niebá,
 Wyswobodzić was z tego obleżenia:
 Niech wam wprowadzi żywności y chlebá,
 Niechay was z tego wyzwoli więzienia.
 Mnie niczyiego ratunku nie trzeba,
 Już wy tu siedzicie: A iá pozwolenia
 Proszę, niech w pole iadę, nie od ciébie
 Kruszyć kopią, ále sam od siebie.

* * *

A Krol mu ná to: Rycerzu cnotliwy,
 Wolałbym cię był ná inszy czas chować:
 Ale iżeś ták boiu bárzo chciwy,
 Pozwalam ná to, niechcę cię hánować.
 Zá temi słowy Argánt ukwápliwy,
 Ná pojedynkę pocznie się gotować.
 Y przyzwanemu rzecze Trębaczowi,
 Jedź: á przy wszystkich powiedz Goffredowi.

Ze ieden Rycerz, ktorego to boli,
 Ze go zá temi trzymaia murámi:
 W przestronem polu, á nie w mieście woli,
 Popisować się z swoiemi siłami,
 Y ze go uyźrzy gdzie ná to pozwoli
 Wrowni, pod swemi zaráz obozami:
 A że wyzywa ná rękę ktorego
 Ma w swoim woysku co namężnieyszego.

* * *

Y tak powiáda, że tego dowiedzie,
 Nierzkąc się z iednem, y dwiema kosztować:
 Niech po trzech czwartych y piąty wyiedzie,
 A po iednemu máia następować.
 Tego co przegra, niech zwycięzcá wiedzie,
 Jeśli go też chce wolnością darować,
 Wolno mu będzie, tak mu roskázował:
 A Trębacz się też zaráz wypráwował.

* * *

Przyiechawszy tam kędy przy Hetmánie
 Co napřednieyszy siedzieli wodzowie,
 Beł prowadzony, y poczał: O Pánie
 Pytam? daćieli mieysce wolney mowie.
 Odpowie Goffred: Nićci się nie stánie,
 Wszędzie bezpieczeni bywáia posłowie.
 Więc powiem (práwi) ćierpliwie słuchayćie,
 A ná Pána się, nie ná mię gniewayćie.

* * *

Potem poselstwo tak hárdzie spráwował,
 Y tak zuchwale, że ci co słucháli:
 By ich beł samże Hetman nie hámował,
 Podobnoby mu byli nie wytrwáli.
 Goffred po sobie sam nie pokázował
 Gniewu, rzekł tylko: Bárzoście zuchwáli,
 Powiedz, że piąty pewnie się nie stáwi,
 Kto wie? ieśli go pierwszy nie odpráwi.

Niechże nie miészka, á Goffred ślubuie,
 Ze bez zasadek da mu wolne pole:
 Y iednego z swych stáwić obiecuie
 Przeciwno niemu w rozmierzonym kole.
 Trębacz się zatem ná zad wypráwuie,
 A ostrogámi koniá w boki kole.
 Wiechawszy w miásto, poszedł ukwápliwý
 Tám gdzie go czekał Argánt boiu chćiwý.

* * *

Gotowi się bić (práwi) Chrześciánie,
 Nie baw się więcey, á odziey się zbroią:
 Nie tylko ci co blisko przy Hetmánie,
 Ale y mnieyszy, znáć że się nie boią.
 Zuchwále się iem zdało twe wskazánie,
 Wszyscy się pychą urázili twoią.
 Wierzyć iem strony bezpieczeństwá możem,
 Plác między miástem, á między obozem.

* * *

Wziął ná się zbroię Argánt nie mieszkáiąc,
 A páłasz przez się zawiéśli ná bindzie:
 Krol Chrześciánom nie bárzo dufáiąc,
 Kazał go przedsię prowadzić Kloryndzie
 Dla bezpieczeństwá, pilne oko máiąc,
 Niechay (pry) ztobą tyśiąc iezdy wyndzie.
 A kiedy mu się bić przydzie sámemu,
 Zdáléká stánąc każ ludowi swemu.

* * *

A w tem ci, co go z miásta prowadzili
 Ná plác, który był ná to náznáczony:
 Wszyscy we zbroiách z bramy wychodzili,
 A wprzód szedł Argánt świetno ustroiony.
 Plác ten od miásta w ćwierci leżał mili,
 Wszystek odkryty, y niezásłonióny:
 W równi która się do tego ták zdála,
 Jáko by się téż umyślnie szukała.

Ná oczu woyská sām ieden wszystkiego
 Stánał tám Argánt, Argánt urodziwy:
 Z sercá męźnego, z wzrostu ogromnego,
 Z szerokich plecu, srogi, y straszliwy.
 Do Enceládá y Philistyńskiego
 Mężá podobny, á wzrok niośł gniewliwy.
 Ale się z niem bić przedsię wszyscy chcieli,
 Bo iego śily ieszcze nie wiedzieli.

* * *

Jeszcze był wten czas Goffred nie miánował
 Kogo miał ná to obrać między swemi:
 Tánkredá iednak każdy upátrował,
 Przyznawáiąc mu męstwo przed inszemi:
 Y w rycerskiem mu dziele ustępował,
 Kładąc go między co nadzielnieyszemi.
 Y włoś iuż o tem y wielcy, y máli,
 Po wszystkim prawie obozie szemráli.

* * *

To beło wszystkich zdanie o Tánkredzie,
 Poiedynki mu były nie nowiná:
 Toż rozumienie beło y w Goffredzie,
 Jedż (práwi) okroć tego pogániná.
 Tánkred wesoły záraz w pole iedzie,
 Szczeńcia mu dobra winszuie družyná:
 Ktora go piękney pełnego ochoty
 Wyprowadziła w pole zá namioty.

* * *

Od tego plácu dáleko był ieszcze,
 Ná ktorem z sobą w on czas czynić mieli:
 Gdy iuż poćiechę swoię serce wieszcze
 Czuło, bo piękna Bohatyrká w bieli
 Nagle się ná to podemknęła mieysce,
 Nigdyście śniegow bielszych nie widzieli:
 Jáko tá szátá co na zbroi miała,
 A z ssyszaká twarz wszystkę ukazała.

Obaczywszy ją więcej nie pilnuie
 Gdzie go ná placu czeka Argánt śmiały:
 Ale po málu zá nią następuje,
 Aż się nákoniec zstawa skámieniály.
 Mroz z wierzchu, wewnątrz srogi ogień czuie,
 Stoi ná miejscu podobien do skały:
 Wlepiwszy w nią wzrok, y czyni postawę,
 Ze z Cyrkászczykiem niedba o rosprawę.

* * *

On też użyżrawszy że nikt przeciw niemu
 Nie idzie w szranki, y niechce się ruszyć,
 Woła: Coż to iest? wždy kaźcie ktoremu
 Stawić się ná plac, y kopią kruszyć.
 Tánkred nie słyszy, y oku chćiwemu
 Woli dać obrok, y wnątrz serce suszyć.
 Wtem Otton wodze wypuścił koniowi,
 Y skoczył ná plac przeciw Argántowi.

* * *

Otton był ieden który się nápierał
 Czynić z Argántem, z inszemi zacnemi:
 Z Tánkredem potem o to się nie spierał,
 Y prowadził go z obozu z drugiem.
 A teraz słysząc że Argánt wywierał,
 Y słowy nasze lżył uszczypliwemi:
 Y że się Tánkred zapomniął bez máła,
 Porwał pogodę, która się podála.

* * *

Nie ták lew młody kiedy byká zoczył
 Bieży do niego, głodem przemorzony:
 Jáko ná ten czas Otton rąco skoczył,
 Argánt do niego także z drugiey strony.
 Dopiero Tánkred ná zad koniem toczył,
 Jáko z twardego spánia obudzony:
 Woła nań, postoy, mnie się bić należy,
 Nie słyszy Otton, y potkąc się bieży.

Zastánowił się, á oczy mu obie
 Pałały, bo był srodze rozgniewány:
 Ze go uprzedził zá háńbę ma sobie,
 Widzi, że wielkiey nie uydzie przygány.
 Wtem Cyrkászczyká Otton w oney dobie
 Uderzył drzewem w szyszak hecowány.
 A on mu páiż wprzod á zbroię potem,
 Zá iednem rázem ostrem przebił grotem.

* * *

Bárzo się Otton nieborak omylił,
 Bo wypadł z siodła nád mniemánie swoje:
 Ale pogánin áni się náchylił,
 Bo był mocniejszy pewnie tyle troie.
 Potem się z konia do Ottoná zchylił,
 Mowiąc mu hárdzie, day się w ręce moje:
 Dosyć masz sławy, y możesz się chlubić,
 Ześ się bił zemną, y żeś mię chciał ubić.

* * *

Nie ták się prętko nászy poddawaia,
 Jáko rozumiesz (Otton mu odpowie)
 Niech mię z nieszczęścia drudzy wymawiaia,
 Ja się chcę pomścić, albo stracić zdrowie.
 W Argáńcie oczy płomieniem pałaiá,
 Roziadł się iák pies, y słow kilká powie:
 Poznayże (práwi) iáka moia sílá,
 Kiedyć y dobroć, y ludzkość nie miła.

* * *

Ledwie się Otton ná nogi postawił,
 On konia zwárwszy nátrze ná pieszego:
 Uskoczył Otton, y záś się popráwił,
 Y bronią boku dośiágł mu lewego.
 Prawdá to że miecz dobrze w niem ukrwáwił,
 Lecz bez pożytku y skutku żadnego:
 Bo nie osłábiał namniey z oney rány,
 Ale był duższy Argánt rozgniewány.

Zatrzymał koniá y náзад go wrocił,
 Y ná Ottoná iáko ptak przypádnie:
 Ze się nie postrzegł kiedy się obrocił,
 Y tak mu przyszło potraćić go snádnie.
 Tem potrąceniem zaráz go okrocił,
 Drżą mu koláná, twarz mu wszystká bládnie:
 Leći do ziemié, zátém się powálił,
 Tak twárdy był raz który go obálił.

* * *

Sroży się Argánt, pierśi leżącemu
 Podeptał zwárwszy koniá ostrogámi:
 Tak będzie (woła) káżdemu hárdemu,
 Já k temu co mi leży pod nogámi.
 Dopiero Tánkred koniowi swojemu
 Nie da stać, ále popuści wodzámi.
 Zal mu Ottoná, widzi że źle sprawił,
 Radby się po swem występku popráwił.

* * *

Z wielkiem ku niemu poskoczy okrzykiem
 Ná rączem koniu, głosem nań wołáiąc:
 Ty psie pogański, co się okrutnikiem
 Czynisz nád więźniem; w ręku go trzymáiąc.
 Znać to po tobie, żeś był rozboynikiem,
 Náwykleś tego z Aráby zbiiáiąc.
 Niegodzieneś tey słoneczney światłości,
 Dla swojej dżikiey zwierzęcey srogości.

* * *

Ostátek Tánkred Marsowi poruczy,
 Cyrkászczyk zgrzytá, ściska z gniewu zęby:
 Chce odpowiedzieć, ále tylko mruczy,
 Niezrozumiany dźwięk mu pada z gęby.
 Jáko więc obłok w niepogodę huczy,
 Z ktorego piorun wypada troyzęby:
 Tak káżde słowo Argántowe było,
 Zdáło się że grzmi, kiedy wychodziło.

A kiedy obá z onego łáiánia
 Wzajemnego, gniew w sobie pobudźili:
 Ták ten, iáko ow, rączo do potkánia
 Szli, y obádwa do siebie skoczyli.
 Wy mi, o Pánny, dayćie do śpiewánia
 Głos tey woienney rowny krotofili.
 Wy sámy rymy prowadźcie niegodne,
 Niech będą z dzieły ták wielkiemi zgodne.

* * *

Wielkie w rzemiennem drzewá niosąc toku,
 Poszli do siebie oni dwáy rycerze:
 Tákiego biegu, álbo rączy skoku
 Nie beło nigdy w żadnem boháterze.
 Bo bez wątpienia niedościgle oku,
 Ledwie ták leći wystrzelone pierze.
 Drzewá fię obie o zbroie złamáły,
 Skry szły, á trzaski pod niebo lećiały.

* * *

Dźwięki z tych rázow po róźney fię stronie,
 Y po przyległych gurách rozlegały:
 A sámem głowy, áni pyszne skronie,
 Ani wyniosłe czołá niezádrżały.
 A ták w się obá uderzyły konie,
 Ze iáko zdechłe ná pował leżały.
 Ktorych skoro ták obádwa pozbyli,
 Od bokow mieczow ogromnych dobyli.

* * *

Ostroźnie niosą rękę, oko, nogę,
 A wzáiem sobie obádwa nie wierzą:
 Co raz náyduią do ran nową drogę,
 To w łep, to w pierśi, to do brzuchá mierzą.
 A podawáiąc omylną przestrogę,
 Nie tám gdzie mierzą, lecz indziej uderzą.
 To wprzod, to pozad krókow pomykáją,
 A czásem fię chcąc sobie odkrywáją.

Ukazał Tánkred bok tarczą odkryty,
 Znać beło że był ćwiczonem szermierzem:
 Wyniosł się z mieczem Argánt iádowity,
 Wtem bok swoy lewy odsłonił puklerzem,
 Tánkred miecz odbił, ták że raz odbity
 Szedł wniwecz, y wraz dosięgł go koncerzem:
 Y wskok się cofnął, y stánął zaś w kroku,
 A temu pluszczy krew z rónnego boku.

* * *

Poczuwszy Argánt że iuż beł róniony,
 Y námácawszy znáczną w boku dźiurę:
 Zrże się sam w sobie, y iáko szalony
 Miece się, czuiąc zdźiuráwioną skurę.
 Y wściekłem iák pies gniewem zápalony,
 Wyniozłszy y głos, y miecz wielki wzgurę:
 Z obu rącz nań tnie: On w tem rónę nową,
 Zadał mu w ramię drugi raz sztychową.

* * *

Jáko ná Tátrách wieprz dźiki poszczwany,
 Widząc ná sobie zśiáde ze krwie lepy:
 Krzywemi kłami wielkie tocząc piány,
 Gwałtem się miece, y drze ná oszczepy.
 Ták Argánt rónę odniosłszy do róny,
 W niebespieczeństwo idzie iáko ślepy:
 Y ták ná pomstę biegł nieokrocony,
 Ze swoiey własney zapomniał obrony.

* * *

Co iedno miał sił w sobie w oney dobie,
 Wszystkie gromádzi, y w kupę ie ściska:
 A mieczem ktory beł ná ręce obie,
 Jáko piorunem po powietrzu błyska.
 Drugi iuż wytchnąć niema iáko sobie,
 Bo nań śmiertelne raz wraz rázy ćiska.
 Ták wielkiej mocy żadne strzymać sztuki,
 Zadne szermierskie nie mogą náuki.

Długo już czeka Tánkred nádemdlony,
 Aza się kiedy pogánin zmorduje:
 Czasem się składa, czasem przez zagony
 Ná koło mu się rącho ustępuje.
 A widząc że ow trwa nieprzełomiony,
 Y co raz bárziej siekąc następuje:
 Z obu rącz mieczem także nie przestając
 Siekł, iako y on nie odpoczywając.

* * *

Już umiętność za nic prawie stoi,
 Ná siłach zgoła zależało wiele:
 Za kazdem cięciem, blachy miecz ukroi,
 Albo w niey dziurą, albo rana w ciełe.
 Pot płynie z czoła, krew ciekąc po zbroi
 Mięsza się w piasku, y w suchem popiele.
 Miecze się iako pioruny błyskały,
 Zbroie od rázow iako niebá grzmiąły.

* * *

Bohátyrowi swojemu życzliwi,
 Pátrzą z niezmierną boiǎźnią poganie:
 Z niemnieyszem stráchem y nie mnief wátpliwi,
 Czekając także końca Chrześcíanie.
 Y ci, y owi, rowno boiǎźliwi,
 Nikt nie rozdziewi gęby pátrząc ná nie.
 Zaden nie trunie, żaden się nie ruszy,
 Tylko że się kęs rusza serce w duszy.

* * *

Już się obádwá byli zmordowáli,
 Y podobnoby koniec beli mieli:
 Ale noc zaszła, że ci co pátrzáli,
 Nic álbo máło choć zbliská widzieli.
 Wtem Aráldowie dwáy na plác wiecháli,
 Ktorzy ie rozwieść y rozwádzić chcieli.
 Co z támtéy strony Pindorem go zwano,
 Chrześcíańskiemu Arydeus dziano.

Tych taka wolność, taka iest ustawa,
 Ze łaski swoje kładą między miecze:
 Taki z zwyczajem y dawnego prawa,
 Boy nagorętszy rozwiedzie y zwlecze.
 Rownićcie sobie: Zła w poćiemku sprawá,
 Przestancie się bić, Pindor pierwszy rzecze:
 Widźcie że mrok ciemny następuje,
 Niech odpoczynek swoy noc zachowuje.

* * *

Wszystkie zwierzęta pokoy w nocy mają;
 A dnia się do prac iasnego używa:
 Wspaniałe sercá o dzieła niedbają,
 Ktore ciemnością swoją noc pokrywa.
 Odpowie Argánt: Mnie y w nocy znają,
 Niech kiedy kto chce sobie odpoczywa:
 Ja ztąd nie ziadę, y bić się z niem będę
 Ták długo, aż mu ná garle usiędę.

* * *

Chybáby przyśiągł że tu zaś przyiedzie.
 A Tánkred ná to: Ja też nie odiadę,
 Aż mi przyśięże że więźniá przywiedzie,
 Y ná roszczętą stawi się bieśiadę.
 Przyśiągł Cyrkászczyk zaráz po Tánkredzie,
 Ták Aráldowie odłożyli zwadę:
 A żeby one rány wylęczyli,
 Szosty do bitwy dzień iem náznaczyli.

* * *

Ták straszny, y ták pojedynek srogi
 Został pámiętny u oboiey strony:
 Nie bez wielkiey go wspominią trwogi,
 Y nie ták rychło będzie zapomniony.
 Pełne takich mow, y domy, y drogi,
 Jáko ten, y ow, był w boiu ćwiczony.
 Lecz komu więcej przyznawać się miało,
 Różnie pospolstwo sobie rozbierało.

Wszyscy czekali y o tem mówili,
Co się za koniec naostatek stanie
Jeśli gniew wściekły, y szaleństwo, czyli
Męstwo, y dzielność, na placu zostanie.
Ale naywięcey trapi w oney chwili
Erminią to przyszłe ich potkanie,
Bo samey siebie część lepszą widziała,
Ze tam na Marście wątpliwem wiślała.

* * *

Kássaná oycá Erminia miała,
W Antyochiey co przedtem pánował:
Potem się w łupie zwyciężczy dostała,
Kiedy krolestwo ono opánował.
Wszelaką ludzkość po Tánkredzie znała,
Wielką iej łaskę zawżdy pokázował:
Páńskie w upadku oyczystey stolice
Miała chowanie, á nie niewolnice.

* * *

Czcił ią, ważył ią, iáko się godziło
Ważyć, w Krolewskim stanie urodzoną:
Perły y złoto, y co skárbow było,
Dał iej y wolność nawet utráconą.
Co ią tem bárziej ieszcze pobudziło,
Ze wpadła w miłość dla niego szaloną.
Y taką miłość, że podobno więszey,
Y nigdy w nikiem nie było gorętszey.

* * *

Ták chocia ciało dárował wolnością,
Serce y duszá w niewoley zostála:
Z gęstemi łzami, z okrutną żalością,
Swoiego Pána nędzna zostáwiała.
Ale choć taką pałała miłością,
Na swe uczciwe ták się oglądała:
Ze mátkę w leciech podeszłą niebogę
Poiąwszy z sobą, puściła się w drogę.

Do Jeruzalem naprzód się trąbiła,
 Gdzie ią Krol przyiął, y chował przy sobie:
 Prętko iey potem matka ustąpiła,
 Y po niey tamże chodziła w żalobie.
 Ale ani żal że matki pozbyła,
 Ani wygnanie mogło w oney dobie
 Onę iey miłość z serca wykorzenieć,
 Albo iey ulżyć, albo iey uplenieć.

* * *

Gore niebogą, okrutnie miłuię,
 A żadney nie ma nadzieie w miłości:
 Coraz się większy ogień w niey záymuię,
 Dościągł iuż wszędzie wysuszonych kości.
 Ztąd że go táić w sobie uśiuię,
 Bárżiey się żarzy, y szerzy z skrytości:
 Ale w niey martwe nadzieie ożyły,
 Gdy z woyskiem przyszedł pod miasto iey miły.

* * *

Gdy Chrześcijańska moc następowała,
 Y szły chorągwie pod miasto rozwite:
 Wszystkich okrutna twogą zdeymowała,
 Widząc narody obce rozmaite.
 Ona się sama tylko radowała,
 Y z chciwem między namioty rozbite,
 Y między zbrojne hufce okiem lązła,
 Tak długo, aż gdzie Tankreda nalaźła.

* * *

Podle pałacu była Krolewskiego
 Wysoka wieża, tuż przy samem murze:
 Z ktorey mógł przyzrzeć do Chrześcijańskiego
 Obozu prosto, tak iako po sznurze.
 Tam Erminia od świtu ranego
 Do samey nocy śiadła na gurze:
 Tam chciwe myśli y oczy karmiła,
 Tam sama z sobą rozmowy czyniła.

Tám się y w ten czas strapiona puściła,
 Kiedy miał bydz on poiedynek srog:
 A od boiáźni ktora ią trapiła,
 Lękliwe serce drżało u niebogi.
 Y Mars wątpliwy ná ktory pátrzyła,
 Czynił że mdlála z oney wielkiey trwogi.
 Zawsze kiedy się Cyrkaszczyk zámierzył,
 Czula iákby ią miecz w serce uderzył.

* * *

Potem kiedy się tego dowiedziála,
 Ze mieli znowu wroćić się do boiu:
 Łzy bez przestánku smętna wylewała,
 Z frásunku, z stráchu, z żalu, z niepokoiu.
 Nákoniec iuż lez tak wiele nie miała,
 Ale ná zimnem wspárwszy się podwoiu:
 Wzdychála, mdlála, czasem z mdłości pádła,
 A wszystká srodze wyschlá, y wybládlá.

* * *

Jeśli też kiedy oczy wypłákane
 Zawárlá, álbo iáki kęs usnęła:
 Widziála przez sen łárwy, że w zamiánę,
 Rádaby belá śmierć za on sen wzięła.
 Czasem miłemu swojemu žádańe
 Rány uyżrzawszy, nagle się ocknęła.
 Co raz się przed nią ukrwáwiony stáwi,
 Tak nędzna płácze we snie, y ná iáwi.

* * *

Nie tylko serce y umysł niewieści
 Przyszłego boiu kłół strách niewytrwány:
 Ale ią rózne trwożyły powieści,
 Y Tánkredowe niebezpieczne rány.
 Po wszystkiem mieście beły takie wieści,
 Między chćiwemi tych nowin Pogány:
 Ze niebezpiecznie w onych ránách leżał,
 Y nie tuszyli, áby się wyleżał.

A iż od mátki wzięła, y wiedziała
 Jaką moc w sobie wszystkie zioła miała:
 Y słowa pewne, y rymy umiała,
 Ktore największe bole uśmierzała.
 (Ktora náuka tám się więc chowała,
 W sámych Krolewnách iáko powiadała)
 Myśli, by iáko, pospołu być z chorem,
 Y uleczyć go, y bydz mu Doktorem.

* * *

Zleczyby sobie miłego życzyła,
 Y dać mu zdrowie, iáko inszem wielem:
 A musząc leczyć Argántá, myśliła
 Otruć go iákiem iádowitem ziele.
 Ale się ręká pánieńska chronila
 Złych náuk, chocia nad nieprzyacielem:
 Y chce z tey miary áby nie ważyły
 Rymy, y zioła wszystkie moc strąciły.

* * *

Nie bałaby się iść między namioty
 Do nieprzyaciół: Bo iuż nie raz woyny
 Widziała, niewczás, y różne kłopoty
 Cierpiála, żywot wiodła niespokoiny.
 Miała y serce y dosić ochoty,
 Y umysł śmiały, tey płci nieprzystoiny:
 Nie wylęklá się ná strách ledaiáki,
 Y ná przypadek zmężniała wszeláki.

* * *

Y tak iey w on czas dodawała tyle
 Zła miłość sercá, y męskiey śmiałości:
 Ze Afrykańskie między Krokodyle
 Poszłaby była, okrom wątpliwości.
 O żywot namniey nic niedbała, byle
 Uczciwe cále miała przy czystości:
 Cnotá y miłość, dwáy rycerze mężni
 Spieraia się w niey, á obá potężni.

Jeden tak mowi: O któraś me prawa
Przez ten czas wszystko y zakon chowała:
Moja to praca y moja to sprawa,
Ześ swe państwo wcale zachowała.
Miałaś w niewoley dobrego przystawa,
U nieprzyjaciół iam cię pilnowała:
A ty ustrzeższy czystości w niewoley,
Teraz ją stracić chcesz będąc na woley?

* * *

Y tak rozumiesz że to tytuł goły,
Y cnotliwą bydziesz, y dobrą rzęzoną,
Chcesz między harde iść nieprzyjaciół
Lekkości szukać, y bydziesz obelżoną.
Potka cię ten kto (a prawdą napoły)
Stracił cnotę pospołu z Koroną.
Ja niedbam o cię: Tak cię wypchnie z domu,
Y da wżgardzoną zdobycz lada komu.

* * *

Drugi tak mowi, y wstyd jeszcze cały
Chce iey wyrazić słowy łagodnemi:
Nie z twardeieś się urodziła skały,
Nie międzyś zwierzmi urosła dzikimi,
Aby cię ruszyć miłości niemiaily,
Y żebyś miała uciekać przed niemi.
Chybaś serce z żelaza ukować
Dać sobie chciała, Co za grzech miłować?

* * *

Nie mieszkay a idź gdzie cię chęć zawodzi,
A nie wierz, aby miał bydziesz tak surowy:
Coć to zawadzi, albo coć zaszkoździ?
Do zobopolney że z niem przydziesz mowy.
O sroga dziewczko, takli się to godzi?
Niechcesz koniecznie, aby mógł bydziesz zdrowy.
Tylko nieskona ten co go miłujesz,
A ty inszego leczysz y pilnuiesz.

Lecz ty Argánta przedsię postáremu,
 Zeby go potem srodze zámordował:
 Tákąż to masz dać wybawcy twoiemu
 Nagrodę? co cię wolnością dárował.
 Jakoć się służyć nie przykrzy támtemu?
 A tego odbiec coć się záslugował:
 Do ktoregobyś wlot ztąd bieżć miała,
 Abyś go we złem zdrowiu ráutowála.

* * *

Dobrzebyś była więszey godná dzięki,
 Y prętkobyś się z tego ućieszyła:
 Kiedybyś mu ty sámá z własney ręki
 Lekarskiey, rány iego pogoila.
 Y zbáwiwszy go y bolu, y męki,
 Do zdrowiabyś go pierwszego wroćila:
 Y w twarzybyś się iego przegládála,
 Y w tey piękności którabyś mu dáła.

* * *

Do tego ieszcze miałabyś niemála
 Cześć między iego wielkimi dziełami:
 Y tak miłością zięci doskonała,
 Zostálibyście sobie małżonkami,
 Y chodziłabyś pálcem ukazála,
 Między pierwszemi wielkimi Pániami
 We Włoskiey ziemi: kędy stárożytnie
 Prawdziwa wiara z piękną cnotą kwitnie.

* * *

Ták długo iey zła miłość pochlebiała,
 Ze ná iey rádźie nákoniec poległa:
 Ale w tem trudność wątpliwa widziála,
 Jakoby ztamtąd uszła y ubiegła.
 Straż się ná kolo wszędzie przechadzała,
 Ktora y murow, y pálacu strzegła.
 Y bramy wszystkie ustawnie záwarte,
 Bez wielkich przyczyn nie były otwarte.

Pospolicie się z Kloryndą bawiła,
 Bárzo się w sobie obiedwie kochały:
 Y kiedy zorzą z morzą wychodziła,
 Y kiedy gąsła, pospołu bywały.
 Czasem kiedy noc mrokiem świat okryła,
 Ná iedney z sobą pościeli sypiały:
 Jedną się drugiej wszystkiego zwierzała,
 Okrom miłości, tę w sobie trzymała.

* * *

Tę Erminia tylko pokrywała,
 A mając często zapłakane oczy:
 Gdy o przyczynę Kloryndą pytała,
 Wszystko ná swoy stan składała śierocy.
 Z nią w towarzystwie ustawnie bywała
 Wolno iey było y we dnie y w nocy:
 Do iey łoznice, y do iey pokoju,
 Lub z Krolem w radzie, lubo była w boju.

* * *

Y przyszła tam raz, y siedziała sobie
 Chwilę, swe myśli sobie rozbieraiąc:
 Y o swojego skrytego sposobie
 Wyszcia za miasto, w pole, rozmyślając.
 Kiedy tak długo stała w oney dobie,
 Umysł wątpliwy różnie obracając:
 Z tráfunku oczy rzući ná stoł bliski,
 Y ujrzy zbroję swoiey towarzyszki.

* * *

Westchnąwszy rzecz: O błogosławiony
 Stan cney dziewice w takiej szczęśliwości:
 Záyźrzeć iey muszę nędzna z káżdey strony,
 Nie płci pánieńskiey chwały, nie gładkości:
 Ale że iey nog nie trudnią ogony,
 Gmach iey zawarty nie bierze wolności:
 Wychodzi gdzie chce, y chodźi we zbroi,
 A sromoty się żadney ztąd nie boi.

Czemu mię niebo albo przyrodzenie
 Tak nie stworzyło, iako tę dziewicę:
 Zebym te rąbki, y miękkie odzienie
 Mogła odmienić w pancerz, y przyłbicę.
 Pewniebym mając ná to pozwolenie,
 Wolalá zbroię, niż tę iedwabnicę.
 W polubym ząwsze pod niebem mieszkalá,
 Znoy, deszcz, wiátr, zimno, wszystkobym wytrwałá.

* * *

Pewnie, żebyś się pierwey był przedemną
 Nie bił z mem miłem hárdy Cyrkászczyku:
 Pierweyby mu się przyszło potkać zemną,
 Y podobnoby iuż był u mnie w łyku.
 Lekkábyś beł miał, słodką, y przyjemną
 Niewolą u mnie, ty moy okrutniku.
 Y z twych powrozow, y z twoiego węzłá,
 Lżeyszyby beł moy w którymem uwieźlá.

* * *

Albobyś mię też w serce trąfił grotem,
 Y umárlábym z tey rany zarázem:
 Y dopierobym ozdrowiałá potem,
 Zleczywszy miłość życzliwem żelázem.
 Y iużbym więcey nie myśliłá o tem,
 Miáloby pokoy ciáło z duszą rázem.
 Y á co wiedzieć, ieśliby mych kości
 Nie pogrzebł, albo nie płakał z litości.

* * *

Lecz niepodobnych nápieram się rzeczy,
 Y myśl, niestetysz, oszukiwam swoię:
 Jákosz to ma bydź, y iako to grzeczy?
 Ládáczego się licha dziewczka boię.
 A choć mi rozum pochlebia człowieczy,
 Mieczem nie władnę, nie udźwignę zbroie:
 Lękliwe serce, słába moiá siłá,
 Owszem udźwignę, by naycięzsza byłá.

Gdzieby iey też me śiły nie zdołały,
 Miłość ią na mię dźwignie, y ponieście:
 Za iey zdarzeniem ielen bywa śmiały,
 Y mężnie rogiem w gęstem kole leście.
 Jać się bić niechcę, ale ieden mały
 Fortel mi ponno tá zbroiá przynieście.
 Chcę się Kloryndą udąć, y w postawie
 Jey wynieść z miastá, y pomoc tey sprawię.

* * *

Stroże y ktorzy bramy zamykają,
 Puszczą ią zaraz, ile baczyć mogą:
 Wszystkie mię insze sposoby miłają,
 Tę samę iedną widzę ná to drogę.
 Miłość, Fortuná, niech mi pomagają
 Niewinney zdrády, y wiodą niebogę.
 Lecz to wykonać prozno przy Kloryndzie,
 Lepiej iść teraz niż od Krolá wyńdzie.

* * *

Náostátek iuż tak się námyśliła,
 (Miłość ią gwałtem bodlá niecierpliwa)
 Y Kloryndzinę zbroję wynosiła
 Cicho do swego gmáchu ukwápliwa.
 Łatwie się iey to zdarzyło: nie była
 Z nią tam ná ten czas żadna duszá żywa.
 Noc też nádszedzsy dała pomoc snádną,
 Zycзлиwa tem co miłuią, y krádną.

* * *

A kiedy tylko małe światło dąiác
 Gwiazdy świeciły, á noc poćiemniała
 W iedney się dawney słudze swey kochájąc,
 Do pokoju iey sobie zawołała:
 Z iednem lokáiem ktoremu ufájąc,
 Oboygu część swych myśli odkrywála:
 Ze ućiec musi, ná to tylko składa,
 Ale dla czego, tego nie powiáda.

Lokay, kiedy się miała już wybierać,
 Wszystkie zgotował potrzeby ku drodze:
 Ona też zatem ięła się rozbierać
 Z szaty, która szła do ziemi po nodze.
 Potem się w káwtan przesyty ubierać
 Poczęła, w ktorem przystało iey srodze.
 A tak się ubrać zaráżem umiała,
 Ze iey mało co sługá pomagála.

* * *

Pierśi y szyję śniegowi podobną
 Okryła w ten czas, y swoy wárkocz złoty,
 Nie szatą iaką miękką y ozdobną:
 Ale twárdemi urobioną młoty
 Rękę pieszczoną, y przedtem swobodną
 Przyniewoliła do męskiej roboty.
 Dźwiga tarcz, miłość śmieie się, ná ono
 Herkulesowe wspomniawszy wrzećiono.

* * *

Ledwie niebogá zrazu stąpić mogła
 Kiedy on ciężar tak wielki dźwigała:
 Ale iey pánná służebna pomogła,
 Jákokolwiek się ná niey podpierała.
 Potem kiedy się zpracowana zmogła,
 Miłość z nadzieią sił iey dodawała.
 Także tám obie skwápliwie przypádły
 Gdzie lokay czekał, y ná konie wsiádłły.

* * *

Tak przebrawszy się zaráz poiechály,
 Naustronnieyszey trzymając się drogi:
 Ale się z wielą przedsię potykały,
 A blask się wnocy z zbroie świecił srogi.
 Káždy zstępował ktorego miiály,
 Nie bez boiáźni, nie bez wielkiej trwogi.
 Bo znak Kloryndżin straszny chocia w ćieniu,
 Y zbroię ználi przy białem odźieniu.

Acz się iey nie źle z początku powiodło,
 Przedsię się iakiey przeszkody boiła:
 Coś ją strąszyło, coś ją w serce bodło,
 Ze ją przygodą iaka potkać miała.
 Jednak do bramy śmieie szła, y godło
 Dawszy, wrotnego łatwo oszukała.
 Krol mię śle w pole, co pręcey mię puszczay,
 Jam (pry) Kloryndą, wzwod mi zaraz spuszcza.

* * *

Głos białogłowski podobny onemu
 Głosowi, ktorem Kloryndą mówiła:
 Zdał się być własny Kloryndzin wrotnemu,
 Tak go udala y dobrze zmyśliła.
 Więc ktoby był rzekł, ktoby wierzył temu:
 Zeby tá mdła płeć we zbroi ięździła.
 Tak wypuszczeni poiechali sami,
 Zákryci chrosty, álbo dolinami.

* * *

A kiedy beli w dobrej ćwierci mili,
 Dopiero konią wodzą ząwściagnęła:
 Mniemáli że iuż źle rázy przebyli,
 Y że co więtsze zawády minęła.
 Ale dopiero myślić w oney chwili,
 Co iey wprzód ná myśl nie przyszło poczęła.
 Co raz to więtszą trudność náydowála,
 Ktorey kwápiąc się nie upátrowála.

* * *

Wielkie szaleństwo y głupstwo widziála,
 Tak po żołniersku iáchać tám ubraną:
 To przedsięwzięcie, y tę wolą miała
 Nieznácznie w oboz przyiechąć nieznáną.
 A swemu tylko miłemu się chciała
 Dąć znąć, z czystością całó zachowaną.
 Przeto stánąwszy lokaiá przyzwála,
 Wrzkomo to iuż bydź ostrożnieyszą miała.

Jdź wprzod przedemną do Chrześciańskiego
 Obozu, ále spiesz się y bież sporo:
 Tám się dopytay do Tánkredowego
 Námiotu zaráz, kędy leży choro.
 Powiedz, że iedna dla niebesiecznego
 Zdrowia iego chce przybyć tu: á skoro
 On będzie przez nię zdrowy, zá nagrodę
 Ma iey dać pokoy, wolność, y swobodę.

* *

A że mu dufa, że ią w mocy máiąc,
 Nie uczyni iey żadney zelżywości:
 Będzieli więcey chciał wiedzieć pytaiąc,
 Mow, że nióczem niemasz miádomości.
 A ia tu sobie tak odpoczywáiąc,
 Będę cię czekać nie bez teskliwości.
 Tak go uczylá: A on się nie báwił,
 Biegł, iákoby mu skrzydlá kto przyprawił.

* *

Do obozu go zarázem puszczo,
 Bo ten lokay był sprawny y bywały:
 Tánkredowe mu także ukazano
 To stánowisko, gdzie leżał zchorzáły.
 Odniośł mu wszystko co mu rokazano,
 Y wrócał się wzad gdzie obie czekały.
 Ztem że ią wdzięcznie chciał przyiać, y miałá
 Bydź zátáioną inszem, iáko chciałá.

* *

A wtem tak máłey znieść nie moglá zwłoki,
 Frásowálá się, że się długo báwił:
 Liczyłá cudze sámá w sobie kroki,
 Już (práwi) doszedł, iuż poselstwo spráwił.
 Potem ná wzgórek wiecháłá wysoki,
 Tusząc że idzie, y że się odpráwił.
 A kiedy go tak pilno wygládálá,
 Nieprzyiacielskie namioty uyżrzálá.

Noc ná się była rąbek z gwiazd włożyła,
 A niebo iásne świeciło pogodnie:
 Już y Cynthya pełna prowadziła
 Swe złote wozy między mnieysze ognie.
 Erminia też swoje rozłożyła,
 Pospolu z niebem gorące pochodnie:
 Czyniąc ich świadkiem życzliwe milczenie,
 Y nieme polá, y mieśięczne cienie,

* * *

Pátrzy ná oboz, cieszy się nádzieią,
 Y mowi z sobą: O piękne namioty,
 O iáko miłe wiátry od was wieią,
 Y niezwykley mi dodáią ochoty.
 Niechay mię wierzchy wásze przyodzieią,
 Niech ze mnie zdeymą te ciężkie kłopoty:
 Bo pewnie ieśli pod niemi nie będę,
 Zywt położę, y zdrowia pozbędę.

* * *

Przymicie mię, á niech doznam tey litości,
 Ktorą mi miłość po was obiecała:
 Y doświadczoney przedtem łaskawości,
 Ktorą w niewoley po swem Pánie znała.
 Niechcę straconey od was máiętności,
 Y ábym znowu Krolową została.
 Wielką mi łaskę, wielką pokażecie,
 Kiedy mi służyć u siebie każećcie.

* * *

Ták do nich mowi, á nie myśli o tem,
 Jáko Fortunę miała iádowitą:
 Mieśiác pogodny swem promieniem złotem,
 Bił z niebá z gory w zbroię nie zákrytą.
 Y odtracony zaśię od niey potem
 Swiałość dáleko posyłał odbitą.
 Więc po poświećcie szátá się bielátá,
 A ná szyszaku Tygrys się błyszczátá.

Jáko zły los chciał, Rotmistrze ćwiczeni
 Straży tam beli w tych mieyscach zawiadli:
 Polifern Alkándr brácia dwa rodzeni
 Stárszemi beli, y te ludzie wiedli.
 Pilnując tego, áby Sárrázeni
 Z polá do miástá bydlá nie náwiedli.
 Ze lokay z strażą pominął się óná,
 Musiał dáleko obbieżeć gdzie stroná.

* * *

Polifern młodszy, ktoremu zabiłá
 Oycá Kloryndá czasu niedawnego:
 Rozumiał, że to óná sámá bylá,
 Záyrzawszy stroiu zwykłego białego.
 Y ztąd gdzie się straż bylá zasadziła,
 Koniá w tę stronę obracał rączego.
 Y krzyczac głosem biegł ná Erminiá,
 Prątkiey chciw pomsty z złożoną kopią.

* * *

Jáko więc ieleń ná puszczy pierzchliwy,
 Kiedy z prág्नienia szuka swey ochłody:
 Tám gdzie przy skále strumień widzi żywy,
 Znienaglá idzie bezpiecny do wody.
 A ieśli ná psy wpádnie, gdy leniwy
 Miedzy leśnemi nápić się chce chłody:
 Skoczy, y náзад bieży wylękniony,
 Y zapomina, że beł uprágniony.

* * *

Ták y tá będąc srodze uprágniona,
 Z skrytego ognia gorácej miłości:
 Y tusząc zgásić prág्नienie strapiona,
 W swego miłego przyszeley obecności.
 Teraz niebogá będąc omylona,
 Y słysząc groźby niespodziánych gości:
 Siebie y pierwszey zapomina chęci,
 Y uciekając, bieży bez pámieci.

Ucieka nędzna, a swojego kole
 Ze wszystkiey mocy konia ostrogami:
 Panną służebną tuż za nią przez pole,
 A Polifern ie goni z żołnierzami.
 Wtem się skradając niżiną przy dole,
 Z poznemi lokay wrócił nowinami:
 Widzi pogonią wielką za swą Panią,
 Y ucieka też w różną stronę za nią.

* * *

Alkänder mędrszy Polfernow rodzony,
 Za Kloryndę ią własną także mając:
 Niechciał iey gonić, ale utraiony
 W chroście się na nią zasądził czekając,
 A z iego ludzi ieden wyprawiony,
 Biegł do obozu zarazem znać dając:
 Ze stad do miasta żadnych nie pędzono,
 Ale Kloryndy samey postrzeżono,

* * *

Y że tam sobie wszyscy tak mówili,
 Ze ona mając Hetmańską buławę:
 Nie darmo z miasta wyszła w oney chwili,
 Y wzięła na się samą tę wyprawę.
 Przeto niechayby ostrożnemi byli,
 A pilne oko na tę mieli sprawę.
 Jako to skoro do obozu doszło,
 Po wszystkiem woysku zaraz się rozniosło.

* * *

Tánkred nowiną pierwszą przerażony,
 Kiedy do iego przyszła wiadomości
 Swieża wieść ona: myślił utrapiony,
 Ze się dla niego wdął w te trudności.
 Y w pancerz tylko lekki obieczony,
 Troski, y wielkiey pełen wątpliwości:
 Wsiadszy na swoy koń, wodze mu wypuścił,
 Y we wszystkiem się biegu za nią puścił.

KONIEC PIESNI SZOSTEY.

P I E S N S I O D M A.

A R G U M E N T.

Tu Erminią do siebie przyimuie
Pásterz. Tánkred wpadł w Armidzine sídła:
Ráymund się pychę okroćć gotuie
Cyrkászczykowę, co Bogu obrzydła,
Y z niem sam á sam wpolu się kosztuie,
Od Anyelskiego obroniony skrzydła.
Belzebub widząc że Argánt słábieie,
Pioruny ćiska, wichry dmie, dżdże leie.

W Tem Erminia niebogá żmartwiała,
Y bez pámięci biegła w onem cześie:
Wodżę puściwszy zá łęk się trzymała,
A koń ią gdzie chce po krzewinie nieśie.
Y to tám to sám nędzna ućiekała,
Po rożnych drogách, y po gęstem leśie:
Ze nástátek z oczu ią stráćili
Ci, co się zá nią w pogonią puścili.

* * *

Jáko po długiej pracy zmordowani
Chárći się náзад do smyczy wracáią:
Kiedy iem zbędzie z polá prędká łáni,
Ktorą ugonić w chroście trudno máią.
Ták ci dáremną oną sprácowáni
Pogonią wten czás, bárzo się sromáią.
A oná przedsię conadálej stroni,
Ani wzad weyźrzy ieśli ią kto goni.

Całą noc y dzień cały uciekała
 Po różnych ścieżkach, y po różney stronie:
 Y nic okrom swych wrzaskow nie słyszała,
 W straszliwej lasu głuchego zasłonie.
 A kiedy ciemna noc następowała,
 Y dzień wyprzagał z wozu swoje konie:
 Nad Jordanową wodą z konia zsiadła,
 Y poszła na brzeg, y tam się ukladła.

* * *

Jeść nie pomyśli, ale kłopotami
 Y swem nieszczęściem utrapiona żyje:
 Płaczem niebogą y gęstemi łzami
 Karmi się tylko, y łyty tylko piie.
 Wtem ją sen swemi obłapił skrzydłami,
 Pod które troski y frásunki kryie.
 A miłość przedsię iako y na iawi,
 We śnie ją trapi, y we śnie ją bawi.

* * *

Nie ocknęła się, aż kiedy słyszała
 Drobnego ptastwa wesole śpiewanie:
 Y wody która cicho się ruszała,
 Ku dniowi z wiatry lekkimi igranie.
 Podnioswszy oczy przy stronie uyrzała
 Domki, ubogich Pasterzow mieszkanie.
 A między wodą y lasem się zdało,
 Ze ją coś znowu do płaczu wołało.

* * *

Ale on iey płacz nieuhamowany
 Zastanowił się od dźwięku nowego:
 Który się zdał bydź z pieszczalki zmieszany,
 Y z pasterskiego śpiewania prostego.
 Postąpi daley do chrościaney ściány,
 Y uyrzy w cieniu pasterzá stárego:
 On plotł koszyki, stado pasąc swoje,
 A przed niem śpiewa chłopiat máłych troie.

Uyrzawszy zbroię, poczęły przez płoty
 Uciekać w gęstwą dzieci wylęknione;
 Erminia iem włos ukaże złoty
 Z hełmu, y oczy do śmiechu skłonione.
 Nie przerywaycie (prawi) swey roboty,
 Skończcie śpiewanie, y rymy uczone,
 Szczęśliwi ludzie, á wiedzcie że moiá
 Woyny nie nieście wászey pieśni zbroiá.

* * *

Ale to u mnie oycze wielkie dziwy,
 Jáko po wszyskiej kiedy Pálestynie
 Żołnierz táń y sám biega drapieżliwy,
 Ty tak bezpiecznie mieszkasz w tey krainie.
 Ná to iey Pásterz powiedział sędziwy,
 Minał mię dotąd, y da Bog mię minie.
 Żołnierz w tych leśiech, áni tu o woynie
 Słychać, y do tąd mieszkam tu spokojnie.

* * *

Lubo to niebá sprawuią życzliwe,
 Że tu pásterzá niewinnego bronią:
 Lubo iáko więc pioruny straszliwe
 Wysokie wieże pospolicie gonią.
 Ták y łakomych żołnierzow krwie chćiwe
 Szable, przed nędzą y ubostwem stronią;
 A ná Krolewskie tylko ważą głowy,
 Y gdzie łup wiedzą bogáty gotowy.

* * *

Látwiey się w swoiey chudobie ukryć,
 Skárbow y żadnych niechce máiętności:
 Wolny bez troski, y kłopotu żyć,
 W sercu niezbedney nie noszę chćiwości.
 Z przeźrzoczystego zdroiu wodę pić,
 To moje skárby, to me szczęśliwości:
 Z tego ogrodká mam swe wyżywienie,
 Y z tego bydła moje dobre mienie.

Małą się rzeczą ludzkie przyrodzenie
 Obeydźcie zawsze, y człowiecze zdrowie:
 Czeladzi niemam, ci tylko przy żenie,
 Pilnują bydła moiego synowie,
 Mam swe uciechy, tu dżikie ielenie,
 Tu wyskakują przedemną kozłowie.
 Ptacy bezpieczni przedemną śpiewają,
 Ryby bezpieczne po wierzchu pływają.

* * *

Były te czasy ieszcze w młodem lecie,
 Kiedy baczenia u człowieka mało:
 Zem też umyślił wędrować po świecie,
 Pásć mi się bydła w oyczyźnie niechciało.
 Chwilem żył w Memphim, y w támtym powieście,
 Służyć mi się też Krolowi dostało:
 Y choćiam tylko ogrodá pilnował,
 Wiem co dwor umie, bom go też skosztował.

* * *

Długom był śmiałą nadzieią bogaty,
 O iákom wytrwał, y wycierpiał siłą:
 Ale z młodszemi iáko skoro láty,
 Prożna nadzieią ze mnie ustąpiła:
 Pląkałem długo, wspominając na ty
 Oczyste mieyscá, y tę moią była
 Ostatnia wola, żem dwory opuścił,
 A ná ten żywot spokojnym się puścił.

* * *

Gdy Erminia oney słodkiej mowy,
 Y słów stárego pásterzá słuchála:
 Swoich wielkich trosk, y kłopotow z głowy,
 Część iákąkolwiek sobie wybiłála.
 Y w swem nieszczęściu ratunek gotowy
 Wziąć w onych skrytych leśiech zamyślála,
 Chcąc w nich tak długo mieć swoją zabawę,
 Ażby się szczęście wrociło łaskawe.

Y pocznie mowić onemu stárcowi,
 Szczęśliwyś trzykroć y błogosławiony,
 Ześ poznał co źle y twemu stánowi
 Spokoyneś mieysce obrał z káżdey strony.
 Skłopotánemu memu żywotowi,
 Zycz też pokoju, proszę, y obrony.
 Przyjm mię do siebie, niech tu między łasy
 Złożę ná chwilę troski, y niewczásy.

* * *

Y ieśliby cię miała chęć uwodzić
 Do złotá, pereł, mam ich część przy sobie:
 Y gotowámci zarazem nágradzić
 Twą dobrą wolą przeciw méy osobie.
 W tem iey łzy z smętnych poczęły wychodzić
 Jedná po drugiey oczu w oney dobie:
 Gdy powiádała swoje doległości,
 A on słucháiąc płakał iey z litości.

* * *

Cieszył iá długo stárzec, ále oná
 Pocichu sámá w sobie nárzekała:
 Potem iá zawiódł kędy iego żoná
 Podeszła w leciech, krośien pilnowała.
 Ták z oney twárdey zbroie zewleczoná,
 Wgzło się y w tkankę táśmiáną przebrała.
 Lecz okiem, stanem, postawą ozdobná,
 Nie bárzo belá pásterce podobná.

* * *

Podły on ubior pańskiey nie zákrywa
 Powagi, ále ma iey w sobie wiele:
 Tá potłumiona gwałtem się dobywa,
 Lub owce pášie, lubo ogrod piele,
 Lub z łasu bydło do domu zwoływá,
 Lub krośien álbo pilnuie kądziele,
 Lubo z motowidl ná kłębki prządzioná
 Zwiia, lub krowom wyciska wymioná.

Częstokroć kiedy owce w południowe
 Gorąco w cienie y w chłody wegnąłā:
 W bukowe albo w drzewo iławorowe,
 Kochane imię nożem wkárbowála.
 Y swe miłości y przypadki nowe,
 Ná skorách rożnych drzew powyrzynála:
 Y czytając zaś one obiecádłā,
 Łzy wylewála, wzdycháłā, y bládłā.

* * *

Z drzewy zaś potem mówiłā niememi,
 Chowáycie w sobie drzewá przyiázliwe:
 Nieszczęsnā miłość, z kłopotami memi,
 W ktore mię wdály niebā nieżyczliwe.
 Odpocznieli kto pod chłody wászemi,
 Ukaźcie mu łzy moje nieszczęśliwe:
 Ze rzecze, moje czytając przygody,
 Ach złe, zá miłość tak wiernā nagrody.

* * *

Może bydz, ieśli Bogowie łaskawi,
 Niewinnych prożby máią ná swey pieczy:
 Ze się tu kiedy moy niewdzięcznik stawi,
 Choć się to zdádzą niepodobne rzeczy.
 Y nád moiem się grobem co zabáwi,
 W ktorem ten zewłok położę człowieczy.
 Y poznych nád niem łez wyleie kilka,
 Albo ieśli to siłā, westchnie tylko.

* * *

Ták ieśli duszá nie byłā szczęśliwa
 Zyiąc, szczęśliwsza po śmierci zostanie:
 Y czegom będąc nie dostałā żywa,
 Moy żimny popioł pod ziemiā dostanie.
 Ták z niemem drzewem rozmawia troskliwa,
 A płacz iey częste przerywa wzdychanie.
 Tem czasem Tánkred długo obładzony,
 Dáleko od niey w rózne ieżdźi strony.

Záraz z obozu biegł do przyległego
 Lásu, przez pole zá nią, prosto w tropy:
 Lecz od gąłęzia y liścia gęstego,
 Zadney ná ziemi nieznác było stopy.
 A gdy iuż śládu nie widział bitego,
 Ani chałupy, áni żadney szopy:
 Nákláda uchá, ieśli w oney ciszy
 Dźwięk ábo tętén iáki gdzie usłyszysz.

* * *

Jeśli się kędy suche liście kruszy,
 Albo ná dębie, álbo ná sośninie:
 Jeśli się tákże álbo záiac ruszy,
 Albo ptak iáki po gęstey krzewinie.
 Bieży tám wzawód nádstawiając uszy,
 Aż náostátek tám koń rączy kinie,
 Gdzie dźwięk usłyszysz iákiś, ná to mieysce
 Przybiegł, á iásny mieściąc świecił ieszcze.

* * *

Przybiegł tám kędy w gęstem leśnem ćieniu
 Z skały przeźrzysta wodá wypadała:
 Y daley bieząc po drobnym kámienu,
 Między piękniemi brzegámi spadała.
 Tám poczał wołać, ále przy strumieniu
 Echo się tylko głosem ozywała:
 A wtem iutrzenká swoje złote włosy
 Ukáżowała, ráney pełne rosy.

* * *

Wzdycha żáłosnie, á niebá winuie,
 Ze ták z niem sobie czyniły igrzyská:
 Y nád swą Pánią zemścić się ślubuie,
 Gdzieby tám przyszlá tego pośmiewiská.
 Náostátek się powroćić gotuie,
 By mogł wyblądzić wzád do stánowiská.
 Wspomniawszy ná dzień bliski naznáczony,
 Bić się z Rycerzem od przeciwney strony.

Już noc iasnemu uchodziła dniowi,
 Poiachał daley, y poyrzy po oku:
 Aż w gorę zdołu ktoś Kuryerowi
 Podobny bieży ze wszystkiego skoku.
 Bicz trzymał w ręku ná doł ku koniowi,
 Trąbká ná sznurze wiśiała u boku.
 Ząstanowi go Tánkred, y przywita,
 Y o drogę go do obozu pyta.

* * *

Tám (prawi) prosto iadę wyprawiony
 Od Boemundá: Ták obá iácháli,
 Bo mniemiał Tánkred, że go Striy w te strony
 Wysłał do woyská: Potem przyiecháli,
 Kędy ieżiorem wielkiem otoczony
 Był mocny zámek, y tám się událi.
 O tey godzinie kiedy się zmierzkało,
 Y słońce iásne w morze západało.

* * *

Zątrąbił w trąbkę Kuryer przed mosty,
 Zączem spuszczo no ná doł wzwod drzewiány:
 Do obozu (pry) ztąd gościniec prosty,
 Dżis się tu przespiem aż świt przydzie rány.
 Grąbiá z Koseńce dzień dopiero szosty
 Wziął tu ten zamek szturmem pod pogány.
 Tánkred się murom wysokiem dżiwuie,
 Y obronie się wielkiey przypatruie.

* * *

Nie dufa przedsię, y zdáleka stoi,
 Myśląc o iakiey zdrádzie w oney dobie:
 Lecz iáko ten co śmierci się nie boi,
 Namniey tego znáć nie dáie po sobie.
 Dufa swey ręce, dufa mocney zbroi:
 Ktora iuż nie raz wytrwála ná probie.
 O poiedynku iednák wiedząc bliskiem,
 Nie radby się bił w onem czáście zniskiem.

Ták ná przeciwko onemu zamkowi,
 Z ktorego był most do łąki przytkniony:
 Zatrzymał się kęs, zdrádnemu wodzowi
 Nie dowierzájąc, łagodnie wabiony.
 Wtem czásié ná most przeciw Tánkredowi
 W zupełną wszystek zbroię obleczony
 Wyszedł ktoś srogi: który iádowitą
 Mową nań wołał, á broń miał dobytą.

* * *

Lubo umyślnie, luboś tu tráfunkiem
 Przyszedł w Armidy zawołáney kráie,
 Już ztąd nie wyńdziesz, zlož zbroię z ryszunkiem;
 Káždy tu wolne w pęto ręce dáie.
 Wnidź do iey zamku, ále z tem wárunkiem
 Abyś iey práwa chował y zwyczáie.
 Ani sobie tusz więcey widzieć swiátá,
 Ale tu musisz byđź ná wieczne láta.

* * *

Chybábyś przyśiągł, że będziesz woíował
 Káżdego co się od Chrystusa zowie:
 Tánkred gdy mu się pilnie przypatrował,
 Poznał go zaráz po herbie, po mowie,
 Gáskończyk to był, Rámbald się miánował,
 Który z Arinidą iechał, białygłowie
 Dawszy się uwieść, iey być dworzáninem
 Chciał, y iey gwoli został pogáninem.

* * *

Swięty Tánkredá zdiął gniew w oney dobie,
 Jam, prawi, Tánkred, o zdryco bezecny:
 Jam dla Chrystusá miecz przypasał sobie,
 Jegom iest rycerz, y ten twoy wszeteczny
 Język chcę skárać: Pokażę ia tobie,
 Zeć dzień dżisieyszy będzie ostáteczny.
 Y że mię niebo ná to náznáczyło,
 Aby się przez mię twych niecnót zemściło.

Zbladł słysząc imię sławne, wylekniony
 Rámbáld: lecz przedsię zdał się śmiały z mowy:
 Po coś tu przyszedł nędzniku w te strony?
 Dasz gárło wnetże, y pozbędziesz głowy:
 Tem moiem mieczem będziesz okrocony,
 A rzeczą to chcę pokazać, nie słowy.
 Y ten twoy poślę łeb ucięty w dary
 Twem towarzyszym Chrystusowey wiary.

* * *

Ták mowił Rámbáld: A iż iuż czarnemi
 Skrydłami gęste noc śiałá ciemności:
 Lámpy się z światły odkryły gęstemi,
 Ze ledwie mógł bydz dzień więtszey iásności.
 Zámek się świecił iák między nocnemi
 Pompami Scená: Nieznácznie w skrytości
 Ná wierzchu siedzi Armidá ubrána,
 Gdzie wszystko widzi, sámá niewidziána.

* * *

Tem czasem wielki Rycerz się gotował
 Do pojedynku, y broni dobywał:
 Lecz iż Pogánin pieszo następował,
 Y on widząc to, koniá nie używał.
 Pieszo szedł także, głowę obwárował
 Hełmem, á pierśi paizá zakrywał.
 Miecz goły trzymał w ręku: Ták z okrzykiem
 Skoczywszy, startł się śmieie z Gáskończykiem.

* * *

Gáskończyk kołem w wielkiem chodzi kroku,
 Y zmyślone nań rázy wynayduie:
 Ten zaś choć sobie nádpracował hoku,
 Jáko naybliżey poden się száńcuie.
 Y ieśli ow wzad ustąpi, ten oku
 Ledwie dościgły rączo następuię.
 Y miecz nań, wkoło ćiska piorunowy,
 Nieustrzeżoney chcąc gdzie dościg głowy.

Gdzie przyrodzenie naywięcey zchowáło
 Żywotá, tám się nabárziey nápiera:
 A przy śmiertelnych rázách, tak że grzmiało
 Ogromnem głosem ná niego náciéra.
 Kręci się Rámbáld nieborak, y ciało
 Prędkością krádnie, y tarczą zawiera.
 To mieczem, to mu puklerzem odbiia,
 Ze go cięty raz y sztych ieszcze miia.

* * *

Lecz nie tak iest ten prętki do obrony,
 Jáko ow drugi prętki do obrázy:
 Pośiekl ná niem tarcz, y szyszak stalony
 Już podziuráwił, nie bez wielkiey skázy.
 Już ten skrwáwiony, a ow nie drasniony,
 Aż dotąd wszystkie wytrzymywa rázy.
 Trwoży się Rambáld, razem go sromotá,
 Gniew, miłość, gryzie, zdrádá, y niecnotá.

* * *

A zwątpiwszy iuż po części o sobie,
 Ostatniego z niem szczęścia chce skosztowác:
 Porzucił páiż, miecz wziął w ręce obie,
 Y siekl nán, więcey niechcąc ustępowác.
 Y zwárl się cięsniey, y miecz w oney dobie
 Wyniozwszy ciał tak, że żadna hámowác
 Błácha nie mogła rázu tak tęgiego,
 Y żebrá trochę dośiágl mu lewego.

* * *

Potem go w głowę kilká kroć wymierzył,
 Ze dźwięk szedł taki, iáki dáią dzwony:
 Helmuć nie przeciął: ále tak uderzył
 Ze nieprzyiaćiel przyklákl pochylony.
 Zádenby temu podomno nie wierzył,
 Jako był potem Tánkred zápalony.
 Oczy mu szczerem płomieniem pałáią,
 Gniewliwe zęby strászliwie zgrzytáią.

Tak srogi był wzrok wten czas Tánkredowy,
 Ze go znieść nie mógł Rámbáld wiáro zmienny:
 Słysz, że mu miecz świszczy koło głowy,
 Mniema, że mu już brzuch przeciał bezdenny.
 Uskoczy w stronę, á miecz piorunowy
 Uderzył w filar przy moście kamienny.
 Skry, y kámiennie poszły pod obłoki,
 A zdrajcę zimny mroz uiał za boki.

* * *

Ucieka przez most, tak w niem trwogą tęga,
 Zeby go same nogi ratowały:
 Ow go za kołnierz tylko co nie sięga,
 Y już od niego tylko przez krok mały.
 Wtem wszystko światło obudwu odbiega,
 Lámpy pogásły, gwiazdy poćiemniały:
 Jasności nocy namniey nie zostało,
 Mieściącá wszystko światło odbieżało.

* * *

W cieniu od nocy, y czarow sprawionem,
 Już go nie goni zwyciężcá w mrok srogi:
 Ani go widzi, tylko w mieyscu onem,
 Omácnie stáwiá niebiespieczne nogi.
 Y wszedł we wrotá krokiem obłądzonem,
 A nie postrzegł się, że przestąpił progi.
 Lecz słyszał potem, że drzwi za niem trząsły,
 Kiedy za progi błędne nogi zaszły.

* * *

Równie tak rybá ná wielkiem ieżierze,
 W ktore swą słońą morze wchodzi wodą:
 Gdy się ná pokoy, y ná ciszą wzbierze,
 Y przed morską się zchroni niepogodą.
 Závrze się sámá, wzađ się dármo bierze,
 Y z utráconą żegna się swobodą.
 Bo przyrodzenie te wrotá otwarte
 Weszćiu, lecz wyszćiu sprawiło zámarte.

Ták nieszczęśliwy Tánkred w one czasy
 Wpadł w niewidomą ciemnicę bezpiecznie:
 Y wszedł skąd nigdy uwiązany pąsy
 Ciemnego mroku nie mógł wynieść wiecznie.
 Wprawdzie drzwi ruszył, y mocne zawiąsy
 Silił się urwać rękoma koniecznie.
 Lecz prozno, tylko głos słyszał: Już w łyku
 Wiecznie Armidzin będziesz niewolniku.

* * *

Tuć náznáczone ná wieki mieszkánie,
 Smierci się nie boy iednák z żadney strony:
 Nie odpowiada nic ná to wołánie,
 Lecz wzdycha tylko Rycerz oblądzony.
 Nieszczęściu láie, y nárzeka ná nie,
 Głupstwo y miłość winuie strapióny.
 Czássem sam z sobą rozmawia w milczeniu,
 Mnieysza zbyć słońcá, mnieysza być w więzieniu.

* * *

Więtsza zbyć słońcá dobrze iásnieyszego,
 Ktorego áto ná wieki pozbędę:
 Y iuż z ieý wzroku nędzny wesolego,
 Nigdy podomno cieszyć się nie będę.
 Wtem ná Argántá wspomni zuchwałego,
 Dopiero westchnie: Gdzie (pry) kolwiek siędę
 Gdzie się obrocę, wszyscy będą szydzić,
 Y ták (o háńbo) wiecznie się mam wstydzić.

* * *

Ták cześć y miłość niewidomie psuie,
 Y gryzie serce w wielkiem Boháterze:
 A gdy się ten ták nieborak frásuie,
 Argántá dawno miękkie mierzi pierze.
 Ták go chciwość krwie y sławy morduie,
 Y gniew ná pokoy, y długie przymierze:
 Ze choć ma ieszcze niezgoione rány,
 Prágnie, żeby niośł dzień szosty świt rány,

Nocy tey, którą on dzień uprzedzając,
 Ledwie się trochę położył do snania:
 A wstał tak rano, że jeszcze bez mała
 Pod kilką godzin było do świętania.
 Mowi o zbroję co w głowach leżała,
 A giermek mu ją dał bez omieszkania.
 Nie jego zwykłą, ale dąrowaną
 Od Krola wszystkę złotem nabliżaną.

* * *

Weźmie ją zaraz, y na się oblecze,
 Y bynamniey ją nie był obciążony:
 A miecz ogromny co z obu stron ściecze,
 Do boku sobie z lewey przypiął strony.
 Jako się świeci Kometą, gdy miece
 Krwawem ogonem promień rościągniony:
 Co Państwa mieni, y wiedzie choroby,
 A Krole strąszy, y wielkie osoby.

* * *

Tak się on w ten czas świecił w lśniącej zbroi,
 A oczy krwią niośł, y gniewem piłane:
 W twarzy surowey strach mu szczerzy stoi,
 Y śmierć w niej sroga gniazdo ma usłane.
 Śmiało to serce które się nie boi,
 Kiedy gdzie oczy rzuci zagniewane.
 Macha ogromnem po powietrzu mieczem,
 A głosem woła większem niż człowieczem.

* * *

Nie długo zdrajcy y rozbojnikowi
 Chrześcijańskiemu moc ukażę swoją:
 Oduczę się go równać Argąntowi,
 Pozna wnet siłę, pozna rękę moją.
 Na większą wżgárdę jego Chrystusowi,
 Utnę mu głowę, y złupię mu zbroję.
 A potem takim ozdobiony łupem,
 Nakarmię kruki, y psy jego trupem.

Ták w rozdrażnionem własnie widziem byku,
 Ktorego miłość bodzie zazdrościwa:
 Ogromnie ryczy, y z onego ryku
 Ná więtszy się gniew y siłę zdobywa.
 Y gdy o bliskiem wie społmiłośniku,
 Rogi o twarde dęby wyostrzywa.
 Piasek nogami miece niespokoiny,
 Z przeciwnikiem swem prędkiey chćiwy wojny.

* * *

Táką wściekłością pobudzony, wkłada
 Hárde poselstwo z gniewem trębaczowi:
 Jedź do obozu, á skoroć się náda,
 Chrystusowemu powiedź Rycerzowi.
 Zem ia iuż gotow: Zá tem słowem wsiáda,
 A iść przed sobą każe Ottonowi:
 Ták spiesznie z miastá wypuszczony iedzie,
 A więźniá swego przy strzemiesniu wiedzie.

* * *

Wtem w rog zątrąbił, á ná wszystkie strony
 Przez stánowiská dziwięk szedł niecierpliwe:
 Bo po obozie wszystkim rozgłoszony,
 Uszy y sercá urąził gniewliwe.
 Już też w naywiętszem Senat zgromádzony
 Namiećie czekał, gdzie wszedszy dotkliwe
 Trębácz poselstwo sprawił: W przod miánował
 Tánkreda; inszych iednak niewyimował.

* * *

Wątpliwą myślą y leniwem wzrokiem,
 Między swoiemi Goffred upátruie:
 Lecz długo myśląc, długo miecąc okiem
 Godnego w swoich ná to nie náyduie.
 Przednieyszych niemász, niewie o niokiem,
 Coby z niem zrownał: Tánkred gdzieś próżnuie,
 Do Boemundá daleko; Rynáldá
 Niemász, co zabił hárdego Gernándá.

Nád dzieśięć losem co byli wybráni,
 Jechało inszych co mężnieyszych śiła:
 Ktore Damászku bogátego Páni,
 Swoią chytrością z woyská wywabiłá.
 A drudzy tylko milczą zászrománi,
 U ktorych słábsze, y serce, y śiła:
 Káždy się sławy niebespieczney boi,
 Wstyd od boiaźni zwyciężony stoi.

* * *

Z milczenia Hetman, y poznał z postáwy,
 Ze ich strách wielki wszystkich opánował:
 Wstał zaráz z mieyscá, y porwał się z łáwy,
 (Co w niem žal y gniew pobożny sprawował)
 Byłbych (pry) nie mąż, lecz niewieściuch práwy,
 Gdziebych żywotá dziś nie odżałował:
 Y gdziebym sławę memu narodowi
 Zdeptać dopuścić miał Pogáninowi.

* * *

Niechayby woysko y moi żołnierze,
 Ná stronie ná me potkánie pátrzáli:
 Daycie mi zbroię, przynieście páncerze,
 Skoczyli słudzy, y zaráz ie dáli.
 Lecz ty Raymundzie stáry Boháterze,
 Ktoremu z męstwem rozum przyznawáli,
 Nie dałeś tákiej wolności wodzowi,
 Y tákeś wten czas mówił Goffredowi.

* * *

Uchoway tego, o wszechmocny Pánie,
 Aby w twey głowie wszystko woysko miało
 Jść ná szańc: Tyś wodz, nie żołnierz Hetmánie,
 Wszystkiemby się nam przy tobie dostało.
 Ciebie ná wiáry Świętey záchowanie,
 Ná skázę niebo Pogánstwá obrało.
 Ty rządź rozumem, ty władni buławą,
 Jnszy niech dziełá pod twą czynią sprawą.

Ja, choćam się to skrzywił od stárości,
 Y iużem zgrzybiał iáko mię widzićie:
 Będę się z niem bił, kiedy powinności
 Rycerzow dobrych wszyscy nie pomniće.
 Gdziebych to teraz w tákiey był młodości,
 W iákiey was widzę co tylko stoicie:
 Y nie rusza was, y gniew, y sromotá,
 Słucháiąc iáko bluźni ten niecnotá.

* * *

Jákim beł w ten czás, kiedy seymowała
 Ziemiá Niemiecka, kiedym ogromnego
 Zbił Leopoldá, co wszystká widziála
 Rzesza ná dworze Konradá wtorego.
 A więtsza się to rzecz ná on czás zdála
 Pożyć Rycerzá tak doświadczonego:
 Niżli kiedyby teraz ieden tylko,
 Tego motłochu gnał przed sobą kilka.

* * *

By mi się oná pierwsza krew wrociła,
 Jużby beł Argánt nie żyw o tey dobie:
 Lecz stárość mi nie tak dokuczyła,
 Abym żywego sercá nie czuł w sobie.
 Jeśli mi też śmierć Párká náznaczyła,
 Pozna Pogánin że mam ręce obie.
 Ja wsiądam: Dzień ten moje przeszłe láta
 Lepiej ozdobi u wszystkiego świata.

* * *

Ták mowił stárzec, á tá iego mowá
 Stoi zá dobre do męstwá ostrogi:
 Ci co dopiero rzec nie śmieli słowá,
 Śmiałość y ostre pokázuia rogi.
 Káżdemu teraz siła Argántowá
 Słaba się widzi, káždy teraz srogi.
 Chce z niem Báldowin czynić, chce z Rugierem
 Gwelf, Gwidowie dwá, Stephan z Gerniierem.

II *

Y Pirrus, który dał naszym ná znowie
 (Ktorą miał skrytą z mężnem Boemundem)
 Antyochią: y dwáy Anglikowie,
 Eberárd wielki zapáśnik z Rosmundem:
 Zá niemi potem zaráz się ozowie
 Rydolf Irlándczyk, z Szotem Rotermundem,
 Gildyppá także z swoim Odoárdem,
 Chczą się kosztować, z Pogáninem hárdem.

* * *

Lecz nádewszystkie. Ráymund serce chćiwe,
 Y pokázował wzor piękney ochoty:
 Już okrom głowy członki nie leniwe
 Oblokł we zbroię zbyt piękney roboty.
 Goffred mu rzecze: O wierciádło żywe
 Dawnego męstwa, niech ná twoie cnoty:
 Narod nasz pátrzy, niechay zá twem wzorem,
 Dzielności wyknie, y idzie twem torem.

* * *

Kiedybym dżiesięć miał między młodemi,
 Ktorzyby beli tey co ty dzielności:
 Jść pod Bábilon z krzyżami złotemi
 Miałbych zto serca, miałbych zto dufności.
 Teraz schoway się zá prośbami memi
 Do przystoyniejszych spraw twoiey stárości.
 W naczynie kárty włoż który w tem rzędzie,
 A niechay Sędzią szczęście y los będzie.

* * *

Owszem Bog sędzią, nie te będą kárty,
 Jemu są losy y szczęście poddáne:
 Lecz Ráymund ták był twárdy y upárty,
 Ze chciał imię swe podać nápisáne.
 Wtem Goffred w szyszak nazwiská záuwały
 Włożywszy, wstrząsnął społem pomieszáne:
 Tám w pierwszey kártce którą rozwiniono,
 Grábie z Tolozy imię náleżiono.

Krzyknęli wszyscy wesoło: Przygány
 Zaden nie może przyczytać losowi:
 Sam w ochotniejszą Grabią twarz ubrany,
 Młodszem się widzi, podobny wężowi,
 Gdy nową skórą na wiosnę odziany
 Polyskuie się przeciwko słońcowi.
 Hetman mu szczęścia wesoły winszuie,
 Y zwycięstwo mu pewne obiecuie.

* * *

Wtem miecz od boku sobie odpasywał,
 Y podał mu go, mówiąc temi słowy:
 To jest miecz własny, którego używał
 Sáski odstępca swoiey zwierzchniey głowy.
 Tenem mu odiał, kiedym mu dobywał
 Serca z złośliwych pierśi: A ty zdrowy
 Bierz go odemnie, a iako mnie służył,
 Day Boże byś go tak szczęśliwie użył.

* * *

A wtem tak długiey zwłoki niecierpliwy
 Cyrkászczyk woła, sromoći, y łacie:
 O iako mężny, iako urodziwy,
 Jáko Rycerski lud Europá daie.
 Niech wyńdzie Tánkred ieśli boiu chćiwý,
 Jeśli mu sercá y siły dostaie.
 Czy leżąc w pierzu podobno do nocy,
 Jáko y pierwey chce od niey pomocy.

* * *

Jeśli się boi, niech idą rotami
 Jedną po drugiey, iezdą y piechotą:
 Kiedy nikt zemną czynić między wami
 Sam á sam nie chce: O iaka sromotą:
 Grob swego Bogá macie pod murami,
 Niech wždy was ruszy do niego ochotą:
 Proszą do niego tędy drogę macie,
 Ná coś większego miecze swe chowaćie?

Ták iáko biczem Sárrácen zuchwały
 Siecze po sercu nászych tem láianiem:
 Ale nabárziewy uraža się śmiały
 Grábiá z Tolozy, y chce pomsty ná niem.
 Dzielność się iáko żelázo od skały
 Ostrzy sromotnem iego urąganiem.
 Wsiáda ná swego Aquiliná, ktory
 Z prętkiemí niemal równo biega piory.

* * *

Ten się tám rodził kędy nieprzebrniona
 Wodá Tagowa wiedzie swe strumienie:
 Gdzie woiennych stad mátká przychęcóna
 Ogniem, ktory w niey budzi przyrodzenie.
 Przeciw wiatrowi gębą obroconá,
 Płodne od niego przyimuie náśienie.
 Y ták bez koniá urodzi (o dżiwy)
 Z ciepłego wiatru żrzebiec urodziwy.

* * *

Rzekłbyś y o tem, że Aquilin zgołá
 Z conayprętszego wiatru urodzony:
 Kiedybyś widział, kiedy ciásne kołá
 To ná tę czyni, to ná owę strony.
 Albo kiedy wciáz podgrzawszy kęs czołá,
 Bieży iáko ptak prętki, przez zagony.
 Ná tákiem Grábiá siedział w ten czas koniu,
 Y ták się modlił będąc iuż ná bloniu.

* * *

Ty ktoryś pomógł przeciw Olbrzymowi,
 Ná Terebinćie ubogiej dziećinie:
 Ze ten co wszemu był Jzraelowi
 Strászny, dał gárlo máley chłopięćinie.
 Hárdemu przepych skrusz Pogáninowi,
 A zdarz, o Pánie, że tem mieczem zginie.
 Niech stárzec pychę zetrze iuż przerdzały,
 Jáko iá w on czas stárł młodzieńczyk máły.

Ták prosił Ráymund, á próśby gorące
 Z pewną ufnością do Bogá posłane:
 Ták iáko ogień gorolotny rące
 Przeszły niebieskie Sfery malowane.
 Przyiał ie Tworcá, y weyrzawszy w lśniące
 Woyska Anyołow y émy nieprzebrane:
 Jednemu go z nich roskazał pilnować,
 Y w niebiespiecznych złych ráżiach rátować.

* *

Anyoł ktory mu stroż beł náznáczony,
 Z wieczney niebieskiej Boskiej opátrności:
 Od tego czásu iáko urodzony
 Ná świát, słoneczney záchwycił iásności.
 Teraz słucháiąc, że Bog nieskończony
 Około niego wiétszey chce pilności,
 Szedł ná wysoki zamek, kędy stały
 Niebieskich broni pełne Arsenály.

* *

Tám oszczep ktorem ogromnego smoku
 Przebito, wiśi u iedney komory:
 Tám strzály ktore strzeláią z obłoku,
 Plączliwe wojny, y śmiertelne mory.
 Tám y pioruny niewidome oku,
 Tám y chowáią Trozáb wielki spory:
 Ktorem z sáмого gruntu ziemi máca,
 Y wielkie miástá Stworzyciel wywraca.

* *

Między inszemi puklerz niebieskiemi
 Rynsztunkámi się lśniał Dyámentowy:
 A był ták wielki, że záiął ná ziemi,
 Od Kaukázú po wierzch Atlántowy.
 Co Świętych Pánow y z sprawiedliwemi
 Miásty, pobożnych Krołow strzeże głowy.
 Ten niewidomy Anyoł ná się włoży,
 Y stanie blisko przy Grábi z Tolozy.

Tem czássem ludzi co się dziwowali,
 Wieże, y mieyskie pełne bely mury:
 Już też z Klorynda ludzie wyjeżdżali,
 Nie przejeżdżali iednak wierzchu gury.
 Chrześcíanie też osobno czekáli,
 Sprawieni w polki. W śrózdku był plác który
 Zostawał wolny, y niezástąpiony,
 Między woyskami gońcom náznáczony.

* * *

Hárdy Cyrkászczyk pyta o Tánkredzie,
 Nowego kogoś, nowe widząc stroie:
 Przymknie się Grábiá, y poden podiedzie,
 Gdzie indziej (práwi) iest nászczęście twoie.
 Nim się on wroci, y niżli przyiedzie,
 Atom ia gotow odprawić te boie:
 Y bić się ztobą za niego, á ktemu
 Wolno to ma bydź, iáko to trzećiemu.

* * *

Rośmiał się Argánt: A Tánkred co? żyie,
 Czy umárł? gdzie iest? co się (pry) z niem dzieie?
 Dopiero groził, á teraz się kryie,
 Y w nogách tylko pokláda nádzieie.
 Ale niechay się y pod ziemię wryie,
 Niech náostátek dzwonem się odźieie,
 Námacam go ia. Już więcej nie czekał
 Ráymund, ále rzekł: Łżesz by on uciekał.

* * *

Zgrzytnął gniewliwy Cyrkászczyk zębami,
 Y surowemi odpowiedział słowy:
 Więc się ty zań biy. A z Boháterami
 Ukażęć iákiey używáią mowy.
 Skoczyli za tem rączo z kopiámi,
 A obá sobie mierzyli do głowy.
 Grábiá ták iáko wymierzył, nie zmylił,
 Ale coż potem? áni go náchylił.

Argánt zaś chybił ponno z wielkiej chęci,
 Co wielka była u niego nowina:
 Albo też Anyoł Grąbię na pamięci
 Miał, y zepsował raz u Poganiń.
 Gniew się okrutny w Cyrkászczyku nieci,
 Porzucił drzewo: na Chrześcianiną
 Chce inszey broni y pewnieyszey użyć,
 Kiedy mu pierwsza niechciała posłużyć.

* * *

Ná rączem koniu przeciw niemu w oczy
 Bieży iáko ptak, á miecz ma dobyty:
 Ale mu Ráymund w prawy bok uskoczy,
 Y zaś przypadszy, tnie go w łeb zakryty.
 Y nowu nań zewrze co ma w koniu mocy,
 Znowu on w lewo skoczywszy w hełm lity
 Tnie, ále dármo ciął bo obá rázy,
 Nie bał się żadney twárdy szyszak skázy.

* * *

Chce się z niem Argánt cieśniej związać zgoła,
 Zeby go iáko na doł z koniá zwałił:
 Lecz uskákuiąc Grąbią chroni czoła,
 Boiąc się by go z koniem nie obálił,
 Y to tám to sám wielkie czyniąc koła,
 To nátań, to się od niego oddálił:
 Aquilin żártki gdzie Pan wodzą kinie,
 Wypráwuie się, to nátrze, to minie.

* * *

Jáko gdy dzielny Hetman mocney wieże,
 Albo wysokiej dobywa gdzie gury:
 Wszystkich przystępów kuśi, tak odzieże
 Stalone śiekąc, y on szuka dziury.
 Ale iż pierśi mocną zbroią strzeże,
 Pilnuiąc dobrze powierzoney skury,
 W blách godzi słabszy, y gdzie cienkie nity,
 Chce gwałtem swoy miecz wrázić iádowity.

Już mu blách w kilku mieyscách podziurawił,
 Ták że mu ciekła krew między żelázy:
 A sam nie tylko że się nie ukrwawił,
 Ale y w zbroi znaczney niemiał skázy.
 A Argánt dotąd ieszcze nic nie spráwił,
 Y ná wiátr tylko próżne ćiskał ráży:
 Niesprácowány; iednak pełen pychy,
 Siecze, á czasem srogie czyni sztychy.

* * *

Nákoniec z gury Sárrácen raz cięty
 Uczynił, bo się Grábiá beł nádstáwił:
 Ze choćia ták beł swą żártkością wzięty,
 Aquilinby go iuż beł nie wybáwił,
 Ale z dáleká uyrzał Anyoł święty,
 Y z niewidomą pomocą się stáwił.
 Wyciągnął rękę, y Dyámentowy
 Puklerz podstáwił pod miecz Argántowy.

* * *

Miecz poszedł w sztuki, bo od rzemieśnika
 Broń śmiertelnego z ziemié uczyniona,
 Nie mogła zdzierżec tey, co od kuźnika
 Nieśmiertelnego bełá urobiona.
 Cud się to wielki zda u Cyrkászczyká,
 Ze mu zostawa ręká obnażona:
 Myśli zdumiały, widzi że nie żárty,
 Ze tarcz Grábiná ma ták twárde hártý.

* * *

Bo mniemał Argánt, y ták mu się zdáło,
 Ze o tarcz iego on miecz beł słuczony:
 Toż y w Ráymundzie mniemánie zostáło,
 Nie wiedząc że beł z niebá zásloniony.
 A widząc że się żelázo spádáło,
 Y że beł z mieczá Argánt obnáżony:
 Stał w miéyscu niehcąc zwycięstwá podłego,
 Z nieprzyaciela swego bezbronnego.

Chciał już rzec, aby mieczą kędy dostał,
 Lecz zaśię potem rozmyślał to sobie:
 Ze gdzieby przegrał y ná plácu został,
 Wszystkoby woysko zelżył w swej osobie.
 Niechciał niegodnie wygrać choćby sprostał,
 O pospolitey myśli też ozdobie.
 A wtem mu (pátrzcíe foremneho strzelcá)
 Puścił w twarz Argánt ułomione ielcá.

* * *

Y zaráz boyce dawszy w bok koniowi,
 Chce go w pás porwać: W tem ielcá z głowicą
 Dośięgły twarzy, y Tolozanowi
 Nádtłukły nosá dobrze pód przyłbicą,
 Nie zlékł się, y wbok skoczył Argántowi,
 Niehcąc z niem sztuką czynić zapásnicą.
 Y kiedy go chciał porwać w rękę práwą,
 Zadał mu iedną małą ranę krwawą.

* * *

Potem iák piorun niedościgły oku,
 To ztąd, to zowąd, rączy koń obraca:
 Y zawsze go tnie po pierśiach po boku,
 Kiedy odskoczy, y kiedy się wraca.
 Co w sobie mocy, co w koniu ma skoku,
 Wszystkiego kuśi, y wszystkiego maća:
 Nayskrytszey śily ná niego dośięga,
 A szczęście zsobą z niebem poprzyśięga.

* * *

On w dobrą zbroię y sam w się ubrány
 Odpiera przedsię, y nic się nie boi:
 Y iáko okręt co ma sztyr urwany,
 Stárgány żagiel, ieszcze ćáło stoi.
 A choć już ieden bok ma zgruchotány,
 Y morze już go słoną wodą poi:
 Choćia się już weń ze wszystkich stron leie,
 Jeszcze ostatniey nie tráci nádzieie.

Tákies ná ten czas miał niebespieczeństwo
 Argancie, gdy cie Belzebub ráwował:
 Ten cień w zmyśłone oblokł człowieczeństwo,
 Y z obłoku mu członki posprawował.
 A Kloryndżine wzięwszy podobieństwo,
 Jey mu postawę y mowę dárował:
 Dał chod, dał mu głos, dał iey zwykłe stroie,
 Dał y zwykły blask od iey świetney zbroie.

* * *

Do Orádyná strzelcá szła sławnego
 Mara, yrzekła: Sławny Oradynie:
 Ciebie słucháią strzały, y każdego
 Celu, kiedy chcesz żadna z nich nie minie.
 Jaka to będzie narodu naszego
 Szkoda, ieśli ten wielki Rycerz zginie:
 Y iaka hánba ieśli do swych cały,
 Uydzie z zwycięstwem nieprzyaciół śmiały.

* * *

Pokaż y teraz co umiesz, á w ciełe
 Tego psá utop twoy bełt iádowity:
 A my u Krolá twoi przyiáciele.
 Ziednamyć łaskę, y dar známienity.
 Wtem się Orádyn nie rozmyślał wiele,
 Obietnicami onemi upity:
 Strzałę do prętkiey przyłożył cięciwy,
 Y wymierzywszy łuk wyciągnął krzywy.

* * *

Swiszczy y wiátry śiece rozerwane
 Strzała prędkimi przyprawiona piory:
 Y trafi w pásy przeczką pospináne,
 Y między nity uczyni kęs dziury.
 Ostre żelesće krwią záfárbowane,
 Zwierchniey dosięgło trochę tylko skury:
 Bo Anyoł strzale odiał lotu siła,
 Y uczynił tak, że się wysiliła.

Ciągnie rąniony strzałę Grabią stary,
 Y widzi że mu krew po zbroi ciecze:
 Y z niestrzymaney Pogániną wiary
 Strofuiać, z oczu ogień szczyry miece.
 Hetman umowę spólną z oney miary
 Zgwałconą widzi, á że strzałę wlecze
 Ráymund od niego ząwsze pilnowány,
 Bárzo się boi iákíey wielkiey rany.

* * *

Y swych do pomsty ręką y ięzykiem
 Budzi, y chciwey dodawa ochoty:
 A ci zá wielkiem swoim woiovníkiem,
 Drzewá w tok kładą, y składáią grotý.
 Y tak obiedwie stronie szły z okrzykiem,
 Do strąsznéy Marsa wścikłego roboty:
 Już polá nieznáć, á iáko rozwlokły
 Dym, kurzáwy się áż pod niebo wlokły.

* * *

Złamáne drzewá trzeszczą: Tu koń zdycha,
 Tu drugi bieży sámopás: Tu zbity
 Rycerz od koni podeptány wzdycha:
 Ten ręki niema, ten wpoły przebity.
 Ten iuż umárły, á ten ieszcze dycha.
 Ten świeci srogą przez rąnę ielity.
 A im się bárżiey y ciésniey mieszáią,
 Krew między sobą hoyniey rozlewáią.

* * *

Dostał buławy Argánt zápędzony,
 Y gdzie naywiększa bitwá bełá skoczył:
 Tą sobie wszędźcie czynił plác przestrony,
 Rozrywał hufce, y we krwi ią moczył.
 A ná Ráymundá wszystek obrocony
 Gniew niósł, pilnuiać żeby go gdzie zoczył.
 Własnie iáko wilk ktory głodne zęby,
 Krwią chce nápoić, swey łakomy gęby.

Ale go wielcy wstrąćili meżowie,
 Y ná sobie go trochę zábáwili:
 Ormin, Gwid ieden, y dwáy Gerrárdowie,
 Rugier, y zacny Grof ná Bálnáwili.
 Lecz im go bárżiey cni Boháterowie
 Sciskáli, tem beł srozszy w oney chwili.
 Ták iáko ogień co gwałtem zámkniony,
 Wychodzi, y mur niešie wywálony.

* * *

Zábił Orminá, w łeb ránił Gwidoná,
 Z Rugierá się też duszá gotowála,
 Wtem wkoło niego wielka zgromádzona
 Kupá, zewsząd go oszczepy sięgála.
 Kiedy ták iego siłą bitwá oná
 Z oboiey strony w rowney wadze trwála.
 Skoczywszy Hetman rzekł Báldowinowi,
 Nástępuy z rotą swą ku pošíłkowi.

* * *

A z práwego się uderz o nie boku,
 Gdzie się naywięcey biią y mieszaią:
 Ledwie to wyrzekł, ze wszystkiego skoku
 Bieżą, y z boku śmieie się potkaią.
 Zá tem natárćiem ustępuią kroku,
 Y wćiaż Pogánie hurmem, ućiekaią.
 Już się szyk zmieszał, hufce rozerwáne,
 Chorągwie zbite, y w ziemię wdeptáne.

* * *

Już práwe skrzydło tákże ustępuje,
 Już niewidomey wszędzie pełno trwogi:
 Y wszyscy zgoła (ták ich strách zdeymuie)
 Okrom Argántá w prętkie pošli nogi.
 Ten tylu tylko sam nie ukázuie,
 Ten twarz, ten y wzrok tylko trzyma srogi.
 Ktoby sto mieczow, sto rąk miał przy ćiele,
 Nie uczyniłby iáko on ták wiele.

Trzyma ná sobie mecze, groty, konie,
 A przecię zá tak wielkiem nácieraniem:
 Czásem to tego, to owégo żonie,
 Y pełno trupow y przed niem, y zá niem.
 Już zbroię, iuż ma potłuczone skronie,
 Już krwią ściekł, á wždy nieznác tego ná niem.
 Ale nákoniec gęsty w onem czeście,
 Lud go obraca, y z sobą go niešie.

* * *

Musiał tył podać zá onemi wály,
 Ktore go wielkiem gwałtem zábierają:
 Lecz iego kroki nie owych się zdály,
 Y serce także, ktorzy ućiekają.
 Z oczu mu szczyre skry wyskákowały,
 Y postáremu zwykły gniew chowają:
 Záiezdża swoich żeby się wrócáli,
 Nic nie pomogło, wszyscy ućiekáli.

* * *

Chćiałby przynamniey ono ućiekánie
 Rządne mieć, żeby sprawą uchodźili:
 Ale strách niedba ná żadne láianie,
 Dármo się groźbą y proźbą nań śili.
 A widząc Hetman że słabszy Pogánie,
 Y że ich iego ludzie przełomili.
 Jdąc zwycięstwá szczęśliwego cugiem,
 Jeden posiłek posyła zá drugim.

* * *

Y iedno że to nie był náznáczony
 Dzień, co od Bogá z wieku był przeyrzány:
 Jużby był zastęp on niezwyćiężony
 Miał, oney woyny koniec požądany.
 Lecz widząc szátan, żeby był zniešiony
 Zá tem zwycięstwem rząd iego z Bałwany.
 Zá dopuszczeniem Páńskim w mgnieniu oká,
 Chmury y wiatry wypuścił z obloká.

Dzień się y słońce przed chmurami ściska,
 Ktore wychodzą z piekielney ciemnice:
 Światá niewidąc, ze wszech stron się błyska,
 Z gromow straszliwe idą trząskawice.
 Niebo pioruny bez przestánku ćiska,
 Grad ścina trawy, y piękne pszenice.
 Polá zalewa, wycher z gruntu máca,
 Y gory trzęsie, y dęby wywraca.

* * *

W iednem czaście deszcz, grad, wiátr, zimna wodá,
 Łęgliwe biá Chrześciány w oczy:
 Y oná sroga zbytnia niepogodá
 Stanowi rotý, rowna czarney nocy.
 Chorągwi nieznác, w ludziách wielka szkodá,
 Ktorzy sobie dác nie mogą pomocy.
 Bo tey Kloryndá pogody záżyłá,
 Y koniowi w bok ostrogi włożyłá.

* * *

Wołálá ná swych: Zá námi życzliwe
 Niebo pomaga, y zá nas wojuie:
 Pátrzcíe iáko nám sámem przyiázliwe
 Twarzy, y ręce wolne zostáwuie.
 A ich y w oczy, y w czołá łęgliwe
 Biie, y gniew swoy ná nich ukázuie.
 Światło iem bierze, á nam drogę ściele
 Dziś do zwycięstwá, następuyemy śmieie.

* * *

To rzekszy z ludźmi swoiemi nátárlá,
 Tył niepokodzie tylko podáváiąc:
 Y z Chrześciány tak się mężnie zwárlá,
 Ze poszła przez nie máło wstrétu máiąc.
 A co dopiero máło nie dał garłá
 Argánt, bił naszych srodze nácieráiąc.
 Záczem iuż wszyscy gwałtem ućiekáli,
 A tyły mieczom y dżdżom podawáli.

Gniew nieśmiertelnych y śmiertelnych miecze,
 Uciekające grzbiety prześladaują:
 Krew strumieniami wytoczona ciecze,
 Ktorą się wody y drogi farbują.
 Tu trupy końskie, tu leżą człowiecze,
 Pyrrus y Rudolph już więcej nie czują.
 Támtemu Argánt srogi ściał wierzch głowy,
 Ten legł od szable mężney białeygłowy.

* * *

Ták uciekali bići Chrześciance,
 A piekielne ie goniły pokusy:
 Hetman sam tylko ná grad, ná łyskanie
 Niedba, grom go nic, y piorun nie ruszy.
 Ná swych surowe groźby y łaianie
 Obraca, á iż już przegranej tuszy:
 Ná koniu stojąc w oboz otworzony,
 Przed bramą zbiera swoy lud rozsproszony.

* * *

Dwá rázy koniá ná on czas rozpuścił,
 Chcąc swych ratować przeciw Argántowi:
 Dwakroć się okrył y nic nie opuścił,
 Co należało cnemu Hetmánowi.
 Potem z inszemi ustąpił, y puścił
 Wolny zwyciężcy płac Pogáninowi.
 Zátem się oni do miasta wracali,
 A ci strápieni w obozie zostáli.

* * *

Ale przed wielką y tám niepogodą,
 Y wściekłym wiatrem pokoju niemają:
 Ognie pogásły, oboz spłynął wodą,
 Powrozy się rwą, koły się pádają
 Y ze wszystkiego woyská wielką szkodą
 Szalone wichry namioty targają.
 Gromy, dżdże, wiatry, społem się mieszały
 Z ludzkiemi głosy, y świat ogłuszały.

KONIEC PIESNI ŚIODMEY.

P I E S N O S M A.

ARGUMENT.

O Krolewicá Szwedzkiego słucháią
Smierci, y iáko iego lnd beł zbity:
Z podobieństw płonnych, Włoszy tak mniemáią,
Ze ich Rynáld beł okrutnie zabity.
Ale kto broi, wszyscy się mieszáią,
Ná Goffredá gniew roście iádowity:
Káždy mu grozi, y káždy nań zmierza,
On słowy tylko tę wrzáwę uśmierza.

Już beły wiátry ućichły szalone,
Y niepogodá iuż się spokoiliá:
Już y ná ziemię y ná morze słone,
Złote iutrzenká świty prowadziła.
Lecz podziemna ómá ktora wichry one
Wzbudziła, przedsię sztuki swe robiła.
Astrágor chytry tusząc że co żyszce,
Ták Alekcie swey mowi towarzyszcze.

* * *

Pátrzay Alekto, że się tu iuż stáwił,
Y do Goffredá idzie ten, ktorego
Sam Bog bez chyby nam ná złość wybáwił,
Zywo od mieczá Solimánowego.
Ten Chrześcianom będzie wszystko práwił,
O Krolewicá poraszce Szwedzkiego:
Odkryie wszystko, zá czem ponno oni
Słác po Rynáldá muszą w tak złey toni.

Początkom trzebá ząbiegáć, bo z trochy
 Skry skrytey, często ognie wielkie były:
 Jdź do Chrześcian, zmieszay ich, niech płochy
 Zołnierz sam ná się użyie swey siły.
 Między Angliki, Szwáycáry, y Włochy
 Wrzuć ogien, a iad puść iem w krew y w żyły.
 Niechay się wściekłe gniewy w nie wprowadzą,
 Niechay się sámi między sobą wádzą.

* * *

Godna tá spráwá rák y twey roboty,
 Masz plác Pánu się nászemu przysłużyć:
 Ták rzekł Astrágor, á oná ochoty
 Pełná, chce zaráz w oney spráwie służyć.
 Wtem w oboz między ozdobne namioty
 Wiechał on Rycerz, myśląc kogo użyć:
 Aby mu przystęp ziednáł u Hetmána,
 Chcąc mu oznaymić śmierć swojego Pána.

* * *

Kiedy się pilnie o Hetmánie pytał,
 Káždy mu namiot iego ukázował:
 Tám wprowadzony z ukłóneń go witał,
 Y rękę iego uczciwą całował.
 Potem ták począł: Kto twe dzieła czytał,
 Y wie iákoś te kráie powoiował:
 Zdziwi się, bo twa sławá iáko trzebá.
 Od Oceána sięga aż do niebá.

* * *

Radbymci beł niośł weselsze nowiny,
 (Tu srodze westchnie, y westchnąwszy rzecze)
 Steno Szwedzkiego Krolá syn iedyny,
 (Ach iáko rzeczy omylne człowiecze)
 Chciał być ieden z tych co do Pálestyny
 Szli, dla Chrystusá przypasawszy miecze:
 Niebespieczeństwá, y oćiec ubogi
 Juź zeszyły, nie mógł rozwieść mu tęg drogi.

Chciał spraw pod tobą nąwyknąć Marsowych,
 Tak dobrem mistrzem: y z wielkiej chciwości
 Gniewał się na się że dotąd w domowych
 Schowany państwach, gnuśniał w nikczemności.
 Słyszał o wielkich dziełach Rynáldowych,
 Y sławie ieszcze w niedoszley młodości.
 Tá go chęć święta do tey drogi wiodła,
 Lecz miłość Bożą, naybárzieszy go bodła.

* * *

Przeto iáko się iedno nágotował
 Z przebránem ludem z domu wyszedł w pole:
 Y ná Trácyą drogę swą kierował,
 Y szedł ná wielkie Konstántynopole,
 Tám Cesarz Grecki hoynie go częstował,
 Tám mu poseł twoy powiádał przy stole
 Antyochiey iákościé dostali,
 Y iákościé iey potem dotrzymáli.

* * *

Jáko was beli oblegli Persowie
 W mieście z swoiemi woyski tak wielkiemi:
 Ze się tak zdało, że wszystko pogłowie
 Wyszło, y ledwie został ktory w ziemi.
 Ciebie też w swoiey nie zapomnial mowie,
 Y inszych kilku: Ale przed inszemi
 Rynálda, iáko wykradł się rodzinie,
 Co potem zrobił, y iáko dziś słynie.

* * *

Powiedział y to, żeście iuż myślili,
 Szturmem się kuścić o Syońskie grody:
 Rádząc ábyśmy z niem nie opuścili,
 Tey do zwycięstwá tak piękney pogody.
 Táką zágrzany mową w oney chwili,
 Ták posła twego był Krolewic młody:
 Ze sobie z sercá przybydź ná czas życzył,
 Y nie tylko dni, lecz godziny liczył.

Ták mu się zdáło, że mu wymawiano
 Jego nikczemność w cudzem zalecániu:
 Y kiedy mu się zatrzymać kazano,
 Niechciał przestawać ná niczyiem zdániu.
 Niebespieczeństwo ktore przekładano,
 Zá nic sobie ma, á to ná świtaniu,
 To uteskniony w nocy záwsze myśli,
 Abyśmy ná czas do potrzeby przysšli.

* * *

Sam się ná swą śmierć ukwáplivy bierze,
 Y nieszczęście nas wielkiem gwałtem ciągnie:
 Noc mu się zdála bydz nie w swoiey mierze,
 Nádz zwyczaj dłuższa, y ledwie go wściągnie.
 Co krotszą drogę sam sobie obierze,
 Y ták skoro się lud do kupy ściągnie:
 Ruszy się z mieyscá, myśląc złe przechody,
 Y niebespieczne przebyć bez swey szkody.

* * *

Siláśmy nędze ná drodze użyli,
 Ale y głody, y zasadki skryte:
 Y niewczásysmy wszystkie zwyciężyli,
 Pogánstwo uszło, álbo beło bite.
 Jużesmy názbýt bezpiecnemi beli,
 Dla szczęścia ktore beło známienite:
 Kiedysmy gęste pospináli wozy,
 Przy Pálestyńskiej gránicy w obozy.

* * *

Támci co naprzód chodźili przybiegli,
 Dáiąc znáć, że zbroj srogi chrzést słyszeli:
 Y że chorągwi niemáło postrzegli,
 Y ztąd że lud beł wielki rozumieli.
 Wiele ich beło co srodze pobledli
 Ná te nowiny, y uciekác chcieli.
 Postáremu się Krolewic rumieni,
 Y áni twarzy, áni głosu mieni.

Dwie (prawi) mamy przed sobą Koronie,
 Jedną zwycięstwá, drugą męczeńnictwá:
 W támtęj nie wątpię, tę włożyć ná skronie
 Pragnę, z Świętymi pewien uczesnictwá.
 Y tu nas pozny wiek nie zapomienie,
 Y tám dostąpię wiecznego dziedzictwá.
 Tu ná tem polu świat nasze ozdoby,
 Y nasze będzie ukázował groby.

* * *

Wtem straży zawiódł y oboz obbieżał,
 Dzieląc urzędy z pracą między swoje:
 Y kazał áby każdy zbroyno leżał,
 Sam także z siebie nie zdyimował zbroie.
 Nocy był ten czas gdy naybárzıey bieżał
 Sen, ná troskliwe ludzkie niepokoie:
 Kiedy Pogáńskie okrzyki y głosy
 Wstały, które szły pod sáme niebiosy

* * *

Uderzą w lárnę, on zaráz wesoło
 Wprzod przed inszemi w świetney stánie zbroi:
 Y z pięknem okiem okazałe czoło,
 W bárwę śmiałości pospolitą stroi.
 Wnet nas Pogáństwo otoczy: Już koło
 Obozu woysko niezliczone stoi:
 Lás gęstych kopiy przeciwko nam stánie,
 Chmurę strzał ná nas wypuszczą Poganie.

* * *

W nierowney bitwie, bo przeciw iednemu
 Jeśli nie więcej do dwudziestu było:
 Siłą ich legło, siłą po nocnemu
 Cieniu, z okrutnych ran z światá schodziło.
 Oko zakryte pobitych żadnemu
 Uyrzec nie dało, y nie dopuściło:
 Bo rázem szkody y nasze dzielności,
 Noc okrywała płaszczem swej ciemności.

Jednak Krolewic tak się ukazywał,
Ze go znać było dobrze chociaż w nocy:
Jeśli mu się kto zbliską przypátrował,
Y iego śiłow, y sercu, y mocy.
Gdzie iedno bystry swoy koń nakierował,
Gdzie mieczem kinie, y gdziekolwiek skoczy:
Krew wielka płynie wszędzie w onem czeście,
Strach srogi w oczu, a śmierć w ręku nieście.

* * *

Aż dotąd, kiedy na świat wychodziła
Złota iutrzenka, ona bitwa trwała:
Ale skoro noc dniowi ustąpiła,
Ktora strach gęstych śmierci zakrywała.
Dopiero światłość niebieska odkryła,
Y oku woysko zbite ukazała.
Po polu gęsty trup leży, y mało
Rycerstwa co już naszego zostało.

* * *

Sto nas zostało ode dwu tysięcy,
Kiedy Krolewic uyrzał zbite szyki:
Ja niewiem, jeśli strwożył się widzący
Pobite pierwsze swoje woiowniki.
Nie dał tego znać tak do swych mowięcy:
Mamy, o bracia, dobre przewodniki.
Y my za niemi w niebo ich przykładem
Jdźmy, krwią od nich naznaczonem ślădem.

* * *

Y wesoł z śmierci, że już beła bliska,
Niosł pierśi pełne niebieskiey ochoty:
Nieprzyaciel nań zewsząd gęste ciiska
Miecze, kopie, strzały, ostre groty.
Ze nie tylko tá z stali zbroia śliska,
Lecz Wulkánowey podomno roboty
Nie wytrwála by, tak że iego ciało
Skłote, iedną się tylko raną zdało.

Nie żywot trzyma, ale niepożyty
 Węzeł dzielności, członki już zemdłałe:
 Kole sam skłoty, y biie sam zbity,
 Y w skłotem ciele serce ieszcze śmiałe.
 Wtem wzrostem wielki, wzrokiem iądowity
 Mąż, máiąc oczy groźne y zuchwałe:
 Siekł nań ták długo z drugiemí swoiemí,
 Ze náostátek Sueno beł ná ziemi.

* * *

Poległ niestetysz kwiát piękney młodości,
 Y nie beł żaden ktoby go rátował:
 Wámi droga krwi, y szláchetne kości
 Swiádczę, iákom się ná ten czas sprawował.
 Wzgárdziłem żywot, y z wielkiej żáłości,
 Szedłem ná miecze, pierśím nádstáwował:
 Y by to beło wiecznych losow zdánie,
 Zem śmierz miał podiąć, zarábiałem ná nią.

* * *

Jam tylko ieden sam między trupámi
 Zyw leżał, y to tylko też co żywy:
 Y niewiem co się potem działo známi,
 Ták mi był odiał zmysł mrok nieżyczliwy.
 Lecz skorom mdłemi przeyrzał kęs oczámi,
 Ktore był zácmił cień niepámiętliwy:
 Noc mi się zdála y że w onem mroku,
 Płomień się błyszczał zemdlonemu oku.

* * *

Nie miał wzrok wten czas w sobie tákiey mocy,
 Aby beł rzeczy rozeznał widziáne:
 Lecz beł iák gdy kto raz otworzy oczy,
 Raz záuwrze, wpoły czułe, wpoł ospáne.
 Osurowiałe rány w zimney nocy,
 Dopiero bole czuły niesłycháne.
 Bolu to ieszcze więcey przydawało,
 Ze się ná wietrze pod niebem leżało.

Wtem gdy się ona światłość przymykała,
 Usłyszę iakąś cichą dwu rozmowę:
 Y przymknąwszy się podle mnie została,
 Jam podniosł z strachu ocieżała głowę:
 Aż w szacie która do ziemi sięgała
 Uyżrzę dwu z ogniem, y usłyszę mowę.
 Dufay, o synu, Boskiey opątrności,
 Ten cię ratuje w twoiey doległości.

* * *

Potem przystąpił, y tknąwszy mi głowy,
 Zegnał mię, w wielką pokorę ubrany:
 Y patrząc w niebo, nabożnemi słowy
 Mowił nademną tym niezrozumiany.
 Y rzekł: wstań. A ia wstawam zaraz zdrowy,
 Bolu nie czuję ani żadney rany,
 Owszemem się zdał sam sobie czerstwiejszy,
 Y (o cud wielki) dobrze ochotniejszy.

* * *

Ządziwiłem się, y myśli lekliwe
 Wierzyć niechciały onemu cudowi:
 Aż mi ieden znich: Czemu (pry) wątpliwe
 Małowiernemu zmysły rozumowi
 Poddawasz? uwierz, my ciało prawdziwe
 Nośiem, y słudzy sąśmy Jezusowi:
 Ktorzyśmy światem wzgardzili obłudnem,
 Y tu ná miejscu mieszkamy bezludnem.

* * *

Mnie Tworcą świata, miłośnik człowieczy
 Kazał o tobie pilne mieć stáranie:
 Ktoremu nie dziw wielkie czynić rzeczy,
 Przez podle śrzodki nád ludzkie mniemanie.
 Ten y to ciało ma ná swojey pieczy,
 W ktorem cna duszą miała swe mieszkánie:
 Y chce żeby z nią w iasność obleczone,
 Y w nieśmiertelność było ziednoczone.

Y żeby mu był grob taki sprawiony,
 Jáki należy ciáłu tak zacnemu:
 Ktory u światá będzie poważony.
 Y oznaymiony wiekowi poznemu.
 Poyrzy po gwiazdách, á pátr z prawey strony
 Ná iednę, słońcu podobną iásnemu.
 Tác przewodnikiem będzie, y pobieży
 Zywym promieniem, tám gdzie twoy Pan leży.

* * *

Wtemem obaczył z wielkiem podziwieniem,
 Ze z oney gwiazdy światłość wychodziła:
 Y rościagnionem do ziemi promieniem,
 Gdzie ciáło beło prosto wymierzyła.
 Y Krolewicá swem iásnem promieniem,
 Y wszystkie iego rány oświeciła:
 A potem nagle ode mnie bieżała,
 Y tak iáko krew wszyską szczerwieniála.

* * *

Nie ná nos leżał, ále iáko żywy
 Miewał do niebá umysł obrocony:
 Ták y ná on czas choć martwy wzrok chćiwy
 Do gwiazd obrocił, ná wznák położony.
 Miecz w iedney pięści ściskáiąc pierzchliwy,
 Jakoby chćiał bić trzymał wyniešiony:
 Drugą do pierśi nabożnie przykládał,
 Ták iákoby się zá grzechy spowiadał.

* * *

Kiedym ták łzami święte kropił rány,
 Nie bez żáłości, nie bez wielkiej męki:
 Krolewiciowi miecz mocno trzymány,
 Z pięści Pustelnik wyimował przez dzięki.
 Y rzekł mi zátem: Ten miecz krwią rumiány,
 Ktorym dopiero wyiáł z mężney ręki:
 Jest ták hártowny, y ták doskonály,
 Ze dawne wieki takiego nie miály.

Bog w dyamentcie wyrok ten wykował,
 Ponieważ Páná utrácił pierwszego:
 Aby w tey stronie darmo nie proznował,
 Lecz aby prędko poszedł do drugiego.
 Ktoryby w rowney síle niem wołował,
 Ale szczęśliwiey, y czasu dłuższego:
 Y niem się pomścił (iego to robotá)
 Nád tem, co Swená pozbawił żywotá.

* * *

Soliman Swená zábił, w Solimanie
 Ten miecz ma zostáć, y bydz utopiony:
 Przeto zánies go tám, gdzie Chrześcíanie
 Pod miástem máią oboz zátoczony.
 Nie boy się, abyć w drodze wstręt Pogánie
 Mieli uczynić, z iakieykolwiek strony.
 Ten ktory cię śle, ták cię poprowadzi,
 Zeć nic przygodá żadna nie závádzi.

* * *

Ten kaže, aby od ciebie wiedzieli
 Jákoście mężnie z Pogány czynili:
 Jákoście Páná pobożnego mieli,
 Jáko dzielnego, iákoście go zbyli.
 Aby drudzy być ochotniejszy chcieli,
 Y chętniey zbroie krzyżámi znaczyli.
 A wielkie sercá tem ogniem zágrzane,
 Mnożyły wiárę, y krzyże rumiáne.

* * *

A żebyś wiedział, kto mieczowi temu
 Ma ták dobremu własnem zostáć Pánem:
 Ten iest Bertoldow mężny syn, ktoremu
 Nikt nie może być w męstwie porównánem.
 Temu go odday, á mow mu: że iemu
 Pomstá należy, y że iest obránem
 Od Bogá ná to: Zá onemi słowy,
 Do siebie mię zász obrocił cud nowy.

Tam kędy beło Swenonowe ciało,
 Uyrzałem wielki grob wybudowany:
 Ktore weń weszło, iako się to stało,
 Y oko, y zmysł, niewie obłąkany.
 Ktoś tylko ná niem iako mi się zdało
 Z iego wielkich dzieł rym pisał zebrány:
 A iam wzrok chćiwy obrocił do gury,
 Pátrząc ná napis, y gładkie marmury.

* * *

Tu (mowi stárzec) między przyiaćioły
 Ma twego Pána ciało odpoczywać:
 A iego drogi ná niebie z Anyoły
 Wiecznego dobrá duch będzie záżywać.
 Ale ty przestań plákać, y wesoły
 Chćiey się ná lepszą myśl teraz zdobywać:
 A zostań zemną dżiśia w tey gośćinie,
 Dokąd z gwiazdami ciemna noc nie minie.

* * *

Tu stárzec zmilknie, y potem mię wiedźie
 Po przykrych gorách, co mię spracowały:
 Ażeśmy wešli po zwierzęcem śledźie,
 W strászną iáskinią iedney ostrey skály.
 Gdzie srodzy wilcy, y dżicy niedźwiedźie,
 Y Lwice z swemi szczenięty mieszkály.
 Tu z uczniem mieszkál, święta go bronilá
 Niewinność lepiej niżli mieczow siłá.

* * *

Jábkámi tylko ktore z lásu bierze,
 A twárdem łóžem stárzec mię częstował:
 Wtem świt rumiány we złotem ubierze
 Ogniem plećiony wárkocz ukázował.
 Pustelnicy też wstáli ná paćierze,
 Jam też modlitwy swoje odprawował.
 A potemem ich pożegnał, y w drogę
 Powroćilem tu ukwápliwą nogę.

Skoro Szwed skończył, Goffred zasmucony
 Tak mu ná iego odpowiedział mowę:
 Y ia, y wszystkim żołnierz utrapiony
 Muśi być ná tę żalosną ponowę.
 Ponieważ lud wász mężny y ćwiczony
 Od nieprzyściał pobity ná głowę.
 Y wász Pan iako błyskawicá rázem,
 Y ukazał się, y poległ żelázem.

* * *

Ale szczęśliwsza to śmierć, niż dostane
 Wielkie Krolestwá, y bogáte Księstwá:
 Y dawnych wiekow dzieie opisáne
 Więszego nád to nie ukażą męstwá.
 Już oni w złote wieńce opásáne
 Ubráli głowy dla swego męczeństwá:
 Ja wierzę że tám każdy ukázuie
 Swe drogie rány, y z nich tryumphuie.

* * *

A ty, ktorego Bog ná tey dolinie
 Nędznego świata ieszcze chciał zostawić:
 Miałbyś oddawszy troski złey godzinie,
 Lepszey się myśli y weselszy stawić.
 A co się pytasz o Bertoldá synie?
 Błaka się, ále gdzieby się miał bawić
 Niewiem, á ty się strzeż drogi wątpliwey,
 Aż o niem rzeczy dowiesz się prawdziwey.

* * *

Gdy táka była o Rynáldzie mowá,
 Wszyscy go bárzo w on czas żalowali:
 Y ozwał się ktoś, który rzekł te słowa,
 Ato go z woyská niewinnie wygnáli.
 Wszyscy iakoby bełá ná to znowá,
 Szwedowi iego dziełá powiádáli:
 Jáki mąż z niego, iako się sprawował,
 W różnych potrzebach, á Szwed się dziwował.

Gdy tak ná ono wszyscy wspominanie,
 Miłość ku niemu w sobie pobudzili:
 Ci, ktorzy byli szli ná picowanie
 Do obozu się zpoł náзад wroćili.
 Pędzili woły, y stádá báránie,
 Y rožną żywność z sobą prowadzili:
 Słomy, y owsy, y bydłá dostátek,
 Támto dla koni, á to zaś dla iátek.

* * *

Ci tę nowinę nieśli nieszczęśliwą,
 Ktorą zá pewną wszystkim udawali:
 Ze Rynáldow puklerz, y ćierpliwą
 Zbroię, krwią świeżą spluskáną poználi.
 Zewszád (bo ktoby rzecz tak żáłościwą
 Mogł zákryć) ludzie do nich się zbiegáli.
 Co żywo o śmierć pyta Rynáldowę,
 Y zbroię widzieć chce Bohátyrowę.

* * *

Poználi bláchę, y u miązszej zbroie
 Znak zwykły, y herb ná iego puklerzu:
 Ná którym beł ptak ten co dzieci swoje
 Doświadcza słońcem, y nie wierzy pierzu.
 Ten ilekolwiek znaczne beły boie,
 Zawsze widáli ná wielkim Rycerzu.
 A teraz z żalem z gniewem pomieszánem,
 Widzą go bydz krwią srodze popluskánem.

* * *

Kiedy tak roźnie po woysku szemrano,
 Y tę rzecz sobie rozbieráli sámí:
 Roskazał Goffred, áby záwołano
 Alpándrá, co był nád picownikámi:
 Człek to był dobry iáko powiádano,
 Prosty, prawdziwy między Rotmistrzámi:
 Ten od Hetmáná o zbroię pytány,
 Ták opowiedział cnotą záwiązány.

Ztąd w mil dwunastu przy gościncu, który
 Jdzie do Gązy, tuż blisko granice:
 Równiną mała leży wszedszy w gory,
 Ktore obeszły tamte okolice.
 Srzodkiem nie wielka rzeczká spada z gory,
 Stoki w niey gęste y żywe krynice:
 Mieściami gęstwá y drzewá ozdobne,
 Zákrytem bárzo zasadkom sposobne.

* * *

Myśmy tam stádá szukáli iákiego,
 Zwłaszcza że kray był w pástwiská obfity:
 A wtem uyrzemy kogoś umárłego,
 Który tam leżał przy wodzie zábity.
 Biegli tam wszyscy, bo z herbu zwykłego
 Zbroię poználi: trup sam był nákryty.
 Gdym go chciał odkryć kiedy go podięto,
 Tulow był tylko, á głowę ucięto.

* * *

Ręki nie beło prawey, ran miał wiele,
 Ná obie stronie wszystek przebodżiony:
 Przy niem hełm prozny, co orlá na czele
 Białego niešie, leżał położony.
 Radbym był komu, coby o tem ċiele
 Sprawę dáć umiał, á wtem z iedney strony:
 Obaczę chłopá niedáleko, krory
 Zayrzawszy nas, chciał spiesznie ućiec w gory.

* * *

Lecz dościgniony y od nászych wzięty,
 Tę samę tylko powiádał nowinę:
 Ze wczorá kiedy pásł bydło z chłopięty,
 Záyrzáwszy konnych skrył się w rokicinę.
 Jeden z nich trzymał w ręku łep ucięty,
 A kiedy pilnie pátrzył przez krzewinę:
 Ták mu się zdáło że to był ktoś młody,
 Y niezárosły, y ieszcze bez brody.

Y że go w torbę zaráz potem włożył,
 Ktorą do łęku sobie przywieszował:
 A náostátku y tego dołożył,
 Ze stroy, że nászy beli, ukázował.
 Jam zátem zbroię onę z niego złożył,
 Y serdeczniem go, Bog widzi, żáłował.
 Zbroię tę z sobą przywiozłem, á ono
 Ciáło kazałem áby pogrzebiono.

* * *

Lecz ieśli to iest Rynáldowe ciáło,
 Jnszego pewnie godne było grobu:
 A iż Aliprand nád to wiedział máło,
 Odszedł zarázem z Hetmáńskiego progu.
 Goffredowi się przedsię iednák zdáło
 Pytác się pilniey, ma nádzieię w Bogu:
 Ze się z pewnego znáku o tem spráwi,
 Y méżoboycá wrychle się obiáwi.

* * *

A wtem ciemna noc pod płaszcz rościágniony
 Swiát iáko wielki wszystek zástóniłá:
 A zmysł człowieczy słodkiem opoiony
 Snem odpoczywał, y troská się kryłá.
 Ty Argillánie ostrą przerażony
 Strzałá, sam nie spis, ále myślisz siłá:
 Oczyć przez dzięki snu nie przypuszczáią,
 Złośliwe myśli pokoju nie máią.

* * *

Ten zły, zuchwáły, nieuhámowány,
 Prętki, porywczy ręká y ięzykiem:
 Ná brzegu Trentu zrodzony, zchowány
 W zwádách, beł nocnem domow náieżnikiem.
 Potem bánitem, y z ziemié wygnány,
 Lupił po drogách, y beł rozboynikiem:
 Dotąd áż woyná w Azyey urosłá,
 Ktora mu sławę iuż lepszą przyniosłá.

Kęs tylko usnął dopiero ku dniowi,
 Y to w niem nie był przyjemny, y miły:
 Ale podobny sen paraliżowi,
 Bo mu iad lała brzydka iędzła w żyły.
 Y wnętrznemu coś czyniła zmysłowi,
 Ze mu się myśli snem niespokoiły.
 Y sáma mu się wnet potem stawiła,
 W straszliwej lárwie, która go straszyla.

* * *

Tułow mu wielki y straszny stawiála,
 Y w oczy kładła wrzkomo Rynáldowy:
 W lewey ucięty łep ręce trzymała,
 Straszny, wyblądły, krwawy, y surowy.
 Mowę mu od krwi ochrápiála dála,
 A takie słowá wychodziły z głowy:
 Uciekay (práwi) już dzień Argillánie,
 Coż? nie widzisz zrad w niezbożnem Hetmánie

* * *

Mnie zabił, ále choć ná to niedbaćie,
 Strzeżćie, ábyście do tegoż nie przyszli:
 Zazdrość go gryzie, á wy mu ufaćie,
 Wiedzćie, że y was pozábiić myśli.
 Lecz ieśli chęći co do sławy maćie,
 Y mężną rękę przy wysokiey myśli:
 Zostańćie ráczey, y nie uciekáyćie,
 A krwią Tyráńską duszę má błagayćie.

* * *

Ja z tobą będę y we dnie y w nocy,
 Siłyć y sercá będę dodawála:
 Tą mową wiétszey dodała mu mocy,
 Y gniew mu srogiem iádem hártowála.
 Sen wylękniony iádowite oczy
 Opuścił, z ktorych wściekłość wynikała:
 Zbroię oblokszy zaráz się prowadzi,
 Y Włochy naprzod do kupy gromádzi.

Prowadzi ich tam, kędy był ogromny
 Szyszak Rynáldow z zbroią zawieszony:
 Y w przedsięwzięciu onem nie przełomny
 Gniew y głos przedtem wymiara myślony.
 Takli nam ten zły naród wiárołomny,
 Lákomy, pyszny, pychę wynieśiony:
 Zawsze kląć będzie, by ná niewolniki
 Járzmo ná kárki, munsztuk ná ięzyki?

* * *

Tákesmy siedm lat wycierpiełi wiele
 Wzgárdy, ktora nas od nich potykała:
 Ze przez tyśiąc lat będzie (rzekę śmieie)
 Gniewać się o co Włoska ziemiá miała.
 Ato y Tánkred zbił nieprzyaściele,
 Y ziemiá mu się Cylicka dostała:
 A Francuzowie pod niem iey dostáli,
 Y cudzą zdobycz zdradą otrzymáli.

* * *

A kiedy się bić, kiedy wyciągaia,
 Czasy przewagę álbo męstwo iákie:
 Námi naygorszą dziurę zátykaia,
 Y ná złe rázy idziemy wszelákie.
 Kiedy zaś zdobycz y łup dzielić máia,
 Mysmy ná stronie y niegodni: Tákie
 Nasze korzyści, krew tylko y szkody,
 A ich tryumphy, sławá, y nagrody.

* * *

Beł czas kiedy nas od nich potykały,
 Nieznośne krzywdy, y lekkości siła:
 Ale chočia się bárzo wielkie zdály,
 Teraznieysza ie mále uczyniła.
 Zábity Rynáld, zgwałcone zostały
 Práwá, sławá się Włoska znieważyła:
 A przedsię niebo piorunem nie biie?
 Ziemiá ich nie żrze, y pod się nie kryie.

Rynáld obrońcá zábít świętey wiáry,
 A dotąd ieszcze został niezemszczony :
 Ná gołej ziemi (takie iego máry)
 Leży zrąbány y niepogrzebiony.
 Kto sprawcą takiey niezbożney ofiáry,
 A iáko ma być proszę zátáiony?
 Z Włoskiey dzielności urosła przyczyná,
 Ktora Goffredá trapi y Báldwiná.

* * *

Dziwną wam powiem, á powiem prawdziwą,
 Przyśięgam ná to żywemu Bogowi:
 Widziałem iego duszę nieszczęśliwą,
 Kiedy iuż było ku samemu dniowi.
 Ach iáką ráde Hetmáńską zdrádliwą
 Przeciw naszemu odkrył narodowi.
 Nie sen powiádam álbo iáką marę,
 Y teraz go mam w oczách ná mą wiárę.

* * *

A my co? Czy być pod iego buławą,
 Y miłey przedsię zbyć chcemy swobody?
 Czy przed ręką krwią niewinną plugawą
 Uydzim do piękney Eufrátowey wody
 Gdziebyśmy rządem dobrem, dobrą sprawą
 Wygnáli tánte nikczemne narody:
 Y w kráiách beli obfitych Pánami,
 Nie mieszáiąc się więcej z Fráncuzámi.

* * *

Jdźmysz, niechby krew bez pomsty została
 (Jeśli tak chcecie) tak wielkiey osoby:
 Acz gdzieby dzielność napierwsze wspomniála
 Sprawy swey ręki, y dawne ozdoby
 Niedługoby się tá złość pokarála,
 Y nie trudnoby o takie sposoby:
 Ze krwi niewinney rozlewca przykładem
 Belby śmiercią swą Tyránnom szkárádem.

Jeśli tak będą wasze siły śmiałe
 Jako potężne, iako wiele mogą:
 Ja mu sam wrączę miecz w serce zuchwale,
 Wiem, że mi tego y drudzy pomogą.
 To skoro wyrzekł, zaráz pułki całe
 Za Argillánem iedną idą drogą:
 Wściekła młodź bieży, wszyscy się mieszaia,
 Do mieczow wszyscy, y do zbroj wołaią.

* * *

Miecz między niemi wzgurę wynieśioną
 Ręką Alekto trzyma, kotorem śieczy:
 A gniewy wściekle, y nienasyconą
 Krwie chciwość, między gęste rot y miecze.
 Co raz pomyka chmurę niewściągnioną
 Jędzą, y ostre wszędzie ćiska miecze.
 Z Włoskich stánowisk do Swáyczarow poszła,
 Y do Anglikow potem się przeniosła.

* * *

Inszę narody nie tylko wzbudzone
 Pospolitą się szkodą urażaią:
 Ale y dawne gniewy umorzone,
 Teraz się znowu w sercach odnawiaia.
 Fráncuzy hárdy y niepowściągnione,
 Chelpliwe, pyszne, chciwe nazywaią.
 Nienawiść ktora przedtem była skryta,
 Teraz wychodzi na wierzch iádowita.

* * *

Ták bywa w gárcu kiedy wodá wrząca
 Wewnątrz błękoce, u ząwártéy dziury;
 Y niemogąc się w sobie zmieścić rącza
 Wylewa ná brzeg, y drze się do gury.
 Nie da się tłuszcza ząwściągnąć gorącą,
 Jeśli ią bączny chce hámować ktory,
 Tánkred z Kámillém y Gwilelm nie beli,
 Y inszy stárszy, co iemi rządžili.

W kupy zmieszane pospolstwa odmienne,
 Bieżą y wszyscy ná lárme wołáią:
 Trąby, y bębny, y insze woienne
 Muzyki, ná krew sercá pobudzáią.
 Gotyfredowi nie bárzo przyjemne
 Nowiny to ten, to ow posyláią.
 Báldowin pierwszy przybieży we zbroi,
 Y podle niego niestrwożony stoi.

* * *

On słysząc ná się szczyrą potwarz onę
 Do niebá umysł obraca troskliwy:
 Ty mię sam Pánie weźmi w swą obronę,
 Wiesz żem ná swych krew nie był nigdy chćiwy.
 Zdyim iem z błędnego rozumu zasłonę,
 Y uśmierz sam w nich gniew ták popędliwy:
 A iákoś świadom moiey niewinności,
 Ták ią iem odkryi z twej dobrotliwości,

* * *

Poczuł że go duch niebieskiey roboty
 Niezwykły zágrzał, y wnątrz go przeymował:
 Pelen nádzíeie y piękney ochoty,
 Swą twarz wesolą śmiałością fárbował.
 Ná ostre miecze, ná wytknione groty,
 Niewylękniony śmieie następował:
 A choćia słyszy przegroszki zuchwałé.
 Idźie, y czoło nieśie okazałe.

* * *

Zbroię zupełną y płaszcz miał ná sobie
 Drogiem iedwabiem wszystek przeszywany,
 Twarz miał odkrytą, y ták szedł w ozdobie
 Niebieskiey, w straszną powagę ubrany.
 Kinie buławą y tą w oney dobie
 Tuszy uśmierzyć woysko zagniewáne.
 Ták do nich wyszedł, y te mówił słowa
 Lecz nie człowiecza zda się iego mowa.

Zkąd się wziął ten zgielk, kto go śmie prowadzić?
 W takimemli to u was poważeniu?
 Ze się ná plonnych plotkach chcecie sądzić,
 Po częstem y tak długiem doświadczeniu.
 Udawa snadź ktoś, że Goffred chce zdrądzić,
 Y są ci co mię máią w podeyrzeniu.
 Czekacie ponno ábym się sprawował,
 Albo dowody iákie ukázował.

* * *

Nie da Bog, aby od takiey sprośności
 Miało być imię moje pomázane:
 Z przeszłem mem życiem, broni niewinności
 Sumnienie czyste, y niezásrománe.
 A teraz miásto słuszney surowości,
 Miłosierdzie wam będzie pokazáne:
 Dla przeszłych zasług odpuszczam błędowi,
 Y wászemu was dáię Rynáldowi.

* * *

Argillánową krwią będzie omyty
 Grzech spolny, on sam będzie pokutował:
 Ze was w kupę zwiodł, y lud pospolity
 Przeciw zwierzchności swoiey pobuntował.
 Kiedy to mówił, piorun mu zakryty
 Strászney powagi, z oczu wyskákował.
 Tak że Argillán wylękniony stoi,
 Y gniewliwey się iedney twarzy boi.

* * *

A drudzy, ktorzy dopiro zuchwáli,
 Wstydu y względu żadnego nie mieli:
 Ale groźili, y srodze łaiáli,
 Y miecze we krwi ostre topić chcieli.
 Teraz słow groźnych z pokorą słucháli,
 Y podnieść oczu ku gorze nie śmieli.
 A Argillaná zaráz po tey mowie,
 Woyskowi od nich wiedli Profosowie.

Taki lew bywa, kiedy náieżoną
 Grzywą potrząsa, y kiedy się sroży:
 Jeśli ten przydzie co mu przyrodzoną
 Srogość okrocił, ogon pod się włoży.
 Y pod mistrzową ręką wynieśioną
 Cierpi karanie, y surowe grozy,
 Już y páznokci y strászliwey gęby,
 Z wyostrzonemi zapomina zęby.

* * *

Tak powiadaia, że w ten czas widziały
 Beł, przy Goffredzie Boháter skrzydlaty:
 Co przedem puklerz wystawiał miedziały,
 (Cud przed dawnemi niesłychany ląty)
 W ręce miecz goły krwią trzymał spluskany,
 Ktora kroplami ściekała ná szaty.
 Podomno to krew z miast y krolestw ciekała,
 Ktore gniewliwa ręká iego siekla.

* * *

Skoro zgiełk uciął, wszyscy kładli miecze.
 Y z mieczmi zaráz zmiękczone niechęci:
 Goffred odszedszy to tam to sám miecze
 Myśli wątpliwe, y pilnie się kręci.
 Kilku dni więcej szturmu nie odwlecze,
 Y potrzeby mą wszystkie ná pamięci.
 Czasem sám idzie, czasem kogo ześle
 Tam, gdzie Tarány gotowali cieśle.

KONIEC PIEŚNI OSMEY.

PIESN DZIEWIĄTA.

ARGUMENT.

Brzydka Alekto radzi Sułtanowi
Ná Chrześciány uderzyć wpułnocy:
Ale Świętemu kazał Michałowi
Stworzyciel wygnąć piekielne pomocy.
A te iák skoro poszły ku domowi,
Y ci co wyszli z Armidżiney mocy
Pomogli naszemu, iuż więcej nie czeka,
Ale zwątpiwszy Soliman ucieka.

A kiedy brzydka iędzą obaczyła,
Ze on zgiełk srogi był uspokoiłny:
Y że nie mógł być iákoby życzyła,
Przedwieczney myśli wyrok odmieniony.
Lećiała ztamtąd, á gdzie przechodziła
Słońce się ćmiło, rodne schły zagony:
A ukwąpiwa do nowey roboty,
Prętkiem biegła po powietrzu loty.

* * *

Od towarzyszow swoich to wiedziała,
Ze Rynáld w woysku nie był w onem czeście:
Toż o Tánkredzie, y inszych słyszała
Co namężniejszych, że gdzieś beli w leście,
Y długosz (rzecze) będą proznowała?
Niechay Soliman wojnę zaráz nieście.
Pewnám, że woysko porąziem zmnieyszone,
Rostyrkow pełne, y źle ziednoczone.

To rzekszy poszła gdzie między błędnemi
 Rotami mieszkał Soliman zuchwały:
 Po wszystkiej prawie nad którego ziemi,
 Sroższego wieki támteczne niemiaily.
 J ledwie między Olbrzymy dawnemi
 Nalazł się który tak wściekły, tak śmiały.
 w Turczach krolował, mieszkać się był złożył
 W Niceey, w ktorey stolicę założył.

* * *

Miał po brzeg który trzymają Grekowie,
 Od Meandrowey do Sangrowey wody:
 Gdzie przedtem dawni mieszkali Mizowie,
 Lidowie, Pontskie, Bytińskie narody.
 Lecz Chrześcijańscy iak skoro Panowie
 Ná woynę poszli Azyiską w zawody
 Państwa mu iego y miasta pobrali,
 Y bitwę na niem dwa razy wygrali.

* * *

Probował nieraz szczęścia y odmiany,
 Lecz o tem inszy wyrok był ná niebie:
 Y do Egiptu udał się wgnany,
 Gdzie mu Krol był rad, y wziął go do siebie.
 Ważył go rowno z przednieyszymi Pany,
 Aby go potem w swej użył potrzebie:
 Myśląc się nie dać więcey rozpościerać,
 Y Chrześcijań w Palestynie wspierać.

* * *

Lecz pierwey niż iem woyną odpowiedział,
 Y niż się ruszyć miał do Palestyny:
 Za iego wolą służbę przypowiedział
 Soliman zboycom Arabskiej krajiny.
 A w tem kiedy Krol w swem Egipcie siedział,
 Y lud Azyiski y zbierał Murzyny,
 Soliman łatwie uiał chciwe żądze
 Łakomych zboycow, za iego pieniądze.

Ták będąc wodzem u nich Tyran srogi,
 Po ziemi Gudzkiej wielkie czynił szkody:
 Y wszystkie wkoło opanował drogi,
 Ktore z obozu szły do morskiej wody.
 A máiąc w sercu boyce, y ostrogi
 Do pomsty, pamięć swoiey świeżey szkody.
 Więtsze iuż rzeczy myśli ná czas przyszły,
 Ale ieszcze ma wątpliwe zamysły.

* * *

A wtem Alekto przedzeń się stawiła
 W zawoiu, w męża starego osobie:
 Twarz chudą y skroń zmarskami okryła,
 Do kostek miała delią ná sobie.
 Wąsa nie, tylko brodę ogoliła,
 Z wypustow ręce ukazała obie.
 U boku saydak z krzywą szablą miała,
 A w prawey ręce łuk ciągły trzymała.

* * *

My (prawi) tylko przebiegać będziemy
 Te suche piąski, y pola niepłodne:
 Gdzie sławy żadney dostać niemożemy,
 Ani zdobyczy coby chwały godne.
 A Goffred miasto tłucze iako wiemy,
 Dziurę iuż wybił, czasy ma pogodne:
 Wrychle o szturmie mieć będziemy nowiny,
 Y ztąd wyrzemy ognie y perzyny.

* * *

Takli zwycięstwa są Solimanowe,
 Wsi popalone, zaięte bárany:
 Wspomni ná swoje dawne krzywdy owe,
 Wspomni ná páństwo z ktoregoś wygnany,
 Odważ się, á zbiy woysko Goffredowe,
 Uderz ná oboz w nocy niespodziany.
 Wierz Araspowi ktoregoś sprobował,
 Y wtem wygnaniu, y kiedyś krolował.

On teraz o tem nie niemyśli, aby
 Ludzie tak nadzy, y tak bojaźliwi
 Mieli się o to kusić, zna Araby,
 Ze tylko ná łup, y ná zdobycz chciwi.
 Teraz masz nań czas, oboz bárzo słaby
 Y twoi poydą z tobą nie leniwi.
 To mówiąc iad mu w zanadrze miotála,
 Potem się sámá między wiátr wmieszáła.

* * *

Woła Soliman, pochutnywa sobie,
 Ty co mi grzeiesz oziębione żyły:
 Nie człowiekiemeś, ale cię w osobie
 Człowieczey widząc, oczy pobłądziły.
 Prowadz gdzie raczysz, iá idę przy tobie,
 Y ná krew wszystkę ofiaruję siły:
 Ty mi bądź tylko życzliwá, á oczy
 Y szablę moię sprawuy w ciemney nocy.

* * *

To rzekszy, wszystkie rot y w kupę zwodzi,
 Y pięknemi w nich sercá budzi słowy:
 Ochoty pełen kwiat Arabskiey młodzi,
 Grzeie się z głosu swoiey starszey głowy.
 Alekto náprzod przed woyskami chodzi,
 Sámá proporzec wielki niesie nowy:
 A woysko idzie tak spiesźnie, że wieści
 Y wszystkie ludzkie uprzedzá powieści.

* * *

Potem precz bieży, y twarz swoię kryie,
 W owego postać co niesie nowinę:
 Y w Jeruzalem wchodzi kiedy biie
 Po zeszciu słońca ostatnią godzinę.
 Jdźcie, á wszyscy wyciągaia szyć,
 Ona Krolowi nocnego przyczynę
 Naścia ná oboz, więc y czas powiádá,
 Znaki y hasła Arábskie wykládá.

Już noc czarnawe rozwiała włosy,
 Czerwieniało się niebo nie łaskawe:
 A ziemia smętna miasto chłodney rosy,
 Puszczala pary straszliwe y krwawe:
 Z szumem y z wichrem poszły pod niebiosy
 Podziemne dziwy, y larwy plugawe
 Wypuścił Pluton wszystkie ćmy, y mało
 Duchow piekielnych w Abissach zostało.

* * *

Przez tak straszną noc, srogiey pełną grozy,
 Arabowie swe woysko prowadzili:
 A gdy wpułbiegu noc swe lotne wozy
 Tam postawiła skąd się ná dol chyli.
 Pod Chrześciańskie podeszli obozy,
 Mniej ieszcze ponno niżli w cwierci mili.
 Gdzie pokarmiwszy zwycięstwa bezpieczny,
 Tak do nich mówił Soliman waleczny.

* * *

Widźcie woysko zboycow niecnotliwe,
 Ktore złodzieyskie tak wiele Państw zdarło:
 Y iako morze łakome y chciwe,
 Wszystkie Azyey bogactwá pożarło.
 A teraz oto szczęście wam życzliwe
 Ná rześ ie wszystko w ten oboz zawarło:
 W złoto ubrane, y zbroie, y konie
 Wam będą ná łup, nie iem ku obronie.

* * *

Więc nie ci to są, ktorzy zwyciężyli
 Persy, y Turki, co byli tak mężni:
 Po rożnych woynách dawno tych stracili,
 Sami zostawszy słabi, niedołężni.
 Ale choćby też spełná wszyscy byli,
 Tak spia iako drwá, nádzy, niepotężni:
 Łatwie bezzbrojne y pobić ospałe,
 Od snu do śmierci przeszóie bárzo mále.

Puśćcie to ná mię, moje to stáranie,
 Ze przez przekopy wszyscy przejdziem snádnie:
 A wy przy wodzu y swoim Hetmánie
 Biycie pśi narod co te kráie krádnie.
 Dżiśia Azya swobody dostanie,
 Dżiś Chrystusowe Krolestwo upádnie.
 Ták ich zágrzewał, ták iem Tyran tuszył,
 Potem się dálej z woyskiem cicho ruszył.

* * *

A wtem, się w cieniu ludzie ukazáli,
 Ci ktorzy byli wyszli ná posłuchy:
 Zkąd łátwie poznał, ze nie wszyscy spáli,
 Ták iáko o tem miał swoje otuchy.
 Oni wołáiąc wzad ustępowáli,
 Wołaniem wielkiem budząc oboz głuchy.
 Ták że pierwsza straż rozruch usłyszála,
 Y do sprawy się y do broni miała.

* * *

Wraz Arábowie we wszystkie muzyki,
 Uderzą: trąby, surmy głośne gráią,
 Ogromne końskie y człowiecze krzyki,
 Jdą pod niebo y wiátry mieszáią.
 Ryczą przepáści, y gory: lecz ryki
 Strászliwsze dobrze pieklá wypuszczáią.
 A z Flegetontu pochodnią trzymála
 Alekto, którą znak miástu dawała.

* * *

Soliman pędem ná straży przypádnie
 Jeszcze do końca nie dobrze spáwione:
 Nigdy ták ráczo wicher nie wypádnie
 Z ziemie, y wiátry nie ták są szalone.
 Grom kiedy z ogniem y z piorunem spádnie,
 Rzeká co nieśie domy wywálone:
 Ná iego wściekłość, y ná serce śmiáłe,
 Tylko iest iákies podobieństwo máłe.

Nigdy się darmo mieczem nie zamierzy,
 Ledwie go spuści wielkie widać rany:
 A kogo zajmie, y kogo uderzy,
 Leci od dusze zaráz odbieżany.
 A sam nie czuie choć weń każdy mierzy,
 Każdy nań śiecie, choć hełm porąbany
 Brzmi tak iako dzwon, choć skry wylatują
 Od częstych rózow ktore mu doymują.

* * *

A kiedy wszyscy przed niem uciekali,
 Y pierwsze rot y rozgromione gonił:
 Arabowie też w obozy wpadali,
 Y przez przykopy przeszcia nikt nie bronił.
 Już się zwycięzcy z temi pomieszali
 Co uciekali, iuż się każdy chronił.
 Już nieprzyaciół wpadał y w namioty,
 Y krwią płócienne pofarbował płoty.

* * *

Soliman nieśie skrzydlatego smoku
 Z ogromną szyją ná hełmie stalonem:
 Ktory się wspina w zgórę, á po boku
 Bie z obu stron dwoistem ogonem,
 Piane ma w gębie, á iad brzydki w oku,
 Swiszczy ięzykiem wielkiem rostroionem:
 A z Pánem rowno okrutnie się burzy,
 Y dymem z gęby, y płomieniem kurzy.

* * *

Ták się straszliwy zdał między woyskami
 Ná Solimanie wielki smok ognisty:
 Jako więc w ciemną noc z błyskawicami
 Zda się żeglarzom Ocean pienisty.
 Jedni się bią, á drudzy kupami
 Wciąż uciekają, a mrok nieprzejrzysty,
 Y noc w rozruchu wszystko pomieszala,
 Y kryjąc trwogę, trwogi przyczyniała.

Wtem z iedney rot y ktora następiałá,
 Skoczył Włoch ieden przy Tybrze zrodzony:
 Ktore go śiły áni okrociłá
 Praca, áni wiek láty náchylony.
 Piąci miał synow, ktoremi gdzie byłá
 Naysrozsza bitwá, chodził otoczony.
 A z młodu ieszcze wyknęli do zbroie,
 Wczás się ná przyszłe zápráwuiąc boie.

* * *

Zá oycowskiemi y teraz przykłády,
 Ostrzyli ná krew, y sercá, y broni:
 Podźmy (pry) dzieci, tám kędy szkárády
 Pastwi się Tyran, y lud płóchy goni.
 Zaden się nie trwoż, żaden nie bądź blády
 Ze nászych biá, że są w zley toni.
 Mała to sławá, moiá droga młodzi,
 Która bez żadney przewagi przychodzi.

* * *

Ták lwicá sroga Libiyskiey pustyniey
 Dzieci, u ktorych ieszcze zęby mále:
 Mále paznokcie, wywodzi z iáskiniey,
 Y wpráwuié ie w zwierze okazałe.
 A one mátki posłuszne mistrzyniey:
 Wco urodziwszych tylko zęby śmiáłe,
 Biorąc z máćierze przykład, utapiáią,
 A zwierz co mnieyszy imo się puszczáią.

* * *

Szedł zá młodem i dobry óciec syny,
 Y Solimaná wszystká sześć opádli:
 Chcąc go wráz wszyscy wziąć ná rohátyny,
 Ktore mu w boki zobie stronie kładli.
 Ale syn stárszy uprzedził rodzin y,
 Y kiedy brácia z oycem ná niem pádli:
 On rucił oszczep, y z tasakiem spodniem,
 Skoczywszy poden, chciał konia skłóć pod niem.

Lecz iáko kámień niepożytey skály,
Co do puł bokow w morzu wielkiem stoi:
Odpiera deszcze, wiátry, gromy, wáły,
Y Jowiszowych gniewow się nie boi.
Ták ná oszczepy, ná miecze niedbály,
Bespieczny stoi Pogánin w swey zbroi.
Y temu co chćiał dośiáć sztychem brzuchá
Jego koniowi, przeciął łep do ucha.

* * *

Arámánt widząc że brát iego miły,
Już beł ná ziemiń ták srodze ráníony:
Chćiał go wzwieść, ále prozne prace były,
Bo y sam ná niem poległ obálony.
Podćiał mu wszystkie u ráníeniá żyły,
Y ták upadał koniem potrácony.
Jeden ná drugim obádwá konáią,
Obá krew y dech ostatni miészaią.

* * *

Przeciął we śrzodku oszczep u Sabiná,
Ktorem go sięgał zdáleká po oku:
Lecz y ten ranę wziął od pogániná,
Cięty w słábiznę u lewego boku.
Długo się męczył, y niechćiał chudźiná
Wielkiem oporem do wiecznego mroku.
Duszá przedźięki ciála odbiegála,
Y przez gwałt práwie świat zostáwowała.

* * *

Lorenc z Bonfinem ci beli zostáli
Obá bliźniętá, á ták iednákowski:
Ze się rodzicy sámi omyláli,
Y często swemu śmiáli się błędowi.
Ale się teraz bárzo różni stáli,
Bo łep doczystá ućiał Lorencowi,
Tobie (o twárda różnico) Bonfinie,
Z pierśi rościętych krew strumieniem płynie.

Oćiec, nie więcej oćiec (o żałości)
 Strąciwszy wszystkie syny nieszczęśliwy:
 Patrzy na trupy, a żal mu przez kości
 Przeymuie serce wielki przeraźliwy.
 Zaden tak mocney nie widział stąrości,
 Ze żywy został, u mnie wielkie dziwy:
 Y bił się przedsię, ponno z tey przyczyny,
 Ze koniące nie patrzył na syny.

* * *

Więc y życliwe ciemności tak chciły,
 Ze mu część żalu zakryły onego:
 Niechce wniem umysł zwycięstwá wspániáły,
 Gdzieby nie zgubił sam siebie sáмого.
 Zywoťem wzgárdził, o swą krew niedbály,
 Nieprzyiacielá krwi prągnie swoiego:
 Y nie rozeznáć, co chce y co woli.
 Umrzeć, czy zabić, tak go serce boli.

* * *

Záwoła potem: Tákli to wzgárdzona
 Tá moiá ręká, y tákiey słábości:
 Ze wszystką siłą ná cię usádzona,
 Nie może ná mię wzbudzić twey srogości.
 Wtem iá wyniešie, oná wyniešiona
 Spadájąc z gory przecięłá do kości.
 Lewego boku, tak że mu krew z ciála
 Polerowaną zbroię popluskáła.

* * *

Zá oną ráną, zá onem wołaniem
 Obroci się nań Tyran iádowity:
 Przeciął mu zbroię, przeciął puklerz ná niem,
 Choć siedmioráką skorą był okryty.
 Y w brzuchu mu miecz utopił, że zá niem
 Wypádlá duszá pospołu z ielity.
 Mdleie nieborak, a krew ná przemiány
 To z gęby leie, to z ofártey rány.

Jako ná Tátrách dąb nieprzełomiony,
 Ná gniew Jowiszow długi wiek niedbály:
 Gdy go nákoniec wściekle Aquilony
 Wywrocą, wáli zá sobą lás máły.
 Ták y ten poległ, á z oboiey strony
 Kupami trupy ná koło leżały.
 Z taką cny Rycerz umierał ozdoba,
 Ciagnąc ná on świat tak wielu zá sobą.

* * *

Kiedy ták sercá przykładem y krzykiem
 Dodawał swoim Sultan niebłagány:
 Arábowie też zá swem przewodnikiem
 Uciekaiące bili Chrześciány.
 Henryk Angielczyk, z Witem Bawarczykiem
 Legli od srogiey Drágutowey rány:
 Tenże Gilbertá y Aryodená,
 Y Fracá zabił, wszystkich trzech qd Rhená.

* * *

Mechmet Ernestá, Albádzár Ottoná
 Zabił, ten mieczem, ow pierzystą trzcíną:
 Murat ná wylot przebił Andropáná,
 Pod lewą pachę Perską ruhátyną.
 Ale kto może pámietać imioná
 Tych, co ginęli oną mieszaniną?
 Goffred wtem bieżał krzykiem obudzony,
 Zbieraiąc w kupę swoy lud rozsposzony.

* * *

Skoro naypierwsze usłyszał rozruchy,
 Ktorych w obozie coraz przybywało:
 Ták się domysłał, y tey beł otuchy,
 Ze to Arábskie łotrostwo być miało.
 Bo często o niem przychodziły słuchy,
 Ze go po drodze siłą rozbiiało:
 Lecz mniemał, że ták być nie mogli śmieli,
 Aby uderzyć ná obozy mieli.

Bieżąc ná on zgielk słyszy z drugiey strony,
 Ze w lárme, w lárme bią, y wołáią:
 A krzyk ogromny w gorę wynieśiony,
 Y gęste głosy obłoki mieszaia.
 Z Kloryndą to szedł z miastá wyprawiony
 Argánt, ci także srodze nacieráią.
 Trochę się tylko Hetman zástánowi,
 Y tak mężnemu mowi Guelfowi.

* * *

Słyszysz ten okrzyk, y tę nową trwogę,
 Ktora od miastá y gor następuię:
 Idź przeciwko niem, y zaydzi iem drogę,
 Niech nieprzyziacięł wstřęć tám iaki czuie.
 A ia tem czásęm lud Arábki mógę
 Trzymać ná sobie, że się záhámuie:
 Ci ztobą poydą, á idź spiesznie z niemi,
 Ja w inszą stronę, następię z moiemi.

* * *

Jednákie szczęście, iednáki los wiedzie
 Obudwu w on czás, rożnemi drogámi:
 Gwelf przeciw gorom y ku miastu iedzie,
 Hetman się idzie potkác z Arábámi.
 Ale ten co krok, co dzieśięć uiedzie,
 Ludzi mu zewszád przybywa kupámi.
 Ták że iuż możny, y dosyć potężny
 Szedł tám, kędy krew lał Soliman mężny.

* * *

Ták gdy z oyczystych gur wody wywodzi
 Głęboka Wisłá, nie zákrywa brzegu:
 Ale im dálej swych źrzodeł odchodzi,
 Tem hárdsza bieży z gwałtownego biegu.
 Wsi, polá, lásy, bystre rwą powodzi,
 Mosty łamia kry z umárzłego śniegu:
 A sámá morze kilką rogow bodzie,
 Y woynę, nie dań śle Báłtyckiey wodzie.

Goffred tam gdzie się nabárziefy mieszaia,
 Bieży, y daley uchodzić swem broni:
 Y zavraca tych, ktorzy ućiekaią,
 Wiedzie przynaymniey kto was (prawi) goni.
 Ci rany tylko wtył biorą y daią,
 A w samey tylko ufaia pogoni:
 Ale skoro iem twarzy ukażećie,
 Zaráz ućieką, y bić ie będziećie.

* * *

Tam się obraca, y tam ostrogami,
 Rączego konia w oba boki kole:
 Kędy Soliman z swemi Arábami
 Gnał płochę rotę przez szerokie pole.
 Między gęstemi mieczmi, y śmierćiami
 Bieży przez mokre y krwią ściekle role,
 Rwie mocne hufce, a gdzie wodze skłoni,
 Z obu stron lecą Arábowie z koni.

* * *

Przez kupy trupów czasem przeskakuie,
 Tak iako piorun ciśniony z obłoka:
 Soliman wielki następ na się czuie,
 Lecz się nie trwoży, y nie mruży oka:
 Y owszem blisko podeń się szanćuie,
 Y miecz wynosi chcąc go ciąć z wysoká.
 O iako wielcy dway Boháterowie,
 Zeszli się czynić o krew y o zdrowie.

* * *

Stanáła wściekłość przeciwno dzielności,
 O Państwo wielkie bić się w płacu małym:
 Ten pojedynk okrom wątpliwości
 Musiał być wielkim, y srogim, y śmiałym.
 Lecz iż go nocne zakryły ciemności,
 Y ia go piorem minę zapomniałem:
 Był iednak godzien, aby iasne słońce
 Odkryło było światu takie gonce.

Już wzięwszy serce ludźie Chrystusowi,
 Nieprzyjaciółom mężnie odpierali:
 Przy swoim wodzu, y Solimanowi
 Co natárćiwszy wkoło dogrzewáli.
 Nie więcey támci mogli niżli owi,
 Nie więcey támci niż ci przemagáli.
 Jáko ná wadze strony się równaia,
 Ták zabiiiaią, iáko umieráia.

* * *

Jáko gdy Auster ná powietrznem dworze
 Z gniewliwem stoi Aquilonem w zwádzie:
 Nie zložą sobie, á niebo y morze
 Obłok ná obłok, y wał ná wał kładzie.
 Ták y tám żadna stroná w oney porze
 Nie przemagála w Marsowem zakládzie.
 Miecze ná miecze, y konie ná konie,
 Obiedwie równo zastáwuią stronie.

* * *

Lecz niemnieysza się bitwá zaczęła,
 Y niemniey krwáwa dáley w drugiey stronie:
 CmA niezliczona w chmurách się wieszáła
 Duchow piekielnych, swoim ku obronie.
 Tá serc Pogáństwu y sił dodawála,
 Ktore iuż beło w obozowey bronie,
 Alekto ogniem swem Argántá sięga,
 Choć iego własny dosyé go užega.

* * *

On iáko wściekły, srogi, y surowy,
 Ná straży poszedł, y przez przykop skoczył:
 Y drugim przezeń przeiazd dał gotowy,
 Y gęstemi go trupami nátłoczył.
 Szańce poznościł, powypelniał rowy,
 Y krwią swych Pánów namioty pomoczył.
 Kloryndá z niem wraz, álbo trochę zá niem
 Szła, urážona onem uprzedzániem.

Już Chrześciance wszędzie uciekali,
 Kiedy Gwelf przypadł z pośiłki świeżemi:
 Za iego przysciem twarzy obracali,
 Y mężnie znowu potkali się z niemi.
 A kiedy się tak z sobą pomięszali,
 A krew z obu stron płynęła po ziemi.
 Stworzyciel światá święte oczy swoje
 Obrocił w on czas na surowe boie.

* * *

Płaszczem odziany chwały y wieczności,
 Máiąc wszystkie swe stworzenia ná pieczy:
 Siedział ná thronie swojej wielmożności,
 Kędy zmysł nigdy nie dojdzie człowieczy.
 Trzy światła w iedney świeciły światłości,
 (O niepoięte rozumowi rzeczy)
 Naturá, wrog, czas, beli pod nogami,
 Y wieczne rucho z inszemi sługami.

* * *

Pod Máiestatem bogini siedziała,
 Ktora bogáctwá y złoto ma w mocy:
 Y świecką chwałę: á iáko kazála
 Wieczna myśl, tak swem kołowrotem toczy.
 Táka go chwałá y iásność odziała,
 Ze y godnieyszych bláskiem się ómiały oczy.
 Cmy nieśmiertelne okryte iásnością
 Nierownie równą cieszą się radością.

* * *

Muzyká wdzięczna świętych pieśni brzmiała,
 Ktorą Mistrz y dźwięk niepoięty stroi:
 Ztamtąd Świętego zawałał Michála,
 Ktory stał przed niem w płomienistej zbroi.
 Nie widzisz (práwi) co to podziałała,
 Y co y teraz ómá piekielna broi.
 Moy lud wybrány trapi, y swe siły
 Wszystkie nań práwie piekła obrociły.

Jdźże, á mow iey, że nie iey należy
 Woyny prowadzić, od tego Hetmáni:
 Niechże mi więcey ná świećcie nie leży,
 Niech tu nie rządzi, niech tu nie hetmáni,
 Niech nie zaráża powietrza, niech bieży
 Do swych Abissow, do swoich odchłani
 Ná wieczne męki, y wieczne karanie,
 Ták chcę, y to iest moje roskazanie.

* * *

Sklonił się nisko Anyoł, y ochoty
 Pelen, ták rączo niośł piorá pierzchliwe:
 Ze myśli ludzkiey niedościgłe loty,
 Z niem porównáne, zwąć może leniwe.
 Wprzod Empireyski przeszedł pałac złoty,
 Tam kędy dusze mieszkáią szczęśliwe.
 Więc kryształowe, więc gdzie iásne koło,
 Gwiazdami wite obraca się wkoło.

* * *

Potem przechodził Spherámi rożnemi,
 Wprzod Saturnową, potem Jowiszową:
 Ktore Anyeli rękámi własnemi
 Spráwuia, choć ie ludzie błędne zową.
 Ztamtąd się puścił polmi przestronemi,
 Gdzie się grom rodzi, y śnieg z wodą dżdżową.
 Gdzie świat sam siebie żywi y pożera,
 Y w swey się zwádzie rodzi, y umiera.

* * *

Odganiał Anyoł złotemi skrzydłámi
 Plugáwe chmury, y czarne ciemności:
 A noc swoy wárkocz plećiony gwiazdami
 Już odkrywałá, z Aneylskiey światłości.
 W tákiey więc słońce między obłokámi,
 Po niepogodzie wychodzi iasności.
 Ták piękna gwiazdá po długiem ogonie
 Upada, wielkiey máćierzy ná łonie.

A kiedy przyszedł, gdzie piekielne ony
 Lárwy, z Pogánstwem mieszały lud Boży:
 Ná wyciągnionych skrzydłach zawieszony,
 Taką ie mową y oszczepem trwoży.
 To wiećie dobrze, iákíe nieskończony
 Pan gromy ćiska, iákíe iego grozy:
 O źli uporni chocia w męce wieczney,
 O hárdzi, chocia w nędzy ostáteczney.

* * *

To wyrok iego, że krzyż święty stanie
 W Jerozolimie z iego możney ręki:
 Coż po tych burzách? w kim macie ufanie?
 Ze mu się chcećie przeciwić przezdzęki.
 Jdźcie przekłęci ná wieczne karanie,
 Ná wieczny ogien, y ná wieczne męki.
 Tám w Acheronćie swych wojen pilnuyćie,
 Y iáko chcećie tám z nich triumphuyćie.

* * *

Tám się wy sroźćie, y tám swoich wśćiekli
 Sił dokázuyćie, pod ognistem sklepem:
 Tám złe będziećie dusze biczmi śiekli,
 Tám ogniem palić w swem więzieniu ślepem.
 Mało co dbáiąc, leniwo się wlekli,
 Aż ná nie Anyoł uderzył oszczepem:
 Dopiero pędem wielkiem ućiekáły
 Piekielne lárwy, y świat opuszczáły.

* * *

Y do Abissow prosto polecieli
 Nieprzyiaćiele wieczni ludzkiey duszy:
 W takiej gromádzie nigdy nie lećieli
 Ptacy zá morze, iáko te pokusy.
 Nigdyście liścia tyle nie widzieli,
 Kiedy ie ieśień y pierwszy mroz ruszy.
 A skoro poszły one szpetne lárwy,
 Swiát się wyiásnił, y był piękney bárwy.

Ale nieprzeto Cyrkászczyk słábieie,
 Albo mniejszego serca być poczyňa:
 Choć go pochodnią Alekto nie grzeie,
 Choć go piekielnem biczem nie zácina.
 W naygęstsze hufce wpada y krew leie,
 Kto się nawinie, śiecie, wáli, ścina.
 Chude pácholki z bogatemi Pany,
 Porownywaiać Tyran niebłagány.

* * *

Lecz y Kloryndá w ten czas Argántowi
 Męstwem y sercem náprzód nic nie dáła:
 Trafiła mieczem Berlingierowi
 Właśnie w puł serca gdzie duszá mieszkála:
 A tak go pchnęła, że nieborakowi
 Koniec broń wściekła tyłem ukazała.
 Albin przez szyszak uderzony w kręgi,
 Spadł z koniá, tak raz od niey bywał tęgi.

* * *

Ciągnął łuk Rykárd, y chciał iá oślepić,
 Lecz mu ucięła rękę: Tá ná ziemi
 Wpoł żywa, chce się niebogá pokrzepić,
 Y trzyma przedsię łuk pálcy drżącemi.
 Tak więc wąż ogon ucięty chce zlepnić,
 Ale daremnie z członkami inszemi.
 Nie czyniła nic więcej Rykárdowi,
 Ale skoczyła ku Gernierowi.

* * *

Tego zaś w szyię miecz nielitościwy,
 Miecz nieuchronny Kloryndżin ugodził:
 Spadł mu łep z krtaniem przeciętem nie żywy,
 Y w piasku ze krwią pomieszánem brodził.
 A tułow martwy długo (iákie dżiwy)
 Siodła się trzymał, y koń pod niem chodził:
 Y nierychło go z siebie zbył wirzganiem
 Czuiąc że słaby ieżdżiec siedział ná niem.

Kiedy tak mężna Boháterká bilá
Swem ostrem mieczem płoché Chrześciány:
Niemniey po długiem obozie gromilá,
Cna Gildylippa y siekła Pogány.
Jednáż plec w obu, iednáż byłá śilá,
Jednakie serce, y máley odmiány:
Lecz się nie zeszły z sobą w tey potrzebie,
Jnáczey o nich przeyrzano ná niebie.

* * *

Tá z tey, á owá z drugiey także strony
Gwałtem przełomić hufiec gęsty chciała:
A wtem Gwelf przypadł, gdzie iuż náchylony
Mężna Klorynda lud przed sobą gnała:
Y z gury ná nię ciął niepostrzeżony,
Y kęs z piękneho krwi wytoczył ciála.
Ale mu sztychem oddála zarázem,
Między żebrami pod świetnem żelazem.

* * *

Wyniosł się znowu, lecz niespodziewaną
Przygodą, podpadł Ośmid z Pálestyny:
Y tak nie sobie należącą rana
Zábity, z gęby plwał zkrwáwione śliny.
A wtem do Gwelfá gromádą zebraną
Jego lud bieżał z oney mieszaniny.
Kloryndzie także ludzie przybywáli,
Záczem się zsobą znowu pomieszáli.

* * *

Już ná świat niosła iutrzenká świt rány,
Y noc iásnemu dniowi uchodziła:
Kiedy Argillán wyszedł, rozwiązány
Z woley Hetmáńskiey, która ná to była,
Y zprętká w zbroię niepewną ubrany,
Lub złą, lub dobrą, iáka się trafiła:
Bieżał zelżony żywot ná szanć stáwić,
Y błędow przeszłych przewagą popráwić.

Jako koń w Pańskiej stajni urodziwy,
 Ktorego tylko do woyny chowaią:
 Kiedy się urwie bieży niewściagliwy
 Na łąki, albo gdzie stada pasaią.
 Wyniosłem karkiem trześie, a u grzywy
 Plecione kosy, z wiatrami igraią:
 Piasek kopyty w prętkim biegu ćiska,
 Y rze ogromnie, y nozdrzami pryska.

* * *

Tak szedł Argillán, tak miecz ostry toczył,
 A twarz mu gniewem y oczy pały:
 A tak biegł rąco, że stopy nie tłoczył,
 Y piaski śladu żadnego nie miały.
 Między najgęstszy huf Arabski skoczył,
 Wołając głosem odważony śmiały:
 O rozboynicy, skąd wam tey dostaie
 Teraz śmiałości, y kto ią wam daie?

* * *

Nie wasze dzieło ubierać we zbroie
 Zupełne ciała, bo ich nie wytrwacie:
 Wy nádzy, mární, wiatrom tylko swoje
 Strzały, a żywot nogom polecaćie.
 Nie są po waszem plecu dzienne boie,
 Bo wy tylko w noc y w cienie ufacie.
 Ale iako to teraz świat odkryły,
 Trzebá zdolniejszey y zbroie, y siły.

* * *

To mówiąc ieszcze, dał Algádzelowi
 Taki ciężki raz, y ranę takową:
 Ze wten czas właśnie gdy Argillánowi
 Chciał odpowiedzieć, uciął mu krtan z mową.
 Zaráz wieczny mroz wpadł Arabinowi
 W serce, y w pierśi biie martwą głową:
 Y czołem w ziemię, a u zbladłej gęby,
 Kasaia piasek potętwiałe zęby.

Po Algadzeli zabił Sáládyná,
 Muleaszowi zadał ranę srogą:
 Ściął Agrykáltá, y Aryádyná
 Wyprawił iednąż zá inszemi drogą.
 Kiedy rannego obálił Grádyná,
 Przeganiał z niego, y deptał go nogą.
 Podnieście Grádyn oczu y mdley głowy,
 Do Argilláná mowiąc temi słowy.

* * *

Y ty nie długo z śmierci y mey męki
 Cieszyć się będziesz, y tobie przeyrzały
 Niebá śmierć prędką od mężnieyszey ręki,
 Coś to teraz tak durny y zuchwały.
 On zaś: Ty umrzy tem cząsem przedzięki,
 Co to wiesz comi niebá obiecały:
 Y karm twem ścierwem głodne psy y kruki,
 Wtem weń miecz wraził zá one náuki.

* * *

Między strzelcami Solimanowemi,
 Jego kochány był piękney urody
 Jeden młodzieńczyk, á ieszcze ostremi
 Włosami gładkiey nie okrywał brody.
 Y ledwie kwiáty dopiero pierwszemi,
 Y mchem mu były porosły iągody:
 Włos zániedbány przydawał wdzięczności,
 Y twarz przy męskiey piękna surowości.

* * *

Koń miał pod sobą podobny do śniegu,
 Który dopiero spadł ná doł z obłoku:
 A tak był żártki, że takiego biegu
 Wiátrzy nie miały, y takiego skoku.
 Trzcinę wpoł trzymał złoćistą po brzegu,
 Szablę oprawną zawiesił u boku.
 Z cienkiey bawełny zawoy miał ná głowie,
 Sám był w miesiące tkánem złotogłowie.

Gdy tak młodzieńczyk sławą uwiedziony,
 W srogięgo Marsa dzieło się wprawował:
 Y gęste rotę, y lud potrwożony
 Mieszał, y śmieie wszędzie następował.
 Chytry Argillán zachodząc go z strony,
 Nieostrożnego iakoś upilnował.
 Konią pod niem skłół, że ledwie ná nogi
 Wstał, á on iuż miecz nád niem trzymał srogi.

* * *

W sámej miał tylko nadzieię litości,
 Ręce do niego złożone obrocił:
 Lecz w okrutniku kwiát piękney młodości,
 Zátwardziáłego sercá nie okrocił.
 Ciał nań, ále miecz więtszey beł ludzkości,
 Y żałując go, plązą się wywrocił.
 Coż potem? znowu ządał mu sztych srogi,
 Y miecz przezdźwięki musiał iść w swe drogi.

* * *

Soliman z ktorem poblizu straszliwy,
 On pojedynek Goffred odprawował:
 Widząc że iego Lezbin nieszczęśliwy
 Beł w złem rázie, on plác zostáwował:
 Y z wielkiem pędem bieżał zápálczywy,
 Lecz tylko pomstę nie pomoc gotował:
 Bo iuż ná ziemi iako kwiát rozwity
 Podcięty pługiem, Lezbin beł zábity.

* * *

Oczy zemdlone zniénaglá konáły,
 Szyiá się ná grzbiet wywrocona kładłá:
 Ale choć w śmierci wdzięczność wydawały,
 Y twarz mu piękną iakás bárwą bládłá.
 Pierśi kamienne w Sultanie zmiękczały,
 Nie iedná mu łzá w puł gniewu wypádlá.
 Ty Solimanie płaczesz? cóś swojego
 Páństwa nie plákał wszczát zepsowanego.

A widząc że krwią świeżą Lezbinową
Nieprzyjaćielskie żelazo kurzyło:
Płacz ścisnął w piersiach, a serce surową
Wygnawszy żalność, gniewem się burzyło.
Ciął Argillanę tak bardo, że z głową
Żelazo, szyszak, y tarcz przepędziło.
On tak wielki raz, y tak wielka raną,
Mężnego belą godną Solimaną.

* * *

Máło miał ná tem, ále między kości
Pcha nie żywego mieczem pomsty chciwem:
Jáko pies wściekły od nieznanych gości
Ciśniony kamień, kłem kąsa gniewliwem.
O niepotrzebna poćiecho w żalności,
Mścić się nád ziemią y trupem nieżywem.
Ale tem czássem Goffred nie proznował,
Y na Aráby śmieie następował.

* * *

Pod tyśiąc Turkow beło z paizami,
Wszyscy we zbroiach, y wszyscy ćwiczeni:
Serdeczni, mężni, rożnemi woynami,
W rożnych potrzebách nie raz doświadczeni.
Między stáremi beli żołnierzami,
U Solimaná z dawnych lat liczeni:
Y zá niem w iego nieszczęściu szli wszędy,
W Arábskie polá, y w ćierpliwe błędy.

* * *

Ci się rozerwác swojemu nie dáli
Hufcowi, pewni nie ustápić kroku:
Wpadł Goffred ná nie, y wprzod Korkutowi
Po ielcá w lewem miecz utopił boku.
W łeb Rossánowi, ale Selimowi
Zádał raz ciężty tuż przy sámem oku.
Zabił Muratá ktory iem hetmánił,
Jnszych moc zabił, y srodze poránił.

Kiedy tak długo mieszániną oná
 Między Pogány y naszymi trwála:
 Y ieszcze namniey Sárráceńská stroná
 Nienáchylona mocno się trzymála.
 Z daleká chmurá z gęstego złożona
 Prochu, nagle się stroną ukazała:
 Potem z niey zbroie y miecze błysnęły,
 Y sercá Turkom dopiero odięły.

* * *

Pięćdziesiąt mężnych wielkich naieżników
 Z chorągwią białą, z krzyżem złotem biegło:
 Choćiabym sto gąb, y sto miał ięzykow,
 By się sto głosow do nich także zbiegło:
 Nie wyliczyłbych od tych woioownikow
 Pobitych Pogan, tak ich wiele legło.
 Zbity Arábin, y nieźwyciężony
 Turczyn po części iuż był przełomiony.

* * *

Strách, smętek, boiaźń, twogá żáłościwa,
 Co raz to więtsza wszędzie się szerzyła:
 A śmierć okrutna y Nielutościwa
 We krwi śmiertelną kosę swą moczyła.
 Krol też czuiąc iuż, że się ukwápliwa
 Oná wyćieczká nie dobrze zdárzyła:
 Z ludem przed miásto wyszedł, y pod mury
 Ná wąpliwy boy z swemi pátrzał z gury.

* * *

A skoro uyrzał, że się Arábowie
 Pospołu z Turki bárzo náchylili:
 Gęste stał posły, áby lud wodzowie
 Argánt z Kloryndą zaráz uwodźili.
 Ale choć do nich wskázował surowie,
 Krwią opoieni długo się bawili:
 Acz náostátek ustąpić musieli,
 Y ludzie sprawą swe uwodźić chcieli.

Ale kto prawą na boiaźń stánowi?
 Kto strách przywiedzie do dobrego końca?
 Tarcze y zbroie miecą chcąc być zdrowi,
 Miecz teraz wádźi, co wprzod był obrońcá.
 Pod miástem wielka przeciw południowi
 Doliná leży od zachodu słońcá:
 Przez tę Pogáństwo náзад ućiekáło,
 A proch przed sobą gęstą chmurą gnáło.

* * *

Kiedy pochyło na doł ućiekáli,
 Srodze ie nászy śiekli y pędzili:
 Lecz kiedy zdołu w gurę się událi,
 Gdzie świeży ludźie na pośiłku beli,
 Niechćiał Gwelf áby w gorę nácierali,
 Y kazał, áby dálej nie golini.
 Ták swe stánowił hufce zágonione,
 A Krol też swoje zbierał rozproszone.

* * *

Tem czásem Sultán czynił, co człowiecze
 Y co te ziemskie czynić mogły siły:
 Więcey nie może, pot z krwią z niego ćiecie,
 Bokámi robi, y thnie w oney chwili.
 Już ręką słábo y leniwo śiecie,
 Tarczey mu dźwignąć mdle nie mogą żyły,
 Miecz nie tnie, ále tłucze iáko stępy,
 Ták ostrze strácił, y ták został tępy.

* * *

A widząc iuż swą przegráną, na obie
 Stronie rozbierał swoy umysł wátpliwy:
 Jeśli swą ręką śmierć miał zádąć sobie,
 Zeby go ięzyk nie szczypał dotkliwy.
 Czyli stráciwszy woysko w oney dobie,
 Záchować cáło żywot nieszczęśliwy.
 Nákoniec rzecze: Niech niebá wygráią,
 Niech swe tryumphy z mey sromoty máią.

Niechay moy widzą tył nieprzyjaćiele,
Niech znowu pątrzą ná moje wygnanie:
Byle widzieli kiedy znowu śmieie
Będę ich słabe mieszał pánowanie:
Nie ustąpię iem, poki duszą w ćiele,
Pámieć moich krzywd wiecznie nie ustanie.
Y nieprzyjaćiel sroższy się iem wrocę,
Choćia się w popioł y w ziemię obrocę.

KONIEC PIESNI DZIEWIĄTEY.

PIESN DZIESIĄTA.

ARGUMENT.

Ukazuje się Jzmem Sultanowi,
Od ktorego był w miasto wprowadzony:
Ten znowu sercá dodaie Krolowi,
Co iuż o sobie wątpił z káždey strony.
Swe powiádaią błędy Goffredowi
Jego Rycerze: Rynáld umorzony,
Z ich się po wieści żyw y zdrow náyduie,
A Piotr o iego dziełách prorokuie.

To mówiąc ieszcze blisko siebie zoczył,
Ze koń ku niemu bieżał obłąkány:
Poimawszy go, zarázem nań wskoczył,
Choćia y ranny y był sprácowány.
Helm ná niem pierzem ogromnem nie toczył,
Y kity pozbeł, wszystek porąbány:
Zwierzchnią dołomę, którą miał ná zbroi,
Pokłoto ná niem, że zá nic nie stoi.

* * *

Jáko uchodźi szczwány od obory
Y kryie się wilk z okrzykiem pędzony:
A choć w brzuch głodny włożył obrok spory,
Y choć się ledwie wlecze obkarmiony:
Przedsię ná gębie znać dawne przemory,
Ssie krew, y ięzyk trzyma wywieszony.
Ták y on wten czás szedł po onem boiu,
Od głodow krwawych nie máiąc pokoju.

Przez gęste hufce, przez nieprzyjaciele,
 Szczęście go iego bezpiecznie uwodzi:
 Leć, strzał, mieczow, y grotow tak wiele,
 On przecię zdrowy ná koniec przechodzi.
 Y tak nieznány w drogę idzie śmiele,
 Gościniec miia, ścieszkami uchodzi.
 A rozbierając swe przygody sobie,
 Rożny brał przed się rozmyśl w oney dobie.

* * *

Y námyślił się potem ku końcowi,
 Do Egiptu się udąć bogatego:
 Y przyszley woyny pomagać Krolowi,
 Y znowu skuć Marsá surowego.
 Tak umyśliwszy prosto ku Nyłowi
 Puścił się, wodzá niemając żadnego:
 Wiądom drog, y sam trafi do piaszczystych
 Pol stárodawney Gázy nieprzezyrstych.

* * *

A choć się w bitwie bárzo był zmordował,
 Choćia go rány okrutnie bolały:
 Zbroie y hełmu z siebie nie zdyimował,
 Ale w niey iechał wszystek on dzień cały.
 A kiedy Phebus iásny ustępował,
 Y chmury nocne, światło wyganiały:
 Rány powiāzał, y potem po kęsie
 Owocu z pálmy ręką chorą trzęsie.

* * *

Tám nákarmiony dáktyle onemi,
 Radby się przespał, rádby się położył:
 Y tak ná trawie, y ná goley ziemi
 Układł się, á tarcz w głowy sobie włożył.
 Lecz zá ránami osurowiałemi
 Bol mu doymował, bol się bárzo srożył.
 Do tego wnętrzni gryzli go sępowie,
 Zal y gniew w sercu, y w strapionej głowie.

A gdy już było cicho z każdej strony,
 Y noc się była dobrze nąchyliła:
 Przykre kłopoty trudem zwyciężony,
 Y troskę uspił która go trapiła.
 Mdły iednak był sen, którego zasłony
 Y oko y myśl błędna przechodziła:
 Atoli usnął, y usnąwszy nowy
 Dźwięk mu taki brzmiał głośny koło głowy.

* * *

Spisz Solimanie twárdo, y nie czuiesz,
 Náspisz się czasu inszego do woley:
 O tem nie myślisz, ani się frásujesz,
 Ze twoiá dotąd oyczyzná w niewoley.
 Y bez pogrzebu swego zostáuujesz
 Ciála Rycerstwá leżące po roley:
 Y czekasz tu dnia, gdzie tak gęste szlaki,
 Y tak świeże są twej sromoty znaki.

* * *

Ocknął się ze snu Soliman słabego,
 Y przebudzony mdle otworzył oczy:
 Y uyrzał kogoś przed sobą stárego,
 Który o lasce, nie o swej stał mocy:
 Y z gniewem rzecze do stárcá onego,
 A tyś kto? co (pry) ludzie budzisz w nocy,
 Skąd to? że mię masz ná tak pilney pieczy,
 Coć do sromoty, y do moich rzeczy.

* * *

Odpowie stárzec ná onó łáńanie,
 Mnie twoie myśli dały wiedzieć niebá:
 A iż o tobie dawno mam stáranie,
 Twa mię tu włásna zágnała potrzebá.
 A nie gnieway się ná mię o to Pánie,
 Zemci przymowił, czasem tego trzebá.
 Bo się tem często w sercách wielkich ludzi
 Chciwość do męstwá y do słáwy budzi.

A wiedząc, że chcesz do Egiptu iechać,
 Miei nieomylną przestrogę ode mnie:
 Zeć lepiej teraz drogi tey zaniechać,
 Bobyś się tylko zatlukł tam daremnie.
 Bo Krol Egipski wrychle chce wyiechać,
 Albo iuż w drodze, a tybyś nikczemnie
 Czas strawił, y nam twoieby się śily
 Przy niem pod ten czas mało przygodziły.

* * *

Ale ieśli chcesz, ia temu poradzę,
 Ze cię w dzień biały bez wszelkiej trudności:
 Do Jeruzalem bezpiecznie wprowadzę,
 Ná większą sławę okrom wątpliwości.
 Ná ktorem miejscu skoro cię posadzę,
 Już miasto będzie w twoiey opatrności
 Obrony pewne, dokąd naszych rzeczy
 Krolá z Egiptu nie wesprą odśieczy.

* * *

Kiedy tak oney pilnie słuchał mowy
 Hárdy Solimán, bárzo się dziwował:
 Y zaráz z twarzy złożył gniew surowy,
 A stárcowi się pilnie przypátrował.
 Potem mu tak rzekł: Jam oycze gotowy,
 Wiedz gdzie chcesz, ia cię będę náśládował.
 Mnie się tá ráda zázždy uda přęcey,
 Gdzie niebezpieczeństw y trudow iest więcej.

* * *

Chwali go stárzec: A iż náziebione
 Z wiátru bol wielki rány mu czyniły:
 Wodką od niego pewną zákropione,
 Skorą zákryte, zaráz się goiły.
 Już też Apollo swe wozy złocone
 Ná świat gotował, y zorze schodziły.
 Czas (práwi) iechać, iuż drogi odkrywa
 Słońce, y ludzi do zwykłych prac wzywa.

Y ná woz ktory czekał go przystoynie,
 Wziął podle siebie Solimaná potem:
 Y długie lece trzymáiąc ná łonie,
 Poganiał biczem zawodniki złotem.
 Ták ráczo biegły nieścignione konie,
 Ze mogły zrownąć z prętkich orłow lotem.
 Tchnęły od biegu, y dymem kurzyły,
 A posrebrzone wędzidlá pieniały.

* * *

Śluchayćiesz cudu: Wiátr lekki skupiony
 Obłokiem stánał z wielkiem podziwieniem:
 Y woz z oboiey okrył wkoło strony,
 Ze go nie mogło oko prześć promieniem.
 Y ták był mocno y gęsto ściśniony,
 Zeby go z proce nie przebił kámieniem.
 Tylko sámi dwáy obłok iáko trzebá
 Widzieli w koło, y pogodne niebá.

* * *

Skrzywi brwi Sultán, y námarszczy czołá,
 Y wozowi się pilnie przypátruie:
 Ze po powietrzu nieścignione kołá
 Lecz w obłoku, bárzo się dziwuie.
 Stárzec uyrzawszy że Soliman zgołá
 Z onego dziwu ledwie się co czuie,
 Traćił go, y słow kilká mu powiedział,
 Wezdrgnął się Sultán, y ták odpowiedział.

* * *

O ktory gdzie chcesz przyrodzenie wodzisz,
 Y cudá czynisz nieznáne od wieká:
 Y iáko widzę w skrytych się przechodzisz
 Gmáchách táiemnych myśli u człowieká.
 Proszę cię, ieśli rozumem dochodzisz,
 Y przyszłe rzeczy przegłádasz zdáléká:
 Powiedz co niebá Azyey przeyrzáły,
 Jáki te woyny koniec będą miáły.

Ale niech pierwey wiem iako cię zową,
 Y iako cudá czynisz tak foremnie:
 Bo iako się mam sprawić twoią mową,
 Jeśli nie wyndzie tá ztrętwiałość zemnie.
 Rozśmiał się stárzec, y zátřząsnął głową,
 Jedney (pry) rzeczy dowiesz się odemnie.
 Jam Jzmen: Magiem swoim mię ięzykiem
 Syrowie zową wy Czárnoksiężnikiem.

* * *

Ale żebym miał odkryć to co będzie,
 Y tak rozumiesz, że to wiedzieć snádnie:
 Niechćiey być w takim Solimanie błędzie,
 Bo tego człowiek śmiertelny nie zgadnie.
 Zaden tem swoich kłopotow nie zbędzie,
 Rátuy się każdy, ieśli co przypádnie.
 Bo często człowiek swego ná tey probie
 Szczęścia iest mistrzem, y robi ie sobie.

* * *

A ty ná ognie y miecze prawicę
 Niezwyciężoną teraz chćiey záchowác:
 Ktorey nie tylko obronić stolicę,
 Do ktorey myśli srogi lud szturmowác:
 Ale nie trudno przeszedzsy granicę
 Trząsnąć Europą, y onę zwoiowác.
 Ja dobrze tuszę, ty śniey: á ia co wiem,
 Y co iakoby przez mgłę widzę, powiem.

* * *

Nim stokroć koły rok zbieży lotnemi,
 Będzie mąż ieden w Azyey pánował:
 Ktory ią dzieły ozdobi wielkimi,
 Y wplódnem będzie Egipćie krolował.
 Y w pokoiu rząd uczyni w swey ziemi,
 Kiedy się zdárzy że będzie proznował:
 Y kiedy wytchnie od wojenney chwile,
 Ten Chrześciańskiey cieszki będzie siłe.

Y źle nabyte państwo, y krążiony
 Łup gwałtem wydrze mocą swojęj broni:
 Tak, że ostátkow wodą otoczony
 Wysep, y morze ledwie mu obroni.
 Ten ze krwie twojęj ma być urodzony,
 Soliman ná to wzrok wesoły skłoni.
 Szczęśliwy (prawi) że mu to gotuie
 Niebo, część zayrzy á część się ráduie.

* * *

Dołożył tego. Niech się szczęście stawi,
 Lub źle, lub dobrze, ná mnie nie utyje:
 Moie mię serce y tá ręká sprawi
 Niezwyciężonem poki duszą żyje.
 Pierwey swoy zwykły mieściąc bieg zostawi,
 Pierwey go chybi niżli mię pożyje.
 To mowiąc wszystek aż do sámych kości,
 Płomieniem spłonał ognistey śmiałości.

* * *

Tak rozmawiając, przyšli lotnem wozem,
 Nád Chrześciańskie prawie stánowiská:
 Gdzie pełne trupow pod sámem obozem
 Polá widzieli, y poboiowiská,
 Zmartwiał od żalu, ciężkiem tkniony mrozem,
 Ná gęste trupy Sułtan pátrząc zbliská.
 Y ná leżące swoie między niemi,
 Przedtem tak strázsne chorągwie po ziemi.

* * *

A twarz y pierśi zwyciężce deptáli
 Jego Rycerzow, ktorzy w bitwie legli:
 Y nieszczęśliwe trupy odzieráli,
 A rożni ná łup zewsząd ludzie biegli.
 Drudzy znáimych przyacioł chowáli,
 Y ciała miłych towarzyszow grzebli.
 Drudzy ná kupy Aráby włoczyli,
 Y iednem ogniem z Turki ie palili.

Westchnął Soliman, y miecz iak szalony
 Porwał, y z wozu skoczyć się gotował,
 Ale nań krzyknął czarownik uczony,
 Y wielkiem gwałtem ledwie go hámował.
 A skoro uśiadł, woz niedościgniony,
 Jzmen do gury co wyższey kierował:
 Y tak szli chwilę kołami lotnemi,
 Aż Chrześciański oboz był za niemi.

* * *

Potem wysiedli obá z wozu, ktory
 Niewiedzieć iako zniknął ich wzrokowi:
 Y kryci płaszczem niewidomey chmury,
 Szli ku wielkiemu pieszo Syonowi.
 A kiedy przyszedli do schodzistej gury,
 Tam gdzie obraca tył ku zachodowi:
 Już nie szedł więcej Czárnoksiężnik, ále
 Zastánowił się przy niewstępnay skále.

* * *

Tam miał iáskinią wielką kámién żywy,
 Ktorą wykował Krol ieden bogáty:
 Weszcie w nią gęste zákryły pokrzywy,
 Bo tam dawnemi nie chodzono láty.
 Odrzuci źielsko Jzmen ukwáplivy,
 Y ukasáney zátknie zá pás száty:
 Y iedną ręką máca gdzie co wádzi,
 A drugą Krolá mężnego prowadzi.

* * *

Rzecz mu Sultán: A to co zá drogi?
 Krásć mię gdzieś wiedziesz tem podziemnem piecem:
 Byś był dopuścił inszą bez tey trwogi,
 Mogłem ią sobie uczynić tem mieczem.
 On ná to: Godna tá drogá twej nogi,
 Zdawnych lat śládem nie bitá człowiczem.
 Ktorą Krol Herod chodził z swemi Pány,
 On Krol tak wielki, y tak záowołany.

Ten ią wykował, gdy mu wszystkie zgoła
 Wierzgnęły były co przednieysze domy:
 Y aż od wieże którą od Sokolą,
 Sokolą zwano, przez ten doł kryiomy:
 Do zbyt dawnego iednego kościoła,
 Często kiedy chciał chodził niewidomy.
 Tędy lud zbroyny do miastá przywodził,
 Tędy sam z niego zá mury wychodził.

* * *

Ale ná świecie żaden człowiek żywy
 Niewie tey drogi, okrom mnie sáмого:
 Tędy doydzimy, tám kędy wątpliwy
 Krol rády zbiera do pałacu swego.
 Ktory niż trzebá więcey boiaźliwy,
 Trwoży się bárzo z nieszczęścia przeszłego.
 Tyś ná czás przyszedł, ále wytrway mało,
 Y milcz, aż kiedy mnie się będzie zdało.

* * *

Skoro to wyrzekł, pierwszy zamysł mieni,
 Y w ciemną iámę wielki Sułtan wchodzi:
 On go omácznie mrokiem gęstych ćieni,
 Wziąwszy zá rękę po świadomiu wodzi.
 Pierwey zgárbieni y szli pochyleni,
 Ale iáskinia co raz się rozwodzi:
 Ze potem łatwie doszli połowice,
 Y wolno idąc podziemney ciemnice.

* * *

Wtem drzwi uchylił odiąwszy zapory,
 Y wiodł go Jzmen po niezwykłym wschodzie:
 Gdzie świecił promień mały y niespory,
 Spadając z gury spará w cienkiem schodzie.
 Tám zkoncá iámy wyszedł Sułtan skory,
 Y z przewodnikiem ná wysokiem grodzie:
 Stánał ná sali, gdzie ná świetnem thronie
 Siedział Krol w złotem płaszczu, y w koronie.

Z obłoku patrzą oni dwáy mężowie,
 A ich (iáki cud) wszyscy nie widzieli:
 Oni zaś wszystko, y słowo po słowie
 Ták iako trzebá obádwá słyszeli.
 Krol naprzod poczał: Záprawdę synowie,
 Dzieńieśmy wczorá nieszczęśliwy mieli:
 Ten nam powątlil y pomięszał rzeczy,
 Sáma nádzieia w Egipskiey odśieczy.

* * *

Ale widziéie co się z námi dzieie,
 Wtak niebezpiecznem, y wtak krotkiem czešie:
 Egipskie bárzo daleko nádzieie,
 Przeto niech káždy rádę ná to niešie.
 Wtem szmer cichy wstał, iáko kiedy wieie
 Wolny wiátr, y szum w gęstem czyni lešie:
 Ale szmer ućichł, kiedy wstawszy z láwy
 Cyrkászczyk poczał mówić do tey sprawy.

* * *

Záwždy, o Krolu, są odmienne niebá,
 Y szczęście roźnie koło swe prowadzi:
 Lecz o to pytasz, ná co nie potrzebá
 Nászego zdánia, żaden tu nie rádzi.
 W sámych nam sobie mieć nádzieię trzebá,
 Bo się ná sobie sámo męstwo sádzi.
 W to się ubierzmy, zdrowia odżałuymy,
 Y nie więcey ie niż trzebá miłuymy.

* * *

Nie mówię aby wátpliwa bydź miała
 Pomoc z Egiptu, w czasy teráznieysze:
 Bo obietnica ktora się wam dáła,
 Y te posiłki będą napewnieysze.
 Alebym zaś rad, żeby się obrála
 W niektorych y mysl, y serce mężnieysze:
 Zeby z rękú swych zwycięstwá czekáli,
 A ná cudzą się pomoc nie spuszczáli.

Więcey nie mówił Argánt pomieniony,
 Jáko ten ktory pewny był wygráney:
 Po niem poważny Orkan z drugiey strony
 Wstał, urodzony ze krwi zawałáney.
 Mąż to był wielki, ale zniewolony,
 Miłością dzieci, y żony kocháney,
 Znikczemniał bárzo, bárzo się odmienił,
 Jáko by nie on, skoro się ożenił.

* * *

Ten tak wotował: Tey gorącey mowy,
 O wielki Krolu, ia nie mogę gánić:
 Bo śmiałe serce, śmiałem się słowy
 Znać dawa, y z swych występuie gránic.
 A iż iáko zwykł zagrzał się surowy
 Y niebezpieczeństw Argánt niema zá nic:
 To iemu wolno, bo iáko wotuie,
 Tak rzeczą sámą śmiałość ukázuie.

* * *

Lecz ty ktoremu dawny wiek przynosi
 Wiadomość rzeczy, masz to upátrować:
 Ze ieśli się gdzie Cyrkászczyk unoši,
 Trzebá go mądrym rozumem hámować.
 Y te pomocy ktore Egipt głósi,
 Z niebezpieczeństwem równać, y zráchowác:
 Jeśli twe Krolu mury wydołáią
 Tem śiłom, ktore Chrześciánie máią.

* * *

Mowią (bo ná to trzebá odpowiedzieć)
 Ze miásto dobrze opátrowane mamy:
 Ale záś u nich (muši to powiedzieć)
 Gotowość wielka, y szturm czekamy.
 Tego co ma bydź nikt nie może wiedzieć,
 Ale się słusznie wátpliwych lękamy
 Marsowych sądow, y bać się potrzebá,
 Ze nam nie stánie náostátek chlebá.

Wezorá kiedy się nászy w polu bili,
 Z wielką trudnością iáko się widziało:
 Bydłaśmy trochę w miásto wprowadzili,
 Y zá wielkie się to zdarzenie miało.
 Ale ieśliby dłużej nas trapili,
 Ná tak wielki głód bárzoby to mało:
 A nie odstąpią pewnie, choć posłány
 Pośilek przydzie ná dzień obiecány.

* * *

Coż kiedy chybi? ále niech się dzieie,
 Tak iáko sobie wy obiecuiecie:
 Niech obietnice y stáną nádzieie,
 Niechay odśieczy przydą iáko chcecie.
 Kto was w zwycięstwie upewnia, száleie,
 Z tem się Hetmánem Krolu bić będziecie,
 Y z temże woyskiem, ktore pogromiło
 Turki, Araby, y Persy pobiło.

* * *

Sameś o mężny Argánie sprobował,
 Jáko są bitni, iáko natárczywi:
 Y nie raześ iem tył swoy ukázował,
 Y éi z Kloryndą Rycerze cnotliwi.
 Y ia sam, ácz ia nie będę winował
 Nikogo, bo w tem nie iesteście krzywi:
 Y mężnieście się z niemi zówždy bili,
 Y coście mogli, wszystkoście czynili.

* * *

A choć mi Argánt krzywem grozi okiem,
 Jam winien zówždy prawdę mowić wszędzie:
 Widzę, że lud ten zá Boskiem wyrokiem
 W bogatey Pánem Pálestynie będzie.
 Y áni woyskiem, áni tem wysokiem
 Wstrąćiem go murem, áż miásto osiedzie.
 To mowię, Bog wie, z samey powinności,
 Y ku oyczynie, y Panu miłości.

Lepiey Trypolski Krol postąpił sobie,
 Uprosił pokoy, y nie má tey trwogi:
 A hardy Sułtan álbo dotąd w grobie,
 Albo mu pęto włożono ná nogi.
 Albo ucieka, y błądzi w tey dobie,
 Wszędzie się kryjąc wygnániec ubogi.
 A mógł część puścić, część cale zachować,
 Y zá trybutem spokojnie pánować.

* *

Ták tám ná on czas wątpliwemi słowy,
 Nieznácznie Orkan swoię rzecz prowadził:
 Bo iáwnie Trybut postąpić gotowy,
 Y słać o pokoy, dla stráchu nie rádził.
 Nie mógł znieść dłužey Solimán tey mowy,
 Y chciał się porwać, iedno obłok wádził:
 Kiedy rzekł Jzmen: Każesz iuż mgłę spuścić?
 Czy mu chcesz dłužey wotować dopuścić?

* *

On ná to: Jam tu gwałtem otoczony
 Od twoiey chmury, która mię okryła:
 Skoro to wyrzekł zniknęły zasłony,
 Y mgłą się wpoły záraz rostąpiła.
 Y wyszedł ná dzień iasny, y przestrony,
 Kędy się była rádá zgromádziła:
 Tám w strážney twarzy stánął rozgniewány,
 Ná wielkiey sali nic niespodziewány.

* *

Jam (pry) iest Sułtan, á kto mu to zádał,
 Zeby uciekał, ma się tego spráwić:
 Y łże iáko pies, ten kto to powiádał,
 A gotow tego y ręką popráwić.
 Gory w rowninie z gęstych trupow skłádał,
 Ze krwi wylaney mógł rzeki zástáwić.
 W nieprzyaciélkiem obozie się biie.
 Ták to ucieka? y ták się to kryie.

Jeśli się taki naydzie między wami
 Zdraycá oyczyzny, y z tem się odkryje:
 Ze chce odkupić pokoy Trybutámi,
 Opuść, o Krolu, wnet pozbędzie szyie.
 Pierwey się wilcy pogodzą z owcami,
 Y z gołębiami w iednem gniaździe źmieie:
 Niż Chrześciańskie przemierzłe narody,
 Do iakiey kiedy známi przydą zgody.

* * *

Kiedy to mowił, trzymał się zá krzywą
 Szablę, á groził iadowitem wzrokiem:
 Wszyscy umilkli ná mowę straszliwą,
 Y z wylęknionem ná doł pošli okiem.
 Potem z łaskáwszą, y nie tak gniewliwą
 Twarzą do Krolá kwápieniem szedł krokiem:
 Nie trwoż (pry) więcej wielki Krolu sobą,
 Wielki pośilek, gdy Soliman ztobą.

* * *

Aládyn ná to powstawszy ku niemu,
 O iákomci rad przyiacielu miły:
 Już teraz lepiey (ufam męstwu twemu)
 Poydą me rzeczy, choć się náchylily.
 Ty swe z niewoley, á nie długo temu
 Páństwo wyzwolisz, y stolec pochyly
 Moy, da Bog wesprzesz: zátem się pokwápił,
 Y obiema go rękámi oblápił.

* * *

Po przywitaniu między gęstem gminem,
 Krol ná swoy stólek Sułtana prowadził:
 Y dał mu mieysce pod swem baldekinem,
 A podle siebie Jzmená posádził.
 A skoro chwile posiedział z Turczynem,
 Y Jzmen ócho z niemi się nárádził.
 Klorynda go wprzod witála, więc drudzy
 Pánowie, więc dwor, y Krolewscy słudzy.

Między inszemi witał go też Pány
 Ormus Arábski zacny Rotmistrz, który
 Kiedy się drudzy bili z Chrześciany,
 On przyodziały płaszczem nocney chmury,
 Nie zwykłą drogą lud lekki przebrány,
 Zdrowo wprowadził między mieyskie mury.
 Y głodne miasto pościł żywnością,
 Za swą przewagą, y za swą dzielnością.

* * *

Sam go nie witał Argánt, y gniewliwy
 Stał nienawiścią dawną przerażony:
 Jako lew kiedy leży, a straszliwy
 Wzrok miece na té y na owé strony.
 Orkan też nie śmiał weyrzec nań lękliwy,
 Ale wzrok w ziemię wlepił zamyślony.
 Ták tam na on czas obádwá Krolowie,
 Y oni w Ráddie zostali Pánowie.

* * *

Goffred tem czásem kończył swe zwycięstwo,
 Goniąc Pogánstwo ktore uciekało:
 To odprawiwszy, swoje grzebł żołnierstwo,
 Ktore na plácu pobite zostało.
 Potem obwołał, áby się Rycerstwo
 Do iutrzeyszego szturmu gotowało.
 O mury swoje boiá się Pogánie,
 Widząc przyprawy ktore czyniá na nie.

* * *

A iż znał rotę onę niezwalczoną,
 Co go na on czas w bitwie ratowała:
 Z miłych przyiaćiół swoich zgromádzoną,
 Ktore mu bełá Armidá pobrała.
 Gdzie był y Tánkred, ktorego za brona
 Mocnego zamku w więzieniu chowałá.
 Sam z Pustelnikiem, y z co bácznieyszymi
 Zostawszy tylko, ták rozmawiał z niemi.

Radbył, żebyście teraz powiedzieli
 Od tego czasu iakoście ztąd wyszli,
 O waszych błędach: Jakoście wiedzieli
 O bitwie, żeście prawie ná czas przyszli.
 Bespiecznie w oczy poyrzeć mu nie śmieli,
 Y wstyd przenikał niewidome myśli.
 Ale nákoniec Angielski powiedział
 Krolewic, wszystko gdzie był, y co wiedział.

* * *

My wszyscy, cosmy ná on czas losami
 Nie byli w drogę z Armidą obráni:
 Miłością głątkiej (bo tego przed wami
 Prozno przeć mamy) twarzy uwiązani,
 Szlismy niezgodni między sobą sami,
 Tám gdzie nas chytrá prowadziła Páni:
 Miłość, y gniewy mnożył w nas niezgodne
 Jey wzrok łaskawy, y słowa łagodne.

* * *

Przyszlismy daley pozbywszy swobody
 Tám kędy ognie z niebá spádły żywe:
 Ktore Sodomske karály narody
 Zá wszeteczeństwá, y grzechy brzydliwe.
 Przedtem kráy piękny, teraz ciepłe wody,
 Kliiowatemi błoty zaráźliwe:
 Rybá w nich żadna (ták mowią) nie żyje,
 Smierdzą z niey páry, y śiarczyste kliie.

* * *

Tám iest ieżioro, w ktorem w gęstey wodzie,
 Kámień, żelázo, y ołow nie tonie:
 A co dziwniejsza, bez promu, bez łódzie,
 Znośi po wierzchu, y ludzie, y konie.
 W śródku iest zamek, ná ktory po wzwodzie
 Wchodzą, kiedy kto przydzie ku tey stronie:
 Tám nas nieszczęsnych z sobą prowadziła,
 Gdzie belá ogrod pyszny uczyniła.

Tám zawnždy niebá świeciły pogodne,
Przez cały się rok łąki zieleniały:
Między Mirtami wesołemi, chłodne
Gdziekolwiek stąpił, wiatry powiewały.
Szum z drzew pachnących sny czynił łagodne,
Fontány wody przeźrzyste strzelały.
Ptástwo śpiewało, á we śródku nowy
Stał dziwnie piękny pałac marmorowy.

* * *

Tu w chłodzie między ziółami wonnemi
Przy ciekącym nas zdroju posadziła:
Gdzie z potrawami wielki stoł drogiemi,
Y służbę złotą belá postawiła.
Co się náyduie w morzu, co ná ziemi,
Co ná powietrzu, y co wymyśliła
Uczona kuchnia, to wszystko tám było,
A sto nam Panien do stołu służyło.

* * *

Sámá przysmakow do swych dodawała
Potraw, to śmiechem, to mową łaskawą:
A niepamięcią długą napawała
Błędne rozumy, za każdą potrawą.
Potem się wrocić obiecawszy wstała,
Y wnet zaś przyszła z gniewliwą postawą:
Y w iedney rozgę, w drugiey ręce księgi
Máiąc, czytała klątwy, y przysięgi.

* * *

Czytała: mnie wtem nowa myśl napadła,
Ná inszy żywot dziwnie się zdobywam:
Twarz mi y postać człowieczą ukradła,
Wskoczę do rzeki, y po wodzie pływam.
Oboiá ręká y nogá w mię wpadła,
Niewiedzieć iáko łuską grzbiet okrywam:
Dáley też więcej nie pamiętam, chyba
Ze bywszy człowiek, belá ze mnie rybá.

Y insze także w ryby obrociła,
 Y także zemną pływali po stawie:
 Po małej chwili zaś nas postawiła
 W człowieczem cieie, y w pierwszej postawie.
 Ale z boiaźni, która w sercu była,
 Y z dziwu w oney niepodobney sprawie:
 Y jednegosmy słowa nie mówili,
 Aż sama do nas rzekła w oney chwili.

* * *

Mniemam, że już moc podobno czućcie
 Moję nad sobą, y nad przyrodzeniem:
 Y jeśli zechcę, na wieki będziecie
 W niewolej wiecznem trapieni więzieniem.
 Słóćć żaden zwas nie uyrzy na świecie,
 Ten będzie drzewem, ten będzie kamieniem:
 Ten koniem, ten psem, temu przydam skrzydła,
 A tych zaś w nieme poobracam bydła.

* * *

Ci jednak udyą moiemu gniewowi,
 Ktorzy mą wiarę, y moje obrzędy
 Przyimają, y stanać przeciw Goffredowi,
 Y Chrześcianom będą winni wszędy.
 Każdy się wezdrznął, tylko Rámbáldowi
 Poszło to w posłuch, który na iey błędy
 Przysłał, ále nas zámknęła w ciemnicy
 Skrytey, na żywot wieczny niewolnicy.

* * *

Wrychle zaś potem Tánkredá dostała,
 Co beł ztrafunku przyszedł wtámte strony:
 Ale nas krotko w więzieniu trzymała,
 Bo ieślim dobrze o tem beł sprawiony,
 Krola z Dámaszku posłowi nas dała,
 Ktory beł po to do niey wypráwiony:
 Ten nas Krolowi w pętách, y bez broni
 Wiodł Egipskiemu w dary, w stu koni.

A iako Bog chciał, na tej drodze znami
 Bohátyr Rynáld potkał się z przygody:
 Który wielkimi nowymi dziełami
 Między różnemi wślawił się narody.
 Y bił się mężnie z naszymi strożami,
 Aż ie pogromił: Tákesmy swobody
 Miłey, za iego dzielnością dostali,
 Y w zbroiesmy się ich poubierali.

* * *

Y ia sam, y ci wszyscy go widzieli,
 Znać go po samem złożeniu kopiey,
 Plotki to, co tu o niem powiedzieli,
 W tej mierze mowie nie wierzcie niczyiey.
 Zdrow dobrze, y szedł iakosmy słyszeli,
 Trzeci dzień temu do Antyochiey:
 Y swoją tu gdzieś zbroię ukrwawioną,
 Od nieprzyjacioł zrzucił pośieczoną.

* * *

Tak mówił, a w tem w niebo oczy obie
 Podniósł Pustelnik nabożeństwem tkniony:
 Nie iedną bárwę y twarz miał na sobie,
 Jeden raz blády, drugi beł czerwony.
 O iako się zdał poważny w osobie,
 Gdy pełny Bogá umysł záchwycony
 Między Anyoły niośł, gdzie przyszłe rzeczy
 Y wiek potomny poymował człowieczy.

* * *

Y głośnieyszemi nád swoy zwyczaj słowy
 Począł odkrywać przyszłe táiemnice:
 Wszyscy weń pátrzą, uważając nowy
 Głos, y niezwykle mowy Pustelnice.
 Zyw (práwi) Rynáld: Niewieściey to głowy
 Y Bogu zmierzley wymysł czarownicę:
 Zywie, y niebo iego młode látá
 Chowa dla sławy dostálszey u światá.

Dziećcinne to są dopiero roboty,
 Ktorem się teraz Azya dziwuie:
 Widzę go, á on rwie się przez namioty,
 Y niezbożnego Cesárzá woíuie.
 Y pod swe skrzydlá Orzeł iego złoty
 Rzym z Apostolską stolicą przymuie.
 Ná którą srogi żwierz wyostrzył głodne
 Zęby, á syny ma mieć siebie godne.

* * *

Syny po syniech, y po wnukách wnuki,
 Ci bronić będą od Cesárzow ehóiwych
 Pásterzow świętych z przodkow swych náuki,
 Rátuiąc zówżdy krzywdą obciążliwych.
 Pomoc niewinnem, te ich będą sztuki,
 A hárdych niszczyć y niespráwiedliwych.
 Tákíe być máią ze krwi zacney dziećci,
 Ták słońce Orzeł Esteński wylećci.

* * *

Y ieśli wieczne, ták iáko potrzebá
 Swiatło Piotrowi otworzyło oczy:
 Gdzie o Chrystusá bić się będzie trzebá,
 Tám tryumfálne piorá swe roztoczy.
 Bo mu to zá dar ieden dáły niebá,
 Y stánie mu zto y síły, y mocy.
 Y Bog ták chce mieć, áby poń posláno,
 Y ná ták sławną woynę go wezwano.

* * *

Tu zmilkł prorockiem duchem obciążony
 Mąż święty: ále serce z swych wnętrzości
 Choć iuż beł ięzyk niemy y zemdlony,
 Kłádło mu ná twarz Esteńskie dzielności.
 Już też noc zászła, y płaszcz rościágniony
 Rozwiłá ná świat uszyty z ciemności.
 Wszyscy spáć ná swe odchodzili wczásy,
 Ale Pustelnik nie spi w one czásy.

KONIEC PIEŚNI DZIEŚIĄTEY.

PIESN JEDENASTA.

ARGUMENT.

Woysko w nabożne idzie Processye,
Msza Duchowienstwo świętą odprawuie:
Ták Bogá błaga: Potem miásto biie,
Y wielką siłą do niego szturmuie.
Kloryndá z łuku bez przestánku szyie,
Od ktorey ránny Hetman odstępuie:
Lecz od Anyoła wróca się zleczoney,
Ale iuż noc swe rozwiła zasłony.

Już Chrześciański Hetman w oney dobie
Do szturmu się miał wszystkiemi siłami:
Y o woiennych Táránów sposobie
Ciagnienia pod mur, rozmawiał z Mistrzami.
Kiedy Pustelnik odwiodszy go sobie
Mowił mu, gdzie dwáy tylko beli sami:
Już masz Hetmanie wszystko co potrzebá,
Lecz nie poczynasz, skąd poczynąć trzebá.

* * *

Od Bogá poczni, pierwey obwołáne
Wczás pospolite modlitwy bydź máią:
Niech do niebieskich zastępów zebrane
Rothy, o prośbę za sobą wołaią.
Wprzod Duchowienstwo niech idzie ubrane,
Niech processye nabożnie śpiewaią:
A wy zá niemi wodzowie przednieyszy,
Zeby z was przykład drudzy brali mnieyszy.

Ruszył Hetmána Pustelnik surowy,
 Skruchá wén zaráz poczęła wstempować;
 O sługo Boży, święte twoie mowy,
 Chcę (práwi) twoiey rády náśládować.
 Już ia obmyślę porządek woyskowy,
 A ty się też kasz Biskupom gotować.
 Niech kto zarázem do Guilelmá bieży,
 Y Ademára, onem to należy.

* * *

Názáiutrz wszyscy Księża y Plebáni
 Do Biskupow się poránu zebráli:
 W przestrony namiot, w ktorem Kápellani
 Hetmáńscy, święte Msze odprawowali.
 W białe się mnieyszy ubiory Kápłani,
 W złotogłowowe Biskupi ubrali.
 Spięte ná pierśiach ná białe koszule,
 A głowy nieśli w poważney infule.

* * *

Wprzod sam Piotr idzie, y wielki rozwiia
 Krzyż ná chorągwi, złotem malowaniem:
 A Duchowieństwá długa processya
 Dwiemá rzędami postępuje za niem.
 Y zlekká rothy y namioty miia,
 A ná przemiány dzieli się śpiewaniem.
 Guilm z Ademárem, co beli Biskupy,
 Szli náostátku wzdłusz puszczoney kupy.

* * *

Potem sam tylko wielki Hetman wtropy,
 Bez towáryszá szedł za biskupámi:
 A zaś Pánowie radni w iego stopy,
 Y pułkownicy pierwszy szli parámi.
 Tak idąc dálej wysli za okopy,
 A dla obrony woysko szło stronámi.
 Trąby niesłychác, áni ogromnego
 Bębnu, tylko dźwięk głosu nabożnego.

Ciebie, o Tworco wszelákiego czyná,
 Ciebie o Synu z Duchem Świętem, ciebie
 Czysta dziewico, mátko Bogá Syná
 Proszą o łaskę, y pomoc w potrzebie.
 Y was wodzowie skrzydlátého gminá,
 Z lotnemi woyski ná wysokiem niebie.
 Y z tem, z którego ręki przeźroczyste
 Wody omyły człowieczeństwo czyste.

* * *

Proszą y twárdey równego opoce,
 Ktora się gruntem kościółowi staie:
 Gdzie iego godny namiestnik, owoce
 Łáski niebieskiey y teraz rozdáie.
 Y was, którzyście roznieśli szeroce
 Ziáwioną prawdę ná świat w rózne kraie.
 Y tych ktorzy iá śmiercią oświádczyli,
 Y zdrowie dla niey chętnie położyli.

* * *

Więc ktorzy z Pismá Świętého krynice.
 Błąd potępili piorem y kazaniem:
 Y Chrystusowey miłey służebnice,
 Wsławioney części co lepszey obraniem.
 Y was, o Pánny, y oblubienice
 Wiecznego Krolá, ktoreście szły zá niem:
 Y tych co ná miecz, ná ogień niedbály,
 Y srogie męki dla niego wytrwały.

* * *

Ták Świętych wzywał lud nabożny, który
 Máiąc zá sobą swoje stánowiská:
 Do Oliwetu prosto ciągnął gury,
 Co od oliwy dostála przezwiská.
 Gury ná świećcie sławney, co ná mury
 Mieyskie, od wschodu słońcá pátrzy zbliská:
 A między nią się á miastem przestrona
 Doliná ciągnie, Jozáfát rzeczona.

Tám szły ná on czás, y tám kierowały
 Woyská śpiewając, á zá ráney rosy:
 Gory się z lásy zewsząd odzywały,
 A Echo gęste dawała odgłosy.
 Y tak się zdało, że się przeciwiwały
 Jnszego choru insze w leśie głosy.
 Raz Chrystusowe imię, raz Máryey
 Rozlegało się w głosney Armoniey.

* * *

Pogaństwo z murow wysokich pátrzało,
 Ná niewidáne porządki y szyki:
 Y écho zrazu z pilnością słuchało
 Nowey, y uszom nie zwykley muzyki.
 Ale kiedy się dziwować przestało,
 W niebo straszliwe wypuściło krzyki:
 Pełne brzydliwych bluźnierstw, á głębokie
 Doły się trzęsły y gory wysokie.

* * *

Ale bezpiecznie przedsię swe śpiewanie,
 Y Litanie zaczęte kończyli:
 Y ná Pogańskie niedbając wołanie,
 Ani się nawet ku niem obroćili.
 Strzały też ktore z murow lecą ná nie,
 Nic iem nie szkodzą, bo w puł ćwierci mili,
 Y tak daleko szły od muru roty,
 Ze mogły kończyć bez wstrętu swe noty.

* * *

Potem ná wzgorku, wielki postawiony
 Dla świętych ofiar ołtarz ubieráli:
 A białe ná niem z tey y z owey strony
 W złotych lichtarzách świece zápaláli.
 Wtem Guilm z pierwszego ubioru zwleczony,
 Jnszy wziął na się, ktory mu podáli.
 Tám chwilę myśląc rozmyślał, y zaśię
 Głosem dziękował, y skárżył sam ná się.

Dalszy patrząli tylko, ale dźwięki
 Blizszych Kąpląnskiey dochodziły mowy:
 A skoro skończył y odprawił dzięki
 Świętey ofiary, temi mowił słowy:
 Idźcie. A w tem kładł z wyciągnionej ręki
 Błogosławieństwo ná schylone głowy.
 Tak nabożeństwo skoro odprawili,
 Pierwszą się náзад drogą obroćili.

* * *

W oboz wiechawszy, polki się wracały
 Do swych stánowisk: Hetman też do swego
 Namiotu iechał, ktorego niemaly
 Hufiec prowadził do progu sáмого.
 Insze się zátem rothy rozieżdżały,
 Przedniejszych tylko, y Grábie stárego
 Z Tolozy; z sobą do stołu prowadził,
 Tego naywyższy po sobie posadził.

* * *

A skoro iedno beło po obiedzie,
 Y urzędnicy odešli stołowi:
 Goffred przedniejszych ná stronę odwiedzie,
 Iutrzeyszym (pry) dzień náznaczył szturmowi.
 Káždy do swego namiotu niech iedzie,
 A swego czásu bédziecie gotowi.
 Dziś lud obwieścicie, dziś odpoczywaycie,
 A iutro w sprawie skoro dzień czekaycie.

* * *

Odeszli záraz, á Trębácze potem
 Po wszystkim woysku tám y sám trąbili:
 Aby skoro świat swem iutrenką złotem
 Oświeci ogniem, po gotowiu byli.
 Ták onego dnia częścią myśląc o tem
 Część się gotuiąc, ostátek strawili:
 Aż noc nádeszła, y ziemię okryła,
 Y pokoy ná czás z troską uczyniła.

Jeszcze wątpliwe do ludzkiej posługi
 Jutrzenką światło, y dzień słała mały:
 Y malowane ptastwa swoy sen długi
 Kończyły ieszcze, y odpoczywały.
 Jeszcze zagonow nie orały pługi,
 Jeszcze się stada do łąk nie wracały:
 Kiedy na larmę trąby uderzyły,
 Trzęsły się niebá, y larmę głośliły.

* *

Ná larmę wszystko woysko w iedney mierze,
 Zgodliwe glosy wypuszczało swoje:
 Wstanie wtem Goffred, y ná się nie bierze
 Swoiey zwyczajney ná zchwał mocney zbroie:
 Ale wco lżeyszem woienne ubierze,
 Jáko się pieszy ubierają w boie:
 Gotowy między swoje szedł obozy,
 A wtem do niego przyszedł Grof z Tolozy.

* *

Ten widząc on stroy ná Hetmánie nowy,
 Zrozumiał iego umysł w oney dobie:
 Y przystąpiwszy rzekł mu temi słowy,
 Przecz zbroie niemasz zwyczajney ná sobie?
 Czemu w helm zwykły nie ubierzesz głowy?
 Tę nieopátrznóść muszę gánić w tobie:
 Ze tak odkryty do szturmu wychodzisz,
 Znać że ná sławę bárzo podłą godzisz.

* *

Chcesz podomno leść ná mur iáko tuszę,
 Niehcemy tákiey śmiałości od ciebie:
 Prości żołnierze mniej potrzebne dusze
 Powinni w tákiey odwážać potrzebie.
 Ty iżeś Hetman (prawdę mowić muszę)
 Szánuy się dla nas, ieśli nie dla siebie:
 Twem zdrowiem prawie wszystko woysko stoi,
 Przeto mu odpuść, że się o nie boi.

On ná to: Gdy ná iásney gurze Páński
 Namiestnik Urban, miecz mi przypásował:
 Zebym niem kráie y narod Pogáński,
 Stawszy się Bożem Rycerzem, woiował.
 W ten czásem Bogu nie tylko Hetmáński
 Urząd sprawować tájemnie ślubował:
 Ale y ręki tey ná wojnie użyć,
 Y ieśli trzebá, krwią mu w szturmie służyć.

* * *

Przeto, kiedy iuż wszystko rozporządę,
 Y lud do sztürmu iáko ma íść sprawię:
 Nie wiele ieszcze moiem zdániem zbłądę,
 Ze się podemknę y pod mury stáwię.
 Bo się sumniénien sam w tey mierze sádję
 Ná ktorem Bogu długu nie zostáwię:
 Uiszcę się rad, y ślub obiecány
 Bedzie mu przez mię cále záchowány.

* * *

To rzekł: A zaráz dwáy Bulionowie,
 Y inszy drudzy przykład z niego bráli:
 Niektorzy także przednieyszy Pánowie,
 Ták iáko pieszy lekko się ubráli.
 Wtem się ná murze Pogáńscy wodzowie,
 Czuiąc o bliskiem szturmie ukazáli.
 Gdzie się ná zachod od pułnocy chyli,
 Skąd z polá przystęp łatwieyszy baczyli.

* * *

Bo miásto ná szturm z káżdey inszey strony
 Máło co dbáło, y beło bezpieczne:
 Tám beł nie tylko żołnierz obrocony,
 Y co mężnieysze pospolstwo támeczne.
 Ale y stárych z dziećmi do obrony
 Ostátniey słało szczęście ostáteczne:
 Przy ktorych duzzem słańszy y podeśli,
 Siárki przypráwne, y kámienienie nieśli:

Mur od rownini rożnemi broniámi
 Obwárowány dobrze, mniej się boi:
 Tu z ogromnemi Sultana pierśiami,
 Po pás z dáleka w świetney widać zbroi,
 Tu Argánt między mocnemi basztámi,
 Wielkiemu rowni Olbrzymowi, stoi.
 Tám conaywyższey w temże mieyscu wieże
 Narożney, mężna Bohátyrká strzeże.

* * *

Sáydak z niey wiśi: á ná bok ćierpliwy
 Złotem opráwną szablę przypasała:
 Y widác beło, kiedy swoy łuk krzywy,
 Zdáléká dziewczą ręką wyćiągała:
 Y przyłożywszy strzałę do ćięćiwy,
 Nieprzyacielskich wodzow pilnowała.
 Ták więc swe strzały niedoćigłe oku,
 Krolewná z Delu posyła z obłoku.

* * *

Sam Krol pod mury láty obćiążony
 Pieszó od bramy do brámy przebiega:
 Y śle rynsztunki ná mur osádzony,
 Y świeższych co raz obrońcow dośięga.
 Y lud miłością miłey przerażony
 Oyczyny, słowy tem więcej podżęga.
 A utrapione do kościelnych progow,
 Mátki, szły wzywác swych omylnych Bogow.

* * *

Ty sam, o Pánie, Pánie sprawiedliwy,
 Skrusz Fráncuskiego oszczep rozboiniká:
 Skłoń ku ludowi twemu wzrok życzliwy,
 Obal pod mury twego przeciwniká.
 Ták się modliły, lecz w piekle fałszywy
 Bog tego niechćiał rozumieć ięzyká.
 Gdy się ták miásto miáło do obrony,
 Goffred też z drugiey następował strony.

Z wielkiem porządkiem szykował przebráne
 W przestronem polu woysko przed namioty:
 A we dwa rzędy iuż uszykowáne
 Przeciw murowi obrocił piechoty.
 We śródku kusze, y pobudowane
 Straszne woienne postawił roboty:
 Z ktorych kámiennie ogromne ćiskáią,
 Y wież, y murow oszczepy sięgáią.

* * *

Zá piechotą tuż ieznych postawiono,
 Zeby ią we złem rázie pośiláli:
 Potem w krzykliwe trąby uderzono,
 A strzelcy zátem wraz następowali.
 Z woiennych także strzelby wież puszczo,
 A z muru gęsto Pogánie spadáli:
 Ten zdechtł, ten ranny ná doł leći z gury,
 Co raz mniej máią swych obrońcow mury.

* * *

Wprzod Fráncuzowie pod mury skoczyli,
 Z wielką ochotą z swemi chorągwiámi:
 Y tarcze wszystkie do kupy złożyli,
 Y tak ie sobie nieśli nád głowámi.
 Drudzy, áby się kámieniom bronili,
 Zá dębowemi idąc zasłonámi:
 Pod przekopy się co raz podmykáli,
 Aby ie rowno z ziemią wyrównáli.

* * *

Przekopy mieyskie wod w sobie nie miáły,
 Y iáko trzebá suche beły ná dnie:
 A choć się zbytnie głębokie bydź zdáły,
 Ziemiá, chrost, kámiień, wyrównał ie snádnie.
 Napierwszy głowę odkrył Adrást śmiáły,
 Y pod mur z długą drábiną przypadnie:
 Po ktorey z wielką przewagą wstempował,
 Ani go srogi twárdy grad hámował.

Już niemal wietszą Szwáycar odważony
 Połowicę swej drábiny przechodził:
 Y choć nań zewsząd bito, nie strwożony,
 Oślep zącętey przewagi dowodził.
 Aż iednem rázem w leb go obálony
 Zbyt ciężski kámién przez szyszak ugodził:
 Ktory go ná doł z drábiną obálił,
 Ten kámién Argánt swą ręką nań zwałił.

* * *

Nie był śmiertelny on iego raz cále,
 Lecz ciężski, ktemu z wysoká spadł zgury:
 Argánt wtem począł wykrzykác zuchwále,
 Już ieden zlećiał, kto poleżie wtory?
 Nie kryćcie się tak zá tárćice, ále
 Wylećcie ná świát, wychylćcie się z dziury.
 Przecz z tych drzewiánych iam nie wychodzićcie?
 Bo y tám pewnie się nie wysiedzićcie.

* * *

Ták wołał Argánt, ále ná te mowy
 Namniey nákrýci Rycerze niedbáli:
 Y pod skupione tarcze kryjąc głowy,
 Strzały, y ciężskie kámiénie trzymáli.
 Y wielkie trámy z Tárány przez rowy
 Już wypełnione bliżey podmykáli:
 Ktore ná mury nie bez wielkiej trwogi,
 Niosą żelázem zákowane rogi.

* * *

Pogànie na te zgromádkzone siły,
 Drzewá z kámiénem cięższkiem powiázane:
 Puścili nádoł, ktore przywáliły,
 Tarczami kryte piechoty przebráne.
 Te wielką w ludziách szkodę poczyniły,
 Bo tarcze w trzaski poszły zgruchotáne.
 Y nie iednemu przepádły przez czoło,
 Ziemiá krwią, mozgiem, skropiłá się wkoło.

Już Chrześciance za swemi twierdzami
 Więcej nie stali, ani iem dufali:
 Ale wypadszy śmieie gromadami,
 W przestrzeni męstwo swe ukázowali.
 Jedni do gury posli drabinami,
 Drudzy ze spodku mury wywracali.
 Ktory iuż y wierzch słuczony wysoki,
 Y powążlone ukázował boki.

* * *

Y upadłby beł, bo roskołysany
 Tram wielki, raz mu zádawał śmiertelny:
 Ale go mężnie lud niespracowany
 Bronił, miłości swej oyczyzny pełny.
 Y gdzie go biły rogáte Tárány,
 Wtem mieyscu z wierzchu miékkie spuszczał wełny:
 Ktore gwałtowne bićie przyjmowały,
 Y ustępując rázy hánowały.

* * *

Gdy się tak ná mur lud piął natárczywy,
 Y támtá stroná mężnie się broniła:
 Siedmkroć Kloryndá wyciągnęła krzywy
 Luk swoy, y siedmkroć także go spuściła.
 A ile swych strzał wypchnęła z ciéciwy,
 Tyle ich we krwi w on czas omoczyła.
 Przedniejszych wodzow, nie gminu podłego,
 Strzegąc się hárdá celu niegodnego.

* * *

Tys, o Angielski młodszy Krolewice
 Pierwszy beł, ktoryś dostał od niey rány:
 Jednoś co głowy z dębowey táróce
 Wychylił troche, którą beł odziany:
 Przez páncierzowey nity rękáwice,
 Przebiłci rękę prawą bełt pierzany:
 Tak, żeś ustąpić z plácu musiał pręcey,
 Mniey bolu czuiąc, ále gniewu więcej.

Klotáreusá gdy lażł po drábinie
 Pod murem Grábie tráfíłá z Ambozy:
 Obiemá z pierśi przebitych krew płynie,
 Obu umárłych nieśiono w obozy.
 Kiedy wielkiego Táráná ná linie
 Rupert wyćiągał, y spuszczał powrozy:
 Odniosł w rámienu strzałę, ktorey z ćiałá
 Część wyrwał, á część z żeleścem zostálá.

* * *

Ademárowi, ktory ná te džíłá
 Z dáleká pátrzał, trefná się rzecz sstálá:
 Własnie go w czoło z łuku wymierzyłá,
 Y twarz mu hoyną krwią záfárbowálá.
 Y rękę co bełt z rány wywłoczyłá,
 Nowem postrzałem przytknęłá do ćiałá.
 Ták zacny Biskup ná woynie z Pogany
 Żywot położył od niewieśćiey rány.

* * *

Pálámed názbyt do sławy się kwápił,
 Y szedł po szczeblách z przewagą ná mury:
 Y iuż wierzch muru rękámi oblápił,
 Y nogi dźwigał zá sobą do gury.
 Lecz własnie w ten czas, gdy się go ułápił,
 W oko mu śiodmy bełt wpadł prętkopiory,
 Y tyłem wyszedł: Ták nieborak leży,
 Przy poimáney umierájąc wieży.

* * *

Ták tá strzelálá: Ale inszą stroną,
 Z nowemi czyny Goffred następował:
 Y co naywyższy przed wysoką broną
 Jeden postáwił, y z niego szturmował.
 Wieżá to bełá ktorą z drzew złożoną,
 Co namocniejszych ták był pobudował:
 Ze szłá ná kołách, y zbroyne dźwigałá,
 Y wierzchem z murem wysokiem równálá.

Co raz to bliżey niosąc lud w się wzięty,
 Woienna wieżá pomykálá kołá:
 Y chćiałá iáko okręty z okręty
 Ná morskiey wojnie spiąć się z murem zgołá.
 Lecz obleżeńcy różne czynią wstręty,
 Siegáiąc bokow y twárdego czołá:
 Oszczepámi iá náзад odpycháią,
 Y kołá tłuká, y ná wierzch ćiskáią.

* * *

Strzały z obu stron ták gęste lećiały,
 Ze niebá beło niewidáć przed niemi:
 Y tráfiáło się, że się zús wracáły
 Wząd odtrącone, drogámi pierwszemi.
 Jáko gdy owoc biie niedordzáły
 Grad niepogodny, pełno go ná ziemi:
 Tákn gęsto w ten czás z muru Sárrázeni,
 Spadáli od strzał, oszczepow, kámieni.

* * *

Bárżiey tám nászy Pogany szkodźili,
 Bo rzadko ktory u nich w dobrej zbroi:
 Już niemal wszyscy mury opuścili,
 Každy się oney srogiey wieże boi.
 Sam tylko mężny Sułtan w oney chwili,
 Ná murze z kilką co mężnieyszych stoi:
 Do ktorych Argánt z wielkiem tramem bieży,
 Odpieráć gwałtem przystáwionej wieży.

* * *

Y ták dáleko iáko beł tram długi,
 Trzymał od muru wieżę ludzi pełną:
 Już też Kloryndá do teyże posługi
 Zbiegáłá, w zbroię ubrána zupełną.
 Wtem lud nasz świeży następuiąc drugi,
 Sćinał powrozy, co wiśiały z wełną:
 Aby ták mury nágie y odkryte,
 Látwiey być mogły Táránámi bite.

Wielka ie wieża srodze biła z gury,
 A odespotku rogáte Tárány:
 Ze náostaték poczynály mury
 Przejrzyste w sobie ukázować rány.
 Hetman tez iuż beł nie dáleko dziury,
 Y następował do słuczoney ściány:
 A wszystek wielką tarczą się zakrywał,
 Ktorey więc rzadko w inszy czas używał.

* * *

Y widział dziurą, kiedy dla obrony
 Soliman zląził, y ná doł zstępował:
 Gdzie niebezpieczną tramy rozwałony
 Mur Chrześcianóm drogę ukázował.
 Y że ná gorze Argánt zostáwiony,
 Z Kloryndą przeszćia bronić się gotował.
 To widząc poczuł serce mężne w sobie,
 Skacząc z radości wielkicy w onéy dobie.

* * *

Y do Sygierá mowę obracáiąc,
 Co zá niem inszą tarcz niośł ná rzemieniu:
 Podáy mi (práwi) puklerz nie mieszkáiąc,
 Lżeyszy y memu znośnieyszy rámieniu.
 Chćiałbym wpásć pierwszy ćieszko nie dźwigáiąc,
 Po rozwałonem do miástá kámieniu:
 Czas iuż, żeby wždy kiedy co wielkiego
 Swiát widział po mnie, y co przewážnego.

* * *

Ledwie to wyrzekł, strzałá przylećiałá,
 Y nád kolánem nogę mu przebiłá:
 Y ostrem żyły żeleścem porwałá,
 Gdzie ból nawiętszy, y krwią się poiłá.
 Ześ mu Kloryndo ranę tę zádálá,
 Ták ich powiáda, ták ich twierdziłá.
 Y ieśli w ten dzień miásto się nie wzięło,
 Twoiá to sprawá, y twoie to dzieło.

Ale iakoby nie czuł oney rany,
 Niechce zaniechać rozpoczętej drogi:
 Y po kámienu do dziuráwey ściány
 Bieży, y chromej nie szanuie nogi.
 Lecz prętko potem poczuł zmordowany,
 Ze nie mógł stąpić, y bol cierpiał srogi:
 Ták że rad nie rad musiał ku końcowi,
 Przedsięwziętemu dać pokoy szturmowi.

* * *

Zączem Guelfowi w on czas roskázował,
 Ktory do oney tákże dziury godził:
 Aby ná iego mieysce następował,
 Aby hetmánił y ludźie przywodził.
 A sam się zaraz wrocić obiecował,
 Y że ná krotki tylko czas odchodził.
 Ták ná koń lekki odiezdzał wsádzony,
 Lecz nie ták, aby nie był obaczony.

* * *

Skoro ustąpił Hétman pod namioty,
 Zarázem woysko znacznie osłabiało:
 Ale Pogánstwu sercá y ochoty,
 Y siły co raz więcej przybywało.
 Sam Mars, y szczęście, odmiennemi wroty
 Do przeciwney woz strony kierowało.
 Już Chrześciańskie miecze iakóś mdleią,
 Nákoniec dźwięki trąb sámych słabieją.

* * *

Zgráią Pogáńska dopiero spędzona,
 Znowu ochotnie ná mury bieżała:
 Płec białogłowska przykładem wzbudzona
 Cney Bohatyrki, ná ktory pátrzała,
 Z ukasánego gęsty kámiień łoná,
 Ná Chrześciańskie Rycerze ćiskála.
 Y śmieie ostrey gołych pierśi broni,
 Dla lubych murow oczystych nie broni.

A czem się nasz nabórzey strwożyli,
 A serce wziął lud w mieście obleżony:
 Y z tey, y z támtęy strony obaczyli,
 Kiedy ná ziemię Guelf padł uderzony.
 Między tyśiącem inszych w oney chwili,
 Nálazł go kámiień z muru wyćśniony.
 W tenże czas własnie tráfiony poćiskiem
 Padł Ráymund, y beł śmierci bárzo bliskiem.

* * *

Y Eustácemu także się dostało,
 Mięso mu w nodze od kości odbito:
 Y takie szczęście woysko w ten czas miało,
 Ze kiedy z muru kámieniami bito,
 Zadne ćśnienie dármo nie lećiało,
 Lubo rániono, lub kogo zábito.
 Argánt srożeie, y szczęściem piány,
 Ná uchodzące woła Chrześćiąny:

* * *

Jeruzálem to, nie Antyochia,
 Nie noc ná wásze złodzieystwá łaskáwa:
 Słońce tu teraz iásny dzień rozwiia,
 Insza tu woyná, insza teraz spráwa.
 Ták was to prętko chęć do sławy miia?
 Czyniććie sobie do Páństw cudzych práwá:
 A terazeście ták rychło ustáli,
 Niewieściuchowie ná sławę niedbáli.

* * *

Ták mowił, y ták gniewem zápalony,
 Grzał się sam w sobie Cyrkászczyk zuchwály:
 Ze mu się zdało, że płac otoczony
 Murámi, iego śmiałości beł máły.
 Y uczyniwszy z gury skok szalony,
 Gdzie obálone przeszćia pozwalály
 Mury, wypadał, y ták wypadájąc,
 Solimanowi przymawiał wołájąc.

Y czas y miejsce Solimanie mamy,
 Skutkiem, nie słowy męstwo pokázować:
 Sám wynidź zá mur, sám się sądzić damy,
 Komu znas dzielność będą przypisować.
 Ták rzekł, y zaráz niedaleko bramy
 Wypadszy dziurą, ięli następować.
 Ow gniewem, á ten sromotą wzbudzony,
 Y od Argántá w uczciwe ruszony.

* * *

Niespodziewanie ná nieprzyjacięle
 Wypadszy, obá mężnie się stáwili:
 Tarczy, szyszakow, Táránow ták wiele,
 Drábin násiekli, y ludzi nábili:
 Ze w onem mieyscu, może ták rzec śmiele,
 Z trupow, zbroy, drzewá, gurę uczynili:
 Ktorą wysoko podnieśli u dziury,
 Czyniąc bezpieczne powątlone inury.

* * *

A Chrześcíanie, co się ubiegáli,
 Przez gwałt do piękney murowey korony:
 Teraz nie tylko żeby o nią dbáli,
 Ale y do swey słábieią obrony.
 Już y woiennych czynow odbiegáli,
 A nieprzyjacięł ná lud potrwożony
 Śmiele náciera, y tłucze Tárány,
 Ze się nie zeydą drugi raz do ściány.

* * *

Kiedy ták nászy ućiekáli sprośnie,
 Y poganie ie przez pole pędzili:
 Sułtan z Argántem ná mieszczány głośnie,
 O prętki ogień wołał w oney chwili.
 Obá potem dwie zápalone sośnie
 Nieśli do wieże, áby ią palili.
 Ták więc piekielne siostry z pochodniámi
 Ná świat wychodzą, y trzęsą wężámi.

Tem cząsem Tánkred, który z swemi Włochy
 Zdąleka mieyskich wyćieczek pilnował:
 Widząc dwie wielkie zapálone sochy,
 Y że Pogánin wieżę opánował.
 Závraćał náзад ná czoło lud płochy,
 Y z swoim pułkiem śmieie następował.
 Y tak się potkał, że ci co wygráli,
 Podawszy tyły znowu ućiekáli.

* * *

Ták Mars odmienne czyniąc dotąd próby,
 Kierował dyszel u lotnego wozu:
 Już też był ranny Hetman do tey doby
 Przyprowadzony do swego obozu.
 Sygier, Baldowin, y insze osoby
 Przednieysze stały ná koło przy łożu.
 On sam sobie chcąc imo wszystkich zdanie
 Strzałę wyciągnąć, przyłómił ią w ranie.

* * *

Ból wielki cierpiał y rozkazał, żeby
 Około strzały radę uczynili:
 Aby głęboko y według potrzeby,
 Wyrznawszy mięso, ranę otworzyli.
 Wroćcie mię (práwi) rychło do potrzeby,
 Co maia czynić niechayby czynili.
 To mówiąc nogę wystawił zarázem,
 Y kazał ią rznąć bárwierzom żelazem.

* * *

Erotym stary, który się gdzie brody
 Erydán swoje prowadzi, uchował:
 Y wszystkie zioła, y ciepliczne wody
 Znał, y rozumiał: ten go opátrował.
 Był pisorymem wielkiem będąc młody,
 Lecz potem tylko Gálená pilnował:
 Y porzućiwszy zabawę z Muzámi,
 Leczył choroby śmiertelne z ránámi.

Między wszystkimi płacz był wielki Pány,
 Ktorzy widzieli ból, y iego męki:
 On się nie trwoży, á wtem ukasány
 Doktor doświadcza swey uczoney ręki.
 Ale uporney strzały koniec z rány,
 Nie chce się ná wierzch ukazać przezdźwięki.
 Czasem kleszczami máca, czasem zióła
 Kładzie, ále nic nie pomoga zgoła.

* * *

Nie zna w swey pracy szczęścia Mistrz uczony,
 Y umiejętność jakoś mu nie idzie:
 Wszyscy on iego ból nieuśmierzony
 Widząc, mniemaią ze mu umrzeć przydzie.
 Ale stroż Anyoł żalem poruszony,
 Urwał Dyptamu ná wysokiey Jdzie:
 Ziela z czerwonym kwiatem dziwney mocy,
 Y napewniejszey ná rány pomocy.

* * *

Przyrodzenie to sámo tak sprawiło,
 Ze iest znáíome kaźdey dżikiey koźie:
 Kiedy ktorey w bok żeleśce tráfiło,
 Od rozboyniká strzelcá w gęstey loźie.
 Ztem chocia sto mil, y coś wiéczy było,
 We mgnieniu oká Anyoł był w obozie:
 Y wyćsioný sok wlał niewidziány,
 W kubek z lekárską wodą zgotowany.

* * *

Y kęs olejku z Lidyiskiego stoku,
 Y wmięszał wonney Pánáceey ziele:
 A skoro w ranę stárzec wkropił soku,
 Z swey dobrej woley co widziało wiele,
 Wyszło żelázo, że wolnego kroku
 Mogł użyć, bolu nic nie czuiąc w ćiele.
 Krzyknie Erotym, y głosem tak powie:
 Nie od mey ręki Hetmánie masz zdrowie.

Nie te cię proste uzdrowiły zióła,
 Cud ia tu iawnie widzę niewątpliwy:
 Y wierzę, że Bog zesłał tu Anyoła,
 Ktoryć dał zdrowie, y sprawił te dziwy.
 Wroć się do szturmu: Goffred strętwiał zgoła,
 Ale czuiąc się czerstwem boiu chćiwy,
 Szyszak na głowę, tarcz ná ramię włożył,
 Ktorą rániony niedawno był złożył.

* * *

Przypadł z obozu pod wysokie mury,
 Pod tyśiąc koni iezdy z niem iechało:
 Ziemia się trzęsie, á od wielkiej chmury
 Wielkiej kurzawy, niebá widáć máło.
 Co raz to lepiej widzieć było z gury,
 Kiedy się świeże woysko przybliżáło.
 Z stráchu lękliwi pobledli Pogánie,
 On wielkiem głosem trzykroć krzyknie ná nie.

* * *

Swego po wielkiej części náchyleni,
 Głos Chrześćianie Hetmána poználi:
 Y wzięwszy serce znówu poprawieni,
 Dáleko płóche Pogánstwo pognáli.
 Sultán y Argánt tylko niestrwożeni,
 Jeden drugiego lepiej odpieráli.
 Y od Tánkredá strzegli pilnie dziury,
 Który szedł gwałtem między zbite mury.

* * *

O tych się naprzód cny Hetman uderzył,
 Wszystek we zbroię złoćistą ubrány:
 Y wielkiem drzewem Argántá wymierzył,
 Który stał broniąc rozwáloney ściány.
 Zaden by temu podomno nie wierzył,
 Jáko był tęgi raz niewytrzymány:
 Brzmi wielki oszczep, Argánt się nie boi,
 Y śmieie tarczą zaskóniony stoi.

Tarcz się ná on gwałt wielki otworzyłá,
 Ale y zbroiá rázu nie strzymała:
 Bo ruhátyná obiedwie przebiła,
 Y krew łakomie z Cyrkászczyká ssála.
 Nie czuie Argánt, (ták w niem wielka sílá)
 Y ukrwáwiony wyrwie oszczep z ciála:
 Y uderzył iem znowu ná Hetmáná,
 Niech się (pry) wroci do swojego Pána.

* * *

Oszczep się z pomstą wzad wracał zarázem,
 Y przez powietrze szedł wiadomą drogą:
 Lecz chybił celu, bo przed onem razem
 Umknął się Goffred, y krok stąpił nogą.
 A miasto niego krwie chciwem żelazem
 Ránę dał w gardło Sygierowi srogą.
 On że umiera, namniey nie żáluie,
 Kiedy swojego Pána zastępuje.

* * *

Sułtan kamieniem dał w łeb Normándowi,
 Własnie ná ten czas, kiedy Sygier zgiął:
 Nie mógł wytrzymać tęgiemu rázowi:
 Zátoczywszy się, ná ziemię się zwinął.
 Już też przyćięszem beł Goffredowi,
 Rzadko go ktory z gory kámiień minął.
 Atoli przedsię choć z niemátem trudem,
 Ná rozwałinách iuż beł z swoim ludem.

* * *

Y zrobiłby beł pewnie co wielkiego,
 Y krwieby beł rozlało się sílá:
 Ale noc z progú wyszła podziemnego,
 Y świat czarnemi skrzydłámi okryła.
 Y ná śmiertelne narodu ludzkiego
 Gniewy, z swych cieniów wędziłó włożyła:
 Ták że odstąpić musiał od tey sprawy,
 Tákí miał w on czas koniec on dzień krwawy.

Lecz niż odstąpił, co wielka w Hetmánie,
 Kazał nieść náзад w szturmie obrażonych:
 A potem pilne uczynił stáranie,
 Koło woiennych czynow potłuczonych.
 Wieże, ktorey się nabárziewy Pogánie
 Bali, od mistrzow zrobioną uczonych:
 Náзад prowadzi chocia náruszoną,
 Y w wielu mieyscách bárzo powąloną.

* * *

Ze złego rázu zaraz ią uwodzi
 W bezpieczone mieysce, okrom żadney zwłoki:
 Ale iáko łódź ná morskiey powodzi,
 Co pełnem żagleń nurt ściece głęboki,
 Kiedy bezpieczna do portu przychodzi,
 O skąłę łamie rostrącone boki:
 Abo więc iáko zawodnik ćwiczony,
 Przed sámem kresem pądnie powálony.

* * *

Ták własnie w on czas wieża szwánkowała,
 Gęstem kámieniem bárzo potłuczona:
 Y obie zádnie koła połámála,
 Y iść nie mogła dálej powálona.
 Ale piechotá pod nią stęplowała
 Tramy, ná ktorych legła zawieszona:
 Aż nauczeni Mistrzowie przybyli,
 Ktorzy koło niey z pilnością robili.

* * *

Surowie ćieslom Goffred roskázował,
 Aby przede dniem koła zgotowali:
 Potem po drogách straży zostáwował,
 Y ludzie ktorzy więcze pilnowáli.
 Tem czássem Krol mur zbity opráwował,
 Y słyszeć beło, iáko się mieżáli:
 Bo w mieście tyśiąc pochodni świeciło,
 Od ktorych niemal wszystko widzieć było.

KONIEC PIEŚNI JEDENASTEY.

PIESN DWANASTA.

ARGUMENT.

Kloryndá słucha o swem urodzeniu,
Potem wyszedszy wieżę zapaliłá:
Tám się z Tánkredem w nocnem zszedłszy cieniu
Ná pojedynku żywotá pozbyłá.
Ale przed śmiercią przy ostatniem tchnieniu,
Náwróciłá się, y Krztem się omyłá.
Tánkred zabitey od siebie żałuje,
Cyrkászczyk się mścić iej śmierci ślubnie.

Noc belá, ále ludzie zmordowani
Z oboiey strony, do tych dob nie spáli:
Tu od Hetmáná żołnierze przebráni
Okolo wieżę straż odprawowali.
Tám zaś Poganie swe niespracowani
Zwałone mury, pilnie oprawiali.
A gdzie był ktory ranny álbo chory,
Słano Bárwierzé, y mądre Doktory.

* * *

Już beło chorem opatrzone rany,
Już się y dziura byłá zaprawiła:
Już y co słabszey poprawiono ściány,
A noc głęboka na spánie rádziła.
Ale Kloryndá ná sen pożądaný
Pozwolić niechce, y wielkie myśliłá
Dziela, gdy wszyscy poszli na swe wczásy,
Y ták do siebie mowi w one czásy.

Ey toć się wždy dziś dobrze popisali
 Z mężnem Sułtanem, Argánt natarczywy:
 Kiedy sami dwáy tylko wypadali
 Na wszystko woysko, y robili dziwy.
 A o mnie co też będą powiadali?
 Użyła (prawi) z daleką cięciwy
 Dosyć szczęliwie: To te będą mowy,
 Coz? czy nie mogą więcej białogłowy?

* * *

Toć beło lepiej gdzie między lasami
 Strzelać ielenie, ábo dzikie śwynie:
 Niżli się mięszać między Rycerzami
 Wielkimi, mdłey płci, y lichy dziewczynie.
 Białogłowskiemi nie gárdzę szátami,
 Słusznie ich godná tá, która tak słynie.
 To mówiąc ná rzecz wielką się udála,
 Y Argántowi o niey powiadála.

* * *

Serce mię ná coś wielkiego podwodzi,
 Ze to Bog czyni, tak sobie ráchuię:
 Lub też zá własną człowiek wolą chodzi,
 Coś niezwykłego sobie obiecuię.
 Widzisz tę wieżę, co tak miástu szkodzi,
 Ná tę się z ogniem y mieczem gotuię.
 Tak myślę, tak chcę, y tego potrzebá,
 Niech o ostatku pieczę máią niebá.

* * *

Abo ią spalę, ábo ią posiekę,
 A ieśli się też náзад nie ukażę:
 Tobie swe Pánny oddaie w opiekę,
 Z stárce m ktorego iáko oycá ważę.
 Pomni to, proszę, coć dopiero rzekę,
 Ze do Egiptu odesłać ie każę:
 Tá płęć, y ten wiek, nie ma żadney mocy,
 Y godzien wszelkiej Argántie pomocy.

Zdziwił się Argánt przeważney dziewicy,
 Y poczuł w sercu chęć ná wielkie czyny:
 Ty sámá poydziesz? A my nikczemnicy
 Między podłemi mamy zostać gminy?
 Y tak ma Argánt tylko ná ulicy
 Pátrzać ná dymy, y twoie perzyny?
 Nic z tego: Jáko beł z tobą w potrzebie,
 Tak go weź ná śmierć, y sławę do siebie.

* * *

Y ia frymárczę zá sławę żywotem,
 Y dla niey zdrowie rad położę wszędzie.
 Oná zaś: Swiadczy twa dziśieysza o tem
 Wyćieczká, ktora wiecznie słynąć będzie.
 Jam białagłowá, y zginęli potem,
 Mną máło miástu, álbo nic ubędzie:
 Ale gdziebyś ty miał polec, (sirzeż Boże)
 Kto murow zbroni? kto miástu pomoże?

* * *

Argánt iey ná to krotko odpowiedział,
 Nie może to bydz, prozne twoie mowy:
 Y bez ciebie tám drogę będę wiedział,
 Chceszli mię też wziąć zsobą, iam gotowy.
 Wtem zgodnie poszli gdzie Krol w radzie siedział,
 Gdzie z niem radziły stársze mądre głowy.
 Kloryndá pocznie: Słuchay co myślemy,
 Y przyimi z łaską, Krolu, coć powiemy.

* * *

Argánt tę wieżę spalić chce, y ná tem
 Mieyscu, czynić tę obietnicę głośną:
 Ja przy niem będę, czeka tylko zátém,
 Ze się pokładą, y że ludzie posną.
 Krol płakał długiem obciążony látem,
 Y mowę do nich uczynił żáłosną.
 Jeszcze chcesz Boże sług swoich rátować,
 Jeszcze to wcale Krolestwo záchować.

Y potrwa pewnie, kiedy ludzie takie,
 Takięgo serca, y takiey mam ręki:
 A ty, o zacna paro ludzi, iakie
 Masz mieć odemnie nagrody, y dzięki?
 Będą te wasze dzielności iednákie
 Podawać świátu, wieczney sławy dźwięki.
 To samo wielka nagrodá ná świećcie,
 Lecz y odemnie część państwá weźmiećcie.

* * *

To mowiąc stárzec zálewał się łzami,
 Y z płaczem w głowę oboie całował:
 Ale Soliman, co siedział z rádami,
 Wielką z tey sprawy zazdrość pokázował.
 Y ia nie dármo miecz noszę, y zwámi
 Poydę, y tu (pry) nie będę proznował.
 Kloryndá ná to: O Krolu, o Pánie,
 Poydziemli wszyscy, kto z tobą zostanie?

* * *

Już się chciał ozwać Argánt niecierpliwy,
 Ze niechciał z niem bydz ná tę drogę zgodny:
 Ale uprzedził, y wzrok Krol szedziwy,
 Do Solimaná obrocił łagodny.
 Na kazdem mieyscu Rycerzu cnotliwy
 Pokázowałeś, ześ sobie podobny:
 Y ná naygorsze rázy zówždy śmieie
 Szedłeś, y biłeś swe nieprzyiaćiele.

* * *

Y wiem, żebyś mógł co godnego spráwić
 Tey wielkiey sławy, którą masz ná świećcie:
 Ale wzdyc kogo muszę z was zostawić
 Przy sobie, ktorzy dzielnością słyniećie.
 Nákoniec y tych niechciałbych wypráwić,
 Bo wiem iáko wy krwie nie szánuiećie:
 Kiedyby się kto inszy tego ważyć,
 Y ná tak wielki chciał się czyn odważyć.

Więc iż po wszystkich stronach iako wiemy
 Gęsta straż wkoło wielkiej wieże chodzi:
 Y trochę ludzi nic nie uczyniemy,
 Woysko też wszystko wywieść się nie godzi.
 Tá para, co się iako to słyszymy
 Tego chce podjąć, niech ná to wychodzi,
 Która takich dzieł nie raz dowodziła:
 Y którą może kłaść za inszych siła.

* * *

A ty, tak iako Krolowi należy,
 W bramie proszę cię, bądź gotow z inszemi:
 Ze kiedy ci wzad poydą, y ná wieży
 Uyrzemy ognie z dymami gęstemi.
 Gdzie nieprzyaciel w pogonią pobieży,
 Ty ich ratujesz z rotami świeżemi.
 Tak się Krolowi koniecznie to zdało,
 Ale Sułtaná przedsię to bolało.

* * *

Przymowił się też Jzmen do tey sprawy,
 Lepiej (powiada) że pozniej wyndziecie:
 A ia wtem śiarki, y insze przyprawy
 Zgotuię, ktore zsobą ponieściecie.
 Przeto czekaycie odemnie odprawy,
 Y straży spiące pręcey tak naydziecie.
 Podobáło się Jzmenowe zdanie,
 Y rozeszli się, pozwoliwszy ná nie.

* * *

Kloryndá zátém zwyczajny złożyła
 Szyszak, y zbroię srebrem nabiianą:
 A inszą ná się niezwykłą włożyła,
 (Co iuż był zły znak) czarno smalcowaną.
 Zeby się ná niey w nocy nie świeciła,
 Tusząc tak łatwiey udać się nieznaną.
 Był przy niey Arset ktory ią wychował,
 Y prawie z pieluch dotąd iey pilnował.

Ten kedykolwiek iedno się udął,
 Wszędzie szedł za nią ląty obciążony:
 A widząc że się niezwykło ubrał,
 Postrzegł że w pole wynieść chciał z brony.
 Y przez życzliwość którą po niem znał,
 Y przez śiwy włos na niey wysłużony:
 Prosił, aby się na to rozmyślał,
 Ale daremna iego prośba była.

* * *

Potem rzekł: Jż cię prosby nie obesły,
 Y także na złe swoje zátwardziła:
 Ześ y na te łzy, y na wiek moy zesły,
 Y na tę radę życzliwą niedbała.
 Powiemci teraz twoy stan, y wiek przeszły,
 Od tego czasu kiedyś beła mała:
 Wszystko prawdziwie, wszystko nieomylnie,
 Zátem tak pocznie: A tá słucha pilnie.

* * *

Synáp bogáty szczęśliwie sprawował
 Ethyopią, z inszemi kráiami:
 Który obrzędy, y wiarę zachował
 Máryey Syná, z swemi Murzynámi.
 Gdziem Pogáninem będąc posługował
 Krolowey, między biálemi głowámi
 Za niewolnika, która czarna była,
 Ale gładkości czarność nie wadziła.

* * *

Krol ią miłował, ále się z miłością,
 Tak w niem zawisna boiaźń pomięszala:
 Ze choć słynęła cnotą y czystością,
 Zupelney wiary u niego nie miała.
 Tem niedowiárstwem, tą zięty zazdrością,
 Chciał, żeby záwsze w zámknieniu mieszkála.
 Oná to wszystko co Krol chciał czyniła,
 Y z gmáchu piędzią nigdziey nie chodziła.

Tám obrázami między nabożnemi,
 Biała dziewicą belą malowana:
 Ktora okrutnie powrozy mocnemi,
 U twardey skały belą uwiązana.
 Smok do niey bieżał, y kiedy ostremi
 Kłami od niego miała być szarpána:
 Ostrem go Rycerz przepędził żelazem,
 Przedtem się często madlała obrazem.

* * *

Wtem dziećmi zaszła, y bywszy brzemienną,
 Ciebie dziecinę białą urodziła:
 A widząc bárwę w dziecięciu odmienną,
 Niezwykłemu się cudowi zdziwiła.
 Y potem troską strapiona codzienną,
 Płod ten przed Krolem táć umyśliła:
 Obawiając się, aby z twey białości
 Zle nie rozumiał o iey státeczności.

* * *

Y ná tve mieysce inszego szukała,
 Bojąc się Krolá, dziecięcia czarnego:
 A iż tám żywą duszą nie mieszkála,
 Okrom białychgłów, okrom mnie sáмого.
 Mnie cię ná ten czas beze krztu oddála,
 Swiádomá moiey wierności, ktorego
 Ták prętko dzieciom nigdy tám nie dáia,
 Rożny wtem zwyczaj w támtych krajach máia.

* * *

Oddála mi cię z płaczem, y zleciła
 Dáleko cię gdzie zanieść ná chowanie:
 A kto wymowi? iáko się trapiła
 Jákie ostatnie beło iey żegnánie.
 Całowała cię, łzami twarz moczyła,
 Powtarzáiąc swe smętne nárzekánie.
 Nakoniec w niebo weyrzawszy ták rzecze:
 O ty, co skryte myśli wiesz człowiecze:

Jeślim chowając niezmążane łoże,
Przeciw małżeńskiej nie zgrzeszyła wierze:
O się nie mówię: Wiem na się moy Boże
Jnsze swe grzechy, ale nie w tey mierze.
Za niewinnością proszę, co nie może
Od swoiey własney mleką mieć macierze:
Niech żywie matce podobne czystością,
Za twoią łaską y dobrotliwością.

* * *

Y ty Rycerzu święty, coś na sroga
Smierć, nie dał dziewczki niewinney smokowi;
Jeśli co z lichem nabożeństwem mogą
Stawiane świece twemu obrazowi.
Weś w swą opiekę dziecinę ubogą,
Bądź niewinnemu obrońcą wiekowi:
To rzekszy zmiłkła, y mowę zawařła,
Y od żałości ledwie nie umarła.

* * *

Ja przyjąwszy cię, niosłem cię z kłopotem
W małej nakrytey skrzynce w one czasy:
Y takim umiał potrafić, że o tem
Nie niewiedzieli, y obcy, y nasz.
Szedłem nieznany polmi, ale potem,
Kiedym wszedł z tobą między gęste lasy:
Uyrzę że Lwicą prosto do mnie bieży,
Gębę rozdżiewia, a grzbiet ostry ieży.

* * *

Jam uciekł na dąb, a tyś porzucona
Odemnie w trawie pod drzewem leżała:
Ona przypadnie, y zastánowiona,
Strąsyliwą głowę nad tobą trzymała.
Potem postawszy mało coś zmiękczone,
Już okiem na cię łaskawem patrzyła:
Y chropawem cię lizala ięzykiem,
Ktoby rzekł? że jest litość w zwierzu dzikiem.

Tys iey małemi straszney ręczynami
 Siegála gęby, y ná nieś się śmiała:
 Wtemci się swemi zniżyła pierśiami,
 Ssałaś ią zątem, gdy nad tobą stała.
 A ią zakryty między gałęziami
 Strętwiałem, widząc iaka się rzecz działa:
 A skoro cię swem mlekiem nakarmiła
 Poszła, y gęstem łasem się okryła.

* *

Wziąwszy cię potem szedłem dąley w drogę,
 Y do miasteczka trąfilem iednego:
 Gdziem mąmki dostał, ktora cię niebogę
 Karmiła, godną chowania inszego.
 Tąmem rok cały ile pomnieć mogę,
 Y połowicę wymieszkał drugiego.
 Tys iuż niektore słowa wymawiała,
 Y postępować iużes poczynąła.

* *

Ale kiedy mi dobrze nąchylony
 Rądził ná pokoy wiek w podeszłem lećie:
 Złotem od mątki twoiey obciążony,
 Ták żem mogł nędze nie ćierpieć ná świećie,
 Porzucić żywot błędny uprzykrzony,
 Y żyć w oyczystem myśliłem powiećie:
 Y z przyaćioły zażyć lepszych czasow,
 Wetuiąc przeszłych trudow y niewczasow.

* *

Ták do Egiptu do swoiey rodziny,
 Ztobam się ząraz puścił w oney chwili:
 Ale nád rzeką wypadszy z krzewiny,
 Ze wszystkich mię stron zboyce ząskoczyli.
 Coż było czynić? porzucić dziećiny
 Niehcę, mnieby też iuż beli żábili.
 Puściłem się wpław iedną cię trzymając,
 A drugą ręką iąkom mogł pływając.

Ze dżdżá, y z długiey rzeká niepogody
 Wezbrała beła, y bystro bieżála:
 A kiedym przyszedł gdzie naygłębsze wody,
 Ząkręciwszy mię, ná doł mię porwála.
 Prozno iuż było uść widomey szkody,
 Upuściłem cię, ále cię trzymála
 Y wyniosła cię wodá ná brzeg niski,
 Jam też wypłynął bywszy śmierci bliski.

* * *

Noc zátem przyszła: iam się też położył,
 A kiedy beło o pułnocy prawie:
 We snie ogromny Rycerz ná mię złożył
 Drzewo, w sarowey y groźney postawie.
 Czemuś krzest dotąd dziecięciu odłożył?
 Jákoć zleciła mátká ná odprawie.
 Okrzęsisz iá (práwi) Bog tak chce koniecznie,
 Y ia iey mam być opiekunem wiecznie.

* * *

Jam y dziękiemu litość dał zwierzowi,
 Y bystrey wodzie, y bronię iey wszędzie:
 A ty, gdzie temu nie uwierzysz snowi,
 Ktoreć Bog zsyła, obaczysz coć będzie.
 Wtem wstawszy, ztamtąd wyszedłem ku dniowi,
 O krzcie nie myśląc, bom został w tem błędzie:
 Zem we snie tylko iákąś widział mārę,
 Y swam rozumiał bydz prawdziwą wiārę.

* * *

Táilem tego, tyś się uchwála
 Pogánką zátem: y tąś dotąd była,
 Y śmiałaś potem y mężną została,
 Y przyrodzenieś y płeć zwyciężyła.
 Sławyś y Państwa dzielnością dostała,
 Y sáma pomnisz iakoś potem żyła:
 Y żem ná wszystkich woynách w káżdey dobie,
 Był iáko óciec, y sługá przy tobie.

Ale zaś wczorą kiedy miał świt rany
 Wychodzić na świat, swem promieniem złotem:
 We snie on pierwszy Rycerz rozgniewany,
 Stanął przedemną, y tak mowił potem:
 Już czas nądchodźi nie ząhąmowany,
 Ze się Kloryndą rozstąć ma z żywotem:
 A choćias niechćiał, gwałtem przedsię oną
 Poydźie do niebą, y będzie zbąwioną.

* * *

Wtem zniknął: A ty uważ to u siebie,
 Zeć coś strąsnego te sny obiecuią:
 Y niewiem iák to tem poydźie na niebie,
 Co swych rodziców wiąre przeszładıą.
 Przeto, ieśli co łąski mam u ćiebie,
 Zostąń, y te łzy niechay cię hąmuią.
 Wtem umilkł: Z strąchem Kloryndą słuchął,
 Bo tákı drugi nie dąwno sen miął.

* * *

Potem ták rzekł: Tę wiąre chcę chowąć,
 Ktorą rozumiem bydź dotąd prawdźiwą:
 Y w ktoreyeś mię ty sam chćiał uchowąć,
 A teraz ią chcesz udać zą wątpliwą.
 Więc dla boiązni niechcę odstępować
 Rzeczy zączętych, nie tákem lękliwą:
 Abym się na strąch iákı oglądął,
 Choćbym też dobrze umrzeć ząraz miął.

* * *

Potem go mową łągodną ćieszyłą,
 A iż iuż ich czas przychodźił wyprawy:
 Z Cyrkąszczykiem się odszedszy złączyłą,
 Co towąrzyszem miął bydź do tey sprawy.
 Dzielność co przez się sámą się kwąpiłą,
 Jzmen zągrzewa, y dąwá przyprawy
 Do ząpąlenia z śiarki uczynione,
 Y świece skryte, y w miedźi zámknione.

Wychodzą spiesznie przez nocne ciemności,
 Z miasta pospołu one dwie osobie:
 Y pełni dotąd szczęśliwey śmiałości,
 Już blisko wieże beli w oney dobie.
 Serce w nich skacze od wielkiej radości,
 Y nie może się zmieścić samo w sobie:
 Na krew ich chciwość podwodzi nie syta,
 Wtem straż postrzeże, y o hasło pyta.

* * *

Ci przedsię w ciemnem idą cicho mroku,
 Straż w łarmę biie, hasła już nie bada:
 Ale cna pará cicho więcej kroku
 Nie niesie, y już więcej się nie skrada.
 Jako więc piorun Jowiszow z obłoku
 Razem się błyska, y grzmi, y wypada:
 Tak y ci razem do straży skoczyli,
 Razem nátarli, razem się przebili.

* * *

Przez tyśiąc mieczow ostrych prześć musieli,
 Y to, na co się událi, sprawili:
 Do przypraw ktore od Jzmená mieli
 Négotowane knoty przyłożyli.
 Ział się ogień, y tak iáko chcieli,
 Ogromną wieżę iemi zápalili:
 Płomień się szerzy, gęste dymy wstáia,
 Y iásne twarży gwiazdom záslaniaia.

* * *

Widáć, á ono okrutne płomienie
 Jdąc ku niebu z dymem się mieszáia:
 A z ktorey strony wiátr na wieżę wienie,
 Błędne się ognie do kupy zbieráia.
 Świátlá niezwykle, nocne pędzą cienie,
 Y Chrześciány bláskiem urážáia:
 Gdzie poyrzysz wszędzie strách między námioty,
 Giná w godzinę tak długie roboty.

Tem cząsem rącho prosto ku ogniewi,
 Hufiec z obozu bieżał wyprawiony:
 Cyrkászczyk woła, y grozi ludowi,
 Ten ogień wászą krwią będzie zgászony.
 Ale niemogąc wytrzymać gwałtowi,
 Zlekká uchodził z Kloryndą ściśniony.
 Jáko po deszczu wielkiem potok zbiera,
 Ták ná nich co raz wiétszy lud náciera.

* * *

W otwártey bramie z ludźmi przebránemi
 Czekał Soliman, ná nich w oney chwili:
 Przed pogoniámi nieprzyacielskimi,
 Uwieść ich w miásto gdzieby się wroćili.
 Już beli zá prog uszli, lecz zá niemi
 Wpádli ói w bramę, ktorzy ie gonili:
 Ale ich wyparł Sultan, y wzwod spuścił,
 Y sámey tylko Kloryndy nie puścił.

* * *

Ták wszyscy twierdzą iednostáynie o tem,
 Ze włásnie kiedy wzwod był podnieśiony:
 Zágoniła się zá Ardeliotem,
 Ktory iey zádał raz niepostrzeżony.
 Y Argánt tego nie widział, że potem
 Wroćiła się wzad, y wypádła z brony.
 Bo y noc belá, y w oney pogoniei
 Y mieszaninie, nie mógł wiedzieć o niey.

* * *

A skoro swoy gniew y serce záżárte
 W Chrześciáńskiei krwi w on czas záprawiła:
 Widząc że bramy y miásto záwárte,
 Po wielkiey części o sobie zwątpiła.
 Ale nadzieią płochą myśli wspárte,
 Prętko ná nowy fortel obroćiła:
 Za iednego się z ich woyská udála,
 Y między nié się nieznána wmięszála.

Potem iako wilk co stado rozbiie,
 Dopadszy lasu, prętko z oczu ginie:
 Jdzie ukradkiem, y łatwie się kryie
 W nocy, y w oney wielkiey mieszańinie.
 Lecz Tánkredowi przedsię się nie skryie.
 Ten widział, kiedy w oneyże godzinie,
 Ardeliotá przed bramą zabiłá,
 Y pilnował iey, gdzie się obrociłá.

* * *

Mniema, że to mąż iaki doświadczony,
 Nie myśląc aby białą płcią bydz miałá:
 Chce się z nią spátrzyć, á tá z iedney strony
 Obbiegszy, w miasto drugą bramą chciłá.
 Y niż iey Tánkred dognał zápędzony,
 Ná chrzést się iego zbroie obeyrzałá:
 Co prawi nieśiesz? On iey ná to powie:
 Y śmierć, y wojnę: Ona zaś odpowie.

* * *

Jeśli chcesz śmierci, y tá cię nacieszy,
 Damci iá wnetże. Wtem stánęłá wkroku:
 On widząc że beł nieprzyiaćiel pieszy,
 Zárazem z siódłá w prętkiem wypadł skoku.
 Ták zbywszy koniá, do niey się pospieszy,
 Y oboie szli po miecze do boku:
 Y ták się zwarli, iako srodzy byey,
 Przy swey się lubey bodá iáłowicy.

* * *

Jásnego słońcá godne to czynienie
 Wasze tám bełó, o Rycerze wzięci:
 A ty, o nocy, cóś ná nie swe cienie,
 Y płaszcz z zawisney kładłá niepamięci:
 Dopuść mi, proszę, y day pozwolenie,
 Aby mem piorem beli z niey wyięci.
 Niechay trwa wiecznie sławá ich dzielności,
 Y niech się świeci pamięć twey ciemności.

Nie dybią ná się, ani się składáią,
 Nic iem szermierskie sztuki nie pomogą:
 Pełneli rázy, skąpeli bydz máią
 W ćieniu, y w gniewie rozeznác nie mogą.
 Słyszeć ze miecze straszny dźwięk dawáią,
 A żaden kroku nie ustąpi nogą:
 Tá stoi w mieyscu, á ręką pracuie,
 Co raz nowy sztych, y cięcie znáyduie.

* * *

Obelżenie gniew do pomsty podwodzi,
 Pomstá przydawa potem obelżenia:
 Ztądże iem zawnždy do nowych przychodzi
 Przyczyna do cięcia, boycow do kwápienia.
 Mięsza się bitwá, co raz cięśniey chodzi,
 Już iem nie służą miecze do czynienia:
 Białą się srodze wzaiem głowicami,
 Tłuką się hełmy, tłuką się tarczami.

* * *

Trzykroć iá ścisnął, trzykroć także oná
 Wydárła mu się, z węzła tak mocnego:
 Ktorem nie beła z miłości ściśnioná,
 Lecz z nieprzyiáźni y gniewu wielkiego.
 Znowu do mieczow poszli, iuż ránioná
 Y oná, y on, iuż y tchu sáмого
 Ledwie iem stáię. Potem się cofnęli,
 Aby po wielkiey pracy odpocznęli.

* * *

Ták ná mieczowey wspárszy się głowicy,
 Pátrzáli ná się, tá z tey, ow z tey strony:
 Kiedy Apollo swoiemu woźnicy
 Nieść kazał ná świat dzień światdem pleciony:
 Widzi krwie śilá Tánkred ná dziewicy,
 Cieszy się hárdy, że mniey obrázony.
 O ludzkie myśli, głupie to czynicie,
 Ze się zá ládą szczęściem unoście.

Z czego się cieszysz o Tánkredzie? czemu
 Chępnisz się szczęściem omylnem piliány:
 Wrychle zwycięstwu nierad będziesz swemu,
 Y będziesz plakał tey krwie, y tey rány.
 Chwilę się milcząc, on iey, oná iemu
 Przypátrowáli sobie ná przemiány.
 Nákoniec Tánkred ozwał się z swą mową,
 Pytając kto beł, y iáko go zową.

* * *

Spolne to (práwi) nieszczęście spráwuie,
 Ze naszą dzielność pokrywa milczeniem:
 A iż nam zły los sławę odeymuie
 Słusznie nábyta, tak mężnem czynieniem:
 Proszę cię (ieśli gniew prośbę przyimuie)
 Powiedz mi twoy stan, z twem własnem imieniem:
 Niech wiem, lub przegram, lub wezmę zwycięstwo,
 Kto śmierć ozdobi, álbo moje męstwo.

* * *

Oná mu ná to: Jmienia moiego
 Nie będziesz wiedział, iuż cię to omyli:
 Dosyć masz ná tem, że widziś iednego
 Y tych dwu, co wielką wieżę zápalili.
 Háda odpowiedź Rycerzá zacnego
 Tak uráziła, bárzo w oney chwili:
 Ze do niey znowu wielkiem pędem skoczył,
 Aby się zemścił, y miecz w niey omoczył.

* * *

Wraca się iem, gniew w serca zaiątrzone,
 Choć się każdy znich bárzo słábem czuie:
 Náuka zá nic, síły iuż zemdlone,
 A ná ich mieysce wściekłość następuię.
 O iáko wielkie, y niewymowione
 Rány miecz czyni, gdzie iedno záymuie:
 W zbroi y w cieie, á że żywot ieszcze
 Nie wyszedł, gniew mu w sercu czyni mieysce.

Jáko Oceán choć wiátry ustály,
 Ktore go z gruntu dopiero wzburzyły:
 Długo nadęte trzyma swoje wály,
 Niżli swoy strászny gniew uspokoiły.
 Ták y ci, choć iuż wszystkie osłabiály,
 Choć w nich upadły sprácowáne śiły:
 Swą popędliwość pierwszą zachowuią,
 Y wielkiem gwałtem ná się następuiá.

* * *

Ale iuż przedzę Párká nteużyta,
 Kloryndżinego żywotá zwiiála:
 Pchnął iá w zánádrze Tánkred, y obfitą
 Miecz utopiony krew wytoczył z ciála.
 Y zmoczył złotem koszulę wyszytą,
 Ktorą pánieńskie pierśi sznurowála:
 Czuie, że iá iuż nogá ledwie wspiera,
 Y ze iuż mdleie, y że iuż umiera.

* * *

Jdzie zá szczęściem zwyciężcá surowy,
 Y sztych śmiertelny pędzi między kości:
 Oná konaiąc rzekła temi słowy,
 Zwykley. ná twarzy nie tracąc śmiałości:
 Ktorą znać, że w niey duch sprawował nowy,
 Duch skruchy, wiary, y świętey dufności.
 Ze choć Pogánką zá żywotá była,
 Umieraiąc się áto nawróciła.

* * *

Odpuśćci Boże, áto masz wygráną,
 A ty też, proszę, odpuść moiey duszy:
 Proś Bogá zá nię, y grzechem spluskáną
 Oczyść krztem świętem, y zbroń od pokusy.
 Tą żałościwą, tą niespodziewaną
 Prosbą iey Tánkred zarázem się ruszy:
 Y wewnątrz żalem okrutnem dotkniony,
 Umarza gniewy, y płacze zmiękczony.

Do przezroczystey pobieżał krynice,
 Która z przylegley gory, wynikała:
 Y w hełm porwawszy wody, do dziewice
 Wrócał się, która iuż dokonywała.
 Kiedy iey dotąd niepoznane lice
 Odkrył z szyszaká, ręká mu zadrżała:
 Pozna ię zaráz, y iáko słup stánie,
 O nieszczęśliwe, y przykre poznánie.

* * *

Nie umarł zaráz, bo wszystkie swe mocy
 Zebrane, sercá pilnować wyprawił:
 Y dusząc w sobie żal, koło pomocy
 Świętey się wszystek ná on czas zabawił.
 Śmiech wdzięczny piękne wydawały oczy,
 Skoro Krzest święty cny Rycerz odprawił:
 Y tak się zdało iákoby mówiła,
 Niebom osiąglá, niebám dostąpiła.

* * *

Máło co pierwszey stráciwszy piękności,
 Jáko lilia, białá bárwą bládlá:
 Ná iásne niebo, zda się że z litości,
 Gdy w nie pátrzało, czarna chmurá pádlá.
 A nie mogąc iuż mowić, życziwości
 Znák zimną rękę ná Rycerzá kładlá.
 Tak piękna dziewczká w on czas umierała,
 Ze kto niewiedział rozumiał że spała.

* * *

On widząc iá iuż umarłą, strapiony
 Siły niedawno zebrane rozpuścił:
 Z ktorych tak nagle będąc obnáżony,
 Władzey nád sobą żalowi dopuścił.
 Ten w żywot w máłym mieyscu utáiony,
 Y w twarz, y w zmysły, śmierć zarázem puścił.
 Mdleie, trupowi rowien każdá spráwą,
 Bárwą, milczeniem, y krwią, y postáwą.

Y pewnieby był żywot rozgniewany
 Gwałtem się wydarł z śmiertelnego ciała:
 Y w towarzystwie szedł nieutrzymany,
 Z szlachetną duszą co go uprzedzała.
 Ale z trąfunku tam był nadziechany
 Od iedney rot, co wody szukała:
 Tá wzięła dziewczkę, y Rycerzą cnego
 W niey umarłego, w sobie źle żywego.

* * *

Rothmistrz z daleką gdy się rozedniało,
 Poznał po zbroi Książę Chrześcijańskie:
 Uyrzał też przytem martwey dziewczki ciało,
 Okrutną raną przebite Tyrąńskie:
 Y niechciał aby na pokarm zostało
 Wilkom, choć mniemał, że było Pogańskie:
 Ale kazał wziąć sługom ciała obie,
 Y do obozu zanieść ie na sobie.

* * *

Bohątyr ranny pomалу nieśiony,
 Nie czuie, co się koło niego dzieie:
 Ale iż żywot był w niem zataiony,
 Znać po stękaniu, i że ieszcze żieie.
 Tá zaś iako słup leżąc z drugiey strony,
 Zadney żywota nie dawa nadzieie.
 Tak ie na on czas pospołu nieśiono,
 Ale ie w różnych namiećiech złożono.

* * *

Gromadą zatem iego sług życzliwa,
 Do różnych posług zarazem się miała:
 Już też y mdły wzrok, y myśl obłądliwa,
 Lekarskie ręki znać w niem poczyniała:
 Jednak rozeznąć nie mogła wątpliwa
 Długo, iesli się wrociła do ciała.
 Pátrzy po stronách, nákoniec poznawa,
 Y czas, y mieysce, y słyszeć się dawa.

Y życie ieszcze? y światłość słoneczna,
 Y ten mię ieszcze widzi nieszczęśliwy
 Dzień, co świadectwo (o sromoto wieczna)
 Wydawa ná moy żywot niecnotliwy.
 A ty, o ręko sroga y bezecna,
 Ktoraś uczynek zrobiła brzydliwy:
 Weś mi co pręcey zá grzech popełniony
 Żywot, y Bogu, y ludziom wzmierziony.

* * *

Miecz śmiertelnemi nápuszczony iady,
 Wraż mi nagłębiey w serce między kości:
 Czy zá pobożność masz to z iakiey rády?
 Niechćcieć mi skończyć śmiercią tey żałości.
 Y tak żyć muszę? y między przykłady,
 Być pamiętnemi nieszczęsney miłości.
 Zá grzech tak wielki ná plugawą duszę,
 To tylko iest kaźń godna, że żyć muszę.

* * *

Żyć muszę ząwždy w ustáwicznem błędzie,
 Troski y wieczne ćierpiąc niepokoie:
 Cień mię nakoniec własny strąszyć będzie,
 Wymawiaią mi ząwždy grzechy moje.
 W słońce bezpiecznie nie poyrze, y wszędzie
 Sumnienie będzie męki miało swoje.
 Bać się sam siebie, y przed swą osobą,
 Ząwždy się kryjąc, ząwždy będę zsobą.

* * *

Ale niestetysz, gđziesz się wždy podziáło
 Jey czyste ciało? czyli co zdrowego,
 Od moiey wściekley ręki w niey zostało,
 Rozszarpano iest od zwierzu dzikiego.
 Droga potrawá, nieszczęśliwe ciało
 Z ciebie się stála z szaleństwa moiego:
 Ná ktore mię noc (o żalosne czasy)
 Naprzod, á potem zwierz podwiódł łasy.

Jednak, ieśliś iest gdziekolwiek ná ziemi,
 Ze cię gdzie naydę, iestem tey otuchy:
 Ale ieśli swe członkami twoiemi
 Zwierzowie głodni obkarmili bezuchy:
 Abym tylko mógł pospołu być z niemi,
 Niechay mię poźrą, y w lás niosą głuchy.
 Szczęśliwy u mnie grob będzie, co obie
 Ciała w się przyimie, y schowa ie w sobie.

* * *

Ták sam nárzekał z sobą utrapiony,
 Słudzy wtem rzekli, że to ciało mieli:
 Zá temi słowy wzrok wypogodzony,
 Y odmieniony wszyscy w niem widzieli.
 Y choć ták chory, y ták był zemdlony,
 Wstał o swej mocy znienagła z pościeli:
 Y ledwie mogąc przestąpić przez progi,
 Pomálu chore wlokł zá sobą nogi.

* * *

A skoro ręki niepobożney sprawę,
 W pierśiach uyrzały srogą ranę oczy:
 Y pogodnemu iey bładą postawę,
 Podobną niebu chočia w ciemney nocy.
 Zádrżał y lecąc do ziemię poprawę
 Wziął, uchwycony od bliskiej pomocy:
 O wdzięczna twarzy, śmierć mi (prawi) sprawisz
 Słodką, lecz żalu nigdy mię nie zbawisz.

* * *

O piękna ręko, którąś mi podala,
 O wdzięczne chęci ostateczney znaki:
 Jakoś się teraz dobrze rozną stała,
 Stąd mękę, stąd żal, stąd bol cierpię taki.
 Widzę, ách, w członkach niewinnego ciała,
 Moiej wściekłości nieszczęśliwe szlaki.
 Rowno się z ręką o oczy srożyćcie,
 Tá ie zraniła, wy w rany patrzyćcie.

Ani płaczcie: Niechayże w zamiány
 Krew idzie ze mnie, bo łyzy iść nie chcecie:
 Tu uciął słowa, y nie hámowany
 Niechcąc żyć więcey, y zostać ná świecie
 Podrąpał sobie zawinione rány,
 Ták, że krwie beło pełno po namiećie:
 Y zabiłby się sam beł w oney dobie,
 Ale żał czynił, że nie beł przy sobie.

* * *

Y ták przezdźwięki duszą żałościwa,
 Nád iego wolą przy ćiele została:
 Ale po wszystkiem woysku świegotliwa
 Wieść, o przypadku iego powiadała.
 Goffred, y inszych przyacioł życzliwa
 Kupá, ćieszyć go co raz przybywała.
 Lecz wybić troski żadną miarą z głowy
 Nie mogły słodkie, y poważne mowy.

* * *

Jáko kiedy kto tknie rány w pieszczonem
 Członku, bol roście, y tem srozszy bywa:
 Ták przyacielskiem w sercu utrapionem
 Więcey żałości ćieszeniem przybywa.
 Lecz go Pustelnik niechce mieć stráconem,
 Ná rózne się nań dowody zdobywa:
 Y iego upor poważnemi słowy
 Strofuie, y tey używa nań mowy.

* * *

O róžny teraz dáleko od siebie
 Tánkredzie, y od początku twoiego:
 Ktoć wždy odiał słuch? pytam cię, y ćiebie
 Uczynił teraz ták nagle ślepego?
 Twe utrapienie Bog wieczny ná niebie
 Sam ná cię posłał, ten cię do pierwszego
 Gościńcá, któryś opuścił, kieruie,
 Y páłcem ci go prawie ukázuie.

Y do dobrego Rycerzá cię wiedzie
 Chrystusowego, pierwszy powinności:
 Ktorąś opuścił, o głupi Tánkredzie,
 Kwoli niewierney Pogánki miłości.
 Y teraz ná cię z lekką pomstą iedzie,
 Z lekkim karaniem, zá tve nieprawości:
 Y uleczyć cię chce przez cię sáмого,
 A ty nie widzisz dárú tak zacnego?

* * *

Y Bogu się chcesz przeciwieć sámemu,
 Ktoryć łaskáwey dodawa pomocy:
 Obacz się proszę, á żálowi temu.
 Tákiey nad sobą nie dopuszczay mocy.
 Już ato iáwnie ná doł ku wiecznemu
 Zginieniu lećisz, ieno otworz oczy.
 Przebog, hámu y się w tey záłości swoiey,
 Co cię do śmierci prowadzi oboiey.

* * *

Strách iedney śmierci, który mu przekládał,
 Chciwość mu drugiey z nienagłą wyimował:
 Y uważaiąc pilnie co powiádał,
 Nieutulony płacz w sobie hámował.
 Ale nie tak żał przedsię z sercá skłádał,
 Aby nie wzdychał, y nie lámentował.
 Czasem sam w sobie skryćie nárzekáiąc,
 Czasem z umárłą głosem rozmawiając.

* * *

Lubo wieczorne, lubo wstáią ráne
 Zorze, iey woła, iey płácze, iey prósi:
 Ták iáko słowik, co mu nieodżiane
 Piory dziećiny myśliwiec unosi.
 Y dni y nocy prowadząc niespáne,
 Nápełnia polá, y swe żále głoši.
 Nákoniec kiedy świtáć poczynáło,
 Między łyzy w oczy wpádko mu snu máło.

Wtem mu się w szacie gwiazdami nátknionej,
 Kochána jego przez sen ukazała
 Dobrze piękniejsza: y w iásności oney
 Niebieskiey będąc, poznać mu się dała.
 Y zdało się, że w postawie skłonioney
 Do śmiechu, łzy mu z oczu ućierała.
 Przypatrz się (práwi) teraz mey piękności,
 Y mey ozdobie, á skróć swey żałości.

* * *

Toś mi ty wszystko z łaski swoiey sprawił,
 Z światá mię tego omyłką zgładziwszy:
 Y u Bogás mię ná łonie postawił,
 Godną mię niebá przez krzest uczyniwszy.
 Tyś mię wiecznego żywotá nábawił,
 Lecz y ty ciało śmiertelne złożywszy:
 Masz tu mieć mieysce, gdzie w wieczney światłości
 Cieszyć się będziesz z twej y z mej piękności.

* * *

Y ieśli niebá nie záyrzysz sam sobie,
 Y zmyśł cię z drogi prawdziwey nie zwodzi:
 Zostań żyw, á wiedz, że się kocham w tobie,
 Jáko się kochać nam w stworzeńiu godzi.
 Ták mowi, á wtem chęci w oney dobie,
 Ogień życzliwy z oczu nań wywodzi.
 Potem się w swoje promienie zamknęła,
 Y wlawszy weń tę poćiechę, zniknęła.

* * *

Ocknął się zátem y wstał poćieszony,
 Y lekarzom się iuż dał opátrować:
 Y martwe ciało tem czásem strapiony,
 Po Chrześciańsku rozkazał pochować.
 A chocia nie był mistrz iáki uczony,
 Co miał grob z drogich mármurow ukować.
 Przedsię ile czás znośił, był obrány
 Kámiień, z ktorego grob był wykowany.

Do którego ią z lanemi świecami,
 W wielkiej gromadzie w pole prowadzili:
 Potem iey zbroię między gąleziemi
 Rospiętą, wielkiej sośnie zawieśli.
 A sam iak skoro zwątlony ranami
 Wzmógł, y podniósł się z łoża w oney chwili:
 Zarázem wnętrzney pełen pobożności,
 Poszedł nawiedzić pogrzebione kości.

* * *

Gdy przyszedł nad grob, gdzie iego żywemu
 Sercu więzienie złe nieba przeżywały:
 Zimny, wyblądły, rowien umarłemu,
 Wlepił wzrok w kámięń, y sam skámieniály.
 A nie mogąc się płaczowi śilnemu
 Odiąć, do głuchey ledwie przerzekł skały.
 Wdzięczny kámięniu, y kochány grobie,
 Co płomień masz wnątrz, zwierzchu moy płacz w sobie.

* * *

Nie martwy w tobie popioł, ale żywy,
 Pełen miłości ma swoje mieszkanie:
 Y czuie z ciebie zwykły przeraźliwy,
 Płomien, lecz przykszy sercu nad mnięmanie.
 Przyimi, ách, proszę, ten płacz żáłościwy,
 Y pokropione łzami całowanie:
 A poday ie zás w swej skrytey zasłonie
 Lubem zewłokom, ktore masz w swem łonie.

* * *

Bo iesli duszá do swoiego ciała
 Wraca się kiedy, y do swoich kości:
 Nie będzie zá złe bez wątpienia miała,
 Twey pobożności y moiej śmiáłości,
 Y odpuści mi: W te tylko zostála
 Nádzieie duszá w tey tu śmiertelności:
 Ręká zła tylko popełniła winę
 Jam żył miłuiąc, miłuiąc ią zginę.

Wżdyć kiedy przyidzie, y moiey potrzebie
 Dogodzi ten dzień szczęśliwy y święty:
 Ze co to teraz błędę koło ciebie,
 W ten czas iuż będę w łono twe przyięty.
 Niech zgodne dusze społ mieszkają w niebie,
 Niech oboy proch trwa wiecznie nierozięty.
 A czego żywot mieć nie mógł stroskány,
 Śmierć będzie miała: O dniu pożąday.

* * *

Tem czasem o iey przygodzie powieści,
 Y ciche w mieście szemrania powstały:
 Potem iuż pewne y głośniejsze wieści,
 Między lęklivem ludem wóiaż latały.
 Wszędzie łamenty, wszędzie krzyk niewieści,
 Jakoby mury, y wysokie wały:
 Już nieprzyaciół wszystkie opánował,
 Y iuż bogate kościoły plundrował.

* * *

Ale naywięcey oczy ludzkie zeszyły
 Ná się obrocił Arset żałościwy:
 Y iako inszem łyzy mu z oczu nie szły,
 Bo od żałości ledwie się zdał żywy.
 Ale od gminu gęstego obeszyły
 Stękał, nakrywszy prochem włos szędziwy.
 Wtem gdy się wielki tłum do niego zbierał,
 Argánt we śródku stojąc, tak wywierał.

* * *

Chciałem ia zaraz, że krotko wspomionę,
 Postrzegszy pierwszy, że w polu została:
 Wypadszy z bramy iść iey ná obronę,
 Zebyswá bełá spolny los cierpiála.
 Wołałem áby otworzono bronę,
 Aby się bełá iako ratowała:
 Ale dąremne beło me wołanie,
 Bo Krol surowe czynił zakázanie.

Y bym był wypadł iákom chciał, bezpiecznie
 Y zdrowobym iá ná zad był wprowadził:
 Albobym był chciał léć przy niey koniecznie,
 Y niktby mi był tego nie rozrádził.
 Coż było czynić? Jam się iey státecnie
 Stáwił, ále Bog ináczey urádził:
 Ato iuż oná umarła g dzieś leży,
 A ia też pomnié to co mi należy.

* * *

Niech Jeruzálem y niebá słucháią
 Tego, co teraz Argánt obiecuie:
 A gdzie nie strzymá, niechay nań spadáią
 Wszystkie pioruny, co się ich ná yduie.
 Przyśięgá áto, niech to pámiętáią,
 Pomścić się iey krwie, y iáwnie slubuie:
 Ze mieczá tego od boku nie zbédzie,
 Aż Tánkredowi ná gárle usiędzie.

* * *

Ták rzekł: á g łosy życzliwe, z pobudki
 Pospolitego ludu powstáwały:
 Y z obiecáney przyszley pomsty smutki,
 W żáłosnych sercách znienaglá niszczáły.
 Prożne przyśięgi: bo przeciwné skutki,
 Ludzkie nádzienie, w krotkiem czásie miáły.
 Y w rychle potem ten legł od támtogo,
 Ktorego dziś ma żá zwyciężonego.

KONIEC PIEŚNI DWANASTEY.

PIESN TRZYNASTA.

ARGUMENT.

Jzmen w lás czárty pędzi w one czasy,
Y mieć ie cąle zá ich strażą tuszy:
Tych co po drzewo wysyldią w lásy
Precz wyganiądą piekielne pokusy.
Tánkred się potem rąbać w niem ostrąszy,
Lecz dármo kwoli żywey w drzewie duszy.
Woysko gorącem wielkiem upalone
Moc bierze, hoynem deszczem ochłodzone.

Ale záledwie w popiół y w perzyny,
Płomienie wieżę posłały strászliwą,
Jáko zły Jzmen oneyże godziny,
Rádę w swey głowie nádował złośliwą.
Myśląc przekázić, áby leśne czyny,
Do woyská nie szły, rzecz bárzo szkodliwą:
Y áby inszey wieże nie robiono,
Z ktoreyby znówu wátły mur tluczono.

* * *

Blisko obozu beł między pustemi
Lás dolinami nie przeyrzány okiem:
Gęsty, zárosły drzewámi wielkiem,
Cień wszędzie czyniąc liściem swem szerokiem,
W niem kiedy słońce promieńmi swoiemi
Naiśniefy świeci, ná niebie wysokiem:
Jest takie światło, iáko jest gdy wstawa
Noc po dniu, lub dzień po nocy náfawa.

A kiedy słońce pod ziemię uchodzi,
 Mgła w niem ustawną, y mrok nieprzeyszany:
 Jaki się w piekle ledwie tylko rodzi,
 Który strach sercu czyni niewytrwany.
 Tu pasterz swego na paszę nie wodzi
 Stadą, tu pielgrzym chybą obłąkany,
 Dla miłych cieniów nigdy nie wstępuje,
 Ale go zdala palcem ukazuje.

* * *

W niem się z odległych królow czarównice
 Schodzą, z nocnymi swemi miłośnikami:
 Co obracają swą postać na nice,
 Z tego smok, z tego wieprz się sstaie dziki:
 Z tego zaś kozieł, y w pewne księżyce,
 Przy dźwięku nocney piekielney muzyki
 Swe odprawiają przekłete bieśiady,
 Y niepobożne tance, y obiady.

* * *

Tak o tem wszyscy mieszkańcy trzymali,
 Y rozgi żadney uciąć w niem nie śmieli:
 Lecz Chrześciance pierwszy w niem rąbali,
 Y drzewo z niego na Tarány mieli.
 Tu gdy naytwardziej wszyscy ludzie spali,
 Tak, że y swoi o niem niewiedzieli,
 Jzmen się stawił, y uczynił koło,
 Y skreślił dziwne cháraktery wkoło.

* * *

Y boso wkoło skreślone wstąpiwszy,
 Szemrał sam zsobą słowa wielkiej mocy:
 Potem się trzykroć na wschod obrociwszy,
 Trzykroć na zachod zaśię wracał oczy:
 Y trzykroć także laską uderzywszy,
 Ktorą umarłe z grobow budzi w nocy.
 Trzy razy ziemię deptał będąc boso,
 Potem wypuścił te straszliwe głosy.

Wszyscy Duchowie, ktorzy tu mieszkaćie,
 Strąceni z niebá gromy ognistemi:
 Y co mieszkanie ná powietrzu maćie,
 Y niepogody wzbudzaćie ná ziemi.
 Y wy, ktorzy się piekły opiekaćie,
 Trapiąc złe dusze ogniami wiecznemi:
 Słuchayćie, y ty co iem roskazuiesz,
 Y w Acheronćie podziemnem pánuiesz.

* * *

Wam Jzmen ten lás wiecznie odkazuie,
 Wam go oddaie ze wszystkimi drzewy:
 Jako duch w ciało wchodzi y wstępuje,
 Tak y wy wnidźcie w wysokie modrzewy.
 Niech Chrześćianin, co się w niem gotuie
 Rąbać, ućieka przed wászemi gniewy.
 Tak rzekł: y przydał swe bluźnierstwa sprosne,
 Pobożnem sercom, y uszom nieznośne.

* * *

Ná iego słowa pełne wielkieu trwogi,
 Noc swe pogodne światło utraciła:
 Y Phebe iasne zasłoniwszy rogi,
 Piękną twarz swoię w chmurze utopiła.
 On znowu woła, y głos puszcza srogi,
 Tak długa zwłoka bárzo mu niemiła.
 Czego tak długo (powiada) mieszkaćie?
 Czy więtszych kląteu odemnie czekaćie?

* * *

Jeszcze ia ná was naydę inszą drogę,
 Y potężnieyszych przybiorę pomocy:
 Nádto wymowić y umiem, y mogę
 Jmię straszliwe, imię wielkieu mocy:
 Ná ktore pieklá drżą, y czuie trwogę
 Z swoim Abissem sam Krol wieczney nocy.
 Chciał daley mowić czárnoksięźnik stary,
 Lecz poznał, że iuż skutek bráły czary.

Cmami Duchowie przyszli niezliczeni,
 Część tych którzy się pod ziemią chowają:
 Część tych nie mnieysza, którzy na przestrzeni
 Na nieobiętem powietrzu mieszkają.
 A szli znienaglą, y bårzo strwożeni
 Z dekretu, ktory grożny z nieba mają:
 Nie być w tey wojnie, ácz iem w onem czesie,
 Nie zakazano w liściu być y w leśie.

* * *

Mając tak Jzmen rzeczy sporządzone,
 Poszedł do Krolá z wesołą postawą:
 Miey (práwi) Krolu serce niestrwożone,
 Masz teraz ná się Fortunę łaskawą.
 Nie mogą iuż być więcej odnowione
 Nieprzyjaćielskie wieże, moią sprawą.
 Potem mu wszystko porządkiem powiadał,
 Y czárnoksięskie skutki mu wykładał.

* * *

Dołożył tego: y to wiem że będzie
 Nie mnieysza pewnie poćiechá u ciebie:
 Wiedz, że Mars z Słońcem nie długo usiedzie,
 Y społem we Lwie złączy się ná niebie.
 Zaczem gorącą wielkie będą wszędzie,
 Rosá áni deszcz ku ludzkiej potrzebie
 Nie spádnie: ále iáko gwiazdy tuszą,
 Niewymowione gorącą bydź muszą.

* * *

Gorącą, iákie ledwie przypaleni
 Názámonowie z Gárámány mają:
 Te naszy w mieście, kędy chłodnych cieni
 Y wod dostátek, łatwo wytrzymają.
 Ale ich w suchem polu położeni
 Nieprzyjaćiele stábi nie wytrwają.
 Y tak od niebá pierwey okroceni,
 Od woysk Egipskich będą poráżeni.

Ták siedząc wygrasz: według moiey rady,
 Wątpliwych boiow nie trzeba probować:
 A ieśli cię, iako zwykł, do zwady
 Będzie wiodł Argánt, chcąc szczęścia kosztować.
 Ty się nie przeciw, ale iego iady
 Y wściekłą śmiałość pámiętay hámować:
 Ták uczyniwszy prętko syte boiu
 Nieprzyiaćioły, dostąpisz pokoju.

* * *

Tákimi słowy czarownik uczony
 W Krolu lepszą myśl y otuchę sprawił:
 Który po części iuż był powątlony
 Mur Táránami wielkimi oprawił.
 Nád to y nowy z gruntu wywiedziony,
 Ná inszych mieyscách, mniej bezpiecznych stawił.
 Wrzása robotá, y od niewolnikow,
 Y od gęstych rąk mieyskich robotnikow.

* * *

Ale ostrożny Hetman o sposobie
 Dobycia miastá myśląc, to naydował:
 Zeby dármo tłukł mury, gdzieby sobie
 Woiennych wielkich wieź nie nábudował:
 Y swe woyskowe cieśle w oney dobie
 Po drzewo ná czyn w ląsy wyprawował:
 Ktorzy zárownó z świtem wyiecháli,
 Ale dla stráchu, wzad się powracáli.

* * *

Jáko więc dziećię mále, kiedy w 'nocy
 Widzi niezwykle lárwy, y mąszkóry:
 Ucieka zaráz, y zakrywa oczy,
 Mniemáiąc że to iákie nocne máry.
 Ták się ci boią, á z czyieyby mocy
 Beł ná nie on strách (rzecz trudna do wiáry)
 Niewiedzą, tylko wiedzą że się boią,
 A Sfingi w głowie y Chimery stroią.

Lękliwi Mistrze w cieślielskim rzemieśle
 Wrociwszy się, rzecz y słowa mięszali:
 Ale cokolwiek powiádali cieśle,
 Smiali się wszyscy, y niedowierzáli.
 Wtem Goffred inszych żołnierzow tám ześle,
 Ktorzy się w woysku mężnieyszymi zdáli:
 Ktorzy ie w lasy zaprowadzić mieli,
 Ponieważ sami rąbać w niem nie śmieli.

* * *

Ci poiecháli, kędy źli duchowie
 Stolicę swoją beli záłożyli:
 Ale záledwie przy gęstey dąbrowie
 Stánęli, tak się záraz potrwożyli.
 Przedsię szli dálej cni Bohátyrowie,
 A swoje stráchy śmiała twarzą kryli:
 Y pomknęli się w gęstwę dálej ieszcze,
 Tám kędy beło zczárowáne mieysce.

* * *

A wtem powstanie z lasu niesłychány
 Szum, y strászny pisk iádowitey zmiie:
 Tu słyhać, że lew ryczy rozgniewány,
 Tu niedźwieć mruży, tu wilk srogi wyie.
 Tu morze huczy gęstemi białwany,
 Tu wodá skały niepożyte biie.
 Tu trąby słyhać, tu strászliwe gromy,
 Tak wiele dźwiękow, dźwięk czynił kryiomy.

* * *

Dopiero wszyskiem pobládły iągody,
 Tak ich strách wewnątrz zmácał wielkooki:
 Mieyscá w nich żadne nie miały wywody,
 Aby lękliwe dálej nieśli kroki.
 Nákoniec wszyscy ućiekli wzawody,
 A strách ie gonił, y chwytáł zá boki.
 Potem ieden z nich do Hetmána mowę
 Taką uczynił, y taką obmowę.

Niech żaden (wszyscy powiedzą to nászy)
 Támtego mieyscá dość sobie nie tuszy:
 Jam gotow przyśiąć, że wszystkie w te lásy
 Hurmem się z pieklá przeniosły pokusy.
 Będzie zbyt śmiały, który się ostrąszy,
 Y kogo boiaźń idąc w nie nie ruszy:
 Chybá nie człowiek będzie mógł tych krzykow
 Y piskow słuchać, y gromow y rykow.

* * *

Gdy ten tak mówił, Alkást nielekliwy
 Trafił się tam beł, mąż nieokrocony:
 Wściekły, szalony, ná śmierć nátarczywy,
 Y ná naygorsze rázy odważony.
 Niebałby się beł, by náywiększe dziwy
 Widział przed sobą, tak beł niestwożony.
 Szedłby beł ná grom, y ná ziemię drzenie,
 Y ieśli ma strách wiétszy przyrodzenie.

* * *

Śmiał się, trząsł głową: Ja (práwi) przyrzekę
 Wniść tam bezpiecznie, gdzie oni nie śmieją:
 Y lásu według potrzeby násiekę,
 Chcę ia skosztować co czáry umieją.
 Niech będzie co chce, pewnie nie uciekę,
 Niechay się dziwy by naywiétsze dzieją:
 Niech niedźwieć mruczy, lew ryczy, wilk wyie,
 Y w piekło poydę, ieśli się odkryie.

* * *

Tak się tam chlubił, y wziął pozwolenie
 Od Gotyfredá, y puścił się w drogę:
 A skoro weyrzał w one gęste cienie,
 Usłyszał zwykły szum, y zwykłą trwogę:
 Ale nie prze to iákie wylęknienie
 Czuie, álbo wżad wraca śmiałą nogę.
 Owszem się z zwykłą śmiałością zápuścił,
 Ale go ogień wściągnął y nie puścił.

Ogień, z ktorego iako iakie mury
 Płomienie stoiać dymami kurzyły:
 Y nie máiać wrot, ani żadney dziury,
 Wkoło obeszły, y lasu broniły.
 Co więtsze ognie wyniosłe do gury,
 Tak iako wielkie wieże wychodziły.
 W około szelby, y kule ogniste
 Miały ná sobie bászty płomieniste.

* * *

O iako wiele dziwow z straszliwemi
 Twarzami wszędzie ná wierzchu wież stoi:
 Ci krzywo pátrzą, ci mieczmi ostremi
 Machaią wkoło w płomienistey zbroi.
 On ustępuje, iako przed gęstemi
 Lew pogoniąmi, y o się się boi:
 Y strách go przeiał, y w sercu mu został,
 Który w niem przedtem iako żyw nie postał.

* * *

Niepostrzegł zaráz, że był wylękniony,
 Aż kiedy iuż był daleko poręby:
 Y dziwował się w sobie zámyślony,
 Z gniewu zgrzytaiąc, y ściskaiąc zęby.
 Potem ná stronę odszedł zawstydzony,
 Ani rozdziewił zasrománey gęby:
 Ani ná ludźie on przedtem tak hárdy,
 Wzrok śmiał bezpiecznie podnieść Rycerz twárdy.

* * *

Kilkákroć Hetman po niego wyprawił,
 Ale niechcąc przyść, ná lada co składał:
 Nákoniec przyszedł, ale nie zabawił,
 Bo albo milczał, albo sny powiadał.
 Zrozumiał Hetman, że niewiele spráwił,
 Zaczem ná on czas więcey go nie badał,
 Tylko się zdumiał: Coż to (pry) za cudá?
 Czy sen? czy mára? czy iaka obłudá.

Ale ieśli chęć ktorego uwodzi,
 Y ieśli który ma zwas serce śmiałe:
 Niech z dobrej woley ieśli chce wychodzi,
 Zębym nowiny mogł mieć doskonałe.
 Skoro to wyrzekł, szli Rycerze młodzi,
 Y kuśili się o las trzy dni całe:
 Ale choć wrzkomo coślawnieyszy byli,
 Wszyscy uciekli, y wzad się wrocili.

* * *

Tem czasem Tánkred iuż beł wstał z choroby,
 Y chował ciało swey miley zabitey:
 A choć do końca nie wzmógł oney doby,
 Y ciężkiey zbroi, y przyłbicy krytey
 Trudno miał zdołać: iednak dla ozdoby
 Swey, y potrzeby iść chce pospolitey:
 Bo choć beł blady, serce żywe w ciało,
 Y w członki wszystkie, czerstwość rozlewało.

* * *

Sam tylko milczkiem idzie nieznáiomy,
 Ani się boi choć wiátr wielki dmucha:
 Choćia ziemiá drży, choć trząskáią gromy,
 Choćia strásznego lwiego ryku słucha.
 Darmo się weń wkrásć chce strách niewidomy,
 Tylko że się w niem serce trochę rucha.
 Przechodzi iednak, y obaczy w leśie
 Ogniste miásto, nagle w onem cześie.

* * *

Zastánowił się poniekađ wątpliwy,
 Mowiąc sam zsobą: Miecz tu nic nie sprawi:
 Niechże mię pożrą te strászliwe dziwy,
 Niechże mię ogień żywotá pozbawi:
 Kiedy iest miejsce álbo plác uczciwy,
 Niech każdy zdrowie dla spólnego stawi
 Dobrá, y niechay frymárczy żywotem,
 Azażby indziey lepiej go dał potem?

Ale co o mnie każdy mowić będzie,
 Jeśli się dármo wrocę náзад z drogi:
 Więc gdzie się Hetman ná drzewo zdobędzie,
 W które tu ten kray wszystek iest ubogi.
 Y bydz to może, żesmy wszyscy w błędzie,
 Y zmyśłone to tylko iákieś trwogi.
 To mówiąc w ogień skoczył zápędzony,
 (O wielka śmiałość) Rycerz odważony.

* * *

Nie były namniey ognie te szkodliwe,
 Y pod zbroią ich nie czuł Tánkred śmiały:
 Lecz ieśli były płomienie prawdziwe,
 Trudno tak prętko zmysły poznać miały:
 Bo nagle ognie zniknęły straszliwe,
 A ná ich mieysce gęste chmury wstały:
 Które ciemną noc y śniegi przyniosły,
 Ale y te precz wpułgodziny poszły.

* * *

Zdumiály bárzo, ále niestrwożony
 Wielki Bohátyr został w one czasy:
 Y iuż bezpiecznie nie zástánowiony
 Kwápione kroki w gęste nieśie lásy.
 Wiátr, pisk, szum morski, ogień nádstawiony,
 Y ryk zwierzęcy wiecey go nie strászy.
 Przeszkody żadney dálej nie náyduie,
 Tylko że gęstwá wzrok, y chod hámuie.

* * *

Nákoniec uyrzał Amphiteátrowi
 Podobny wielki plác w głębokiey ciszy:
 W niem náchylone stało ku wschodowi
 Drzewo, co poszło ná wonne Cyprysy.
 Tám się Bohátyr trochę zástánowi,
 Widząc w niem znáki, y dziwne napisy
 Tákie, iákich więc przed láty używał
 Egipt, kiedy co táł y zákrywał.

Miedzy znákami niezrozumíánemí
 Syryiskie písmo beło w niem wryte:
 O Bohátyrze, któryś sam ná ziemi
 Otworzył śmierci wrotá niedobyte.
 Nie trap nas prósiem, nie walcz z umárłemi,
 Opuść nam, á złoż serce nieużyte:
 Nie sroż się ná tych, którzyć nic nie krzywi,
 Nie walczą nigdy z umárłemi żywi.

* * *

Táki beł napis: Záráz Tánkred tuszył,
 Ze krotkie słowa skryte miály rzeczy:
 A wtem wiátr wolny suche liście kruszył,
 On słucha pilnie, á ma się ná pieczy.
 Potem się z gęstwy głos żáłosny ruszył,
 Y płacz z wzdychániem iákoby człowieczy:
 Y zmieszánego coś z stráchu z żáłości
 Wkropił mu w serce, y z wnętrzney litości.

* * *

Przedsię dobywszy mieczá swego chutnie,
 Uderzy w drzewo co iedno ma mocy:
 Ale gdzie iedno gáłąż którą utnie,
 Záráz z uciętey rozgi krew wyskoczy:
 Znowu się z mieczem wyniešie okrutnie,
 Znowu tnie, znowu krwie ze pnia utoczy.
 Pátrzy co będzie, y hámuie sztychy,
 A wtem usłyszysz z stękaniem głos ćichy.

* * *

Názbyteś ná mię, o Tánkredzie srogi,
 Miey dosyc ná tem, ieśli cię co ruszę:
 Ześ mię żywotá pozbáwił niebogi,
 Ześ z ciála wygnał nieszczęśliwą duszę.
 Czemusz wždy teraz pień śieczesz ubogi?
 W ktorem ia nędzna wiecznie mieszkać muszę:
 Táki za męstwo poczytasz to sobie,
 Nieprzyaciółom nie dáć pokoy w grobie.

Jam iest Kloryndá, y tu mam schowánie,
 Nie sáma tylko, ále inszych wiele:
 Ktorzy pod miástem legli Chrześcíanie,
 Pogánie tákże, (uwierz temu śmieie)
 Tu w róźnych drzewách mają swe mieszkánie,
 Niewiem iáko rzec, czy w grobie, czy w cieie.
 Zywą gáleźie, á ty już poczynasz
 Być mężoboycá, kiedy ie ućinasz.

* * *

Jáko więc chory, kiedy przez sen smoku,
 Albo Chimery obáczy strászliwe:
 Choć się domysła, że to w ciemnem mroku
 Zdádzą się tylko widzenia fałszywe:
 Boi się przedsię, y nie dufa oku,
 Y radby nogi powrócił lęklive.
 TákJ y ten chocia do końca nie wierzy,
 Przedsię się boi, y okiem wzad mierzy.

* * *

Czásem oziębły drży, czásem przedźięki,
 Wielki się Rycerz zbyt zágrzany znoi.
 Niewiedzieć iáko miecz upuszcza z ręki,
 Ale namnieysza to w niem, że się boi.
 Odszedł od siebie, zda mu się że męki
 Słyszyswey miłey, y że przed niem stoi.
 Ná wytoczoná krew pátrzyć nie może,
 Zda się że w sercu ostre nośi noże.

* * *

Ták ono serce, ktore z swey śmiałości
 Y ná śmierć sáme nigdy nie spuściło:
 Teraz dla dawney gorácey miłości,
 Fałszywem lárwom zwieść się dopuściło.
 Potem broń, którą upuścił z litości,
 Coś z oney gęstwy w pole wyrzuciło:
 TákJ że się musiał wroćić zwyciężony,
 Y w drodze záś miecz nálaź utrácony.

Nie wrocił się wzad, ani w czarowanym
 Leśie chciał więcej mieć dalszą zabawę:
 Ale się stawił zaraz przed Hetmanem,
 Uspokoiwszy y myśl, y postawę.
 Y tak przy tłumie powiadał zebraniem:
 Ja dam o wszystkim nie omylną sprawę.
 Prawdą to wszystko co ci powiadaia,
 Ze tam lwi ryczą, że gromy trzaskaia.

* * *

Wprzod mi się ognie wielkie ukazały,
 Ktore się same bezedrew śiliły:
 Y iako mury wysokie się zdały,
 A pokusy ich straszliwe bronily.
 Alem ie przeszedł bez urazu cały,
 Y nie czułem nic, żeby mię paliły.
 Po ogniu zimą y noc nastąpiła,
 Y zaś się ze dniem pogodą wrociła.

* * *

Ale to więtsza, to cud niesłychány,
 We wszystkich drzewach ludzkie dusze żyia:
 Głos wydawia dobrze zrozumiány,
 Plączą, wzdychają, pod skurę się kryia,
 Za każdym razem krew wychodzi z rany,
 Jlekoć drzewo sieką albo bia.
 Prozno to: Sercá ia zto niemam, aby
 Rozgę tám uciąć, y znam się żem słaby.

* * *

Tak mowił Tánkred, á Hetman swe myśli
 Roźnie obracał, co beło lepszego:
 Czy sam ma iechać, iako sobie myśli,
 Pokusić lasu oczarowanego.
 Czy żeby w różne ludzkie strony wyszli,
 Szukać y drzewa, y czynu inszego.
 Kiedy tak długo rozmyślał wątpliwy,
 Przyszedł do niego Pustelnik życzliwy,

Day (práwi) pokoy temu zamysłowi,
 Będzie kto inszy co ten lás zwoiue:
 Już niewściągniony okręt ku brzegowi
 Jedzie, iuż złote żagle swe zdyimuie.
 Już wielki Rycerz náзад ku domowi,
 Porwawszy pętá niegodne, kieruie:
 Y niedaleko iuż czas požądany,
 Ze z Jeruzalem wyrzucisz Pogány.

* * *

Ták Piotr prorockiem Duchem obciążony,
 W poważney mowie rzeczy przyszłe głoślił:
 Co Hetman słyszác w sercu uniżony,
 Zdárzenia z niebá swem zamysłem prosił.
 Ale iuż beł Rak przyiał upalony
 Słońce, y srogie gorąca przynosił:
 Ktore mu cele y woysko psowały,
 Y żadney pracy znieść nie dopuszczwały.

* * *

Zgasły ná niebie gwiazdy dobrotliwe,
 A sáme tylko złośliwe pánuia:
 Od ktorych skutki w powietrze szkodliwe,
 Pełne zarázy śmiertelney wstępuia:
 Co raz to więtsza pożogi straszliwe
 Moc biorąc palą, y ziemi doymuia.
 Po dniu złem zła noc ná ludzie przychodzi,
 Po gorszey nocy gorszy dzień wychodzi.

* * *

Gdy z merzá słońce wychodzi, ma koło
 Około siebie z gęstey páry krwawe:
 Y ukazuiać krwią spluskáne czoło,
 Jáwnie dáie znáć, że iest niełaskawe.
 Záchodząc także ma we wnątrz y wkoło
 Czerwone krople, straszne, y plugawe,
 Y przykre czyniać gorąco wytrwane,
 Grozi, że z więtszem iutro przyidzie ráne.

A gdy naywyższy pomknie swego wozu,
 Schną wielkiem ogniem lasy z swemi drzewy:
 Rzek nie znąć, nigdziey nie trzeba przewozu,
 Ziemia się pąda, zboża idą w plewy.
 Polą w popioły około obozu
 Srogie niebieskie obracają gniewy.
 Obłoki suche, rożnie rozproszone
 W płomienie idą, y w ognie czerwone.

* * *

Niebo podobne czarnemu piecowi,
 Oko pozbywszy swoich poćiech mdleie:
 Zephir przyjemny głęboko ku dnowi
 Pod ziemią się gdzieś kryie, y nie wieie.
 Wiatr tylko dmucha, ktory południowi
 Podległy, piaski Maurytańskie grzeie.
 Ciężki, gorący, a co raz skrzydłami
 Biie, y wolny dech duży parami.

* * *

Ale y słońcem wielkiem zaráżona
 Noc swoje cienie nie weselsze miała:
 Y swem płomieniem także upalona,
 Z ognistych miotel płaszczy sobie utkala,
 Y ciebie ziemi nędzna uprągniona,
 Łakoma Phebe nápoić niechciała
 Swą wdzięczną rosą, y darmo iey zioła
 Prosiły o nią, ná pochyłe czoła.

* * *

Od niespokoyney sen ućieka nocy,
 Y upalone zostawuie cienie:
 Nie mogą ludzie włudzić go ná oczy,
 Ale nabárzিয়ে trapi ich prągnienie:
 Bo Chrześciańskiey bojąc się Krol mocy,
 Struł wszystkie wody, y żywe strumienie:
 Y wkoło zdroie pomącił przeyrzyste,
 Wmieszawszy soki, y iady nieczyste.

Syloe mały, który Chrześciany
 Przedtem hoynemi wodami napawał:
 Teraz ledwie dno zakrył, rozerwany
 Y tu y owdzie, á zgoła ustawał.
 Zdało się że sam Erydan wezbrany,
 Ná ich pragnienie małyby zostawał.
 Y Nyl gdy niehcąc w siedmiu stać odnogách,
 Zálewa Egipt, y bieży po drogách.

* * *

Jeśli kto widział przezroczyście strugi,
 Między lásami pięknymi płynące:
 Albo strumienie wolne między smugi,
 Albo z zapędem z Tátrow spadające.
 Opisuie ie swey żądzey czas długi,
 Y wody sobie wymyśla ciekące:
 Podając pokarm swemu utrapieniu,
 Y swoiey męce, y swemu pragnieniu.

* * *

Członki Rycerzow wielkich nie zmożone,
 Ani daleką y zbyt przykrą drogą:
 Ani żelazem ciężkiem obciążone,
 Ani naywiększą okrocone trwożą:
 Teraz tak mdleją słońcem upalone,
 Ze sámych siebie udźwignąć nie mogą;
 A w cieie ogień niewidomy żyje,
 Który spiekłą krew w suchych żyłách piie.

* * *

One tak dzielne, y tak rzeźwie konie,
 Pokármem gárdzą, o paszą niedbają:
 Karki wyniosłe y wesołe skronie
 Ná doł schylone ku ziemi zwieszają.
 Ná przeszłą sławę żaden nie wspomonie
 W pierwszey chciwości do boiu ustają.
 Kosztownych rzędow w ktorych się pyszniły
 Niehcą, drogiemi bończuky wzgárdziły.

Pies wierny ćierpi ustáwiczne tchnienie,
 O Páná niedba, wszystko mu niemiło:
 Y rościągiony, ná wewnętrzne płomienie
 Chwyta wiátr, żeby nie ták go paliło.
 Y ięśli oddech dáło przyrodzenie,
 Aby się serce gorące chłodziło:
 Teraz ochłody niema álbo máło,
 Ták bárzo ciepłe powietrze zgęstwiało.

* * *

Ták ziemiá mdláá, y ták upaleni
 Ludzie się srogiem gorącym trapili:
 Y iuż z nádzieie ostatniey zrażeni,
 Do końca beli o sobie zwątpili.
 Co zdrowszy w kupę często zgromádzeni
 Ták nárzekáli, y głosem mówili:
 Ná co trwa więcey, czy chce woysko zgubić?
 Zaprawdę Goffred ma się z czego chlubić.

* * *

Jákimi mur chce zwyciężyć siłami
 Nieprzyiącielski? skąd drzewá dostanie:
 Jáwnemi to Bog znać dáie znákami,
 Ze przeciw niemu násze tu mieszkánie.
 On się sam temi nie rusza cudámi,
 Y pochwilić nas do szczętu nie zstánie:
 W tákie gorącą, iákie tu pánują,
 Ze Murzynowie goręcszych nie czuią.

* * *

Niedba on że my ludzie zániedbáni,
 Nikczemne dusze, y liche, y mále:
 Pomrzemy mární y odżałowáni,
 Byle on tylko miał swe rzády cále.
 Tákli tá ślepa niestáteczna Páni
 Odmienia ludzcie, y czyni zuchwále:
 Ze nic niedbaią, by tylko rządžili,
 Choćby się wniwecz wszyscy obroćili.

Więc wysławiają iego cnoty owe,
 Dobroć, opatrność, chwałą go z ludzkości:
 A on o dobro niedba nic woyskowe,
 Y wszystko czyni dla swojej wielkości.
 Nam zdroie wyschły: iemu Jordanowe
 Wody prowadzą przez dalekie włości:
 Ktore z kilką swych zausznikow piie,
 Mieszając w świeże wody Małmazyie.

* * *

Ták Fráncuzowie mowili z inszemi:
 Ale wodz Grecki, woienny ktoremu
 Przykrzył się niewczás: Ták (pry) ze wszystkiemi
 Swemi mam zginąć, niewiem gwoli czemu.
 Niech z Fráncuzámi uporu swoimi
 Goffred przypłaca, iuż to wolno iemu:
 Mnie co do tego? y ták nie żegnając,
 Wybrał się nocą, cicho uiezdżając.

* * *

Skoro odniało, y skoro uyrzeli,
 Ze Grek uiechał, drudzy toż myśleli:
 Klotáreusá pierwszy ućiec chcieli,
 Y co z Admárem Biskupem służyli.
 Y inszych ślía co wodzów nie mieli,
 Co w boiach legszy żywotá pozbyli:
 Już się uiechać ukradkiem zmawiaią,
 Y niektorzy z nich nocą ućiekają.

* * *

Wiedział to Hetman, y mogłby być snádnie
 Skárać ich ostro, okrom wątpliwości:
 Ale nikt tego ták łatwie nie zgadnie,
 Jáko daleki był od surowości.
 Skruszony we wnątrz ná kolaná pádnie,
 Pełen zupełney wiary y dufności:
 Ręce y oczy do niebá podnosi,
 Y ták gorąco modli się, y prósi.

O Pánie, któryś twoiemn ludowi,
 Ná głuchey puszczye słodkie rosy spuścił:
 Y dałeś tę moc w on czas Moyzeszowi,
 Ze z twardey skały żywą rzekę puścił.
 Niechay się y w nas taż łaska odnowi:
 A ieśliś nas tak dla grzechow opuścił,
 Do miłosierdzia twego się bierzemy,
 Wiesz, że się twemi Rycerzmi zowiemy.

* * *

Gorące modły nie były leniwe,
 Ale w lot śiekły powietrze y chmury,
 Y poszły w niebo tak iako pierzchliwe
 Strzały lekkimi przyprawione piory.
 Przyjął ie wieczny Ocieć, y życzliwe
 Ná swe zastępy puścił oko z gury,
 Y rzekł: żalując tak wielkiego trudu,
 Y tak nieznośnych prac swojego ludu.

* * *

Niebespieczeństwá tak długo cierpiáne
 Moich Rycerzow, niech iuż koniec máią:
 Niech świat, y piekła przeciw niem zebrane,
 Do tąd iem tylko trudność zádawaia:
 Niech odtąd wierne Rycerstwá wybrane,
 Szczęśliwie wszystkie rzeczy roszczynáią.
 Niech deszcz, niech wielki ich Bohatyr idźie,
 Niech Egipt rychło ku ich słáwie przydźie.

* * *

To rzekszy dał znak: á zátém wysoki
 Niebieski pałac y gwiazdy zádrzáły:
 Zádrzáła ziemiá, y Abis głęboki,
 Y wylékłego Oceánu wáły:
 Grzmiały po stronách pełne wod obłoki,
 Y nieściągłemi ogniami błyskały.
 Ludzie wesole głosy wypuszczáią,
 Y požádáne nadźieie witáią.

Wtem chmury wstały, nie te które słońce
 Z ziemię wyciąga: ale które dają
 Łaskawe niebá, kiedy obá końce
 Wielkiego łoná pełne wody mają.
 Noc nagle ciemne rościaga oponce,
 Y cienie wiedzie co dzień wyganiają.
 Deszcz zatem leie, rzeká w pełnem biegu
 Bierze pośiłki, y wychodzi z brzegu.

* * *

Jako gdy lecie deszcz w czasy gorące
 Spádnie ná zbożá, y ná wyschłe sády:
 Ná brzegu wodne ptastwo świegocące
 Czeká, y kaczek pierzchliwych gromady:
 Y rościągájąc ná dżdże spadájące
 Skrzydłá, skubią się wdzięczney rośie rády.
 Y po dolinách gdzie się wody zbiorą,
 Ponurzając się, suche piorá piorą.

* * *

Ták y ci w ten czas wesołemi głosy,
 Dżdże požądane z radością witáli:
 Wszyscyby rádźi żeby sobie włosy,
 Nie tylko zwierchnie száty pomaczáli.
 To ze skłá pili, to niebieskie rosy
 W przyłbicách nieśli, to się umywáli:
 To pryskájąc się czynili igranie,
 To w cebry bráli, ná dalsze chowanie.

* * *

Ale nie tylko ludzkie się narody
 Z niebieskich dárow w on czas weseliły:
 Ale y ziemiá chora bez ochłody,
 Która iuż bełá wszystkiew zbyłá siły:
 W rospádłe ciało wdzięczne lałá wody,
 Y we wnętrzne ie rozsylałá żyły:
 Y wilgotnością ktorey udzielałá,
 Zbożá, y martwe ziołá ożywiałá.

Y iako chory lekárskiem i chłodzi
Pierwey trunkami zágrzane wnętrzości:
Y wprzod przyczynę choroby wywodzi,
Ktora suszyła y ciała y kości.
Potem nábywa siły, y przychodzi
Do pierwszey krásy, y pierwszey młodości:
Ták że iuż przeszley zapomina stráty,
Y bierze wieniec, y zielone száty.

* * *

Wtem deszcz ustaie, słońce występuje,
Ale łaskawe wydaie promienie:
Y iako kiedy Kwiecień ustępuje,
A May nástaie, cieszy przyrodzenie.
Pátrzciesz: kto Bogu dobrze usługuię,
Mokre z obłokow wywodzi strumienie,
Odmienia czasy iako kiedy trzebá,
Zwycięża gwiazdy, y gniewliwe niebá.

KONIEC PIEŚNI TRZYNASTEY.

PIESN CZTERNASTA.

ARGUMENT.

Goffredowi Bog przez sen opowiedział,
Aby wrocono Rynáldá mężnego:
Pozwolił ná to, kiedy w rádzie siedział,
Proszony zá niem od Guelfá zacnego.
Ale Pustelnik co to pierwey wiedział,
Obraca posły do stárcá iednego:
Ktory iem naprzód Armidzine zdrády
Odkrywa, potem swey užyczá rády.

Już też czárnáwa noc z miékkiego łoná
Wielkiey máćierze ná świat wychodziła:
Y od lekkiego wiátru prowadzoná,
Nieprzepláconá rosę przynosiła.
Y z wilgotnego rábku winne groná,
Zbożá, y zióła, y trawy kropiła:
A wolne wiátry ćicho powiewáły,
Y sprácowáných ludzi sny głaskáły.

* * *

Słodka niepámięć pogrążała w sobie
Jch wszystkie troski, y dżienne kłopoty:
Ale w przedwieczney chwale w oney dobie,
Między lotnemi czuiąc kołowroty:
Siedział Stworzyciel, y swe oczy obie
Zyczliwe skłonił w rozbite namioty:
Chcąc do Goffredá wdzięczny sen wypráwić,
Ktory mu iego wyrok miał obiáwić.

Przy złotej bramie, którą słońce chodzi,
 Są wrotá wielkie z kryształu zrobione:
 Te ząwždy pierwey niżli dzień wychodzi
 Po obu stronách stoią otworzone.
 Przez te káždy sen niebieski przechodzi
 Ná myśli czyste y ochędożone.
 Y teraz y ten przez też wrotá ciągnął,
 Y nád Hetmánem skrzydlá swe wyciągnął.

* * *

Zadne widzenie podomno nie miało
 Figur ták pięknych, y ták známienitych:
 Jáko to teraz, co mu odkrywało
 Skrytość wyrokow, w Plánetách wrytych.
 Ják we zwierćiedle ták mu ukazało
 Moc wielką w gwiazdách tájemnic zákrytych.
 Ták mu się zdało, że był przeniesiony
 W pałac niebieski gwiazdami natkniony.

* * *

Gdy się ták długo niebu ták iásnemu,
 Y Armoniom, y biegom dziwował:
 Obaczył potem, że przeciwko niemu
 Mąż otoczony ogniem postępował.
 Y głosem wdzięcznem, przeciwko ktoremu
 Naysłodszy ziemski każdyby znotował.
 Mowił mu: Czemu nie gadasz z Ugonem
 Swem przyjacíelem dawno doświadczonem?

* * *

On ná to: Swiátość przy tákíey ozdobie,
 Co ták iásnemi promieniami świeci,
 Zaćmiłá zmysły: że ledwie ku sobie,
 Y ku swey dawney przychodzą pámięci.
 Wtem náń trzy rázy ręce ściągnął obie,
 Chcąc go oblápić mile z wielkiey chęci.
 Trzy razy postać ućieklá kryioma,
 Jáko sen lekki, y mára znikoma.

On z śmiechem ná to: Złe w tobie mniemánie,
 Zem iest w śmiertelne ciało obleczony:
 Duch tylko widziś, który zá mieszkánie
 Ma ten tak pięknie páłac ozdobiony.
 Tu iest Rycerzow Bożych przebywánie,
 Gdzie y ty będziesz między nie wniesiony.
 Kiedysz to ma być? Niech mię (pry) zostawi
 Ciało co pręcey, jeśli mię tu bawi.

* * *

Ugon zaś rzecze: Y ty w tem pokoju,
 Y w teyże chwale będziesz triumphował:
 Ale krew wylać przy trudzie, przy znoju
 Potrzebá, ábyś pierwey się gotował.
 Y żebyś pierwey surowego boiu
 Z Pogány záżył, y ony zwoiował:
 Y Chrześciańską stolicę fundował,
 Ná ktoreyby Brát po tobie pánował.

* * *

Ale żebyś swe do tey tu wieczności
 Serce zápałił, y swe wszystkie mocy:
 Przypátrź się niebom y Plánet prętkości,
 Ktore wieczna myśl bez przestánku toczy.
 Słuchay y dźwięku tak słodkiey wdzięczności
 Niebieskiey liry, potem obroć oczy
 (Wtem páłcem ziemię skazał w oney dobie)
 Ná to, co okrąg ostatni ma w sobie.

* * *

Jáko rzecz podła, dla ktorey wy táki
 Kłopot, y táki trud podeymuiecie,
 W tak małym kole, że go ledwie znáki
 Zawárta pychá, ktorey pilnuiecie:
 Morze iá krąży iáko wysep iáki,
 A co Ocean niezmiernem zowiecie,
 Nie ma nic temu názwisku rownego,
 Y do stáwu iest podobny máłego.

Goffred w tem ná doł poyrzał z iásney zorze,
 Y uśmiechnął się sam w sobie zdumiął:
 Widząc że gury, rzeki, ziemiá, morze,
 Rozdarte w części, tylko iest punkt mały.
 Y że wszystko dym (o głupi uporze)
 W czym się tak ludzkie serca zakochały.
 Szukáiąc ziemię więcey niżli trzebá,
 A máło dbáiąc o Bogá y niebá.

* * *

Y rzecze dáley: Jż mię wyswobodzić
 Bog ieszcze niechce z tey śmiertelney trwogi:
 Náucz mię, iáko nie dáć się uwodzić
 Błędnemu światu, moy Ugonie drogi.
 On ná to: Chodź tak, iákoś począł chodzić,
 Prawdziwe to są y zbawienne drogi.
 Toć tylko rádźę, ábyś wygnánego
 Syná zás przyzwał tu Bertoldowego.

* * *

Bo ieśli ciebie między Chrześciany
 Bog ná naywyższem posádził urządzie:
 Wiedz to, że y on ná to iest obrány,
 Ze wykonywać twoie rády będzie.
 Tyś głową, on iest ręką poczytány
 Wszystkiego woyská, y nic nie ubędzie
 Tem urzędowi, y twemu Hetmáństwu,
 Ma on swą własną część przeciw Pogáństwu.

* * *

Jemu sámemu od czártow strzeżone
 Lásy zwyciężyć niebá pozwoliły,
 Y twoie woysko zesze y zmniejszone,
 Ktoremu się tak trudy uprzykrzyły,
 Ze chce porzucić miásto obleżone,
 Przezeń dostanie y serca, y siły.
 Y wrychle mury odnowione skáżi,
 Y wschodnie woyska potężne porázi.

Tu zmiłknie Ugon: Goffred mu zaś rzecze:
 Nicby mi nad to nie było miłszego,
 Gdzieby się wrocił: Wy ktorzy człowiecze
 Myśli widźcie, świadomiście tego.
 Ale tá troská gryzie mię y piecze,
 Jáko go wezwać? y gdzie śląc po niego:
 Y mam go prosić? y szukać gdzie chodzi,
 Záprawdę niewiem, ieśli się to godzi.

* * *

On ná to: Bog ten, który cie piastuie
 Ná swoich ręku od pierwszej młodości:
 Chce aby każdy, który się náyuie
 Pod twoią władzą, miał cie w uczciwości.
 Przeto go nie proś: sámá rzecz skázuie,
 Zeby to było z uymą twej zwierzchności:
 Ale proszony odpuść iego winy,
 Ná przednich ludzi wniesione przyczyny.

* * *

Gwelfá Bog náthnie, y w serce mu wleie,
 Ze zá niem pilne uczyni stáranie:
 Zebyś mu ten bład zá który boleie,
 Y záslużone odpuścił karanie.
 Y choć on teraz dáleko gnuśnieie,
 Y wpadszy w miłość lubi proznowanie:
 Bądź pewien, że się prawie ná czas stáwi,
 Y zániedbaney sławy swej popráwi.

* * *

Bo Piotr Pustelnik, ktoremu życziwe
 Swe táiemnice niebá odkrywáią:
 Powie, y posły náuczy skwápliwe,
 Ták, że się o niem prętko dopytáią.
 Y da sposoby pewne y prawdziwe,
 Jáko go do was przyprowadzić máią:
 Ták że iuż wszyscy twoi rosproseni,
 Pod złote krzyże będą zgromadzeni.

Więcey nie rzekę, tylkoć powiem o tem,
 Niech wczás twe serce przyszłych poćiech wyknie:
 Twa krew z iego krwią zmieszá się, skąd potem
 Rod záwołány, y wielki wyniknie.
 To rzekszy: iáko rzadki nagłém lotem
 Dym ná powietrzu, mgła ná słońcu, zniknie.
 Zatem się ocknął, y sen go zostáwił,
 Który go dżiwu z poćiechą nabáwił.

* * *

Już się beł ná świat iásny dzień wypráwił,
 On też mdłe oczy znienagła otwierał:
 Y odpoczynki y wczásy zostáwił,
 A w swą się zbroię zwyczajną ubierał.
 Pochwili skoro pacierze odpráwił,
 Senat wojenny do niego się zbierał
 W przestrony namiot, gdzie więcé zawieráią
 To, co gdzie indżiey wykonywáć máią.

* * *

Tám też z inszemí przyszedł Guelf, ktoremu
 Duch nową náchrnął myśl z niebieskiey spráwy:
 Y taką mowę uczynił ku niemu:
 Odpuść winnemu, Hetmánie łaskáwy,
 Znam się, że łaski grzechowi świeżemu
 Proszę u ciebie, y prętkiey przepráwy:
 Y sám podomno mniemasz, że zá winy
 Ták świeże złe są skwápliwé przyczyny.

* * *

Lecz uważáiąc, że Goffredá proszę,
 Ktorego znáią iáko dobrotliwy:
 Y że te próby ia do ciebie niosę,
 Ktoremuś ty zwykł záwsze być chętniwy.
 Więc że przyczyny zá Rynáldem wnoszę,
 Więc że od wszystkich, iestem niewátpliwy,
 Ze ná to słuszne bédziesz chćiał mieć względy,
 Y dopuścisz mu krwią zmyć przeszłą błędy.

Kto okrom niego z dziwy straszliwemi
 Będzie śmiał walczyć albo rąbać w leśie?
 Kto na śmierć poydźie z pierśiami mężnemi,
 W naygorszem razie, y w naygorszem czeście?
 Uyrzysz go, kiedy poydźie przed wszystkiemi,
 Y odważone zdrowie swe ponieśie.
 Lub pieszo na mur, lubo w polu koniem,
 Ach, wróć go woysku, co tak teskni po niem.

* * *

Wróć tak mężnego Synowcá Stryiowi,
 Sobie Rycerzá, y woysku wszystkiemu:
 Wróć teskliwemu poćiechę ludowi,
 A przy tem sławę wróć iemu samemu.
 Niechay swe zwykłe dzielności odnowi,
 Niech ma od ciebie płac męstwu swoiemu.
 Niech iáwnie czyni dzieła godne siebie,
 Niech się woiennych spraw uczy od ciebie.

* * *

Skoro dokończył, skoro się uklonił
 Świadek życzliwych chęci, wstał szmer potem:
 Goffred iakoby dopiero się skłonił,
 Jakoby pierwey nic nie myślił o tem,
 Tak odpowiedział: A któżby się zbronił,
 Y naleganiu, y prośbom ototem?
 Niechay ustąpi ostrość iako chcecie,
 Niech prawo będzie co wszyscy każećcie.

* * *

Niechay się wróci, niechay będzie zwami,
 Ale niechay gniew y bystrość hámuie:
 Niech odpowiada nadzieiom sprawami,
 Niech się tak iako przystoi sprawuie.
 Tobie należy swemi sposobami
 Guelfie pytać się, kędy się nayduie:
 Y swe posłańce po niego wyprawić,
 Aby tem pręcey w woysku się mogli stawić.

Ozwał się Rycerz Szwedzki z drugiey strony,
 Ja się (pry) będę w tę drogę gotował:
 W dalekie kráie poydę odważony,
 Abym mu mego Páná miecz dárował.
 Mąż to był wielki, mężny, niestrwożony,
 Guelf bárzo był rad, że się ofiarował
 Sam ná tę drogę: ále mu swojego
 Przydał Ubáldá, mężá ostrożnego.

* * *

Ubáld w młodości różne widział kráie,
 Różne zwyczáie, y różne narody:
 Y pielgrzymował, y tám gdzie lod táie
 Zbytaniem gorącym, y gdzie márzną wody.
 Umiął ięzyki, wiedział obyczáie,
 Wytrwał niewczásy, y różne przygody.
 Potem kiedy wiek miał dobrze náchyły,
 Przystał do Guelfá, y był mu zbyt miły.

* * *

Ci dwáy ná on czás pracę ná się bráli
 Náleść Rynáldá, á Guelf tak iem rádził:
 Aby do tego miásta poiecháli,
 W ktorem Boemund stolicę zászádił.
 Ten był głos ludzki, tak wszyscy trzymáli,
 Ze się tám báwił, że się tám wprówádił.
 Ale Piotr widząc, że się w tem mylili,
 Szedł do nich, y tak mówił w oney chwili:

* * *

Wy, co w dálekie wychodzićie strony,
 Zá pospolitem nie idźcie mniemániem:
 Wodz to niepewny, w błędy zawiedźiony,
 Y pewnie że się omylicie ná niem.
 Idźcie do morzá blisko Askálony,
 Gdzie rzeká z ćichem wpada w nie szemrániem.
 Tám towarzyszá moiego potkácie,
 A co wam powie, temu wierzyć macie.

Dawno sam przez się dostał wiadomości,
 Y wie odemnie o wyieździe wászem:
 Nie zydzie wam nic ná iego ludzkości,
 Y opátrzy was iákiem takim wczásem.
 Dálszych niebieskich u niego skrytości
 Bádać niechćieli; ále onem czásem,
 Świętego mężá obádwa żegnáli,
 Y pożegnawszy, w drogę się wybráli.

* * *

Z ochotą idąc, bárzo się spieszyli,
 Y czyniąc co raz to sporsze noclegi:
 Do Askálony prosto obroćili
 Swe niewściągnione y skwápliwé biegi.
 Jeszcze od morzá w dobrej beli mili,
 Kędy się łamie o wysokie brzegi:
 Kiedy ie rzeká iedná zatrzymała,
 Co beła ze dżdża dopiero wezbrała.

* * *

Biegła ták iáko puszczone z ciężiwy
 Prętkiemí piory przypráwiona strzała:
 Y iuż ná polá, y pośiane niwy
 Wychodząc z brzegow bystre wody lała.
 Myślą co czynić, á wtem mąż sędziwy,
 Ktoremu wielka pobożność przystała,
 Szedł przeciwko niem niezwyczajną drogą,
 Y mokre wody suchą deptał nogą.

* * *

Jáko tám kędy pułnocne narody,
 Zimnem Tryonom podległe mieszkáią,
 Gdy rzeki uymą kryształowe lody,
 Dzieci się po nich bezpiecznie ślizáią.
 Táki on przez miękkie śmieie idzie wody,
 Jáko po ledzie, ktore go trzymáią.
 Y gdzie ci stali pátrząc ná cud nowy:
 Przeszedszy, tákiey do nich użył mowy:

W trudną y w przykrą drogę się puszczaście,
 O przyaciśle, y wodzą wam trzebá:
 Dáleko iest ten, ktorego szukaćie,
 Od tego kráiu, y od tego niebá.
 O iáko wiele ieszcze zwiedzić maćie
 Morzá, y ziemię! iák wiele potrzebá
 Niewczásu wytrwáć, trudu y tesknice,
 Y íść zá śwíatá nášzego gránice.

* * *

Ale po tákiem pracówitem chodźie
 Podźcie do mego skrytego mieszkánia:
 A tám przestrogi o przyszley przygodźie,
 Y potrzebne wam dam nápomínania.
 W tem iem roskazał mieysce czynić wodźie,
 A tá słucháiąc iego roskazánia:
 Po obu stronách wspiętrzona wiśiálá,
 Y suchą drogę śródkiem ukazałá.

* * *

Wtem ie pod ziemię wiodł w głębokie one
 Podziemne lochy, stáruszek pochyły:
 Przez skápe śwíatło, iákíe śle w zielone
 Lásy, nie pełna Phebe słabey śíły.
 Widźieli iednak iáskinie przestronie
 Pełne wod, skąd tu wszystkie idą żyły:
 Z ktorych to zdroie, to rzeki głębokie,
 To wynikáią ieziorá szerokie.

* * *

Y rzek przednieyszych płodne widzą roie,
 Skąd Gánges, Hidásp, Eufirátes wychodzi:
 Y insze mnieysze, więc skąd skryte swoje
 Nyl siedmiorogi początki wywodzi.
 Niżey beły z wod srebrnych żywe zdroie,
 Z ktorych się kruszec rozmaity rodzi.
 Jáko się skoro słońcem wyczyściły,
 Y miękkie wody w złote skrzeplę bryły.

Nád bogátemi z obu stron rzekámi
 Brzegi są w drogie ubráné kámienie:
 Ktore tak iáko nátknione świecámi,
 Noc, y czarnáwe wyganiáią cienie.
 Tu Hyiácynty świecá z Sáphirámi,
 Tu Kárbunkuły wydáią płómienie.
 Tu Dyámenty ogniami ćiskáią,
 Smárág się śmieie, Rubiny błyskáią.

* * *

Bárzo się oni Rycerze zdumieli,
 Y w dziwách wielkich myśli utopili;
 Y obá słowá przemowić nie śmieli,
 Tylko iák niemi ná wodzá pátrzyli
 Ale się Ubáld nákoniec ośmieli,
 Ktoś (pry) o oycze? gđzieszmy teraz? czyli
 Dáley nas wiedziesz? y dokąd niech wiemy,
 Czy to sen, czy rzecz prawdziwą widziemy?

* * *

Jesteście (práwi) teraz w wielkiem łonie,
 Y w wszyskorodney ziemi głąbokości:
 Kiedyby nie ia (że się to wspomonie)
 Muśielibyscie błádzić w iey wnętržności.
 Uyrzycie wnetże moy pálác przy stronie,
 Pełen niebieskiey y dziwney iásności.
 Z rodzic owem się Pogáńskich urodził,
 Alem się przez krzest, Bog tak chciał, odrodził.

* * *

A nie mniemaycie áby takie sprawy,
 Y takie rzeczy działy się przez czáry:
 Tego mię Oćiec uchowa łáskawy,
 Abym miał czártom oddáwać ofiary.
 To ustáwiczne moje są zabáwy,
 Bádać, iáką moc ziółá, iákie dáry
 Wody, y insze rzeczy skryte máią,
 Y iákiem biegiem płánety biegáią.

Ani ia zǎwsze dǎleko od niebǎ
 Głęboko w ziemi mam swoje mieszkǎnie:
 Y nǎ Kármelu gorze kiedy trzebǎ,
 Y nǎ Libanie moje obcowǎnie.
 Tǎm ia Jowiszǎ, tǎk iǎko potrzebǎ,
 Tǎm Marsǎ widzǎ, y tǎm pǎtrzǎ nǎ nie.
 Jǎko siǎ ktora z biegiem swem odprǎwi,
 Łǎskǎwieli siǎ, groźnoli postǎwi.

* * *

To me pǎciechy, to moje roskoszy,
 Widzǎ obłoki wielkie pod nogǎmi:
 Jǎko siǎ wiǎtry rodzǎ pod niebiosy,
 Jǎko siǎ tǎcze mǎluǎ farbǎmi.
 Jǎko deszcz, y śnieg, iǎko nocne rosy,
 Jǎko pioruny, wichry z Kometǎmi.
 Alem zǎś żem tǎk wielkie rzeczy umǎł,
 Wiǎcey niź trzebǎ, o sobie rozumǎł.

* * *

Tǎkem beł zhǎrdźǎł, y do tǎkiej chluby
 Przyszedłem potem z oney mey godności:
 Zem siǎ śmǎł (o bład, o moy rozum gruby)
 Tylko nie rownǎć Boskiej wszechmocności:
 Ale skoro miǎ wǎsz Piotr wieczney zguby
 Zbǎwił, y duszǎ omył z nieczystości:
 Obrocił potem wgurǎ moje oczy,
 Y dał tǎpemu wzrokowi pomocy.

* * *

Zǎtemem poznał pierwsze swoje błǎdy,
 Y że nǎsz rozum ciǎn ku prǎwdzie wieczney:
 Y śmǎłem siǎ sam, z oney swojej wzrǎdzy,
 Y z oney pychy głupiey y bezecney.
 Jednak pilnuǎ, ǎcz roźnemi wzglǎdy
 Pierwszey zǎbawy, ǎle iuź bezpiecney:
 Bom siǎ iuź teraz dǎleko zinǎczył,
 Bogǎm zǎ pierwszy cel sobie nǎznǎczył.

On mię sam, za co niech mu będą dzięki,
 Uczy, prowadzi, on mi roskazuje:
 Y często dzieła godne swojej ręki,
 Przez nas niegodne sługi swe sprawuje.
 Y teraz zdarzy, że wielki przeddzień
 Rycerz się wroci, y swoich ratuje.
 On mi to zawiad, y już całe lato
 Wyglądając was, oczekiwam na to.

* * *

Tak mówiąc z niemi, wiodł ie do wielkiego
 Swego pałacu, gdzie więc odpoczywa:
 Na kształt iaskiniey, y lochu iakiego,
 W niem pełno gmachow, y sal, iako bywa.
 Cokolwiek w sobie ziemia ma drogiego,
 Co kosztownego w łonie swem zakrywa:
 Wszystko tam było, a nie urobiony,
 Ale się rączey zdał być urodzony.

* * *

Na sali było sto sług kędy iedli,
 Ktorzy porządnie do stołu służyli:
 Sztuk kryształowych tam gdzie goście siedli,
 Y złotych wielką liczbę rozłożyli.
 A skoro się dway Rycerze naiedli,
 Y przyrodzone żądze umorzyli:
 Czas (prawi stárzec) abym wam przyprawy
 Jnsze dał na stoł, y insze potrawy.

* * *

Wiecie to dobrze, już to głos nie nowy,
 Co zła Armidá w obozie broiłá:
 Jáko przednieysze Rycerze y głowy
 Ponámawiałá, y pouwodziłá.
 Więc iáko ná nie włożyłá okowy,
 Jáko ie długo w więzieniu trapiłá.
 Jáko ie potem posłałá do Gázy,
 Jákie w tem zaśię nálázlá przekázy.

Słuchayćiesz dąley: iąka się rzecz sstała,
 Jáko się gryzlą, y iąko się pieklą,
 Kiedy onych swych więźniow postradąłą,
 Z wielkiego gniewu, dobrze się nie wścieklą:
 Ręce od iądu sobie pokąsąłą,
 Y wielkiem gniewem zápalona rzekłą:
 Oy nie bądźcie to, áby się tak śmiele
 Chlubił, że mi tak więźniow odbił wiele.

* * *

Niechże sám zá nich niewolnik zostąnie,
 Niech ćierpi to co oni ćierpieć mieli:
 Ale to ieszcze máleby karąnie,
 Chce, żeby wszyscy zá niego ćierpieli.
 To rzekszy: nową zdradę myśli ná nie,
 Ktoreyieście wy dotąd nie słyszeli.
 Przyszłá tam kędy od Rynáldá zbići
 Jey ludzie beli, á wászy odbići.

* * *

Tám on złożywszy z siebie blách zwyczáyny,
 W inszą Pogąńską zbroię beł ubrány:
 Podomno áby snádniey tak usć táyny
 Mogł, w ládaiańkiew zbroi niepoznány.
 Oná zaś w iego on blách iednostáyny,
 Trupá bez głowy włożyłá wzamiány:
 Y przy rzece go porzucić kazáłá,
 Wiedząc, że tám iść rotá wászá miałá.

* * *

Mogłá to wiedzieć, bo szpiegi chowáłá,
 Co ustáwicznie tám y sám biegáli:
 Co raz od siebie iednych wysyłáłá,
 A drudzy się wzad z obozu wracáli.
 Więc y z duchámi często rozmawiałá,
 Co iey nowiny wszystkie powiádáli.
 Tám ná ustroniu położyłá ciáło,
 Ktore się práwie do iey zdrády zdáło.

Chytrego ducha blisko postawiła,
 Ubrawszy go wprzód w pasterskie odzienie:
 Słow go iako miał mować nauczyła,
 On też uczynił wszystko iey zlecenie.
 Ten mówił z rotą, która tam iedziła,
 Y wśiał między was ono złe naśienie:
 Skąd potem zwady y niezgody poszły,
 Y zamięszania y bunty urosły.

* * *

Bo iako chciała wszyscy uwierzyli,
 Ze od Goffreda Rynáld był zabity:
 Ale się prętko ludzie obaczyli,
 Y fałsz zmyślony prętko był odkryty.
 Tákci Armidá chytrze w oney chwili
 Robiła, á gniew żarł ią iádowity.
 Teraz cierpliwie posłuchaycie mało,
 Co się zaś potem Rynáldowi sstało.

* * *

Armidá, iák ow co się bawi łowy,
 Dybie nád ścieszką ná skrytem przechodzie:
 Tam gdzie się Oront dzieląc wysep nowy
 Czyni, y znowu obie łączy wodzie.
 Nád rzeką był słup wielki marmorowy,
 Czołn mały blisko: Tam o swej przygodzie
 Niewiedząc Rynáld, idzie gdzie zakryta
 Stała, y pátrzy, y ná słupie czyta.

* * *

Luboś umyślnie, luboś tu z przygody
 Obrocił gościu spracowane nogi:
 Wschodnie, zachodnie kráie, y narody,
 Nie mają tego, co ma wysep drogi.
 Jeśli chcesz widzieć, przepraw się przez wody,
 On zaraz idzie prozny wszelkiedy trwogi:
 Ale iż on czołn mały był, zostawił
 Giermki swe, á sam tylko się przeprawił.

Skoro tam przyszedł wątpliwy nápoły,
 Oczy obraca, ále nic nie widzi:
 Okrom wod, sádow, łąk z wonnemi zioły,
 Y tak rozumie, że ktoś z niego szydzi.
 Jednak on wysep sam tak iest wesoły,
 Ze się zá swoje ućiechy nie wstydzi:
 Záczem tam uśiadł y przyłbicę złożył,
 Potem ná piękney trawie się położył.

* * *

Kiedy tak oney záżywał roskoszy,
 Szum nowy y dźwięk rzeká wypuszczála:
 Y obracáiąc wkoła swoje rosy,
 To ná doł, to ie ná wierzch wyrzucála.
 Pátrzy, áż naprzód złote widác włosy,
 Potem twarz gładka dziewczká ukazála:
 Więc pełne pierśi, więc insze piękności,
 Áż po wstydlivey náтуры skrytości.

* * *

Ták więc nierychła Nymphá z nocney Sceny,
 Albo Bogini wychodzi leniwa:
 A choć prawdziwey nie doszła Syreny,
 Bo beła lárwá piekielna fałszywa.
 Przedsię się zdało, że nie większey ceny
 Beła gładkością Syrená prawdziwa:
 Jáko piękną twarz, tak piękny głos miała,
 Smiało się niebo kiedy tak śpiewála.

* * *

Pokoí May kwitnie moia piękna młodzi,
 Poki was w szatę zieloną ubiera:
 Niech wászych młodych myśli nie uwodzi
 Zdrádlíwa sławá, co się was nápiera.
 Ten ktory zá tem co mu lubo, chodzi,
 Co owoc swych lat, swego czasu zbiera,
 Dopiero mądry: tak chce przyrodzenie,
 Ták rádźi ná swe láskawe stworzenie.

Czemu tak wieku roskwitłego dary,
 Który tak prętko przemija, mieciecie?
 Jmień to tylko y znikome mąry,
 Słowá bez rzeczy, co cnotą zowiecie.
 Sławá tá, ktorey palićie ofiary,
 Ktorey z takimi trudy pilnuiecie,
 Sen, álbo ráczey snu lekkiego ćienie,
 Co zaráz zginą, gdy lądá wiátr wienie.

* * *

Ciało, y zmysły, niechay swych záżyią
 Roskoszy, niechay swe poćiechy máią:
 Niech w niepamięći przeszłe troski kryią,
 Przyszłych przed czásem niech nie wspomináią.
 Wszystko zá iedno: Niech pioruny bią,
 Niech niebá grożą, niechay się gniewáią.
 Co rozum, to iest, umieć żyć ná świećie,
 Czemuż náturey nie nászláduiecie?

* * *

Tá pieśń, y ten dźwięk oney niezbożnice
 Znienaglá myśli w młodzieńczyku łudził:
 Bo zwyciężony głosem zley zwodnice,
 Usnął tak twardo, choć się był nie strudził,
 Zeby go beły áni trzaskáwice,
 Ani grom, áni piorun nie obudził.
 A wtem z zasadki Armidá złośliwa
 Biegła do niego prętkiey pomsty chćiwa.

* * *

Y niosła serce wściekle y záżarte,
 Ale uyrzawszy piękny sen, y oczy
 Wdzięcznego śmiechu pełne choć ząwarte,
 Coż gdy otwarte? coż gdy niemi toczy,
 Zmiękczyła serce ná pomstę uparte,
 Y podle niego śiádła zbywszy mocy:
 Y czuie sámá że ią gniew opuszcza,
 Ani chćiwego oká z niego spuszcza.

Nátychmiast miękką bawełnicę złoży,
Którą mu żywe poty ucierala:
Gorąco ktore nań słoneczne wozy
Ciskały, wiatr mu czyniąc odganiała.
Y (ktoby wierzył) swoje skryte mrozy
Ogniem zawartych oczu rozgrzewała.
Ták serce miękczy twárda okrutnica,
Z nieprzyjaćiołki nowa miłośnicá.

* * *

Rożey, liliey, ktorey wysep drogi
Ma w sobie dosyć, nábierała siła:
Potem z niey łańcuch piękny, y chędogi,
Y miękki, ále mocny urobiła.
Ten mu ná szyję, ná ręce, ná nogi,
Ktorem y teraz związány, włożyła.
Y kiedy twárdem snem uspiony leży,
Wziąwszy go ná woz, po powietrzu bieży.

* * *

Miia Dámászku Państwá bogátogo,
Y zamek ktory wodá w krąg obchodzi:
Ale bojąc się o swego miłego,
W wielki Ocean kryiomo uchodzi.
Gdzie ponno nigdy od brzegu nášzego,
Albo zbyt rzadko idą prętkie łodzi:
Tám sobie wysep nie wielki obrała,
W ktorem od ludzi dáleko mieszkála.

* * *

Wysep to máły, y nie zbyt szeroki,
Co od Fortuny ma swoje názwisko:
Kędy ná przykrey gory wierzch wysoki
Chodziła często ná swoje igrzysko.
Tey przez swe czary, rámioná y boki
Nákryła śniegiem: ále wierzchu blisko,
Głowie iey tylko sámę żieleniła,
Y ozdobny tám pałac záłożyła.

Tám on w ustawnem Kwietniu, opoiony
 Brzydkimi żywot wiedzie rokoszami:
 Z tego więzienia, z tak dalekiej strony
 Wywieść go maćie z takiemi trudami:
 Ale wczás wiedźcie, że iest osádzony
 Páłac y gora pilnemi strážami:
 Jednak nie będą y te miáły mocy,
 Będźcie mieli ná nié swe pomocy.

* * *

Podkaćie Pánią nie uszedszy wiele,
 Młodą ná twarzy choćia zeszlá láty:
 Ktorą po włosiech zplecionych ná czele,
 Y rożnych bárwach poznaćie u száty:
 Tá was tak prętko (rzec tak mogę śmieie)
 Morzem ná wysep ponieśie bogáty:
 Ze ptak Jowiszow słabszem biezy lotem,
 Y tá was náзад przyprowadźi potem.

* * *

Kiedy pod gurą uyrzycie Pithony,
 Gdzie iest mieszkánie brzydkiej czarownicy:
 Y wielkie smoki z długiemí ogony,
 Lwy, wieprze dzikie, strászne niedźwiedźce:
 Wzniesćie tę rozgę, á zarázem w strony
 Ućieką smocy, y okrutne lwice.
 Ale kiedy iuż ná gorę wleźcie,
 Niebieszczestwo więtsze mieć będźcie.

* * *

Na sámem wierzchu w skále źrzodło biie,
 Ktore przychęca ludźie uprágnione:
 Ale w kryształe przezroczysem krye
 Smiertelne iády chytrze zátáione.
 Y kto się z niego bynaymniey nápiie,
 Śmiech niesłychány leie w opoione,
 Śmiech niesłychány: bo tak długo musi
 Śmiać się opity, aż go śmiech záduśi.

Od nápuszezoney śmiertelnemi iady,
 Przebog was proszę, wody ućiekaycie:
 Nágotowane ná brzegu obiady,
 Y z trućiznami potrawy puszcaycie.
 Dziewczyny piękne, słuchaycie mey rády,
 Chytre, powábne dáleko miaycie:
 Nie dbaycie ná smiech y ná chćiwe wzroki,
 A śmieie idźcie ná zamek wysoki.

* *

Wewnątrz ná zamku dziwnie zmurowány
 Okrąg ze stem drog wątpliwych uyrzycie:
 Ktory ná kárcie dam wam opisány,
 Ze nie zmylicie, y nie zabłądźcie.
 Dálej pięknemi zioły málowane,
 Z lábiryntami ogrod obaczycie:
 Tám leżącego Boháterá w chłódzie,
 Z swoją kochaną naydźciecie w ogrodzie.

* *

A kiedy oná w stronę rzuci oczy,
 Albo z ogrodá ustąpi do dworu:
 Niech przedeń prętko ieden z tarczą skoczy
 Dyámentową, niebieskiego wzoru.
 Niech się w niey przeyrzy, niechay się w niey zoczy.
 Y niech się wstydzi miękkiego ubioru.
 Bydź może, że tak widząc swą sromotę,
 Tę tak wszeteczną porzuci niecnotę.

* *

Już ia wam więcey powiedzieć nie mogę,
 To tylko, że iuż bezpiecznie możecie
 Wybrać się w swoją naznaczoną drogę,
 Ktorą szczęśliwą (da Bog) mieć będziecie.
 Y chowając tę odemnie przestroge,
 Rycerzá názád od niey uwiedźciecie.
 Y choć w swe gusła, y w swe ufa czary,
 Nie dowie się wprzód o was z żadney miary.

Nie mniej bezpieczne tu zaśię zwrocenie,
Nie mniej szczęśliwe wzad będziecie mieli:
Ale iuż ná sen nocne rządzá cienie,
Y wam teź iuż czas brác się do pościeli.
To rzekszy wiodł ich, y dał iem złożenie,
Oni teź dłużej bawić go niechcieli.
Y przed się bráli odpoczynki swoje,
A stárzec odszedł ná zwykłe pokoie.

KONIEC PIEŚNI CZTERNASTEY.

PIESN PIĘTNASTA.

ARGUMENT.

Wziąwszy Rycerze potrzebne przestrogi,
Bieżą przez morze w niedościgłej łodzi:
Y widzą iadąc iako Tyran srogi
Egipski, woyská do gromády zwodzi.
A tak życzliwy wiátr máią, że drogi
Koniec kilku dni więcej nie przechodzi.
Potem ná iedną wyspę wysiádaia,
Gdzie iuż przekázy wszystkie zwycięžiaia.

Już też dzień piękny wiodł z morzá życzliwy
Promień, y ludzi wołał do roboty:
Kiedy wyszedszy z pokoju szedziwy
Stárzec, niośł kártę, rozgę, puklerz złoty.
Czas wam (pry) w drogę, pierwey niż skwápliwy
Dzień wyńdzie ná świat przestrzeńszemi wroty,
Weście to ná com wam dał obietnicę,
Tem macie pożyć chytrą czarownicę.

* * *

Już byli miękkie zostáwili pierze,
Niżli on przyszedł, y iuż beli wstáli:
Y w száty, ktore rabiáią plátnerze,
Swe pracowite członki ubieráli.
A temże szládem wzad mężni Rycerze
Szli, ktory przedtem pod ziemią deptáli.
A kiedy weszli w bystrey rzeki łoże,
Zegnał ich: Jdźciesz, y prowadź was Boże.

Bierze ich rzeká w swoje wielkie łono,
 Wodá ich ná wierzch wynosi bez szkody:
 Równie tak iáko gdy drzewo wrzucono,
 Znowu ie ná wierzch wyrzućaią wody.
 Niešie ich rzeká, y poyrzá á ono
 Páni poważney y piękney urody,
 Co ich miała wieść przez słonę powodzi,
 Już pogotowiu czeká w krzywey łodzi.

* * *

Czoło włosámi kryte wystáwiła,
 Postawę miała złożoná z ludzkości,
 A kiedy piękne oko otworzyła,
 Ciskála z niego szczyre życzliwości.
 W modroczerwony płaszcz się ustroiła,
 Który wydawał tyśiąc odmienności:
 Ze wszędzie gdzie nań poyrzysz, w káżdey dobie
 Zda się inákszy, y niezgodny w sobie.

* * *

Tákie więc gołab miłością ruszony,
 U malowaney nośi piorá szyje:
 Zsobą niezgodny, y z rożnych złożony
 Barw, przeciw słońcu, blásk od niego biie.
 Czasem się tak zdá, że Smárąg zielony,
 Czasem że Rubin zápalony kryie:
 A czasem społem miésza fárby obie,
 Y oczy ćieszy w stokrotnem sposobie.

* * *

Wnidź (pry) z tem drugim Rycerzu cnotliwy
 W łódź, co bezpiecznie morskie śiecze wody:
 Ktorey káždy wiátr muśi bydź szczęśliwy,
 Ktorey łáskawe wszystkie niepogody.
 Wam mię oddawa Tworcá dobrotliwy
 Zá przewodniká przez głębokie brody.
 Tak białagłowa Rycerzom mówiła,
 Y do brzegu się z łodzią przybliżyła.

Skoro w łódź siedli, oná wzięwszy wiosła,
 Odepchnęła się zarazem od brzegu:
 Y rościągawszy złoty żagiel poszła,
 Y trzymając sztyr pilnowała biegu.
 Rzeką spotrzebę wod miała, y niosła
 Łódź, w on czas ze dżdżu wezbrawszy w zabiegu.
 Aczby tá mogła dla swojej lekkości,
 Jść po namielszey wodzie bez trudności.

* * *

Pędzi wiatr żagiel złotem przetykany,
 Nád przyrodzenie, nád wszystkie zwyczajie:
 Około łodzi widać siwe piány,
 Wodá za niemi bita szum wydaie.
 A wtem ná słone wiezdżaią bálwany,
 Kędy ciekąca wodá iuż ustaie:
 Y tak się w wielki Ocean wmięszála,
 Ze ani wiedzieć kędy się podziála.

* * *

Ledwie niebieska łódź wielkiego łoná,
 Zaburzonego morzá záchwytiła:
 Jáko náwałność zaraz uśmierzoná
 Zeszła, y chmury pogoda spędziła.
 Wodá w wysokie gury ułożoná
 Spádła, y tylko grzbiet kędzierzawiła.
 Niebo się w bárwę tak piękną ubrało,
 Ze się pięknieyszem nigdy niewidziáło.

* * *

Ná wschod zádaiąc morzu ciężkie rázy,
 Od Askálony w lewo kierowála:
 Y iuż obfitey blisko belá Gázy,
 Gdzie przedtem swoy port stára Gázá miała:
 Ale uroszwszy potem z cudzey skázy,
 Miástem bogátem y możnem zostála.
 Po brzegách ludzi tak wiele chodziło,
 Ze ledwie piasku więcey ná nich było.

Z łodzi Rycerze widzą gęste konie,
 Y niezliczone po polu namioty:
 Y to tam, to sam, zbrony y ku bronie
 Przemiiiające ieszdy y piechoty.
 Widzą po piaskách wielbłądy, y słonie
 Wielkie woienne niosące roboty.
 Y z portow nawy ná morze wysłane,
 Y ná kotwicách drugie uwiązane.

* * *

Jedni ná mászty wielkie żagle wlekli,
 Drudzy ostremi robili wiosłami,
 A morze, ktore raz wraz iemi śiekli,
 Y ztąd, y zowąd, toczyło píanami.
 Wtem Páni rzecze: Choć Pogánie wściekli,
 Y brzeg, y morze, zakryli woyskami:
 Przedsię nie wszystek możny Krol zgromadził,
 Jeszcze nie wszystek lud swoy tu sprowadził.

* * *

Płodnemu tylko bliskich Egiptowi
 Zebrał do kupy, inszych czekać myśli:
 Bo ci co siedzą przeciw południowi,
 Y ku wschodowi, ieszcze tu nie przyšli.
 Przeto ia tuszę, że się ku domowi
 Wroćiemy z drogi nászey pierwey, niżli
 Do Pálestyny z woyski się wybierze
 Sam, álbo kogo Hetmánem obierze.

* * *

Jáko bezpiecznie insze ptástwá miia
 Orzeł, y leci pod sámem obłokiem:
 Y pod słońce się tak wysoko wzbiia,
 Ze go nábystrzem prozno doyrzeć okiem.
 Tak się łódź własnie niebieska uwiia
 Między okręty, po morzu głębokiem:
 Ani się żadney obawia pogoniei,
 Ginie iem z oczu, próżno myślić o niey.

We mgnieniu oká z Rufią się zrownála,
 Ktora ná pierwszem z Egiptu noclegu.
 W Syryey leży: ztamtąd kierowála
 Do zbyt nieplodney Rynocery brzegu.
 Potem wysokiey gory doiechála,
 Wydány w morze, nie spuszczáiąc z biegu:
 Ktorey gniewliwa wodá nogi myie,
 Co Pompeiego kości w sobie kryie.

* * *

Do żyzney dálej bieży Dámiáty,
 Y widzi iáko siedmiorakie rogi
 Nyl ukázuiąc, śle trybut bogáty
 Oceanowi, przez wielkie odnogi.
 Y miásto ktore zbudował przed láty
 Grekom wódz Grecki, y mało co z drogi
 Fár, ktory wprzod był obeszy wodámi
 Wysep, á teraz złączył się z brzegámi.

* * *

Rhodu y Krety nie doiezdża wziętey,
 Ale gorącey trzyma się Afryki:
 Nád morzem żyzney, wewnątrz máło żętey
 Prze suchy piasek, y strászny żwierz dziki.
 Więc ku Cyrenie bieży sámopiętey,
 Puszcza precz piękney brzegi Mármáryki,
 Y Tolomitę, y cichą miáią
 Lietę, o ktorey śilá ludzie báią.

* * *

Jáko nadálej ząwždy podeyrzáną
 Zeglarzom miia, wiétszą Syrtę śliską:
 Y głowę w morze dáleko wydáną
 Wielkiey Judeki, y z nią Mágre bliską,
 Miia Trypolim pyszno budowáną,
 Y co przeciw niey leży Máltę niską.
 Potem Aldzerbę z mnieyszemi Syrtámi,
 Wzad zostáwuie, y z Lotofágámi.

Widzi y Tunis, co ma otoczony
 Brzeg swego morza gorami wielkimi:
 Tunis bogaty, pierwszy z káżdęj strony,
 Między wszystkimi miásty Lybyiskimi:
 W bok Syciliyski wysep ma zielony,
 Y Lilibeum z rozgami ostremi.
 Tu Páni pálcem Rycerzom skazała,
 Kędy budowna Kárhágo leżała.

* * *

Leży Kárhágo, y ledwie zostáją
 Znaki iey siły, y dawney możności:
 Miasta y wielkie Páństwá umierają,
 Nákrywa piasek pompy y wielkości.
 A ludzie nędzni ná swoy się gniewają
 Koniec, y swej się wstydzą śmiertelności.
 Potem budowną Bizertę widzieli,
 Po drugiey ręce Sárdynią mieli.

* * *

Przebiegli brzegi, kędy Numidowie
 Błędni mieszkałi, y po teyże stronie
 Budzę Algier, gdzie morscy zboycowie
 Máją swe gniazdá: Ztamtąd ku Oronie,
 Y Tyngitanie, gdzie krokodylowie,
 Y lwi się rodzą, y okrutne słonie.
 Tąmten dziś Fessą, tę Márok názwaną,
 Potem kęs daley ku Gránaćie stáną.

* * *

Już się o słupy Alcydy oparła
 Łódź, gdzie Ocean między ziemię wchodzi:
 Co bywszy iedną w poły się rozdąrała,
 (Jeśli się wierzyć Historykom godzi)
 Potem się wodą gwałtem tędy wdąrała,
 Ztąd Kálpę ztamtąd Abilę podchodzi.
 Gdzie ciásne morze dzieli z Hiszpaniami
 Libią: Ták się świat mieni wiekami.

Czwarty kroć Słońce na świat wychodziło
 Jako się beli od brzegu odbili:
 A w port, bo tego potrzeby nie było,
 Do tego czasu ieszcze nie wstąpili.
 Przeszedz morze kędy się ścieśniło,
 W niezamierzone dopiero wchodzili:
 Jeśli tam wielkie gdzie ie ziemią zwiera,
 Coż tam gdzie ono ziemię w się zawiera?

* * *

Już ani Gądy zbyt obfitey, ani
 Jnszych dwu widać, ziemią zućiekala:
 Brzegow nie widzą Rycerze wybrani,
 Niebo wod, wodą niebą dotykała.
 Wtem Ubáld rzecze: Powiedz piękna Páni,
 Coś ná tak wielkie morze zaiechała:
 Jeśli tu z światá nášzego bywaia,
 Y ieśli ludzie, gdzie iedziem, mieszkaią.

* * *

Oná iem: Skoro Alcycd pokoy sprawił,
 Pobił Hiszpańskie, y Libijskie dziwy:
 Y świat wász przebiegł, tu się iuż zabawił,
 Niechcąc się puścić w Ocean wąpliwy:
 Y słupy wielkie ręką swą postawił,
 Kresy ná śmiałość, y ná dowcip chćiwy:
 Ale te kresy przezeń zámierzone,
 Od Ulissea bely znieważone.

* * *

On ie minąwszy, pierwszy w kruchey łodzi,
 Wszedł w otwártego Oceáná brody:
 Ale się bieglóść nie ząwsze przygodzi,
 Zginał pożarty od łakomey wody.
 Y czego u was niewiedzą powodzi
 Te, skryły ciało, y iego przygody,
 A ieśli też tam kogo wiátr obrocił,
 Albo tam zginał, álbo się nie wrocił.

Nieznáne wielkie morze, y nieznáne
 Ma niezliczone Páństwą, wyspy, kráie:
 Ale są także od ludzi mieszkáne,
 Y ziemiá żyzne dawa urodzáie.
 Y iáko u was w zagony oráne,
 Mocy się także słoneczney dostaie.
 Powtorzy Ubáld: Y to dziwna spráwá,
 Coż tám zá wiárá, y iákie są práwá?

* * *

Oná záś ná to: Rożne są ustáwy,
 Rożne ięzyki, rożne stroie máia:
 Ci ziemię, ci záś żwierz chwałá plugáwy,
 Ci gwiazdom, á ci słońcu się klániaia.
 Są y ci, którzy obrzydłe potráwy
 Ná stoły kládá, y ludzie iádáia.
 A zgoła wszyscy co zá Kálpá siedzá,
 Grubi, okrutni, o Bogu niewiedzá.

* * *

Ubáld záś ná to: Y to wielka strátá,
 Takli Bog, co swe odkrył światło wszędzie,
 Tę tak przestroną tak wielką część świata,
 Wiecznie podomno zostáwi w swem błędzie?
 Odpowie Páni: Zá krotkie tu látá
 Wiárá Piotrowá wprowadzona będzie:
 Ani tak záwsze będziecie dálecy
 Od siebie, choć to niepodobne rzeczy.

* * *

Przydzie czas, kiedy słupy Alcydowe
 Baykám będą między żeglarzám:
 A wielkie morzá, y Krolestwá nowe,
 Bez imion teraz wsławiá między wami.
 Y ieden okręt, to koło światowe
 Obbieży swemi śmiałemi żaglám:
 Y tak do słońcá podobny prętkiego,
 Zmierzy to koło okręgu ziemskiego.

Pierwszy, wielkiego godny pisorymá,
 Ligurczyk poydźie w nieznáíome wody:
 Nie sprawi tego niewytrwána zímá,
 Ani wiátr srogi, áni niepogody:
 Ani dálekie y wątpliwe klimá.
 Y insze ciężkie ná morzu przygody:
 Aby ten umysł íego tak wspániáły,
 Utrzymáć groźby ciężney Kálpy miáły.

* * *

Ty, o Gołębiu napierwszy, wysoki
 Swoy mászt nowemu ukażesz Polowi:
 Ze choć sto skrzydeł, choć ma wzrok stooki,
 Wieść ledwie twemu wydóła lotowi.
 Niech Bachá nieśie z Alcydem w obłoki,
 O tobie dosyć przyszłemu wiekowi
 Ze trochę dotknie: Tá trochę odkryje
 Wieczney pamięci godne Historye.

* * *

Ták mowi: á łódź słone wáły porze,
 A sztyr ná zachod w biegu obracała:
 Y iáko przed nią dzień západa w morze,
 Y iáko zá nią wychodzi, widziála.
 A własnie w ten czas, kiedy złote zorze
 Piękna iutrzenká świata ukazała:
 Czarnawą gorę zdáléká uyrzeli,
 Ktora obłoki ostrą głową dzieli.

* * *

Uyrzeli dáley gdy się przybliżyła
 Łódź dáley pod nią, y zginęły chmury:
 Ze śrzodek miąwszy miała, wierzch ostrzyła,
 Ná kształt Pirámid: Z niewidomey dziury,
 W niebo gęstemi dymámi kurzyła,
 Jákie widzamy u Sykulskiej gury:
 Ktora tę własność, to ma przyrodzenie,
 Ze w dzień dym puszcza, á w nocy płomienie.

Potem mniej przykre y mniej niebu krzywe
 Gory, y piękne wyspy podiechali:
 Ktore wiek dawny nazywał szczęśliwe,
 Y za pewną rzecz tak to udawali:
 Ze iem tak niebo było przyiążliwe,
 Ze zboża polá choć ich nie orali,
 Y przez się groná dawały mące,ce,
 Y niespráwione rodziły winnice.

* * *

Ze tam nie chybią iáko żywo kłosy,
 Ze z dębow"cieką dobrowolne miody:
 Ze Zephir tylko wieie, że w roskoszy
 Bogáte, zázwdy zielone ogrody.
 Ze przykróć látu odeymuią rosy,
 Ze w naygorótsze czasy zázwdy chłody:
 Ze tam bydź polá Elizyiskie máia,
 Gdzie dobre dusze po śmierci mieszkáia.

* * *

Tám Páni bieży: Już (práwi) niecknićie,
 Nie długo koniec drogi mieć będziecie:
 Wyspy od szczęścia nazwane widzićie,
 O ktorych baiek moc ná wászem świećie.
 Prawdá że żyzne, iáko więc słyzyćie,
 Ale wieść przedsię więcej o nich plećie.
 To mowiąc wprzod się do tey przybliżała,
 Co się z dzieiáści pierwsza ukazała.

* * *

Wtem Kárzel wstanie y rzecze do Pániey,
 Jeśli, o Páni, nie nie omieszkamy:
 Uchwycić się ziemie, y posadź nas ná niey,
 Niechay te kráie nieznáne poznamy.
 Niech iák się to tu wszystko rodzi rániey,
 Wiaré ich, stroie, inszem powiádamy.
 Miła rzecz kiedy będę odpoczywał,
 Po przeszłych trudách, rzecć, y iam tam bywał.

Oná zaś ná to: Rycerzu waleczny,
 Sercá to wásze wspaniałe sprawuią:
 Ale coż potem? kiedy wyrok wieczny,
 Y nieodmienne niebá zákázuia.
 Y czas nie przyszedł ieszcze ostáteczny,
 Odkrycia światá ktory obiecuia.
 Ani możecie zanieść tájemnice
 Oceanowey zá wásze gránice.

* * *

Wam z láski swoiey Bog nád przyrodzenie
 Dał prześć te wody, nikomu inszemu:
 Y zdiąć z wielkiego Rycerzá więzienie,
 Y przywrócić go światowi támtemu.
 Przestańciesz ná tem, bo dásze myślenie,
 Upor iest Bogu przeciwny sámemu.
 On umilkł: á wtem pierwsza się zniżała
 Wyspá, á druga wierzch ukázowała.

* * *

Potem widzieli, że się ku wschodowi
 W rząd rościągnione wszystkie náchyliły:
 Y w odległości iednakiey, plácowi
 Dawály miejsce, gdzie morze wpuściły.
 Kiedy pátrzyli pilnie ku brzegowi,
 W siedmiu się ludzie y domy odkryły:
 Bo trzy są puste, y zwierzętá samey
 Máia, w nich tylko swe gniazdá y iámy.

* * *

Brzeg w iedney pustey, ze dwiema rogámi
 Dáleko w morze wchodzi zakrzywiony:
 Y kryjąc w sobie okryte gorámi
 Szerokie łono, port czyni przestrony.
 Gorá nád portem z tyłu się z wálámi
 Biie, á przodek w port ma obrocony;
 A ztąd y zowąd dwie wysokie skály,
 Błędnem żeglarzom znak ukázowały,

Wodá pod niemi spokojna milczała,
 Ku morzu z gury ciemny lás wychodzi:
 W śródku się wielka iáskinia udała,
 Ktorą płot z bluszczu sámorodny grodzi.
 Tu kotew żadna nigdy nie trzymała,
 Powroz nie wiązał sprácowáney łodzi:
 Ná tak ustronne miejsce wysiadała
 Niebieska Páni, y żagle zbierała.

* * *

Pátrząycie (práwi) ono páłac leży
 Ná wierzchu gory, pyszno budowany:
 Tám w proznowaniu ná wysokiey wieży,
 Chrystusow Rycerz siedzi poimány.
 Jutro, wszak wiećcie co ná tem należy,
 Idźcie tám, skoro wznidzie dzień rumiány:
 Jutrá czekayćcie, to dla tey przyczyny,
 Ze są szczęśliwsze poránne godziny.

* * *

Dziś ieszcze poki dnia zstaie iásnego,
 Wysokiey gury przywitacie progi:
 Oni wtem wodzá żegnáli swojego,
 Y przedsięwziętey chwyćili się drogi.
 Równiná beła, y trupu żadnego
 Niesprácowáne nic nie czuły nogi:
 Lecz kiedy koniec mieli swego chodu,
 Jeszcze daleko beło do zachodu.

* * *

Widzą wierzch gory trudno dostąpiony,
 Dla nierównych skał, y ostrych kámieni:
 Y że po stronách wszędzie na niey śrzony,
 Y śniegi: á wierzch tylko się zieleni.
 Przy śiwey brodzie z kwiećcia uplećiony
 Włos nieśie, y lod liliey nie mieni:
 Y roża kwitnie z wielkiem podziwieniem,
 Ták czáry máią moc nád przyrodzeniem.

Obá pod gurą zakryli się w leśie,
 Przyszley iutrzeyszey czekáiąc roboty:
 Potem uyrzawszy, że iuż ná świat nieśie
 Z wielkiego morzá słońce promień złoty:
 Ná przykrą gorę poszli w onem cześie,
 Wzáiemnie sobie dodáiąc ochoty:
 Ale pod gurą zarázem u drogi,
 Zastąpił iem smok strászliwy, y srogi.

* *

Luską nákryty łeb, y wielkie czuby,
 Y szyję gniewem nádętą wyciągnął:
 A brzuch rozwłokły y ogon zbyt gruby,
 Tám gdzie mieli iść ná drodze rościągnął.
 To w się sam wchodził, to wielkie przeguby
 Wydawał, y sam zá sobą się ciągnął.
 Ták się wielki smok przeciwno niem strożył,
 Dármo się iednak y bez skutku srożył.

* *

Już Kárzeł mieczá dobywał od boku,
 Ale go Ubáld uchwycił zarázem:
 Coż? chcesz zwyciężyć okrutnego smoku
 Śmiertelną ręką, śmiertelnem żelázem.
 A sam pomknąwszy śmieie podeń kroku,
 Rozgą nań machnął, áż on iednem rázem
 Uciekáiąc w lás, z drogi ustępuje,
 Y wolne w gorę przeszćie zostawuie.

* *

Ale kęs wyzszeý lew ryczał straszliwy,
 Y wyostrzone ukázował zęby:
 Bił się po bokách, wzrok obracał krzywy,
 Język wywieszał z rozdżiewioney gęby.
 Grzbiet náieżony, y u wielkiey grzywy
 Podnosił straszne y kosmate kłęby.
 Lecz y ten skoro złotą rozgę zoczył,
 Do lásá w stronę wylękniony skoczył.

Kończą swą drogę Rycerze, lecz nową
 Zawadę znowu w poł gury zastają:
 Zwierze drapieżne, które różnie zową,
 Różny głos, postać, y różny chod mają.
 Wszystkie co srozsze, co między Nyłową
 Wodą, y wielkiem Atlántem mieszkają.
 Y co się lęga w Hercyniyskiem leśie,
 Tąm się do kupy zbiegły w onem cześie.

* * *

Ale ná ono straszne zgromádenie
 Libiyskich zwierzow, Rycerze niédbáli:
 Owszem (iáki cud) ná mále machnienie,
 Srodzy dziwowie zaráz ućiekáli.
 Y ná sámy wierzch przez ostre kámienie,
 Już bez zawady żadney wstępowáli:
 Okrom że śliskie y nierowne skały,
 Strudzone nogi czásem hánowály.

* * *

A kiedy trudne przebyli przechody,
 Y przez śrzeżogi y śniegi przeleźli:
 Zastáli láto y piękne pogody.
 Z wielką rowniną, skoro ná wierzch wleźli.
 Tąmże z wdzięcznemi y miłemi chłody,
 Wonno wiejące Zephiry náleźli:
 Y wiátr przyjemny, który nieprzestány
 Závždy táb wieie, y niema odmiány.

* * *

Nie ták iáko tu, kędy niestáteczny
 To znoy, to zimno, to iásno, to chmury:
 Lecz táb dzień závždy pogody bezpieczny,
 Y nie zna nigdy mgły wierzch piękney gury.
 Cień drzewa závždy wydawáią wieczny,
 Y źioła zapách, y kwiecie purpury.
 Pałac nad pięknem ieżiorem wysoki,
 Dálekíe wszędzie posyła widoki.

A iż po przykrey y skálistey oney
 Gurze się beli Rycerze strudżili:
 Już po rowninie wolno szli zieloney,
 Y postawiając drogę swą kończyli.
 A wtem piękny zdroy ktory uprągnioneý
 Żądy do siebie wabił, obaczyli:
 Który z obfitey żyły wody ćiskał,
 Y ná co bliższe zioła wkoło pryskał.

* * *

Potem się wody różnemi ścieszkami
 Do głębokiego przykopu schodziły:
 Y idąc chłodem, nakryte cieniami
 Z drzew swoich brzegow, wdzięczny dźwięk czyniły.
 Tak przezroczyste że pod kryształami
 Swemi kámienia drobnego nie kryły:
 Brzegi obadwá trawą się odziały
 Między drzewami, ktore rzędem stały.

* * *

Ano zdroy śmiechu: dla Bogá miiaywá
 Zrzodła, skrytemi nápuszczone iády:
 Tu uprągnione żądze swe trzymaywá,
 Tu niebiespieczne puszczaýwá obiády.
 Przed łagodnemi uszy zátykaywá
 Pieśniami, ktore zábiiáią rády.
 Wtem dáleý poszli kędy się szerzyłá
 Wodá, y wielkie ieżioro czyniła.

* * *

Tám potráwami nakryte drogiemi
 Stoły ná brzegu gotowe czekały:
 A dwie nadobne dziewczynie przed niemi,
 Bspiecznie sobie po wodzie igrały:
 To sobie twarzy rękoma prętkiemi
 Pryskáły wzaiem, to się wyścigáły.
 Czásem szły nurkiem, y nagle ginęły,
 Czásem pospołu po wierzchu płynęły.

Choć beli twárdzi, przedsię się zmiękczyli
 Obáy Rycerze, y podszedzy blisko:
 Długo ná piękne pławáczki pátrzyli,
 Kiedy swe lube kończyły igrzysko.
 Wtem pełne pierśi iedná w oney chwili,
 Y pod pierśiámi, insze członki nisko
 Ukaże, y to co wzrokowi miło,
 Dálsze swem rąbiem ieżioro zákryło.

* * *

Jáko iutrzenká prowadząc świt rány,
 Z morzá zmaczáne ukázuie włosy:
 Lub iáko ná świat urodzona z piány
 Oceánowey, szła mátká roskoszy.
 Táka tá belá, y tak włos piiány,
 Y pełny mokrey ukazała rosy:
 Potem poyrzawszy w kupę się ścisnęła,
 Zmyślając że ich dopiero uyrzała.

* * *

Y włosy ktore w rog ieden żwinione
 Ná czele beły, nagle rozpuściła;
 Temi, bo beły długie y zgęstwione,
 Swe álábástry miękkie zászłoniła.
 Zbiegło iem piękne widzenie strácone,
 Lecz tá pięknieysza, co ie iem stráciła.
 Tak y włosámi y wodą odżiana
 Obrociła się do nich zászromána.

* * *

Rázem się śmiała, rázem się sromála,
 A śmiech beł w sromie dáleko pięknieyszy:
 Srom także w śmiechu, ktorem farbowała
 Piękne iągody, zdał się bydz wdzięcznieyszy.
 Potem tak z niemi łagodnie gadała,
 Zeby się zmiękczył y naynieludczeyszy.
 Fortunni ludzie, ktorem tu życziwe
 Niebá wniść dały, w te kraie szczęśliwe.

Tu iest port wieczny trudow tego świata,
 Tu odpoczynek: Tu tak żyć będziecie:
 Jako wiek złoty za dawnego lata,
 Żył sobie wolny, y mieszkał na świecie.
 Składaycie zbroie, najmnieysza to strata,
 Już ich tu więcey nie potrzebuiecie.
 Porzućcie miecze bezpiecni całego,
 Jużescie teraz Rycerze miłości.

* * *

Pole waszego boiu od tąd będzie,
 Lub miękka trawá, lub usłane łoże:
 My was powiedziem do tey, co tu wszędzie
 Włada, y wieczne szczęście wam dać może:
 Tá was postawi w swych wybranych rzedzie,
 A sámá do swych nagrod wam pomoże.
 Ale brud pierwey omyćcie w tey wodzie,
 Y po przeszłem kęs pośniadaycie głódzie.

* * *

Ták iedná rzekła: A druga ná ony
 Powaby, zgodnem pozwalála okiem:
 Jako się zgadza z dźwiękiem głośney strony
 Taniec, to rączem, to leniwem krokiem.
 Ale Rycerze máią swe obrony,
 Y strzegą áby y mową y wzrokiem:
 Jch łagodności do sercá nie przyszły,
 Y sáme tylko zwierzchnie cieszą zmysły.

* * *

A ieśli też zmysł czássem ubłagány
 Wpuścił co wewnątrz łagodney słodkości:
 Rozum zarazem w baczenie ubrány,
 Odcinał żądze, umarzał chciwości.
 Ták y ten, y ow szedł nieoszukány
 Dáley ná pałac: A te obcych gości
 Nie mogąc pożyć, w wodę się wnurzyły,
 Złośne bárzo, że nic nie sprawiły.

PIESN SZESNASTA.

ARGUMENT.

Wchodzą Rycerze do wielkiego dworu,
Gdzie był w rokoszy Rynald uwikłany:
On się swych dzierżąc pazewodników toru,
Uchodzi z niego srodze rozgniewany.
Armidą prosi, płacze do umoru,
Lecz darmo: idzie precz nieubłagany.
Z gniewu swoy pałac Wiedmą zepsowała,
Y wlot po rzadkiem powietrzu bieżała.

On wielki pałac piękny y ozdobny,
Okragło beli czārci postawili:
We śrōdku ogrod bogāty osobny,
W naygłēbszem iego łonie wymierzyl.
Wewnātrz rząd gmāchow zgołā niepodobny
Do wybłādzenia, sztucznie uczynili:
A to tām to sām miēdzy gēste progi
Szły błēdow pełne y omylne drogi.

* * *

Po gładkich stopniach wchodzili do gury,
Przez co naywiētsze do pałacu wrotā:
Ktore nā hakāch wypuszczāły mury,
Wszystkie z litego urobione złotā.
Pātrzą z pilnością nā piękne figury,
Widzą, że drozsza dāleko robotā:
Tylko nie mowią, tāk ie kāżdy sądzi,
Lecz y to māią, ieśli wzrok nie błādzi.

Tám beło wszystko właśnie wydrożono,
 Jáko Herkules kądziele pilnuie:
 Wprzod niebo dźwigał, á teraz wrzećiono
 Kręci: miłość się śmieie y ráduie.
 Kęs dálej widzą Jole, á ono
 Jgrzysko strojąc buławę piastuie:
 Y ná pieszczonych członkach miásto száty
 Lwá Nemeyskiego ma łupież kudłaty.

* * *

Po drugiey stronie śiwemi bałwany
 Morzá się bite wiosłami pieniły:
 Szrodkiem dwoisty rząd uszykowány
 Stał wielkich galer, co sobie groziły.
 Błask palił morze z gęstych zbroj ćiskány,
 Brzegi się suchej Lewkáty świeciły.
 Ztąd Antonius Wschod y Egipt wiedzie,
 Ztąd zaś Augustus z swoim Rzymem iedzie.

* * *

Rzekłbyś, że wielkie Cyklády pływaią,
 Y że się gory spieraią z gurámi:
 Z takiem zapędem strony się miészaią,
 Tak się okręty tłuką z okrętámi.
 Już ognie, strzały, oszczepy lataią,
 Morze krwią ściekło okryte trupámi:
 Już (á ieszcze się bitwá nic nie chyli)
 Smętna Krolowa ucieka, iuż w mili.

* * *

Już Antonius zá nią także godzi,
 Już pánowánia porzuca nadzieie
 Wszystkiemu światu: Owszem nie uchodzi,
 Ale tę goni, dla ktorey száleie.
 Rzekłbyś pátrząc nań, że się z owem zgodzi,
 Ktorego razem gniew, miłość, wstyd grzeie,
 A to ná boie pogląda wątpliwe,
 To zaś ná żagle Królowey pierzchliwe.

Potem w Nyłowe przyięty skrytości
 W iey łonie końca czekał ostatniego:
 Y oczy pásąc w niebieskiej gładkości,
 Ulżywał żalu z wyroku twardego.
 Takie wryli Mistrzowie nie prości
 Dzieie, ná bramie pałacu pysznego:
 Ktorem skoro się pilnie przypátrzyli,
 W omylne progi Rycerze wchodzili.

* * *

Jáko Meándér igra z swoim biegiem,
 To w zgorę wody, to ná doł pomyka:
 Y to tám, to sám, niestátecznem brzegiem
 Snuiąc się, często zsobą się potyka.
 Z takiem, á ieszcze mylnieyszem zabiegiem,
 Szły tánte drogi, ále ie odmyka
 Dárowna księgá, wszystko opisuiąc,
 Y zawikłáne węzły rowięzuiąc.

* * *

A skoro ścieszki przebyli wątpliwe,
 Uyrzeli pyszny ogrod, w niem ciekaće
 Wody przeyrzyste, y kryształy żywe,
 Chłodne doliny, págorki kwitnące:
 Śzczepy rokoszne, drzewá urodziwe,
 Kwiećie bárwiste, y ziołá pachnące.
 A co wdzięczności więcey przydawało,
 Misterstwa nie znąc, co wszystko działało.

* * *

Zda się (uprławne tak się z zániedbánem
 Mięsza) że wszystko naturá sprawuie:
 A czásém że to wzorem z niey wybranem
 Misterstwo czyni, y iey nászláduie.
 Ktemu sposobem ledwie zrozumianem,
 Y wiátr, y drzewo, Wiedmá tak czáruie:
 Ze wiecznie kwitnie, wieczny owoc dawa,
 Gdy ieden wyndzie, drugi się dostawa.

Z iednego drzewa figa niedoyrzała,
 A druga wiś słońcem dowarzona:
 Z iedneyże rozgi (iaki cud) dordzała
 Sliwa wychodzi, z iedneyże zielona.
 Gdzie napięknieszy ogrod, okazała
 Winnicą stoi bluszczem ogrodzona:
 Ná niey iągody, tu niedoszłe rane,
 Tu iako trzebá, tu wpoł fárováne.

* * *

Ptástwo po drzewie wita miłe chłody
 Ućiesznem głosem, á niebo się śmieie:
 Wiátr wolny czyni, że liście y wody
 Dźwięk czynią wdzięczny, ále roźnie wieie:
 Mocney dmie, kiedy z iednostáyney zgody
 Umilknie ptástwo, lżey zaś kiedy pieie.
 Lub to tráfunek, lub kunszt, szły Muzyki
 To ná przemiány, to w złączone krzyki.

* * *

Jeden co piorá rożnemi fárbami
 Pomálowáne, á nos miał czerwony:
 Wymusnąwszy się gładkiemi skrzydłami,
 (Cud niesłychány) rym śpiewał uczony.
 Y iako człowiek wymawiał słowami
 Zrozumianemi, tak był wyćwiczony:
 A wszystkie ptástwa pilnując milczały,
 Wiátry ućichły, y pieśni słuchały.

* * *

Widźicie rożą co w poł wychylona,
 Dopiero swoje opowiada przysćie:
 Y w puł závártá, á w puł rozwiniona,
 Jeszcze niedoszłe ukázuie liście.
 Pátrźcie, iako się ledwie wypełniona
 Rozwiia, á iuż więdnie oczywiście:
 Więdnie, y iuż się nie godźi ná wieńce,
 Ani ná Pánný, áni ná młódzieńce.

Tákci śmiertelnych rodzáiow ná świecie
 Przemiiia ten kwiát wesolej młodości:
 Y choć się Kwiecień wraca w káżdym lećie,
 On więcey niekćie, y zbywa piękności.
 Zbieráymysz rożą, poki w świeżem kwićcie,
 Zbieraymy rożą porządney miłości:
 Dziś, owszem zaráz, poki nie przeminie,
 Poki nie zwiędnie, poki nie upłynie.

* * *

Skoro głos ścisnął w świegotliwey gębie,
 Wszystkie mu ptástwá głosem poświadczały:
 Cálowały się pieszczone gołębie,
 Wszystkie zwierzętá miłością pały.
 Znać ią w iáworze, znać ią w twardem dębie,
 Lipy, topole, miłość wydawały:
 W ziemię, y w wodę, y w káżde stworzenie,
 Pożádną miłość láło przyrodzenie.

* * *

Między takiemi idąc powábami,
 Wszystkie roskoszy Rycerze wzgardziały:
 Y obracáiąc ostrożnie zmysłami,
 W twárdość, y w stałość sercá ubieráją.
 A wtem gęstemi między gáłęziámi
 Wzrok ukwápliwý wszędzie posyłaia:
 Aż náostátek uyrzeli ná stronie
 Onę ná trawie, onego ná łonie.

* * *

Ná pierśiách miała rąbek rozdzielony,
 Włos rozczosány po wietrze puściła:
 Biały po twarzy rumiáneý puszczoney
 Pot w krople, wdzięku przydawał iey siła.
 Jáko drży promień ná wodę ciśniony,
 Ták niespokoyne źrzenice toczyła.
 Wiśiała nád niem: On ná łonie u niey
 Głowę trzymáiąc, wszystko pátrzy ku niey.

Y tak w twarzy iey oczy utopiwszy,
 Psuie się nędznik w onem swoim wczáście
 A oná głowę do niego schyliwszy,
 Ssie wdzięczne usta, y głodny wzrok pásie.
 Wtem tchu z naygłębszych wnętrzości dobywszy,
 Westchnął, że ledwie duszą w onem czáście:
 Nie zbiegła do niey: á Rycerze stoią
 Zakryci liściem, y widzą co broią.

* * *

Trefny rynsztunek wierciádło gładzone,
 Ná sznurze nosił u pásá: Wtem wstała:
 Y do tájemnic zdawná obrocone
 Miłości, w ręce trzymać mu ie dala.
 On śmiejące się, oná zapálone
 Oczy ma, tá się we skle przeglądała:
 Ten sobie gdy wzrok w gładki kryształ kładła,
 Czynił z iey oczu wesołych wierciádlá,

* * *

Tá z władzey, á ten z niewoley szczęśliwy,
 Tá w sobie, ten w niey, swe wynoszą chwały:
 Obroć (mowi iey) ná mię wzrok życzliwy,
 Obroć wlepiony názbyt w te kryształy.
 Czy niewiesz? że twych piękności prawdziwy
 Wyras iest ogień, y moje zapáły:
 Y lepiej ci ich cudowny kształt, moje
 Serce ukaże, niż wierciádło twoie.

* * *

Byś wždy swą mogła twarz iáko nadobna
 Obaczyć, żebyś w się obroconemu,
 Ktora w wierciadle nie iest tak sposobna,
 Poćiechę dala wzrokowi twoiemu.
 Ale tak słodki obraz niepodobna
 Wyrázić, y w się záuwrzeć skłu małemu,
 Wierciádlá godne ciebie sámy nieba,
 W gwiazdach ci pátrzyć twych podobieństw trzeba.

Smiała się ná to, ále nie przestała
Przeglądania się, y zwyczajney wzrzędy:
A skoro w wárkocz włosy powiązała,
Y ich pieszczone powściągnęła błędy:
Krotsze skręciwszy, w pierścienie zebrała,
Y pięknych kwiatkow nátknęła w nie wszędy,
Do przyrodzonych swych liliy włożyła
Pielgrzymki róże, y rąbek stuliła.

* * *

Nie tak pięknych barw niezliczone roie
Paw ná ocząstem pierzu ukázuie:
Y złota tęczę krzywe koła swoje
Nie tak pięknemi fárkami máluie.
Ale nád wszystkie tásmę waży stroie,
Ktorey choć nága nigdy nie zdeymuie:
Sámá iá swemi rękami utkála,
A z różnych nici postawę snowála.

* * *

Pieszczone gniewy, nie szczyre odmowy,
Prętkie iednania, miękkie całowania:
Ućieszne śmiechy, łagodne rozmowy,
Krople słodkich łez, ucięte wzdychania:
To wszystko razem puściła w osnowy,
Y mkłem czyniła czołnkiem przetykania
Z takowych nici, y z takiego pásma
Była kochána Armidzina tásmá.

* * *

Nápieściwszy się, y z niem swoje żarty
Skończywszy, w on czas miłego żegnála:
Potem wyszedszy Czárnoksięskie kárty,
Podług zwyczáiu we dnie przeglądała.
A on sam został w ogrodzie zawárty,
Z ktorego pędzią wyniść mu nie dáła.
Ták pilnowála swego miłośnika,
Ze kiedy bez niej, stał zá pustelnika.

A kiedy zaś noc^{ci}enie przynosiła,
 Rádząc ná wczásy y roskoszy swoje:
 Do páłacu go zsobą prowadziła,
 Gdzie nocowali tylko sámo dwoie.
 A w ten czas kiedy ogrod opuściła,
 Y ustąpiła ná dalsze pokoie:
 Ukázali się cni Rycerze stroyno,
 Z gęstego liściá, á obádwá zbroyno.

* * *

Jáko koń dzielny który bywał w boiu,
 Y nie raz wielkie wygrywał zakłady:
 A teraz w paszey przy ciekaćcem zdroiu,
 Márný małżonek chodzi między stady.
 Jeśli usłyszysz po długiem pokoju
 Dźwięk trąb woiennych, rze z wielkiey obrády:
 Już prágnie chłopá y siódla ná sobie,
 Y w zápomniáney wszystek iest ozdobie.

* * *

Ták się młodzieńczyk porwał, bláskiem bity
 Od świetney zbroie w wytrzeszczone oczy:
 On duch woienny który był zakryty,
 Gore w niem teraz, y nábywa mocy:
 Choć był roskoszą y wczássem opity,
 Y zátłumiony: A wtem Ubáld skoczy,
 Y niebieskiego dobywszy puklerzá,
 Ná młodego go obroci Rycerzá.

* * *

On skoro weyrzał w puklerz wystáwiony,
 Uyrzał się sam w niem, y swoje ubiory:
 Uyrzał perfumy, uyrzał włos tráfony,
 Y płaszcz w pieszczone złotem szyty wzory.
 Miecz podle niego leżał porzucony,
 Tylko też leżał: bo trudno do sfory
 Miał iść miecz męski doświádczony boiem,
 Z miękkiem ubiorem, y z niewieściem stroiem.

Jáko gdy się kto mocnem winem spiie,
 Po długiem spáníu przydzie ksobie zaśię:
 Ták y on teraz widzi iáko żyie,
 Y z gniewu pátrzyć sam nie może ná się.
 Wstydlíwe oczy wszystko w ziemię kryie,
 Pátrzyli, pátrzy w stronę, álbo zá się.
 Wlázłby y w ogień żeby go nieznano,
 Y w ziemię, by go tylko nie widziano.

* * *

Wtem Ubáld poczníe: Wielka się záymuie
 Woyná Europy, przeciwno Azyey:
 Kto sławy prágnie, kto wíarę miłuie,
 Przecíw Pogáństwu bieży do Syryey.
 Ciebie zá światem kát máły hámuie
 Prożnującego, o Synu Zophiey.
 Wszystek się ściąga świat do Pálestyny,
 A ty co? lichy Rycerz dziewczyny.

* * *

Co zá sen twárdy ono serce żywe,
 Y ono pierwsze opánował męstwo?
 Ciebie y Hetman, y woysko teskliwe,
 Y szczęście czeka, y sámó zwycięstwo.
 Niech Bogu zmierzłe ołtarze brzydliwe
 Máchometowe, y Pogáńskie Księstwo
 Od twego mieczá pádnie dokończzone,
 Po części przedtem przez cię náchylone.

* * *

Tu umilkł: W mieyscu stojąc y bez mowy,
 Długo się sobie młodzieńczyk dziwował:
 Y dotkliwemi przerażony słowy,
 Wstydem rumiáne iągody fárbował.
 Skoro wstyd spłónął, z gniewu zapál nowy
 Ná twarz surową dopiero wstępował:
 Zdrápał ná sobie nieprzystoyné (taki
 Gniew go beł uiał) swey niewoley znáki.

Y z śćieszek ktore błędnemi żwikłają
 Lábiryntámi, ukwápliwý bieżał:
 A wtem Armidá wyszedszy uyrzálá,
 Ze stroż u bramy iuż zábity leżał:
 Ták się zarázem w on čás domysłálá,
 Ze iey kochány z ogrodá wybieżał.
 Potem obaczy (o niewymowiony
 Zalu) á on wciąż bieży zápędzony.

* * *

Chćiałá zawołać: Postoy, postoy málo,
 Ale nie moglá od żalu wielkiego,
 Wymowić dobrze, y słowo musiáło
 Wroćić się náзад do serca smutnego.
 Widzi, że iuż coś więtszą siłę miáło,
 Niż iey náuki, co iey y miłego,
 Y iey poćiechy wydźierało gwałtem,
 Lecz go przedsię chce wściágnąć iákiem kształtem.

* * *

O iáko dziwnych klátew używálá
 Thessálska Wiedmá, y krzyże kryśliłá:
 Stánowić kołá słoneczne umiáłá,
 Umárle z grobow częstokroć budziłá.
 A teraz dármo pieklá ząklinálá,
 Dármo wrożyłá, darmo się śiliłá.
 Potem chce spátrzyć iż klátwá nie może,
 Jeśli co gładkość pokorna pomoże:

* * *

Bieży bez wstydu: Gdzie teraz on twárdy
 Twoy umysł? gdzie się twá sławá podziálá?
 Tá gdziekolwiek wzrok obracałá hárdy,
 Swe miłośniki wszędzie kierowálá.
 Ták belá pyszná, y ták pełná wzgárdy,
 Ze w sámej sobie tylko się kochálá:
 Chćiałá żeby iá miłowáli wszyscy,
 Lecz wszystkich przedsię miáłá w nienawiści.

A teraz tego, widząc się wzgardzoną,
 Który ią gardzi, goni w onem czeście:
 Y samę przez się gładkość znieważoną,
 We łzy ubraną nagle za niem nieście.
 Bieży, y nogę niebogą pieszczoną
 Stawia po skale, po śniegu, po leście.
 Wrzask miasto posła przed sobą śle w biegu,
 Ale go ledwie dościgła u brzegu.

* * *

O co (pry) część mnie iedną masz przy sobie,
 Drugiey odbiegasz, hamuy ręce nogi:
 Wroć tamtę, albo weź tę, albo obie
 Zabi y zarazem okrutniku srogi.
 Przymamniey słowo niech idzie ku tobie,
 Przymamniey słowu nie zabrania y drogi:
 Bo całowanie darmo pewnie niosę,
 Inszey ie choway: Czy nic nie uproszę?

* * *

Stanął młodzieniec ruszony litością,
 A wtem nądbiegła smętna upłakana:
 Żalosna barzo, ale się żalością
 Nic nie zmieniła, gładkość niezrownana.
 Potem nań milcząc patrzała z pilnością,
 Lub zamyślona, lubo zagniewana.
 On ieśli na nią patrzy, wzrok leniwy,
 Y przymuszony, y zdał się wstydlivy.

* * *

Jako więc śpiewak, niżli pieśń uczoną
 Przy iakiey zacney biesiedzie rozczyna:
 Wprzod cichem głosem drużynę zwiedzioną,
 Do hármoniey gotować poczyna.
 Tak y tá, choć tak beła utrapiona,
 Zdrad, y fortelow swych nie zapomina:
 Wprzod wzdycha, bo tak snadniey sobie tuszy,
 Wyćisnąć swoy głos w przychęconey duszy.

Nie czekay (práwi) ábym cię prosiła,
 Jáko przyiaćiel przyiaćielá prosi:
 Było to kiedyś, żem ci beła miła,
 Czegoć dziś pámięć urázę przynosi.
 Więc nieprzyiaćiel, kiedy miły siła,
 Słuchay, bo y ten czásem się uproši:
 A możesz mi to, czego chcę, dárować,
 Y postáremu gniewy swe záchować.

* * *

Brzydźiszli się mną, y poćiechę iáką
 Ztąd czuiesz, smáku záżyway swojego:
 Zdrow się cieszyć, znam się, y iam beła taką,
 Nienáwidziáłam narodu twoiego.
 Ciebie sámego, czyniłam wszelaką.
 Pilność, o skáźie rodzáiu waszego:
 Poimáłam cię, záwiódłam cię ieszcze
 Dáleko boiow, w dziwne iákieś mieysce.

* * *

Przyday to, co ty zá nawiętszą szkodę,
 Y krzywdę kładziesz, żem cię do miłości
 Chytrze ná swoię zwabiła urodę,
 Oszukánie to, wielkie to chytrości:
 Dáć sobie zebráć Pánieństwá iagodę,
 Uczynić kogo pánem swęy gładkości:
 Y nie iednemu odmowną dawnemu
 Miłośnikowi dárować nowemu.

* * *

Niechże zá zdrády, y zá moje winy,
 Słusznie od ciebie cierpię to karánie:
 Ze záto moje opuszczasz kráiny,
 W ktorycheś przedtem takie miał kochánie.
 Jedź, nie wściągám cię: masz swoje przyczyny,
 Spiesz się ná wiáry nászey zepsowánie.
 Co mówię nászey? Ciebie, ách, niebogá,
 Ciebie, ách, mieć chcę sámego zá Bogá:

To mi day tylko, co y rozboynicy,
 Y nieprzyaciół daie, żebym ztobą
 Jść mogła: Zboycą nie puszcza zdobywszy,
 Zwycięzcą więźnią zawnždy wiedzie zsobą.
 Niechay mię woysko widzi, niech tę liczy
 Jedną między twą sławą y ozdobą:
 Ześ swą fortelną oszukał złošnicę,
 Skázuiąc pálcem podłą niewolnicę.

* * *

Ná co się w szaty mam ubierać stroyne,
 Y pogárdzone trafić włosy swoje:
 Niechay się skwitną, niech będą przystoynne,
 Y niewolnicy należące stroie:
 Zá tę zá tobą poydę między zbrojne,
 Gdzie naygoręcsze będą wrzały boie.
 Mam moc, mam serce, końbym ci trzymać,
 Albobym oszczep zá tobą dźwigać.

* * *

Y puklerz nioślá: albobym puklerzem
 Sámá się stálá ná twoię obronę:
 Zebym tak przed swem stánawszy Rycerzem,
 Z pierśi mu nágich czyniła zasłonę.
 Może być, żeby cofnął się z koncerzem
 Twoy nieprzyaciół, y nie bił w tę stronę,
 Y nie sięgał cię przez mię lub z litości,
 Lub zániedbáney folgując głádkości.

* * *

Lecz ná com głádkość wzgárdzoną wspomniála:
 Głádkość, co skutku nie czyni żadnego:
 Jeszcze coś mowić utrapiona chćiała,
 Ale nie mogła od płaczu wielkiego.
 To ręki, to mu do płaszczá sięgała,
 Ale go názbyt náłázłá twárdego.
 Upárł się zgoła, lzy z siebie nie puści,
 A miłości zaś wewnątrz w się nie wpuści.

Dármo nań miłość łagodna náciera,
 Bo rozum sercá z baczeniem pilnuie:
 Ale się litość ná iey mieysce wdżiera:
 Co pospolicie z miłością spółkuie.
 Y tak go rusza, że ledwie odpiera
 Plączowi, y łzy z trudnością hámuie:
 Ale ią przedsię iako może kryie,
 Y ukázuie że go nie pożyie.

* * *

Zal mi cię (práwi) y bym był ná woley,
 Wziąłbym cię z sobą, iako prósisz, w drogę:
 Ale to trudna, ty darmo nie boley,
 A weź odemnie życzliwą przestroę:
 Ja się nie gniewam, tyś też nie w niewoley,
 Nieprzyaciółką zwąć cię też nie mogę.
 Prawdá, żeś miary chować nieumiałá,
 Y w nienawiści, y gdyś miłowálá.

* * *

Ale cóż? prozno, powszechnie to błędy,
 Płec, wiará, młodość, y insze pokusy
 Wymawiaią cię, wielkie to są względy,
 Y miłość przy tem, co káżdego ruszy.
 To precz, iá w szczęściu y w nieszczęściu wszędy,
 Chcę twoię pámieć w sercu mieć, y w duszy:
 Twoiem Rycerzem będę z káżdey miary,
 Okrom Azyiskiej woyny, okrom wiary.

* * *

Przebog sromoty z grzechami pierwszemi
 Nie wspominaymy, niech iuż będzie po niey:
 Niech tu zá morzem zákopána w ziemi,
 Zá mną ná on świat nie czyni pogonieny.
 Niechay Europá ze dwiema drugiemí
 Częściami niewie, y nie słyszy o niey.
 Ty też ná gładkość swoię miey baczenie,
 Ná stan Krolewski, y ná urodzenie.

Zostańże z Bogiem, tobie się nie godzi
 Jść zemną, widzisz że moi wodzowie
 Zakazuia mi, niechay ci się wodzi
 Wszystko po myśli, y szczęście y zdrowie.
 Armidá widząc że nád nią przewodzi,
 Y że się nie dał náchylic iey mowie:
 Krzywo pogląda, iákoby się wścieklá,
 Y do łaiánia potem się ucieklá.

* * *

Nie Zophia cię piękna urodziła,
 Nie z Akcyiskiey krwi iesteś urodzony:
 Tygrys cię mlekiem Hirkánska karmiła,
 Z Kaukazu iesteś zimnego spłodzony:
 Zem to iednego w niem nie obaczyła
 Znaku ludzkości, że to nie zmiękczoney:
 Nie zmienił bárwy, nie westchnął y rázu,
 Łzy nie upuścił, podobny żelazu.

* * *

Więc przypátrzcíe się złemu człowiekowi,
 Moiem się zowie, á tu mię opuszcza:
 Y iáko złemu nieprzyiaćielowi
 Dobry zwycięzca urazy odpuszcza.
 Jákoć podobny Xenokrátesowi
 Czystey miłości teraz nie przypuszcza:
 Więc piorunami w kościoły strzelaćie
 Mocni Bogowie, á takich miiacie.

* * *

Jdźże niezbożny, kiedy cię nie ruszę
 Łzami, prośbami, serdeczną żałobą:
 Ale nie długo cię, y moię duszę,
 O okrutniku, będziesz miał zá sobą.
 Gdziekolwiek stąpisz, wszędzie sobie tuszę
 Jść nowa Jędzá z węzami zá tobą:
 A ieśli skryte nie wpádniesz ná skały,
 Y Bog chce, że się do swych wrócisz cały.

W bitwie między krwią, y między śmierciami,
 Przypłacisz mi tey srogości zginieniem:
 Y umierając z wielkimi mękami,
 Nie raz zawołasz Armidy imieniem.
 Tu się zatchnęła, y zálana łzami
 Nie mogła więcej mówić, á strumieniem
 Zimny pot z niey ciekł, y pozbywszy mocy
 Pádła ná ziemię, y zówarla oczy.

* * *

Zówarlaś oczy, y niebać się srogo
 Stáwiły, ánić poćiechy życzyły:
 Pátrż teraz, ách pátrż, Armido niebogo,
 Jáko żálosny łzy leie twoy miły.
 O iákobyś to zapłaciła drogo,
 Kiedybyś mogła słyszeć z iákiey siły
 Wzdycha, áno cie y teraz z swey łodzi
 Zdáléká żegna, y niehcąc uchodzi.

* * *

On co ma czynić? Czy ná gołej ziemi,
 Ták iey nápoły umártey odiedzie:
 Tu go żal rusza, tu go zaś ostremi
 Mus nieuchronny osękami wiedzie.
 Prożno, bo włosy Zephiry lekkimi
 Swe nápełniwszy, przewoźniczká iedzie.
 Lecą przez morze, wiátru pełne żagle,
 On pátrzy ná brzeg, brzeg się kryie nagle.

* * *

Oná przyszedszy ku sobie, wzrok smutny
 Po pustem brzegu w koło obracała:
 Y takó iechał, y ták (práwi) chutny
 Uciekł, choć widział kiedym omdlewał.
 By wždy był trochę poczekał okrutny,
 Y rátował mię kiedym umierała:
 A ia go przedsię szalona miłuię?
 Y pátrzę zá niem, y brzegu pilnuię?

Coż tu po płaczu, trzeba nań inszego
Sposobu szukać, poydę za niem szlędem:
Naydę go w piekle, naydę go skrytego
Naygłębiey w ziemi, (z takim mowi iadem)
Wydrę mu serce, y zćwiertowanego
Powieszę w polu, niech będzie przykładem
Jnszem okrutnem, będę się srożyła
Nád niem, co plotę? Rozumem straciła.

* * *

W ten czas się beło nędzna dziewczko srożyć,
Kiedys go miała u siebie w więzieniu:
Teraz iuż nie wczas, iuż go trudno pożyć,
Hámuy się w gniewie, hamuy w utrapieniu.
Bądź co bądź, ia chcę dowcipu przyłożyć,
Chcę się poczuwać w moiem obelżeniu:
Twoią to krzywdą gładkości wzgardzona,
Ty się tego mści, żeś tak znieważona.

* * *

Kto mu łeb utnie, y kto go żywota
Zbawi, dam mu swą gładkość y urodę:
Wzdyc ktorego z mych dawnych sług ochota
Ruszy do pomsty, á ia nie zawiodę:
Swoie Krolestwo y gromadę złota,
Y samę siebie dam mu za nagrodę.
Jeślim niegodná kupná z tem towárem,
Prożnem iest gładkość przyrodzenia dárem.

* * *

Już o nią niedbam, y iuż mi nie miła,
Y tego mi żal, żeś wielką Krolową:
Y tego, żeś się kiedy urodziła,
Y by nie pomsta umrzećiem gotowa.
Coś więcey ieszcze kiedy odchodziła,
Mowiła z gniewu rozerwaną mową:
Tak szła od brzegu, á twarz iey pałała,
Krzywo pátrzała, wárkocze tárgała.

A kiedy przyszlá ná páłac wysoki,
 Cmy duchow od niey przyzwáne lećiały:
 Słońce pobládło, niebá się w obłoki
 Y w chmury w oká mrugnieniu ubrały.
 Wiátry szalone gurom tłukły boki,
 Ziemniá się trzęsłá, á pieklá ryczały.
 Gdzieś poyrzał wszędzie rózne beły słuchy,
 Szumy, szczekániá, gwizdy, zawieruchy.

* * *

Gęste, y czarney nocy rowne cienie
 Ledwie przeyrzáne, obeszły ná koło:
 Dniá ledwie co znáć, mdláło przyrodzenie,
 Wielki Planetá iásne zákrył czoło.
 Nákoniec dzień szczedł, y słońce promienie
 Swe ukazało, ále nie wesoło.
 Już wiécey zamku niewidáć pysznego,
 Znáku go náwet nie naydzie żadnego.

* * *

Jáko obłoki ułożone w gury
 Od słońcá, álbo od wiatru znikáią:
 Jáko chorego spiácego figury,
 Skoro się ocknie, zaráz odbiegáią.
 Ták páłac znika, á sáme z náture
 Spráwione skáły, y gury zostáią.
 Oná teź zá tem ná zwykły woz wsiadłá,
 Y przez powietrze ku niebu przepádłá.

* * *

Ták opásána prętkiemí wichrámi,
 Hardemi koły obłoki deptáłá:
 Y z nieznánemi brzegi mieszkáncámi
 Antárktykowi podległe miiáłá:
 Alcydowemi poszlá nád słupámi,
 Y u Hiszpanow odpocząć niechóciáłá
 Y u Murzynow: ále poszlá biegiem
 Dálej, áż belá nád Syryiskiem brzegiem.

Ztąd do Dámászku swego nie wstępuie,
 Y kray oyczysty miia ulubiony:
 A ná niepłodny brzeg dyszlem kieruie,
 Gdzie beł ieý zamek wodą otoczony.
 Tám przyiechawszy sługi odpráwuie,
 Pánny od siebie odsyła ná strony:
 Osobno mieszka, to kwoli wstydowni,
 Ale wstyd prętko ustąpił gniewowi.

* * *

Pierwey (powiáda) niż woyská wschodowe,
 Niż Krol Aegipski siły ruszy swoje:
 Skuszę fortelow, wezmę száty nowe,
 Miecz, zbroię, sáydak, y żołnierskie stroie.
 Co naysilniejszy pobudzę, y owe
 Obrocę ná to wszystkie sztuki moje.
 O nic, bylem się zemściłá niestoie,
 Obmow, osławy, żadney się nie boię.

* * *

Jam nic niewinná, wszystko to Stryi sprawił,
 Wszystko to sprawá mego opiekuná:
 On płeć młłą w drogę daleką wyprawił,
 On zemnie naprzód uczynił bieguná.
 On w śmiałość, on mię w bezpieczeństwo wprawił,
 Jeśli inaczey, godnábym pioruná.
 Przeto, czynięli co nieprzystoynego,
 Wszystko to z Stryiá przyczyny moiego.

* * *

Skoro to w sobie zawařlá: hániebné
 Koszty, y wielkie wydatki czyniła:
 Ná pácholętá, ná pánny słuźebne,
 Ná dwor swoy bárwy kosztowne robiła.
 Y wziąwszy zsobą rynsztunki potrzebne,
 W drogę się z domu zaráz wyprawiła.
 We dnie y w nocy nie odpoczywála,
 Aż do bogátey Gázy przyiechála.

KONIEC PIEŚNI SZESNASTEY.

PIESN SIEDMNASTA.

ARGUMENT.

Egipt swe woyská w polu popisuie,
Potem ie przeciw Chrześcianom wiedzie:
Ná Rynáldzie się Aramidá gotuie
Pomścić, y z ludem swem ná popis iedzie:
Y sámá siebie przed Krolem ślubuie
Dać zá nagrodę ná wielkiey bieśiedzie.
On wtem zbroię brał, ná ktorey wyrte
Widział swych przodkow dziełá známienite.

Gazá nád morzem miásto położone
Jest ná gościńcu tuż przy Pálestynie:
Ku Dámiécie, á ma niezmierzone
Przyległe piasku suchego pustynie:
Ktory ták wichry mięszáią szalone,
Jáko wiátr morze, y często tám ginie
Nie ieden Pielgrzym, zásuty piaskámi,
Y pogrzebiony wielkiemi zaspámi.

* * *

Krol iá z Egiptu miał zá pogrónicze,
Od dawnych czasow wydártá Turkowi:
A iż ná woynę przyszłą (co się tycze
Bliskości) beła sposobna Krolowi.
Memphim swey dawney odbieżał stolice,
Y tu iá przeniosł: y teraz ludowi
Wszystkie z Páństw swych kazał się tám ściágnąć,
Chcąc w pole prętko ná woynę wyciągnąć.

Jáko się w ten czas te Państwa rządziły,
 Jowiszego powiedz corko rodu:
 Jakie Egipski w ten czas Krol miał siły,
 Jáka moc beła ktorego narodu:
 Kiedy się woyská do kupy schodziły
 Z południá, y od ostatniego wschodu.
 Ty sámá Pánno rot y Hetmány,
 Y możesz świat wpoł miánować zebrány.

* * *

Skoro się z mocy Cesarza Greckiego
 Egipt wyłamał, wiarę odmieniwszy:
 Jeden się z rodu Machometowego
 Pánem uczynił, dwor tám założywszy:
 Kálif názwany, potem od pierwszego,
 Káždy Krol pierwsze imię swe złożywszy
 Kálif się zowie: tak Pháraonowie,
 Tak szli porządkiem Ptolomeuszowie.

* * *

Tak się zá láty Państwo rozszerzyło
 Takiey możności, takiey beło ceny:
 Ze w się Azyą y Libią kryło,
 Od Mármáryki y płodney Cyreny.
 Po brzeg Syryiski potem záchodziło
 Przeci w Nyłowi, zá klimá Syeny.
 Ztąd się ciągnęło do pustyń piaszczystych,
 Ztąd Euphratowych do wod przezroczystych.

* * *

W prawo y w lewo w sobie zamykało
 Bogáte morze, y brzegi pachnące:
 Y zá morze się czerwone ściągáło,
 Ná wschod y kráie Murzyńskie gorące.
 Wielkie bogáctwá, wielkie siły miáło,
 Lecz Państwo przez się możne y kwitnące.
 Moźnieysze sam Krol czynił z każdej strony
 W cnotách Krolewskich, w woynach wyćwiczony.

Woiował długo z Turki, y z Persámi,
 Wygrywał często, często też przegrywał:
 W nieszczęściu większy, tak twierdzili sami
 Nieprzyjaciele, niż w szczęściu zostawał.
 A kiedy się już wielkimi pracami,
 Y láty stągał, y w śile ustawiał:
 Odpasał szablę, y zbroję położył,
 Lecz żądzey władzey szerokiey nie złożył.

* * *

Jeszcze wojuie przez swoje Hetmány,
 Wspóniały w sercu, y poważny w mowie:
 Y Monárchiey z wielu Páństw zebrány
 Ciężár, nie ciężki ieszcze iego głowie.
 Z Afryką w drobne rozdzieloną Pány,
 Ná iego imię drżą máli Krolowie.
 Dalecy mu się Indowie klániáią,
 Ci lud ná wojnę, ci trybuty dáią.

* * *

Táka możnego Krolá beła śilá,
 Gdy woyská w pole wysyłał zebrane:
 Bo go Francuska potęga trapiła,
 Y szczęście iemu dawno podeyrzáne.
 Tám też Armidá przyszła, y trąfiła
 Prawie, gdy woysko miało bydz písáne
 W przestronem polu, kędy nád piękny
 Łákami iezni miáli z pieszemi.

* * *

Krol w máiestacie wyniosłem ná gurze
 Siedział, ná ktory wchodzono stopniámi:
 Báldekin złoty rospięty ná sznurze
 Wiślał drogiemi tkány iedwabiámi.
 Ten miał nád sobą: sam zaś beł w purpurze,
 A drogi deptał złotogłow nogámi.
 Z miękkiey bawełny zawoy wity wkoło
 Zdobił mu skronie, y wesołe czoło.

W ręku miał sceptrum: Brody długiey śiwe
 Włosy mu wielką powagę czyniły,
 Smiałość mu oczy wydawały żywe,
 Ktore się láty nic nie odmieniły:
 Lubo się ruszył, lub weyrzał, prawdziwe
 Wszystkie postęпки Krolewskie w niem beły.
 Fidyás ponno Jowiszá takiego
 Uczynił, ále grom óiskaiącego.

* * *

Jeden Sátrápá przedniejszy, prawice
 A drugi boku lewego pilnuie:
 Támten miecz trzyma u złotey głowice,
 A ten urzędu znak, pieczęć piástuie.
 Jeden Krolestwá wszystkie táiemnice,
 Y pospolite sprawy odpráwuie.
 Drugi Hetmáni y woyskámi rządzi,
 Y rzádu strzeże, y występne sądzi.

* * *

A Cyrkásowie po oboiey stronie,
 Straż iego wierna, stali mu ná oku:
 Ci krom kárácen y oszczepow, bronie
 Krzywe nośli u iednego boku.
 Tákw ten czas siedział ná wysokiem thronie,
 Wszystkiemu swemu woysku ná widoku;
 A rot y wszystkie kiedy go miiály,
 Czołámi biły, chorągwie schyláły.

* * *

Pierwszy z Egiptu lud się popisował,
 Od czterech swoich wodzow prowadzony:
 Dwu gurny Egipt, á dwu wypráwował
 Dolny, od Nylu płódnego spráwiony.
 Ten w morze mułu náńiosł, y zgotował
 Bez wielkiey pracey rodzáyne zagony.
 Gdy słońcem przesechl: O iák tego śilá
 Jest wewnátrz, gdzie wprzód brzeg y wodá byłá.

W pierwszym szli połku, co ku zachodowi
 W Alexándrijskich równinach mieszkáli:
 Y polá słońcem spalone, brzegowi
 Afrykánskiemu przyległe, oráli.
 Aráspes było imię ich wodzowi,
 A iáko o niem wszyscy powiádáli:
 Niemężny, ále fortelow beł pełny,
 Y ná wojenne zasadki subtelny.

* * *

Wtóry połk wiedzie Aronteus, z włości
 Azyiskich, ktore ná wschod się chyliły:
 Ten w sobie żadney niemiał swej godności,
 Ale go zacnem tytuły czyniły.
 Jeszcze wojennych nie skuł przykrości,
 Rane go trąby ieszcze nie budziły:
 A teraz go czci prágnienie tak bodło,
 Ze go od wczasow ná wojnę wywiodło.

* * *

Trzeci nie beł połk, ále się tak zdáło,
 Ze woysko polá niezmierne okryło:
 Rzekłbyś, że ich nic w państwie nie zostało,
 Choćia z iednego miastá wychodziło.
 Miastá, ktore się powiátom równáło,
 Tákie, tak wielkie przestrzeństwo w niem było.
 Káir wspominam, z ktorego wychodził
 Lud ten, á Kámpson ich wodz ie przywodził.

* * *

Gázeł czwarty połk wiodł tych, ktorzy kosą
 Blisko Egiptu obfite pszenice:
 Y wysszey, aż tám gdzie z niebieską rosą
 Nyl spada ná doł do morskiey gránice.
 Egipcscy ludzie szable tylko noszą
 Y łuki: bo by zbroie y przyłbice
 Nie udźwignęli, á w bogátem stroiu,
 Chciwość do łupu, nie strách czynią wboiu.

Z Ptolomáidy potem przechodzili
 Młdi nádzy ludzie z Alárkonem swoim:
 Ktorzy się przedtem długi czas żywili
 Po pustych brzegách, łupem y rozboiem.
 Już lepszy Krolá Sumárskiego beli
 Co zá niemi szli, ále wstępem boiem
 Nic nieumieli: Krol Trypolski po niem
 Szedł z swoim ludem dzielnem kręcąc koniem.

* * *

Z obu Arábiy, z skalistey z szczęśliwey
 Ludzie po Krolu Trypolskiem miáią:
 Co nocorowniey podlegli życzliwey,
 Zbytniego zimná y ciepłá nie znáią.
 Gdzie Ambrá roście, kędy wiecznożywey
 Nieśmiertelności Phenixá widáią:
 Ktory ná wonnem gniaździe (ieśli słuchy
 O tem prawdziwe) ma grob, y pieluchy.

* * *

Już ci poprawdzie nie tak beli stroyni,
 Ale broń mieli by Egipczykowie:
 Y tak ubrani, y tak beli zbroni,
 Po nich szli zaráz lekcy Arábowie:
 Ci miástá błędne zówždy niespokoyni,
 Wloką zá sobą, zówždy pielgrzymowie.
 Wzrost máły, cienkie białogłowskie głosy,
 Twarz czarną máią, czarne długie włosy.

* * *

Ostremi z końcow żeleścámi tknione
 Indyjskie trzciny, w biegu z koni miecą:
 Ktore tak rącze, tak są nieścignione,
 Ze lekkie wiátry ledwie pręcey leczą.
 Pierwsze wiodł Syfax w szeregi sprawione,
 Poślednie Aldyn miał pod swoią pieczę.
 Trzecie prowadził Albiádzár zboycá,
 Nie Rycerz, ále rączy mężoboycá.

Zá Albiádzrem záraz przechodźili
 Mieszkańcy wysep obeszłych wodami:
 Ktorzy ná morzu Arábskiem łowili,
 Konchy drogiemi bogáte perlami:
 Y czarni z niemi, ktorzy się rodźili
 W lewo nád wody czerwonej brzegami.
 Támtych Agrykált, tych iest przełożonem
 Ośmid, co káżdym pogardza zakonem.

* * *

Zá niemi potem szli Ethyopowie
 Z Meroe wyspy od Nylu sprawioney:
 Y z Astrábory, (jako się dziś zowie)
 Ná trzy Krolestwá, ná dwie rozdzieloney
 Wiary: Asimir y Kánár Krolowie
 Wiedli ich, obá złey sekty mierźioney
 Máchometowey, trzeci z żadney miary
 Niechćiał iść z niemi, co beł nászey wiary.

* * *

Więc dwáy Krolowie z woyskiem ustroionem,
 W łuki, w sáydaki, z kráiu dálekiego:
 Jeden Krol z Ormus, miástá pięknem łonem
 Perskiego morzá, w koło obeszłego.
 Drugi z Boekan ná wyspie przestronem,
 W łonie wielkiego przystępu morskiego.
 Ale kiedy záś morze wzad uchodźi,
 Suchemi pielgrzym nogámi przechodźi.

* * *

Y ćiebie młoda żoná Altámorze
 Ustáwnem płączem swem nie utrzymálá:
 Ktora, lub pádły, lub wstawáły zorze,
 Ná twoy nieszczęsny odiazd nárzekálá.
 Tákli (pry) wolisz ná strászliwe morze,
 Niź ná mię pátrzyć: Czegom doczekálá?
 Ze wolisz dźwigać brzemię cięższkiey zbroie,
 Niźli piástować máłe dziećię swoje.

Z Sármaakanty to Krol beł zawołány,
 Ale namnieyszą chwałę miał z korony:
 Więtszą z dzielności, bo między Hetmány
 Nayprzednieyszemi mogł bydź położony.
 Nakarmi pewnie boiu Chrześciany,
 Y da się iem znąć: Lud wiedzie ćwiczony:
 Zbroyny, ktory ma kárwásze ná ręku,
 Szable u boku, buławy u łeku.

* * *

Aż od dalekiej iutrzenki przyiechał,
 Y szedł ná popis Adrást srogi, ktory
 Y káraceny, y zbroie zaniechał,
 Ale miał káwtan z twárdey smoczey skory:
 Ná wielkiem słoniu przed Kálifą iechał,
 Rowny wierzchowi iákiey máley gory:
 A lud prowadził, ktory z Gángá piie,
 Y w dalekich się Indow morzu myie.

* * *

Zá tem dopiero Rycerze wybráni,
 Kwiat piękney młodzi się popisowali:
 Ktorzy Krolewską służbą uwiązáni,
 Godne nagrody, y żóld wielki bráli:
 Ná dzielnych koniach zbyt pięknie ubrání,
 Páná swojego szeregiem miáli:
 Z światła co z pięknych purpur wychodziło,
 Y z zbrojy złoćistych, niebo się świeciło.

* * *

Między temi beł Odmár z Rymedonem,
 Ktory się często pojedynkiem biał:
 Mężny Hidráot z śmiałem Alárkonem,
 Ktory ná morzu długi czas rozbiiał.
 Y Ormund dzielny z Tygránem ćwiczonem
 W zwodzeniu bitew: Po tych zaráz miiał
 Marbust Arábski Albráki obfitey,
 Co z Arábiey imię wziął podbitey.

W temże był polku Albudżár z Pírgántem,
 Y z Arymonem Orynd okrutnikiem:
 Armin y Brymárt, y z Aryodántem
 Bástrágor, co był sławnem zapásnikiem.
 Furs okroćiciel koni z Mándrykántem,
 Y z Agrykáltem wielkiem naieżnikiem.
 Tryzafern pierwszy Rycerz, iáko o niem
 Twierdzili, lub się pieszo bił, lub koniem.

* * *

Książę Ormiáńskie był ich przełożony,
 Który w młodości wiare Chrześciańską
 Porzucił, przedtem Klemens był rzeczony,
 Teraz Emiren, skoro wziął Pogáńską.
 Wierny Krolowi, y znał z káżdey strony
 Przeciwno sobie iego łaskę Pańską:
 Rycerz y Hetman wielki y z dzielności,
 Z sercá, z rozumu, y z umiejętności.

* * *

Kiedy już wszyscy przeszli, niespodziána
 Armidá się z swem poczem ukazała:
 Y Boháterká krotko ukasána,
 Ná złotem woźie sáydáczna iechała.
 Jey przyrodzona gładkość niezrownána,
 Ták się w iey twarzy z gniewem pomieszała:
 Ze y surowość z oczu iey pátrzyła,
 Y groziła społ, y grożąc wabiła.

* * *

Jey woz był táki, iáki więc Phebowy
 Bywa z Piropow, á woźnicá chwoszcze
 Uczenie dyszel kieruiąc wozowy,
 Logoszem spięte cztery iednoroszcze.
 Ná stu pácholát białe srebrołowy,
 Y ná stu pámien beły, á potroszcze
 Złotá w nie wtkano: Białe konie mieli,
 Z łuki, z sáydaki wszyscy, wszyscy w bieli.

Zá pánnámi tusz y zá páchołety
 Jdą iey ludzie, ktore wiodł z Syryey
 Od Hidráota Arádyn náięty
 Z wielkiego żołdu, rodem z Bithyniey.
 Jáko gdy Phenix ná złotych rospięty
 Skrzydłách, swey leći do Etyhopyey.
 Swiát się dziwuie, ptástwá gęste wkoło
 Zálátuią go, to w bok, to ná czoło.

* * *

Ták się ná ten czás każdy iey gładkości,
 Y iey urodzie, y stroiom dziwował:
 Y żaden nie był ták wielkiey twárdości,
 Zeby się tám był iey nie rozmiłował.
 A choć w gniewliwey belá surowości,
 Každymby ią był sobie rad zholdował.
 A? kiedy w śmiech twarz wesołą oblecze,
 Kámienie miękczy: Coż serce człowiecze?

* * *

Skoro minęła, Krol z tronu wielkiego
 Kazał do siebie przyść Emirenowi,
 Chcąc go Hetmanem mieć woyská swojego,
 Y Generałem wszystkiemu ludowi.
 Ktory iuż wieszczek mieyscá tak zacnego,
 Niosł godne czoło temu urzędowi.
 Cyrkasowie się zbroyni rozstąpili,
 Y przez lud gęsty drogę mu czynili.

* * *

On głowę schylił, y padł ná koláná,
 A Krol do niego z poważną postawą:
 Ciebie (powiáda) chcę mieć zá Hetmáná,
 Ty rządź tem woyskiem, ty właday buławą.
 Jedź wyzwól záraz Zydowskiego Páná,
 Jdź mu ná odśiecz, niech zá twoią sprawą
 Nieprzyáćiele padną poráżeni,
 Do ostatniego szczętu wyniszczeni.

Emiren zátem wielkie czynił dzięki
 Ná maiestaćie Krolowi wielkiemu:
 Z niezwyćieżoney (práwi) biorę ręki
 Buławę, szczęściu ufáiąc twoiemu:
 Y tuszę, że krzywd przypłacą przez dzięki
 Nieprzyaćiele, Páństwu Azyiskiemu.
 Przegráią da Bog: Co ieśli mię minie,
 Z sławą Emiren nie z sromotą zginie.

* * *

Y ieśli nam co złego obiećáli
 (Czego nie tuszę) gniewliwi Bogowie:
 Niech się to wszystko ná moy łeb obáli,
 Niech to zostánie tylko ná mey głowie:
 By iedno woysko zdrowo záchowáli,
 Niechay mię inszy pogrzebą wodzowie.
 Niech tryumphálne będą nie żáłośnie
 Pompy: Wtem w tráby nderzono głośnie.

* * *

Ták w pyszny namiot wszedł między dźwiękami
 Wielki Krol z swemi wodzami pospołu:
 Gdzie należnemi uczczeni mieysćami,
 Siedli porządkiem u nizszego stołu.
 Jednych czcił mową, drugich potráwami,
 Puściwszy wodze wesołemu czołu.
 Armidá zaráz z swą chytrością iedzie,
 Przy dobrej myśli, przy onej bieśiedzie.

* * *

Po odstáwieniu stołów gdy uyrzálá,
 Ze ná nią chćiwe oczy obroćili:
 Y z swoich znáków zwyczáynych poználá,
 Ze wszyscy ogniów skrytych záchwyćili.
 Udátnie z stołká swojego wstawálá,
 Y szłá przed Krolá, chcąc się w onej chwili
 Udać zá męźną y twarzą surową,
 Y nie swojej płci, ále męską mową.

Y ia, o Krolu, chcę choć białagłowá,
 O oyczynę się y wiarę kosztować:
 A co więc bywa między ludźmi mowá,
 Ze nie przystoi Krolowey wojować:
 Y sceptrum, y miecz (u mnie to są słowá)
 Jedneyże dają ręce: Kto krolować
 Chce, niechay zabaw Krolewskich użyie,
 Y moią ręká, iáko druga biie.

* * *

Nie pierwszy to dzień, w którym chęci swoje
 Do boiow y do woyny obrociła:
 Jużem ia nie raz y o Państwo twoie,
 Y o wiarę się z Chrześciany biła.
 Y podomnoć kto powiadał, com w boie
 Dokázowała, y com w nich czyniła:
 Y wiesz iákom ci wyprawiła w dary
 Więźnie przednieysze Chrystusowey wiary.

* * *

Ci wszyscy beli odemnie dostáni
 W pewney utarczce, y w pewney potrzebie:
 Y do tych czasow byliby trzymáni,
 W wiecznem więzieniu podomno u ciebie:
 Y tybys teraz ani woyny, ani
 Tych prac ponośli, y nie trudził siebie.
 By był nie Rynáld zdraycá, ktory moje
 Ná drodze pobił, y wyzwolił swoje.

* * *

Znaćcie go ponno, y tu wiele rázy
 Wspominają go, y spraw iego śiła:
 Od tego takie odnoszę urázy,
 A iam się dotąd ieszcze nie zemściła.
 Y tá przyczyná, żem dla iego skázy
 Ná tę się woynę do ciebie puściła.
 W inszy czas powiem iákom ukrzywdzoná,
 Teraz chcę pomsty zá to, żem zelżona.

Stáram się o to: Wždyć oku miernemu
 Nie káżdą strzałá dármo wylátuie:
 Ale y Bog sam przeciwko winnemu,
 Z ukrzywdzonych rák czásém ią prostuie.
 Jednak kto zdraycy utnie łeb moiemu,
 Y ktory mi ią uciętą dáruię:
 Aczbyim ci sáma rádą się pomścila,
 Będzie mi pomstá z iego ręki miła.

* * *

Ták będzie miła, że zá iego stánie,
 Podka go słuszná odemnie nagrodá:
 Krolestwo mu się w posagu dostánie,
 Y iakokolwiek tá móiá urodá.
 Przysięgam ná to, karz mię mocny Pánie,
 Jeśli nie strzymam: Więcey mowić szkodá.
 Przeto, jeśli kto chce náń wáżyć zdrowie,
 We mnie korzystá, niechay się ozowie.

* * *

Gdy ták Armidá wszystkich zápalála,
 Adrást w niey zaráz utopił wzrok chciwy:
 Nie day (pry) Boże, ábyś ty náń miała
 Z ták piękney ręki pociągnąć cięciwy.
 Niegodzien náwet, ábyś náń zmierzála
 Niebieskiem okiem zdraycá niecnotliwy.
 Odpráwię ia to, mnie słusznie tákowa
 Pomstá náleży, o piękna Krolowa.

* * *

Ja mu łeb utnę, y strzymam to cále,
 Już może prętkiey pewien bydz swey zguby:
 Ták w ten czás mowił Adrást śmiały, ále
 Nie mógł mu wytrwáć Tyzáfern tey chluby.
 A tyś kto (práwi) ktory ták zuchwále
 Mowisz przy Krolu, przy nas, chłopie gruby.
 Milczá tu drudzy choć mężnieyszy: A ty
 Ták się skoro wprzód wymykasz przed swáty.

Odpowie Adrásť: Ja nie mówię wiele,
 Y dárémnych słów nierad puszczam zęby.
 Ale by nie tu, nie rzekłbyś tak śmieie,
 Y po ziemibyś pewnie zbierał zęby.
 Szli do gorszych słów, ále Krol ná czele
 Ukazał z gniewu pomarszczone wręby.
 Y kinał ná nich: Potem rzekł Armidzie,
 Masz męskie serce przy pánieńskim wstydzie.

* * *

O piękna páнно, y godnáś áby ci
 Obá uráżyć swoje dárowali:
 Y do tey pomsty od ciebie użyć,
 Zgodnie swe śily ná to obracáli.
 Y wy Rycerze mężny, niepożyci,
 Lepiey żebyście té gniewy chowali
 Ná tego zdraycę: Oni wtem Krolowi,
 Y iey mówili, że beli gotowi.

* * *

A nie tylko ci dwáy Boháterowie
 Ofiárowáli swoje gotowości:
 Ale y insze przednieyszy wodzowie
 Przyśięgali się mścić iey zelżywości.
 Ták wiele mieczow przeciw iego głowie
 Ostrzyła w ten czas mocą swey miłości:
 Ale on skoro odbił się od brzegu,
 W szczęśliwem kończył swoją drogę biegu.

* * *

Taż drogą właśnie przewoźniczka iedzie,
 Ktorą się belá iádąc tám puściła:
 Y tamże swoy sztyr obraca y wiedzie,
 Y także łodzi iáko wprzód szczęściła.
 Młodzieńczyk pátrzy ná zimne Niedźwiedzie,
 Widzi Arktura, y gwiazd mnieyszych siła:
 Y Oryoná, czasem wzrok rzekámi,
 Czasem wielkiemi zabawia gurámi.

Czāsem się pyta, iako odiechali
 Woyskǎ, więc iakie ktorego narodu
 Zwyczajie: Owǎ ták długo iechali,
 Aż słońce beło czwarty kroć u wschodu.
 Inż też mierzkało kiedy wyśiǎdali,
 Y kiedy ná ląd szli z morskiego brodu.
 Wtem Páni rzekłǎ: Czās wam do noclegu,
 Ná Palestyńskiem iużeście tu brzegu.

* * *

To rzekszy żagle y insze naczynie,
 U niebieskiego zostawuie promu:
 A sámǎ z oczu ták iem nagle ginie,
 Jáko więc słowo przydzie wyrzec komu.
 Już też noc bełǎ, piászczyste pustynie
 Widzǎ, y to źle: lecz żadnego domu
 Widzieć nie mogǎ, áni drogi znaku,
 Nieznác ludzkiego, ni końskiego szlaku.

* * *

Y ztǎd y zowǎd pátrziǎǎ pomocy,
 Potem ku morzu obroćili tyły:
 A gdy szli dǎley, blǎsz z dǎlekǎ w oczy,
 Y iásne iakieś promienie ie biły.
 Ktore swem złotem światłem, ciemney nocy
 Mrok oświecały, y rzadki czyniły.
 Jdǎ tǎm gdzie się światło ukazało,
 Potem obaczǎ, co się ták błyszczǎło.

* * *

Widzǎ ná niskiem Cyprysowem krzaku,
 Ku mieśiǎcowi zbroię zawieszonǎ:
 Y ták ná zbroi, iako ná szyszaku
 Perły sǎdzone rękǎ náuczonǎ.
 Widzǎ tǎmże tarcz wiszǎcǎ ná haku,
 W piękne obrǎzy wszędzie wydrożonǎ:
 A mǎż szedziwy co tego pilnowǎł,
 Skoro ich uyrzǎł, ku niem następował.

Kárzeł z Ubáldem skoro go zoczyli,
 Ták przyaciela poználi dawnego:
 Záczem go obá chętnie pozdrowili,
 Y wzáiem beli witáni od niego.
 Wtem obrociwszy oczy w oney chwili,
 Do Bohátyrá życzliwe młodego.
 Ták począł: Ciebie ták pozney godziny
 Czekam, á powiem dla ktorey przyczyny.

* * *

Jákiegom żáżył dla ciebie stáránia,
 Y com uczynił w twey własney potrzebie:
 Ci wiedzą, ktorzy z mego ukazánia,
 Przez wielki się brod pláwili dla ciebie.
 Słuchayże mych słow rożnych od śpiewánia
 Zdrádlivych Syren, á miey ie u siebie:
 Poki cię inszy mowá świętobliwá,
 Nie náprowadzi ná drogę prawdziwą.

* * *

Nie w miękkiem pierzu Rycerzu wspániáły
 Między Pániámi sławá ma mieszkánie:
 Ale ná wierzchu bárzo przykrey skały,
 Gdzie nie postoi nigdy proznówanie.
 Kogo roskoszy sprosne uwikláły,
 Kto nie prácuie, ten iey nie dostanie.
 A ty będąc ptak wysokiego lotu,
 Chcesz się niskiego w dole trzymać płotu?

* * *

Twarz ci wyniosłą naturá stworzyła,
 Y siły do prac, y serce gotowe:
 Myśl ci wspániáłą wysoką spráwiła,
 Abyś szedł w zgorę, przez śrzodki tákowe.
 Gniew w cię gorący y prętki włożyła,
 Nie żebyś go miał ná zwády domowe:
 Y ná rosterki między swemi użyć,
 Albo iem żádzey bezrozumney służyć.

Ale, żebyś weń dobrze uzbroiony,
 Nieprzyjaćioły potężniey wojował:
 Y żebyś większą siłą opátrzony,
 Chćiwóść y żądzą niezbędną hámował.
 Przeto go obroć ná coć pozwolony,
 Niechby iem twoy wodz y stárszy száfował:
 Ten będzie wiedział kiedy go popuścić,
 Kiedy go wściągnąć, kiedy go nie puścić.

* * *

Ták mowil stárzec w powagę ubrány,
 A on się wstydził, y wzrok ná doł zchylił,
 Bo ták rozumiał, że one przygány
 Nań się ściągály, iákoż się nie mylił.
 Obaczył stárzec że beł zásromány,
 Y że się w niem wstyd co raz bárziefy śilił:
 Nie wstydz się (práwi) ná tey tarczy synu,
 Uyrzysz wielką część przodkow twoich czynu.

* * *

Uyrzysz w niey sławne y bitne twe dziády,
 Uyrzysz ich męstwo z dziełami wielkimi:
 A ty do tych dob ták znacznemi szlády,
 Leniwo idziesz w tem plácu zá niemi.
 Pobudz się synu, á bierz z nich przykłády,
 A zá przodkami następuy twoiemi.
 Kiedy ták stárzec powiádał szedziwy,
 Młodzienczyk ná tarcz obracał wzrok chćiwy.

* * *

W ták ciásnem polu od Mistrzá mądrego
 Ták wiele figur beł w rzędzie długiem
 Wyritych, iáko z rodu Akciyskiego
 Nierozerwanie szedł ieden zá drugim.
 Y nie zmaconem strumieniem z dawnego
 Rzymskiego źródła, ćieklá iednem cugiem
 Jch krew szláchetna: Stoią cni wodzowie,
 Laurowe niosąc korony ná głowie.

Stárzec káżdego dzieła ukázuie,
 Kaiusá naprzod, iáko go wołały
 Przyległe miástá: á on ie przyimuie,
 Y ná Eście Pan zostáie wspániáły.
 Jáko y drugim obronę gotuie,
 Co się pod iego skrzydlá ućiekały.
 Gdy w náchylonem Cesárstwie narody
 Obce, czyniły niepoięte szkody.

* * *

Y kiedy drogą wiadomą Gottowie
 Przeszli, y srodze kray Włoski palili:
 Kiedy się Rzym bał bárzo o swe zdrowie,
 Aby go beli z gruntu nie zniszczyli.
 Gdzie przy Aurelim Akciyskiem swey głowie
 Cáli zostáli, ci co pod niem byli.
 Potem Forestá skazał, co Hunnowi
 Septemtryonu odpierał Krolowi.

* * *

Dobrze Attyllę wyrażił uczony
 Mistrz, ze pśiem pyskiem, co ná wzięcie czekał
 Aquileiey, wzrok miał zápalony,
 Byś go znał, rzekłbyś, że wárczał, y szczekał.
 Y widzieć beło kiedy zwyciężony
 Ná pojedynku między swe ućiekał.
 A Forest bronić zostawał gotowy
 Aquileiey, Włoski Hektor nowy.

* * *

Ná inszem nieyscu Mistrz beł wyrysował
 Jego los, y śmierć, iáko niebá chćiały:
 Potem ná Páństwo dzielny następował
 Akáryn, po swem oycu pozostały.
 Nie Hunnom, ále Boskiem ustępował
 Wyrokom Altyn, Altyn mężny śmiały:
 Y rozsprozone potem wśi gromádził,
 Y z nich nád Padem wielkie miásto sádził.

Wysokie tány suł niespracowany,
Broniąc się wodzie, co ie podlewała:
W ktorem ná dzielne cne Esteńskie Pány,
Przyszłego czasu stolicá bydź miała.
Zdało się że bił y gromił Alány,
Lecz go Fortuná potem odbieżała,
Gdy z Odoákrem bitwę zwiodł: w tey ginie,
O szczęśliwa śmierć, z ktorey wiecznie słyńie,

* * *

Legł z niem Alfryzy, skaran był wygnaniem,
Akcyus z bratem, Rycerz znamienity:
Ale się wrocil, skoro zá skaraniem
Boskiem, był Herul zły Tyran zabity.
Esteński idzie Epáminund zá niem,
Przez prawą ostrą strzałą brew przebity:
Bolu nie czuie choć rana niemála,
Kiedy Totylá przegrał, á tarcz cała.

* * *

O Bonifácem powiádam potężnem,
Zá niem syn idzie Wáleryan máły:
Jeszcze dziećiná, á iuż był tak mężnem,
Zeby go Gotskie hufce nie strzymały.
Blisko z Słowáckiem bił się woyskiem iężnem
Ernest, postawá srogi, y zuchwały:
Przed niem kęs dálej widáć Aldoárdá,
Kiedy z Krzemieńcá gnał Krolá Lombárdá,

* * *

Berengár máiąc przy sobie Henryká,
Z Kárlem Cesárzem ciągnął do Pániey:
Zá pierwszego go miano naieżniká,
Gdy w woysku służył Fráncuskiey liliey.
Przećiw wnukowi Cesarz słał Ludwiká,
Który od niego zbity, do Fráncyey
Był posłan: y tám do więzienia wzięty,
Támże był z syny Otton sámopięty.

Po niem Almeryk tuż był wydrożony,
 Który Ferarskiem Márgrabią zostawał:
 A z nabożną był twarzą wyrażony,
 Jako kościoły bogato nadawał.
 Wtóry Akcyus także był włożony,
 Co z Berengarem w woynie nie ustawał:
 Y po odmiennem szczęściu (zácne plemię)
 Zwyciężywszy go, rządził Włoską ziemię.

* * *

Ano y Olbrycht do Niemiec wezwany,
 Sławny ná służbę Cesárską przyięciem:
 Ktorego Otton kiedy pobił Dány,
 Wielkiem posagiem kupił sobie zięciem.
 Ano y Ugon, co skrocił Rzymiány,
 Pod niemi zamku obronnego wzięciem:
 Który Márgrabią Włoskiej ziemię został,
 Y Tuskany zaś prętko potem dostał.

* * *

Támże Bonfác szedł, przy niem w piękny státek
 Ubrána iego Beatá siedziałá:
 Gdzie iuż wielkiego rodu był ostátek,
 Y wszystká męska linia ustálá.
 Ale y liczby, y plóci nie dostátek,
 Cna iedynaczka hoynie nágradzałá,
 Piękna Mátyldá: tak czepiec plęciony
 Przechodzi czasem Sceptrá y Korony.

* * *

Z oczu iey dzielność męska wychodziłá,
 Pátrz iáko biie hárdego Normándá:
 Znać belo iáko zbitego goniłá,
 Y doiezdzałá w pogoniei Guiscárdá.
 Dálej czwartego Henryká gromiłá,
 Y chorągiew mu (iáko wielka wzgárdá
 Cesárska) wzięłá, y Papieżá potem
 Ná Watykánie posádziłá złotem.

Akcyus piąty, to zą nią, to z strony
 Szedł, iák ow, co ią y czcił, y miłował:
 Lecz z Akcyusá czwartego puszczoney
 Rod się w obfitsze gałęzie záyymował.
 A Gwelf do Niemiec, o co był proszoney
 Syn Konegundzin w drogę się gotował.
 Y ták piękny szcep Rzymiski rosł po woley,
 Ná Bawárskiego polá zyzney roley.

* * *

Tám Gwelf w Gwelfonow sam przez się nieplodny,
 Esteńską rozgę pniak wszczepioną wpuścił:
 Y swoich Gwelfow zwykły owoc rodny
 Y Sceptr, y Koron, obficie wypuścił.
 A niebo mu deszcz zdárzyło pogodny,
 Ze się szeroko gałęziámi puścił:
 Już z niego drzewo wysokie urosło,
 Ktore po wszystkich Niemczech cień rozniosło.

* * *

Lecz niemniej piękney zacney látorośli,
 Rozgi się w ziemi Włoskiej roskwitały:
 Tám Bertold, tám z niey inszy wielcy rośli,
 Tám swoje przodki odnawiał wspániáły
 Akcyus szosty: Ták co z tey krwié poszli,
 Figury, zda się, iákby się ruszáły.
 A Rynáld w sobie z dzieł ták wielkich ludzi
 Chciwość do męstwá przyrodzoną budzi.

* * *

Sławá, ták iego myśli pobudzone
 Zágrzewa smákiem, y nagrodą swoią:
 Ze miástá wzięte, woyska poráżone,
 Páństwá podbite w głowie mu się roią:
 W serce mu wlázły głęboko wráżone,
 Zda mu się, że mu przed oczemá stoią.
 Wdziáł zbroię ná się, ták go żądze grzeią,
 Ze iuż zwyóięstwa uprzedza nádzieią.

Lecz Kárzeł, który przedtem mu Szwedzkiego
 Dziedzicá z światem powiedział rozstanie:
 Weź (mowi) ten miecz Rycerzá wielkiego,
 Weź go szczęśliwie, po mem pierwszym Pánie.
 Ná rozmnożenie go Chrystusowego
 Zakonu użyj: Niech moy Pan zostanie
 Zemszczony przez cię, iam ci go dochował,
 Wszak wiesz, iáko cię Krolewic miłował.

* * *

On ná to: Niech Bog zdárzy dobrotliwy,
 Aby miecz, który biorę z twoiey ręki,
 Zemścił się swego Pána, y złośliwy
 Pogánin przezeń gárło dał przez dzięki.
 Zátem prętkiego Kárzeł skutku chciwy,
 W krotkie zowiąrał słowá wielkie dzięki:
 Bo y sam stárzec broniąc dłuższey mowy,
 Mowił, że ich był prowadzić gotowy.

* * *

Widziacie (práwi) że iuż dzień zápásem,
 Lepiey żebyście zá mną się událi:
 Ja was powiodę, y w obozie wászem
 Stawię, byleście záraz wyiecháli.
 Wtem szedł do wozu stárzec onem czássem
 Oni też, iáko roskazał, wsiádáli:
 On koni biczem po bokách záymuie,
 A. ná wschod słońcá dyszel swoy kieruie.

* * *

Co raz złotego popuszcza rzemieniá,
 A do Rycerzá tak mowi młodego:
 Nápatrzyłeś się do woley korzeniá
 Pięknego drzewá, rodzajú twoiego:
 A chocia z niego tak wiele plemieniá
 Bohátyrskiego szło z wieku dawnego:
 Nie mniemay, áby miáło przestać rodzić,
 Y żeby mu co stárość miála szkodzić.

A iákom ci tu twoich przodków sławnych
W międzǳi ukazał wyrobione sztuki:
Ktorzy ná świecie żyli zá lat dawnych,
Tákbych ci przyszłe rad ukazał wnuki:
Y uczynić ich iáko stárodawnych,
Znáiomych świata, bych miał zto náuki.
Widziałbyś także długie rzędy twoich
Potomkow, nie mniej sławnych z dzieiow swoich.

* * *

Aleć się przyznam, że ia przyszłych rzeczy,
Zupelney zgoła niemam wiadomości:
Ale iáko to mdły iest wzrok człowieczy,
Jáko przezemglę widzę te skrytości.
Jednáki powiem, ácz ponno nie krzeczy
Twierdzić to, y ia nie mam zto śmiałości:
To co mi ieden nie dawno powiedział,
Co bez zasłony przyszłe rzeczy wiedział.

* * *

On mi powiedział: á iemu przedwieczne
Świętego Duchá światło obiawiło:
Ze w dawne wieki y w te ostateczne,
Tákiey krwie w Rzymie, w Grecyey nie było:
Ktoráby dała męże tak waleczne,
Y tak ich wiele, iákoć przeznaczyło
Zyczliwe niebo, ktorzy w męstwie miną
Pierwszych, co w Spárcie, y co w Rzymie słyną.

* * *

Między inszemi ná myśl mi przychodzi,
Dzielnością pierwszy, á tytułem wtory
Alfons, ktory się w ubogi urodzi
Wiek w ludzie wielkie, y dzielne, y ktory
Wzorem bydź może wieku swego młodzi
A tak go sławá wyniešie do gory:
Ze wszystkich przeydzie, lub weźmie buławę,
Lub sceptrum, lubo żácznie iáką sprawę.

W dziecinnem wieku wielki dąk odnieśie,
 To w podobieństwach wojny, to w myślistwie:
 Nie wysiedzi się zwierz w naygłębszem lesie
 Pierwszy w turniejach będzie y w gonitwie.
 Potem w prawdziwych wojnach, w każdym czeście
 W sławi się w boiu, y nie w iedney bitwie:
 Często będzie miał na wierzchu swej głowy,
 Wieniec Laurowy, Trawiańy, Dębowy.

* * *

Nie mniejsza chwałą z láty dostalszemi
 Podka go, swoy kray zachować spokojny:
 Y Państwo między sąsiady możnemi,
 Zatrzymać całę w okoliczne wojny.
 Mnożyć náuki z dowcipy piękniemi,
 Koszt ná Krolewskie pompy czynić hojny,
 W kaźniach, w nagrodach, swą miarę zachować,
 Przyszłą z daleką rzeczy upátrować.

* * *

O gđzieszbyś to on z zobopolney zgody,
 Beł ná niezbożne plugawe Pogány:
 Ktorzy ná ten czas y ziemię y wody
 Náiezdżać będą, Hetmánem obrány:
 Jakoby prętko zá tak wielkie szkody,
 Y pogwałcone ołtarze skarány
 Bnł hardy Tyran, pomstą sprawiedliwą,
 Y z swoją sektą sprosną y brzydliwą.

* * *

Nie wściągnałby go z Murzynem bogátem,
 Turczyn z swą sławną Jánczarską piechotą:
 Bełby niedługo zá wielkiem Eufrátem,
 Zá gorę Taurus przeniosłby z ochotą
 Y zá kray ktory wiecznem słynie látem,
 Białego Orłá, krzyż, lilią złotą.
 Y skrytę źrzodłá odkryłby Nyłowe,
 Ná krzest czarnych czoł, ná obrzędy nowe.

Ták mowił stárzec: A młodzieńczyk chował
 W sercu te mowy, z strony swego rodu:
 Y milczkiem w myślách swoich się radował,
 Z przysłych potomkow obfitego płodu.
 Już też świt rány dniowi ustępował,
 Y Phoebus dyszlem kierował do wschodu.
 Y iuż z daleká widzieli ná wożie
 Proporce, ktore trzęsły się w obozie.

* * *

Wtem stárzec słowá mowił ostateczne,
 Zástánowiwszy konie biegu chćiwe:
 Ato iuż miásto y oboz, słoneczne
 Ukázuia wam promienie życzliwe.
 Do tego czasu átom was bezpiecznie
 Przewiodł przez drogi mylne y wątpliwe:
 Teraz bez wodzá iść możecie sámí,
 Bo się mnie dálej iść nie godzi zwámí.

* * *

Ták zsądziwszy ich, pożegnał się z niemi,
 A oni pieszo ná ziemi zostáli:
 Y przeciw słońcu krokámi prętkiemí,
 Swe do obozu nogi obracáli.
 Rozgłosila to wieść między wszystkiemi,
 Ze trzey Rycerze iuż się przybliżáli:
 Y sam się Goffred pilnie o nich pytał,
 Potem wstał z stolká, áby ich przywitał.

KONIEC PIEŚNI ŚIEDMNASTEY.

PIESN OSMNASTA.

ARGUMENT.

Dla drzewá y dla wojennego czyná,
Po spowiedzi się Rynáld wypráwie:
Y zdarza mu się: O woysku nowiná
Egiptskiem przyszlá, że iuż nástępuje.
Ná szpiegi záraz wysłano Wáfryná,
Szturm nászy dáli, srogi się záymuie
Boy koło murów: lecz Boską pomocą,
Nákoniec miásto posiadáią mocą.

Gdy przyszedł Rynáld gdzie beł zgromádzony
Lud przy Hetmánie pod wielkiem námiotem,
Odpusc (rzekł) Pánie, zem się mścił ruszony
W uczciwe, iáko wszyscy wiedzą o tem:
Jednák zárazem zá grzech popełniony
Obaczywszy się, żáłowałem potem.
Teraz iákoś chciáł, átom ci się stáwił,
Abym swych przeszłych występkuw popráwił.

* * *

Záczem go Goffred oblápił láskawy,
Serce do niego skłoniwszy użyte:
Niech (pry) występki y przeszłe twe spráwy
Już niepámięcią zostáną zákryte.
Ale po tobie chcę miásto popráwy,
Abyś, iákoś zwykł, dziełá známienite
Czynił: y pierwsze pokázował męstwo,
A z pokus leśnych otrzymał zwycięstwo.

Lás, z ktoregosmy ná woienne czyny,
 Y drzewo mieli ná wielkie Tárány:
 Teraz niewiedzieć dla iákiey przyczyny
 Wniść weń nie mogą, tak iest zczárowány.
 Już tám nie ieden ieżdżił dla dębiny,
 A nic nie sprawił: Y dla tego ściány
 Nieprzyacielskie dotąd cále stoią,
 Przeto ty tám idź, gdzie się drudzy boią.

* * *

Ták rzekł: A on się krotko ofiarował,
 Do káżdey pracy ile go zstáwáło:
 Ale postáwá męzną pokázował,
 Ze sílá sprawi, chocia mowi máło.
 Wtem z towárystwem dawnem odpráwował
 Witánie, co się do niego zbiegáło
 Tám Guelf, tám Tánkred, tám drugie Książętá,
 Tám insze bély przednieysze paniętá.

* * *

A skoro one wesołe obrády,
 Nie raz powtorzył, y skończył z przedniemi:
 Układny, ludzki, szczery, bez przysády,
 Witał się potem z drugimi mnieyszemi.
 Nie mogłby wiétszey Rycerstwá gromády
 Mieć koło siebie, z głosy życzliwemi:
 Kiedyby wszystko południe zwoiował,
 Y z pobitego wschodu triumphował.

* * *

Ták otoczony odszedł Rycerz młody
 Kupą przyiaćiół, od ktorych sprawiony
 O leśnych czárách, iem także przygody
 Swoie powiádał, iáko beł proszony.
 Gdy się rozeszli, y żadney przeszkody
 Nie beło, przyszedł Pustelnik uczony
 Ták mowiąc: Sílás Pánie zwiedził światá,
 Jáko nikt wiécey od dawnego látá.

O iakoś Bogu powinien dziękować,
 On cię z więzienia y z czarów wybawił:
 Y błędną owcę chcąc zguby uchronić,
 Znowu cię w swojej owczarni postawił.
 Y z czego się masz cieszyć y radować,
 Wtorem cię sprawcą wolej swej ustawił:
 Lecz upętany nie możesz grzechami,
 Jego wielkich dzieł tykać się rękami.

* * *

Bo cię tak bárzo tá márność światowa,
 Y tá cielesna sprośność oszpeciła:
 Zeby cię wodą nie tylko Nylowa,
 Ale wszystkiego morzáz nie omyła:
 Sámaby łaská Boża tem gotowa,
 Co iey szukáią, z niey cię oczyściła.
 Przeto pokuty, á proś odpuszczenia,
 Y spowiáday się, chceszli oczyścienia.

* * *

Ták rzekł: á on wprzód w sobie oplákywał
 Swe hárde gniewy, y głúpie miłości:
 Potem mu u nog klękńawszy, odkrywał
 Błędy, y pierwszey występki młodości.
 Wtem go rozgrzeszył: Juześ (pry) pozbywał
 Grzechow, y Pańskiey dostał życzliwości.
 Jutro skoro dzień idź w gorę wesoło,
 Ktora obráca ná rány wschod czoło.

* * *

Tám się modl Bogu, y ták czyst ná duszy
 Ztamtąd do lasu puść się niewątpliwy:
 Gdzie zá pomocą (ták mi serce tuszy)
 Boską, zwyciężysz wszystkie támté dziwy:
 Jedno cię niechay nie łudzą pokusy,
 Y ná śpiewanie, y ná płacz fałszywy:
 Ná próśby niedbay, áni miey litości,
 A idź śmieie w las, bezpiecny ćałości.

Tak rzekł: A on chce iść za iego zdaniem,
 Y zwycięstwa się pewnego spodziewa:
 Y on dzień y noc różnem rozmyślánien
 Sam się do przyszley potrzeby zágrzewa:
 Potem się zbroią ieszcze przed świtánien,
 Y zwierzchniem nowem nasuwniem odżiewa
 Bárwy foremney, y sam ieden pieszy,
 Cicho wychodzi, y w drogę się spieszy.

* * *

Był ten czas właśnie, kiedy ieszcze dniowi
 Do końcá placu nocne nie puściły
 Cienie: ale już zorze ku wschodowi,
 Y niektóre się gwiazdy rumieniły:
 Kiedy się puścił ku Oliwétowi,
 A oczy iego dziwnie go cieszyły:
 Kiedy ná nocne y dzieńne ozdoby
 Nieskázitelne, pátrzał oney doby.

* * *

Myśli: O iáko wiele w się gromádzi
 Páłac niebieski światła tak iasnego,
 Dzień ma swe wozy, noc złote prowadzi
 Gwiazdy, y koła mieśiáca srebrnego.
 Przedsię my się w tem nie kochamy rádźi,
 Wszyscy się światła chwytamy ciemnego.
 A śmiech niewieści płonny z chętnem okiem,
 Ciągnie za sobą myśl z ułomnem wzrokiem.

* * *

Tak myśląc ná wierzch gory wszedł wysoki,
 Y tam się modlił wnętrzney pełny skruchy:
 A myśl gorącą wyniosł nád obłoki,
 Y nie omylney modlitwy otuchy.
 Ty przeszły żywot, Pánie, bez odwłoki
 Oczyść, y porwi grzechow mych łańcuchy:
 Tyś moy Bog, niechże twoiá łaska sámá
 Odnowi we mnie stárego Adámá.

Tak się tam modlił, á w tem promień złoty
 Niosąc iutrzenká ná swiát wychodziła:
 Ktora wierzch gory y dziwney roboty
 Zbroię swem światłem rumianem złočila:
 Y ná czoło mu y ná pierśi, loty
 Wolnemi, wiátry przyiemne puściła:
 Ktore mu z piękney iutrzenki ná włosy,
 Mokrego łoná chłodne trzęsły rosy.

* * *

Rosą tą iego száty pokropione,
 Podobne przedtem barwą do popiołu:
 Teraz bladości pierwszey pozbawione,
 Y bieláły się y lśniáły pospołu.
 Tak nocnem zimnem liście pomrożone
 Odżywia słońce, nádwiędłemu ziołu.
 Tak wąż ná wiosnę weseli się, ktory
 Młodnieie nowey nábywáiąc skory.

* * *

Sam się odmiánie tak nagley dziwował,
 Y roźnie sobie onę rzecz rozwodził:
 Potem do lasá śmieie następował,
 Nic się nie trwożąc, y iuż go dochodził.
 Przyszedszy tam gdzie káżdego hámował
 Strách, ktory z niego ná inszych wychodził.
 Jemu się nie zdał straszny bydz weyrzeniem,
 Owszem wesoły swoim gęstem cieniem.

* * *

Jdzie kęs dálej, y usłyszysz głośny
 Dźwięk, ktory błagał serce przerażáiąc:
 Strumień żal iákis wydawał nieznośny,
 Wiátr między brzegi wzdychał powiewáiąc.
 Ná wodzie łábęc nárzekał żáłosny,
 A słowik plákał nieodpoczywáiąc,
 Spiewacy, lutnie, brzmiały y orgány,
 Z tak wielu głosow, on dźwięk beł zmiészány.

Przeważny Rycerz który tak rozumiał,
Ze tam bydź iakie straszne huki miały:
Słyszac że wdzięczny wiatr z wod tylko szumiał
Y głosem pięknem Syreny śpiewały.
Zastanowił się, y bårzo się zdumiał,
Potem znienagła krok poniosł wspaniały:
Y w drodze inszey niemiał iuż przeszkody,
Krom piękney rzeki przezroczystey wody.

* * *

Brzegi wonnemi okryte ziołami,
Y trawą miękką do siebie wabiła:
A rzeką tak się rozdarła rogami,
Ze las ná koło wielki otoczyła.
A nie tylko go obeszlą wodami,
Ale go śrzodkiem odnogą dzieliła:
Tak las frymarczył swoy cień y swe chłody
Dawiając rzece zá wilgotne wody.

* * *

Pátrząc tam brodu Rycerz odważony,
Uyrzał przed sobą most bogaty długi:
Wszystek ze złotą dziwnie urobiony,
Który kámienne dźwigály frámbugi.
Poszedł nań śmieie, ále obálony
Upadł z niem pierwey niż wszedł ná brzeg drugi:
Záczem go wodą niosłá pochwyciwszy,
Nagle się w bystry potok obrociwszy.

* * *

On się obroci, y uyrzy powodzi,
We mgnieniu oka głęboko wezbrane:
Z ktorych nurt gęsty odedná wychodzi,
Niosąc zakręty ná wierzch wymiátane.
Lecz go to ieszcze tem bårzieszy podwodzi,
Zwiedzić, y przebyć lásy zczárowane.
Ale go co raz co nowego wściągnie,
Co raz go nowy dziw do siebie ciągnie.

Gdzie stąpi, y gdzie ziemię nogą biie,
 Zdroie y wonne kwiecie wynikaia:
 Tu kwitną roże, tu białe lilie,
 Tu zdroy, tu piękne strugi wypadia.
 Lás wszystek wkoło stárość dawną kryie,
 Wszystkie się rozgi wdzięcznie odmładzia.
 Miękczeia skory u drzew, więtszą liście
 Zieloność na się bierze oczywicie.

* * *

Gąłęzie wszystkie z mánny miały rosy,
 Z podskor obfite miody wychodziły:
 Y znowu wdzięczne słychać beło głosy,
 Ktore słodkością swą dziwnie cieszyły.
 Z drugiey zaś strony człowiecze odgłosy
 Odzywały się, ale się tały.
 Nie może widzieć gdzie Muzyká stoi,
 Kto instrumenty, y kto lutnie stroi.

* * *

Widząc to, temu co zmysł pokázował
 Za własną prawdę, myśl wierzyć niechciał:
 Wtem Mirt uyrzawszy z lekką następował,
 Gdzie w plácu wielkiem ścieszká koniec miała.
 On się swem pięknem wzrostem popisował,
 Tak że z niem pálmá żadna nie zrownála.
 Wierzchem wysokiem mnieysze drzewá trwożył,
 Zda się, że tám lás stolicę założył.

* * *

Stánał tám Rycerz: bo go druga stroná
 Jeszcze dziwnieyszem cudem przerażila:
 Topola sámá przez się rozerzniona,
 Otworzyła brzuch płodny, y rodziła:
 Z ktorego Nymphá pięknie ustroiona,
 Nymphá dorosła nagle wychodziła:
 Y sto drzew inszych tymże kształtem rodzi,
 Sto z nich udátnych pięknych Nymph wychodzi.

Jáko ná Scenie, álbo málowáne
 Leśne więc czásem widamy Boginie,
 W pięknych koturnách, krotko ukasáne,
 A kážda ná wiátr wárkocze rozwinie,
 Ták się te zdály, y tákże ubráne,
 Wielkiego lásu cory po krzewinie:
 Okromi że támté łuk y saydak máią,
 Te w ręku lutnie y cytry trzymáią.

* * *

Wtem wszystkie taniec ięły skákáć nowy,
 Y z sámych siebie wieniec uczyniły:
 Y Boháterá, y wysokiey głowy
 Mirt, zá ręce się wzięwszy, otoczyły:
 Potem wszystkie wraz łagodnemi słowy
 W słodkiem śpiewaniu táncuiąc mowiły:
 O toś gość wdzięczny przyszedł w te kráiny,
 Nászey Krolowey kochánku iedyny.

* * *

Práwieś tu do niey przyszedł požádány,
 Poćieszyć srogiem stroskaną kłopotem:
 Ten lás wprzod ciemny, w żałobę ubrány,
 Zgodne z kłopotnem mieszkánie żywotem,
 Zá twoiem przyszcíem dostawszy odmiány,
 Pátrż, iák odmłodniał: To ták wszystko o tem
 Beło śpiewánie: Wtem skorę rozdzierał,
 Y płodne łono wielki Mirt otwierał.

* * *

Dáwné grubego Sylená zróđenje,
 Dziwne się zdáło stáremu wiekowi:
 Lecz bárżiey (to iest moje rozumienie)
 Temu się trzeba dziwować Mirtowi:
 Co z siebie puścił imo przyrodzenie,
 Panią gładkością równą Anyołowi.
 Przypátruie się Rynáld oney sprawie,
 Y widzi w wlasney Armidę postáwie.

Smętnie mu patrząc y wesoło w oczy,
 Tyśiąc żądz razem w ieden wzrok wmieszała,
 Potem mu mowi: Takli cię mam w mocy?
 Taklim to zbiegá swojego dostała?
 Po coś się wrocił? czy żebym iuż nocy
 Y dni wesołych ztobą używała:
 Czy się ná niechęć przeciw mnie zdobywasz,
 Ze mi twarz kryiesz, á zbroię odkrywasz.

* * *

Czyś nieprzyjaćiel czy przyjaćiel, zgoła
 Spraw się, iam wprawdzie złotych nie robiła
 Dla nieprzyjaćioł mostow, anim zioła
 Y kwiecie dla nich, y zdroie puściła.
 Proszę, zdiym szyszak, nie zakryway czoła,
 Jeśliś przyjaćiel, y ieślim ci miła:
 Złącz usta z usty, y pierśi z pierśiami,
 Albo przynamniey złączmy się rękami.

* * *

Mowiła daley smętno poglądając,
 Y wściekley znaki dawała miłości:
 Wzdychanie y lzy pospołu mieszaiąc,
 Świadki swey troski y wielkiey żałości:
 Tak, żeby beła mogła przerażając,
 Zmiękczyć kámiennie naywiększey twardości.
 Lecz się ostrożny Rycerz tem nie ruszy,
 Dobywa mieczą ná leśne pokusy.

* * *

Chce ciąć w Mirt, ona Mirt zastępowała,
 Z okrutnem wrzaskiem: Postoy nie użyty,
 Ach nie dáy Boże, ábym widzieć miała
 Swoy Mirt kochány od ciebie zabity.
 Porzuć, álbo więc bo będę wolała,
 Wraż miecz Armidzie w pierśi iádowity:
 Jnszey nie naydziesz okrutniku srogi,
 Do Mirtu chyba przez to serce drogi.

On miecz wynosi, niedba nic ná czary,
 Oná zaś w inszą postać się zakryła:
 Y iako we snie iedne z drugich máry
 Odmieniáią się, tak się odmieniła:
 Członki, twarz miązsza, (rzecz trudna do wiary)
 Wziąwszy, pierwszą płeć, y gładkość zgubiła.
 Y Olbrzymem się dziwnie wielkiem stála,
 A sto rąk iako Bryáreus miała.

* * *

Pięćdziesiąt tarcz ma, y mieczow, ktoremi
 Grzmi po powietrzu, y ramięny miece:
 Nimphy też wszystkie, zstawszy się srogimi
 Cyklopy, ostre przypásuią miecze.
 On się nie boi, y rázy ciężkiemi
 Mirt, ktorego mu bronią bárżiey śiecie:
 Ten bity ięczy własnie iako żywy,
 Powietrze brzydkie zástóniły dziwy.

* * *

Spodkiem ziemiá drży, niebá záburzone
 Z gury huk srogi, ná niego puszczáią:
 Wiátry y wichry w kupę zgromadzone,
 Oczy mu y twarz piaskiem zámiaćiają.
 On przedsię serce nieśie niestrwożone,
 Drzewá tak śiecie, że wiory padáią.
 A skoro dąb ściał, bo dąb był niemáły,
 Choć się Mirtem zdał, czary też ustały.

* * *

Wiátry ućichły, niebo do pogody
 Y lás się wrocił do stanu pierwszego:
 Stráchu, y z czárow sprawionej przeszkody
 Prozny, krom stráchu swego wrodzonego.
 Potem probuie znowu Rycerz młody,
 Jeśli kto broni śiec lásu onego.
 Nákoniec z śmiechem chwilę w mieyscu stoi,
 Głupi, kto się wás prozne lárwy boi.

Ztamtąd do pięknych namiotów kierował,
 Gdzie Duchem Bożem Piotr wołał sprawiony:
 Już pewnie wielki Rycerz łás zwoiował,
 Już się zwyciężcá wraca z támtęy strony.
 On wtem poważnie zlekká następował,
 Ozdobnie w białą zbroię obleczony.
 A Orzeł iego blásk piormi srebrnemi
 Niezwykły ćiskał od słońca ku ziemi.

* * *

Tám od wszystkiego woyská požądany,
 Z gęstemi krzyki przyimował witanie:
 Y do Hetmáná zarázem wezwány,
 Wielkie od niego miał poszánowanie.
 On (práwi) straszny łás uczárowány,
 Ták, iáko beło twoie roskazanie
 Jużem zwyciężył, iuż do niego mogą
 Ludzie iść śmieie, y bezpiecną drogą.

* * *

Záczem zarázem do łásu posłano
 Po rózne drzewo, ná wojenne czyny:
 A choć pierwszych sztuk dobrze nie umiano
 Zrobić, dla ćieśłow ládáńskich winy.
 Teraz koło nich (iáko powiádano)
 W tákiem rzemięśle mistrował iedyny
 Guilelm Ligúrczyk, który beł obránem
 Sił Chrześciańskich ná morzu Hetmánem.

* * *

Potem od możney Armaty spędzony,
 Ustąpił morzá nieprzyacielowi:
 A teraz wszystek z okrętów zwiedżiony,
 Z strzelbą prowadził lud ku obozowi.
 Ten beł ták swemi kunsztámi wślawiony,
 Ze równia nie miał swemu dowócipowi.
 A stu záś mnieyszem ćieślom roskázował,
 Ktorzy robili to co wynáydował.

Nie tylko w ten czas kusze przysposobił
 Byki, tarány, y insze przyprawy:
 Zeby tak snádniey mocnem ściánom dobił,
 Y mur tem pręcey uczynił dziurawy.
 Ale y wieżę foremną urobił,
 Ktorą dębowe wnątrz spinály ławy,
 A ná wierzch twarde poprzybiiał skury,
 Dla ognioiw, ktore ćiskać miano z gury.

* * *

Z wielu drzew y sztuk subtelnie spoiona,
 Jednem się ciątem wielka wieżá zstaie:
 Z niey bálká spodkiem w twarde oblezona
 Zelázo, końcem twarde rázy dáie.
 Z poyszrodku zaś most, blisko podemkniona,
 Kładzie ná muru ostáteczne kraie:
 A wierzchem mnieysza wieżá z niey wychodzi,
 Y niewymownie nieprzyiaćiół szkodzi.

* * *

Gdziekolwiek równá drogá się náyduie,
 Bez wielkiej pracy, bez wielkiego trudu:
 Snádnie ná gęstych kołách postępuje,
 Pełná rynsztunkow, y zbroynego ludu.
 Woysko się ćieślow prętkości dżiwuie,
 Co żywo bieży do nowego cudu,
 Potem dwie mnieysze wieże zbudowáli,
 Na które z wielkiej wizerunki bráli.

* * *

Ale tem czasem nie mogły być tájne
 Te u ostrożnych roboty Pogánow:
 Bo straży z murow wysokich zwyczajne
 Mogły z swych przeyrzeć baszt do Chrześćianow.
 Pátrzáli kiedy tramy niezwyczajne
 Wieziono w oboz, dla wieży taránow.
 Y kiedy ie iuż skończono widzieli,
 Lecz iákie były trudno poznać mieli.

Przeto y oni wzáiem z káżdey strony,
 Przekopy swoje, y wieże mocnili:
 Y gdzie mur słaby, álbo był zniżony,
 Tám go z pilnością wielką podnošili:
 Tusząc, że miał bydz tak pewney obrony,
 Zeby się nászy darmo on kušili.
 Ale się Jzmen naybáržiey gotował,
 Y dla bronienia ognie przypráwował.

* * *

Mięsza z śiarkámi kliie zaráźliwe
 Z Sodomskich ieźior, zwiedza błotne brody:
 Zbiegł y do pieklá (tak miał serce mściwe)
 Y wziął z Stygiyskiej także kliiu wody:
 Z ktorego ognie porobił strászliwe,
 Miejące dymy, y okrutne smrody:
 Myśląc Czárownik brzydki onych czasow,
 Zemścić się swoich porąbánych lásow.

* * *

Gdy się tak woysko do szturmú z wieżámi,
 A miásto do swych obron gotowáło:
 Nád Fráncuskiemi lecąc namiotámi,
 Nieścignionego gołębiá widziáło:
 Ktory nie śiekąc bynamniey bárkámi
 Rościągnionemi, tak iáko się zdáło
 Szedł po powietrzu nowy poseł piory,
 Y z obłokow się w miásto spuszczał z gory.

* * *

Ale nie wiedzieć zkąd się wzięwszy potem
 Ogromny Sokół, drogę mu przeszkodził:
 Y zaráz mu iá swoim rącem lotem,
 Między obozem y miástem zágradził:
 Y nád naywiększem ściągnął go namiotem,
 Y tak się zdáło, że go iuż dochodził:
 Już go páznogćiem tylko nie dopádnie,
 On wtem ná łono Goffredowi spádnie.

Goffred go broni, y w łono przyimuie,
 Y pátżąc pilno (dziw mało slychány)
 Pod iednem skrzydłem u niego náyduie
 List, między pierzem nićią uwiązány:
 Weźmie go w ręce y odpieczętuie,
 Y czyta, krotko w te słowá pisány:
 Hetman Egipski śle Aládynowi
 Pokłon, y zdrowie, Zydostwá Krolowi.

* * *

Nie boy się Krolu, á miey się ná pieczy,
 A do dnia się dżierz nadáley piątego:
 Y nieomylney bądź pewien odśieczy,
 Jerozolimie od woyská moiego.
 Takie zawnierał opisáne rzeczy,
 Chárakterámi pismá Pogańskiego
 List powierzony lotnemu posłowi,
 Zwykły był w ten czas ten sposób wschodowi.

* * *

Potem gołębiá Hetman przestrzeżony
 Puścił, ktory się pierwszemi drogámi:
 Zle posłużywszy Pánu w swoje strony,
 Ze złemi niechciał wroćć nowinámi.
 Wtem zgromádzoney rádźie náleżiony
 List czyta, mowiąc: To widźicie sámí,
 Jáko nas Bog ma w swojey opáttrzności,
 Posyłáiąc nam takie wiadomości.

* * *

Przeto nam czasu dáremnem mieszkániem
 Nie trzebá tráćić: Bądźcie iuż gotowi,
 Chcę szturm zá pierwszem mieysc złych wyrownániem,
 Południowemu wrychle dáć murowi.
 Trudna rzecz wprawdzie: ále moiem zdániem
 Nie niepodobna, bom się sam mieyscowi
 Przypátrzył, ktemu mur ubespieczony
 Mieyscem, mniey ztámtąd muśi mieć obrony.

Ty chcę Ráymundzie ábyś swe tárany
 Ztamtego boku pod mury prowadził:
 Moy od pułnocney bramy lud przebrány
 Ciągnąć się będzie, iużem tak urądził:
 Aby Pogánin ztamtąd oszukány,
 Bojąc się szturmu ludzie tám gromądził:
 Wtem moiá wielka wieża w onem czeście
 Pomknie się dálej, y wojnę ponieśie.

* * *

W tenże czas właśnie z trzecią ábyś wiedział
 Wieżá Kámillu, poydziesz następując:
 Ráymund wtem ktory po Goffredzie siedział,
 Sam sobie w głowie tę sprawę ráchuiąc
 Powie: Ták Hetman rádę swą powiedział,
 Ze się nic przydać, nic nie może uiąć:
 To tylko, żeby ná Pogáńskie szlaki
 Był wyprawiony ostrożny szpieg iáki.

* * *

Ktoryby pewney o woyská támtego
 Liczbie, zamysłách, dostał wiadomości.
 Ozwał się Tánkred: Mam ia (pry) iednego,
 Coby się ná to zszedł krom wątpliwości:
 Lekkiego ná dziw, dowćipu wielkiego,
 Smiałego, ále ostrożney śmiałości:
 Różne ięzyki Pogańskie rozumie,
 Chod, y głos zmyślić, y postawę umie.

* * *

On będąc zaráz ná on czas wezwánem,
 Y zrozumiawszy czego po niem chcieli:
 Rośmiał się wesoł stojąc przed Hätmánem,
 Y rzekł: W drodze mię wnet będziecie mieli.
 Nie długo szpiegiem będę niepoznánem,
 Tám kędy będą obozem leżeli.
 W biały dzień wnidę między ich namioty,
 Policzę iezdy, policzę piechoty.

Co zá ludzie są, y iáko ich wiele,
 Y iáko dobrzy, nieomylnie powiem:
 Co ich wodz myśli, co nieprzyjaciele
 Dáley chcą czynić, wszystkiego się dowiem.
 Ták Wáfryn w on czas tuszył sobie śmieie,
 Y zwykły ubior zrzuciwszy z obowiem:
 Delią długą wzdział Pogańskim stroiem,
 Y głowę białem opasał zawoiem.

* * *

Łuk wziął Syryiski, y przyprawne w pierze.
 Strzały, á ludzie mu się dziwowali:
 Cudze ięzyki ták wymawiał szczyrze,
 Ze się zdumieli ci co go słucháli.
 Egipczyk w Memphim, y Feniyczek w Tyrze,
 Po mowieby go beli nie poználi.
 Koń miał ták rączy, że piásku po ziemi
 Ledwie się tykał nogami prętkiem.

* * *

Wtem niż trzeci dzień przyszedł, Fráncuzowie
 Przeciwno murow drogi náprawili:
 Umiejętni też iuż beli Mistrzowie
 Swoich wojennych czynow dokończyli.
 Bo ná to byli dani przystáwowie,
 Aby y we dnie y w nocy robili.
 Nic nie przeszkadza, nic iem iuż nie wádzi,
 Ostatnichby sił sprobowali rádzi.

* * *

W dobrej beł Hetman zwycięstwá otusze,
 On dzień przed szturmem modlitwą się bawił:
 Y áby wszyscy nákarmili dusze,
 Chlebem niebieskiem surowo ustawił.
 Potem wojenne Tárány y kusze,
 Tám gdzie ich záżyć nie myślił postawił:
 A oszukáni Poganie mniemáią,
 Ze szturm przypuścić ná mur mocny máią.

Skoro ciemności czarney przyszyły nocy,
 Indziej się sroga wieża przetoczyła:
 Y táń stąnęła, gdzie mur mniejszey mocy,
 Y gdzie obroná dobrze słabsza była.
 Kámillowá też mniejsza od pułnocy,
 Z págorku pátrząc Pogánom groziła.
 Y Ráymund także swoię iuż prowadził,
 Y od záchodu pod mur iá podsádził.

* * *

Ale skoro świt wyszedł, prowadzony
 Od złotey zorze, w swey zwykley ozdobie,
 Gdzie indziej postrzegł Pogánin strwożony
 Ogromney wieże, y zwątpił o sobie.
 Tem więcey kiedy z tey y z owey strony,
 Wprzód niewidziáne uyrzał wieże obie:
 Y wielką liczbę kusz nárychtowánych,
 Táránów srogich, bykow zákowánych.

* * *

Záczem obrony swoje gęste ná nie
 Nieprzyaciále ztámtąd przenośili:
 Ná táńto mieysce, kędy Chrześciáne
 W nocy ogromną wieżę podsádzili.
 Lecz dobry Hetman pomniąc, że Poganie
 Miastu ná odśiecz w drogę się puścili:
 Dwiemá Rubertom mówił y Gwelfowi,
 Bądźcie z swą iezdą (powiáda) gotowi.

* * *

Y strzeżcie tego, gdy z ludem sprawionem
 Poydę ná on mur, co to mniey wyniosły:
 Aby nie przyszyły szturmem zábáwionem
 W tył roty iákie, y woyny nie niosły.
 Zátem piechoty pędem niewściágnionem,
 We troie pod mur rozdzielone poszły.
 Krol też ze trzech stron lud uszykowány
 Zástawił, w świetną zbroię sam ubrány.

Tak obciążony sam sobą y ląty,
 Odwykły dawno temu ciężarowi:
 W on dzień się w zbroię, y w szyszak bogaty
 Ubrał, y stanął przeciw Ráymundowi.
 Soliman przeciw Goffredowi: A ty
 Byłeś Argáncie przeciw Kámillowi:
 Z ktorem był Tánkred, rad że miał w tey dobie
 Nieprzyacielá swego przeciw sobie.

* * *

Poczęli strzelcy strzelać iádowite
 Smiertelnem iádem nápuszczone strzały:
 Od ktorych niebo tak było zakryte,
 Ze się tak zdało, że ściemniał dzień biały.
 Ale się przedsię bázrzej mury bite,
 Y cięższych rázow z wież ogromnych bały:
 Co srogie kule ćiskały ná bramy,
 Y w końcach stałą okowane tramy.

* * *

Jeśli się komu kámieniem dostanie,
 Członki y bláchy tak się ná niem kruszą:
 Ze ciała żadna postać nie zostanie,
 Nie tylko zaráz tráci żywot z duszą.
 Co gorsza postrzał nie zostawa w ranie,
 Ale potężną wyćśniony kuszą:
 Jdąc ná wylot w ciełe się nie bawi,
 Y wypadszy śmierć po sobie zostawi.

* * *

Ale Pogánie ná tak srogie rázy
 Niedbáiąc, z murow mężnie się bronili:
 Płotná krzywemi uięte żelázy,
 Y wory wełną nátkáne spuścili.
 Ustępujące nálazwszy przekázy,
 Nie szkodzi postrzał, y wnet się wyśli.
 Sámi gdzie pod mur lud podchodzi bliski,
 Kámienie wálą, y lotne poćiski.

Lecz nąszy przedsię wszelkie zwyciężaią
 Jdąc ze trzech stron do szturmę zawady:
 Y postępując złożone dźwigaią
 Tarcze nąd sobą, ną lecące grady.
 Drudzy do murow wieże pomykaią,
 Ktoreby mosty przystawiły rady:
 Już ie spuszczaia, iuż y tóran srogiem
 Groźi obitem twárdą stalą rogiem.

* * *

Rynáld tem cząsem ną mur nie nacierá,
 Ladá przewagę zá sromotę srogą
 Sobie rozumie: á zgoła się zdżiera
 Jść pospolitą z podłem gminem drogą.
 Y pátrząc daley zwątpioną obiera,
 Y taką, którą iść drudzy nie mogą:
 O mur naywyzszy ktory stał spokojem,
 Pokusić się chce swem osobnem boiem.

* * *

Y obrocił się do tych co zmarłemu
 Posłuszni beli cnemu Dudonowi,
 Mowiąc: O háńbá wielka, ieśli temu
 Dopuszczemy stać w pokoju murowi.
 Naygorsze rázy bezpieczne śmiałemu,
 Wszystko dobremu rowno Rycerzowi:
 Tám śmieie podźmy, y tám się udaymy,
 A tarcze spięte nąd sobą trzymaymy.

* * *

Ruszeni iego przykładem y słowy,
 W kupę do niego zarázem się zesłi:
 Y dách drzewiańy podług iego mowy
 Z tarczy złożyli, y nąd sobą nieśli.
 Y wielkiem pędem kryjąc podeń głowy,
 Z wielką przewagą pod mury podeszli.
 Sklep ziędnoczony wszystko strzyma snádnie
 Kámienie, drzewá, y to co nań spádnie.

Rynáld napierwszy ze spodku wypadał,
 O dwu stu szczebli z wysoką drabiną:
 Y tak ią dobrze iedną ręką władał,
 Jáko wiátr włada pospolicie trzcíną.
 Deszcz nań kamienny ustáwicznie spádał,
 Drzewo, oszczepy, czego się dowiná,
 Z gury ná niego ćiskáią, on śmieie
 Idzie ná mury, ná nieprzyiáciele.

* * *

Z gęstych poćiskow gory ułożone,
 Ná tarczy niosąc namniey się nie wzdryga:
 Y iedną ręką mury uchwycone
 Trzyma, á drugą tarcz nád głową dźwiga.
 Sercem, przykładem iego przychęcone
 Jnsze go rączo towarzysztwo ściga.
 Drabiny także ná mury stáwiáią,
 Lecz rózne męstwo, rózne szczęście máią.

* * *

Ten spadł zepchniony, ten zábity leży,
 On co raz leżie wyzszemi szczeblámi:
 Y tak wysoko iuż iest, że przy wieży
 Chwyta się muru obiema rękámi.
 Dopiero hurmem Pogánstwo nań bieży,
 Spycha go ná doł długiemi dragámi:
 Ale się trzyma tak mocno, że gwałtem
 Zbić go nie mogą ná doł żadnem kształtem.

* * *

Odpiera mężnie, dálej postępuje,
 Y iáko palmá ná ciężar się śili,
 Tak y on więtsze męstwo ukázuie,
 Y siłę więtszą, im nań bárżiey bili.
 Tramy, kámienie, y co go hámuie,
 Wszystko zwycięża mężnie w oney chwili.
 Już ná mur wskoczył, iuż go stojąc ná niem
 Bspiecznem czyni tem co idą zá niem.

Szwankuiącemu Eustacyusowi,
 Pod ktorem szczeble w końcu się złamały,
 Ściągnawszy mężną rękę ku dołowi
 Pomógł, że ná mur przedsię dolazł cały.
 Ale gdzie indziej różne Hetmánowi
 Y niebezpieczne rzeczy się przydały:
 Gdzie się nietylko ludzie bili sami,
 Ale y sztuki wojenne z sztukami.

* * *

Ná murze był świerk wielki postawiony,
 Który wprzod másztem u okrętu bywał:
 Ná ktorem wielki poprzek zawieszony
 Tram okowany stałą odpoczywał:
 Y wzdad miąszszemi linami ciągniony,
 Y popuszczony mocnych wież dobywał:
 Y to się wracał, to zaś drugim razem
 Tłukł ie twardem łbem okrytem żelazem.

* * *

Tak Chrześciańską wieżę pędem srogiem
 W on czas uderzył ieden raz y drugi:
 Ze zakowánem potłuczona rogiem,
 Goździámi zbite rospuściła fugi.
 Nádbłádko wewnątrz żołnierzom ubogiem,
 Ale wskok z wieże drąg wyparli długi
 Z kosámi, ktore liny ucińały,
 Ktore wielki tram u másztu trzymały.

* * *

Jáko kiedy więc od gory odwáli
 Wiek sztukę skały, lub wiátry szalone:
 Cokolwiek zajmie, słucze y obáli,
 Y lás, y domy, y bydło zámknione.
 Tak wten czas właśnie tram okrutny wáli
 Ludzie, rynsztunki, wierzchy potłuczone.
 Wieża wysoka kilkákroć zádrżała,
 Trzęsły się mury, y ziemiá huczała.

Jdźcie zwyciężć dąleć ukwąpliwy,
 Y mniema, że iuż opánował mury:
 Ale dopiero płomień y smrodliwy
 Dym nieprzyiaćiel puścił nán do gury.
 Nigdy Mongibel takim zaráźliwy
 Smierdzącem ogniem, nie kurzy z swey dżiury:
 Nigdy Indyiskie niebo w letnie czasy,
 Tak smrodliwemi párami nie strąszy.

* * *

Rące ogniste y wieńce, płomienie
 Te czarne, á te iáko krew puszczaia:
 Oddech smrod, wzrok dym, słuch odbiera grzmienie,
 Ogień się coraz szerzey rościągáia.
 Ogromney wieże surowe rzemienie
 Zle bronia, iuż się skurczone padaia.
 Y gdzieby z niebá wtem rázie nie miála
 Wcześney pomocy, wszystkáby zgorzála.

* * *

Ale przeważny Hetman w oney chwili,
 Nic nie strwożony ná mieyscu zostawa:
 Y tem co ognie wodami gášili
 Ochoty słowy, y serca dodawa.
 Tak Chrześćianie swey wieże bronili,
 Ale nákoniec wody iem niestawa:
 Aż iednem rázem wiatr powstawszy srogi,
 Ná swoje sprawce obroćił požogi.

* * *

Ogień od wiátru poszedł obrocony,
 Ná płotná, ktore podnieśli Pogánie:
 Y suche czyny, y miękkie obrony
 Zrze, że ich szczętu w krotce nie zostanie.
 O wielki wodzu od Bogá strzeżony,
 O Bogu miły pobożny Hetmánie:
 Tobie posłuszne niebo, y życzliwy
 Wiátr idźcie, ná dźwięk twej tráby krzykliwy.

Lecz Jzmen widząc, że się za wiatrami
 Przeciwno niemu udały płomienie:
 Chce niezbożnemi swemi naukami
 Przymusić gwałtem wiatr, y przyrodzenie.
 Y między dwiema na murze Wiedmami
 Straszliwy w czarne ubrany odzienie
 Stał Plutonowi podobny srogiemu,
 Między iędzami dwiema stojącemu.

* * *

Już czárnoksiążnik począł być ponury
 Szemrać swe kłatwy, zwykłemi sposoby:
 Już się powietrze mieszało, y w chmury
 Szło słońce, z pierwszej złupione ozdoby.
 Wtem kámién wielki co był częścią gury
 Wypchniony z wieże wypadł oney doby:
 Y tak ugodził, że wszystkich zarazem
 Rozcisnął kości, y krew iednem razem.

* * *

Po powietrzu się trzy niezbożne głowy
 Wták drobne sztuki tam y sám rozniosły:
 Jako więc drobno suchy lub surowy
 Jęczmień, trą młynskie naciśnione osły.
 Tak zostawiając wesoły Phebowi
 Promień, do piekła brzydkie dusze poszły,
 Na wieczne męki w podziemne ciemności,
 Wykniecie z tego ludzie pobożności.

* * *

Wtem wieża z wiatru mając swą obronę,
 Tak, że iey ognie namięny nie szkodziły:
 Tak się pod mieyską podsadziła bronę,
 Ze mogła na mur most zrzucić pochyły.
 Ale Soliman przypadł w tąmtę stronę,
 Y wąską ścieżkę siekł ze wszystkiewy siły:
 Y odciąłby ją pewnie był, by była
 Nagle się druga wieża nie odkryła.

Tá po powietrzu szlá, y ná przestrzeni
 Stoiąc, budunki przenośiłá wyzsze:
 Tu się dopiero zlekli Sárrácceni,
 Widząc, że miásto dobrze beło nizsze.
 Lecz Sułtan śmiały, choć nań grad z kámieni
 Spada, w swem mieyscu zostawa, y blizsze
 Ludzie przychęca do mężney obrony,
 Y chce most gwałtem odciąć przystáwiony.

* * *

W ten czas Archányoł Michał niewidźiany
 Od inszych, dał się widzieć Goffredowi:
 Niebieskiem ná bok mieczem przypásány,
 Światłem iásnemu podobny słońcowi.
 Ato (pry) iuż dzień przyszedł požądány,
 Już czas z niewoley wynisć Syonowi:
 Podnieś Goffredzie, podnieś w zgurę oczy,
 Pátrz iáko gęste z nieba masz pomocy.

* * *

Woysk nieśmiertelnych zebrane gromády
 Masz ná powietrzu w niebieskiey ozdobie:
 A iac śmiertelnych zmysłów twych zawády
 Zdyimę z źrzenice, w cudownem sposobie,
 Ze nágie duchy krom żadney przysády
 Będziesz mogł widzieć w ich właśney osobie,
 Y chwilę znieśiesz zakrytych obłokiem
 Anyelskich twarzy blásk, śmiertelnem okiem.

* * *

Pátrz ná tych, którzy beli Rycerzámí
 Chrystusowemi, á teraz są w niebie:
 Jáko się biáą z Pogány, y zwámí
 Chcą być koniecznie w ták zacney potrzebie,
 Tám gdzie się mięsza kurzáwa z dymámí,
 Gdzie gęste trupy leżą podle siebie,
 Ugon się biie, y gdzie pilniey strzeże
 Pogánin, gwałtem mocne tłucze wieże.

Tám pátrazay, iáko Dudon w świetney zbroi
 Podsadza ognie pod pułnocną bronę:
 Stawia drábiny ná mury, á twoi
 Bieżą zá iego powodem w tę stronę.
 Ten zaśię ktory ná págorku stoi,
 A má Kápłańską ná włosách koronę,
 Biskup iest Admár: Patrzay iáko (práwi)
 Y teraz żegna, y lud błogosławi.

* * *

Podnieś wzrok wyzszy ná powietrze, kędy
 Anyołow poczet stoi niezliczony:
 On oczu wzniozwszy, widział, że stał wszędy
 Lotnych Rycerzow zastęp uskrzydłony.
 Trzy pułki beły, á pułk we trzy rzędy,
 Káždy się kołem ciągnął rozdzielony.
 Koła zaś zwierzchnie bárżiey się szerzyły,
 Lecz wewnętrzne mnieysze, y ściśleysze były.

* * *

Tu schylił bláskiem zwyciężzone oczy,
 Y zaś ie podniósł: ále w małej chwili
 Zniknęło wszystko. Potem do swych skoczy,
 Ktorzy iuż wszędzie Pogánstwo pędzili.
 Wprzod Rynáld skoczył do miastá ochoczy,
 Potem co śmielszy zá niem się puścili:
 Nie mięszka dáley Hetman, y wiernemu
 Bierze chorągiew z ręku chorążemu.

* * *

Y bieży ná most: ále mu się śmiały
 Solimán mężnie wpoł drogi zastawił:
 Wielkiemu męstwu polem iest płac máły,
 Ktory dwu wielkich Rycerzow zabawił.
 Krzyknie ná swoich Soliman zuchwały,
 Ja tu chcę umrzeć, ábym was wybawił:
 Wy podcinayćie most ostrem żelázem!
 Mnie w tył, á ia niech zginę tu zarázem.

Ale obaczył że Rynáld strászliwy
 Rozgromionemu dogrzewał ludowi:
 A ia co? Mam (pry) polec tu zelżywy,
 Y mární, ná śmiech nieprzyiaćielowi.
 Tá k myśląc nowe obrony, leniwy
 Zostáwiał wolne przeszćie Hetmánowi:
 Ten nań náciera, y świętą ná murze
 Chorągiew stáwia, wytknioną ku gurze.

* * *

Oná z zwycięstwá hárdá, złote krzyże
 Niezliczonemi kolámi rozwiia:
 Zda się, że w nią wiátr nabożniey dmie, y że
 Słońce blásk od niey iásnieyszy odbiia.
 Strzałá y kula z twárdey lana spiże,
 Albo wzad idzie, álbo iá wciáz miia.
 Zda się, że Syon swem wierzchem wesółem
 Pokłon iey czyni, y biie iey czołem.

* * *

Wtem znak zwycięstwá y swoiey ohrády
 Wszystkie krzyk srogí hufce wypuściły:
 Y bliskie gury, y przyległe sády
 Ostatnie dźwięki często powtórzyły.
 W tenże czas Tánkred wszystkie zbił zawády,
 Ktore ze wszystkiey Argant czynił siły.
 Już y on swoy most do muru przystáwił,
 Y krzyże ná niem swe tákże postáwił.

* * *

Lecz ná południe, gdzie Grábiá z Toloze
 Bił się szedziwy z Pálestyńskiem Pánem:
 Swoiey Gaskończyk przystáwić nie może
 Wieże do miastá: Z trudem niesłychánem
 Sili się bázno, ále nie pomoże,
 Bo tá m Krol z ludem pilnuie przebránem.
 A choćia tám mur słábszy był, w obrony
 Woienne zás był lepiey opátrzony.

Więc bárziefy niżli gdzie indziefy, wściągály
Wieżę, w tem mieyscu niesposobne drogi:
Y nie ták wiele dowćipu umiały,
Aby złe mieysce nie trudniło nogi.
A wtem Gáskańskie hufce usłyszały,
Y ci co muru bronili, krzyk srogi,
Stąd Grábią poznał, y Krol w Pálestynie,
Ze miásto beło wzięte ku rowninie.

* * *

Ráymund záoła, y swoich przywódzi,
Miásto (pry) wzięte, y iuż zwyciężone
Do tąd się trzyma? masz, o piękna młodzi,
Pole do męstwa ieszcze zostawione.
Ale Krol ztamtąd nákoniec uchodzi,
Widząc, że ták iuż obrony zwątpione:
Y ku mocnemu udał się zamkowi,
Tuszając, że ták ma wytrzymać szturmowi.

* * *

Wtem wszystko woysko w miásto iuż wchodziło,
Nie tylko przez mur, ále y bramami:
To co mu iedno wstręt iáki czyniło,
Lub zbito, lubo spalono ogniami.
Strách, nárzekánie, wszędzie się szerzyło,
A miecz gniewliwy karmił się śmierćiami:
Krew ciepła bieży strumieniem, y kupy
Złe żywych leie, y pobite trupy.

KONIEC PIEŚNI OŚMNASTEY.

PIESN DZIEWIĘTNASTA.

ARGUMENT.

Argánt z Tánkredem poiedynek zwodzi,
Ná ktorem Tánkred zwyciężcą zostáie:
Krol uszedł w zamek: z Wafrynem uchodzi,
Y przestrogi mu Erminia dáie.
Ale kiedy iá do swoich uwodzi,
Páná bezekrwie ná piasku zástáie:
Oná go płácze, potem go uzdrawia,
Goffred o zdrádzie Pogáńskiey rozmawia.

Już był wszędzie strách, álbo miecz krwie chćiwy,
Wszystkie od obron rozpędził Pogány:
Sam tylko nie chce Argánt nielekliwy
Od dobytey byđz odpędzony ściány:
Biie się przedsię wzrok niosąc strászliwy,
Y woli umrzeć wkoło obegnány,
Niżli ustąpić, y tę czyni postać,
Ze umieráiąc má zwyciężcą zostác.

* * *

Lecz od Tánkredá nayćiejszy mężnego
Wziął raz, ktory tám bić się z niem gotowy
Przypadł: Po zbroi poznał wnet swojego
Nieprzyaciela Cyrkászczyk surowy:
Co się z niem przedtem bił, y dnia szostego
Miawszy się wroćić, nie strzymał umowy.
Zatem nań krzyknie: Ták się to wracáią?
Ták to umowę Tánkredzie trzymáią?

Pozno co prawdą, ale to na stronę,
 Biy się, nie masz już wymówek przyczyny:
 Acześ nie Rycerz (że y to wspomionę)
 Ale mistrz iakiś w cieśielstwie iedyny.
 Czyn sobie z swoich iaką chcesz zasłonę,
 Wymyślay wieże, y nie zwykle czyny:
 Śmierci nie uydziesz, wnetże nieboraku
 Z mych rąk, o mężny, niewiast zabiaku.

* * *

Rozśmiał się Tánkred, y tak odpowiedział
 Przymówką oną iego uszczypniony:
 Pozny jest moy zwrot, ale abyś wiedział,
 Będzieć się zdał wnet prętki y kwąpiony:
 Y radbyś, żebyś odemnie gdzie siedział
 Gorami albo morzem rozdzielony:
 Obaczysz, że to nie strach we mnie sprawił,
 Zem ci się na czas, iakom rzekł, nie stawił.

* * *

Podź sám na stronę, coś to Rycerz taki,
 Co się z sámemi biiesz Olbrzymami:
 Przeciwno temu, co zaś ładaiaki
 Z bojaźliwemi walczy niewiastami.
 Potem się do swych obroci, y znaki
 Czyni, y mowi: Nie ma on nic zwami:
 Nieprzyacielem on iest własnem moiem,
 Winienem się z niem bić osobnem boiem.

* * *

On na to: Lub się bić sám á sám zemną,
 Lub chcesz gromadą, na twej woley będzie:
 Czyn zgoła co chcesz, nigdziey się przedemną
 Nie skryiesz, bo cię naydę pewnie wszędzie.
 Tak oba wolą złączeni wzajemną
 Szli w przedsięwziętem do dzieła zapędzie:
 Gniew w iednem przyszedł do takiego końca,
 Ze nieprzyaciół stawa się obrońcą.

Tak iest czci Tánkred, tak iest slawy chciwy:
 Tak go pragnienie krwi Pogánskiej grzeie:
 Ze go nie zgási, (pátrzcíe iáko mściwy)
 Jeśli iá z niego kto inszy wyleie:
 Tarczá go składa, y woła gniewliwy
 Gdy kto nádiedzie: Nie bądź tey nádzieie,
 Abyś go miał bić: y tak go z powodzi
 Zwycięzców mieczow zdrowego uwodzi.

* * *

Wychodzą zsobą z miastá, á za nimi
 W tył Chrześciańskie namioty zostały:
 Y szli tam gdzie iem po nierowney ziemi
 Nieznáczne ścieszki szlák ukázowały.
 Wtem págorkami plác między gęstemi
 W ciásney dolinie nátráfili mály:
 Tak iákoby był z tey y z owey strony
 Dla pojedynkow, umyślnie spráwiony.

* * *

Tu widząc Argánt od Chrześcianiná
 Łupione miásto, okrutnie się smucił:
 A bacząc Tánkred, że u Pogániná
 Tarczey nie było, swą także odrzucił.
 Już przyszlá twojá ostatnia godziná,
 Trzebá żebyś się (powiáda) ocucił:
 Czy śmierć swą widzisz, że tak smętno stoisz,
 Ale się dármo, y nie ná czas boisz.

* * *

Myślę (odpowie Argánt temi słowy)
 Ze miásto, ktore Zydowstwu pánuie:
 (Kiedy tak wyrok Boski chce surowy)
 Już nieprzyiáciel łupi y plundruie.
 Y że nie wielka pomstá z twoiey głowy,
 Ktorą mi teraz niebo obiecuie.
 Wtem się ostroźnie do siebie porwáli,
 Bo swoje siły wzáiem dobrze ználi.

Táńkred obrotem y ciała lekkością
 Siła ma nádeń, lub śiecie, lub chodzi:
 Ale zaś wzrostem y członkow miąższością,
 Z drugiey go strony Pogánin przechodzi.
 Sám w się zebrány, aby go prędkością
 Podbieżał Táńkred, ná to wszystek godzi.
 Mieczem swem często miecz iego náyduie,
 Y żeby mu go mógł odwieść, pilnuie.

* * *

Taż sztuką idzie, ále różnem strychem
 Cyrkászczyk srogí, wszystek wyciągniony:
 Y nie w miecz, ále w gębę godzi sztychem,
 Jáko nadáley sięgáiąc rámiony.
 Y gdy go ow chce krokiem podpaść ćichem,
 Do twarzy mu miecz obraca stalony:
 Strzegąc ostrożnie, aby mu urázy
 Ukradkiem dane nie przyniosły rázy.

* * *

Ták okrętami między nierownemi,
 Gdy ćicho stoi Ocean głęboki:
 Rowna iest bitwá, kiedy ow lekkimi
 Bokami lepszy, ten wierzch ma wysoki.
 Ow koły coraz náciera prędkiemi,
 Ten ociążále w mieyscu trzyma boki:
 Ale gdy lżeyszy blisko zaś podpadnie,
 Wysoki z gury pożyie go snádnie.

* * *

Kiedy tem Táńkred fortem nań mierzył,
 Chcąc zástáwiony miecz odwieść ná stronę:
 Podał mu w twarz sztych Argánt, on uwierzył,
 Y biegł z swem mieczem twarzy ná ochronę.
 Ale on indziej tak prętko uderzył,
 Ze niewczás Táńkred przybiegł ná obronę:
 Y pchnąwszy go w bok, krzyknie: Swą nauką,
 Swą (pry) iest szermierz zwyciężony sztuką.

Táńkred się z gniewu wielkiego nie czuie,
 Gryzie się srodze, y zębami zgrzyta:
 Y do pomsty się prętkiey tak gotuie,
 Ze pozno wygrać za strątę poczyta:
 Y sztych mu poda tam, gdzie ukazuje
 Wzrokowi przeszcie przyłbicą zakryta:
 Argánt odbiia on sztych, y odwodzi,
 Wtem odważony Táńkred, miecz podchodzi.

* * *

Y kroku rąco pomknąwszy lewego,
 Lewą mu ręką porwie łokieć prawy:
 A prawą w lewy bok, końcem ostrego
 Mieczą, kilkakroć sztych mu daie krwawy.
 Tę (przy) odpowiedź od zwyciężonego
 Szermierzą, mistrz ma zwyciężcá: Dziurawy
 Bok czuiąc Argánt, miece się przedzięki,
 Niemogąc wydrzeć poimány ręki.

* * *

Wtem miecz na sznurze puścił uwiązany,
 A sám Táńkredá podpadł w rączem skoku:
 Toż czynił Táńkred, y tak opasany
 Wzáiem ten y ow pomykali kroku.
 Nigdy tak mocno Alcyd zawołany,
 Anteusowi snádz nie ścisnął boku:
 Jáko się w ten czas różnemi węzłami
 Ci żylistemi ściskáli rękami.

* * *

Ten był onemu koniec zapásowi,
 Ze oba ziemię bokiem uderzyli:
 Lecz się zdarzyło szczęściem Argántowi,
 Ze lepszą rękę wolną w oney chwili
 Lewą miał z spodku: A zaś Táńkredowi
 Prawą uwięzłá: Ale się po chwili
 Widząc, że mu tak Cyrkászczyk był srogi,
 Wymknął y stanął na ziemi na nogi.

Ten wstaie pozniej, y niż wstał, nieznosnie
 Ciężki raz nań spadł z gury bez obrony:
 Lecz iako się w raz wierzch wysokiey sośnie
 Schyla, y wznosi, gdy dma Aquilony:
 Tak go iego moc dziwiga, gdy żałośnie
 Zda się, że na doł leci pochyłony.
 Wtem obá ná się mocno przyćináli
 Y sztuk szermierskich więcey nie pátrzáli.

* * *

Nie z iednego krew mieyscá Tánkred leie,
 Ale z Argántá wychodzi strúmieniem:
 Już we mdłey síle wściekły gniew niszczeie,
 Jáko zá słabem płomień pożywieniem:
 Uyrzawszy Tánkred że Cyrkászczyk mdleie,
 Y słábiey śieczy, y macha rámieniem:
 Z. wspániálego gniew serca zaráz składa,
 Y odskoczy się, y tak mu powiáda:

* * *

Znay mię zwyciężcá kiedyś niedołężny,
 Albo me szczęście, á poniechay zwády:
 Ja z ciebie łupu, o Rycerzu mężny,
 Niechcę, bądź wolnem posłucháy mey rády.
 Tu Argánt bárżiey niż kiedy potężny,
 Wszystkie swe síły zbiera do gromády:
 Tak (pry) Argántá mász zá nikczemnego?
 Y poczytasz go zá zwyciężonego?

* * *

Jdź zá twem szczęściem, á nie mow tak wiele,
 Nie iuż ten wygra, co słowy wywiera:
 Jáko więc główniá gdy gáśnie w popiele
 Pośilia płomień, y iásnie umiera.
 Tak w niem gniew we mdłem, y bezkrewnem cieie
 Ożywia síły, y ná wierzch wypiera.
 Chciałby przed śmiercią rozstáiac się z słońcem,
 Ostatni swoy kres wsławić mężnem końcem.

Y lewą ręką prawey pomagając,
 Ciężki raz spuszcza z obu rącz zarázem:
 Y zástawiony gwałtem przymuszając
 Miecz miia, daley sięgając żelazem:
 On srodze z żebrá ná zebro spadając,
 Kilká ran zaráz iednem czyni razem.
 Jeśli się Tánkred nie bał, serce żywe,
 Y z przyrodzenia nie belo lęgliwe.

* * *

Znowu Cyrkászczyk tnie nań bez obrony,
 Lecz ná wiátr poszła siła y gniew mściwy:
 Bo się rázowi Tánkred postrzeżony
 Umknął, y w stronę uskoczył skwáplivy.
 Sámes ciężarem padł swem obálony,
 Y z tey miaryś był Argáncie szczęśliwy:
 Ześ sám przyczyną sobie był swey zguby,
 Y nikt z pádnienia twego nie ma chluby.

* * *

W ten czas rozszerzył rány bok otwarty,
 Z ktorych gorącey krwie ciekły strumienie:
 Ale ná ziemi lewą ręką wsparty,
 Przedsię się bronił klęcząc ná kolenie.
 Podday się, nie bądź tak bárzo uparty,
 Miękkie zwyciężcá mając przyrodzenie
 Woła nań: ále nic nie odpowiadał,
 Owszem mu milczkiem ranę w kostkę zádał.

* * *

Widząc krew Tánkred z obrażoney nogi,
 Rozie się, gniew go rusza y sromotá:
 Y wráził mu miecz kilká kroć, gdzie drogi
 W hełmie otwarte nie broniły wrotá.
 Umierał Argánt strászliwy, y srogi,
 Y taki właśnie iáki zá żywotá:
 Postać gniewliwą y wzrok miał surowy,
 Znać belo pychę, y z ośátniey mowy.

Nie chełp się szczęściem Tánkredzie opily,
 Nie twe to męstwo, Bog to wszystko sprawił:
 Ale pozbywszy wszystkiey prawie siły,
 Krwawe zwycięstwo zwyciężcą zostawił.
 Widzi, żeby go mdle niezniosły żyły,
 Gdzieby się ztamtąd w drogę wzad wyprawił.
 Toli się przedsię puszcza w onem czeście,
 Y krok powłokiem, y leniwo nieście.

* * *

Ale nie długo bok nioś sprácowány,
 Bárziej słabieie, im się bárziej śili:
 Zaczem uśiadszy, głowę zmordowány
 Ná ręce wspartą ku ziemi pochyli.
 Wkoło z niem wszystko chodzi: dzień odziány
 Zda mu się we émy, y wzrok mu się myli.
 Y tak się zmienił siły y krwie próżny,
 Ze od Argántá wniczem nie iest różny.

* * *

Kiedy tu z przyczyn osobnych zwiedziony,
 Odpráwował się straszny czyn Marszowy,
 Po dobytem się mieście z drugiey strony
 Błakał gniew srogich zwyciężców surowy,
 Kto tak wymowny, kto tak iest uczony:
 Zeby mógł godnie wypowiedzieć słowa
 Klęskę, y dnia krew wylaną onego,
 Y żałosną twarz miastá dobytego.

* * *

Wszędzie, się srożył y szerzył miecz srogi,
 Gory się z ludzi pobitych działały:
 Nápoły żywych pełne były drogi,
 A ranné wierzchem trupy okrywały.
 Z rostárgánemi włosámi niebogi
 Mátki do piersi dzieci przyćiskały,
 A ćieszki łupem po twárdey opoce
 Włokł nieprzyaciół Pánný zą warkocze.

Ale w ulicach przeciw zachodowi
 Ku gorom, kędy wielki kościół stoi,
 Rynáld płochemu dogrzewa ludowi,
 A krew Pogáńska ćiecze mu po zbroi:
 Jednak nágiemu nieprzyiaćielowi
 Folguie, tylko o lud zbroyny stoi,
 Szysak, álbo tarcz namnieysza zasloná,
 Nie mieć nic w ręku naywiększa obroná.

* * *

Bezbronnych wszystkich puszcza oney doby,
 A mieczá tylko używa ná miecze:
 Nági lud groźney postawą osoby
 Rozgánia, zbroyny rzadko kto ućiecze.
 Widziałbyś tám był dzielności sposoby
 Roźne, tych strászy, tych miia, tych siecze.
 Jáko nierownem szczęściem ućiekáią
 Z zbroynemi równo, ci co zbroj nie máią.

* * *

Z częścią Rycerstwá táł się strwożony
 Lud pospolity, chcąc zachować zdrowie,
 W kościele, który częstokroć spałony
 Od Sálomoná, y teraz się zowie.
 Przes ktorego był naprzod założony,
 Mármorow, złotá, kunsztowni Mistrzowie
 Dáli mu dosyć: dziś nieták bogáty,
 (Obronny iednak) iáko był przed láty.

* * *

Przyszedszy Rycerz wielki w tamtą stronę
 Zastał tám płochę pospolstwo zebrane,
 Y po wysokich wieżách ná obronę,
 Gęste wojenne czyny zgotowane
 Podniosł wzrok srogi, y żelazną bronę
 Dwákróć obeyrzał y wrotá spiżáne:
 Y dwákróć także prętkimi nogámi
 Obbieżał kościół z moenemi wieżámi.

Jako rozboycá wilk, koło obory
 Schadza wieczorem, ná zawarte stádá:
 Y áby głodne nákrmił przemory,
 Chćiwemu szuka brzuchowi obiádá.
 Ták y on mocne obbiega zapory,
 Y gdzie się iáka náyduie zawádá,
 Gwałtem chce przebyć: Potem w mieyscu stánie.
 Pátrzą z wysoká strwożeni Pogánie.

* * *

Zbyt miązsze drzewo ná támtém przechodzie
 Leżało między ćiosánemi tramy:
 Jáko więc miązsze u Angielskiey łódzie
 Poprzek wiszące ná mąszcie widamy:
 Ten mężną ręką w zápędzonem chodzie
 Niosł wielki Rycerz, do kościelney bramy:
 Y dał w podwoie raz niewytrzymány,
 Rospuściwszy w nie tram roskołysány.

* * *

Trudno wytrzymać kámiień w one czasy,
 Y twárdá spiżá ták ciężski raz miálá:
 Wyrwał z Marmoru stalone zawiąsy,
 Wrotá wypádły, á ziemiá zadrżała.
 Nie mocnief tاران zأكovaný strászy,
 Nie mocnief kule wypádaią z dżiálá
 Jako wylewa rzeká: tákief kształtem
 Leią się ludzie, nową drogą gwałtem.

* * *

Krwią z pobitego ludu wszędzie spływasz
 Kościele, któryś przedtem był dom Boży:
 O pomsto Páńska, im późnief przybywasz,
 Tymes iest cięższa y surowszey groży:
 Ty teraz miękkie serca zátwárdziwasz,
 Ze się zwyciężcá nád swoy zwyczaj sroży:
 Obficieś áto Pohánce pokrwáwił,
 Ołtarze teraz, ktoreś był splugáwił.

Ale tem czásem Soliman, gdzie leży
 Wieżá tá, którą od Dawidá zówá:
 Zbierać Rycerstwo rozgromione bieży,
 Y wstręty czyni, y obronę nowá:
 Ku teyże idzie Krol Aládyn wieży,
 Którego taká Sułtan podka mowá:
 Sam, o sam Krolu, miey się do tey strony,
 Uchodź do zamku do pewney obrony:

* * *

Abyś w niem zdrowie y Páństwo záchował,
 Zá co ía tobie, o Krolu, ślubuję,
 On ná to: Wszystko niestetyśz splundrował,
 Miásto miecz srogí: Ja iuż nie pánuję.
 Prawdá żem beł żyw, prawdá żem krolował
 Więcej nie żyję, więcej nie kroluję:
 Byłem cóś kiedyś, teraz wyrok wieczny
 Przyszedł ná wszystkich, y dzień ostáteczny.

* * *

Odpuść mi, błędzisz, o Krolu, w tey mierze,
 Odpowie z gniewem Sułtan w oney dobie:
 Niech nam krolestwo zła Fortuná bierze,
 Przy Krolewskiej iest Krolestwo osobie.
 Jeszcześ nie zginął, dufay moiey wierze,
 Wnidź oto w zamek, á odpoczni sobie.
 Ták w ten czás Sułtan z oney mieszaniny
 Uwodził w zamek Krolá Pálestyny.

* * *

A sam dostawszy pierzystey buławy,
 Swá wierná szablę przypásał do boku:
 Y gęste czyniąc w ulicách zástawy,
 Woli tám umrzeć niż ustąpić kroku.
 Káždy raz iego śmiertelny beł práwy,
 Gniew wściekły nieśie w zápalonem oku:
 Káždy ucieka co nadáley, który
 Záyrzy buławy z żeláznemi piory.

A w tem od roty swoiey prowadzony
 Przypadał Raymund w smalcowaney zbroi:
 Gdzie naygorszy raz, starzec odwazony
 Bieży, y ciężkiey broni się nie boi.
 Pierwey Tolozan tnie nań bez obrony,
 Ale daremnie, za iego nie stoi:
 Bo go tak mocno zaiął Sultán w ciemię,
 Ze starzec wznak padł nieborak o ziemię.

* * *

Zatem się znowu tamci poprawili,
 Y ná zwyciężce mężnie nacierali:
 A Chrześciance serce iuż tracili,
 Y bici beli, albo uciekali.
 A widząc Sultán wodzą w oney chwili
 Ná ziemi, ná swych co go pilnowali
 Zawoła: Skoczcie, tego starcá wzwiedźcie,
 Y do zámku go do więzienia wiedzcie.

* * *

Ci chcą wypełnić iego rozkazanie,
 Lecz bårzo trudną onę rzecz znayduią:
 Bo zgromadzeni w kupę Chrześciance,
 Swoiego wodzą bronią y ratuią.
 Litość z wściekłością w iednym plácu stanie,
 Y o wielką rzecz zsobą się mociuą:
 O zdrowie wodza wielkiego: ci biegą
 Wziąć mu ie gwałtem, á owi go strzegą.

* * *

Pewnieby była stroná w tey rozprawie
 Solimanowá przeciwną przemogła:
 Bo piorunowey wytrzymać buławie
 Zadna przyłbica, żadna tarcz nie mogła.
 Ale gromádá wielka biegła w sprawie
 Do Tolozaná, áby mu pomogła:
 Y w iednym czásie Hetman z iedney strony,
 A z drugiey przypadł Rynáld zapędzony.

Jako więc pasterz, kiedy pełna gromu
 Y wichru chmura z daleka przychodzi:
 A zewsząd ognie błyskają, do domu
 Przed niepogodą stada z pol uwodzi:
 Albo ie w ciszą pędzi po świadomu,
 Uchodząc przyszyłych niebieskich powodzi:
 Y przed nie laską y głosem prostuie,
 A sam ostatnie, ostatni záymuie.

* * *

Tak Sułtan widząc ná się zgromádzone
 Chmury z wichrami nieuchronionemi,
 Y słysząc niebo z hukiem uderzone
 Stráśznemi głosy nieprzyacielskiemi.
 Wprzód wypráwuie ludzie powierzone,
 Sam ustępuie znienaglą zá niemi.
 Lecz tak leniwy ustęp był zá wáły,
 Ze się zdał być wras ostrożny y śmiały.

* * *

Y to ledwie mógł ustąpić zá progi,
 Bo kiedy ná doł popuszczono wzvodu:
 Już ząwáłone uprzátnąwszy drogi,
 Biegł Rynáld pędem do mocnego grodu.
 Chciwość go sławy y gniew bodzie srogi,
 Chce ząwziętego dobieżeć ząwvodu:
 Pomni, że taka belá obietnicá,
 Mścić się Szwedzkiego śmierci Krolewicá.

* * *

Y ponnoby się był z wielkiej ochoty
 Kuśił ná on czas o zamkowe wáły:
 Y nie belby był zá mocnemi wroty,
 Przed niem bezpiecny Soliman zuchwáły.
 Ale iuż Hetman trąbi ná odwroty,
 Y ciemne mroki ziemię okrywáły:
 A Goffréd zátém w mieście się położył,
 Y szturm do słońcá nowego odłożył.

Y mowi do swych wesoło: Ludowi
Swoiemu zdarzył wielki Tworcą niebá:
Już koniec mamy wszystkiemu trudowi,
Niczego się nam bać więcej nie trzebá:
Zamek nádzieię nieprzyiaćielowi
Ostátnią tylko wziąć będzie potrzebá:
Do ktorego się ná jutro gotuyćie,
Teraz z choremi ránne opátruyćie.

* * *

Opátruyćie tych, ktorzy nam dostáli
Tey oyczyny krwią, y swoją dzielnością:
Ná toście ráczey Rycerzmi zostáli,
Niż łupić, niż się unosić chćiwością:
Jużeście dosyć krwie náprzelewáli,
Zdobyczy wzięli, złotá z máiętnością.
Nie łupćie więcej, nie sroźćie się więcej,
Niech to po woysku wytrąbią co pręcey.

* * *

To rzekszy, idzie tám gdzie niedołączny,
Po ciężkich ráżiach Grabiá odpoczywa:
Niemniey wesoło, swych Soliman mężny
Cieszy, á twarzą žal w sercu pokrywa:
O towarzysze, często więc potężny,
W zwycięstwie bity nieprzyiaćiel bywa:
Y rzeczą sámą nie tak wielką mamy
Szkodę, iáko to podomno mniemamy.

* * *

Z pospolstwem bláhem tylko odbieżáne
Mury, nie miásto wzięli Fráncuzowie:
Bo w nászych ręku ma bydź rozumiane,
Y w pierśiach miásto y w Krolewskiej głowie,
Krolá zdrowego, Rycerstwo przebrane
Y zamek mamy, o wielcy mężowie:
Niechay się oni z murow wziętych chlubią,
Bo náostátek y te pewnie zgubią.

Zgubią ie pewnie, kiedy uniesieni
 Tem swoim szczęściem, ná ktoem się sądzą,
 Strzedz się nie będą, y ubezpieczeni,
 Ná łupiestwá się y zdzierstwá udádzą:
 Ták w wszeteczeństwie, w gwałtach utopieni,
 Zwycięstwo z siebie nie trudne nam dádzą:
 Jeśli ich w tákiem niedbálstwie zástanie
 Woysko Egipskie, ktore idzie ná nie.

* * *

A my wtem mieyscá niżej położone
 Z gury będziemy szkodzić kámieniami,
 Y ku grobowi drogi obrocone,
 Trudnić z wysoká gęstemi strzelbami.
 Tákimi sercá Soliman strwożone
 Swego Rycerstwá wspierał nádzieiámi.
 Tem czasem Wáfryn między Egipskiemi
 Błakał się woyski nieprzyjaćielskiemi.

* * *

Do przeciwnego woyská szpięg obrány,
 Sámem wieczorem wyiechał zá łbronę:
 Y nie gościńcem, skryty y niezmány,
 Ale polámi biegł całą noc onę.
 Jeszcze dzień ná świat nie wchódził rumiány,
 Kiedy budowną minął Askálonę:
 A kiedy Phoebus w południe swe wozy
 Wegnał, Egipskie obaczył obozy.

* * *

Widział tak wiele namiotow rozbitych,
 Chorągwi rożnych, y grotow strászliwych:
 Słyszał tak wiele muzyk rozmaitych,
 Bębnów, Cymbałow, y surm przerázliwych,
 Głosow Wielbłądzych, y wieżami krytych
 Ogromnych Słoni, y koni krzykliwych,
 Ze rzekł: Wszystkę tu Azyją ruszono,
 Wszystkę tu w kupę Afrykę zwiedżiono.

Obozowi się pierwey przypátruie,
 Jeśli go przykop y wał iáki broni:
 Potem drog skrytych wiécey nie náyduie,
 Ani od ludu zgromádnego stroni:
 Ale gościńcem przestronem kieruie,
 Z nikim się zbliśka rozmowy nie chroni:
 O káżdego się bezpieczny ociera,
 A śmiałem czołem chytrych mow podpiera.

* * *

Y to tám, to sám po obozie chodźi,
 Przez różne pláce, różne stánowiská:
 Stroiom, y koniom, y Rycerskiey młodźi
 Przypátruie się, y wie ich przezwiská.
 Ale ná wiétsze ieszcze rzeczy godźi,
 Báda táiemnic co nayskrytszych zbliśká:
 Ták długo chodźi, to tu, to owotu,
 Aż Hetmáńskiego trafił do namiotu.

* * *

Y záyrzał płotná trochę rosprotego,
 Skąd oną dziurą beł máły słyhány
 Głos, z Hetmáńskiego pokoju dálszego,
 Gdzie przednie tylko przypuszczano Pány:
 Ták że od tego, co się do támtego
 Mieyscá przystąpił, mógł bydź zrozumiańy.
 Wáfryn tám idźie, wrzkomo się zábawia
 Czém inszem, wrzkomo námiotu poprówia.

* * *

Nie zdiął beł w ten czas Hetman z siebie zbroie,
 Wszystek beł zbroyny okrom sámey głowy:
 Przed niem zdáléká gdzie beły podwoie
 Ostatnie, stało w świetne złotogłowy
 Stroyno ubranych, máłych chłopiat dwoie,
 Ten z tarczą, ow beł z szyszakiem gotowy:
 A słyżąc Wáfryn, że tám ktoś miánował
 Goffredá, uszu pilno nádstawował.

Mowi mu Hetman, y tákeś bezpiecny
 Zabić Goffredá? niechay co odniosę
 Pewnego: On zász: Niech będę bezecny,
 Gdzieć wrychle iego głowy nie przyniosę.
 Nie będę pewnie z inszych ostáteczny
 Co się sprzyśięgli: A inszey nie proszę
 Nagrody, tylko żebym mógł w Káirze
 Wyrýć ten nápis ná twárdem Porphirze.

* * *

Skázcy Azyiey, Ormund odważony,
 Chrześciańskiemu tę zbroię wodzowi
 Wziął z duszą, y tu ná słup wystáwiony
 Włożył ią, pámięć przyszłemu wiekowi.
 Hetman mu ná to: Nie tylko z tey strony,
 Ták pámiętnemu godną uczynkowi
 Nágradę weźmiesz: áleć Krol zápláćci,
 Y gromádą cię złotá ubogáćci.

* * *

Przeto gotowe miey znáki fałszywe,
 Bo w krotkiem czásie damy bitwę sobie:
 Są (pry) gotowe: Tu ony zdrádlíwe
 Mowy skończyły obiedwie osobie.
 Wáfryn się zdziwi, y w sobie wątplíwe
 Myśli obráca roźnie w oney dobie:
 Nie może poiąć co zá sposób taki
 Zprzyśięgi, co to zá fałszywe znáki.

* * *

Szedł dálej ztámtąd, y onę niespány
 Całą noc strawił: ták go to trapíło:
 A kiedy ná świat dzień wychodził rány,
 Y woysko z mieyscá w drogę się ruszyło:
 To w ten, to w owten pułk wiechał wnięszány,
 Y stánał tákże, gdzie się położyło:
 Potem z iednego chodził do drugiego
 Namiotu, chcąc co usłyszeć pewnego.

Chodząc tak trafił tam, kędy siedziała
 Między Rycerzmi, y między Pánnami
 Piękna Armidá: y tak mu się zdála,
 Jákoby z swemi gadała myślami:
 Piękną twarz białą ręką podpierała,
 Ná doł wdzięcznemi pátrzyła gwiazdami:
 Nie wie czy płacze, okrom że obrotne
 Zrzenice z mokrych pereł ma wilgotne.

* * *

A przeciwko niey, widzi że dumając
 Ani tchnie Adrást, ani okiem ruszy:
 Tak w niey utopił y wzrok, y myśl, dáiąc
 Obrok zgłodniałej pożądaný duszy.
 Ale Tyzáfern raz ná nią pátrząc,
 Raz nań, to gniewem, to się żądzą suszy:
 Y ná odmienney twarzy, to miłości,
 To wściekłej dáie znak zápalczywości.

* * *

Altámor zaśię (nie tak iáko owi)
 W onemże kole z Pánnami żártował:
 Y wodz nie puszczał błędnemu zmysłowi,
 Ale ostrożnie źrzenicą kierował.
 Czasem do ręki chciwemu wzrokowi,
 Czasem do twarzy, czasem roskázował,
 Do pierśi, tam gdzie cienkie bawełnice
 Drog pozwaláły w skrytsze tájemnice.

* * *

W ten czas się zdáło chytrey białeýgłowie,
 Dopiero odkryć wyciągnione czoło:
 Y temi słowy nagle się ozowie,
 Smiejąc się ná nich, y pátrząc wesoło:
 Pomnię ná chluby, o zacni Pánowie,
 Was wszystkich, cóście zaśiedli to koło:
 Y czekam od was pomsty obiecáney,
 Jakoście rzekli, pomożcie stroskáney.

Odpowie Adrást: Czemu tę urodę
 Psuiesz frásunkiem, Páni, bez potrzeby:
 Rynáldow ci łeb pewnie dam, y nieby
 Jásnemi świádczę, że cię nie zawiódę.
 Jeśli też wolisz, o Krolowa, żeby
 Beł ráczey żywy, więźniem go przywiódę.
 Ták się Jndyan chlubił w oney dobie,
 A drugi milczał, á gryzł się sam w sobie.

* * *

Do Tyzápherná potem wzrok życzliwy
 Obroci: A ty co mówisz? pytając,
 On iey odpowie: Ja którym leniwy,
 Zá tem twem strásznem zlekká postawiając
 Poydę zdáléká: To mu ták dotkliwy
 Dał sztych ná on czás, z niego przeszydzając.
 Ozwie się Adrást: Ten ktory się boi,
 Słuszna (powiáda) że zdáléká stoi.

* * *

Tyzáphern ná to hárdą trzęsąc głową
 Powie, zá miecz się nagle uchwyćiwszy:
 Rzeczą tu trzebá mężnem być, nie mową,
 O Boháterze, cóś to nastrászliwszy.
 Y kiedyby mi nie szło o Krolową,
 Dáłoby się znáć, kto znas boiázliwszy:
 Porwie się Adrást: ále uprzedziłá,
 Y między nie się Armidá włożyłá.

* * *

Czemu mi ten dar (powiáda) bierzećie:
 Któryście mi iuż nie raz dárowáli:
 Ztąd, że się memi Rycerzmi zowiećie,
 Słuszna, żebyście zsobą się zgadzáli.
 Mnie gniewa, kto się gniewa: Jeśli chcećie
 Bydź zemną, proszę, byście się iednali.
 Táká surowe mową gniewy wściąga,
 Y w iárzmo dusze niezgodne záprzaga.

Wáfryn słuchając zdaléká tám siedział,
 Y dostawszy tám takieý wiadomości:
 Odchodzi dáleý, áby się dowiedział
 Oney sprzyśięgi: lecz bełá w skrytości.
 Czasem się pyta, żeby kto powiedział,
 Z sameý w niem roście więtsza chęć trudności:
 Chce ábo tego przypłacić żywotem,
 Albo koniecznie dowiedzieć się o tem.

* * *

Tyśiąc sposobow niezwykłych używa,
 Tyśiąc chytrości wymyśła sam w sobie:
 Ale nic á nic przedsię nie odkrywa,
 O oney skryteý sprzyśięgi sposobie.
 Nákoniec węzeł wąpliwy życzliwa
 Fortuná, w oney rozwiązuie dobie:
 Ze mu wyraźnie wszystko powiedziano,
 Jáko ná zdrowie Goffredowi stano.

* * *

Wrocił się zaś tám, gdzie się zábawiála
 Armidá, między swemi Rycerzami:
 Tá mu się droga nasnádnieysza zdála,
 Gdzie ludzi biegło tak wiele kupami.
 Y z iedną Pánną co w kole siedziála,
 Między inszemi białemigłowami:
 Przybliżywszy się, tak się wda w rozmowy,
 Jakoby iá znał, y beł iey domowy.

* * *

Y rzekł wrzkomo to dawáiąc żártowi,
 Y ia do ktoreý piéknéý rad przystanę:
 Łeb Rynáldowi ábo Goffredowi
 Utnę, y przy swem słowie się zostanę.
 Gdzie też ktoremu inszemu wodzowi
 Każesz go uciąć, káżdegoć dostanę:
 Tak Wáfryn w on czas swą mowę z nią zácznie,
 Mysłąc żart przywieść do rzeczy nieznácznie.

Wtem się rozśmiejcie: ále go wydała
 Twarz iego w ten czas, y śmiech przyrodzony:
 Bo iedną, która pilnie go słuchała,
 Z prawey stanęła podle niego strony.
 Zadna cię (prawi) z tych nie będzie miała,
 Y nie będziec żal, żeś tak obrocony:
 Ja cię za sługę swojego przyjmuję,
 Y iako słudze átoć rozkazuję.

* * *

Potem mu rzecze odwiódwszy go sobie,
 Znam cię Wáfrynie, okrom wątpliwości
 Y ty mnie. Złękł się Wáfryn w oney dobie:
 Ale się uciekł do zwykłej chytróści.
 Jam cię iako żyw nie znał, y o tobie
 Nie słyszał, átoś godną z twej gładkości,
 Aby cię znano: To wiem żeś własnego
 Nie zgádła, Pánno, imienia moiego.

* * *

Jam iest z Bizerty, Almádzor mię zową,
 A oycá zwano moiego Lesbinem:
 Oná łagodną odpowie mu mową,
 Przy się iako chcesz. Ja wiem żeś Wáfrynem:
 Odkupiłabym twe zdrowie swą głową,
 Ja cię nie wydam żeś Chrześcianinem:
 Jam Erminia, pierwey niewolnicá
 Twoiego Pána, twa społsłużebnicá.

* * *

Tyś mię w więzieniu ósm niedziel pilnował,
 Y stawiłeś się ludzko y przychylnie:
 Tyś był moy przystaw, tyś mi usługował
 W słodkiey niewoley, tám iest, pátrzay pilnie.
 On się iey coraz bárziej przypátrował,
 Nákoniec poznał, że tá nieomylnie.
 Oná zaś: Chceszli, y przysięgę przydam,
 Ze cię nie zdrądzę, y że cię nie wydam.

Owszem cię proszę (masz ty swe przebiegi)
 Przywroć mi pierwszy żywot niewolnicy:
 Bo w tey wolności, y dni, y nóclegi
 Wiodę w nieznośney strapiona tesknicy:
 A ieśliś też tu przyiechał ná szpiegi,
 Y ná to się tu bawisz: W tájemnicy
 Będziesz odemnie pewne rzeczy wiedział,
 O których byś się z inąd nie dowiedział.

* * *

Zmilkł Wáfryn ná to: Má świeże przykłady,
 Wiądom co umie Armidá zdrádliva:
 Płec białogłowska ma ząwždy te wády,
 Chytra, odmienna, złá, y świegotliwa,
 Dufác im prozno, oszukáią rády.
 Ták się w niem biedzi różnie myśl wątpliwa.
 Nákoniec rzecze: Przewodnik gotowy,
 Ná potem dásze odłożmy rozmowy.

* * *

Ták pierwey niż się woysko ruszyć miało,
 Ziechác zarázem z niem się námowiłá:
 Jemu się ztamtąd odyść lepiey zdało,
 A oná się zás do pánién wrociłá:
 Y kiedy ią óń siłá ich pytało,
 Zárty z swoiego Rycerzá stroiłá:
 Potem ukradkiem wyszłá gdzie wiedziálá,
 Ze Wáfryn czekał, y w pole iechálá.

* * *

Już w mili byli, y iuż iem cierpliwe
 Gineły z oczu Pogáńskie namioty:
 Teraz mi powiedz (Wáfryn rzekł) zdrádlive
 Ná Gotyfredá sprzyśięgi ototy.
 Oná mu zátém sztuki niecnotliwe,
 Y rozpoczęte odkrywa roboty:
 Jest (pry) ná dworze ósm, między ktoremi
 Ormund iest mężny, co się sprzyśięgł z niemi.

Ten obiecuie temi sposobami
 Zabić Goffredą z towarzystwem swoim:
 W ten dzień gdy między obiemą woyskami
 Bitwa się w polu wstępem zącznie boiem:
 Oni złotemi zbroie swe krzyżami
 Poznać się sobie, y Frąncuskiem stroiem
 W białą się bórwę po ubierać mają,
 Jakiey Hárceże iego zażywają.

* * *

Ale ná hełmách znaki będą mieli,
 A to dla tego, aby ich tak znając
 Swoi miáli, a gdzieby widzieli,
 Ze się boy krwawy iuż będzie miał zaiąć:
 W ten czas Goffredą zabić będą chcieli,
 Za iego mu się wierną straż udając:
 A iadem mają napuszczone miecze,
 Ze żaden ranny śmierci nie ućiecze.

* * *

Ale iż ná mię wiedzą to Poganie,
 Zem wászych herbow y stroiow świadomá:
 Muszę własnemi, ná ich roskazanie,
 Fałszywe znaki wyszywać rękómá:
 Ztąd teraz moje z obozu ziechánie,
 Ze będąc tych ich zamysłów wiadomá:
 By mi nácięższe zádác miano męki,
 Niechcę niewinney zdrádą mázác ręki.

* * *

Ale nie tylko tá sámá przyczyná
 Mego ziechánia: Tu się ząwstydzila,
 Y wypuszczonych ostatnich chudziná
 Chcąc słow hámowác, źle ie wymowila:
 Ale to bárziefy ruszyło Wáfryná,
 Ze ią nálegał, aby mu odkryła
 Co to takiego: Czemu (pry) wiernemu,
 Nie dufasz słudze Krolewno swojemu?

Dopiero z sercá głęboko westchnęła,
 Y drżąc mówiła ledwie zrozumiana
 Sama do siebie: Nie rychłość poczęła
 Sromać się wprawdzie nędzna, utroskana,
 Czemu tę miłość, która cię ujęła
 Gwałtem zakrywasz? dziewczko skłopotana:
 Przedtemś na to oglądać się miała,
 Teraz już niewczás, kiedyś zbespieczniała.

* * *

Potem poczęła powiadać porządkiem,
 Noc nieszcześliwa, w ktoram utraciła
 Miłą oyczynę, była mi początkiem
 Moich kłopotow: tamem ich nabyła.
 Stracić Krolestwo, miała mem rozsądkiem;
 To większa strata, żem siebie straciła:
 Straciłam samą siebie w oney dobie,
 Nie mam rozumu, nie mam sercá w sobie.

* * *

Pomnisz Wąfrynie, kiedym już widziała,
 Ze nieprzyjaciół zamek opánował:
 Jakom do Páná twoiego bieżała,
 Gdy zbrojny wpáć napierwszy wstępował:
 Jakom zdáléká bieząc nań wołała,
 Proszę, zwyciężco, ábyś się zmiłował:
 Nie day żywotá, nie day mi wolności,
 Tylko mi obroń Pánieńskiey czystości.

* * *

On nie czekając końca moiej mowy,
 Podał mi rękę swą niezwyciężoną,
 Y rzekł: O Pánno, átom ja gotowy
 Nie boy się, całás pod moią obroną.
 Poczułam zaráz za onemi słowy,
 Niewiem czem duszę niezwykle dotknioną:
 Co mi znienagła aż do sercá poszło,
 Y srogi ogień, y ból mi przyniosło.

Często mię potem nawiedzał niebogę,
 Dając znać, że go me kłopoty bołą:
 Łupu (pry) z ciebie niechęć, iedź w swą drogę,
 Gdzieć się zda do swych, puszczam cię ná wolą.
 Niestety, łup to nie dar beł, rzecz mogę,
 Dawszy mi wolność, wprawił mię w niewolą:
 Złotą mi nie wziął, skárby mi zostawił,
 A serce mi wziął, sercá mię pozbawił.

* * *

Trudno skryć miłość: Częstoś cię o Pánie
 Moiem, Wáfrynie, strapiona pytała:
 Ty słyszác ono tak częste pytanie,
 Rzekłes: Pláciś się ty w niem zákochała:
 Przalałam się: ále gorące wzdychnięcie,
 Y troská moia świádecstwo dawała.
 Miasto ięzyká wzrok sam ukázował
 Ogień, który mię wszystkę opánował.

* * *

O niepotrzebnie milczenie użyte,
 Czemu u niego zaráz nie prosiła
 Lekárstwá pierwey, niżlim swe niezbyte,
 Y wyuzdane żądze rozpuściła.
 Wtemem iechała, y rány zákryte
 Niosąc w zánadrzu, umrzećiem myśliła:
 Potem chcąc mdłego podeprzeć żywotá,
 Niechciałam wiedzieć, co względ, co sromotá.

* * *

Takżem się szukać moiego wykrádlá
 Páná, ná srogiey rány uleczenie:
 Ktorą mi zádął, ále mię opádká
 Kupá żołnierstwá, chcąc mię wziąć w więźnienie.
 Dobrzem ná ten czas ziemię nie przepádká,
 Tolim iem zbyła między leśne cienie:
 Gdzie z wielkiem licha pásterká niewczássem,
 Chwilę mieszkála między głuchem lasem.

Lecz żądza, która mię była minęła
 Z strachu, y serce zaśię otrzeźwiało:
 Y w pierwszą drogę znowum się zawzięła,
 Ale mię gorsze nieszczęście potkało:
 Dopierom tam iuż niebogą zginęła,
 Bo mię rozboystwo w drodze poimało
 Łotrow Aegipskich, którzy bez przekazy,
 Hetmánowi w dar wiedli mię do Gázy.

* * *

Ten, kiedym mu zaś o swem powołaniu
 Y o swem stanie wszystko powiedziała:
 W wielkiem mię zawsze miał poszanowaniu,
 Y kazał, żebym z Armidą mieszkala:
 Takem kilkakróć beła w poimaniu,
 Kilkakróć wolna: Pátrz com wycierpiała.
 Lecz nie raz wzięta, nie raz wyzwolona,
 W pierwszym zostawam pęcie zniewolona.

* * *

Byle ten, co mi włożył te okowy
 Nie rzekł, patrząc ná to me włoczenie:
 Tułającey się niechęć białeygłowy,
 Jdź sobie gdzie chcesz: Y tak mię wyżenie.
 Ale nie tuszę, aby beł takowy,
 Ufam, że pierwsze wroci mi więzienie.
 Tak Erminia w on czas rozmawiała,
 Y on dzień, y noc całą z niem iechała.

* * *

Strzegł się gościńca, y tylko ścieszkami
 Wáfryn ná on czas y polmi uchodził:
 Y zá mieysckiemí stanał z nią murami,
 Kiedy mrok pádał, y Phoebus zachodził:
 Wtem moc okrutna krwie między piaskami,
 Y zabity trup w niey mu się nágodził:
 Ktory wznák leżąc mártwem groził srodze
 Wzrokiem, po wszystkíey rościągniony drodze.

Ale go minął Tánkredow dworzánin,
 Bo po ubierze cudzoziemskiem kroiem,
 Y po zbroi znał, że to był Pogánin:
 Lecz dąley trochę widząc zwykłym stroiem
 Jnszego leżąc: To już Chrześcíanin,
 Który tu (práwi) musiał polec boiem.
 Wtem zsiadszy szyszak podnieście zakryty,
 Y krzyknie: Tánkred dla Bogá zabity.

* * *

Nád Argántowem ciałem nieszczęśliwa
 Erminia się ná ten czas báwiła:
 Kiedy ią głosu przykrego pierzchliwa
 Práwie w poł sercá strzala uderzyła:
 Ná Tánkredowe imię ledwie żywa,
 Ku Wáfrynowi koniá obrociła:
 Y widząc iego twarz iáko trup zbladła,
 Y już nie zsiadła, ále z koniá spadła.

* * *

Niehámowane łzy nań wylewała,
 Y smętne głosy z wzdychaniem zmieszane:
 Po coś mię tu zła Fortuno zagnęła,
 O złe widzenie, o niespodziewane:
 Takem cię długo miły moy szukała,
 Zem cię nálaźła ná swą cięższą ranę:
 Lecz co się z tego náleżienią chlubię?
 Kiedy nálaźwszy zaráżem cię gubię.

* * *

Nigdybym była temu nie wierzyła,
 Byś miał bydz kiedy przykry memu oku:
 A terazbym się rada oślepiła,
 Tak żalosnego strzegąc się widoku.
 O piękna twarzy, iákoś się zmieniła,
 O piękne oczy, o wesoły wzroku:
 Gdzie się, ách, wdzięczne twe światło podziało?
 Ktore naytwardsze sercá przerażało.

Lecz iakiśkolwiek, przedsię cię miłuję
 Szlachetny duchu, ieśli przy odzieży
 Swoiey się bawisz, którą opląkuję,
 Opuść śmiałości, y moiey kradzieży.
 Niech zimne wargi koniecznie całuję,
 Nie wszystko śmierci okrutney należy:
 Niechay mi się też co z ciebie dostanie,
 Przynajmniey martwych ust pocałowanie.

* * *

O wdzięczne usta ktoreście cieszyły
 Słodkimi moję mowami niewolą:
 Proszę, abyście moiem dopuściły
 Ustom nad sobą wykonać mą wolą:
 Podobnobyś mi dał był, o moy miły,
 To dobrowolnie, coć biorę swawolą:
 Gwałtem cię niechay całuję, á potem
 Niech się z wzgardzonem rozstane żywotem.

* * *

Ty ducha mego przyim z zwykley ludzkości,
 Niechay pospołu z twoiem odpoczywa:
 Tak mowi w on czas, y z wielkiej żalości
 Taie, y nędzna łzami się rozplywa:
 On odżywiony z oney wilgotności,
 Przychodził sobie, y oczy odkrywa:
 Ale ie prędko zawarł, y z stękanie
 Wzdychanie swoje, zmieszał z iey wzdychaniem.

* * *

Oná poczuwszy, że tchnie Rycerz młody,
 Y że znienagła przychodzi ku sobie,
 Krzyknie: Pátrz ná swe ostatnie obchody,
 Ktore oblewam łzami kwoli tobie:
 Ach strapionemu sercu życz ochłody,
 Albo niech ztobą w iednem legę grobie:
 Nie opuszczay mię, zadržymay się ieszcze,
 Day ostáteczney prośbie iákie mieysce.

Otworzył Tánkred ociążałe oczy,
Y zaś ie zawarł: Wtem iey Wáfryn rzecze:
Opátrzenia tu pierwey y pomocy
Potrzebá: bo płacz nigdy nie uciecze.
A wtem do niego rozbierać go skoczy,
Tá mu pomaga, y táń gdzie krew ciecze
Pátrzy, y rány nálazwszy ogrzewa,
Y wrychle się go uleczyć spodźiewa.

* * *

Widzi przyczynę oney wielkiej młóści
Tę, że krwie z niego wyszło bárzo siła:
Ale krom rąbku w takiey odległóści
Niema czymby mu rány opátrzyła.
Tyś iey nie zwykłych sposobow, miłóści
Záwiązania ran, w on czas náuczyła:
Złote wárkocze zurzynála sobie,
Temi ie w oney záwiązała dobie.

* * *

Bo máła sztuczka cienkiej bawelnice,
Trudno wystárczyć wszyskiem ránom miála:
Dyktamu nie ma: ále táiemnice
Wielkie w lekárskiej náuce umiála.
Już snu ciężkiego zbywa, iuż żrzenice
Błędne podnośi, iuż do młłego ciála
Siła się wraca, iuż kęs włada głową,
Widzi Wáfryná z obcą biáłagłową.

* * *

Jákoś tu tráfił (mowi) do Wáfryná.
A tyś kto? droga o lekárko moiá:
Pełnęła wstydem ná on czas chudziná,
Dowiesz się potem, teraz iáko twojá
Lekarka, káżeć, iest tego przyczyná,
Nie gaday, trzebá choremu pokojá:
Gotuy nagrodę zá wroczone zdrowie,
Wtem łono chorey podłóżyła głowie.

Tem cząsem Wáfryn prowadzić go myśli
 W iaki dom, gwoli lepszemu wczasowi:
 A wtem do niego ludzie iacyś przysli,
 Lecz poznał prętko, że to Tánkredowi.
 Ci z niem pospołu beli pierwey, niżli
 Wyzwał Argánta ku pojedynkowi:
 Ale iem kazał, aby pozostáli,
 Teraz go, o niem zwątpiwszy, szukáli.

* * *

Ale y inšzy co o niem zwątpili,
 Rozeszli się go szukać w różne strony:
 Ci mu z złożonych ręku uczynili
 Stołek, ná ktorem wsparł się posádzony:
 On otrzeźwiwszy, rzecze w oney chwili,
 Ták to psom Argánt leży zostáwiony?
 Nie odchodźcie go, proszę was, pod niebem
 Godźien, aby beł uczczony pogrzebem.

* * *

Ja iuż odpuszczam wszystko umárlemu,
 On zginał iako Rycerz záwołány:
 Y słuszná pewnie, aby beł y iemu
 Ten ostatni dar powinny oddány.
 Ták towarzystwu porucza inszemu,
 Aby go zá niem nieśli ná przemiány.
 A Wáfryn iák ow, co czego pilnuie,
 Przy Erminiey boku koń kieruie.

* * *

Potem rzekł do swych: Przebog pokim żywy,
 Nie do obozu, do miastá mię nieście:
 Bo ieśli przydzie ten żywot troskliwy,
 Y świat porzucić, wolę umrzeć w mieście:
 Y mieysce, w ktorem Bog umárł prawdziwy,
 Zdárzy łatwieysze ostáteczne przeszcie:
 Y iuż bezpieczne sumnienie mieć moge,
 Kiedy odprawię obiecáną drogę.

Ták iáko było iego roskázanie,
 Do Jeruzálem prosto go niešiono:
 O Erminiey Wáfryn miał stárание,
 Aby iey stanie blisko náleżiono.
 Potem szedł tám, gdzie wiedział o Hetmánie,
 Do ktorego go zarázem puszczoно:
 Choćia ná ten czas rádził ná pokoiu,
 O końcu woyny, y o przyszłym boiu.

* * *

Ná brzegu łóžká siedział wodz łaskáwy,
 Gdzie Ráymund chory leżał ná pościeli:
 Ná koło były, postáwione ławy,
 Ná ktorych pierwszy Rothmistrze siedzieli.
 Gdy Wáfryn począł swoię rzecz, zabáwy
 Wszystkie ućichły, y wszyscy milczeli:
 Ták iakoś kazał (powiáda) Hetmánie,
 Bełem, gdzie leżą obozem Pogánie.

* * *

Zliczyć ich żaden niech sobie nie tuszy,
 Choć też naywiększey pilności przyłoży:
 Gdy woysko idzie, gdy się z mieyscá ruszy
 Okryią polá, hufce y obozy.
 Zdroie y rzeki nieprzebrnione suszy,
 Gdzie odpoczywa, y gdzie się położy:
 Syryiskie żniwá ná ich pożywienie,
 Y rzeki, małe są ná ich prágnienie.

* * *

Ale y iezdá, y między pieszemi
 Po wielkiey części lud nikczemny máią:
 Szyku nie pilni, broniámi ręcznemi
 Nic nie są, w łuki nábáržiey dufáią.
 Acz są niektorzy dobrzy między niemi
 Zwłaszcza Persowie: ták o nich trzymáią.
 Między wszystkiemi iest zás namężnieyszy
 Pułk nieśmiertelny, y nápotężnieyszy.

A nieśmiertelnem dla tego go zową,
 Ze się w niem próżne mieysce nie náyduie:
 Y kiedy ieden wystanie, ná nową
 Służbę zarázem drugi następuje.
 Emiren Wodzem y náywyższą głową,
 Ten przed wszystkiemi dzielnością przodkuie:
 A Krol mu kazał, áby z woyskiem twoiem,
 W przestronem polu czynił wstępem boiem.

* * *

A drugiego dnia będą nieomylnie,
 Już czas niemáły iáko się ruszyli:
 A ty Rynáldzie, strzeż się, proszę pilnie,
 Bo się nabárdziey ná ciebie grozili:
 Y namężnieyszy Rycerze uśilnie
 Swe miecze ná cię y gniewy ostrzyli:
 Armidá sámá tem będzie nagrodą,
 Co cię zabią, álbo cię przywiodą.

* * *

Miedzy temi się Altámor zamyka
 Krol z SármaKánty, po ktorem się liczy
 Adrást, co wzrostem Olbrzymá dotyka,
 A swemi páństwy z iutrzenką grániczy:
 Miásto koniá się ná Słoniu potyka,
 A w żelázney go wiedzy uździenicy:
 Jest y Tyzáphern mężny, nád ktorego
 Nie máią w woysku Rycerzá więtszego.

* * *

Ná Wáfrynowę powieść Rynáldowi
 Z oczu y z twarzy ogień wyskákuie:
 Radby co přęcey nieprzyiaćielowi,
 Z wielkiey rádości mieyscá nie náyduie:
 Tu nie przestawa, ále Hetmánowi
 Pogáńskie zdrády Wáfryn ukázuie:
 Ná cię się (práwi) o Hetmánie, siły
 Ná cię się miecze Pogáńskie zmowily.

Potem częściami iął wszystko odkrywać,
 Jáko ná zdrowie iego czyháć miano:
 Jákich szat, iákich zbroj mieli używać,
 Jáką nagrodę zdraycom obiecano:
 Y insze rzeczy, iáko zwykło bywać,
 Powiádał Wáfryn, o ktore pytano.
 A Goffred zátem rzecze w oney dobie,
 Powiedz Ráymundzie, co się też zda tobie.

* * *

Ja (pry) nie rádżę, áby iáko chcecie,
 Zámkowi szturm beł iutro ráno dány:
 Lepiey, kiedy go szanáćmi záwrzećie,
 Ze nieprzyiáciel bédzie obegnány.
 Ták zeszte woysko świeższe mieć bédziećie,
 Jeśli wam przyidzie do bitwy z Pogány:
 A ty się námyśl, ieśli lepiey báwić
 Nieprzyiácielá, ieśli pole stáwić.

* * *

Ale tych przestrog nieważ lekce sobie,
 A nádewszystko opátrz zdrowie swoje:
 Wiesz co należy ná twoiey osobie,
 Wszystkiego woyská zdrowie, zdrowie twoie:
 A żeby zdraycá nie wskurał ná tobie,
 Każ swem Hárcerzom insze włożyć zbroie,
 Y znáki insze: Tuszę zá tą rádą,
 Zeć się sam zdraycá odkryje z swą zdrádą.

* * *

Znáczna twoiá chęć, y rádá życzliwa,
 Odpowie ná to Hetman Ráymundowi:
 Ale wiedz, co iest u ciebie wątpliwa,
 Ze bitwę chcę dáć nieprzyiácielowi:
 Boby sromotna bełá y zelżywa
 Woysku Azyey okroćicielowi
 Kryć się zá mury, y zá wáły, wolem
 Jść iásnem dziełem y przestronem polem.

Jmienia zwycięstw naszych nie strzymają,
Nie tylko żeby w twarz nam weyrzeć śmieli:
A kiedy polem tem razem przegrają,
Już utwierdzone państwo będziem mieli:
Ale y w zamku nie długo wytrwają
Poddąć się będą koniecznie musieli.
To powiedziawszy ná on czas odchodził,
Bo iuż mrok ciemny, słodki sen przywodził.

KONIEC PIEŚNI DZIEWIĘTNASTEY.

PIESN DWUDZIESTA.

ARGUMENT.

Woyská obiedwie wchodzą w boy strászliwy,
Gdzie wielka liczbá z obudwu stron ginie:
Soliman z zamku wypada, teskliwy
Ze się nie biie z inszemi w rowninie.
Rynáld Sultaná zabił, á szedziwy
Grabiá z Tolozy, Páná w Pálestynie:
Smierć wielki Rycerz rozwodzi Armidzie,
Zwycięzcá wesoł do kościoła idzie.

Już słońce ludzie do zwykłych budziło
Robot, iuż dzieśięć godzin dnia miało:
Kiedy Pogánstwo, które w zamku było,
Coś czárnawego zdaleká uyrzało:
Co polá ná kształt mgły iákiey okryło,
Ale po chwili ná koniec poznało
Woysko Egipskie, które zaslaniało
Niebá kurzawą, polá okrywało.

* * *

Z takiemi w on czas ludzie obleżeni
Krzykami, z gury słyszeć się dawaia:
Z iakiemi stádem żorawie w ieśieni,
Od Trácyiskich gniazd zá morze lataia:
Y pod obłoki zimnem przerażeni,
Krzyząc do ciepłych brzegow uciekaia.
Bliskie nádzieie ręce do strzelania,
Y ięzyk czynia prętki do łaiania.

Domyślili się zaraz Chrześciance
 Skąd one nowe groźby pochodziły:
 Y z mieysc wysokich widzą, że Poganie
 Jdą, y woyską iuż się przybliżyły:
 Boli serc mężnych namnieysze czekanie,
 Ognie wnątrz pierśi ochotne paliły:
 Młodź niecierpliwa w kupę się zebrała,
 Y każ się potkąc, Hetmianie, wołała.

* * *

Ale wodz mądry, choć go nagrzewáli,
 Nie chce zwieść bitwy, woli ich hamować:
 Y gdy się to ten, to ow napieráli,
 Niechciał nikomu dopuścić harcować.
 Trzebá żebyście dzień ieden wytrwali,
 Coż? ustawicznie mam wami horować.
 Nieprzyaciela chciał ponno w śmiałości,
 Y w głupiey trzymać o sobie dufności.

* * *

Zá temi słowy woysko ochotnieysze,
 Teskliwe świtu czekało ranego:
 Nigdy powietrze nie było pięknieysze
 Y pogodnieysze, iako dnia onego.
 Piękna iutrenká śmiała się, iásnieysze
 Biorąc promienie, od słońcá złotego:
 Niebo bez rąbku, y nád zwyczaj świętne,
 Chciało ná dzieła pátrzyć tak pámiętne.

* * *

Skoro białemu świt ustąpił dniowi,
 Y słońce weszło, Goffred woysko sprawił:
 Y wyszedł w pole, á przeciw Krolowi
 Pálestyńskiemu Ráymundá postawił:
 A przy niem zostać rozkazał ludowi,
 Co się beł z bliskiey Syryey wyprawił
 Do swych wybawcow; przydał y Gáskony,
 Aby beł zamek zewsząd obleżony.

Jdąc, ná twarzy zda się bydź takowy,
 Ze się każdy z niey zwycięstwá spodziewa:
 Niebo życzliwe zdo bi go, y nowy
 Sposob powagi ná niego wylewa:
 Ná d zwyczaj się zda udátniejszy z mowy,
 Twarz mu wesolą młodością odziewa:
 Wzrok ma tak żywy, tak ochoty pełny,
 Ze się zda więcey, niż człowiek śmiertelny.

* * *

Przećiw Pogánstwu prosto następował,
 Tám kędy oboz ich beł zátoczony:
 A następuiąc wzgórek opánował
 Sobie wtył, z lewey położony strony:
 Czoło rościagnął, boki uszykował
 Wąsko ku równi: Dla lepszey obrony
 Piechotę śrzodkiem puścił w oney dobie,
 A iezdą skrzydłá ubespieczyl obie.

* * *

Ná lewem skrzydle, ktore zástąpioną
 Gurą, w bok támten beło bespieczniejszy:
 Ruberty bracią postáwił rodzoną,
 Brátu piechoty poruczył śrzedniejszy:
 Sam poszedł w prawo w równinę przestroną,
 Gdzie mieysce beło nániebespieczniejszy:
 Gdzie nieprzyiaćiel, ktory go przechodził
 Ludźmi, ná koło okrażyc go godził.

* * *

Tám lud ćwiczeńszy, y lepiey ubrany,
 Z swoiemi chciał mieć Lotaryńczykami:
 Y między iezdę lud pieszy wmieszany,
 Y tu y owdzie, rozłożył mieyscámi.
 Potem uczynił huf wielki zebrany
 Z conaydzielniejszych, ktory zá skrzydłámi
 Ná stronie w prawo zdáléká położył,
 Ná kto rem stárszem Rynáldá przelożył.

Ty (pry) zwycięstwo masz, o známienity
 Rycerzu, ziednać, tobą wszyscy stoim:
 Zá rozwlokłemi skrzydłami zakryty
 Z hufcem twoim, stoy cierpliwy spokojem.
 A gdy nastąpi nieprzyiaćiel, y ty
 Potkasz się z boku z towarzystwem swoim:
 Który mem zdaniem myśli (chciey mi wierzyć)
 Okrążywszy nás, wbok y w tył uderzyć.

* * *

Potem od roty do roty biegając,
 Zágrzewał iezdy, zágrzewał piechoty:
 Y twarz wesołą z szyszaku wydając,
 Do Marsowey ie pobudzał roboty:
 Mężnem ich dzieła pierwsze wspominając,
 Smiałem ich chluby, przydawał ochoty:
 Wątpliwe twierdził, iednem obiecował
 Urzędy, drugim żołdu poprawował.

* * *

Tám gdzie się roty przednieysze zebrały.
 Stanął, y prętkie záhamował biegi:
 Y ná págorek wiechał okazały,
 Gdzie się Rycerstwá kupiły zabiegi.
 Jáko z gur potok spadając zuchwały,
 Ná doł więc niešie rozpuszczzone śniegi,
 Ták mu obrotne z ust płynęły słowa,
 Ták prętka belá iego głośna mowa.

* * *

O cni wschodowych páństw okroćciele,
 Ktorzyście mieczem Azyą skrócili:
 Teraz dzień przyszedł, o ktory ták wiele,
 Kroć, ták gorąco Bogáście prośili:
 Nie bez niebieskiey tu nieprzyiaćiele
 Opátrności się wszyscy zgromádzili:
 Zebyście trudem kres dáli przystoyny,
 Skończywszy iedną bitwą wszystkie woyny.

W iednem zwycięstwie wszystkie mieć będziemy,
 Bez wielkiej pracy, bez wielkiej trudności:
 A nie boymy się, że woysko widzimy
 Jch takiey liczby, y takiey wielkości:
 Sámó się w sobie iáko wnet uyrzemy,
 Wikle w niezgodzie, y w swoiey różności:
 Tych namniey, ktorzy bić się będą chcieli,
 Ci mieyscá, á ci serc nie będą mieli.

* * *

Z nágiem wam ludem przyidzie do potkánia,
 Słabá w nich spráwá, słabsza ieszcze siła:
 Ktorych od robot, álbo proznówánia,
 Gwałt, y niewola z domu wypędziłá:
 Tarcze, chorągwie, według mego zdánia,
 Drżą iem od stráchu: słyszę głosow siła
 Niezgodnych, widzę spráwę pomieszáná,
 Czuią śmierć bliská, widzą swą przegráná.

* * *

Hetman ich co to wrzkomo męstwem słynie,
 Co się we złości świeci nastroynieyszy:
 Czy? że raz wygrał bitwę ná Murzynie,
 Albo Arábie, ma nam bydz silnieyszy.
 Przebog, co pocznie w takiey mieszaninie,
 By też był dobrze naumieiętnieyszy:
 Sam swoich nie zna, swoi go nie znáią,
 Tácyż to proszę porázić nás máią?

* * *

Jám iest Hetmánem woyská wybranego,
 Oználismy się zwycięstwy, bitwami:
 Ktorego niewiem oyczyny? ktorego
 Rodzáiu (pytam) nie znam między wámi:
 Miecz znam káżdego, strzałę znam káżdego,
 Niechay iá widzę ná powietrzu, sámi
 Ze zgádnę, przyznać będziecie musieli,
 Czy iá Jrlándczyk, czy Fráncuz wystrzeli.

Zwykłej rzeczy chcę, y tu skończę mowę,
 Jákościé zwykli, tak się dziś stawićie:
 Ná moję sławę, ná cześć Chrystusowę,
 Ná swą powinność ku Bogu pomnićie:
 Jdźcie, porażćie Pogánstwo ná głowę,
 Utwierdźcie zacne y święte nábyćie:
 Niechcę was báwić, dobryście znak dáli
 Z oczu, y z twarzy, iużeście wygráli.

* * *

Kiedy domawiał, nie bez podziwienią,
 Świátłość mu pádła z gury ná rámioná:
 Jáko więc lećie noc z swego odzienia
 Gwiazdy z długiego otrząsa ogoná.
 Mogło być y to, że iá z przyrodzenia
 Słońce cisnęło z cogłębszego łoná:
 Niektorzy, ktorzy on promień widzieli,
 Zá znak przyszełego Krolestwá to mieli.

* * *

Lecz ieśli człowiek śmiertelny w skrytości
 Boskie wniść może swemi domysłámi,
 Podomno Anyoł z wieczney opátrznosci
 Stroż iego zszedszy, okrył go skrzydlámi.
 Kiedy tak Goffred sercá y śmiáłości
 Dodawał swoim, tákiemi mowámi.
 Hetman Aegipski także nie proznował,
 Y swe potwierdzał, y woysko szykował.

* * *

Widząc zdáléká, że iuż następował
 Lud Chrześćiański, szedł w pole z swoiemi:
 Y także iezdę z bokow uszykował,
 A śrzodek wszystek zászadził pieszemi:
 Sam prawe skrzydlá sobie zostáwował,
 A Altámorá chciał mieć nád lewemi:
 Muleassowi piechotę zlecono,
 Armidę práwie w śrzodku postáwiono.

Przy sobie kazał być Tyzáphernowi
 Z Indyjskiem Krolem, y nieśmiertelnemu
 Hufcowi: Ale gdzie się ku polowi
 Lewe ciągnęło skrzydło przestronemu.
 Afrykie Krole dał Altámorowi,
 Támże roskazał stánąć y Perskiemu:
 Y dwiema Krolom z południowych kráíow,
 Gdzie strzelcow beło tak wiele rodzáíow.

* * *

Ták swe Emiren spráwił, y biegáiąc
 Z półku do półku, śrzodkiem y stronámi:
 To przez tłumáczá, to przez się gadáiąc,
 Mieszał srom z chwałá, nagrody z káźniámi.
 Jednemu mowił: Czemu ták spuszczáiąc
 Twarz w ziemię pátrzysz? sámemi cieniámi
 Strászni bédziemy nieprzyaciélowi,
 Co może dzieśięć przećiw tyśiácowi?

* * *

Drugiemu zásię: Z taką twarzą śmiała
 Jdź, o Rycerzu mężny do potkánia:
 Niektorem ná myśl przywodzi zbolála
 Oyczyznę, y iey łzy y nárzekánia.
 Jnszem czeladkę domá pozostála,
 Y iey ustáwne wspomina lękánia:
 Wierz mi żołnierzu, żeć u nog upáda,
 Y ták oyczyzná przez mię ztobá gáda.

* * *

Tobie, y twoiey poruczam dzielności,
 Moie ustáwy, y święte kościoły:
 Niewinne pánný, broń od zelżywości,
 Y groby dziádow, y martwe popioły:
 Od ciebie proszą w nieszczęsney stárości
 Rátunku, starzy umárli ná poły:
 Tobie dziećiny, żoná, (żał się Boże)
 Tobie małżeńskie ukazuje łoże.

Wszystkiem zaś mówił: Was teraz swoimi
 Rycerzmi, y swej obroncy swobody
 Czyni Azya, czekając nad temi
 Zboycami przez was pomsty za swe szkody.
 Tak sposobami na on czas rożnemi,
 Rożne do boju przychęcał narody:
 Ale już milczą Hetmani, y obie
 Już następują wojską przeciw sobie.

* * *

Beło co widzieć, kiedy się sprawione
 Obiedwie wojską ku sobie ruszały:
 Y kiedy w gęste pułki rozdzielone,
 Już w się uderzyć, już się potkać miały.
 Piękne chorągwie wolno rozpuszczone,
 Pełnemi łony z wiatrami igrały:
 Złoto, żelazo, herby, świetne stroie,
 Polerowane błyszczą się zbroie.

* * *

Tak wiele kopiy miały obie stronie,
 Ze się z nich zdał być las iaki wysoki:
 Już zewsząd ostre błyskają się bronie,
 Już łuki ciągną, drzewa kładą w toki.
 Gniewow swych Pánów poprawiają konie,
 Rzeźwiejsze czynią niż kiedy poskoki:
 W mieyscu nie stoiają, nogami kopają,
 Ognie, y dymy nozdrzami przyskają.

* * *

Ono widzenie straszne y surowe,
 W strachu poćiechę iakaś wydawało:
 Y trąb, y muzyk woiennych Marsowe
 Spiewanie, uszom swą roskosz dawało.
 Ale choć mniejsze, wojsko Chrystusowe
 Piękniejsze się być y weselsze zdało:
 Muzyki iego krzykliwiey spiewają,
 Y piękne zbroie iásniey się błyskają.

Wprzod nasze trąby zagrały: Paganie
 Zarázem się też swoiemi ozwali:
 Wtem ná koláná pádli Chrześciance,
 Y z nabożeństwem ziemię całowali.
 Już się straszliwe poczyna potkanie,
 Już polá nieznác, iuż się pomieszali:
 Już się ná skrzydłách bitwá poczynála,
 Już się zá iezdą piechotá ruszáła.

* * *

Ktoż wždy się z woyská wprzod Chrześcianańskiego
 Potkał ná on czas? co też mówią o tem:
 Tyś, o Gildyppo, w Krolá Ormuskiego
 Jrkaná naprzod uderzyłá grotem:
 Niewieścicy ręce sławy, y takiego
 Szczeńcia Bog życzył, y zaśiesz mu potem
 Rościęła pierśi, słyszy umieraiąc
 Nieprzyacióły, on raz wychwalaiać.

* * *

Drzewo Krolowi w pierśiach Ormuskiemu
 Złamawszy, mieczá od boku dostała:
 Y rospuściwszy koniowi rączemu,
 Ściśnione Perskie hufce rozrywała.
 Brzuch Zophirowi rościęła śmiałemu,
 Y ielitá mu wytoczyła z ciála:
 Alarkowi zaś krtán przecięła srodze,
 Rázem pokármu y głosu dwie drodze.

* * *

Artársá ciętem rázem ogłuszyła,
 Smiertelny dała sztych Argeusowi:
 Potem gdzie ręká lewa się schodziła
 Z ramięniem, cięła w staw Jzmáelowi:
 Odcięta ręká wodzę upuściła,
 Około uszu świszczy miecz koniowi:
 On czuiąc wolność, bieży w przek, y kędy
 Wpádnie, sprawione wszędzie mięszá rzędy.

Y inszych wiele legło od iey broni,
 Ktorych wiek dawny pograżił w milczenie:
 Persowie rączych popuszczają koni,
 Już około niey zewsząd zgromądzenie.
 Ale iey mężnie iey małżonek broni,
 Zastawuiąc się przy swey miłej żenie:
 Tak mężna para sobie pomagając,
 Szła przez gęste się hufce przebiegając.

* * *

Nowy czynienia wierni małżonkowie
 Zachowywali sposób w oney chwili:
 Oboje swoje lekce ważąc zdrowie,
 Ona go, on iey, wzajem się bronili:
 Ona obrony swey nie dając głowie,
 Odbiia razy, ktoremi nań bili:
 On także tarczą składał ią, gotowy
 Y nágiey dla niey nie żałować głowy.

* * *

Spolna iest pomstá, spolna iest obroná,
 Spolny rátunek, y iemu y oney:
 On zuchwałego zabił Artoboná,
 Páná ná wyspie Boekan rzeczoney:
 Pod lewą pachą przebił Aluántroná,
 Ktory kęs dośiágł iego ulubionej.
 Oná Armuntá zabiła śmiáłego
 W ten czas kiedy siekł ná mężá miłego.

* * *

Ale dáleko więcey naszych ginie,
 Od Sármákanty Krolá w inszey stronie:
 Gdzie koń obroci, y gdzie mieczem kinie,
 Leżą ná pował, y pieszy y konie.
 Szczęśliwy, kogo zaráz duszą minie,
 Od iego ostrey nieuchronney bronie:
 Y niewie, iáko koń kása gniewliwy,
 Gdy kto od mieczá zostawa wpoł żywy.

Ze dwiema spółem zaráz boy rozczyna,
 Z wielkiem Andronem, dużem Brunellonem:
 Jednemu tak łeb y szyszak rościła,
 Ze na ramięch został rozdzielonem.
 Drugiego trafia, gdzie się śmiech poczyną,
 Serce mu mieczem rozwalił stalonem:
 Tak, że się nędzny po niewoley śmieie,
 Y tak śmiejąc się ostatni raz żicie.

* * *

Ale y inszych zamordował siła
 Altamor, okrom wyzszej miánowanych:
 Zabił Gwidoná, Gwaská, Rádomiłá,
 Y wiele inszych Rycerzow wybranych.
 Kto zgádnie? iáko wielka liczba była
 Zábitych, albo koniem podeptanych.
 Kto ich imioná własne może wiedzieć?
 Kto śmierci, y ran różność wypowiedzieć?

* * *

Nie śmie nań nátrzeć żaden człowiek żywy,
 Wszyscy iednemże uciekają torem:
 Tyś, o Gildyppo, sama w boy wątpliwy,
 Z wielką śmiałością weszła z Altamore.
 W łuk Amázonká opásaná krzywy,
 Zadna tak dobrze nie władnie toporem:
 Jáko na on czas przeciwko stráśznemu
 Oná Krolowi szła Sármańskiemu.

* * *

Tak mu z obu rącz zadala raz tegi,
 Tak uderzyła mocno w hełm złocony,
 Ze się Altamor uchwycił za kregi:
 Y ku ziemi się podał pochylony.
 Raz wielkiey mocy, y wielkiey potegi
 Poznał Pogánin, ktorem uderzony:
 We mgnieniu oka oddał iey zarázem,
 Ciąwszy ją w czoło stalonem żelazem.

Ták ią ćiał mocno, że się mu miecz zwinął,
 Y że niebogá zaráz ogłuszałá:
 Wszystká w niey pámięć, wszystek zmysł w niey zginał,
 Maż ią uchwycił gdy z śiodłá lećiałá.
 Potem ią (ták iey szczęście chćiało) minął,
 Lub to wspániáłość iegó sprawowála:
 Jáko lew mężny, nád tem który leży
 Srożyć się nie chce, y od niego bieży.

* * *

Ormund tem czásem, który był obrány
 Ná zdradziecki czyn pospołu z inszemi:
 W zmyślonem stroiu między Chrześćianý
 Chodził nieznácznie z towarzyszymi swemi.
 Ták nocni wilcy częstokroć w dzień rány,
 Podemglę się psy zdádzą domowemi:
 Y ná obory dybią, á ogony
 Wątpliwe, pod brzuch tulą przemorzony.

* * *

Już milczkiem przypásć ná Hetmáná chćieli,
 Już ieden insze uprzedzájąc swoje,
 Podpadał podeń: lecz że beli w bieli,
 Poznał swe Goffred podeyrzáne stroie.
 Krzyknie: Ci to są, co mię zabić chćieli,
 Widźćie herby, y fałszywe zbroie,
 Ktore krzyżami poznáczyli sobie,
 Wtem się do niego porwie w oney dobie.

* * *

Ránił go srodze: on ták wielkiey siły,
 Y ták przewážny, y ták przedtem śmiały:
 Nic się nie bronił, mroz mu w żimne żyły
 Szedł, zapomniáł się, został skámieniáły.
 A wtem nań zewsząd wszystkie miecze biły,
 Wszystkie nań strzały, oszczepy lećiały.
 W ták wiele sztuk szło Ormundowe ćiało,
 Y inszych iego, że trupá nie miáło.

Skoro się Goffred uyrzał ukrwawionem,
 Wchodzi w boy srogi, y tãm się udãie:
 Kędy przed mieczem tył nieuchronionem
 Altãmorowem, lud iego podãie:
 (Który od niego tãk beł rosproszonem,
 Jãko Afrycki piasek, kiedy wstãie
 Gniewliwy Auster) y zãwściãga koni
 Uciekãiących, y tego co goni.

* * *

Zãczem się sroga bitwã zãczynãłã,
 Między Goffredem y tem Pogãninem:
 Tem czãsem indziey piesza tãkże wrzãłã,
 Między Mulãsem y miãdzy Bãldwinem:
 Ale y iezdã iuż się rozpierãłã
 Pod gurã, krwãwem Grãdywowem czynem,
 Gdzie sam Emiren, y gdzie nã niezmiernem
 Słoniu się biie Adrãst z Tyzãphernem.

* * *

Nã Robertã wpadł Emiren stãrszego,
 Y rowni sobie beli moiem zdãniem:
 Ale Jndyan przemagał młodszeo,
 Już zbroiã pościekl, iuż y szyszak nã niem.
 Tyzãphern nie miãł nikogo pewnego,
 Coby mu godnie rowny beł potkãniem:
 Lecz się tãm y sãm przez hufce przebiã,
 Y niepodobnie siãã ich zãbiã.

* * *

Tãk bitwã trwãłã, á strãchy włożone,
 Nã rowney wadze z nãdziejã wiãsiãły:
 Wszãdzie po polu drzewã pokruszone,
 Y połamãne orężã leżãły.
 Przebite pierși, boki przebodżione,
 Rościęte brzuchy we krwi się walãły:
 Trupy wznãk albo ku ziemi nosãmi
 Leżã, iãkby iã kãsały zębãmi.

Zywy ná zmarłem, pod umarłem żywy,
 Koń zdechły leży podle Pána swego:
 Zwycięzca podle siebie (tak straszliwy
 Boy wszystko zmięszał) ma zwyciężonego.
 Nie iest milczenie, nie krzyk wyrażliwy,
 Coś tylko słyszeć niezrozumianego:
 Szmer iakiś cichy z sobą się biiących,
 Stękanie rannych, y umierających.

* * *

One tak piękne y tak świetne zbroie,
 Teraz się w straszłą twarz poobłoczyły:
 Złoto promienie utraciło swoje,
 Fárby swej pierwszej piękności pozbyły.
 Pierza, y kity, y wesołe stroie,
 Z swej się ozdoby wszystkiej obnażyły.
 Wszystko zdeptano, ieśli iakiey trochy
 Krew nie oszpeci, oszpecą prochy.

* * *

Wtem Murzynowie słońcem przypaleni,
 Z Aráby, ktorzy lewy rog trzymáli:
 Krąg uczyniwszy wielki, po przestrzeni
 Nieprzyacielom wtyły zaiezdźáli:
 Y strzelcy w miejscu támtem postawieni,
 Ná Chrześcianiý zdáléká strzeláli.
 Kiedy z swem hufcem Rynáld przypadł z boku,
 Ták iako piorun puszczony z obłoku.

* * *

Asmir z Meroey był okrom wątpienia,
 Między Arábskiem pułkiem namężnieyszy:
 Tegoś ciął zaráz, kiedy do czynienia
 Z niem, imo insze wypadał przednieyszy.
 A kiedy go smák pierwszego zdárzenia
 Ziauszył we krwi, bieżał ochotnieyszy
 W naygęstsze hufce, y niewymowione
 Dzieła poczynił, y ledwie wierzone.

Miecz mu się w ręku tylko trochę błyszczy,
 Kilká ich ginie od cięcia iednego:
 Jáko więc żądłem wąż tak prętko świszczy,
 Ze się trzy zdádzą z iednego sáмого.
 Toż rozumieli ktorzy beli bliscy,
 Ze miał trzy miecze: Z machánia prętkiego
 To pochodziło, że się tak mylili,
 A z stráchu temu tem więcej wierzyli.

* * *

Jednem Libiyscy y czarni Krolowie,
 Od iego mieczá szli pod ziemię śládem:
 Jnszych zaś iego cni Boháterowie
 Bili swojego stárszego przykładem.
 Tak z swem Rycerstwem Pogáńscy wodzowie
 Polegli, iáko kłosa zbite grádem,
 Bitwą trudno zwáć: iedná stroná biie,
 A druga tylko nádstawuie szyie.

* * *

Ale nie długo twarzy obracáli,
 Biorąc przystóyne y uczciwe rány:
 Podáli tyły, y tak uciekáli,
 Ze wszystek ich szyk został rozerwany.
 Jednak tak długo naszy nacieráli,
 Ze szedł w rosypkę hufiec rozegnány.
 Potem się zebrał zwyciężcá, niehcący
 Bić więcej mieczem w grzbiet uciekájący.

* * *

Jáko wiátr o lás wstrácony w ieśieni,
 Albo o gurę gniewliwiey dmie, ále
 W szerokich polách ná wielkiej przestrzeni
 Łaskáwiey wieie, y nie tak zuchwále.
 Jáko przy skałách morze barżiey pieni,
 A ná głębiey ma spokojnieysze fále.
 Tak im mniej wstrętow przeciwnych náyduie,
 Tem bárżiey Rynáld gniewy swe hámuie.

Kiedy tak niechciał Bohátyr wspániały
 Ná zbiegłych grzbietách zabáwiać swey síły:
 Biegł ná piechoty, ktore iuż nie miały
 Jezdy w tę stronę, coby iey broniły.
 Arábskie hufce wszystkie zućiekáły,
 Y Afrykáńskie iuż podáły tyły:
 Nie máią żadney od konnych obrony,
 Wtem Rynáld przypadł z iezdą zápędzony.

* * *

Wpadł iáko wściekły ná dardy wytknione,
 Hufce, y gęste poprzerýwał rzędy:
 Pośiekł, y szyki pomieszal ściśnione,
 Táka iego moc, takie beły pędy.
 Pole iuż wszystko krwią beło skropione,
 Zbroy pośieczonych y ciał pełno wszędy:
 Wszędy pobitych leżą wielkie kupy,
 A iezdá końmi gęste depce trupy.

* * *

Przebił się Rynáld aż do śrzednich szykow,
 Tám gdzie Armidá ná złotem iechała
 Wozie: á wkoło z swoich miłośników,
 Y z przedniejszych straż Bohátyrow miała.
 Kiedy iuż bliski beł onych strażników,
 Z wielu go znakow zarázem poznála.
 On się mało co zmienił, bárżiey oná,
 Wprzód mrozem, potem gorącem dotknioná.

* * *

Jákby iey nie znał, miia złote koła,
 Y dálej idzie Rycerz ukwápliwý:
 Ale swojego niechce puścić zgoła
 Społmiłośniká hufiec zazdrościwy.
 Wszyscy nań niosą rozgniewáne czoła,
 Do mieczow idą, sámá do cięciwy
 Strzałę przykláda, gniew się w niey záymuie,
 Ale go miłość wściága y hámuie.

Miłość przeciwko gniewowi bieżała,
 Y dotąd kryty ogień w niey wytknęła:
 Trzykroć ná niego łuku pociągála,
 Trzykroć watpliwey ręki zawnęściagnęła.
 Gniew płac otrzymał, á miłość przegrała,
 Nákoniec strzałę z cięciwy wypchnęła:
 Wypchnęła strzałę, y zaśię życzyła,
 Wypuściwszy ią, żeby go chybiła.

* * *

Rádaby zaśię, żeby się wypchniona
 Strzala od niego w iey serce wrociła:
 Ták wiele miłość mogła w niey strácona,
 A coż? kiedyby beła zwyciężyła.
 Ták sámá w swoich myślách rozdwoiona,
 Niestale żądze ustawnie mieniła;
 To chce to niechce, y gdy strzałę puści,
 Zarázem iey żał, że ią nań wypuści.

* * *

Ono strzelenie zostało w swej chwale,
 Bo go trafiła w wymierzone miejsce:
 Ale niewieściey blach wytrzymał strzałę,
 Y nie ięto się zbroie mdle żeleście.
 On iey tył podał, ona swoje żale
 Z gniewami mięsza, mniemając że ieszcze
 Szydźi z niey: Potem trzykroć weń strzeliła,
 Lecz go ona nic, miłość ią raniła.

* * *

Mowi do siebie, żalosna z swej wzgárdy,
 Y także to iest ten Pan niepożyty:
 Podomno ciało ubrał w kámień twárdy,
 Jáko y serce, że iest nie dobyty.
 Niedba nic widzę, nieprzyziaciel hárdy
 Y z oká strzala, y z cięciwy bity:
 Nieprzyziaciółkám zbroyna zwyciężona,
 Y miłośnicam bezzbroyna wzgárdzona.

Niewiem już, iakiey nań używać siły,
 Dufa twárdemu sercu, twárdey zbroi:
 Nádzieie mię już wszystkie opuściły,
 Zádnych strzał, zádnych mieczow się nie boi.
 Ostátne mię już pomocy chybiły,
 Legli Rycerze y obrońce moi:
 Jákoś widziałá, że iedni zabići,
 Drudzy leżeli ránni z koni zbići.

* * *

Widzi niebogá, że sámá została,
 Y wie że mu się pewnie nie obroni:
 Y choć ma oszczep y łuk, nie dufała,
 Y Látonowny, y Pállády broni.
 Od wielkiego się strachu zapomniála,
 Równie iák łabęd gdy go Orzeł goni:
 Ták się y oná, to tam to sam kręci,
 Sámá niewie gdzie bieży bez pamięci.

* * *

Ale Altámor, który náchylony
 Huf Perski w on czas wracał ku boiowi:
 Y by był nie on, wszystek rosproszony
 Szedłby był ná miecz nieprzyiaćielowi.
 Widząc iá w ták złem rázie, niewściágniony
 W tę stronę wodze wypuszczał koniowi:
 Y swą część, y swoy hufiec zostawował,
 Niech (pry) świat zginie, bylem iey ratował.

* * *

Zle strzeżonemu wozowi przybywszy,
 Uprząta drogę: oná iedzie^{ła} za niem,
 A wtem on iego hufiec rozgromiwszy
 Rynáld y Goffred, wciáz iecháli ná niem.
 On wszystko znośi nád zwyczaj ćierpliwszy:
 Gách niżli Hetman lepszy, moiem zdaniem.
 Potem w bezpieczną uwiodszy iá stronę,
 Niewcześną niośł swem pomoc y obronę.

Bo ná tem skrzydle iuż beli Pogánie
 Zbići, y iuż się beli rozsypáli:
 Ale ná lewem zaś tył Chrześćianie,
 Nieprzyaćiołom sromotnie podáli.
 Robertá, ktory w pierśi wziął dwie ránie,
 W łeb iedną, swoi ledwie rátowali.
 Drugiego Adràst poimał: ták obie
 Woyská do tych dob rowne beły sobie.

* * *

Wtem Goffred wziął czás, y znowu sprawione
 Hufce wiodł przeciw nieprzyaćielowi:
 Ták skoczył niosąc kópie złożone,
 Jeden rog przeciw drugiemu rogowi:
 Nieprzyaćielską krwią obá skropione,
 Ták ěi z tryumphem idą, iáko owi:
 Z obu stron idzie zwycięstwo y chwałá,
 A w poyśrzodku Mars, y fortun stałá.

* * *

Kiedy ták bitwá między woyski wrzálá,
 Y on czyn krwáwy Marsá surowego:
 Gdzie wieża widok dáleki dawałá,
 Poyrzał Soliman z zamku wysokiego:
 Y widział, iáko odmienna mięszálá
 Fortuná, rzeczy rodzáiu ludzkiego:
 Y zewszád śćiekłé krwią poboiowiská,
 Y wielkie śmierći, y losu igrzyská.

* * *

Chwilę niemálą ná bitwę pátrzywszy,
 Ták w sobie zágrzał wnétrzne żądze swoje:
 Ze zaráz w pole, zamek opuściwszy
 Wypáść, y wstąpić chce w surowe boie.
 Y szyszak tylko ná głowę włożywszy,
 Bo z siebie nigdy nie zdyimował zbroie,
 Krzyknie: Cokolwiek náznáczyły niebá,
 Dżis álbo umrzeć, álbo wygrác trzebá,

Lubo niebieskie wyroki tak chcieli,
 Ktore go wewnątrz bodły bez przestania:
 Aby ostátki żadne nie zostały
 Pálestyńskiego więcej pánowania:
 Lub śmierć swą czuiąc, umysł go wspániály
 Grzał potkáć się z nią: Ták bez rozmyślania,
 Nagle ná on czas z otworzoney brony
 Wypadał, wielkiem pędem niewściągniony.

* * *

Ták był gorący, y ták niecierpliwy,
 Ze niechciał swojey poczekać drużyny:
 Sam ná ták wielu idzie w boy straszliwy,
 Ná gęste miecze, strzały, ruhátyny.
 Ale y inszy potem, y szedziwy
 Puścił się zá niem sam Krol Pálestyny:
 On co ták wielkiey wprzod był ostrożności,
 Teraz do takiej przychodzi śmiałości.

* * *

Ná ktorych naprzod wpadł niespodziewány,
 Ták prętko beli, y ták nagle zbić:
 Ze nikt nie widział, kiedy dáwał rány,
 Tylko coś poyrzał, aż oni zabić.
 Od pierwszych idzie między Chrześcíanym,
 Z głosu do głosu, strách iáko po nić:
 Ták że Syryiski lud iuż był náchyły,
 Począł pierzchliwe ukázować tyły.

* * *

Mnieyszy iuż był strách między Gáskończyki,
 Bo iáko ie był ich pułkownik sprawił:
 Mieyscá y swoje zátzymáli szyki,
 Ná tych się naprzod Soliman zabáwił.
 Zaden ptak, żaden zwierz páznogcią dziki,
 Y zębu nigdy ták barzo nie skrwáwił
 Krwią zwierzow mnieyszych: iáko w on czas siłą,
 Solimanowá szablá krwie wypitá.

Trudno wymówić zgoła iako wiele
 Gáskonow, mężny Sułtan zámordował.
 Ale y Tyran Pálestyński śmiele
 Z swoim Rycerstwem zá niem następował,
 Wtem Ráymund stáry ná nieprzyiáćiele,
 Tám gdzie Soliman ludzie iego psował:
 Swiadomy przedtem iego ręki bieżał,
 Choć się z iego ran nie dawno wyleżał.

* * *

Znowu się z niem stárl, znowu záś był w ciemię
 Niewytrzymanem rázem uderzony:
 Zeszłych lat ciężkie winno beło brzemię,
 Y wiek, ktorem był Grábiá obciążony.
 Sto mieczow rázem, kiedy padł ná ziemię
 Biło nań, stem był tarczy zástoniony:
 Ale się nád niem Soliman nie báwił,
 Mniemáiąc że go zábitem zostawił.

* * *

Na insze ztámtąd okrutniejszy iedzie,
 Ták iako potok kiedy z wiosny wzberze:
 Potem záś indziey, gdzie go wściekłość wiedzie
 Bieząc, łakomey obrok szábli bierze.
 Jáko więc głodny po chudem obiedzie,
 Do bogátey się rad kwápi wieczerze.
 Ták y on co raz wiétszey szuka wojny,
 Chcąc złożyć do krwi swoy głód niespokoiny.

* * *

W pole do boiu ztámtąd się udawa,
 Przez mury ráczo bieząc rowálone:
 Ale strách iego Rycerstwá zostawa,
 W nieprzyiáćioły wszedszy potrwożone:
 Ták iedná stroná zwycięstwá dostawa,
 Ktore zostawił wpoły dorobione:
 Druga odpiera, lecz odpor był taki,
 Ze ućiekánia wielkie dáje znáki.

Gąskończyk przedsię sprawą ustępował,
 Ale Syrowie zgołą uciekali:
 Y już Tánkredow dom, kędy chorował
 Od nieprzyjaciół pędzeni miiali.
 Słyszac huk srogi bårzo się dziwował,
 Y wstawszy z łózká poyrzy oknem, áli
 Już lud Syryiski uciekaiąc bieży,
 Gąskon uchodzi, á Tolozan leży.

* * *

Ale cna dzielność, y serce wspániále,
 Ktore chórego nie opuszcza ciála:
 W niem słábe síly, y członki schorzáłe,
 Miásto krwie żywey, w on czas odżywiała:
 Tarcz bierze w rękę, koja ná zbolále
 Y ránne rámię, lekka się widziała:
 A w práwey zásię ręce miecz ma goły,
 Y bieży pędem ná nieprzyjacióły.

* * *

Co głosu stáie, woła: Gdzie bieżycie?
 Tákeście wierni wászemu wodzowi?
 Táku Pogánstwu złupić dopuścicie
 Zbroię? brzydkiemu dár Máchometowi.
 Potem kiedy się do domu wroćicie,
 Pomniście iego powiedzieć synowi:
 Ze tám legł oćiec, skądęście uciekli,
 W tem nań Poganie ze wszystkich stron siekli.

* * *

Tarcz miał zbyt miązszą z rogátého wołu
 Siedmi skor twárdych, ktore w iedno zbito:
 Potem záś wszystkie złożone pospołu,
 Przednie wypráwnem żelázem okryto.
 Tá Grábię nákrzył gdy ná niego z dołu,
 Y z gury zewsząd strzelano y bito,
 A mieczem ostrem siekl ná obie stronie,
 Ze odpoczywał w bezpiecney obronie.

Wstał prętko potem tarczą obroniony
 Od przyiaćielá, y mieczem znáiomem:
 Dwoiákiem ogniem będąc zápalony,
 Ná sercu gniewem, á ná twarzy sromem.
 Chćiałby się znowu stárzec odważony
 Z nieprzyiaćielem kosztować świádomem:
 Szuka go, ále iż go nie náyduie,
 Nád iego ludźmi zemścić się gotuie.

* * *

Aquitánowie co ustępowáli,
 Teraz przy wodzu śmieie náćieráią:
 A oni przedtem ták mężni, ták śmiáli,
 Nagłem uięci stráchem, ućiekáią.
 Ci teraz gonią co tył podawáli,
 Tákię więc nagle rzeczy odmieniáią.
 Dobrze Tolozan swe rázy odbiia,
 Sto ich sam ieden swą ręką zabiia.

* * *

Gdy się ták Ráymund háńby swey gniewliwy,
 Nád głowámi mścił co nazacnieysze:
 Uyrzy, á ono Krol się sam szedziwy
 Mężnie potyka, między przednieysze.
 Skoczy do niego, y w czoło strászliwy
 Co raz go biie rázami ciężkiemi:
 Ze legł nákoniec, y ktorey był Pánem,
 Ziemie ukąsił zębem rozgniewanem.

* * *

Gdy obu wodzow Pogánie stráćili,
 Widziałbyś ich był z rożnemi myślámi:
 Jedni, kiedy iuż o sobie zwątpili,
 Oślep ná miecze wpadáli pierśiami.
 Ku zamkowi się drudzy obroćili,
 Wspieráiąc zdrowia mdłemi nádzieiámi:
 Gdzie społ zmieszáni wpádli Gáskońcycy,
 Y koniec kładli chwálebney zdobyczy.

Już zamek wzięto, y ieśli był który
 Co się śmiał oprzeć, zaráz był zabity:
 Już Ráymund wielki porporzec ná mury
 Niosł, dawając znać, że zamek dobyty.
 Y przeciw woyskom triumphálny z gury
 Krzyż, znak zwycięstwá ukazał rozwity.
 Lecz tego Sułtan nie widzi ochocy,
 Bieząc do bitwy co iedno ma mocy.

* * *

Tám gdzie się były woyská, przybiegając,
 Zastał, że wszędzie krew ciekła strumieniem:
 A śmierć tryumphy swoje rościągając,
 Nád śmiertelnem się pastwiła stworzeniem.
 Y uyrzy konia sámopás biegając,
 Z wiszącym ná doł ku ziemi rzemieniem:
 Y dopadszy go, ośiadł go zarázem,
 Y z dobytem biegł ná woysko żelazem.

* * *

Wielki lecz krotki dał swemu ludowi
 Pośilek Sułtan, wpadszy tak zuchwale:
 Y był prętkiemu rowny piorunowi,
 Który we mgnieniu oka spada, ale
 Y potomnemu pamiętny wiekowi
 Znak zostawuie w rozerwánym skale.
 Przez sto ich zabił, dwáy iednak wyięci
 Będą w tej liczbie, z wieczney niepamięci.

* * *

Twą Odoárdzie, y Gildyppo srogą
 Y żalosną śmierć z dziełami godnemi:
 Jeśli Słowieńskie rymy tyle mogą,
 Poświęcę między dowcipy wielkimi:
 Tak, że każdy wiek pamięć waszą drogą
 Wysławiać będzie, y który swoiemi
 Sługá miłości, pobożnemi łzami,
 Uczci waszą śmierć z moimi rymami.

Cna Bohátyrká tám koń obrociła,
 Gdzie przed niem z wielkiem lud uciekał strachem:
 Y natárwszy nań, krwie mu utoczyła,
 Dośiągszy boku lewego pod blachem.
 Poznał ią zaraz po stroiu kto był,
 Y krzyknie: Anoż Páni duszká z gáchem:
 Twoiá rzecz iglá, kądziel, y wrzećiono,
 Nie woyná, nie boy, nie miecz, dobra żono.

* * *

Znowu go w gębę pchnąć Gildyppá chciała,
 Lećz uprzedziwszy iego szábła spádła:
 Y przeciąwszy blach, w zánádrze ciąc śmiała,
 Gdzie tylko miłość swoje rázy kładła.
 Wodzę niebogá nagle upuszczála,
 Y pochylona co raz bárziefy bládła,
 Pátrzy Odoárd ná to, nie leniwy
 Ale obrońcá ráczey nieszczęśliwy:

* * *

Niewie co czynić nędzny, w różne strony,
 W iednem go czásie žal y gniew prowadzi:
 Żal każe wesprzeć pochyloney żony,
 Gniew mu do pomsty co nayprętszey rádzi.
 Lecz od miłości życzliwey uczony,
 Pospólu z gniewem żalowi porádzi:
 Lewą iey ręką wspiera y rátuie,
 Právą ná pomstę rázem wypráwuie.

* * *

Ale iáko miał pożyć tak mocnego
 Nieprzyaciela, z rozdwoioną siłą:
 Y winowáyce nie zabił swojego,
 Y trudno też miał utrzymać swą miłą.
 Owszem mu rękę u łokciá sáмого
 Odciął, gdy trzymał małżonkę pochyłą.
 Dopiro go tak nieprzyaciel pożył,
 Upuściwszy ią, ná niey się położył

Jáko Wiąz ciągły wkoło opásany,
 Y okręcony od płodney macice:
 Gdy go podetną, do ziemię kochány
 Krzak ná dol ciągnie, zá sobą potycze:
 Y samże list trze, ktorem był odziány,
 Y groná dławi, ozdobę winnice:
 Y zda się, że mu nie swey žal przygody,
 Ale swey miley towarzyszki szkody.

* * *

Ták on upadał, y umrzeć gotowy,
 Nie siebie, swego żałował kochánia:
 Chcieli coś mowić, ále zbywszy mowy,
 Miásto słow, spolne mieszały wzdychánia.
 Y poki mogli, oczemá nie słowy
 Odprawowali ostatnie żegnánia.
 Wtem iem dzień zginał właśnie w iedney dobie,
 Ták szły złączone święte dusze obie.

* * *

Po wszystkim woysku zátem świegotliwa
 Wieść o ich śmierci gęste głosy niosła:
 Y Rynáld iuż wie, że to rzecz prawdziwa,
 Nie tylko z wieści, ále y od posła.
 Żal, gniew, powinność, serce mu rozrywa,
 Chce żeby pomstá co naypręcey doszła.
 Ale kiedy iuż Sultáná dobiegał,
 Adrást wołáiąc drogę mu zabiegał:

* * *

Tyś to, ieśli się nie mylę, ktorego
 Szukam, y wołam przezwiskiem dzień cały:
 Pátrzę ná tarczey znáku u káždego,
 Dopiro mi cię twe herby wydały:
 A iżem ze łbá obiecał twoiego
 Ofiarę Bogu, wystąp ná czas máły:
 Zdrayco Armidy, áto cię pozywa
 Ten, ktory się iey Rycerzem ozywa.

To rzekszy, ciął go okrutnie dwa razy,
 Raz w szyję, drugi podle lewey skronie:
 Hełmuć nie przeciął, co się nie bał skązy,
 Ale go mało nie zbił między konie.
 Rynáld go zaśię w bok między żelázy
 Ták trąfił, że sztych szedł ná obie stronie:
 Legł olbrzym wielki, Krol niezwyćiężony,
 Jedną (co więtsza) raną obálony.

* * *

Wszystkiem mroz zimny serca opánował
 Co to widzieli: Sam Sultan lękliwy
 Pobládk ná twarzy, y znak pokázował
 Trwogi ná sercu, widząc raz strászliwy:
 Y iuż sobie sam swą śmierć praktykował,
 Niewie co czynić dáley ma wątpliwy:
 Rzecz w niem nie zwykła, lecz się człowiekowi
 Trudno wiecznemu zbronić wyrokowi.

* * *

Jáko szalony, lub co się ma choro,
 Kiedy sny strászne, w nocy niedospáłe,
 Widzi, zda mu się, że bieży, y skoro
 Rościąga ná bieg członki oćieżáłe:
 A kiedy trzebá, wszystko mu nie sporo,
 Służyć mu niechcą nogi osłábiáłe:
 Czasem chce mowić, ále go y mowá,
 Y głos, y zwykłe opuszczáią słowá,

* * *

Ták w ten czas Sultan sam siebie porywa,
 Przez gwałt ku oney ostáteczney probie:
 Ale mu gniewu zwykłego ubywa,
 Y pierwszey siły teraz nie zna w sobie.
 Jeśli się ná skrę śmiałości zdobywa,
 Záráz iá w niem strách gási w oney dobie.
 Rożnie go błędne obráćciá myśli,
 Ustąpić iednak, y ućiec nie myśli.

Wtem Rynald przypadł, ale przypadając,
Zdał się być większey daleko prętkości:
Y blisko się iuż podeń podsadzając,
Znak dawał większey siły y śmiałości.
On się kęs bronił, iednak umierając,
Nie zapomina zwykley wspaniłości:
Nie stęka, śmierci y ran się nie boi,
Y nie czyni nic, iedno co przystoi.

* * *

Gdy iuż godziną przyszła ostateczná
Solimanowi, że go śmierć zwalczyła:
Po wszystkiem woysku dopiro bezpieczna
Wieść, głos o śmierci iego rozpuściła.
Y Fortuną się dotąd niestateczna
Do iedney strony wszystką przenosiła:
Y złączywszy się z sámymi Hetmány
Przećiw Pogánstwu, poszła z Chrześciány.

* * *

Nie tylko inszem, uciekać samemu
Nieśmiertelnemu przychodzi pułkowi:
Nieśmiertelny był, á teraz hárdemu
Ná wzgárdę ginie swemu tytułowi.
Chorążemu sam uciekającemu
Emiren mowi, y bieg mu stanowi:
Tyś iest, ieśli się nie mylę, ktorego
Obrałem nosić znak Pána moiego.

* * *

Ey Rymedonie, nie ná toć to dána
Y powierzona chorągiew odemnie:
Widzisz biiąc się samego Hetmána,
A ty od niego uciekasz nikczemnie:
Skąd strách? skąd w tobie tak nagła odmiána,
Gdzie bieżysz, wroć się, weźmi przykład ze mnie:
Kto chce uść zdrowo, bić mu się tu trzeba,
Przez drogęćci, dość żywota potrzebá.

Wrocił się wstydem Rymedon ruszony,
 Poważnieyszą zaś inszych mową grzeie:
 Niektorych śiecie, nie ieden wrocony
 Od mieczá, duszę ná miecze wyleie.
 Ták rog po wielkiej części przełomiony
 Wspiera, y ieszcze nie tráci náddzieie:
 Y więcey ufa niż inszem, śmiałemu
 Tyzáfernowi, mężowi wielkiemu.

* * *

Dziwy robił dnia Tyzáfern onego,
 Zbił Niderlándy wszystkie z Normándami,
 Fracă, Ruglerá, Gierárdá mężnego
 Zabił, z inszemi przedniemi wodzami.
 A kiedy iuż kres żywotá krotkiego,
 Nieśmiertelnemi przedłużył dziełami:
 Jakby żyć niechciał, szukał gdzie znácznieyszy,
 Y kędy był boy naniebespiecznieyszy.

* * *

Uyrzał Rynáldá, á chočia plugawę
 Krwią były iego fárby lázurowe:
 Choć iego orzeł páznokcie miał krwawę,
 Poznał ná tarczy herby Rycerzowe.
 Niech mi (pry) niebá pomogą káskawę,
 Niebespieczeństwo widzę iest gotowe:
 Wygranli, głowę Armidzie dáruię,
 Tobie Mákonie zbroię dáć ślubuię.

* * *

Ták śluby czynił przed głuchem Mákonem,
 Bo nic nie słyszał okrom wątpliwości:
 Jáko biiąc się po bokách ogonem
 Lew, pobudza swe wrodzone srogości.
 Ták on swe gniewy ogniem w się wpuszczonem
 Grzał, y ostrzył ie ná ośle miłości:
 W kupę zebrawszy siły swe, koniowi
 Wodzę wypuścił, przeciw Rynáldowi.

Ale y Rynáld bieżał w oney chwili,
 Przeciwno niemu koniá obracáiąc:
 Wszyscy iem zaráz plác wielki czynili,
 Do strásznego się potkania zbiegáiąc.
 Ták się Rycerze obá mężnie bili,
 Srogiemi ná się rázami ćiskáiąc:
 Ze káždy widząc strászny boy, własnego
 Niebezpieczeństwá zapomniáł swojego.

* * *

Ale cóż? ieden dármo zbroię śiece
 Nieskázitelná, drugi dawa rány:
 Już z Tyzápherná krew w kilku mieyśc ćiece,
 Już tarcz, iuż hełm ma wszystek porábány.
 Widzi Armida zbyt nierowne miecze.
 Widzi, że iey iuż Rycerz zmordowány:
 Y że go iuż krew uchodži, y drudzy
 Ućiekać od niey zámýsláią słudzy.

* * *

Od ták Rycerzow wielu otoczona,
 Już sámá tylko ná wózie zostálá:
 Wątpi o pomście, zewszád opuszczona,
 A snadźby umrzeć niżli żyć wolálá.
 Wtem z wozá zsiádlá, y iáko szalona,
 Dopadszy koniá, w pole ućiekałá:
 A gniew y miłość wszędy, kędy iedźie,
 Miásto dwu chártow podle siebie wiedźie.

* * *

Ták Kleopátrá zá wieku dawnego,
 Sámá z strászliwey bitwy uchodźiłá:
 Y Augustowi swojego miłego
 W niebezpieczeństwie morskiem zostáwiłá:
 Który sromotnie od woyska swojego
 Biegł, gdzie lęклиwe żagle obrociłá.
 Tożby beł pewnie y Tyzáphern sprawił,
 Lecz nie mógł, bo go nieprzyaciél báwił.

Zbywszy iey z oczu, że mu ustępuje
 Słońce pod ziemię, y iásny dzień, wierzy
 Y temu, co go wściaga y hámuie,
 Niewytrzymány raz w czoło wymierzy.
 Kiedy pioruny Jowiszowi kuie,
 Sam Brontes młotem mocniej nie uderzy.
 Ták dobrze w ten czas Tyzaphern przyłożył,
 Ze Rynáld głowę ná pierśiach położył.

* * *

Ale się prętko y nád spodziewanie
 Po onem rázie ták ciężkiem poprawił:
 Y przeciąwszy blách, gdzie swoje mieszkánie
 Zywot ma, miecz mu do sercá wyprawił:
 Przepadł przez serce sztych y przez dwie ranie,
 Pogáninowi pierś y tył ukrwáwił:
 Uciekájącey duszy dáiąc więcej
 Niż iedną drogę, żeby szła tem pręcey.

* * *

Potem iął pátrzyć, gdzie nieprzełomione
 Miał ieszcze dáley obroćić swe siły:
 Widzi chorągwie wszędzie obálone,
 Y że się wszystkie hufce rosproszyły.
 Tu śmierćiom koniec uczynił, y one
 Marsowe gniewy w niem się uśmierzyły:
 Y wspomniáł sobie ná uciekájącą
 Armidę sámę ná koniu bieżącą.

* * *

Bárzo ią dobrze widział, kiedy w długą
 Co w koniu mocy biegła uciekájąc:
 Zál mu iey bárzo, y pomni ze sługą
 Jey być obiecał, od niey odiezdżájąc.
 Zátem się zá nią puścił stroną drugą,
 Wszędzie się śládu iey koniá trzymájąc.
 Oná wtem w iedną dolinę osobną
 Wiechála, do swych zamysłów sposobną.

Rádá że mieysce dąlekie ná stronie,
 Gdzie sobie moglá śmierzć zádąć, trąfiłá:
 Tąm z koniá zsiádlá, y w oney ząsłonie,
 Zbroię, łuk, szyszak, y strzålý złożyłá.
 Nieszczesne (práwi) y sromotné bronie,
 Ktorem dąremnie w potrzębie nósiłá:
 Tu pogrzebione ná wieki będziećie,
 Kiedy się zemścić krzywdy mey nie chcećie.

* * *

Mam was ták wiele, á żądney z was ieszcze
 Krwáwey nie widzę, wszyskieście zmárniali:
 Więc śmiále bądzcie ná pierśi niewieście,
 Kiedyście w insze uderzyć niechćiali:
 Te me odkryte zá cel sobie weście,
 Tubyscie łatwie zwycięstwá dostáli:
 Nie umknę ich wam, ilekroć strzeliłá,
 Wie miłość, że ich nigdy nie chybiłá.

* * *

Bądzćiesz mężnemi ná Pánią niebogę,
 A popráwćie się zá táką przygáną:
 Do czego przyszłá nędzna? że nie mogę
 Tylko od was być sámych ráutowáną:
 Zadnem lekárstwem sobie nie pomogę,
 Okrom, że ránę leczyć muszę ráną:
 Ráná od strzålý od miłości ránę
 Zgoi, y zdrowia od śmierći dostánę.

* * *

Niech tego mego iádu śmiertelnego,
 Ná on świát zsobą nie bioreę, moy Pánie:
 Zrzucę tu miłość, á ćieniá bladego
 Gniew towarzyszem wiecznem niech zostánie:
 Albo się niech z niem wroći do moiego
 Nieprzyiáćielá, z piekielney odchlńanie:
 Niech go pilnuie, żeby wiodł niespáne
 Strászliwe nocy, y sny rozerwáne.

Tu zmiłkła, y już umrzeć umyśliwszy,
 Naostrzeyszego żelesćą pátrzyła:
 Kiedy tám Rycerz nagle się trafiwszy,
 Zastał ią, że się tylko nie zabiła:
 Wszystkã się w strasną postawę złożywszy,
 Już się do pierśi z strzałã zanośiła:
 Wtem iã za rękę uchwycił poćichu,
 Y wściãgnął ztyłu śmiertelnego sztychu.

* * *

Przyszło się z prędkã obeyzrzyć niebodze,
 Bo nie postrzegła, ani go widziãła:
 Kiedy tam przyszedł, y wrzasnęła srodze,
 Y odwróciła oczy, y omdlała.
 Jáko kwiát wpoły podcięty przy drodze,
 Tãk pochylona do ziemi leciãła,
 Ale iã ná doł lecãcã podpierał,
 Y ná odkryte pierśi szatę zbierał.

* * *

Y żałem zdięty, twarz iey pochylonã,
 Y pierśi skropił mokremi perlami:
 Jáko deszcz rãny zwiedłã y zemdlonã
 Ożywiã rożã srebrnymi kroplami.
 Tãk podnosiła do ziemi puszczonã
 Twarz nie swoiemi upłakãną łzami.
 Trzykroć poyrzãła, trzykroć odwróciła
 Oczy, aby nań tylko nie pátrzyła.

* * *

Y pokãzuiãc znacznie swe niewdziãki,
 Rękę od siebie iego odpychãła:
 Ale iã trzymał Bohatyr przeddziãki,
 Choć się siłiła, choć się wydzierãła.
 Tãk od kochãney obłãpiona ręki,
 Choć ponno w on czas inãczey zmyślãła:
 Zãłosnie plãkãc ietã nãrzekãciãc,
 Co raz od niego oczy odwracãciãc.

O ząwsze lub się wrącasz, lub odchódźisz,
 Jednąko srogi, czegoć niedostaie?
 Wielki dziw u mnie, że mi śmierć rozwódźisz,
 Wielki, że żywot mężoboycá dáie:
 Ná iáką nową háńbę mię przywóđisz,
 Ná iáką lekkość: znam twe obyczáie,
 Znam chytrość, korać więcey nie pomoże,
 Nic ten nie może, kto umrzeć nie może.

* * *

Chcesz ponno, ábym w ląncuchu wiedzóná
 Ná twem tryumphię licha dziewczka byłá:
 Dziś zwyciężóná, á przedtem zdráđzoná,
 To twe tytuły, to naywiętsze dżilá.
 Beło to, żem cię o żywot strapiona
 Prośilá, teraz niechbym go pozbyłá:
 Smierci chcę, lecz nie z twych rąk, bo twe dáry
 Są w nienawiści u mnie z kaźdey miáry.

* * *

Sámá się z twoiey srogości y grozy
 Przez się wybáwię okrutny człowiecze:
 A choć związánęy odeymiesz powrozy,
 Odeymiesz strzały trućizny, y miecze.
 Y ty, y żaden niech mię tem nie trwoży,
 Smierć mi kiedy chcę, nigdy nie ućieche.
 Pátrząycie, iáko zmyśláć umie cudnie,
 Wszystko nie szczyrze, y wszystko oblúdnie.

* * *

To narzekánie, te iey bely mowy,
 A gniew y miłość lzy iey wyćiskálá:
 Ze Rycerzowi udał się płacz nowy,
 Ktory wstydlíwa litość sprawowálá.
 Odpowieda iey łágodnemi słowy,
 Proszę, ábyś skarg proznych zániechálá:
 Nie boy się żadney lekkości odemnie,
 Sługę, Armido, masz wiecznego zé mnie.

Jeśli dać wiary niechcesz mojej mowie,
 Pátrż ná moje łzy, wierz, że cię nie zdrądzę:
 Ná tey stolicy gdzie twoi dziadowie
 Siedzieli, da Bog, wrychle cię posądzę.
 A kiedyby to zdarzyli Bogowie,
 Zebyś Krzest przyiąć chciała, iakoć rádę:
 Uczyniłbym to, że wielkie Krolowe,
 Y Pánie wszystkie przeszłabyś Wschodowe.

* * *

Ták prósi, y te swe wzdychaniem grzeie
 Próby, y łać łez gęstych nie przestáie:
 Jáko gdy słońce páli, álbo wieie
 Wiátr południowy, śnieg znienáglá táie:
 Ták w niey gniew w on czás nieznácznie niszczeie,
 A miłość tylko przy sercu zostáie.
 Niech się (powiáda) twoiá wola stánie,
 Wszystko uczynię ná twe roszakánie.

* * *

A wtem Emiren widząc że ná ziemi
 Jego chorągiew legła obálona:
 Y że przed iego oczymá własnemi,
 Goffred mocnego zabił Rymedoná:
 Y zbiwszy mu lud z wodzami pierwszemi,
 Wszędzie przeciwna przemagála stroná.
 Jáko mąż wielki szukać chce przedzdięki
 Smierci, od iákiey zawałaney ręki.

* * *

Zwálł swego koniá przeciw Goffredowi,
 Bo godniejszego nádeń nie nayduie:
 A gdzie przechodzi, y gdzie się stánowi,
 Wściekłego męstwá znáki zostáwuie:
 Y zdáléká go ku pojedynkowi
 Wabi, y ręká ná niego skázuie.
 Ja dziś chcę zginąć, ále się pokuszę,
 Ze nie bez pomsty zginę iáko tuszę.

Jeno to wyrzekł: obá z wielkiem gniewem
 Skoczyli ieden przeciwko drugiemu:
 Emiren w ramię przebiwszy tarcz drzewem,
 Ránę wodzowi dał Chrześciańskiemu:
 On go zaś trafił tak nád uchem lewem,
 Ze łbem szedł ná kárk koniowi swoiemu:
 Y kiedy się chciał poprąwić, przebity
 Duszę wytoczył pospołu z ielity.

* * *

Skoro legł Hetman, Goffred rosproszony
 Ostátek woyská pobitego goni:
 Y tráfia tám gdzie w koło otoczony,
 We krwi po kostki Altámor się broni.
 Szyszak zrabány, miecz ma utracony,
 Zewsząd nań bią y strzeláią z koni.
 Niech będzie (krzyknie ná swoich) z pokojem,
 Jam Goffred, day się, á więźniem bądź moiem.

* * *

Altámor ktory sercá wspániáłego,
 Do żadney nigdy pokory nie skłonił:
 Usłyszawsy głos inienią wielkiego,
 Do niey się chętnie ná on czas náklonił:
 Y złożył zaráz z umysłu hárdego,
 Y dawszy mu miecz, więcey się nie bronił.
 Godnyś (pry) tego, poddáięć się: á ty
 Będziesz ztąd w sławę, y w skárby bogáty.

* * *

Záłosna żoná kleynoty swoiemi,
 Y mego páństwa wykupi mię złotem:
 Nie chciwym ná to, (ow rzekł) y tákiemi
 Rzeczámí gárdzę, ani myślę o tem:
 Miey sobie skárby Indyiskie z Perskiemi,
 Cudzemem nigdy nie kupczył żywotem:
 Ja Altámorze w Azyey wojuię,
 Hándlow nie wiode, y nie przekupuię.

W tem za pogánstwem poszedł pogoniámi,
Zostawiwszy go przystáwom w opiece.
Ktore do swoich wálów szło kupámi,
Ale gniewliwe y tam wpađły miecze.
Wzięto zarazem oboz, strumieniámi
Krew od námiotu do námiotu ciecze.
Mażą się złotem nábiiane zbroie,
Psują się pompy y pogáńskie stroie.

* * *

Ták Goffred wygrał, a tyle iásnego
Dnia mu ná on czas zostawało ieszcze;
Ze woysko swoje do wyzwolonego
Miásta prowadzi, y stáwia ie w mieście.
Y niezłożywszy odzienia krwáwego,
Czci zbawicielow grob, y święte mieysce.
Tám zbroie wiesza, y insze korzyści,
Y obiecane śluby Bogu iści.

KONIEC DWUDZIESTEY Y OSTATNIEY PIEŚNI.





KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



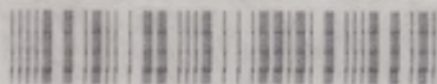
4500

065309 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

11739 S



001-011739-00-0